

JAVIER CERCAS
OSZUST



NOIR SUR BLANC

JAVIER CERCAS

OSZUST

Przełożyła
Ewa Zaleska

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA. Warstwy cebuli

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

CZĘŚĆ DRUGA. Napisany przez samego siebie

1

2

3

4

5

6

- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12

CZEŚĆ TRZECIA. Lot Ikara

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

EPILOG. Martwe pole

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

Podziękowania

Wykorzystane książki

Przypisy

Inne książki Javiera Cercasa

Tytuł oryginału: EL IMPOSTOR

Opracowanie redakcyjne: MAJA LIPOWSKA

Korekta: AGATA NOCUNÍ, JANINA ZGRZEMBSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Na okładce wykorzystano zdjęcie © Consuelo Bautista

Fragment listy więźniów obozu we Flossenbürgu na s. 410 zamieszczono dzięki uprzejmości wydawnictwa Penguin Random House

© Penguin Random House Grupo Editorial S.A.U.

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © Javier Cercas, 2014

For the Polish edition

Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-613-4

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Raüla Cercasa i Mercè Mas

Si se non nouerit

Owidiusz, *Metamorfozy*, księga III, 348

CZEŚĆ PIERWSZA

WARSTWY CEBULI

Nie chciałem pisać tej książki. Nie wiedziałem dokładnie dlaczego, albo jednak wiedziałem, ale nie chciałem albo nie ośmielałem się do tego przyznać; może nie do końca. Faktem jest, że przez z górą siedem lat wzbraniałem się przed jej pisaniem. W tym czasie powstały dwie inne, choć o tej nie zapomniałem; przeciwnie: gdy pisałem tamte dwie, to na swój sposób pisałem i tę także. A może to ta książka na swój sposób pisała mnie.

Pierwsze akapity piszę zawsze na końcu. Ta książka jest skończona. Ten akapit jest ostatnim, który piszę. A ponieważ jest ostatni, wiem już, dlaczego nie chciałem pisać tej książki. Nie chciałem jej pisać, bo się bałem. Wiedziałem to od początku, ale nie chciałem albo nie ośmielałem się do tego przyznać; może nie do końca. Teraz wiem tylko, że mój strach był uzasadniony.

Poznałem Enrica Marca w czerwcu 2009 roku, kiedy już od czterech lat był wielkim szalbierzem i wielkim łotrem. Wielu pamięta pewnie jego historię. Marco był osiemdziesięcioletkiem z Barcelony, który przez trzy dziesięciolecia podawał się za deportowanego w przeszłości do hitlerowskich Niemiec i ocalałego z nazistowskich obozów, przez trzy lata przewodniczył wielkiemu hiszpańskiemu stowarzyszeniu byłych więźniów, Amical de Mauthausen, wygłosił setki wykładów i udzielił dziesiątek wywiadów, został uhonorowany ważnymi odznaczeniami i przemawiał w hiszpańskim parlamencie w imieniu wszystkich swych rzekomych towarzyszy niedoli, aż wreszcie w początkach maja 2005 roku wyszło na jaw, że nigdy

nie został deportowany ani nie był więźniem żadnego nazistowskiego obozu. Odkrył to nieznany nikomu historyk, Benito Bermejo, na krótko przed uroczystymi obchodami sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozów nazistowskich w dawnym obozie Mauthausen, pierwszej takiej ceremonii, w której miał uczestniczyć premier Hiszpanii, a sam Marco miał odegrać w niej ważną rolę, lecz ujawnienie oszustwa zmusiło go do wycofania się w ostatniej chwili.

Kiedy poznałem Enrica Marca, wydałem właśnie swoją dziesiątą z kolei książkę, *Anatomie chwili*, nie czułem się jednak dobrze. Nawet ja sam nie rozumiałem dlaczego. Moja rodzina wydawała się szczęśliwa, książka odniosła sukces; zmarł co prawda mój ojciec, ale od jego śmierci minął już prawie rok, dostatecznie długo, by ją przetrwać. Pewnego dnia, nie wiem jakim sposobem, doszedłem do wniosku, że powodem mego smutku jest wydana właśnie książka: nie dlatego, że wycieńczyła mnie fizycznie i umysłowo (albo nie tylko dlatego); również (albo przede wszystkim) z tego powodu, że była dziwną książką, dziwną powieścią pozbawioną literackiej fikcji, opowiadaniem wiernie oddającym rzeczywistość, nieprzynoszącym najmniejszej nawet ulgi wynikającej z wymyślania lub fantazjowania. Wydawało się, że to właśnie mnie zabiło. Powtarzałem sobie ciągle, niczym motto: „Rzeczywistość zabija, fikcja ocala”. Z trudem zmagalem się ze smutkiem i napadami paniki, zasypiałem i budziłem się z płaczem, i całymi dniami stroniłem od ludzi, żeby móc płakać.

Pomyślałem, że ratunkiem będzie napisanie kolejnej książki. Problem polegał na tym, że jakkolwiek nie brakowało mi pomysłów, większość dotyczyła opowiadań pozbawionych literackiej fikcji. Ale miałem też pomysły na fabułę, głównie trzy:

pierwsza miała opowiadać o profesorze teologii na Uniwersytecie Papieskim w Comillas, który zadurzył się jak uczeń w aktorce porno i postanowił jechać do Budapesztu, żeby poznać ją osobiście, wyznać miłość i zaproponować małżeństwo; druga miała nosić tytuł *Tanga* i być pierwszą częścią cyklu kryminalnego o detektywie Juanie Luisie Manguerazo; trzecia opowiadała o moim ojcu i rozpoczynała się sceną, w której go wskrzeszam i obaj wcinamy jajecznicę z *chorizo* i żabie udka w El Figón, restauracji w Cáceres z lat jego młodości, gdzie nieraz jadaliśmy razem w dawnych czasach.

Spróbowałem napisać te trzy fabuły. Zaliczyłem trzy porażki. Pewnego dnia żona postawiła mi ultimatum: albo umówię się z jakimś psychoanalitykiem, albo ona wystąpi o rozwód. Natychmiast poszedłem do tego, którego sama mi poleciła. Był łysy, chłodny i pokrętny, mówił z jakimś niemożliwym do określenia akcentem (chwilami jakby chilijskim albo meksykańskim, czasem katalońskim albo i rosyjskim), i podczas pierwszych kilku razy ciągle mi wypominał, że zgłosiłem się do niego już w stanie agonalnym. Zawsze kpiłem sobie z psychoanalityków i ich pseudonaukowych fantasmagorii, ale skłamałbym mówiąc, że te sesje mi się nie przydały: miałem przynajmniej miejsce, w którym mogłem płakać sobie do woli; skłamałbym także nie przyznając, że nieraz miałem ochotę zerwać się z kanapy i rzucić na psychoanalityka z pięściami. W dodatku on od razu podjął próbę podprowadzenia mnie do dwóch wniosków. Po pierwsze, że to nie powieść pozbawiona fikcji literackiej, lecz moja matka ponosiła winę za wszystkie moje nieszczęścia, dlatego wychodząc od niego, często miałem ochotę udusić matkę przy pierwszej nadarzającej się okazji; po drugie, że moje życie było farsą, a ja byłem komediantem, który

wybrał sobie kiedyś literaturę w nadziei na swobodne, szczęśliwe i autentyczne życie, podczas gdy naprawdę wiodłem życie fałszywe, niewolnicze i nieszczęśliwe, zgrywałem się na pisarza i robiłem mądre miny, i zwodziłem wszystkich, ale w gruncie rzeczy byłem tylko oszustem.

Ten drugi wniosek wydał mi się w końcu bardziej wiarygodny (i jakby ciekawszy) niż pierwszy. To on przypomniał mi o Marcu: o Marcu i o pewnej odległej rozmowie na temat Marca, w której zostałem nazwany oszustem.

W tym miejscu muszę się cofnąć o kilka lat, dokładnie do chwili, w której o sprawie Marca zrobiło się głośno. Wybuchł skandal, jego echa dotarły w najdalsze zakątki globu, ale w Katalonii, gdzie Marco się urodził i mieszkał niemal całe życie, i gdzie był bardzo popularną osobą, odkrycie jego oszustwa wywołało największy szok. Jest zatem zrozumiałe, że choćby z tego względu mnie również zainteresowało. Ale to nie był jedyny powód; poza tym czasownik „interesować” nie jest tu adekwatny: nie tyle zainteresowałem się przypadkiem Marca, ile natychmiast powziąłem pomysł, żeby o nim napisać, jakbym wyczuł, że w Marcu jest coś, co i mnie głęboko dotyczy. To było niepokojące, przyprawiało także o rodzaj zawrotu głowy, nieokreślony lęk. Gdy skandal przetaczał się przez media, pożerałem wszystko, co na temat Marca napisano, a kiedy dowiedziałem się, że kilka bliskich mi osób zna albo znało Marca, albo kiedyś zwróciło na niego uwagę, zaprosiłem te osoby na obiad do siebie do domu, żeby o Marcu porozmawiać.

Obiad odbył się w połowie maja 2005 roku, niedługo po ujawnieniu całej sprawy. Wykładałem na uniwersytecie w Geronie i mieszkałem w podmiejskiej dzielnicy, w domu z ogrodem. O ile sobie przypominam, oprócz mego syna i mojej

siostry Blanki na obiedzie było dwoje moich kolegów z wydziału literatury: Anna Maria Garcia i Xavier Pla. Z nas wszystkich tylko moja siostra Blanca znała dobrze Marca, bo wiele lat wcześniej zasiadała razem z nim w zarządzie FAPAC, stowarzyszenia rodziców uczniów, którego oboje byli przez dłuższy czas wiceprzewodniczącymi: ona w okręgu Gerona, Marco w okręgu Barcelona. Ku zaskoczeniu wszystkich Blanca nakreśliła podczas obiadu portret uroczego starszego pana, nadaktywnego, uwodzicielskiego gaduły, który oddałby wszystko, byle być obiektem zainteresowania i – nie skrywając dawnej sympatii do wielkiego szalbierza i wielkiego łotra – opowiedziała o realizowanych wspólnie projektach, spotkaniach, wspólnych podróżach, o związanych z tym rozmaitych anegdotach. Anna Maria i Xavier nie znali Marca osobiście (albo znali go jedynie z widzenia), jednakże oboje, interesując się Holocaustem i deportacjami, wydawali się równie zaintrygowani tą sprawą jak ja: Xavier, młody wykładowca literatury katalońskiej, pożyczył mi kilka tekstów związanych z Markiem, wśród nich dwie najobszerniejsze prace biograficzne, jakie wyszły na jego temat; Anna Maria, historyczka starszej daty, hołdująca wysokim standardom, w jakich zostali wychowani inteligenci z jej pokolenia, miała znajomych i przyjaciół w Amical de Mauthausen, stowarzyszeniu deportowanych, któremu przewodniczył Marco, a także – dwa dni przed wybuchem skandalu – uczestniczyła w Mauthausen w uroczystościach upamiętniających sześćdziesięciolecie wyzwolenia obozów nazistowskich. Tam właśnie dotarła do niej pierwsza wiadomość o oszustwie Marca i tam miała też okazję zjeść kolację z Benitem Bermejo, historykiem, który właśnie go zdemaskował. Jeśli dobrze zapamiętałem atmosferę tamtego

popołudnia i naszych rozmów o Marcu w przydomowym ogrodzie, to Xavier i ja byliśmy przede wszystkim zdumieni, Blanca trochę zdumiona i trochę rozbawiona (choć chwilami starała się ukryć to swoje rozbawienie, pewnie żeby nie wzbudzać naszego zgorszenia), Anna Maria natomiast była święcie oburzona: powtarzała ciągle, że Marco jest draniem, nałogowym i pozbawionym skrupułów kłamcą, który zadrwił sobie ze wszystkich, ale przede wszystkim zadrwił z ofiar tej najstraszliwszej w dziejach zbrodni. W pewnej chwili, jakby nagle zdała sobie sprawę z dramatycznej oczywistości, Anna Maria powiedziała, przewiercając mnie na wylot wzrokiem:

– Słuchaj, dlaczego właściwie zorganizowałeś ten obiad? Z jakiego powodu tak interesujesz się Markiem? Chyba nie zamierzasz o nim pisać?

Nie byłem przygotowany na takie trzy obcesowe pytania i nie wiedziałem, co odpowiedzieć; wybawiła mnie sama Anna Maria.

– Słuchaj, Javier – odezwała się bardzo poważnym tonem. – O Marcu w ogóle nie należy mówić. To będzie najgorsza kara dla tego ucieleśnienia pychy. – Zaraz się uśmiechnęła i dodała: – Koniec rozmów o nim. Zmieńmy temat.

Nie pamiętam, czy zmieniliśmy temat (chyba tak, choć tylko na chwilę, szybko Marco ponownie zdominował rozmowę), pamiętam jednak, że nie odważyłem się potwierdzić publicznie słusznego przypuszczenia Anny Marii i powiedzieć, że faktycznie zastanawiałem się, czy nie napisać książki o Marcu; nie odważyłem się nawet wyjaśnić, że gdybym ostatecznie pisał o Marcu, to nie z intencją opowiedzenia o nim, lecz z intencją podjęcia próby zrozumienia, dlaczego zrobił to, co zrobił. Kilka dni później (a może to było tego samego dnia) przeczytałem w dzienniku „El País” coś, co przypomniało mi radę lub

przestrożę Anny Marii. Był to list do redakcji podpisany przez niejaką Teresę Salę, córkę deportowanego do Mauthausen i członkinię stowarzyszenia Amical de Mauthausen. Kobieta nie była oburzona, raczej przygnębiona i zawstydzona; pisała tak: „Nie uważam, byśmy musieli zrozumieć powody oszustwa pana Marca”; pisała też: „Szukanie usprawiedliwienia dla jego postępowania jest niezrozumieniem i lekceważeniem spuścizny deportowanych”; a także: „Od teraz pan Marco będzie musiał żyć ze swoją hańbą”.

Tak pisała w liście do redakcji Teresa Sala. Ja myślałem wprost przeciwnie. Myślałem, że naszą pierwszą powinnością jest zrozumienie. Zrozumieć nie oznacza, oczywiście, przebaczyć, czy też, jak pisała Sala, usprawiedliwić: raczej oznacza coś wprost przeciwnego. Myśl i sztuka, uważałem, starają się zgłębić, kim jesteśmy, ujawniając naszą nieskończoną, dwuznaczną i sprzeczną różnorodność, kreśląc tym samym mapę naszej natury: Szekspir czy Dostojewski, myślałem, odsłaniają labirynty moralne po ich najdalsze zakamarki, udowadniają, że miłość potrafi przywieść do zabójstwa lub do targnięcia się na własne życie, i sprawiają, że odczuwamy współczucie dla psychopatów i okrutników; to obowiązek twórców, myślałem, ponieważ powinnością sztuki (albo myślenia) jest ukazywanie złożoności egzystencji, aby i nas uczynić bardziej skomplikowanymi, analizowanie, jak działa zło, aby go uniknąć, a nawet jak działa dobro, może po to, żeby się go nauczyć. Tak ja myślałem, ale list Teresy Sali zdradzał smutek, który mnie poruszył; przypomniał mi także, że Primo Levi w *Czy to jest człowiek*, swojej książce o Auschwitz lub też o swoim doświadczeniu Auschwitz, napisał: „Może to, co się zdarzyło, nie powinno być rozumiane w tym sensie, że zrozumienie jest

niemal usprawiedliwieniem”. Czy zrozumieć znaczy usprawiedliwić? Zastanawiałem się lata temu, gdy przeczytałem to zdanie Leviego, i zastanowiłem się teraz, gdy przeczytałem list Teresy Sali. Czy nie jest to raczej nasza powinność? Czy próba zrozumienia całej pogmatwanej różnorodności tego, co rzeczywiste, od najszlachetniejszego do najnikczemniejszego, nie jest niezbędna? A może ten ogólny nakaz nie ma zastosowania w przypadku Holocaustu? Może to ja byłem w błędzie i nie należy starać się zrozumieć krańcowego zła, a tym bardziej żadnej osoby, która, jak Marco, kłamie, posługując się krańcowym złem?

Pytania te chodziły mi po głowie jeszcze tydzień później, podczas pewnej kolacji z przyjaciółmi, kiedy to – jak miałem sobie przypomnieć lata później, doprowadzony przez psychoanalityka do wniosku, że jestem oszustem – nazwano mnie oszustem. Kolacja odbyła się w domu Maria Vargasa Llosy w Madrycie. W odróżnieniu od obiadu u mnie w domu, nie została zorganizowana po to, aby porozmawiać o Marcu, a mimo to w sposób nieunikniony zaczęliśmy w końcu o nim mówić. Nieunikniony nie tylko z tego względu, że my wszyscy, uczestnicy tego spotkania – ledwie cztery osoby, jeśli nie liczyć samego Vargasa Llosy i jego żony Patricii – śledziliśmy z większą lub mniejszą uwagą ten przypadek, lecz dlatego również, że nasz gospodarz właśnie opublikował artykuł, w którym ironicznie komplementował oszusta Marca za jego talent i witał go w gronie blagierów. Zważywszy, że ironia nie jest mocną stroną hipokrytów (albo zważywszy, że hipokryta korzysta z każdej sposobności, by się oburzyć, demonstrując swą fałszywą cnotę i przypisując wszystkim pozostałym wydumane grzechy), niektórzy hipokryci odpowiedzieli z irytacją na ten

artykuł Vargasa Llosy, jakby pochwalał w nim kłamstwa wielkiego szalbierza, całkiem zatem możliwe, że rozmowa po kolacji zeszła na Marca z powodu owej sztucznej polemiki. Tak czy inaczej, przez dobrą chwilę rozmawialiśmy o Marcu. O tym, jaki ma niewiarygodny talent do zmyślania i udawania, a także o Benicie Bermeju i o stowarzyszeniu Amical de Mauthausen; pamiętam, że rozmawialiśmy też o artykule Claudia Magrisa, opublikowanym w „Corriere della Sera” i zatytułowanym *Kłamca, który mówi prawdę*; Magris polemizował w nim z niektórymi uwagami Vargasa Llosy na temat Marca. Naturalnie ja skorzystałem z okazji, żeby opowiedzieć, czego dowiedziałem się o Marcu od Xaviera, Anny Marii i mojej siostry Blanki. Vargas Llosa przerwał mi w pewnej chwili.

– Ależ Javier! – wykrzyknął gwałtownie podekscytowany, z rozczochranymi nagle włosami i gestykulując stanowczo. – Nie rozumiesz? Marco to bohater dla ciebie! Musisz o nim napisać!

Te gwałtowne słowa Vargasa Llosy podbechtały moją próżność, ale z jakiegoś powodu, którego wówczas nie rozumiałem, kazały też poczuć się nieswojo; żeby ukryć kłopotliwe zadowolenie, mówiłem nadal, wygłosiłem pogląd, że sprawa Marca była nie tylko fascynująca sama w sobie, lecz także ze względu na to, co ujawniała na temat wszystkich pozostałych.

– Jakbyśmy wszyscy mieli w sobie coś z niego – usłyszałem własne, pospieszne słowa. – Jakbyśmy wszyscy byli po części oszustami.

Zamilkłem i – pewnie dlatego, że nikt nie wiedział, jak zinterpretować moje stwierdzenie – zapadła dziwna cisza, zbyt długa. I wtedy to się stało. Wśród zaproszonych na kolację gości był Ignacio Martínez de Pisón, mój przyjaciel i pisarz znany

wśród przyjaciół ze swojej przeraźliwej aragońskiej szczerości: to jego druzgocący komentarz przerwał ciszę:

– Tak. Przede wszystkim ty.

Wszyscy się roześmiali. Ja też, ale mniej: po raz pierwszy w życiu ktoś nazwał mnie oszustem; pomimo że nie po raz pierwszy wiązano mnie z Markiem. Kilka dni po wybuchu skandalu przeczytałem w dzienniku „El Punt” (albo w internetowym portalu informacyjnym dziennika „El Punt”) artykuł, w którym tak mnie określono. Był zatytułowany *Kłamstwa*; jego autorka, Silvia Barroso, pisała, że gdy zrobiło się głośno o sprawie Marca, ona właśnie kończyła czytać jedną z moich powieści, której narrator oznajmia, że postanowił „kłamać w każdej sprawie tylko po to, żeby lepiej opowiedzieć prawdę”. Dodawała, że w moich książkach badałem zazwyczaj granice między prawdą a kłamstwem i że kiedyś słyszała, jak powiedziałem, że czasem „trzeba kłamać, żeby dotrzeć do prawdy”. Czy Barroso stawiała znak równości między mną a Markiem? Czy insynuowała, że jestem łgarzem, oszustem? Na szczęście nie, bo zaraz wyjaśniała: „Różnica między Cercasem i Markiem tkwi w tym, że pisarz ma licencję na kłamanie”. Ale Pisón? – zastanawiałem się w skrytości ducha tamtego wieczoru u Vargasa Llosy. Czy mówił żartem i chciał nas tylko rozśmieszyć i przełamać zastój w rozmowie? Czy może tym żartem zdradzał, że nie potrafi ukryć prawdy pod warstwą zwaną dobrym wychowaniem? A Vargas Llosa? Co on właściwie miał na myśli, mówiąc, że Marco to bohater dla mnie? Czyżby i on uważał mnie za oszusta? Dlaczego powiedział, że muszę napisać o Marcu? Czyżby myślał, że nikt nie napisze o oszuście lepiej niż inny oszust?

Po tej kolacji spędziłem kilka bezsennych godzin, przewracając się w łóżku w moim madryckim hotelu. Myślałem o Pisonie i o Silvii Barroso. Myślałem o Annie Marii Garcii i o Teresie Sali, i o Primo Levim, i zastanawiałem się – zważywszy, że zrozumieć to usprawiedliwić – czy ktoś ma prawo postarać się zrozumieć Enrica Marca i usprawiedliwić tym samym jego kłamstwo i zaspokoić próżność. Powiedziałem sobie, że Marco już naopowiadał dosyć kłamstw i dlatego nie sposób dotrzeć do jego prawdy poprzez fikcję, że to możliwe tylko poprzez prawdę, poprzez powieść bez fikcji albo prawdziwą opowieść, wolną od zmyślania i fantazjowania, i że próba skonstruowania takiej opowieści o Marcu jest zadaniem skazanym na porażkę: po pierwsze dlatego, że – jak przypomniałem sobie słowa napisane przez Vargasa Llose – „prawdopodobnie nikt nie zna prawdziwej historii Marca” („nigdy nie poznamy wewnętrznej prawdy Enrica Marca, jego potrzeby wymyślenia sobie jakiegoś życia”, zapisał także Claudio Magris); po drugie z powodu przedstawionego przez Fernanda Arrabala pewnego paradoksu, który też sobie przypomniałem: „Historia kłamcy. Kłamca nie ma historii. Nikt nie ośmieliłby się przedstawić kroniki kłamstwa ani zaproponować jej jako prawdziwej historii. Jak ją opowiedzieć bez kłamstwa?”. Tak więc opowiedzenie historii Marca było niemożliwe; a przynajmniej niemożliwe było opowiedzenie jej bez kłamstwa. Po co w takim razie ją opowiadać? Dlaczego podejmować próbę napisania książki, której nie można napisać? Po co podejmować się niemożliwego?

Tamtej nocy postanowiłem nie pisać tej książki. I gdy już podjąłem decyzję, poczułem, że spadł mi ciężar z serca.

Jego matka była obłąkana. Nazywała się Enriqueta Batlle Molins i, chociaż Marco zawsze uważał, że urodziła się w Bredzie, cichej wiosce w górach Montseny, naprawdę pochodziła z Sabadell, przemysłowego miasta pod Barceloną. Została przyjęta do zakładu dla obłąkanych kobiet w Sant Boi de Llobregat 29 stycznia 1921 roku. Wedle zachowanej tam dokumentacji od trzech miesięcy pozostawała wtedy w separacji z mężem, który się nad nią znęcał; przez ten krótki czas zarabiała na życie, najmując się po domach do drobnych prac.

Miała trzydzieści dwa lata i była w siódmym miesiącu ciąży. Kiedy badali ją lekarze, czuła się zagubiona, mówiąc, zaprzeczała sama sobie, miała urojenia prześladowcze; pierwsze rozpoznanie brzmiało: „Mania prześladowcza z upośledzeniem”; w 1930 roku zmieniono je na „wczesną demencję”, dziś rozpoznano by schizofrenię. Na pierwszej stronie dokumentacji szpitalnej jest zdjęcie, pewnie zrobione w dniu przyjęcia do zakładu. Widać na nim kobietę z czarnymi prostymi włosami, o bardzo wyrazistych rysach twarzy, wydatnych ustach i wystających kościach policzkowych; ciemnymi oczyma nie spogląda w obiektyw, ale z całej postaci emanuje melancholijna i posępna uroda tragicznej heroiny; ubrana jest w czarny włóczkowy sweter, plecy, ramiona i podolek ma przykryte szalem, który przytrzymuje rękoma na wysokości brzucha, jakby chciała ukryć niemożliwą do ukrycia ciążę lub jakby chroniła mające się urodzić dziecko. Kobieta nie wie, że nigdy już nie wyjdzie z zakładu i że świat właśnie pozostawił ją jej losowi w zamknięciu, by do końca zatraciła się w swoim szaleństwie.

Manicomio de Señoras de San Baudilio de Llobregat

HOJA CLÍNICA CORRESPONDIENTE AL EXPEDIENTE NÚM. *4271-A*



ENTRADA

Día *29* de *Enero*
de *1916*.

A petición del *Consejo*
de *Barcelona* en con-
cepto de *obstrucción*
de la vejiga de
Barcelona.

Registrada en el libro clínico al núm. *Entrada*
Subvenc. 7
mes.



SALIDA

Día *29* de *Febrero*
de *1916*.

Por *degeneración*
de la vejiga
de la vejiga.

angor pectoris

de origen de pecho

(enquistado opuntoso: de origen
de infarto de miocardio)

DATOS INDIVIDUALES

Doña *Enriqueta Battle Molins* de *32* años,
natural de *Sabadell* provincia de *Barcelona* vecina
de _____ provincia de _____ de profe-
sión _____ estado civil *casada*

Nie da się powiedzieć tego w mniej dramatyczny sposób. Przez trzydzieści pięć lat, które matka Marca spędziła w domu wariatów, lekarze badali ją zaledwie dwadzieścia pięć razy (zazwyczaj badano pacjenta raz do roku, ale przez osiem pierwszych lat nie oglądał jej żaden lekarz), a jako terapię

przepisali jedynie pracę w pralni, „z dobrymi wynikami”, jak notuje jeden z badających. Podobnych zapisków jest wiele; jakkolwiek nie zawsze tak cyniczne, wszystkie są krótkie, zdawkowe i zniechęcające. Początkowo stwierdza się dobry stan fizyczny pacjentki, ale zarazem jej egocentryzm, jej omamy (przede wszystkim słuchowe), pojawiającą się czasem gwałtowną opryskliwość; potem, stopniowo, pogarsza się także stan fizyczny, a pod koniec lat czterdziestych zapiski przedstawiają już tylko kobietę obłożnie chorą, która straciła orientację i pamięć bez oznak samoświadomości, w ostrej katatonii. Zmarła 26 lutego 1956 roku z powodu *angor pectoris*, jak można przeczytać w dokumentacji. Nawet ta diagnoza była mylna: nikt nie umiera na dławicę piersiową; Enriqueta zmarła najprawdopodobniej na skutek rozległego zawału serca.

W zakładzie dla obłąkanych urodziła Marca, wedle jego wersji 14 kwietnia; taką datę ma też Marco wpisaną w dowodzie osobistym i w paszporcie. Ale to fałszywa data: tu zaczyna się fikcja Marca, w dniu jego przyjścia na świat. W rzeczywistości, zgodnie z dokumentacją medyczną jego matki i jego własnym świadectwem urodzenia, Marco urodził się 12 kwietnia, dwa dni wcześniej, niż sam to zaczął utrzymywać od pewnego momentu swego życia. Dlaczego kłamał, dlaczego zmienił datę? Odpowiedź jest prosta: bo dzięki temu od pewnego momentu swego życia mógł rozpoczynać prelekcje, przemówienia i wykłady o swojej osobistej historii, mówiąc: „Nazywam się Enric Marco i urodziłem się 14 kwietnia 1921 roku, dokładnie dziesięć lat przed proklamowaniem Drugiej Republiki Hiszpańskiej”, a to z kolei pozwalało mu przedstawiać samego siebie w sposób mniej lub bardziej bezpośredni jako człowieka opatrznosciowego, który znał z pierwszej ręki wielkie wydarzenia stulecia i miał do czynienia z ich głównymi aktorami, jako kompendium albo

symbol, albo samo ucieleśnienie historii swego kraju: koniec końców jego osobista biografia była dokładnym odbiciem zbiorowej biografii Hiszpanii. Marco twierdzi, że kłamstwo to miało cel czysto dydaktyczny; trudno jednak nie dostrzec w nim swego rodzaju puszczania oka do świata, wyraźnej próby dania do zrozumienia, że umieszczając jego urodzenie w dniu decydującym dla historii kraju, niebo albo opatrność komunikowały, że ten oto człowiek został wyznaczony do odegrania w tej historii decydującej roli.

Z dokumentacji zakładu dla obłąkanych w Sant Boi dowiadujemy się jeszcze czegoś: nazajutrz po porodzie odebrano dziecko matce i oddano je jej mężowi, człowiekowi, od którego uciekła, ponieważ się nad nią znęcał albo ona twierdziła, że się nad nią znęcał. Czy Marco widział jeszcze kiedyś matkę? Twierdzi, że widział. Twierdzi, że siostra ojca, ciotka Caterina – ona go wykarmiła piersią, bo kilka tygodni przed jego urodzeniem straciła własne dziecko – raz albo dwa razy do roku zabierała go do matki, gdy był mały. Twierdzi, że dobrze pamięta te odwiedziny. Twierdzi, że on i ciotka Caterina, jak rodziny innych pacjentek, czekali na matkę w obszernym pomieszczeniu o białych gołych ścianach. Twierdzi, że po chwili matka przychodziła tam z pralni, ubrana w fartuch w niebiesko-białe prążki, i że miała nieobecne spojrzenie. Twierdzi, że ją całował na powitanie, ale ona nigdy nie odwzajemniała tego pocałunku i że generalnie nie zwracała się słowem ani do niego, ani do ciotki Cateriny, ani do nikogo w ogóle. Twierdzi, że często mówiła do siebie i niemal zawsze o nim, jakby przed nią nie stał, jakby go straciła. Twierdzi, że pamięta, gdy miał już dziesięć albo jedenaście lat, jak ciotka Caterina powiedziała, wskazując na niego: „Spójrz, jakiego masz pięknego syna, Enriqueta, nazywa się Enrique, po tobie”. I twierdzi, że pamięta, jak matka,

ugniatając silnie dłonie, odpowiedziała: „Tak, to piękny chłopiec, ale nie jest moim synem”; i twierdzi, że wskazując na dwu- albo trzyletniego chłopczyka biegającego po sali, dodała: „Mój syn musi być taki jak tamten chłopiec”. Twierdzi, że wówczas jej nie rozumiał, ale z biegiem lat pojął, że matka tak mówiła, bo pamiętała go tylko z czasów, gdy miał dwa albo trzy lata, a ona nie straciła jeszcze do końca przytomności umysłu. Twierdzi, że czasem przynosił jej w glinianym naczyniu coś do jedzenia i że przy paru okazjach udało mu się zamienić z nią kilka słów. Twierdzi, że któregoś dnia, gdy matka zjadła to, co jej przyniósł, powiedziała mu, że ciężko pracuje w pralni i że to nieprzyjemna praca, ale że na to nie zważa, bo obiecali jej oddać syna, jeżeli będzie dużo pracowała. Twierdzi, że nie pamięta, kiedy przestał odwiedzać matkę. Twierdzi, że najprawdopodobniej wtedy, gdy wujostwo przestali go do niej zabierać, pewnie gdy był już podrostkiem, już w czasie wojny, może nawet trochę wcześniej. Twierdzi, że jakkolwiek było, nigdy się potem z nią nie spotkał, nie poczuł najmniejszej chęci zobaczenia jej, nie myślał wcale o niej, zapomniał ją całkowicie. (To nie do końca jest prawdą: wiele lat później pierwsza żona Marca opowiedziała jego córce Anie Marii, że po ślubie namówiła męża do odwiedzenia matki w szpitalu; powiedziała jej także, że byli u niej ze dwa razy i że z tych odwiedzin zapamiętała jedynie to, że stara kobieta wydzielala silny zapach ługu i że nie poznała swego syna). Twierdzi, że wie, że zmarła w połowie lat pięćdziesiątych, ale że nie przypomina sobie, by był na pogrzebie. Twierdzi, że dziś nie rozumie, jak mógł zostawić ją swojemu losowi w zakładzie dla obłąkanych przez ponad trzydzieści lat i pozwolić, żeby umarła w samotności, ale zaraz dodaje, że nie rozumie też wielu innych rzeczy z tamtych czasów. Twierdzi, że teraz często myśli o matce i że czasem o niej śni.

Do zamiaru napisania książki o Marcu wróciłem dopiero po czterech latach od wybuchu skandalu. Wydałem właśnie *Anatomie chwili*, prawdziwą relację czy też powieść bez fikcji, która nie miała nic wspólnego z Markiem, i z pomocą mego psychoanalityka doszedłem do wniosku, że jestem oszustem oraz przypomniałem sobie, jak mój przyjaciel Pisón nazwał mnie oszustem w madryckim domu Vargasa Llosy. Znajdowałem się wtedy w pożałowania godnym stanie i czułem, że aby z niego wyjść, potrzebuję powieści z użyciem fikcji, literackiej fabuły, a nie prawdziwej opowieści – fikcja ratuje, rzeczywistość zabija, powtarzałem sobie – i że relacja o historii Marca powinna być wyłącznie relacją prawdziwą, ponieważ Marco nazmyślał już dostatecznie dużo na temat własnego życia, i że dodanie nowych zmyśleń do jego zmyśleń jest zbytecznym nadmiarem, że literacko nie ma znaczenia; pamiętałem także argumenty, które cztery lata wcześniej, podczas bezsennej nocy w madryckim hotelu, skłoniły mnie do porzucenia książki o Marcu, nim jeszcze zacząłem ją pisać. Jednakże pamiętałem zarazem schlebiający mi entuzjazm Vargasa Llosy w jego domu w Madrycie i powiedziałem sobie, że może istotnie Marco jest postacią dla mnie, powiedziałem sobie, że pewnie tylko oszust może opowiedzieć historię innego oszusta i że jeśli ja faktycznie jestem oszustem, to może opowiem tę historię lepiej niż ktokolwiek inny. Ponadto przez te cztery lata, kiedy byłem zajęty pisaniem wydanej właśnie książki, nigdy nie zapomniałem do końca o Marcu, wciąż pamiętałem, że on gdzieś tam jest w zanadrzu,

niepokojący, uwodzicielski i niebezpieczny jak granat, który prędzej czy później muszę rzucić, aby nie wybuchł mi w rękach, jak historia, którą prędzej czy później muszę opowiedzieć, żeby się od niej uwolnić. Postanowiłem, że czas spróbować: a przynajmniej, że lepiej spróbować, niż nadal pogrążyć się w bagnie przygnębienia.

Postanowienie przetrwało raptem tydzień, bo tyle zajęło mi ponowne zagłębienie się w tej historii i odkrycie – dzięki internetowi – z zaskoczeniem, że nikt jeszcze nie napisał książki o Marcu oraz z rozczarowaniem (i wewnętrzną ulgą), że właśnie odbyła się premiera filmu o nim. Film nosił tytuł *Ich bin Enric Marco*, nakręcili go dwaj młodzi filmowcy argentyńscy, Santiago Fillol i Lucas Vermal, i pokazali po raz pierwszy na jakimś festiwalu filmowym. Rozczarowanie wzięło się z nabranej zbyt szybko pewności, że skoro ktoś opowiedział już historię Marca za pomocą obrazów, nie ma sensu, bym ja opowiadał ją słowami (stąd ulga). W każdym razie zaciekał mnie ten film i dowiedziałem się, że jeden z reżyserów, Santiago Fillol, mieszkał jak i ja w Barcelonie. Zdobyłem jego telefon, zadzwoniłem, umówiliśmy się.

Na spotkanie wybraliśmy restaurację przy placu Virreina, w dzielnicy Gracia. Fillol okazał się niskim, wątłym trzydziestolatkiem o ciemnej karnacji, z rzadkim zarostem i w okularach intelektualisty; jednym z tych Argentyńczyków, którzy sprawiają wrażenie, jakby przeczytali wszystkie książki i obejrzelili wszystkie filmy i jakby prędzej dali się zabić, niż stworzyli coś banalnego. Przyniósł mi kopię swego filmu na DVD. Podczas posiłku rozmawialiśmy o filmie, jego kręceniu, o kilku tygodniach spędzonych z Markiem, a przede wszystkim

rozmawialiśmy o Marcu. Dopiero przy deserach Santi zapytał mnie, czy zamierzam o nim pisać. Odpowiedziałem, że nie.

– Wy opowiedzieliście już tę historię – stwierdziłem, racząc się flanem i wskazując na płytkę z filmem. – Po co miałbym robić to jeszcze raz?

– Nie, nie – pospiesznie zaprzeczył Santi, który zrezygnował z deseru i zamówił kawę. – My nakręciliśmy tylko film dokumentalny, ale nie opowiedzieliśmy całej historii Enrica. Ona wciąż czeka na opowiedzenie.

Już miałem odrzec, że może nie da się opowiedzieć całej historii Marca, przytoczyć słowa Vargasa Llosy, Magrisa i Arrabala. Odpowiedziałem:

– Tak, prawdę mówiąc, byłem przekonany, że przynajmniej z tuzin hiszpańskich pisarzy już ją wzięło na warsztat. Ale wydaje się, że nikt o Marcu nie napisał.

– Nikt, o ile wiem – potwierdził Santi. – To znaczy, chyba ktoś próbował, ale szybko się wystraszył. Dziwisz się? Ja nie. W historii Enrica wszyscy wychodzą na palantów, poczynając od niego samego, poprzez dziennikarzy i historyków, a skończywszy na politykach; krótko mówiąc, cały kraj. Żeby opowiedzieć historię Enrica, trzeba dotknąć drażliwych miejsc, a nikt tego nie lubi. Nikt nie lubi być zrzędą, który psuje innym zabawę, nie mam racji? A już na pewno nie lubią tego hiszpańscy pisarze.

Santi musiał się zaniepokoić, że zareaguję odruchem solidarności albo patriotycznie, bo natychmiast delikatnie przeprosił. Powiedziałem, że nie ma za co przepraszać.

– Tak, wiem, tylko że... No, cóż. – Usta rozszerzyły mu się w łobuzerskim uśmiechu pod rzadkim wąsem, poplamionym kawą. – Wiesz co? Lubię literaturę, czytam dość dużo, również

literaturę hiszpańską; ale szczerze mówiąc, dzisiejsi pisarze hiszpańscy wydają mi się trochę mało substancjalni, by nie powiedzieć tchórzliwi: nie piszą tego, co naprawdę wychodzi im z trzewi, lecz to, co im się wydaje, że należy napisać albo że spodoba się krytykom, a skutek jest taki, że nie wychodzą poza dekoracyjność albo snobizm.

Nie powiedziałem mu, że wcale nie jestem lepszy od moich kolegów, bo w samą porę zrozumiałem, że jeśli to zrobię, on może poczuć się w obowiązku, by skłamać, powiedzieć, że właśnie jestem lepszy. Santi nalegał, żebym szybko obejrzał film i sam się przekonał, że moja książka może okazać się potrzebna, zaoferował mi przekazanie dokumentacji zgromadzonej na użytek filmu oraz swoją pomoc, gdybym jej potrzebował.

– Sam nie wiem – odparłem, dziękując najpierw za jego wspaniałomyślność; potem opowiedziałem o wydanej właśnie książce, o mojej prawdziwej opowieści, i dodałem tytułem usprawiedliwienia: – Naprawdę mam dosyć rzeczywistości. Doszedłem do wniosku, że rzeczywistość zabija, podczas gdy fikcja ocala. Teraz potrzebuję trochę fikcji.

Santi wybuchnął śmiechem.

– Przecież Enric dostarczy ci jej aż do znudzenia! – wyjaśnił. – Enric jest czystą fikcją. Nie rozumiesz? On cały jest jedną wielką fikcją, w dodatku wmontowaną w rzeczywistość, wcieloną. Enric jest jak Don Kichot: nie zadowolił się przeciętną egzystencją i chciał przeżyć życie w wielkim stylu; a ponieważ takie życie było poza jego zasięgiem, to je sobie wymyślił.

– Mówisz o Marcu, jakby był jakimś bohaterem – zwróciłem mu uwagę.

– Bo nim jest: bohaterem i łajdakiem równocześnie; albo bohaterem i łajdakiem, i w dodatku spryciarzem. Takie to

skomplikowane; i takie ciekawe. Nie wiem, może twoje inne fikcje literackie mogą poczekać, ale ta nie może: Enric ma osiemdziesiąt osiem lat. W każdej chwili może umrzeć, a jego historia pozostanie nieopowiedziana. No cóż – zakończył – rób, co chcesz. Mam nadzieję, że spodoba ci się film.

Film nie tylko mi się spodobał: spodobał mi się bardzo. Poza tym przekonałem się, że Santi miał rację i że on i Lucas Vermal nie postawili sobie za cel opowiedzenie pełnej historii Marca: możliwe, że to już na wstępie była główna zaleta ich dokumentu. Film ograniczał się do zestawienia zmyślonej historii Marca – czyli rzekomej potajemnej ucieczki do Francji pod koniec wojny domowej, aresztowania przez policję Pétaina w Marsylii i przekazania w ręce gestapo, deportacji do Niemiec i umieszczenia w obozie Flossenbürg pod Monachium – z jego prawdziwą historią, czyli wyjazdem do Niemiec, ale w charakterze dobrowolnego robotnika, w ramach porozumienia między Hitlerem i Franco, kilkumiesięcznym uwięzieniem, to prawda, lecz w zwykłym więzieniu karnym w Kilonii, na północy kraju. Całe mnóstwo innych historii pozostawało do opowiedzenia i mnóstwo znaków zapytania do wyjaśnienia: skąd się wziął Enric Marco? Jak wyglądało jego życie przed skandalem i po skandalu spowodowanym odkryciem oszustwa? Dlaczego zrobił to, co zrobił? Czy skłamał tylko na temat swego pobytu w obozie Flossenbürg, czy może kłamał całe życie? Krótko mówiąc: kim naprawdę był Enric Marco? Jakkolwiek znakomity, albo właśnie dlatego, film Santiiego i Lucasa Vermala nie odpowiadał na te pytania, nie zgłębiał do końca osobowości Marca ani sobie tego nie zakładał; po jego obejrzeniu zadzwoniłem zatem do Santiiego, pogratulowałem mu dobrej

roboty i poprosiłem o wstawiennictwo u Marca, żeby ten zgodził się ze mną porozmawiać.

– Znaczący, zamierzasz pisać tę książkę? – zapytał Santi.

– Możliwe – odpowiedziałem. – Przynajmniej spróbuję.

– Hiszpan się nie poddaje! – usłyszałem, jak krzyczy, jakby do kogoś innego, a zaraz potem powiedział: – Spokojna głowa. Jeszcze dziś umówię cię z Enrikiem. Pójdę z tobą do niego.

Spotkaliśmy się kilka dni później w Sant Cugat, miasteczku w pobliżu Barcelony. Pojechaliśmy tam pociągiem i ze stacji poszliśmy piechotą do domu Marca, apartamentu na ostatnim piętrze budynku przy ulicy Cellar, w nowej części miasta, gdzie, jak opowiedział mi Santi, nasz człowiek do niedawna mieszkał z żoną i dwiema córkami, a teraz mieszka tylko z żoną. Nie wiem, kto nam otworzył, ona czy Marco, ale pierwsze wrażenie, jakie na mnie sprawił, było nieprzyjemne, trochę potworne: wyglądał niczym gnom. Gnom na pół łysy, śniady, masywny, krzepki i wąsaty, to siadał, to się zrywał, przynosił i odnosił papiery, książki, dokumenty, i podczas tego bezustannego kręcenia się między jadalnią a przeszklonym holem z wielkimi oknami wychodzącymi na taras skąpany w południe w letnim słońcu ani na chwilę nie przestawał mówić, o sobie, o mojej siostrze Blance, o filmie nakręconym razem z Santim oraz o moich książkach i artykułach, starając się pochlebstwem zaskarbić sobie moją sympatię.

Wydawało się absolutnie niemożliwe, żeby ta pozostająca w ciągłym ruchu turbina miała osiemdziesiąt osiem lat. Był niskiego wzrostu i skórę pokrywały mu starcze plamy, ale tryskał niespożytą energią i młodzieńczą żywotnością, która biła z jego oczu i wyzierała z gestów: na głowie pozostało mu niewiele włosów, ale wąs był gęsty i zupełnie czarny; na piersi

widniała wpięta w sweter maleńka flaga Drugiej Republiki. Jego żona, która miała na imię Dani, podała na powitanie rękę Santiemu i mnie i chwilę z nami rozmawiała, chociaż nie pamiętam o czym, bo przyglądając się jej, nie mogłem nie zastanawiać się, co też musiała czuć ta drobna, ciepła, uśmiechnięta i dużo młodsza od Marca kobieta, gdy wybuchł skandal i jej mąż został wielkim szalbierzem i wielkim łotrem, co też musiała sobie myśleć, kiedy dowiedziała się, że przez dziesięciolecia i ją oszukiwał, tak jak wszystkich innych. Żona Marca zaraz sobie poszła. Santi już od dłuższej chwili chodził w tę i z powrotem za Markiem, starając się przerwać niepowstrzymany potok jego wymowy, aby wyjaśnić powód naszej wizyty. Patrząc na to, czułem do niego wdzięczność zmieszaną z podziwem i litością: wdzięczność za usiłowanie przyjscia mi z pomocą: podziw, bo wyglądał niczym treser starający się bez skutku poskromić dzikie zwierzę; litość, bo żeby nakręcić swój film, musiał wcześniej tygodniami znosić Marca dniem i nocą. Co do mnie, to do pierwszego nieprzyjemnego wrażenia, jakie wywarła na mnie fizyczność Marca, dołączyło teraz poczucie duchowego dyskomfortu: tkwiąc u niego w jadalni niczym kołek i patrząc, jak wchodzi i wychodzi ścigany przez Santiago, zastanawiałem się, co ja tu właściwie robię, poczułem do siebie głęboką nienawiść za to, że przyjechałem spotkać się z tym doskonałym komediantem, przebiegłym kłamcą i absolutnym draniem i że byłem gotów spędzić długie tygodnie, wysłuchując jego opowieści, żeby napisać swoją cholerną książkę, zamiast spożytkować ten czas na bycie z matką, kobietą, która – cokolwiek mówił o niej mój psychoanalityk – w życiu nie skrzywdziła nawet muchy, a mimo to co tydzień chodziła do spowiedzi i przyjmowała komunię, i jeśli kogoś

potrzebowała, odkąd została wdową, to syna, który by jej słuchał. Pomyślałem, że Santi i Lucas Vermaal byli nie tylko dzielnymi ludźmi, lecz po prostu bohaterami, Pomyślałem, że ja się nie nadaję na bohatera. Pomyślałem, że w rzeczywistości jestem takim samym draniem jak Marco i w tej właśnie chwili, znowu czując ulgę, postanowiłem, że za nic w świecie nie napiszę o nim książki.

Z dalszego ciągu tamtego spotkania w Sant Cugat zapamiętałem tylko, chociaż bardzo dobrze, dwie rzeczy. Po pierwsze, że aby usprawiedliwić jakoś tę podróż, Santi, Marco i ja zjedliśmy razem lunch w La Tagliatella, włoskiej restauracji naprzeciwko domu Marca, a ja, żeby wynagrodzić im jakoś czas, który przeze mnie stracili, zapłaciłem rachunek. Po drugie, że podczas gdy ja pochłaniałem makaron z pikantnym sosem i opróżniałem kolejne kieliszki czerwonego wina, Marco natarł na nas huraganem bezwstydnego mitomaństwa i trudnych do zniesienia samousprawiedliwień (zauważyłem ze zdziwieniem, że co jakiś czas przerzucał się w tym monodramie z pierwszej na trzecią osobę, jakby nie mówił o samym sobie): on był niezwykłym człowiekiem, wspaniałomyślnym, koleżeńskim i głęboko ludzkim, niestrudzonym wojownikiem w dobrych sprawach i dlatego zaskarbił sobie podziw tylu ludzi. „Uwaga”, ostrzegł mnie od razu, „jeśli będzie pan źle mówił o Enricu Marcu, spotka pan wielu ludzi, którzy powiedzą: «Pan nie zna Enrica Marca: naprawdę to nadzwyczajna osoba, rewelacyjna, o wielkich przymiotach». „Naprawdę”, zastrzegł chwilę potem, „gdyby któregoś dnia podano wiadomość o śmierci Enrica Marca, na placu Cataluña nie starczyłoby miejsca dla wszystkich, którzy przyszliby go opłakiwać”. Taki był: wszyscy go kochali i podziwiali, rodzina go uwielbiała, miał dziesiątki,

setki przyjaciół, którzy nie odwrócili się od niego, ludzi gotowych zrobić dla niego wszystko. Dał niezliczone przykłady odwagi i godności, zawsze przewodził, w dzieciństwie w swojej dzielnicy, za młodych lat w wojsku i podczas lat spędzonych w Niemczech; i potem w dojrzałym życiu: w podziemiu antyfrankistowskim, na uniwersytecie, w CNT, anarchistycznym syndykacie, którego był sekretarzem generalnym w latach siedemdziesiątych, i w FAPAC, stowarzyszeniu rodziców uczniów, którego był wiceprzewodniczącym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a także w Amical de Mauthausen. On wcale nie zabiegał, by grać pierwsze skrzypce; wprost przeciwnie: wcale tego nie potrzebował, nie był osobą skoncentrowaną na sobie ani w sobie zakochaną, od razu trzeba to jasno powiedzieć. To inni popychali go, by przewodził i dźwżył prym, to inni wciąż go prosili: „Ty to zrób, bo nam brak śmiałości”, „Mów ty, jesteś wygadany, energiczny i taki inteligentny, potrafisz wszystkich uwieść, wzruszyć i przekonać”. I on się dla nich poświęcał. Rozgłos, sława i podziw innych szły za nim przez całe życie, ale on nic tylko przed nimi uciekał, prawda, że z niewielkim powodzeniem. W takich sytuacjach nie jest łatwo być skromnym, ale jemu się udało. Ludzie uparli się, na przykład, żeby uważać go za bohatera, zawsze tak było, to prawdziwa obsesja, a on tego nienawidził, za wszelką cenę starał się tego unikać, nie lubił, żeby go wychwalali, wynosili pod niebiosa, zawsze był człowiekiem zwyczajnym, bez pretensji. Ale uczniowie i nauczyciele w szkołach, w których wygłaszał pogadanki, kiedy przewodził Amical de Mauthausen, mówili mu nie raz i nie dwa: „Choć pan twierdzi, że nie jest bohaterem, to przecież pan jest”. On się złościł i odpowiadał im: „Enric Marco wcale nie jest bohaterem. Zgadzam się, że jest szczególną

osobą, ale nie jest wyjątkowy. W gruncie rzeczy całe życie tylko walczył, bez wytchnienia i ze wszystkich sił, gardząc wszelkim niebezpieczeństwem i nie zważając na osobiste korzyści, walczył o pokój, o solidarność, o wolność, o sprawiedliwość społeczną, prawa człowieka, szerzył kulturę i pamięć. To wszystko”. Tak im odpowiadał. I to prawda. Zawsze był tam, gdzie najbardziej go potrzebowano, nigdy nikomu nie odmówił pomocy, czynił dobro i za to płacił, zawsze był przykładnym bojownikiem, przykładnym pracownikiem, towarzyszem, przykładnym mężem i ojcem, człowiekiem, który oddał wszystko za innych. I czym mu za to odpłacili? Pogardą, milczeniem i tym niegodziwym ostracyzmem, na jakie go skazali, odkąd wybuchł ten skandal. Że popełnił błąd? Powiedział, że był więźniem obozu nazistowskiego, gdy w rzeczywistości nigdy nim nie był? A kto nie popełnia błędów? Kto pierwszy może rzucić kamieniem? Wygląda na to, że wielu, bo w niego rzucili nie jednym, ale tysiącami kamieni, ukamienowali go, zmasakrowali i poniżyli bez litości, został bestialsko zlinczowany. Prawda, dopuścił się pomyłki, sam to przyznał, ale w dobrej sprawie. Nie oszukał, nie był komediantem ani oszustem, jak się o nim mówiło; po prostu troszkę zmienił fakty: wszystko, co opowiedział o grozie nazizmu, jest udokumentowane i nie było fałszerstwem, choćby on był łgarzem; wszystko, co opowiedział o sobie, było prawdą, choćby okoliczności były nieco inne. Popełnił głupi błąd, ponieważ wcale nie potrzebował zmyślać sobie życiorysu bojownika ruchu oporu i ofiary nazistów, naprawdę aresztowało go gestapo i naprawdę był więźniem w nazistowskich Niemczech, nie w obozie koncentracyjnym, to prawda, lecz w więzieniu, ale jaka to różnica? Na to wszystko też są dokumenty. Czyżbym nie widział filmu Santiego? W takim razie

jak ofiary mają czelność mówić mu, że nie jest jedną z nich tylko dlatego, że siedział nie w obozie nazistowskim, lecz w nazistowskim więzieniu? Powiedział różne rzeczy, których nie było, tak, trochę ubarwił albo wygładził, albo trochę zmodyfikował prawdę, tak, ale nie zrobił tego z egoizmu, lecz powodowany wspaniałomyślnością, nie z próżności, lecz z altruizmu, aby młode pokolenia pamiętały o tej grozie, żeby ten cierpiący na amnezję kraj odzyskał pamięć historyczną, to od niego wyszedł ważny impuls, by nie powiedzieć, że to dzięki niemu Hiszpania odzyskała pamięć historyczną, pamięć o ofiarach wojny i okresu powojennego, frankizmu i faszyzmu, i nazizmu, kiedy on pojawił się w Amical de Mauthausen, dawni deportowani i ci, którzy przeżyli obozy nazistowskie, już pomarli albo byli już starzy i schorowani, jak mieli zadbać o przekaz? I kto mógł zrobić to lepiej niż on, młody jeszcze i silny, a w dodatku historyk? Czy ja wiedziałem, że studiował historię na uniwersytecie? Kto lepiej niż on mógł stać się głosem tych, którzy już nie mieli głosu? Powinien był pozwolić, żeby ostatni hiszpańscy świadkowie nazistowskiego barbarzyństwa pozostali niemi i żeby wszystko, co wycierpieli, popadło w zapomnienie, i żeby ta lekcja przepadła na zawsze? Mógł być wielkim historykiem, profesorowie często mu to przepowiadali na uniwersytecie, ale nie chciał. Czy wiem, dlaczego nie chciał? Bo historia jest suchą, zimną i pozbawioną życia materią, zupełnie nieciekawą dla młodzieży abstrakcją; on obudził w młodych miłość do historii, on im ją przybliżył. W nieskończonej liczbie pogadank, które wygłaszał, przedstawiał dzieciakom historię w pierwszej osobie, pulsującą i konkretną, nie szczędząc im krwi, potu i flaków, on sprawił, że historia dotarła do nich z całą swą barwnością, uczuciem, emocją, ze swym

niebezpieczeństwem i heroizmem. On ją ucieleśniał i przeżywał raz jeszcze przed nimi i dzięki temu fortelowi dzieciaki zdobyły wiedzę o przeszłości i mają jej świadomość. Czy to źle? Co takiego złego zrobił? Dlaczego wydali na niego bezapelacyjny wyrok bez sądu? W Amical de Mauthausen odegrał zasadniczą rolę, nadał impuls odzyskiwaniu pamięci historycznej, rozpropagował znajomość historii wśród dorastającej młodzieży, walczył o prawa pracownicze, o poprawę edukacji publicznej, o wolność swego kraju, ryzykując głowę i znosząc tortury w strasznych latach frankizmu, walczył najpierw o zwycięstwo Drugiej Republiki, a potem przeciwko Franco, w czasie wojny i po wojnie. Czy dlatego właśnie go ukarali? Czyżby nic dobrego nie zrobił? Zasłużył sobie na taką karę? Czy to sprawiedliwe, że zrobili z niego kryminalistę? Nie lepiej było wziąć się za prawdziwych kryminalistów? Kissingera? Busha? Blaira? Aznara? On w każdym razie nie zamierza przeproszać, nie zrobił nic złego, nie popełnił żadnego przestępstwa, nie chodzi mu o rehabilitację. To też trzeba jasno powiedzieć. Żadne publiczne rehabilitacje nie są mu potrzebne, jemu wystarcza miłość żony, córek i przyjaciół. Nie zabiega o to, by przywrócono mu zrabowane uznanie, które sam sobie zdobył, szacunek i miłość, i podziw wszystkich, sławę człowieka wyjątkowego, który również wyjątkowo przyczynił się do rozpowszechnienia wiedzy o przeszłości i do ulepszenia ludzkości. Nie. Dobrze wiedział, że świat ma wobec niego dług, ale nie zamierzał domagać się jego zwrotu. Chciał tylko odzyskać głos, zrzucić kaganiec, móc się bronić i opowiedzieć prawdę albo przynajmniej swoją wersję prawdy, móc ją opowiedzieć młodym i nie tylko młodym, wszystkim tym, którzy mu zaufali, chwalili go i kochali. I oczyścić imię rodziny, i móc umrzeć ze spokojnym

sumieniem. Tylko tego chciał. A ja, który byłem wspaniałym pisarzem, który pisałem tak zachwycające książki i artykuły i którego on znał i darzył wielką sympatią, ponieważ znał i darzył wielką sympatią moją siostrę Blancę, mogłem być mu bardzo pomocny. Uwaga: nie tylko mogłem być bardzo pomocny jemu: mogłem być pomocny wszystkim, przedstawiając w książce jego prawdziwe życie.

– No, tak – powiedział Santi, kiedy pożegnaliśmy Marca w drzwiach La Tagliatelli i ruszyliśmy piechotą w stronę dworca kolejowego – i co myślisz o staruszku?

Poczekaj, aż oddalimy się od Marca na bezpieczną odległość, żeby powiedzieć, a raczej wrzasnąć:

– Groza! Absolutna groza!

Podczas drogi powrotnej do Barcelony ulżyłem sobie: powiedziałem Santiemu, co myślę o Marcu. Powiedziałem, że to nie tylko patentowany kłamca: że jest w dodatku manipulatorem, łajdakiem i wazeliniarzem bez skrupułów, który chce mnie wykorzystać, żeby wyprać swoje oszustwa i występki. Powiedziałem, że nie mam najmniejszego zamiaru opisywać jego historii, ponieważ wydał mi się okropnym człowiekiem i ponieważ nie jest żadną fikcją, lecz przerażającą rzeczywistością, a ja potrzebuję fikcji. Powiedziałem mu ponadto, że nie da się napisać historii Marca i przytoczyłem słowa Vargasa Llosy i Magrisa, a nawet Arrabala i jego teorię, że kłamca nie ma historii albo że nie sposób opowiedzieć ją, nie kłamiąc. Powiedziałem mu nawet, że choćby można było opowiedzieć historię Marca, to nie należy jej opowiadać, że to niemoralne, bo opowiedzenie jej – i tu zacytowałem Primo Leviego i Teresę Salę – oznaczałoby próbę zrozumienia Marca, a próbować go zrozumieć, to prawie tak, jakby usprawiedliwić,

a na koniec dodałem – nie wiem, czy przytaczając argument Anny Marii Garcii – że najlepsze, co można zrobić w przypadku takiego ucieleśnienia pychy i egotyzmu, to wcale o nim nie pisać, niech zgnije w samotności bez honoru. Santi cierpliwie mnie wysłuchał, chwilami ze śmiechem, nie zadając sobie trudu podejmowania z moimi argumentami dyskusji, starając się na próżno złagodzić moją furię niezmienną dawką ironii właściwej mieszkańcom Buenos Aires, a kiedy wysiedliśmy z pociągu w Barcelonie, zaproponował pójście na kawę.

– Nie ma mowy! – odparłem, ponownie prawie krzycząc. – Prosto stąd idę odwiedzić matkę!

Pod koniec tego samego roku film Santiago Fillola i Lucasa Vermala *Ich bin Enric Marco* miał premierę w kinach, a 27 grudnia ja opublikowałem w „El País” poświęcony temu filmowi artykuł. Nosił tytuł *Ja jestem Enrikiem Markiem*. Pisałem tak:

„Prawda wyszła na jaw 11 maja 2005 roku: Enric Marco jest oszustem. Przez dwadzieścia siedem poprzednich lat podawał się za więźnia nr 6448 niemieckiego obozu koncentracyjnego Flossenbürg; żył w tym kłamstwie i sprawił, że ono żyło: podczas tych niemal trzech dziesięcioleci Marco wygłosił setki pogadank o swoim zetknięciu się z nazizmem, przewodniczył Amical de Mauthausen, stowarzyszeniu hiszpańskich deportowanych do nazistowskich obozów, dostąpił wielu zaszczytów i otrzymał ważne odznaczenia, a 27 stycznia 2005 roku poruszył, w kilku przypadkach nawet do łez, hiszpańskich parlamentarzystów, którzy zebrali się w Kongresie Deputowanych, by po raz pierwszy oddać hołd prawie dziewięciu tysiącom republikanów hiszpańskich deportowanych przez Trzecią Rzeszę; tylko dzięki wykryciu w ostatniej chwili jego przestępstwa nie dopuszczono, by trzy i pół miesiąca po owym gwiazdorskim występie Marco

przeszedł samego siebie, wygłaszając przemówienie w obozie Mauthausen, w obecności premiera José Luisa Zapatero Rodrigueza i innych osobistości, podczas obchodów sześćdziesiątej rocznicy zakończenia nazistowskiego horroru. Wielu z państwa przypomina sobie z pewnością tę sprawę, która odbiła się echem w całym świecie i sprawiła, że gazety wypełniły się artykułami odsądzającymi Marca od czci i wiary; wyjątkiem był artykuł napisany przez Maria Vargasa Llosę, pod tytułem *Straszny i genialny*. Pierwszy z tych przymiotników jest oczywiście celny, drugi także: trzeba być geniuszem, żeby przez trzydzieści lat oszukiwać wszystkich, włącznie z własną rodziną, przyjaciółmi, kolegami z Amical de Mauthausen, a nawet pewnym byłym więźniem Flossenbürga, który rozpoznał w nim towarzysza niedoli.

Geniuszem albo niemal geniuszem. Bo naprawdę trudno oprzeć się myśli, że to pewne zbiorowe niedostatki umożliwiły sukces farsy Marca. Sukces ten, już na wstępie, był wynikiem dwóch rodzajów magii, obu równoległych i nie do przewyciężenia: magii ofiary i magii świadka; nikt nie ośmiela się podawać w wątpliwość autorytetu ofiary, nikt nie ośmiela się podawać w wątpliwość autorytetu świadka. Małoduszne ustępstwo wobec takiego podwójnego przekupstwa – tego pierwszego kategorii moralnej i tego drugiego kategorii intelektualnej – naoliwiło szachrajstwo Marca. Pomogły też przynajmniej dwie inne rzeczy. Pierwsza to nasza relatywna niewiedza dotycząca najnowszej historii w ogóle, a nazizmu w szczególności: mimo że Marco reklamował sam siebie jako remedium na tę skazę narodową, w istocie był na nią najlepszym dowodem. Druga rzecz jest może mniej oczywista. Nie ma wątpliwości, że w tej chwili najgorszym wrogiem lewicy jest

sama lewica, to znaczy lewicowy kicz; to znaczy przemiana lewicowego dyskursu w zwykłą wydmuszkę, w obłudny i ozdobny sentymentalizm, który prawica upiera się nazywać znakomitym. I tak w swoich publicznych wystąpieniach Marco potrafił ucieleśnić po mistrzowsku tę prostytutkę czy też klęskę lewicy albo innymi słowy: kłamstwa Marca zaspokoili masowy, pusto lewicowy popyt na trującą sentymentalną papkę doprawioną dobrym samopoczuciem historycznym. Implikacje przypadku Marca nie są wszakże jedynie polityczne czy historyczne, są również natury moralnej. Od jakiegoś czasu psychologia upiera się, że właściwie nie da się żyć bez kłamstwa, że człowiek to zwierzę, które kłamie: życie w społeczeństwie domaga się na ogół owej dozy kłamstwa, którą nazywamy wychowaniem (i którą tylko hipokryci myślą z hipokryzją); Marco wyolbrzymił i monstrualnie zdeprawował tę ludzką potrzebę. W tym sensie przypomina Don Kichota albo Emmę Bovary, innych wielkich kłamców, którzy, jak i Marco, nie zadowolili się szarością swego rzeczywistego życia i wymyślili sobie oraz przeżyli bohaterskie życie fikcyjne; w tym sensie w losie Marca, tak jak w losie Don Kichota i w losie madame Bovary, jest coś, co nas wszystkich głęboko dotyczy: wszyscy odgrywamy jakąś rolę, wszyscy jesteśmy tym, kim nie jesteśmy, wszyscy, w pewien sposób, jesteśmy Enrikiem Markiem.

Może dlatego Santiago Fillol i Lucas Vermał dali właśnie taki tytuł filmowi dokumentalnemu, który dziś ma swoją premierę: *Ich bin Enric Marco*. Film ten ma wiele zalet, ale dziś starczy mi miejsca na podkreślenie tylko dwóch. Pierwsza to wstrzemięźliwość: Fillol i Vermał nie usiłują przedstawić całej złożoności postaci; z tego ograniczenia film czerpie swoją siłę. Druga zaleta jest niemniej istotna. Jak dobrze wie każdy

porządny łgarz, kłamstwo przekonuje tylko wtedy, gdy jest wymieszane z prawdą. Kłamstwo Marca nie było pod tym względem wyjątkiem: podczas wojny naprawdę znalazł się w nazistowskich Niemczech, tyle że nie jako republikański więzień, lecz jako dobrowolny robotnik wysłany przez Franco; naziści uwięzili go naprawdę, ale nie w obozie Flossenbürg, lecz w więzieniu w Kilonii, i nie z powodu jego działalności antyfaszystowskiej, lecz zapewne czystego defetyzmu. Fillol i Vermal słusznie prowadzą Marca do kłamstwa poprzez prawdę, nie na odwrót, i tym sposobem nie tylko ukazują, jak z całych sił walczy, wykorzystując swoje kłamstwo, ale jak walczy w obronie prawdy swojego kłamstwa, walczy też w obronie samego siebie jako ofiary, walczy też o triumf kłamstwa nad prawdą, walczy o samego siebie. Walczy. To fascynująca postać. To fascynujący film. Niech państwo go zobaczą”.

Ponieważ matka przebywała na stałe w zakładzie dla obłąkanych, w dzieciństwie życie Marca polegało na ciągłej wędrówce z rodziny do rodziny i z domu do domu, co oznacza, że nie miał ani rodziny, ani domu. Jego ojciec nazywał się Tomás Marco i przyjechał do Barcelony z Alfaro, w regionie La Rioja, „miasteczka bocianów i wolnomyślicieli”, dodaje obowiązkowo Marco, ilekroć o nim mówi. Był anarchista, masonem i drukarzem i chociaż w związku z tym należał do kulturalnej elity klasy robotniczej (albo właśnie dlatego), to był członkiem związku zawodowego sztuk graficznych anarchistycznej centrali związkowej CNT. Nie okazywał czułości, przynajmniej Marco tego nie pamięta: nie pamięta, żeby ojciec wziął go kiedyś za rękę, żeby kiedyś go przytulił, żeby kupił mu jakąś zabawkę (pamięta, że miał naprawdę tylko jedną zabawkę, w dodatku krótko: tekturowego konika, którego od razu podarowano jakiejś kuzynce). Ojciec znosił do domu tylko książki i gazety i to tłumaczy, dlaczego Marco wcześniej stał się wszytkożernym czytelnikiem.

Ale tłumaczy tylko częściowo. Ojciec Marca żył z kobietą; nazywała się Teodosia, ale musiała nie lubić tego imienia, bo kazała nazywać się Felisą. Marco wspomina ją jako osobę niemiałą w obejściu i gwałtowną, która nie miała oporów, żeby go uderzyć i klócić się z jego ojcem albo w trakcie sąsiedzkiej kłótni sięgnąć po nożyczki jako argument; pamięta także, że była alkoholiczką. Marco nienawidził jej z całej duszy, ponieważ, jak mówi, zmieniła jego dzieciństwo w koszmar. Mówi, że czasem

cały dzień leżała w łóżku i posyłała go do tawerny za rogiem po wino albo wódkę, które spożywała w ogromnych ilościach. Mówi, że była analfabatką i nie mając innej rozrywki, prosiła go, żeby czytał jej znajdujące się w domu książki i tym sposobem bardzo wcześnie przeczytał Cervantesa, Rojasa, Vargasa Vilę, Hugo, Balzaca, Sue, czyli książki, których do końca albo wcale nie rozumiał. Czasem czytał macosze w sypialni, a ona, leżąc w łóżku, słuchała albo się śmiała, albo komentowała lekturę; kiedy indziej czytał jej w jadalni, małym i ciemnym pomieszczeniu oświetlonym lampą Petromax, wokół unosił się zapach palonej parafiny. Ale mówi, że zawsze była pijana i że się jej bał. Często go biła, poniżała i wysługiwała się nim i nieraz, mając dość takiego złego traktowania, wychodził z domu, trzaskając drzwiami, szedł do wydawnictwa Sopena, gdzie pracował jego ojciec, i czekał tam na niego, siedząc pod drzwiami. Kiedy ojciec wreszcie wychodził, po minutach albo godzinach oczekiwania, Marco opowiadał mu, co się stało, i wtedy następowała zawsze ta sama sekwencja zdarzeń: razem wracali do domu i on zostawał na zewnątrz, czekał na progu, słysząc, jak ojciec i macocha kłócą się i wrzeszczą na siebie, i zawsze miał nadzieję, że tym razem kłótnia zakończy się szczęśliwym zerwaniem.

Zerwanie nie nastąpiło, a przynajmniej nie za jego pobytu u nich. Ojciec i macocha pozostali razem przez wiele lat. Możliwe, że kochali się na swój sposób, on przynajmniej pamięta, że słyszał, jak nocami śmieją się i uprawiają seks, a może – dziś, po tak długim czasie skłania się ku takiej myśli – ta zła kobieta odpowiadała ojcu: gotowała, opierała go, reperowała mu ubranie, prowadziła dom. Pomimo to mieszkanie było całkowicie zaniedbane, a przy jakiejś okazji sąsiedzi

donieśli, że macocha się nad nim znęca, i wymusili interwencję sędziego. To wtedy rozpoczęła się jego wędrówka, niczym dickensowskiego sieroty, z domu do domu, z rodziny do rodziny. Były to domy jego ciotek, w większości sióstr ojca. Zapewnia, że wszystkie traktowały go dużo lepiej niż macocha, ale dodaje, że przez całe dzieciństwo towarzyszyło mu przygnębiające wrażenie, że nigdzie nie jest u siebie i że wszyscy chcą się go pozbyć. Mieszkał w różnych dzielnicach Barcelony: z ojcem i macochą w Les Corts, z wujem Franceskiem i ciotką Cateriną w La Trinidad, gdzie wujostwo mieli sklep spożywczy i on czuł się tam bardziej u siebie w domu niż w jakimkolwiek innym miejscu, ponieważ spędzał u nich również miesiące letnie; ze stryjem Ricardem, bratem swego ojca i działaczem socjalistycznych związków zawodowych UGT w starej części miasta (na ulicy Tigre i na ulicy Luna), a także w Ensanche (przy ulicy Diputaci6n, między Aribau i Muntaner). To tam zastały go tak zwane wydarzenia październikowe 1934 roku, kiedy podczas og6lnego powstania hiszpańskiej lewicy przeciw prawicowemu rządowi Drugiej Republiki autonomiczny rząd kataloński, Generalitat, proklamował powstanie państwa katalońskiego w ramach Federacyjnej Republiki Hiszpańskiej. Ta rewolta poniosła klęskę, natychmiast stłumiona przez wojsko, ale jej bilans to czterdzieści sześć ofiar śmiertelnych, nieokreślona liczba rannych, ponad trzy tysiące osób aresztowanych i postawionych przed sądem, wśród nich szef Generalitat i cały rząd kataloński.

Marco zachował z owych dni dwa straszne wspomnienia. Pierwsze jest dosyć niewyraźne. Rozruchy niepodległościowe wybuchły, gdy mieszkał u stryja Ricarda, pracującego wówczas w „La Humanitat”, którego redakcja mieściła się przy ulicy

Tallers, opodal Rambli; „La Humanitat” była gazetą wydawaną przez Esquerra Republicana de Catalunya, czyli Republikańską Lewicę Katalonii, partię tworzącą zbuntowany rząd, tak więc jej biura zostały zamknięte, a personel wysłany na statek-więzienie „Uruguay”. Mieszkał niedaleko redakcji gazety i słysząc, co się tam dzieje, popychany wrodzoną ciekawością i zuchwałością trzynastolatka, wybiegł z domu, żeby znaleźć stryja. Od tej chwili wspomnienia Marca, nie dość że mgliste, są też fragmentaryczne: mówi, że na niektórych ulicach widział barykady lub pozostałości po barykadach; mówi, że udało mu się dotrzeć do placu Universidad i że natknął się na kilka ustawionych tam karabinów maszynowych i obsługujących je żołnierzy, którzy nie pozwolili mu przejść dalej; mówi, że wycofał się drogą, którą przyszedł, i że usiłował obejść ich i zejść w stronę placu Cataluña i Rambli przez rambla de Cataluña, i że zobaczył ludzi z Estat Català, partii niepodległościowej, zatrzymanych przy wejściu do kafeterii Złoto Renu na rogu Gran Vía i rambla de Cataluña; mówi, że nie pamięta, jak długo włóczył się po okolicy, ale że mimo wielu prób nie zdołał dostać się na ulicę Tallers i musiał wrócić do domu bez żadnych wiadomości o stryju.

Drugie wspomnienie jest brutalniejsze i bardziej precyzyjne. Dotyczy zdarzenia, do którego musiało dojść kilka godzin albo dni później, jeszcze w atmosferze wojny, która przetoczyła się przez miasto w owych krwawych dniach. Ponieważ stryj Ricardo był przetrzymywany na statku-więzieniu „Uruguay”, rodzina odesłała chłopaka do wuja Francesca, do dzielnicy La Trinidad, może w nadziei, że zamieszki nie objęły miejskich peryferii; okazało się, że była to płonna nadzieja. Pewnego dnia przed świtem rodzinę obudziły krzyki i wystrzały. Dochodziły z domu

obok, gdzie mieszkała ze swym ojcem nauczycielka dająca Marcowi prywatne lekcje, bo pomagając wujostwu w sklepie, nie mógł chodzić do szkoły, gdy mieszkał w La Trinidad. Marco wyskoczył z łóżka i pobiegł do domu nauczycielki, znalazł ją na patio, w ciemnościach, zanosila się płaczem, trzymając w ramionach martwego ojca. Marco twierdzi, że mężczyzna został zastrzelony przez Gwardię Obywatelską, przypuszcza, że był katalońskim działaczem niepodległościowym; mówi też, że uwielbiał swoją nauczycielkę i że pamięta, jak stał na tym patio oświetlonym tylko jesiennym księżycem przerażony, nieruchomy i patrzył na nieutuloną rozpacz tej kobiety, obojętnej na tłum ludzi, który się wokół gromadził. I mówi, że przez zdarzenia takie jak to wcześniej przystał do anarchosyndykalistów.

Nie sposób ustalić, czy te dramatyczne wspomnienia Marca, które tu przytoczyłem, odpowiadają prawdzie, czy są raczej wytworem jego wyobraźni – nie pozostał żaden świadek, nie znalazłem żadnego dokumentu na ich potwierdzenie i bardzo wątpię, by takowy istniał – można jedynie mieć pewność, że jakkolwiek fantazja Marca ma skłonność do efekciarstwa, te akurat zdarzenia pasują do wydarzeń historycznych. Poza tym nie trzeba przywoływać zdarzeń tak brutalnych, jak śmierć ojca nauczycielki, by zrozumieć polityczne wybory Marca. Pochodził z rodziny robotniczej, wyrósł w robotniczych dzielnicach, bardzo wcześniej zaczął pracować – najpierw, jak już pisałem, w sklepie spożywczym wuja Francesca, potem u krawca, którego wspomina jako postawnego blondyna, a jeszcze później w farbiarni Guasch, gdzie był doręczycielem przesyłek – poza tym jego ojciec i niektórzy krewni działali w CNT, pobierał nieregularne, lecz wytrwałe nauki anarchizmu w szkołach, stowarzyszeniach kulturalnych i spółdzielniach

anarchistycznych, a Barcelona była miastem z największą ilością członków CNT, związku zawodowego dominującego w środowiskach, w których dorastał. Jednakże, według Marca, wcale nie to wszystko przekonało go najbardziej do sprawy anarchizmu: największy wpływ wywarł jeden z braci jego znienawidzonej macochy.

Nazywał się Anastasio García i w życiu Marca był kimś najbardziej przypominającym ojca, a pewnie i wzorem oraz idolem chłopca. Zgodnie z relacją Marca, w latach dwudziestych wuj Anastasio był człowiekiem czynu: należał do Solidarnych (albo miał z nimi jakieś związki), legendarnej anarchizującej grupy, dowodzonej przez Bonaventurę Durrutiego, Francisca Ascassę i Juana Garcíę Olivera – „najlepszych terrorystów wywodzących się z klasy robotniczej”, jak przy jakiejś okazji określił ich sam García Oliver – i działał wraz z nimi w Hiszpanii, Francji i Ameryce Południowej. Tak więc wuj Anastasio zasługiwał bez wątpienia na miano twardziela, chociaż w chwili, gdy Marco zaczął z nim obcować, był już twardzielem poskromionym, niepełnosprawnym i prawdopodobnie alkoholikiem: mieszkał z żoną, ciotką Ramoną, pracował jako malarz w Transmediterránea, barcelońskim towarzystwie żeglugowym zajmującym się przewozem pasażerów i towarów, i należał do związku zawodowego transportu morskiego centrali związkowej CNT. Nie miał dzieci i poznawszy Marca, pokochał go jak syna i zabierał do siebie na dłużej, możliwe, że chcąc chronić chłopca przed złym traktowaniem swojej siostry.

Wuj Anastasio i ciotka Ramona mieszkali przy ulicy Conde del Asalto, przy pałacu Güell i niemal naprzeciwko sali koncertowej Edén Concert, w której występowały gwiazdy

najjaśniej świecące na artystycznym firmamencie tamtych czasów i w której Marco, jak twierdzi, widział Josephine Baker i Maurice Chevaliera, jakkolwiek czasem twierdzi też, że widział ich nie w tej znakomitej sali, w której może nigdy nawet nie był (tuż po wojnie stała się kinem Edén Cinema), lecz w pobliskim Hotelu Edén. Tam pracowała ciotka Ramona i tam on szwendał się całymi dniami wabiony zapachem luksusu i blaskiem sław. Wuj Anastasio adoptował Marca, zadbał też o jego wykształcenie. Wcześniej Marco uzupełniał swoją edukację samouka i wszystkożernego czytelnika lekcjami francuskiego, solfeżu, teatru i esperanto w szkołach, stowarzyszeniach kulturalnych i spółdzielniach anarchistycznych oraz u nieszczęsnej nauczycielki w La Trinidad, teraz wuj Anastasio kazał mu się także uczyć kaligrafii, pisania na maszynie i stenotypii. Chciał nauczyć go przydatnych rzeczy, ale przede wszystkim chciał zrobić z niego dobrego anarchistę, dlatego zaszczerpił mu racjonalistyczny, apolityczny, porywczy, twardy, egalitarny, niereformowalny, anachroniczny, purytański, solidarny i sentymentalny idealizm pewnego odłamu hiszpańskiego anarchizmu; i dlatego wszędzie go ze sobą zabierał. Dlatego też, gdy 18 lipca 1936 roku – jak obawiano się tego od wielu miesięcy – doszło do buntu wojska przeciw rządowi Drugiej Republiki i gdy nazajutrz wybuchła rewolucja anarchistyczna w Barcelonie, wuj Anastasio i Marco, aby się temu buntowi przeciwstawić, przyłączyli się do rewolucji, a kilka tygodni później poszli na wojnę, która w trzy lata obróciła cały kraj w ruinę.

Na początku 2013 roku, w cztery lata po poznaniu Marca i ponownym porzuceniu pomysłu napisania o nim książki, wszystko się dla mnie zmieniło. Jesienią poprzedniego roku wydałem powieść, która była literacką fikcją, zatytułowaną *Las leyes de la frontera* i od tego czasu prawie wyłącznie podróżowałem po Hiszpanii i po Stanach Zjednoczonych. Czułem się umiarkowanie dobrze w swojej skórze. Kilka miesięcy wcześniej odprawiłem w cholerę psychoanalityka i miałem wrażenie, że fikcja podziałała na mnie ozdrowieńczo; a może tylko przyzwyczailem się do życia bez ojca. Matka ze swej strony pogodziła się z życiem bez męża. Moja żona i mój syn, no cóż, sprawiali wrażenie zadowolonych, szczególnie syn.

Raül miał dziesięć lat, gdy wyszło na jaw oszustwo Marca; teraz miał skończyć osiemnaście i zrobił się z niego przemądrzalec. W ciągu ostatnich czternastu miesięcy schudł dwadzieścia kilo. Był silny i tryskał zdrowiem, i miał fioła na punkcie uprawiania sportu. W następnym roku zaczynał studia na uniwersytecie, ale jeszcze się wahał, czy wybrać kino, czy jakiś inny kierunek. Jednakże najbardziej lubił samochody, a obaj najbardziej lubiliśmy wsiąść we dwóch do samochodu, własnego albo wynajętego, i jeździć godzinami, słuchając muzyki i gadając o wszystkim, ale głównie o naszych największych idolach, którymi byli Bruce Willis i Rafa Nadal.

Pewnego dnia na początku stycznia, gdy jeździliśmy sobie bez celu po powiecie Ampurdán, syn zapytał mnie, czy już zacząłem pisać następną książkę. Zazwyczaj nie zadawał mi takich pytań,

ponieważ nie czytywał moich książek ani nie mieliśmy w zwyczaju o nich rozmawiać. Uświadomiłem sobie wtedy, że od prawie sześciu miesięcy nic nie piszę i że wbrew wszelkiej logice wcale nie czuję się zgnębiony. Powiedziałem prawdę.

– Ostatnio trochę się lenisz, co? – zauważył Raül.

Odwróciłem się na sekundę, żeby na niego spojrzeć: wzrok miał utkwiony w wycieraczkach, a usta wykrzywione w sardonicznym uśmiešku.

– Zajmij się swoją pracą – poradziłem, ponownie patrząc na drogę. – O moją się nie martw.

– Dobra, ojciec, nie wściekaj się – powiedział zadowolony, że udało mu się zepchnąć mnie do defensywy. – Pytałem tylko z ciekawości.

Syn był trochę protekcyjny, by użyć łagodnego określenia. Może dlatego, że nasza wzajemna relacja polegała na ironicznym współzawodnictwie i chciałem mu udowodnić, że jeśli nie piszę, to nie z braku pomysłów, lecz z braku ochoty albo czasu, zacząłem jednak wyliczać możliwe tematy następnej książki, a gdy napomknąłem o Marcu, wyciągając go z niebytu porzuconych projektów, Raül mi przerwał.

– O, to dobry temat.

– Przypominasz sobie Marca? – spytałem zaskoczony.

– Jasne – odparł. – To ten staruszek, który opowiadał, że był w obozie koncentracyjnym, a potem się okazało, że kłamał, tak?

– Zgadza się.

– Ciekawy koleś – orzekł. – Niemożliwe, żeby taki kłamca nie był ciekawy.

Pomyślałem, że nawet jeżeli znowu się wymądrza, to ma rację. Pomyślałem, że historia Marca jest nadzwyczajna, i nagle poczułem, że zabrakło mi odwagi, by zagłębić się w tę historię,

bo intuicja mi podpowiadała, że ten stary człowiek skrywa w sobie coś, co domaga się ode mnie odpowiedzi i głęboko mnie dotyczy, i że boję się dowiedzieć, co to może być. Raül odezwał się, ale nie zrozumiałem, co mówi. Poprosiłem, żeby powtórzył.

– Mówiłem, że mogę ci pomóc.

– Napisać książkę o Marcu?

– Jasne. Na pewno musisz z nim pogadać, nie? Znaczący, żeby ci opowiedział swoje życie. No więc ja was sfilmuję w trakcie tej rozmowy. W ten sposób będziesz mógł się skupić tylko na tym, co powie, w dodatku będziesz miał nagranie i obejrzysz je sobie od nowa, kiedy zechcesz. A ja przy okazji sprawdzę, czy mnie kręci kino.

Udałem, że rozważam jego propozycję, ale w rzeczywistości myślałem, że dwukrotnie porzuciłem historię Marca, bo nie tylko czułem, że są w nią jakoś wplątane bardzo osobiste sprawy, których boję się dociekać; zrobiłem to z jeszcze bardziej żenującego strachu: strachu, że oskarżą mnie o to, że pomagam Marcowi się wykręcić, o próbę zrozumienia, a zatem usprawiedliwienia go, o bycie współnikiem człowieka, który zadrwił sobie z ofiar najstraszliwszej zbrodni w dziejach ludzkości. Pamiętałem przestrogi Teresy Sali: „Nie uważam, byśmy musieli zrozumieć powody oszustwa pana Marca”; pamiętałem także podobne słowa Primo Leviego: „Może nie należy rozumieć tego, co się stało, w takiej mierze, w jakiej zrozumienie to prawie usprawiedliwienie”. W ciągu czterech poprzednich lat, gdy pisałem powieść opartą na literackiej fikcji, nieraz myślałem o obu tych zdaniach, szczególnie o zdaniu Leviego i o jego jawnej sprzeczności z tym, że przez całe życie Levi starał się w swoich książkach zrozumieć Holocaust (nie mówiąc już o fakcie, że napisał też i te słowa: „Dla takiego laika

jak ja najważniejsze jest zrozumieć i sprawić, by zostało zrozumiane”). Czy zrozumieć znaczy usprawiedliwić? – zastanawiałem się zawsze na nowo, ilekroć wracałem pamięcią do tego zdania. Czy musimy zabronić sobie zrozumienia, czy raczej jesteśmy zobowiązani zrozumieć? Aż pewnego dnia, kilka tygodni albo miesięcy przed rozmową z Raülem, znowu się na to zdanie Leviego przypadkiem natknąłem i znalazłem odpowiedź.

Znalazłem ją w książce Tzvetana Todorova. Todorov dowodził tam, że to, co mówi Levi (i – sam dodałem – co mówi też Teresa Sala), pozostaje w mocy tylko dla samego Leviego i innych ocalałych więźniów obozów nazistowskich (włączywszy w to, dodałem, Teresę Salę, która sama nie zaznała życia obozowego, ale była córką więźnia obozu, a zatem ofiarą obozów nazistowskich): oni nie muszą starać się zrozumieć swoich katów, pisał Todorov, ponieważ zrozumienie implikuje jakąś identyfikację z nimi, choćby częściową i prowizoryczną, a to może spowodować ich unicestwienie. Ale my, pozostali, nie możemy szczerzyć trudu, by zrozumieć zło, przede wszystkim ekstremalne zło, ponieważ, dowodził Todorov, „zrozumienie zła to nie jego usprawiedliwienie, lecz dostarczenie sobie środków, aby nie dopuścić do jego powrotu”. A zatem – pomyślałem, prowadząc samochód przez Ampurdán z Raülem na miejscu pasażera i udając, że rozważam propozycję – zrozumienie Marca nie znaczy, że go usprawiedliwię, lecz że być może dostarczę sobie instrumentów, aby nie dopuścić do pojawienia się jakiegoś nowego Marca. Poza tym teraz intrygowało mnie, co w Marcu tak głęboko dotyczy mnie samego, że aż się tego przestraszyłem, i wiedziałem, że teraz czuję się dostatecznie silny i odważny, żeby się tego dowiedzieć. Czy można się było dowiedzieć? Czy można opowiedzieć historię Marca? I czy można ją opowiedzieć

bez kłamstwa? Czy można przedstawić kronikę kłamstwa Marca jako prawdziwą historię? A może to niemożliwe i rację miał Arrabal? Vargas Llosa i Magris uważali, że nigdy nie uda się zgłębić prawdy Marca, ale czyż nie jest to najlepszy powód do napisania o nim? Czy niewiedza albo trudność dotarcia do prawdy nie były najlepszym powodem podjęcia takich starań? I choćby książka o Marcu była książką niemożliwą, jak pewnie myślał też Arrabal, a może i Vargas Llosa, i Magris, czyż nie był to znakomity argument na rzecz podjęcia próby jej napisania? Czy to nie książki niemożliwe są najpotrzebniejsze? Może tylko takie warto starać się pisać? Czy nie to właśnie miał na myśli Vargas Llosa, gdy u siebie w domu, w Madrycie, powiedział mi, że muszę napisać o Marcu? Czyż jedynym, do czego może aspirować pisarz, nie jest szlachetna porażka?

– Może już nie żyje – powiedziałem do Raüla.

– Co mówisz?

– Że Marco mógł umrzeć – wyjaśniłem. – Gdy go poznałem, miał prawie dziewięćdziesiąt lat, a to było cztery lata temu.

– I nic byśmy nie wiedzieli o jego śmierci? Po tej całej aferze? Daj spokój.

Tego samego popołudnia zadzwoniłem do Marca z domu mojej matki w Geronie, gdzie spędzaliśmy wszystkie soboty i niedziele. Żył. Nie dość na tym: wydawał się trwać w tym samym podnieceniu i miał taki sam gorączkowy słowotok jak cztery lata wcześniej. Mówił o naszym jedynym spotkaniu, o Santim i mojej siostrze Blance, mówił głównie o sobie, o niesprawiedliwości, jaką mu wyrządzono, o swej niestrudzonej solidarnej pracy, o wszystkim, co ludzie mu zawdzięczają i za co pozostają mu dłużni. Gdy go słuchałem, wspomniałem bohaterski wyczyn Santiago i Lucasa Vermala i zadałem sobie

pytanie, czy zdołam znieść tak długo jak oni ten potok samousprawiedliwień, ale postanowiłem, że nie mogę się poddać przy pierwszym podejściu i zebrawszy się w sobie, zdołałem mu przerwać: powiedziałem, że zdecydowałem się wrócić do pomysłu napisania o nim książki.

– Ach, tak? – zadziwił się, jakbym mógł do niego dzwonić z innego powodu. – Fakt, trochę to uległo zawieszeniu, prawda?

Zanim znowu przystąpił do ataku, zapytałem, czy możemy się spotkać i porozmawiać. Bez wahania się zgodził. Był piątek. Umówiliśmy się na poniedziałek.

Przekonany, że Marco zgodzi się, żebym pisał o nim książkę – jego próżność poradziłaby sobie z każdą obiekcją wobec takiego projektu – wydrukowałem wieczorem artykuły Vargasa Llosy i mój oraz reportaż José Luisa Barberii opublikowany w „El País” i dałem wszystko synowi.

– Umówiłem się z Markiem na poniedziałek – powiedziałem. – To tylko pierwsze spotkanie, żeby odnowić kontakt i wyjaśnić mu, co zamierzam zrobić. Nagrywać zaczniemy w przyszłym tygodniu, zakładając, że się zgodzi. Skoro masz filmować, poczytaj trochę na ten temat.

Raül wziął kartki i po kolacji położył się na sofie w jadalni i zaczął czytać. Ja usiadłem w fotelu, mając go po jednej stronie, a po drugiej swoją matkę; słuchałem nieuważnie, co mówi do mnie matka, trzymając mnie za rękę, i patrzyłem na wiadomości w telewizji, zerkając co jakiś czas na syna. Kiedy skończył czytać, uśmiechał się.

– To wariat – powiedział, a kartki zsunęły mu się na dywan.

Nie spytałem, kogo ma na myśli, zapytałem:

– Tak uważasz?

– O kim mówicie? – wtrąciła się matka.

– O jednym człowieku. – Raül podniósł głos, żeby pokonać głuchotę babci. – Opowiadał, że siedział kiedyś w obozie koncentracyjnym, ale to była nieprawda.

Matka przyglądała mu się, nie rozumiejąc, potem spojrzała na mnie. Opowiedziałem jej pokrótce sprawę Marca, ale nim skończyłem, zapytała:

– Myślisz, że tyle kłamstw to może być prawda?

Raül się roześmiał. Powiedziałem matce, że tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. Matka ścisnęła mi rękę, jakby aprobowwała moje słowa, a Raül podjął na nowo:

– Marco żyje w świecie swojej wyobraźni, ciekawszym i zabawniejszym niż rzeczywistość. Tak przecież zachowuje się wariat, nie?

– Przypuszczam, że tak – odpowiedziałem. – Przypomina Don Kichota. Jakkolwiek Don Kichot bywa także roztropny. Znaczy, jest kompletnym świrem, ale jest też najrozsądniejszym facetem na świecie. Wyjąwszy chwile, kiedy rozprawia o księgach rycerskich.

– I Marco jest taki sam?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ma księgi rycerskie. Tego też muszę się dowiedzieć. Albo musimy się dowiedzieć. Jak wszystko dobrze pójdzie, zaczynamy w przyszłym tygodniu. Przyjrzyj mu się, kiedy będziesz filmował, potem powiesz mi, co myślisz. Zgoda?

Raül poprawił się na sofie, podłożył sobie poduszkę pod głowę i zrobił minę, która wyglądała na sceptyczną, ale może taka nie była.

– Zgoda – powiedział.

W poniedziałek, o ustalonej godzinie, stawiłem się u Marca w domu, w Sant Cugat. Byłem sam; Marco przyjął mnie

w towarzystwie żony. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłem żadnej różnicy między Markiem sprzed czterech lat i tym teraz; może był trochę bardziej skurczony i pomarszczony, ale wciąż wyglądał na siedemdziesięciolatka, nie na człowieka po dziewięćdziesiątce. Od razu na wstępie, zupełnie jakby czytał w moich myślach, oznajmił, że podupadł na zdrowiu, ma problemy z sercem. „Zamierzałem dociągnąć do setki – powiedział chrapliwym i zbolałym głosem. – Ale już wiem, że nie dociągnę”. Potem rozpoczął swój megalomański występ, natarł na mnie zwyczajowym huraganem chełpliwości i cierpiętnictwa: miał pasjonujące życie, był wszędzie, poznał wszystkich, był obrońcą Republiki i niezłomnym antyfaszystą podczas wojny, członkiem ruchu oporu w czasach frankistowskich, stałą ofiarą więzień dyktatury, przywódcą robotniczym i obywatelskim, bojownikiem o sprawiedliwość, wolność i pamięć historyczną; to prawda, pod koniec życia popełnił błąd, podając się za deportowanego w czasie wojny, ale w gruncie rzeczy to nie był błąd; nie skłamał, lecz jedynie przeinaczył prawdę, w dodatku przeinaczył ją w dobrej sprawie, aby ludzie poznali okropieństwa tego stulecia. To niewybaczalne – mówił – co z nim zrobiono, gdy wybuchł ten skandal, obrazili go, znieważyli, zdeptali, zlinczowali, jakby był jakimś szkodnikiem, a nie prostym, lecz wielkim człowiekiem, który oddał za innych życie, zupełnie jakby to on był coś winien światu, a nie świat jemu... Pozwoliłem, by monologował, gdy tymczasem jego żona krzątała się po domu, nie zdradzając zainteresowania słowami Marca, jakby słyszała już wszystko wielokrotnie, a ja się zastanawiałem, co może myśleć o moim pomysle napisania książki o swoim mężu. Zrozumiawszy, że Marco nie zamierza przestać mówić, jeśli mu nie przerwę, postarałem się mu przerwać. Uciekając się niemal

do krzyku, zdołałem zatamować potok jego słów i powiedzieć, że przychodzę, bo chciałbym, żeby opowiedział mi całą swoją historię po kolei, ale we właściwym czasie.

– Jak pan mi teraz wszystko opowie, nie będzie już co opowiadać! – wrzasnąłem bezceremonialnie.

Marco zamilkł: uznałem to za cud. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w przeszklonym holu wychodzącym na taras, mając pośrodku długi prostokątny stół z drewna; za Markiem stał regał wypełniony książkami, czasopismami i segregatorami. Żona właśnie zjawiała się ponownie, cicha niczym kot. Wracając do normalnego tonu głosu, zapytałem:

– Opowiedzieć panu o moim projekcie?

Opowiedziałem. Powtórzyłem, że mój pomysł polega na napisaniu o nim książki. Zazaczyłem, że potrzebuję przy tym jego pomocy. Powtórzyłem, że na początek powinien opowiedzieć mi swoje życie od a do zet, ze wszystkimi szczegółami. Powiedziałem, że jeśli mu to nie przeszkadza, mój syn będzie filmował nasze spotkania i że gdyby tak sobie życzył, to możemy filmować u niego w domu.

– Nie, nie tutaj – zaznaczył od razu kategorycznie. – Ja to ja, a moja rodzina to moja rodzina.

– W takim razie możemy filmować u mnie w pracowni – odparłem. – Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Powiedziałem mu, że jakkolwiek zajmuję się pisaniem powieści, tym razem zamierzam napisać absolutnie prawdziwą historię, powieść bez fikcji i choć nie wyjaśniłem, że on już włączył do swego życia dostatecznie dużo fikcji, dodałem, że mimo to nie mogę mu powiedzieć z góry, jaka z tego wyjdzie książka, ponieważ zazwyczaj dowiaduję się, co chciałem napisać, gdy już ją napiszę.

– W każdym razie, proszę nie oczekiwać, że wezmę pana w obronę – uprzedziłem. – Nie będę pana oszukiwał: proszę nie spodziewać się po mnie rehabilitacji ani rozgrzeszenia; choć potępienia również nie. Chcę się dowiedzieć, kim pan jest i dlaczego pan zrobił to, co zrobił. Właśnie: pragnę pana zrozumieć, nie zrehabilitować.

Marco przyglądał mi się badawczym spojrzeniem ciemnych, zapadniętych oczu; wytrzymałem to spojrzenie. Powtarzam, nie miałem wątpliwości, że udzieli mi pomocy: wystarczyło wiedzieć, co zrobił, i spędzić z nim pięć minut, by nabrać pewności, że należy do tych, którzy po tysiącokroć wołają, by mówiono o nich źle, niż nie mówiono wcale. Już miałem powiedzieć, z obłudną wielkodusznością, że jeśli nie zgadza się na taki układ, to ja to zrozumieję, gdy znowu się odezwał.

– Naprawdę nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mnie rehabilitował – powiedział, ale ja byłem pewien, że niczego nie pragnął bardziej niż rehabilitacji. – Potrzebuję tylko, by mnie wysłuchano. Chcę mieć możliwość wytłumaczenia.

– Ja pana wysłucham. Zapewniam pana.

Marco nadal mi się przyglądał. Jego żona również.

– Czytałem pański artykuł o mnie w „El País” – powiedział i natychmiast pożałowałem, że napisałem ten tekst. – Nie był pan dobrze poinformowany.

Spojrzałem na jego żonę, przeniosłem znowu wzrok na niego i raz jeszcze uciekłem się do hipokryzji (a może sarkazmu).

– Zawierał jakiś błąd? – zapytałem.

– Nie – odparł Marco. – Ale to nie byłem ja. Naprawdę, ja jestem bardziej skomplikowany.

– Nie wątpię – powiedziałem, tym razem szczerze, i skorzystałem z furtki, którą mi otworzył. – Właśnie dlatego

chcę napisać książkę: żeby sportretować pana takim, jakim pan jest, w całej złożoności. I dlatego proszę o rozmowę, potrzebuję, żeby opowiedział mi pan swoje życie. Później mógłby mi pan pomóc w jeszcze inny sposób: dostarczyć mi dokumenty, pojechać razem ze mną do miejsc, w których pan mieszkał, podać mi telefony i adresy osób, które pana znały... – Zwróciłem się do jego żony: – Któregoś dnia chciałbym także z panią porozmawiać, jeśli pani się zgodzi.

– Oczywiście, że się zgodzę – powiedziała. Uśmiechnęła się i wstała, jakby usłyszała już wszystko, co chciała usłyszeć. – Jeżeli chce pan porozmawiać, porozmawiamy. Ale pod warunkiem, że nie będzie pan filmował. Jestem tylko żoną Enrica, a słyszał pan, co powiedział mój mąż: on to on, a rodzina to rodzina.

Marco milczał przez chwilę, odprowadzając wzrokiem wychodzącą z pomieszczenia żonę. Skorzystałem z tej ciszy i zapytałem:

– Możemy zacząć od jutra?

Zaczęliśmy trzy dni później. Do tego czasu ponownie przewertowałem wszystko o sprawie Marca, przeczytałem raz jeszcze to, co już czytałem, i poszukałem świeżych informacji w internecie, gdzie znalazłem nieskończenie wiele artykułów, nagrań, wywiadów i komentarzy. W przeddzień spotkania o mało nie wpadłem w panikę.

– Cholera – powiedziałem do Raüla. – Nie możemy filmować u mnie w pracowni.

– Dlaczego nie? – zdziwił się.

– Bo w budynku nie ma windy. Jak pięćdziesięcioletni starzec ma wejść po schodach na trzecie piętro?

Natychmiast zadzwoniłem do Marca, myśląc, że skoro nie możemy filmować w mojej pracowni ani u niego w domu, trzeba będzie przesunąć nasz pierwszy dzień pracy na później, co wydało mi się złą wróżbą. Marco się obruszył.

– Zajmij się tym, co do ciebie należy, Javier – powiedział. – Ja zajmę się schodami.

Myślę, że wtedy po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu i przez sekundę miałem nieprzyjemne uczucie, że rozmawia ze mną tak, jak ja rozmawiałem z synem.

Przed godziną czwartą po południu następnego dnia Raúl i ja byliśmy już w mojej pracowni w dzielnicy Gracia i czekaliśmy na Marca. Poprzedniego wieczoru syn pokazał mi, jak działa kamera – musiał wyjść po południu, trzeba było się upewnić, że poradzę sobie z jej obsługą, gdy jego nie będzie – a teraz zamontował ją na statywie i ustawił go obok mnie, naprzeciwko fotela przeznaczonego dla Marca. Około pół do piątej zadzwonił dzwonek. To był Marco, przyszedł z żoną. Mimo że ona była od niego młodsza o prawie trzydzieści lat, to Marco pojawił się jako pierwszy na podeście schodów, zdecydowany i zadyszany. Nie pamiętam, jak była ubrana jego żona; co do Marca, to na filmie nagrany tego popołudnia widać, że miał na sobie ciemną czapkę z daszkiem, koszulę w paski i wełniany sweter z nieśmiertelną maleńką flagą republikańską przypiętą na piersi. Przywitał się ze mną, zaczął rozmawiać z Raúl'em, ja zacząłem rozmawiać z Dani. Po tym wstępie zaprosiłem Marca, żeby usiadł w fotelu na wprost kamery, Dani usiadła na drugim fotelu, Raúl na krześle za kamerą, a ja w swoim fotelu do pracy, naprzeciw Marca. Obok siebie na biurku miałem notatnik z zapisanymi pytaniami, jednakże przez pierwsze pół godziny właściwie nie zdołałem zadać ani jednego, bo Marco wykorzystał

ten czas na klasyczną przemowę w obronie własnej, megalomańską i cierpiętniczą. Wysłuchaliśmy go, aż wreszcie, po części za sprawą jego żony, udało mi się go skłonić, by zaczął mówić o swoim życiu od początku.

Wtedy to pierwsze spotkanie tak naprawdę się rozpoczęło. Zakończyło się mniej więcej po trzech i pół godzinie, około ósmej. Od jakiegoś już czasu siedzieliśmy z Markiem sami w pracowni; Raül i Dani wyszli wcześniej, najpierw Dani, a potem Raül. Wieczorem, przy kolacji, z żoną i synem rozmawialiśmy o Marcu. Zapytałem Raüla, co o nim sądzi, jakie odniósł wrażenie i czy dalej uważa go za wariata.

– Jest i nie jest wariatem – odpowiedział bez wahania, nie podnosząc wzroku znad talerza, i zorientowałem się, że nie była to odpowiedź nieprzemyślana. – Tylko zgrywa chojraka, podobnie jak Don Kichot; ale nie jest chojrakiem. I nie jest wcale jak Don Kichot. Jest dużo lepszy.

Czekałem, żeby to wyjaśnił, ale przeżuwał jedzenie, a może precyzował w myślach swój pogląd, wreszcie to moja żona, nie mogąc powstrzymać niecierpliwości, poprosiła o wyjaśnienie.

– Przecież to jasne – odparł Raül, gdy przełknął kolejny kęs albo przemyślał do końca swoją opinię, albo jedno i drugie. – Nikt nie brał na serio Don Kichota, nikt się nie dawał nabrać; za to Marco nabrał wszystkich. – Uniósł w końcu wzrok znad talerza i spojrzał na moją żonę. – Masz pojęcie? Wszystkich! – Potem odwrócił się w moją stronę z błyskiem entuzjazmu w oczach, zwrócił widelec w moją stronę i dodał: – Facet po prostu wymiata!

A oto najkrwawsza bitwa pierwszych dni wojny domowej. Rozegrała się w Barcelonie, w niedzielę 19 lipca 1936 roku. W sobotę dotarła do miasta wiadomość o buncie oddziałów wojskowych w Maroku i w ciągu dnia ulice, domy i kawiarnie huczały od pogłosek. W powietrzu wyczuwało się poprzedzające wojnę napięcie. Po południu premier autonomicznego rządu katalońskiego, Lluís Companys, odmówił wydania ludziom broni, ale CNT, anarchistyczna centrala związkowa zrzeszająca większość robotników w mieście, nie przejęła się odmową, wykradała broń z arsenałów, uzbroiła swoich członków i przygotowała się do walki.

Nazajutrz o świcie wybuchła wojna. Zgodnie z planem puczystów o tej godzinie kolumny zbuntowanego, uzbrojonego po zęby wojska zaczęły wyjeżdżać z głównych koszarów miasta: tych w Pedralbes, tych przy ulicy Tarragona, przy Travessera de Gracia, tych w Sant Andreu; wyznaczono im miejsce zbiórki w centrum miasta, na placu Cataluña i na Rambli, ale szwankowała koordynacja i działania napotkały na tak wściekły opór ze strony grup uzbrojonych robotników, przede wszystkim robotników z CNT oraz oddziałów Gwardii Szturmowej, że puczyści nie mogli dotrzeć na wyznaczone miejsce albo docierali tam i natychmiast musieli się wycofywać – zagradały im drogę barykady z kamieni brukowych, strzały snajperów, wybuchy granatów domowej roboty rzuconych z dachów, eksplodujące ciężarówki pułapki. W południe całe miasto było już polem bitwy, ludzie walczyli na każdym rogu, wszędzie leżały ciała

zabitych, a większość kościołów i klasztorów stała w płomieniach. Po południu szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę antyfaszystów: miejscowy przywódca rebelii, generał Goded – który w południe przybył do Barcelony hydroplanem z Majorki – poddał się bezwarunkowo i zmuszono go, by przez radio wezwał swoich ludzi do złożenia broni; około godziny drugiej po południu, po pewnych wahaniach, Gwardia Obywatelska podporządkowała się legalnemu rządowi; mniej więcej o tej samej godzinie (może trochę wcześniej albo trochę później) grupa robotników przekonała kilku żołnierzy ze zbuntowanego Pułku Artylerii Górskiej nr 1, którzy na Avenida Icaria obsługiwali baterię złożoną z dwóch dział o kalibrze 75 mm, żeby zwrócili broń przeciwko swoim, bo oficerowie ich okłamali, i od tej chwili żołnierze zbuntowanych oddziałów, którzy już od rana przechodzili pojedynczo na stronę przeciwnika, zaczęli masowo dezertować. O zmierzchu buntownicy trzymali się jeszcze tylko w koszarach Atarazanas, opodal portu, i w koszarach Sant Andreu, w odległości kilku kilometrów od centrum, gdzie znajdował się największy magazyn broni w Barcelonie.

Tam właśnie od kilku godzin był Marco albo twierdzi, że tam był. Miał świeżo skończone piętnaście lat, od kilku dni mieszkał w dzielnicy La Trinidad i pomagał w sklepie wujowi Francescowi i ciotce Caterinie i podobnie jak wszyscy wiedział, że na coś się zanoszą, może na wybuch rewolucji, może na pucz wojskowy, a może na jedno i drugie naraz. W niedzielę rano, gdy wyły wszystkie syreny fabryczne w mieście, usłyszał, jak ludzie mówią o buncie wojska i o toczących się od świtu walkach, i dotarły do niego, albo twierdzi, że dotarły, wezwania partii i robotniczych związków zawodowych (nie tylko CNT, do której,

jak twierdzi, należał), by wszyscy posiadający broń przybyli do centrum Barcelony powstrzymać rebelię, a ci, którzy nie mieli broni, by ruszyli w stronę koszar i tam ją zdobyli, a przynajmniej pokazali wojskowym, że ludzie sprzeciwiają się ich puczowi.

Najbliżej dzielnicy La Trinidad były koszary La Maestranza w Sant Andreu i tam właśnie skierował się Marco. Nie pamięta, o której godzinie tam przyszedł, pamięta jednak, że kiedy dotarł, przed bramą koszar stali już ludzie gotowi postawić się puczystom, ludzie nie tylko z Sant Andreu i La Trinidad, ale też z Santa Coloma, La Prosperidad i z innych peryferyjnych dzielnic Barcelony. Twierdzi, że w tym rozemocjonowanym i różnorodnym tłumie poznał anarchistę Enrica Casañasa, który z czasem miał stać się jednym z jego najlepszych przyjaciół. Twierdzi, że nie pamięta, jak długo tam stał, nie bardzo wiedząc, na co czeka, ale że naraz pojawił się na niebie republikański samolot i ostrzelany przez pojedynczych żołnierzy, zrzucił na Maestranzę deszcz ulotek. Twierdzi, że następnie samolot odleciał, ale po chwili wrócił i znowu przeleciał nad koszarami, tym razem nawołując żołnierzy do poddania się i zrzucając kilka bomb, które, twierdzi, głównie wzbily kurz i narobiły huk. Ale to wtedy, twierdzi, otwarła się brama koszar i tłum przystąpił jak jeden mąż do szturm, w środku jednak ludzie zastali nie to, czego się spodziewali, lecz pijanych i przestraszonych żołnierzy, snujących się jak błędni po dziedzińcach i jadalniach pełnych resztek jedzenia i napitków i poddających się bez stawiania oporu. Tego dnia w koszarach Sant Andreu znajdowało się, między innymi, trzydzieści tysięcy karabinów i Marco twierdzi, że ludzie wybierali sobie takie,

jakie chcieli, a on wziął hiszpańskiego mausera. To wszystko, co pamięta Marco z owego dnia, albo twierdzi, że pamięta.

Z następnych dni nic prawie nie pamięta, jedynie radość triumfującej w Barcelonie rewolucji, zapamiętał jednak, albo twierdzi, że zapamiętał, że trzy tygodnie później, pośród niepowtarzalnej euforii tamtego lata anarchistów, wziął udział u boku wuja Anastasia w zdobyciu Majorki.

To była jedna z najbardziej bezsensownych operacji tej bezsensownej wojny. Brytyjski historyk, Antony Beevor, trafnie ją streszcza w tych oto słowach: „Największą operacją przeprowadzoną w tamtych dniach na wschodzie Hiszpanii był najazd milicji katalońskich na [wyspy] Baleary. Łatwo zdobyto Ibizę i Formenterę, a 18 sierpnia 1936 roku osiem tysięcy ludzi, przy wsparciu pancernika «Jaime I» i dwóch niszczycieli, wylądowało na Majorce pod wodzą kapitana piechoty [potem oficera sił lotniczych], Alberta Bayo, który po latach miał zająć się szkoleniem partyzantów Fidela Castro. Napastnicy utworzyli przyczółek, nie napotykając oporu, a potem się zatrzymali. Nim milicja uzyskała wsparcie artylerii, osłonę lotniczą, a nawet morską, narodowcy zdążyli już zorganizować kontratak. Nadleciały nowoczesne włoskie samoloty i zbombardowały siły wroga, które w zasadzie nie stawiały oporu. Odwrót na okręty nakazany przez nowego ministra marynarki wojennej, Indalecia Prieta, zmienił się w druzgocącą klęskę milicji, a wyspa pozostała bazą morską i obszarem o kluczowym znaczeniu dla wojsk frankistowskich przez całą wojnę”.

Cóż można dodać do tego syntetycznego opisu? Że wyprawa była jednym wielkim chaosem. Że wzięli w niej udział nie tylko uzbrojeni członkowie milicji, lecz także kobiety, starcy i dzieci. Że jakkolwiek minister marynarki wojennej wydał rozkaz do

odwrotu, to wcześniej nie został poinformowany o rozpoczęciu operacji, podobnie jak nie poinformowano o tym ministra wojny, a nawet prezydenta Republiki. Że uczestnicy wyprawy nie mieli zapewnionej opieki medycznej, polowych szpitali ani odpowiedniego zaopatrzenia i że wycofując się, zostawili za sobą plaże usłane trupami, a samą wyspę w rękach włoskiego fanatyka, Arconovalda Bonaccorsiego, alias hrabiego Rossiego, który – ubrany w czarny faszystowski mundur z białym krzyżem zawieszonym na szyi – przez kilka następnych miesięcy kazał rozstrzeliwać robotników i rozbijał się po wyspie czerwonym wyścigowym samochodem w towarzystwie uzbrojonego kapelana Falangi. I że pomimo „druzgocącej klęski” katalońskich milicji, by użyć wyrażenia Beevora, Radio Barcelona poinformowało po ich powrocie do domu: „Bohaterskie kolumny katalońskie wróciły z Majorki po wspaniałej akcji. Nikt nie ucierpiał na skutek tej wyprawy, ponieważ niezrównanemu taktykowi, kapitanowi Bayo, udało się przeprowadzić ją z powodzeniem, dzięki wysokiemu morale i zdyscyplinowaniu naszych niezwycięzonych bojowników”.

Marco był jednym z nich, to znaczy jednym z tych niezwycięzonych bojowników, którzy ponieśli druzgocącą klęskę. Przynajmniej tak twierdzi. Ma niewiele, w dodatku mało konkretnych wspomnień z tej absurdalnej wyprawy. Mówi, że się przyłączył, ponieważ mimo swoich piętnastu lat był młodzieńcem porywczym i idealistą, bardzo różniącym się, jak twierdzi, od dzisiejszej młodzieży, ale takim jak wielu ówczesnych chłopaków, żywiących żłudną nadzieję na budowę sprawiedliwego i szczęśliwego świata, a przynajmniej świata lepszego; ale przyznaje zarazem, że przede wszystkim przyłączył się śladem swego wuja Anastasia, pracownika towarzystwa

Transmediterránea, który pływał co tydzień na Baleary, miał tam przyjaciół, towarzyszy i znajomych i gdy się dowiedział, że archipelag wpadł w ręce faszystów, poczuł się zobowiązany ruszyć na pomoc. Twierdzi, że popłynęli statkiem o nazwie „Mar Negro”, pewnie należącym do towarzystwa żeglugowego, a wrócili na pokładzie „Jaime I”. Mówi, że pozostało mu głównie wspomnienie totalnego bałaganu i ciągłej improwizacji, wszyscy wydawali rozkazy, których nikt nie słuchał. Mówi, że pewności siebie dodawała mu obecność wuja Anastasia i karabin mauser, zabrany wcześniej z koszar Sant Andreu, choć właściwie nie potrafił go obsługiwać. Mówi, że w trakcie przeprawy morskiej przyłączył się do grupy takich samych jak on chłopaków, których nazywano muszkietierami, bo nosili kapelusze z wywiniętym rondem. Mówi, że chyba pamięta, jak pod osłoną pancernika i niszczycieli wylądowali w Son Cervera, ale mówi też, że on właściwie nie zszedł na ląd, bo wuj mu zabronił, i że spędzał całe godziny na zabawie w wojnę z resztą muszkietierów na pokładzie okrętu. Mówi, że tam dowiedzieli się, że nie tylko oni przybyli wyzwalać wyspy, że z Walencji wyruszyła (albo już przybyła) podobna ekspedycja pod dowództwem gwardzisty o nazwisku Uribarri. Mówi, że uniesienie pierwszych dni zmieniło się w niepokój, gdy zaczęły nadchodzić wiadomości, że posuwający się w głąb lądu bojownicy nie są witani przez pełną entuzjazmu z powodu odzyskanej wolności ludność, lecz napotykają opustoszałe wsie, których mieszkańcy uciekli w popłochu, i że ten niepokój zmienił się w zawód (ale nie w panikę ani poczucie klęski), gdy rozpoczął się odwrót, odwrót, który jemu osobiście nie wydawał się bardziej chaotyczny niż okrętowanie i po którym, jak zapewnia, plaże były usłane nie trupami, jak napisałem na podstawie relacji świadków i historyków, lecz

porzuconym wojskowym sprzętem. Mówi, że nic nie pamięta z podróży powrotnej, może tylko to, że wszyscy na okręcie przypisywali klęskę operacji nieporozumieniom między Bayo i Uribarrim.

Gdy dopłynęli z powrotem, zamiast w Barcelonie kazali im zejść na ląd w Walencji, i mówi też, że do Barcelony musieli wrócić pociągiem. Mówi, że nie pamięta, jak długo pozostał w Barcelonie, ale pamięta, że po kilku tygodniach, a może dniach, ponownie zaciągnęli się z wujem jako ochotnicy, tym razem do Kolumny Czerwono-Czarnej, jednostki (tego nie mówi Marco, lecz ja) składającej się z anarchistów, którzy wracali, jak oni, z wyprawy na Majorkę, a w połowie września, dowodzeni przez związkowca Garcíę Pradę oraz kapitana Jimeneza Pajarera, dotarli na front w Huesce. Mówi, że tam się dowiedział, czym jest wojna. Mówi, że tam po raz pierwszy zobaczył czyjąś śmierć i tam, w trakcie strzelaniny i bombardowania, gdy leżał pod ciężarówką, usiłując skryć się przed ogniem, widział mężczyznę biegnącego z miejsca na miejsce z własnymi flakami w ręce, krzyczącego, żeby ktoś mu pomógł włożyć je do brzucha, przerażonego, czy da się go uratować. Mówi, że tego samego dnia dowiedział się o śmierci tego człowieka i że tamta scena nappełniła go przerażeniem, ale że szybko się przyzwyczaiał, mówi, tak jak dzieje się z każdym na wojnie. Mówi, że w pewnej chwili, nie pamięta dokładnie kiedy, wuj Anastasio został ranny, nic poważnego, ale z powodu tej rany wyraźnie potem utykał; mówi, że to nieprzyjemne zdarzenie położyło kres wojennym przygodom wuja. Ale to nie był jedyny powód, mówi: wuj Anastasio był stary, czuł się zmęczony; poza tym jak wielu innych anarchistów przeklinał przeprowadzoną na rozkaz rządu militaryzację milicji, która

skończyła się wcieleniem Kolumny Czerwono-Czarnej do 28. dywizji republikańskiej. Jak wcześniej zaciągnął się na ochotnika, tak teraz wuj Anastasio na ochotnika się wypisał. Tak samo postąpił jego siostrzeniec, mówi.

Po powrocie do Barcelony Marco, jak mówi, zatrudnił się jako mechanik w fabryce Forda. Fabryka została skolektywizowana, tak więc Marco może twierdzić, nie mijając się z prawdą, że reperując samochody, ciężarówki i furgonetki, miał swój wkład w wysiłek wojenny. Mówi, że wciąż należał do CNT i sprawował jakąś funkcję związkową; mówi też, że mało pamięta z tych lat spędzonych na republikańskich tyłach, pamięta tylko, że pomagał w obronie cywilnej i że pewnego dnia na wiosnę 1938 roku, gdy włoska bomba spadła na Gran Vía, przed kinem Coliseum, na ciężarówkę załadowaną czterema tonami trotylu, pomagał wyciągać z ruin zniszczonych budynków trupy niemal tysiąca ofiar tej eksplozji, wśród nich stu osiemdziesięciorga dzieci. Co się tyczy wuja Anastasia, to gdy wrócił ranny spod Hueski, dostał pracę dozorca budynku na rogu Lepanto i Travessera de Gracia, w dzielnicy El Guinardó. Stary anarchista mieszkał tam, razem z ciotką Ramoną, prawie dwa lata; nadal utykał, był skończony i dużo pił. Umarł jesienią 1938 roku, Marco nie pojechał na jego pogrzeb, bo wtedy był już znowu na froncie. Albo tak twierdzi.

Czy można dopaść kłamcę? Łatwiej dopaść kłamcę niż kulawego, mówi hiszpańskie przysłowie i, jak i wiele innych (hiszpańskich i nie) nie odzwierciedla prawdy: zdecydowanie łatwiej dopaść kulawego niż kłamcę, nie mówiąc już o takim specu jak Enric Marco. Kiedy wyszła na jaw sprawa Marca, wiele osób uznało, że skoro skłamał on na temat swego pobytu w obozie Flossenbürg, to kłamał też we wszystkich innych kwestiach. To mylne rozumowanie, zdradza całkowitą ignorancję w kwestii umiejętnych kłamstw i umiejętnych kłamców, umiejętni kłamcy sprzedają nie tylko kłamstwa, sprzedają też prawdę, a wielkie kłamstwa produkuje się z małych prawd. W artykule *Ja jestem Enrikiem Markiem* tak to ująłem: „Jak dobrze wie każdy porządny łgarz, kłamstwo przekonuje tylko wtedy, gdy jest wymieszane z prawdą”. Czy kłamstwo o pobycie we Flossenbürgu było jedynym kłamstwem Marca? Z jakimi prawdami wymieszał Marco swoje kłamstwo lub kłamstwa, bez względu na to, czy były przekonujące?

Cały niemal rok pracowałem od świtu do nocy, starając się je zidentyfikować, to znaczy zrekonstruować prawdziwe życie Enrica Marca. Najpierw podczas długich filmowanych rozmów wysłuchałem z największą uwagą jego samego, starałem się tak pokierować tymi rozmowami, by służyły moim celom. Początkowo toczyły się u mnie w pracowni w dzielnicy Gracia, ale potem ciągnęły się dalej u niego w domu, w barach i restauracjach i podczas spacerów po miejscach jego dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego. Santi Fillol i Lucas

Vermal pożyczyci mi nagranie dziesiątków godzin swoich rozmów z Markiem, zarejestrowanych na potrzeby filmu. Wziąłem sobie dwóch pomocników, jednego w Barcelonie – Xaviera Gonzaleza Torana – i drugiego w Berlinie – Carlosa Pereza Ricarta, i dzięki nim mogłem zapoznać się z niezliczonymi wprost artykułami, wywiadami i reportażami opublikowanymi na temat Marca, a także z dokumentami poświadczającymi jego losy zarówno w Hiszpanii, jak i w Niemczech. Obejrzałem i przesłuchałem wszystkie wywiady telewizyjne i radiowe, jakich udzielił Marco, i od pewnej chwili miałem też dostęp do jego osobistego archiwum, gdzie przechowywał najrozmaitsze rzeczy, poczynając od wiadomości i dokumentów na swój temat aż po listy i teksty autobiograficzne lub pseudoautobiograficzne. Czytałem książki psychologiczne, filozoficzne, socjologiczne, historyczne, przede wszystkim historyczne. Rozmawiałem z historykami wojny domowej, anarchizmu i nazistowskich Niemiec, z dawnymi i dzisiejszymi członkami CNT, FAPAC i stowarzyszenia Amical de Mauthausen, z dawnymi i dzisiejszymi sąsiadami Marca, z jego krewnymi, z właścicielami barów, z towarzyszami i uczniami, którzy znali go przed pięćdziesięcioma laty, z jego przyjaciółmi od zawsze i ze śmiertelnymi wrogami, z robotnikami, lekarzami, adwokatami, neurologami, z dziennikarzami, z policjantami. Zazwyczaj sam prowadziłem to dochodzenie, czasem towarzyszył mi syn i raz czy drugi towarzyszyła mi też żona. Co niezwykle: podobnie jak Marco, miałem w zwyczaju trzymać rodzinę z dala od swojej pracy; jednakże w tym przypadku było inaczej: często o nim we troje rozmawialiśmy, kłóciliśmy się na jego temat, żartowaliśmy z niego. Nie potrafię pisać książki, jeśli nie staje się to moją

obsesją, czasem chorą obsesją (jedynym lekarstwem jest skończenie utworu), ale nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej miał taką obsesję na czyimś punkcie, jak na punkcie Marca. Nadeszła taka chwila, kiedy wszystko, co mi się przydarzało, miało jakiś związek z Markiem, albo mnie do niego odsyłało, albo stawało się przedmiotem porównań z nim. W owym czasie często śnił mi się Marco i w tych snach, a raczej koszmarach sennych, kłóciłem się z naszym człowiekiem twarzą w twarz, a on, aby się bronić, zarzucał mi raz i drugi, że to ja jestem kłamcą i błaznem, że jestem taki jak on, że jestem dużo gorszy od niego, czasem nawet, że jestem nim.

Jedną z pierwszych osób, z którymi porozmawiałem, przystępując do badania życiorysu Marca, był naturalnie Benito Bermejo, historyk, który wykrył jego oszustwo. Przeważnie rozmawialiśmy przez telefon, choć rzadko były to rozmowy krótsze niż godzinne, raz jednak pojechałem do Madrytu, żeby zobaczyć się z nim osobiście. Bermejo wiele mi wtedy powiedział, między innymi to, że nie porzucił pomysłu napisania książki o Marcu, że ten pomysł uległ tylko zawieszeniu, może głównie z powodu skrupułów natury moralnej: miał dosyć bycia malkontentem i zrzędą, demaskowanie kłamcy to niewdzięczna robota, on już swoje zrobił, dalsze grzebanie w życiorysie Marca mogło w końcu wyrzucić krzywdę samemu Marcowi i jego rodzinie. Bermejo przekazał mi też dwie ważne informacje, a raczej jedną potwierdzoną informację i jedno podejrzenie. Otóż możliwe, że wbrew powszechnemu przekonaniu Marco był żonaty nie dwukrotnie – z Danielle Oliverą, aktualną żoną, i z Marią Belver przez poprzednie dwadzieścia lat – lecz trzykrotnie. Bermejo opowiedział mi, że jakiś czas po wyjściu na jaw sprawy Marca (czy też po tym, jak on ją wyjawiał) wertował

jakieś archiwa w Alcalá de Henares i pośród dokumentów dotyczących hiszpańskich ochotników, których reżim Franco wysyłał do pracy w Niemczech, aby pomagali Hitlerowi, znalazł stronę dotyczącą Marca, a tam adnotację, że był żonaty z niejaką Aną Beltrán Ribes. Zaintrygowany zaczął szukać jej nazwiska w książce telefonicznej Barcelony, ale nie znalazł; znalazł natomiast niejaką Anę Marię Marco Beltrán i myśląc, że może chodzić o córkę Marca, wykreślił numer i udało mu się z nią porozmawiać. Kobieta potwierdziła: była córką Marca; powiedziała mu też, że jej matka i Marco byli małżeństwem w latach czterdziestych, ale zaraz dodała, że dla niej to sprawa zamknięta, nie chce do niej wracać i że otwieranie jej na nowo nic dobrego nie przyniesie, w końcu poprosiła, żeby ją zostawił w spokoju. Jednakże nazajutrz do Bermeja zadzwonił mężczyzna przedstawiający się jako syn tamtej kobiety i wnuk Marca; i choć zapewnił, że bardzo chętnie porozmawia o sprawie, bo nie rozumie, dlaczego jego babka ukrywała swoją pierwszą rodzinę, historyk wolał się w to nie wdawać.

Tyle w kwestii, co do której Bermejo miał pewność. Jeśli chodzi o podejrzenie, to dotyczyło roli Marca w CNT, anarchistycznej centrali związkowej, której w latach siedemdziesiątych, podczas transformacji ustrojowej, Marco został nawet sekretarzem generalnym. Tamtego dnia w Madrycie Bermejo napomknął – najpierw u siebie w domu, a potem w tawernie, do której zabrał mnie na kolację, w dzielnicy Chamberí – że jeszcze przed zdemaskowaniem Marca wielu anarchistów nie tylko kwestionowało publicznie i w prywatnych rozmowach, ustnie i pisemnie jego udział w podziemnym ruchu oporu podczas dyktatury, lecz stawiało pod znakiem zapytania jego działalność w czasach demokracji,

gdy był przywódcą anarchistycznych związków zawodowych. Bermejo tłumaczył:

– Z całkowicie wiarygodnego źródła dowiedziałem się, że Marco pobiera emeryturę przysługującą w zasadzie urzędnikom lub wojskowym, którzy walczyli na wojnie (a także ofiarom terroryzmu i tym podobnym). To emerytury urzędnicze i kombatanckie. Marco twierdzi, że walczył na wojnie, ale ja w to wątpię, między innymi dlatego, że urodził się w dwudziestym pierwszym roku, a ostatni pobór do wojska przeprowadzony za Drugiej Republiki, tak zwany pobór Butelki ze Smoczkiem, dotyczył rocznika tysiąc dziewięćset dwadzieścia.

Rozmawialiśmy w połowie lutego 2013 roku i dopiero od niecałego półtora miesiąca zgłębiałem życiorys Marca, dlatego zapytałem:

– Czy Marco był urzędnikiem?

– O ile wiem, to nie – odparł Bermejo. – Chyba że...

Bermejo nie dokończył zdania. Wpatrywałem się w niego, wiedząc, do czego zmierza. W końcu dopowiedział zdanie do końca:

– Chyba że pobiera emeryturę jako policjant.

– Chcesz powiedzieć, że Marco był donosicielem?

– Ja tak nie mówię – poprawił mnie Bermejo. – Mówi tak wielu ludzi, włączywszy w to niektórych z jego dawnych towarzyszy; a przynajmniej tak sugerują. Ja nic nie twierdzę, jedynie dopuszczam taką możliwość. Możliwość, która pomogłaby też wyjaśnić niektóre kataklizmy, jakie dotknęły CNT w latach siedemdziesiątych i niemal zakończyły jej żywot, a przecież był to najpotężniejszy związek zawodowy w kraju w czasach Drugiej Republiki i element niewygodny dla systemu w latach transformacji demokratycznej. Wyobraź sobie tylko, jak

bardzo mógł wtedy zaszkodzić tajny współpracownik policji ulokowany w kierownictwie związku. No, ale cóż, powtarzam, że to tylko przypuszczenie, może tobie uda się je potwierdzić.

Tamtej nocy wyjechałem z Madrytu przygnębiony i przez następne tygodnie prześladował mnie niepokój, który wcześniej, odkąd postanowiłem poważnie zbadać życiorys Marca, miałem pod kontrolą. Przygnębienie i niepokój nie wynikały z tego, że Marco mógł być policyjnym konfidentem, bo to, choć zaskakujące, nie wydawało mi się niemożliwe, lecz z samego faktu pisania o nim książki. Czy miałem prawo ją pisać? Bermejo się nie mylił, podobnie jak wcześniej nie mylił się Santi Fillol: wiedziałem już dostatecznie dużo o historii Marca, żeby zdawać sobie sprawę, że wszyscy wypadają w niej źle i że opowiedzieć ją to zepsuć wszystkim zabawę, dotknąć czułego punktu nie tylko Marca i jego rodziny, lecz całego kraju. Czy naprawdę chciałem to robić? Czy byłem gotów to zrobić? Czy uprawniały mnie do tego przyzwolenie Marca i jego ze mną współpraca? Miałem ośmielić się napisać książkę, z której żona i córki Marca dowiedzą się na przykład, że ich mąż i ojciec był wcześniej żonaty, miał inne dzieci i był konfidentem policji? Czego jeszcze się dowiedzą, co jeszcze znajdzie się na końcu mojej książki, co jeszcze miałem odkryć, jeśli nie przestanę szukać? Czy nie uparłem się napisać książkę nie tylko niemożliwą, lecz w dodatku lekkomyślną? Czy mój zamiar nie był niemoralny, i to nie dlatego, że miałby służyć Marcowi, wspierając albo maskując jego kłamstwa (lub usiłując go z nich rozgrzeszyć), lecz wprost przeciwnie, że miał położyć kres tym kłamstwom i przedstawić prawdę? Czy nie lepiej to zostawić, zostawić tę książkę, zostawić Marca w jego fikcji, która ratowała

go przez tyle lat, nie wyciągać na światło dzienne prawdy, która mogła go zabić?

Marco opowiada, że zaciągnął się ponownie do wojska republikańskiego na wiosnę 1938 roku, w odpowiedzi na apel autonomicznego rządu katalońskiego do młodych. Był przedostatni rok wojny i frankiści przerwali właśnie front aragoński i zagrażali Katalonii, tak więc Marco został wysłany na front nad rzekę Segre, która przy swych niemal trzystu kilometrach długości stanowiła najdłuższą linię obrony republikańskiej Katalonii i była świadkiem ciężkich walk od początku kwietnia.

Z tego etapu wojny Marco zachował więcej wspomnień i są one dokładniejsze. Mówi, że pojechał na front ciężarówką razem z innymi chłopakami, ochotnikami jak i on, i że był wśród nich Antonio Fernández Vallet, syn fryzjera z dzielnicy La Trinidad i jego przyjaciel z dzieciństwa. Mówi, że po przyjeździe na front ochotnicy zostali poprzydzielani do różnych jednostek i pech chciał, że Fernández Vallet i on nie znaleźli się razem. Mówi, że dobrze pamięta, do której sam dostał przydział: to była trzecia kompania trzeciego batalionu 121. brygady 26. dywizji, wcześniej zwanej kolumną Durrutiego. Mówi, że ta jednostka zajmowała pozycje w górach Montsec, na szczycie albo u podnóża gór, w wioskach Sant Corneli i La Campaneta. Mówi, że był najmłodszym żołnierzem w swojej jednostce. Mówi, że pamięta niektórych kolegów z jednostki: Francesca Armenguera z Les Franqueses, Jordiego Jardí z Anglès, jakiegoś Jorge Veí albo Vehi, albo Pei; jakiegoś Thomasa albo Tomasa. Mówi, że pamięta też komisarza swojej jednostki, Joana Santsa, oraz,

jakżeby nie, Ricarda Sanza, szefa dywizji i przyjaciela Buenaventury Durrutiego. Mówi, że większość jego towarzyszy broni nie chodziła wcześniej do szkoły, nie umieli pisać ani czytać, i że on pisał im listy do rodziny, narzeczonych i kolegów, często też pisywał w tak zwanym dzienniku ściennym, czyli na tablicy informacyjnej, gdzie ogłaszano przydatne dla żołnierzy jednostki wiadomości. Mówi, że czasem robił rzeczy, na jakie niewielu się odważało: mówi, że wchodził na ziemię niczyją i stamtąd wykrzykiwał w stronę faszystów pytania, które koledzy prosili, żeby zadał: z jakiej wioski pochodzą, czy znają takiego a takiego albo kogoś z rodziny któregoś z chłopaków. Mówi, że wyświadczając takie przysługi, stał się bardzo popularny, lubiany i podziwiany. Przez wiele lat opowiadał co innego (choć mnie tego nie powiedział). Mówił, że tam, na froncie nad Segre, poznał Quica Sabaté, legendarnego partyzanta anarchistę, który przez trzy lata wojny walczył w wojsku republiki, a gdy poniosło klęskę, on nadal walczył z bronią w ręku z frankizmem, aż w początkach 1960 roku, po dwudziestu jeden latach tej samotnej walki z dyktaturą, zginął zastrzelony pod francuską granicą. Niejednokrotnie Marco opisywał swoją znajomość z Sabatem: „Poznałem osobiście Quica – pisze na przykład w liście do redakcji „El País” na początku tego stulecia. – To było w lecie 1938 roku, gdy pewnego dnia przyszedł do okopów zajmowanych przez 26. dywizję, kolumnę Durrutiego, na szczycie Montsec, i zaproponował nam, grupie młodych, żebyśmy podjęli akcje partyzanckie na tyłach faszystów. Quico organizował wtedy oddział partyzancki w jedenastym korpusie. Niektórzy z nas się zdecydowali: Pei z Poble Sec; Jardí z Anglès; chłopak z Salamanki, mały i wysuszony, którego przezywaliśmy Gandhi, Francesc

Armenguer, chłopak z Les Franqueses, inteligentny i odpowiedzialny, który zginął kilka miesięcy później podczas przeprawy przez rzekę Segre, między Soses a Torres de Segre, zaraz po tym, jak został mianowany komisarzem jednostki; oraz ja sam. To było bardzo emocjonujące znaleźć się «po drugiej stronie», w nieprzyjacielskim mundurze, zbierać tam informacje, przecinać łączność i pomóc w ucieczce kilku asturyjskim więźniom skazanym na przymusową budowę fortyfikacji”.

Marco przypomina sobie także (albo mówi, że sobie przypomina), że będąc na froncie nad Segre, uczęszczał przez jakiś czas do wojennej szkoły w swojej jednostce. Mówi, że musiał w tym celu schodzić na dwa dni w tygodniu z Sant Corneli i La Campaneta do wioski, gdzie znajdowała się szkoła, czyli do Vilanova de Meià albo Santa Maria de Meià, dokładnie nie pamięta albo mówi, że nie pamięta. Mówi, że uczyli go tam rzeczy zupełnie mu nieznanych, jak alfabet Morse’a, i że pamięta niektórych nauczycieli, na przykład niejakiego kapitana Martina. Mówi, że nie pamięta dokładnie, kiedy zakończył naukę w tej szkole, ale że zakończył ją w stopniu kaprała. Mówi, że bratobójczy konflikt między komunistami a anarchistami podczas wojny domowej zatruwał życie w okopach, szczególnie po maju poprzedniego roku, kiedy to tygodniami strzelali do siebie na ulicach Barcelony, i że tacy jak on, członkowie CNT, związku zawodowego anarchistów, czuli się wciąż pilnowani przez SIM, służbę wywiadu opanowaną przez komunistów i wykorzystywaną przez nich jako policja polityczna. Mówi, że kiedyś przyszła do okopów nota okólna CNT z informacją, że na mocy porozumienia podpisanego kilka dni wcześniej w Monachium przez demokracje zachodnie z nazistowskimi Niemcami i faszystowskimi Włochami stwierdzono zwycięstwo

frankistów w hiszpańskiej wojnie domowej. W tej samej nocy radzono działaczom związku, by po zakończeniu wojny zeszli do podziemia i tam organizowali ruch oporu, oraz instruowano ich, jak należy to robić. Mówi, że on i większość anarchistów trwali dalej w okopach bardziej z koleżeństwa i poczucia odpowiedzialności niż z przekonania. Mówi, że mimo to na jesieni tego roku przeprowadzili się w pewnej chwili wraz z jednostką przez Segre i że ta ofensywa – niewątpliwie chodzi o ofensywę w połowie listopada, gdy na kilka dni zdobyto Seròs, Aitonę i Soses, na lewym brzegu rzeki – miała na celu odciążenie walczących nad Ebro, gdzie trwała jedna z najkrwawszych, najdłuższych i decydujących bitew całej wojny. Mówi, że zachował w pamięci kilka zdarzeń z tamtych dni walki za rzeką, między innymi śmierć Francesca Armenguera podczas przeprawy i postrzał w tyłek, jaki dostał Jordi Jardí; podobnie pamięta (albo mówi, że pamięta), że miał adiutanta homoseksualistę imieniem Antonio, że Antonio umierał ze strachu i że podczas jakiegoś nocnego przemarszu zniknął mu z oczu i że już nigdy potem go nie zobaczył. Mówi także, że w trakcie tej krótkotrwałej ofensywy dostał awans na sierżanta, a w jednym ze swoich tekstów autobiograficznych czy też rzekomo autobiograficznych, które przechowuje w osobistym archiwum – Marco nie tylko kompulsywnie mówi, jest też obsesyjnym grafomanem – pisze, że dowódca jednostki awansował go na oficera na polu bitwy „za wielokrotnie wykazaną w walce odwagę”. Przede wszystkim jednak pamięta, albo mówi, że pamięta, jak któregoś dnia po południu, podczas bombardowania przez nieprzyjacielską artylerię, wybuch pocisku wyrzucił go w powietrze i pozbawił przytomności.

Od tej chwili wojenne wspomnienia Marca stają się mętne. Nie potrafi uściślić, jaką dokładnie odniósł ranę, w dodatku nie pozostawiła ona najmniejszej blizny na jego ciele; mówi tylko, że – jak mu się wydaje – miał wewnętrzne obrażenia oskrzeli i płuc i to skazało go na długą rekonwalescencję, podczas której ciągle pluł krwią. Mówi, że natychmiast został odesłany z frontu i w nocy, w ulewnym deszczu, przeniesiony na noszach po prowizorycznej kładce na drugą stronę rzeki, blisko miejsca, gdzie w dolinie mieścił się punkt opatrunkowy, i że spędził w tym punkcie całą noc. Mówi, że następnie leżał w różnych szpitalach polowych na tyłach, w Manresa, możliwe że w Agramunt, bez wątpienia w klasztorze Montserrat, gdzie przebywał miesiąc albo półtora miesiąca. Mówi, że niewiele pamięta z tej tułaczki żołnierza rekonwalescenta oprócz krwawej plwociny, ciągłej gorączki, pielęgniarek mówiących na jego temat szeptem i wstydu z powodu własnej nagości w obecności tych kobiet. Mówi, że ciężarówką pełną żołnierzy dotarł do Barcelony na krótko przed zdobyciem miasta przez frankistów, co stało się 26 stycznia 1939 roku, i że został w mieście, zamiast zdecydować się na emigrację. Mówi, że i w jego przypadku emigracja byłaby logicznym wyjściem, ponieważ miał rangę republikańskiego podoficera i należał do CNT, był zatem narażony na wszelkiego typu represje ze strony frankistów, ale nie wyjechał, bo nie doszedł jeszcze do siebie i brakło mu na to sił, a także dlatego, że zastosował się do instrukcji swojego związku zawodowego, by pozostać w kraju i organizować ruch oporu. Mówi, że towarzysze wysadzili go w centrum miasta, na Diagonal, że skierował się do dzielnicy El Guinardó, że doszedłszy do rogu Lepanto i Travessera de Gracia, zadzwonił na portiernię budynku, gdzie mieszkali wuj Anastasio i ciotka

Ramona, gdy ostatnim razem był w Barcelonie na przepustce, zaraz po awansie na kaprała. Mówi, że drzwi otworzyła mu ciotka Ramona i, najpierw zaskoczona, zaraz obsypała go pocałunkami i zabrała do środka. I mówi, że od tej chwili długo przebywał zamknięty u ciotki Ramony w domu, a właściwie nie zamknięty, lecz ukryty, nie wystawiając nosa na ulicę, czekając, by odpoczynek i opieka ciotki Ramony uleczyły jego niewidzialne rany, nim przystąpi do zbrojnej walki w podziemiu przeciwko zwycięskim faszystom, z tą samą ofiarnością i odwagą, z jakimi walczył przeciwko nim przez całą wojnę.

Oto w dużym skrócie wojenne przypadki Marca, tak jak zawsze je przedstawiał, a przynajmniej jak zaczął je przedstawiać, mówiąc o wojnie po kilku dziesięcioleciach milczenia, pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy trwał już rozkład frankizmu, a starość samego Franco uprawniała do wypatrywania na horyzoncie lub wyobrażania sobie kresu dyktatury. W ogólnym zarysie jest to relacja prawdopodobna. Czy jest też prawdziwa? A może jest tylko produktem wyrachowanej fantazji Marca, ośmielonej przedśmiertnym rżeniem frankizmu i pierwszymi jaskółkami wolności, pod których wpływem dawna walka po stronie przegranych powoli stawała się zasługą?

Bardzo możliwe, że gdy zacząłem badać życie Marca, wszyscy uważali, podobnie jak Benito Bermejo, że Marco kłamał na temat swego udziału w wojnie; w każdym razie nikt nie natknął się na żaden dokument potwierdzający, że na niej był. Nawet sam Marco, który – jak osobiście mi powiedział, a potwierdziła to też jego żona – poszukiwał na próżno świadectw swojej służby wojskowej. I ja teraz ich szukałem, ale nie natrafiłem na jego nazwisko w żadnym z archiwów wojny domowej: ani tym w Salamance, ani tym w Avili, ani tym w Guadalajarze. Fakt ten niczego oczywiście nie dowodził; tego rodzaju archiwa nie są kompletne, i zdarza się, że ludzie, którzy walczyli na wojnie, w żadnym z nich nie figurują. Marco to wiedział. Nie wiedział jednak, albo tak udawał, że udziału w wojnie nie poświadczał również fakt przyznania mu emerytury należnej dawnemu

republikańskiemu podoficerowi, którą to okoliczność natychmiast mi przedstawił jako dowód na to, że nie wymyślił służby wojskowej, pomimo że wymyślił pobyt w obozie Flossenbürg. Nie poświadczał, ponieważ w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, w okresie wychodzenia z dyktatury, nowe demokratyczne władze przyznawały takie emerytury bez zadawania zbyt wielu pytań, bywało, że nie domagając się nawet przedstawienia odpowiednich dokumentów na potwierdzenie tych uprawnień, wystarczyły świadectwa starych towarzyszy broni albo dowódców pokonanego wojska, które niejednokrotnie z ręcznie fabrykowano. Tak więc Bermejo miał rację: Marco pobierał emeryturę dla urzędników i kombatantów; nie miał jednak racji we wszystkim, a przynajmniej jedno jego przypuszczenie wydawało się mylne: Marco pobierał emeryturę nie jako policjant – to znaczy nie jako policyjny konfident – lecz jako podoficer Drugiej Republiki. A może pobierał ją jako podoficer Drugiej Republiki i policyjny konfident równocześnie? – zastanawiałem się. Czy naprawdę był podoficerem Drugiej Republiki? A może wcale nim nie był i uzyskał tę emeryturę dzięki jakimś kombinacjom? Może wymyślił sobie żołnierską przeszłość, podobnie jak wymyślił pobyt we Flossenbürgu, aby przydać swej biografii epickiego blasku?

Tak właśnie wszyscy myśleli, odkąd Benito Bermejo zdemaskował Marca; ale byli i tacy, którzy myśleli tak już wcześniej. W 1984 roku, na dwadzieścia jeden lat przed wybuchem skandalu, gdy wielki szalbierz i wielki łotr cieszył się jeszcze pełną wiarygodnością, Juan Gómez Casas, poprzednik Marca na stanowisku sekretarza generalnego CNT, wydał poświęconą tej centrali związkowej książkę i podał w niej

w wątpliwość działalność Marca jako aktywnego anarchisty w czasie dyktatury oraz stwierdził, że jakkolwiek nasz człowiek utrzymywał, że walczył na wojnie, to walczyć nie mógł „ze względu na swój wiek”. Tego samego argumentu używał Bermejo, na rozumowaniu tym była jednak rysa: to prawda, że Druga Republika przeprowadziła ostatni pobór pod koniec 1938 roku, dotyczył rocznika 1920 i był nazywany poborem Butelki ze Smoczkiem, i to prawda, że Marco urodził się w 1921 roku i dlatego nie należał do tego poboru, lecz do następnego (warto powiedzieć, że ściśle rzecz biorąc, pobór Butelki ze Smoczkiem był przedostatnim, nie ostatnim poborem republiki: ostatnim był tak zwany pobór smoczkowy; jednakże wezwanie do wojska wystawiono w styczniu 39 roku, gdy wojna była już przegrana, i bardzo niewielu mężczyzn podporządkowało się rozkazowi mobilizacji); lecz mimo to jest możliwe, i wspominał o tym sam Marco, że zgłosił się do wojska na ochotnika, jakkolwiek musiałby wtedy nakłamać co do swego wieku, bo w zasadzie ochotnicy musieli mieć ukończone osiemnaście lat, a on miał zaledwie siedemnaście. Czy tak właśnie się stało? Czy Marco walczył na wojnie jako ochotnik? Czy może wszystko zmyślił?

Szybko zrozumiałem, że zarówno jedno, jak i drugie będzie bardzo trudne do udowodnienia, ponieważ brakowało dokumentów i prawie nie było już świadków (albo ja ich nie znajdowałem); wszystko zatem, lub prawie wszystko, zależało od świadectwa Marca i od moich niepewnych i raczej problematycznych znalezisk, tak więc pogodziłem się z tym, że w tej części jego biografii będę się poruszał wśród hipotez. Jednakże kilku świadków znalazłem. Na przykład, Enrica Casañas. Casañas to był ten młody anarchista, którego Marco, jak sam twierdził, poznał 19 lipca 1936 roku, podczas oblężenia

koszar w Sant Andreu, i z którym zaprzyjaźnił się wówczas na zawsze. Żył jeszcze i Marco podał mi jego numer telefonu, wcześniej napisawszy do niego list, w którym zapowiadał moje odwiedziny, przypominał o ich przyjaźni i o zdarzeniach tego pamiętnego dnia, w którym ponoć się poznali. Gdy tylko dostałem numer telefonu Casañas, zadzwoniłem do niego. Odebrała żona, María Teresa. Powiedziałem, że chciałbym porozmawiać z jej mężem, i wytłumaczyłem w jakiej sprawie. W odpowiedzi uprzedziła mnie, że na nic mi się zda rozmowa z Casañasem, bo całkowicie utracił pamięć: mimo wszystko nie sprzeciwiła się moim odwiedzinom.

Tak więc pewnego wrześniowego popołudnia 2013 roku odwiedziłem go w domu przy ulicy Francolí w Barcelonie. Casañas miał już wtedy dziewięćdziesiąt cztery lata, dwa lata więcej niż Marco, był wysokim, wysuszonym mężczyzną, o rzadkich, śnieżnobiałych włosach, i fizycznie trzymał się dobrze. Walczył na wojnie trzy lata, kilka dziesięcioleci żył na emigracji w Brazylii i wrócił do Hiszpanii po śmierci Franco; również należał do CNT i do stowarzyszenia Amical de Mauthausen, gdzie, po wyjściu na jaw oszustwa Marca, bronił go, wykorzystując swoje umiejętności mediatora oraz reputację podziemnego działacza, długoletniego emigranta i nieskazitelnego anarchisty, czym zdobył sobie dozgonną wdzięczność Marca. Kiedy tamtego popołudnia odwiedziłem Casañasę, przekonałem się, że jego żona wiedziała, co mówi. Przez cały mój dwugodzinny pobyt stary anarchista przyglądał się legitymacyjnemu zdjęciu Marca, które mu podałem w nadziei, że pomoże jego zniszczonej pamięci; wszystko na nic: nie rozpoznał Marca, i jakkolwiek zachował jakieś strzępy wspomnień z 19 lipca 1936 roku, to w żadnym z nich nie

występował nasz człowiek. Gdy Casañas, z pomocą moją i swojej żony, starał się coś sobie przypomnieć, ja co chwila z nią zagadywałem. Znała Marca, oczywiście, ale uważała, że przyjaźń między nim a jej mężem nawiązała się w Amical de Mauthausen, może w CNT w latach siedemdziesiątych, nie podczas wojny; nie dość na tym: w ciągu trzydziestu lat małżeństwa słyszała nieskończoną ilość razy, jak Casañas opowiadał o wojnie w ogólności i o 19 lipca w szczególności, często mówił też o swoich towarzyszach z tamtych lat, ale o ile sobie przypominała, w jego opowieściach nigdy nie pojawiło się nazwisko Marca.

Tylko tyle dowiedziałem się podczas tej nieudanej wizyty. Dwa dni później żona Casañas zadzwoniła do mnie, mówiąc, że zapytała o Marca brata swego męża, który miał na imię Rogeli i był dwa lata młodszy, ale on także nigdy nie słyszał z ust brata nazwiska Marca w kontekście wojny. Miałem już wtedy przeczytane wszystkie wywiady, jakich udzielił Casañas, gdy miał jeszcze dobrą pamięć, i zdążyłem porozmawiać z historykami, którzy je przeprowadzali; Marco nigdzie się nie pojawiał, nikt nigdy nie słyszał, by Casañas o nim wspominał, tak samo jak nazwisko Casañas nie pojawiało się w żadnych relacjach wojennych Marca, które wyszły drukiem, gdy pamięć Casañas mogła je jeszcze potwierdzić lub zadać im kłam. Wtedy zrozumiałem, że najprawdopodobniej pokazywało to sposób, w jaki Marco przywłaszczał sobie cudzą przeszłość albo się w nią wbudowywał: najprawdopodobniej 19 lipca Marca nie było w koszarach Sant Andreu, lecz zadbał o to, by obecność taką podzyrował autentyczny świadek, który, jak w przypadku jego przyjaciela Casañas, nie potrafił już obalić oszustwa.

Bohaterski 19 lipca Marca z pewnością był fikcją, ale czy istniał naprawdę wuj Anastasio i czy był tym, kim Marco twierdził, że był? Czy podczas wojny dotarł na Majorkę i pod Huescę, i czy Marco mu towarzyszył? Nie sposób było się dowiedzieć, przynajmniej ja nie potrafiłem tego dociec: szukałem nazwiska wuja Anastasia w internecie, w bibliotekach, w czytelniach prasy i archiwach i jakkolwiek nie było powodu, by wątpić w jego istnienie, nie mogłem znaleźć żadnego dokumentu na potwierdzenie, że był anarchista, towarzyszem lub znajomym Durrutiego, ani też republikańskim żołnierzem. Nie mogłem wszakże wykluczyć, że wuj Anastasio występował we wszystkich tych rolach albo w którejs z nich, ani że Marco towarzyszył mu podczas natarcia na Majorkę albo że walczył wraz z nim pod Huescą, mimo że musiałby być wtedy prawie dzieckiem. Jego wspomnienia z obydwu tych zdarzeń były mętne, pogmatwane i bardzo ogólnikowe, co stwierdzili członkowie Estel Negre, Towarzystwa Literacko-Naukowego Anarchistów z Majorki, które pod koniec lutego 2004 roku, rok przed wyjściem na jaw oszustwa Marca, zaprosiło naszego człowieka, by wygłosił pogadankę o swoich doświadczeniach z bitwy na wyspie: niektórzy słuchacze odnieśli wtedy wrażenie, że Marco nie był na Majorce w sierpniu 1936 roku, ponieważ nie potrafił powiedzieć nic konkretnego o ówczesnych zdarzeniach. Ale i ta okoliczność nie dowodzi, że nasz człowiek nie brał w nich udziału, ostatecznie chodziło o wydarzenia sprzed niemal siedemdziesięciu lat, pamięć o nich mogła się częściowo lub całkiem zatrzeć. Wspomniałem też wcześniej, że wyprawa na Majorkę była jednym wielkim chaosem i improwizacją, a także, że wzięły w niej udział dzieci, przez co najpoważniejsi historycy są bardziej skłonni przyjąć tezę o podróży piętnastoletniego

Marca na Majorkę niż tę o walce szesnastolatka jako ochotnika na froncie nad Segre i jego awansie na podoficera.

Czy Marco naprawdę walczył nad rzeką Segre? Pisałem już, że w porównaniu ze wspomnieniami z wyprawy na Majorkę i pod Huescę te dotyczące walk nad Segre są obfitsze i bardziej szczegółowe albo początkowo odniosłem takie wrażenie. Zacząłem zmieniać opinię, gdy – jeszcze nim wyszło na jaw oszustwo Marca – dowiedziałem się, że kilku historyków tych okolic rozmawiało z Markiem o toczących się tam walkach i nie dość, że nie miał on nic lub prawie nic do powiedzenia, to jeszcze niektórzy z tych historyków, podobnie jak członkowie Estel Negre z Majorki, mieli kłopotliwe uczucie, że wcale nie brał udziału w tych wydarzeniach. Ja ze swej strony, znając Marca (czy też rodzaj i motywy jego fantazji), założyłbym się, że epizod z legendarnym Quico Sabaté jest zmyślony od początku do końca. Oczywiście i niewątpliwie Sabaté uczestniczył pod koniec wojny w walkach nad Segre, ale na tym prawda się kończy (albo ja tak uważam). Faktem jest, że ja akurat nigdy od Marca nie słyszałem, jakoby miał osobisty kontakt z tym partyzantem. Może obawiał się, że na tym etapie naszej znajomości albo mojej wiedzy na jego temat już nie dałbym temu wiary. Nie trzeba dodawać, że wszystko to dobrze charakteryzuje powieściową wyobraźnię Marca, podobnie jak górnolotna i sentymentalna retoryka jego listu do redakcji dziennika „El País” („Quico, a wraz z nim wielu innych, przelali krew, aby ludzie stali się wolni i by odmienić społeczeństwo”); i cel tego tekstu nie odbiega od intencji innych wystąpień Marca: wydaje się, jakby upominał się o postać nieugiętego anarchisty, gdy w rzeczywistości upomina się o samego siebie jako towarzysza nieugiętego anarchisty, w dodatku robi to w najlepszym możliwym

momencie, ponieważ wysłała ten list do gazety w styczniu 2000 roku, krótko przed nastaniem w Hiszpanii wielkiej mody na tak zwaną pamięć historyczną, gdy bliska znajomość z bohaterem opozycji antyfrankistowskiej mogła opromienić go bohaterstwem tegoż i stanowić zastrzyk moralnego i politycznego kapitału.

A co powiedzieć o tej ranie od wybuchu pocisku, na skutek której – wedle słów Marca – musiał wycofać się z frontu, tułać po różnych szpitalach na tyłach w trakcie długotrwałej rekonwalescencji i wrócić wreszcie do Barcelony, gdzie wiele miesięcy dochodził do siebie? Od początku cała ta historia wydała mi się podejrzana, by nie powiedzieć nieprawdopodobna (nie tylko z powodu podejrzanie mało konkretnej relacji Marca). Po pierwsze, nie wspomina o tej ranie żadna z jego biografii, nawet te najbardziej szczegółowe – ta, którą podyktował w 1978 roku Ponsowi Pradesowi, ta, którą podyktował w 2000 roku Jordiemu Bassie; nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, ponieważ ran odniesionych na wojnie się nie pomija, szczególnie w relacjach, które mają ukazać waleczną przeszłość bohatera. Po drugie, niemal wszyscy, którzy znali Marca w czasach jego młodości, a z którymi udało mi się porozmawiać – włącznie z jedyną córką z pierwszego małżeństwa, jej siostrą i szwagrem – wiedzieli, albo tak im się zdawało, że Marco walczył na wojnie, bo on sam im o tym opowiadał, lecz żadna z tych osób nigdy nie słyszała, żeby miał wrócić ranny z frontu. Po trzecie, sama rana: czy to prawdopodobne, żeby obrażenia spowodowane wybuchem pocisku armatniego nie zostawiły po sobie najmniejszej blizny, powodując zarazem stan bliski utraty przytomności i będąc przyczyną długotrwałej rekonwalescencji? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie rozmawiałem z lekarzami i czytałem książki poświęcone współczesnej medycynie oraz medycynie

w tamtych czasach i szybko doszedłem do wniosku, że jeśli faktycznie został wtedy ranny, to w wyniku pęknięcia jakiegoś organu wewnętrznego, pewnie żołądka, bo takie obrażenia nie zostawiają po sobie widocznej blizny i powstają na skutek silnego wybuchu w pobliżu ofiary. Ustaliłem jednak zarazem, że to nieprawdopodobne, by przeżyć po tego typu obrażeniach w warunkach, jakie przedstawiał Marco: aby nie umrzeć z powodu krwotoku wewnętrznego albo zapalenia otrzewnej, ranny musiałby być natychmiast operowany, a to – wedle słów samego Marca – nie nastąpiło, a nawet gdyby nastąpiło, to musiałaby zostać jakaś blizna; ponadto byłaby to niezwykle skomplikowana operacja przeprowadzona pośród chaosu i w popłochu, panujących na froncie w tych ostatnich tygodniach wojny w Katalonii. Wylizanie się z takich obrażeń bez operacji byłoby cudem, a ja nie wierzę w cuda.

Tak też, używając niemal tych samych słów, wytłumaczyłem to kiedyś Marcowi u niego w domu. Był wrzesień 2013 roku, od kilku godzin wałkowaliśmy szczegóły jego życiorysu i w końcu po męczącej przepychance Marco przyznał zrezygnowany i zniechęcony, że być może nie wrócił z wojny ranny. Od razu zrozumiałem, że – przy założeniu, że nasz człowiek był na froncie i wrócił do domu w zimie 1939 roku – na jakimś etapie wymyślania wstecz własnej chwalebnej biografii zdecydował, że do bohaterskiej drogi nie pasowało niewyemigrowanie po wojnie i pozostanie w Barcelonie, nawet jeśli zrobił to albo tak to przedstawiał, z nieugiętym zamiarem zejścia do podziemia i prowadzenia walki zbrojnej, a nie z prozaiczną, biorącą się z wyczerpania i naturalną intencją, która przyświecała przy powrocie do domu większości żołnierzy republikańskich: intencją wtopienia się w tłum, by nie stać się ofiarą represji

i pozostać przy życiu mimo klęski. Nie, bohaterska postać fikcyjna stworzona przez Marca musiała mieć odpowiedni powód, by nie wybrać emigracji, a tym najodpowiedniejszym była dla niego ciężka wojenna rana.

Czy w takim razie Marco naprawdę walczył na wojnie? Czy może wszystko było kłamstwem, od początku do końca? Tak właśnie myślałem przez dłuższy czas i choć nie wierzę w cuda, to właśnie cud przekonał mnie, że byłem w błędzie.

Cud albo coś, co – gdy się wydarzyło – wydało mi się cudem. Lub prawie. Było tak: któregoś dnia dotarła do mnie fotokopia wiadomości opublikowanej przez dziennik „La Vanguardia” 29 września 1938 roku, czyli w czasie, kiedy to, wedle jego własnych słów, Marco przebywał na froncie nad rzeką Segre; Xavier González Torán, mój pomocnik w Barcelonie, dał mi tę fotokopię w pracowni pewnego kwietniowego popołudnia 2013 roku. Wiadomość dotyczyła dwóch zdarzeń nakazujących „braterstwo cywilno-wojskowe”, dwóch festynów na froncie republikańskim i w miejscach, ze względów podczas wojny oczywistych niewymienionych z nazwy: jednym był festiwal „zorganizowany przez pierwszą kompanię telefoniczną Batalionu Łączności Armii Wschód”, drugi odbył się „z okazji zakończenia roku w Szkole Doskonalenia dla Kaprali 121. Brygady”. Anonimowy dziennikarz informował, że ten drugi festyn, na który przyszły wiejskie dzieci, rozpoczął się meczem piłki nożnej, następnie zjedzono wspólny posiłek przerywany przemówieniami szefa i komisarza brygady, a na zakończenie, już nocną porą, była muzyka i pokaz filmu. Po posiłku i przemówieniach odczytano listę kandydatów na kaprali wedle wyników uzyskanych w szkole. W tekście podano nazwiska, bataliony i oceny pięciu najlepszych uczniów: najlepszy z nich,

jak mogłem przeczytać, pochodził z trzeciego batalionu i uzyskał 85,33 punktu. Nazywał się Enrique Marco Batlle.

ACTOS DE CONFRATERNIDAD CIVICO-MILITAR

En una villa de Cataluña celebróse un festival, organizado por la primera compañía telefónica del Batallón de Transmisiones del Ejército del Este.

La señorita Pepita Bonet, en representación de las mujeres antifascistas de la población, hizo entrega, al jefe de la citada compañía, capitán don Mario Fusero, de un espléndido banderín. En correcta formación, y a los acordes de los himnos nacional y catalán, desfiló la primera compañía telefónica, acompañada de la población.

En el Ayuntamiento, la banda de música del XVIII C. E. ejecutó varias piezas de su escogido repertorio. Acto seguido, hubo audición de sardanas y vermut de honor.

Por la tarde, con gran asistencia de público, se celebró un lucido baile, amenizado por la orquestina de dicho cuerpo.

Por la noche actuó la banda del XVIII C. E., y también los artistas Cecilia Gubert, Rosa Llopis, Emilio Vendrell y Manuel Abad, que deleitaron a la concurrencia.

Asistieron a dichos actos, el comandante del Batallón de Transmisiones, don Santiago Herrera; jefes y comisarios del XVIII C. E. y otras autoridades militares, así como el Ayuntamiento y representaciones político-sindicales.

—Con motivo de la clausura de fin de curso de la Escuela de Capacitación de Cabos de la 121 Brigada, ha tenido efecto un simpático acto al que asistieron, especialmente invitados, los niños y niñas de la población civil. Comenzó con un partido de fútbol, a cargo de una selección de dicha escuela y el equipo de Sanidad de la 120 Brigada.

Luego se sirvió una comida, con asistencia de todos los alumnos y los niños invitados. Una nota digna de mencionar es la presentación de un periódico mural confeccionado por los colegiales.

Como invitados, asistieron a este acto de confraternización, el jefe y el comisario, los cuales hicieron uso de la palabra, realizando la alta moral de los combatientes y su abnegación por la capacitación de los soldados.

Seguidamente, se dió lectura a la clasificación obtenida, siendo los cinco primeros los siguientes: Enrique Marco Batlle, tercer batallón, 85'33 puntos. Enrique Cabrellez, segundo batallón, 77'91 puntos; Ramón Benaiges, cuarto batallón, 72'84 puntos; Jaime Prat, segundo batallón, 68'14; Pedro Riera, segundo batallón, 57'38 puntos.

Por la tarde, se efectuó una emisión de música en discos, y por la noche, sesión cinematográfica.

Podskoczyłem, krzyknąłem. A więc to prawda: Marco walczył na wojnie, w dodatku w tej jednostce, którą wymienił, trzecim batalionie 121. brygady 26. dywizji, dawnej kolumnie Durrutiego. To była prawda: Marco miał stopień kaprała wojska republikańskiego (możliwe nawet, że zakończył wojnę jako sierżant; jest natomiast czystą fantazją, jakoby miał ją zakończyć w randze porucznika, mimo że tak utrzymywał w jednym z licznych tekstów rzekomo autobiograficznych, które przesłał do Amical de Mauthausen po zdemaskowaniu oszustwa, chcąc wykazać, że odważnie walczył z faszyzmem, mimo że nie siedział w obozie nazistowskim). To była prawda i trudno w nią było uwierzyć. Czytając tę wiadomość, przypomniałem sobie nieufność, jaką Marco wzbudził w historykach walk nad Segre, i pomyślałem, jaka krucha jest pamięć, i pomyślałem o wojnie i o Fabrycym del Dongo i Piotrze Bezuchowie, bohaterach *Pustelni parmeńskiej* i *Wojny i pokoju*, którzy walczyli pod Waterloo i pod Borodino i właściwie nie rozumieli tego, co się wokół nich działo, i o samych bitwach potrafiliby powiedzieć równie mało jak Marco o bitwie nad Segre. I pomyślałem znowu, że każde wielkie kłamstwo zbudowane jest z małych prawd, jest z nich ulepione. Ale pomyślałem też, że pomimo tej nieoczekiwanej udokumentowanej prawdy większa część wojennych losów Marca była kłamstwem, jeszcze jednym produktem jego narcyzmu i nienasyconego pragnienia sławy. Dzisiaj, po długim czasie, myślę tak samo: że Marco nie był 19 lipca w koszarach Sant Andreu ani nie walczył na froncie pod Huescą w szeregach Kolumny Czerwono-Czarnej, ani nie był partyzantem Quica Sabatego na terytorium wroga, ani nie został ranny nad Segre. Tak uważam. Ale myślę również, że nie mogę mieć pewności, że Marco nie popłynął na Majorkę w lecie

36 roku, razem ze swoim wujem Anastasim, albo że nie mogę mieć większej pewności niż ta, którą mieli historycy walk nad Segre co do udziału Marca w tych walkach. Myślę o tym i myślę o chwili, w której – jakbym sposobił się do zdjęcia ostatniej warstwy cebuli z bohaterskiej biografii Marca, tej ostatniej warstwy fikcji przyklejonej do jego wymyślonej postaci – powiedziałem podczas rozmowy w oszklonym holu jego domu, że nie wierzę w jego wyprawę na Majorkę u boku wuja Anastasia, i poprosiłem, żeby wyznał prawdę. Marco siedział naprzeciw mnie, z łokciami opartymi o stół i splecionymi dłońmi; to mogło się wydarzyć tego samego dnia, w którym przyznał, że nie wrócił ranny z frontu, a może później. Krótko mówiąc: na te moje słowa Marco złapał się za głowę w geście, który – choć melodramatyczny – wcale mi się melodramatyczny nie wydał; następnie odezwał się błagalnym tonem: „Proszę cię, coś mi zostaw”.

Zostawiam mu właśnie to.

Co robił Marco po zakończeniu wojny? Albo: co mówi, że robił?

Już pisałem: gdy przyjechał do Barcelony z frontu nad Segre, w zimie 1939 roku, pod sam koniec wojny, schronił się w domu swojej ciotki Ramony, czyli w dozorcówce, którą władze republikańskie przyznały jej mężowi, wujowi Anastasiowi jako rekompensatę dla inwalidy wojennego. Mieszkanie znajdowało się na rogu Lepanto i Travessera de Gracia, w dzielnicy El Guinardó; miało wprawdzie dwa poziomy, ale było maleńkie: na dole, we właściwym pomieszczeniu dozorczy, mieściły się maciupenka kuchnia i jadalnia, ponadto dyżurka, żeby kontrolować wejścia i wyjścia mieszkańców; na górze, niemal na dachu budynku, były dwa pokoiki, również maciupenkie. Pisałem też, że Marco długo wcale nie wychodził z domu. Musiał dojść do siebie, mówi, po obrażeniach wojennych, nie miał dokumentów i nie chciał uregulować swojej sytuacji prawnej, ponieważ godność nie pozwalała mu zaakceptować władz frankistowskich i ponieważ komuś takiemu jak on (podoficerowi pokonanej armii, w dodatku członkowi CNT) groziły poważne represje. Z drugiej strony, mówi, czuł przygniatający ciężar strachu zmieszanego z oburzeniem i wstydem. W jego przypadku, zbuntowanego, ideowego chłopaka, który miał za sobą doświadczenie anarchistycznej rewolucji i wojny i był gotów nadal walczyć przeciwko frankizmowi, uczucia oburzenia i wstydu bardzo przeważały nad strachem.

Dozorcówka ciotki Ramony znajdowała na wprost koszar Lepanto i w pierwszych tygodniach lub miesiącach Marco

ograniczał się do podglądania rzeczywistości przez okno, jak sam opowiada w jednym ze swoich tekstów autobiograficznych albo pseudoautobiograficznych, które wysłał do Amical de Mauthausen po wyjściu na jaw jego oszustwa. Podglądał defilady wojskowe, rozbrzmiewające hymnami zwycięzców i parady pod takimi samymi sztandarami i flagami frankistowskimi, jakie niedawno widywał w promienne poranki, jak łopotały nad okopami po przeciwnej stronie; podglądał procesje, drogi krzyżowe i akty przywracania czci zniesionym za czasów republiki symbolom religijnym, długie szeregi klęczących mężczyzn i kobiet w mantylkach, trzymających w rękach wielkie zapalone gromnice, i podglądał legiony ramion tłumnie uniesionych w rzymskim pozdrowieniu na ulicach; podglądał wreszcie ludzi chodzących po tym cierpiącym głód, sprostytuowanym mieście, w podwójnym uścisku kościoła i falangistów, gospodarczo i moralnie skorumpowanym, upokorzonym i splądrowanym przez drapieżność i arogancję zwycięzców, gdzie zaledwie trzy lata wcześniej uzbrojeni obywatele stłumili wojskową rebelię i gdzie ci sami ludzie, którzy przez całą wojnę walczyli o wolność z entuzjazmem i podziwianą przez świat odwagą i siłą, teraz stali się ludźmi złamanymi, służalczymi, tchórzliwymi i żałosnymi, ludźmi z pustymi koszykami i spuszczonej głowami, cwaniakami, kolaborantami, przestępcami, donosicielami, łapówkarzami i spekulantami, ludźmi żyjącymi na wygnaniu w swoim własnym mieście, pośród których – wiedział to – on się uduś, ponieważ nie zniesie takiego brutalnego, nikczemnego i pełnego zaduchu życia, jakie nowy reżim chciał narzucić. Mimo wszystko chciał tam jednak pozostać, aby walczyć o sprawiedliwość

i godność, jak zawsze, będąc wiernym ideałom anarchizmu z lat swej wczesnej młodości.

Tak też zrobił, albo tak zawsze mówił, że zrobił. Gdy tylko wyzdrowiał po odniesionej na wojnie ranie, zaczął wychodzić z domu i aby ukryć za nieszkodliwą fasadą swoją podziemną działalność, a przy okazji wspomóc ciotkę Ramonę w domowych wydatkach, szybko znalazł pracę w warsztacie naprawczym niejakiego Felipa Homsa, przy ulicy París, tuż przy rogu z Viladomat. Homs, stary republikanin, potrzebował ucznia, bo jego syn odbywał wieloletnią służbę wojskową, którą zwycięzcy urzędowo karali pokonanych żołnierzy. Przyjął nowego pracownika, o nic go nie pytając ani nie żądając od niego dokumentów, a jakiś czas później, kiedy dowiedział się, że Marco był ochotnikiem antyfaszystą w wojsku republikańskim, ucieszył się. W ten sposób Marco zaczął prowadzić normalne albo prawie normalne życie. Starał się powściągać emocje, ale był młodzieńcem z natury impulsywnym, często zuchwałym, w każdym razie nie potrafił znosić spokojnie szykan zwycięzców i ciągle miał z nimi na pieńku. Gdy tylko mógł, chodził do kina, ale przychodził zawsze po rozpoczęciu projekcji i wychodził tuż przed końcem, żeby nie musieć wstawać z wyciągniętą ręką, gdy na początku lub na końcu pokazu puszczano hymn narodowy albo hymn Falangi. Nie tylko on zdobywał się na taki niewielki gest sprzeciwu i może właśnie dlatego pewnego dnia przerwano wyświetlanie filmu w samym środku, zapaliły się wszystkie światła i nieoczekiwanie zabrzmiał hymn *Twarzą ku słońcu*, aby zmusić wszystkich do wstania i salutowania. Marco siedział pośrodku sali, obok przejścia, ale się nie poruszył, pozostał na swoim fotelu, gdy wokół niego ludzie wstawali, grzmiała muzyka i las rąk wyciągał się ku górze. Wtedy, nie odwracając wzroku od

ciemnego nagle ekranu, Marco poczuł czyjąś obecność obok siebie, w przejściu, nie musiał się odwracać całkowicie, by wiedzieć, że to wojskowy. Faktycznie, był to jakiś sierżant. Patrzył na niego. „Nie zamierzasz wstać?“, zapytał. Marco wytrzymał jego spojrzenie; równocześnie poczuł, że muzyka przycichła, zapadła cisza i oczy wszystkich widzów zwrócone są na nich dwóch. Odpowiedział: „Nie”. Sierżant patrzył na niego jeszcze kilka sekund, potem się odwrócił i wyszedł. Marco mówi, że zrobił to wtedy odruchowo, mówi też – przecząc sam sobie – że zrobił to dla siebie, żeby zachować godność, ale przede wszystkim dla pozostałych, żeby obronić godność wszystkich.

Często dochodziło wówczas – wciąż podaję wersję Marca – do podobnych zdarzeń; to znaczy często jemu się przytrafiały takie rzeczy (Marco przytacza inne przykłady: w letnie popołudnie, gdy na stacji kolejowej czekał w kolejce po bilet, żeby pojechać na plażę w Castelldefels, grupa falangistów w czerwonych beretach i niebieskich koszulach chciała wypchnąć go z kolejki; Marco nie dał się wypchnąć, zaczął bić się z nimi, potem uciekł do pociągu, wmieszał się w tłum pasażerów, a w czasie podróży wyglądał z pociągu i widział, jak tamci na każdej stacji wysiadali i szukali go wśród tłumu). Wtedy też został po raz pierwszy zatrzymany. Pewnego popołudnia do warsztatu Felipa Homsa przyszła grupa mężczyzn i zapytała o niego. Chcieli zobaczyć jego dokumenty, a ponieważ ich nie miał, zakuli go w kajdanki i wywrócili do góry nogami cały warsztat; znaleźli tylko jakieś jego notatki, garść biuletynów informacyjnych angielskiego konsulatu i BBC, których był głównym kolporterem w Barcelonie, oraz napis w łazience na ścianie za sedesem: „Powstań, Hiszpanio! Niech żyje Franco! Jak skończysz, pociągnij za łańcuszek i spuść całe to gówno!”.

Zabrali obu, jego i Felipa Homsa, wzięli kasę z pieniędzmi i zamknęli warsztat. W samochodzie nieznajomych nie było dość miejsca dla wszystkich, tak więc dwóch z Markiem zatrzymali taksówkę, wpakowali się do niej razem i jako adres docelowy podali plac Lesseps. Wcześniej Marco myślał, że mężczyźni byli z policji, teraz zrozumiał swój błąd: kilka dni czy tygodni wcześniej grupa falangistów wtargnęła pod jego nieobecność do dozorcówki, szukali go, a gdy nie znaleźli, powiedzieli ciotce Ramonie, że jej siostrzeniec ma się stawić w lokalu na placu Lesseps, na pewno tym samym, na który teraz go wieźli. Marco wyznaje, że kiedy zdał sobie sprawę, że jest w łapach falangistów i że wiozą go do siedziby Falangi, przestraszył się, a może poczuł tylko silniej ten strach, który czuł już wcześniej, więc postanowił uciec przy pierwszej sposobności. A ta się nadarzyła od razu, na skrzyżowaniu Travessera de Gracia i Mayor de Gracia, gdzie miejski policjant kierował ruchem. Gdy tam dojechali, Marco wyskoczył z jadącego samochodu, wpadając wprost na policjanta i krzycząc, że został porwany: natychmiast otoczył ich tłumek gapiów i falangistom na nic się zdało wymachiwanie metalowymi odznakami i legitymacjami członków Movimiento: policjant uznał, że problem powinna rozwiązać policja.

Zabrał więc Marca do najbliższego komisariatu, przy ulicy Rosellón. Falangiści poszli za nimi, odgrażając się Marcowi przez całą drogę, że jak już zostaną z nim sami, to dadzą mu wycisk i za wszystko się z nim porachują. Na szczęście dla niego nigdy sami z nim nie zostali. W komisariacie inspektor policji powiedział falangistom, że Marco zostaje zatrzymany do wyjaśnienia, że on sam wszystkim się zajmie, włącznie ze złożeniem skargi i raportu, i że bardzo jest im wdzięczny za

współpracę. Kiedy falangiści sobie poszli, inspektor przez dłuższą chwilę przyglądał się Marcowi w milczeniu, w końcu zapytał go, ile ma lat. Kiedy Marco odpowiedział, policjant ostro go obsztorcował, że jest jeszcze dzieckiem i że gdyby był jego synem, dostałby w tyłek za to, że nie wie, na jakim świecie żyje, i nie używa mózgu. Potem inspektor wyszedł, zostawiając Marca u siebie w gabinecie, i wrócił dopiero po jakichś dwóch godzinach, kiedy falangistom znudziło się już czekanie na ulicy. „Znikaj – powiedział do Marca, wskazując ręką drzwi. – I żebym cię więcej nie widział”.

Nie wrócił na noc do ciotki Ramony, ani wtedy, ani w następnych dniach. Nie wrócił też do warsztatu Felipa Homsa. Był pewien, że falangiści mają na niego oko i że wcześniej czy później go dopadną, chyba że ucieknie z tego normalnego życia albo z tej ułudy normalnego życia, jaką sobie stworzył. Postanowił uciec. Najpierw zwrócił się o pomoc do dawnego towarzysza z CNT, związkowca z branży metalowej, którego poznał w fabryce Forda w czasie wojny. Ten zaoferował mu kryjówkę na tarasie domku przycupniętego pod mostem Vallcarca. Marco spędził tam kilka nocy, a potem, gdy jego towarzysz zniknął, zrozumiał, że kryjówka jest już spalona. Zaczął przenosić się na chybił trafił z miejsca na miejsce: spał w opuszczonych domach, w parkach, pod schodami, wiele nocy spędził na ławkach na placu Cataluña i na krzesłach do wynajęcia przy Rambli, rano i po południu wielokrotnie jeździł bez celu tramwajem, z jednego końca miasta na drugi. W swoich zapiskach i oświadczeniach Marco wspomina te czasy jako ciężkie, ale wspomina zarazem – z satysfakcją – że czuł się dumny, że pocieszała go i dodawała mu otuchy myśl, że nie skapitulował wobec koncesjonowanego bestialstwa zwycięzców,

pozostał niezłomny wobec terroru i głupoty i że czuł się symbolem, ponieważ był przekonany, że dopóki on wytrwa, zachowując przyzwoitość, honor i szacunek do samego siebie, dopóty w jakiś sposób wytrwa cały naród.

W rzeczywistości robił dużo więcej. To znaczy, cytując jego słowa, nie poprzestał na wymykaniu się wściekłym natarciom frankistów, mimo swych ubożuchnych środków on też na nich nacierał na swój sposób. Marco nie potrafi umiejscowić precyzyjnie czasu zdarzenia, o którym za chwilę: raz wydawało się, że sugeruje, jakoby nastąpiło niedługo po jego powrocie z frontu, możliwe że na wiosnę 1939 roku, innym razem, że wydarzyło się w lecie lub na jesieni 1941 roku, na krótko przed jego wyjazdem z Hiszpanii. Tak czy inaczej chodzi o to, że pewnego wieczoru dowiedział się od ciotki Ramony o śmierci babki Isabel, matki jego ojca, i że rodzina spodziewa się go nazajutrz na pogrzebie w La Trinidad, dzielnicy jego dzieciństwa albo większej części jego dzieciństwa, gdzie nie był od pierwszych dni wojny. Czuwanie przy trumnie odbywało się w dawnym Ateneum Republikańskim, przerobionym przez frankistów na centrum parafialne. Podczas tej ceremonii spotkał ponownie dawno niewidzianych krewnych, kolegów i znajomych; wśród nich Antonia Fernandez Valleta, chłopaka, z którym wspólnie zaciągnęli się na ochotnika do wojska wiosną 1938 roku, żeby walczyć na froncie nad Segre.

Marco i Fernández Vallet bardziej niż kolegami byli bliskimi przyjaciółmi: połączyły ich wspólne zabawy, psoty oraz te same lektury w dzieciństwie, połączył ich także anarchizm, jego ideały, choć Marco zapisał się ostatecznie do związku CNT, a Fernández Vallet do Młodzieży Anarchistycznej. Jest zatem całkiem naturalne, że po pierwszym wybuchu radości z powodu

ponownego spotkania i gdy minął już smutek pogrzebu, Fernández Vallet wziął Marca na bok i pokazał mu ulotkę organizacji o nazwie UJA (Unión de Juventudes Antifascistas, Związek Młodzieży Antyfaszystowskiej) wzywającą do stawiania oporu zwycięzcom. Marco nie słyszał wcześniej o UJA, dotykając zatem ulotki, zapytał Fernandesa Valleta, co to takiego. Przyjaciel wyjaśnił, że to organizacja ruchu oporu młodych, że właśnie została stworzona, że on do niej należy, że powstała i działa przede wszystkim w Santa Coloma de Gramanet, ale należą do niej także ludzie z Sant Andreu, La Trinidad, La Prosperidad, z Verdún i z innych dzielnic robotniczego pierścienia wokół Barcelony, że większość jego towarzyszy jest w podobnym wieku i mają za sobą podobną przeszłość, bo wielu walczyło na wojnie w wojsku republikańskim, mimo że nie wszyscy byli anarchistami jak oni dwaj: w organizacji są też komuniści i socjaliści. Marco twierdzi, że wtedy przerwał przyjacielowi. Powiedział, że wcale mu się nie podoba taka mieszanka ideologiczna ani bycie w jednej organizacji z komunistami, którzy podczas wojny prześladowali anarchistów i są odpowiedzialni za upadek rewolucji; dodał też, że mieszka już nie w pasie dzielnic otaczających Barcelonę, lecz bardzo od nich daleko, w samym mieście. To były słabe wymówki, bo w gruncie rzeczy Marco bardzo pragnął wyjść z osamotnienia i znaleźć towarzyszy walki, tak więc Fernández Vallet łatwo się z tymi wymówkami rozprawił: powiedział tylko, że nie czas odtwarzać wojenne podziały, teraz trzeba walczyć razem przeciwko wspólnemu wrogowi i że brak grupy UJA w Barcelonie nie stanowi żadnej przeszkody, wprost przeciwnie, że jest zachętą do tego, żeby Marco taką grupę stworzył.

W następnych tygodniach albo miesiącach temu właśnie zadaniu poświęcił się bez reszty – wedle jego własnej relacji. Najpierw zwerbował kilku podobnych sobie chłopaków, równie odważnych, szlachetnych i ideowych jak on albo niewiele mniej. Byli to: niejaki Francesc Armenguer (z Les Franqueses), niejaki Jordi Jardí (z Anglès), niejaki Jorge Veí albo Vehi, albo Pei, niejaki Thomas albo Tomàs, także niejaki García i niejaki Pueyo, może jeszcze ktoś. Potem rozejrzał się za jakimś miejscem na spotkania z towarzyszami: znalazł je natychmiast, w kawiarni przy ulicy Peligro róg z Torrente de la Olla, w dzielnicy Gracia; udało mu się wynająć tam część zwolnioną właśnie przez klub kolarski, gdzie w przeszklonych gablotach i na półkach wciąż stały zapomniane trofea. Tam grupa zaczęła się spotykać i dysponując minimalnym potrzebnym wyposażeniem (jeden rewolwer i dwa pistolety, jedna paczka naboju, maszyna do pisania, kilka ryz papieru i kilka arkuszy kalki, nożyczki i dwa zszywacze), natychmiast wzięła się do działania: chłopaki pisali, drukowali i roznosili po mieście ulotki nawołujące do oporu, malowali hasła na murach, czasem rzucili jakąś petardę, bezustannie rozprawiali o tym, jak obalić reżim. Trwało to bardzo krótko, zaledwie kilka niepewnych tygodni. Nie na wiele zdał się entuzjizm: w podziemnej działalności nie mieli doświadczenia i byli całkowitymi nowicjuszami. Pewnego dnia po południu Marco oczekiwał właśnie na łącznika pod pomnikiem Jacinta Verdaguera, u zbiegu Diagonal i alei San Juan; to był taki środek bezpieczeństwa, rodzaj spotkania wstępnego, które miało zapewne poprzedzać (Marco dobrze nie pamięta albo mówi, że nie pamięta) zebranie z innymi szefami oddziału. Łącznik się spóźnił, a gdy w końcu nadszedł, Marco zaczynał już zbierać się do odejścia, myśląc, że coś musiało się

zdarzyć. Wzburzony i zdenerwowany łącznik potwierdził te obawy: rano został zatrzymany sekretarz organizacji, znaleźli przy nim wykaz nazwisk i adresów, aresztowania już się zaczęły, trwa akcja policji, trzeba się ratować. Nim skończył, Marco ruszył biegiem w kierunku Peligro róg z Torrente de la Olla. Tam, w miejscu spotkań swojej grupy, zastał dwóch towarzyszy, powiedział im, co się dzieje, pomógł pozbierać wszystkie rzeczy i razem opuścili bar, nie oglądając się za siebie.

Był to koniec UJA. Marco nie spotkał się więcej ze swymi towarzyszami z grupy ani, rzecz jasna, z Fernadezem Valletem i ludźmi z Santa Coloma. W następnych tygodniach dotarły do niego fragmentaryczne informacje o tym, że wszyscy, co do jednego, zostali aresztowani, postawieni przed sądem i skazani na wysokie kary. Marco wyciągnął dwa wnioski z takiego końca UJA: po pierwsze, że przynależność do podziemnej organizacji to samobójstwo, przynajmniej na razie, i że będzie walczył z frankizmem samotnie; po drugie, że samotnie z frankizmem walczyć nie może, że znajduje się w beznadziejnej sytuacji, bez pracy, bez przyjaciół i z policją deptającą mu po piętach, i że najlepsze, a może i jedyne, co może zrobić, to wyjechać z Hiszpanii.

W tym momencie opowieść Marca zaczyna biec dwutorowo; a raczej jej dwutorowość wymusiło wyjście na jaw oszustwa. Przed wybuchem skandalu historia opowiadana przez niego była w głównym zarysie następująca:

Zdecydowany udać się na wygnanie do Francji i tam kontynuować walkę z faszyzmem, Marco skontaktował się jesienią 1941 roku z kuzynem odbywającym służbę wojskową w porcie i mającym tam wielu kolegów i znajomych (w innej wersji nie dzieje się to jesienią 1941 roku, lecz w zimie 1942

roku). Pepín, bo tak miał na imię ten kuzyn, podjął różne starania i załatwił, dając w łapę jakiemuś karabinierowi, przeschmugłowanie Marca na statek handlowy kursujący między Barceloną a Marsylią (według innej wersji Pepín przekupił nie karabiniera, lecz kapitana statku). Marco odbył potajemnie tę podróż. Teoretycznie w Marsylii miał na niego czekać ktoś z CNT; w praktyce nikt na niego nie czekał i kiedy on szukał swego niedoszłego kontaktu w portowych spelunkach, został zatrzymany przez policję Pétaina, starego francuskiego marszałka, którego naziści postawili na czele marionetkowego rządu w okupowanej części kraju (w innej wersji podaje nazwisko człowieka z CNT, który miał na niego czekać, niejakiego Garcii, i utrzymuje, że został zatrzymany nie w porcie, lecz podczas policyjnej kontroli). Po kilku przesłuchaniach policja Pétaina przekazała Marca w ręce gestapo, które przetrzymało go miesiąc w Marsylii, nim odesłało do Metz, gdzie najpierw trzymali go w jakimś klasztorze, a potem wysłali do obozu we Flossenbürgu (w innej wersji nie wspomina, że został oddany w ręce gestapo, i twierdzi, że zanim dotarł do Flossenbürga, był przez jakiś czas w Kilonii, stolicy Szlezwiku-Holsztyna, niemieckiego kraju związkowego najbardziej wysuniętego na północ). Tam, we Flossenbürgu (albo w Kilonii), rozpoczęła się, według tej pierwszej relacji, niemiecka przygoda Marca.

Druga relacja – to znaczy relacja podawana przez Marca po wybuchu skandalu w maju 2005 roku – jest prostsza, ma tylko jedną wersję i zaczyna się podobnie jak ta pierwsza, ale kończy się całkiem inaczej; w głównym zarysie przedstawia się następująco:

Zdecydowany udać się na wygnanie do Francji i tam kontynuować walkę z faszyzmem, Marco skontaktował się jesienią 1941 roku z kuzynem odbywającym służbę wojskową w porcie i mającym tam kolegów i znajomych. Pepín, bo tak miał na imię kuzyn, podjął różne starania i udało mu się wreszcie dogadać z pewnym karabinierem, który zaproponował, że porozmawia ze swej strony z kapitanem pływającym na trasie Barcelona–Marsylia i że ten kapitan, za rozsądną kwotę, powinien zgodzić się, żeby Marco popłynął potajemnie jego statkiem handlowym. Marco i Pepín spotkali się kilka razy z tym karabinierem w barze Choco-Chiqui, niedaleko placu Pino, ale gdy zdobyli już potrzebne pieniądze – tysiąc peset, prawdziwa fortuna w tamtych czasach – karabinier miał stwierdzić, że wzrosło niebezpieczeństwo, że kapitan ma wiele wątpliwości i żeby je rozwiązać, potrzeba dwa razy tyle. Marco, choć wiedział, że nigdy nie uda mu się zgromadzić takich pieniędzy, zaczął ich szukać. Nie widział innego wyjścia. Był w desperacji. Pewnego dnia, czytając gazetę, znalazł inne wyjście (albo mu ono zamajaczyło): ofertę pracy w Niemczech. To była bardzo atrakcyjna oferta pod każdym względem, również finansowo, ponieważ dawała szansę na kupno domu w Hiszpanii po zaledwie trzech latach pracy, ale to nie miało dla Marca znaczenia: zależało mu tylko na możliwości wyjazdu z Hiszpanii. Jakkolwiek oferta pracy pochodziła z firmy niemieckiej (Deutsche Werke Werft), to faktycznie było to w ramach porozumienia między Hiszpanią a Niemcami, między Franco a Hitlerem i oznaczało, że w trakcie wojny światowej będzie wspierał wysiłek wojenny kraju, który całej Europie siłą i krwawo narzucał faszyzm, ale to też nie miało znaczenia dla Marca: zależało mu jedynie na wyjeździe z Hiszpanii. Tak więc

jeszcze tego samego dnia zgłosił się do barcelońskiego biura firmy Deutsche Werke Werft, przy ulicy Diputación (a może Consejo de Ciento) i złożył wniosek o przyjęcie do pracy. Niedługo potem dowiedział się, że został przyjęty, i pod koniec listopada albo w początkach grudnia 1941 roku pociągiem wypełnionym hiszpańskimi robotnikami wyjechał z dworca Północnego w kierunku Kilonii, stolicy Szlezwiku-Holsztyna, niemieckiego kraju związkowego najbardziej wysuniętego na północ. Tak według tej drugiej relacji rozpoczęła się niemiecka przygoda Marca.

I tak się kończy ten stek kłamstw.

A prawda? Prawda jest taka, że – jak odkryłem, zdejmując kolejne warstwy cebuli z biografii Marca – ten stek kłamstw został naturalnie wyprodukowany z domieszką prawdziwych szczegółów.

To prawda, że po przyjeździe do Barcelony Marco schronił się w domu albo w dozorcówce swojej ciotki Ramony, że ta dozorcówka mieściła się na rogu Lepanto i Travessera de Gracia i mogła wyglądać tak, jak Marco twierdzi, że wyglądała; ale to nieprawda, że ciotka Ramona mieszkała w niej sama; dzieliła mieszkanie z dziewczyną cztery lata starszą od Marca: Aną Beltrán Ribes. To prawda, że Marco długi czas nie opuszczał mieszkania, ale nie jest prawdą, że z powodu odniesionej rany. Pewnie był wyczerpany, przybity i przerażony, jak potrafią być tylko żołnierze wracający z frontu po przegranej wojnie, ale nie był ranny. To prawda, że podoficer republikańskiego wojska, w dodatku członek CNT, nie powinien pakować się w oczy zwycięzcom i mógł obawiać się represji – w najlepszym wypadku trzyletniej służby wojskowej, a możliwe, że karnego batalionu, więzienia albo kary śmierci – ale to nieprawda, że jego poczucie godności nie pozwoliło mu uregulować swojej sytuacji prawnej ani że oburzenie i wstyd z powodu triumfu frankistów były u niego silniejsze od strachu; bez najmniejszej wątpliwości jego strach był dużo większy. To prawda, że znalazł sobie pracę mechanika w warsztacie niejakiego Felipa Homsa, na ulicy París róg Viladomat, ale to nieprawdopodobne, żeby Homs, jeśli istotnie był republikaninem, ucieszył się na wieść, że Marco był

ochotnikiem antyfaszystą w wojsku Republiki, po pierwsze, po wojnie nikt nie mówił o wojnie, a szczególnie ci, co ją przegrali (po wojnie najważniejsze jest zapomnienie wojny), po drugie, ze strachu. Możliwe, że – jak to młodzi ludzie i jak zwykle – Marco był naturalnym buntownikiem i chłopakiem impulsywnym i że, jak wielu innych młodych proletariuszy w Barcelonie czasów wojny i przed wojną, był anarchista z głową rozpaloną rewolucyjnymi ideałami, ale pewne jest, że – jak u wszystkich lub prawie wszystkich żołnierzy strony przegranej – strach, którego doświadczył na froncie, a potem i smutek porażki sprawiły, że zaszła w nim głęboka zmiana i stał się zdolny do znoszenia bez oporu wszystkich szykan. Jak podkreślanie własnej odwagi zdradza tchórza i jak tchórz nieustannie przewiduje katastrofy, tak literackie opowieści Marca o jego niesamowitych ucieczkach i bohaterskich gestach, jak ta historia o odmowie uniesienia ramienia w falangistowskim pozdrowieniu albo odśpiewania *Twarzą ku słońcu*, o jego nieustępliwości wobec brutalnych falangistów w niebieskich koszulach i z pistoletem przy pasie, każą myśleć o tych wszystkich razach, kiedy Marco wyobrażał sobie, że go zaraz aresztują, o tych wszystkich sytuacjach, gdy został przez zwycięzców upokorzony, gdy – w kinie, na ulicy, w reżimowych urzędach – nie miał wyjścia i musiał unieść ramię i zaśpiewać *Twarzą ku słońcu*. To prawda, że bezpośrednio po wojnie normalne życie w Barcelonie polegało na udawaniu normalnego życia, ponieważ – i to też jest prawdą – było to miasto cierpiące głód, sprostytuowane, w podwójnym uścisku: kościoła i falangistów, gospodarczo i moralnie skorumpowane, upokorzone i splądrowane przez drapieżność i arogancję zwycięzców, ale to kłamstwo, że Marco prowadził w nim podziemną działalność, a nie normalne życie

albo udawane normalne życie, albo coś, co zgodziliśmy się enigmatycznie nazywać normalnym życiem, i jakkolwiek to prawda, że ci sami, pełni ideałów i o gorących sercach ludzie, którzy przez trzy lata walczyli o wolność z podziwianą przez świat odwagą, teraz stali się ludźmi złamanymi, służalczymi, tchórzliwymi i żałosnymi, cwaniakami, kolaborantami, przestępcami, donosicielami, łapówkarzami i spekulantami, nie jest prawdą, że nasz człowiek czuł się pośród nich wyobcowany i na wewnętrznej emigracji. Marco może mieć wiele wad, ale nie jest głupi, i choćby nawet nie miał pełnej jasności wobec totalnej klęski tego kraju, który wcześniej znał, musiał wiedzieć, że sam jest częścią tego wszystkiego, że jest taki sam jak inni, jak ogromna większość pokonanych, że on też godzi się na to brutalne, nikczemne i pełne obaw życie narzucone przez zwycięzców i ugina się przed terrorem i głupotą, że wcale nie czuje się dumny ze swego zachowania, nic go nie pociesza ani nie dodaje mu otuchy prócz tego, co mogło być pocieszeniem i otuchą dla ogromnej większości pokonanych żołnierzy republikańskich. I oni, i on nie mieli w sobie wrodzonego heroizmu ani też sił, by nadal walczyć, i pozostali w kraju nie po to, by zejść do podziemia i walczyć dalej, lecz kierowali się naturalną, prozaiczną i biorącą się z wyczerpania intencją, by nie rzucać się w oczy, a zatem uniknąć represji i postarać się przetrwać tę katastrofę. Cóż, to prawda, że Marco jest typowym synem swego kraju w owej chwili, ale nie jest prawdą, że jest on symbolem wyjątkowej przyzwoitości i honoru w obliczu porażki, raczej symbolem powszechnej nieprzyzwoitości i hańby.

Taka jest prawda. Albo taka jest prawda o tym okresie życia Marca: prawda, która okazuje się niemal dokładnym negatywem tego lukrowanego i zwodniczego powieścidla kipiącego od

romantycznych przygód, niezmiennie serwowanych przez Marca z samym sobą w pierwszoplanowej roli szermierza wolności. To jakaś prawda, ale niecała prawda; jest to, powiedzmy, prawda zasadnicza (albo mnie się taka wydaje), są jednak prawdy uzupełniające, które rzucają światło dodatkowe. Przechodzę do ich streszczenia.

Jak powiedziałem, ciotka Ramona nie mieszkała sama, gdy Marco wrócił z frontu; razem z nią mieszkała dziewczyna, Ana Beltrán Ribes; nie powiedziałem natomiast, że Ana (albo Anita, jak nazywała ją rodzina) miała maleńkie dziecko i właśnie odeszła od męża. Nie jest dla mnie całkiem jasne, dlaczego kobiety mieszkały razem; nie wiedzą tego dobrze ani Marco, ani też rodzina Anity. Wszyscy pamiętają, że kilka lat wcześniej Anita zerwała z rodzicami, żeby wyjść za mąż, ale niektórzy twierdzą, że gdy rozstała się z mężem, to rodzice, katolicy i republikanie, nie pozwolili jej wrócić do domu i dlatego poszukała schronienia u ciotki Ramony; inni utrzymują, że rodzice Anity, pomimo swego katolicyzmu i jej ucieczki z domu rodzinnego, zgodzili się na powrót córki i że ona zamieszkała ostatecznie z ciotką Ramoną z tego prostego powodu, że w ostatnich miesiącach wojny, gdy w całym mieście zapanował głód, u ciotki nigdy nie brakowało jedzenia. Co się tyczy ciotki Ramony, możliwe, że знаła Anitę z dzielnicy – dziewczyna zawsze tam mieszkała, zarówno z rodzicami, jak i z niedawno porzuconym mężem – ulitowała się nad jej losem, widząc w opiece nad bezradną i głodującą dziewczyną sposób na zaradzenie swemu świeżemu wdowieństwu, samotności, w jakiej żyła od śmierci wuja Anastasia. Jakkolwiek było, na pewno przez kilka miesięcy ciotka Ramona, Marco, Anita i jej synek mieszkali zgodnie razem: każdego dnia wczesnym rankiem

Anita wychodziła do pracy u akwizytora tkanin, na ulicy Caspe, Ramona robiła zakupy i krzątała się po domu, Marco zajmował się dzieckiem. Zgodne życie się skończyło, kiedy Marco i Anita zakochali się w sobie, albo raczej kiedy ciotka Ramona dowiedziała się, że Marco i Anita zakochali się w sobie. Ciotka Ramona może i była zwolenniczką anarchizmu jak jej zmarły mąż, ale miała mentalność tradycyjnej matrony i uważała, że dla jej siostrzeńca dziewczyna z dzieckiem, w dodatku cztery lata od niego starsza, absolutnie się nie nadaje, tak więc wszelkimi sposobami starała się przemówić Marcowi do rozumu, żeby Anitę zostawił; Marco jednak nie pozwolił sobie przemówić do rozumu, nie zostawił dziewczyny a ciotka Ramona zdecydowała, że Anitę odprawi z dozorcówki, więc wróciła do rodziców.

Marco bez wahania ruszył za nią. Rodzice Anity mieszkali w parterowym domu przy ulicy Sicilia, prawie na wysokości ulicy Córcega, tuż obok baru i sali do gry w piłkę. To była bardzo skromna i bardzo lubiana w dzielnicy rodzina: ojciec pracował jako robotnik w fabryce krochmalu, zbierał złom i też kelnerował w świetlicy robotniczej przy ulicy Valencia, zostając w końcu jej kierownikiem; matka była sierotą wychowaną przez zakonnice. Nigdy nie przeboleli śmierci jedyne go syna, który zginął w bitwie nad Ebro, już pod koniec wojny, ale możliwe, że obecność Marca w domu pomogła im pogodzić się z tą tragedią. To by po części tłumaczyło, dlaczego matka zapomniała o niewzruszonych zasadach moralności, w jakich została wychowana, i pozwoliła, żeby Marco i jej córka mieszkali bez ślubu pod jednym dachem w ich zatłoczonym domku, gdzie mieszkały jeszcze dwie inne ich córki, w tym jedna z mężem. Ta nienormalna albo przez Kościół katolicki uznawana za

nienormalną sytuacja nie trwała długo: 10 sierpnia 1941 roku Marco i Anita wzięli kościelny ślub (poprzednie małżeństwo Anity nie stanowiło żadnej przeszkody, ponieważ frankizm nie uznawał za ważne ślubów cywilnych zawartych w czasie Drugiej Republiki). Ceremonia odbyła się w kościele pod wezwaniem Świętej Rodziny i wzięła w niej udział tylko rodzina od strony Anity, ta od strony Marca nie, bo z większością krewnych Marco był już pokłócony, włącznie z ojcem i z ciotką Ramoną, a może z ciotką Ramoną wtedy właśnie zerwał kontakty. Teraz miał nową rodzinę, czyli rodzinę Anity; a raczej, do tego czasu Marco zjednał już sobie rodzinę Anity, w której wszyscy mieli go za człowieka pracowitego, inteligentnego, kulturalnego, praktycznego, wesołego i uroczego, zawsze czułego wobec swojej żony, zawsze gotowego do pomocy teściom, do służenia radą szwagierkom, a i do opieki nad nimi, i w ogóle do wyświadczania przysług wszystkim, którzy czegoś potrzebowali, słowem za idealnego męża, za zastępcę syna i brata zabranego przez wojnę (oraz w końcu za wybawiciela Anity, którą uwolnił od podwójnej hańby: kobiety żyjącej w separacji z mężem i samotnej matki). To była zżyta rodzina, w tygodniu wszyscy ciężko pracowali, a niedziele spędzali na plaży albo w górach, najczęściej w świetlicy robotniczej przy ulicy Valencia, gdzie ojciec podawał w barze, a dzieci grały w szachy, w karty i wystawiały sztuki teatralne i gdzie Marco wybijał się jako gracz w ping-ponga, niedzielny piosenkarz i zawzięty czytelnik książek z tamtejszej biblioteki. Tak więc w owym czasie, gdy jeszcze płonęło żywym ogniem wspomnienie wojny, ale wszyscy albo prawie wszyscy starali się ten ogień ugasić i dostosować się do nowej sytuacji, Marco nie był oczywiście żadnym bohaterem, buntownikiem czy opozycjonistą, możliwe jednak że był

szczęśliwym człowiekiem albo kimś, kogo enigmatycznie postanowiliśmy nazywać szczęśliwym człowiekiem.

Albo prawie. Ponieważ przeszłość nigdy nie mija, nawet nie jest przeszłością, jak powiedział Faulkner; przeszłość jest tylko jakimś wymiarem terażniejszości. Również w przypadku Marca w 1941 roku przeszłość wojenna była jeszcze żarzącym się wspomnieniem i o wygaszeniu tego wspomnienia mógł on marzyć tylko wówczas, gdyby uregulował swoją sytuację względem uzurpatorskiej praworządności zwycięzców. Czy uregulował? Czy starał się uregulować? Marco zawsze mówił, że tego nie zrobił, że godność mu na to nie pozwalała i że przez te dwa lata pozostawał poza prawem, w rzeczywistości jednak – jak pisałem – kłamał również w tej kwestii: gdyby nie uregulował lub przynajmniej nie usiłował uregulować swojej sytuacji, nie mógłby prowadzić normalnego życia albo udawanego normalnego życia, które prowadził.

To, że Marco kłamał w tej kwestii, odkryłem również przez przypadek: przez przypadek albo dlatego, że przypadek zrzucił kolejny cud. Tym razem podwójny. Pierwszy cud: ogłoszenie opublikowane 23 lipca 1940 roku w „La Vanguardia” (właściwie w „La Vanguardia Española”, bo tak ten dziennik zaczął nazywać się po wojnie); można tam przeczytać, co następuje: „Wzywa się do natychmiastowego stawienia się w Wojskowej Komendanturze Marynarki wymienionych poniżej poborowych”; i widniało trzynaście nazwisk, przedostatnim z nich było – jak się państwo domyślają – Enrique Marco Batlló (w rzeczywistości Batlle). Co to znaczy? Oznacza, że półtora roku po powrocie Marca z wojny władze wojskowe wysłały kilka wezwań na jego adres domowy, albo na adres, który uchodził za domowy, nakazując stawienie się w komisji poborowej, innymi słowy,

rejestrację, poddanie się badaniu lekarskiemu i gotowość do odbycia służby wojskowej; oznacza, że mimo wezwań Marco nie stawił się na komisji – publikacja tego ogłoszenia była prawdopodobnie ostatnim krokiem przed uznaniem go za dezertera. No, dobrze, ale czy został uznany za dezertera? Czy Marco stawił się w końcu przed komisją, czy się nie stawił?

MARITIMAS

LLEGADA DE CARBON DEL NORTE. — Han llegado a nuestro puerto los buques «Zurriola» y «Ulla», procedentes de La Coruña y Avilés, respectivamente, con cargamentos completos de carbón de aquellos puertos.

Los citados buques pasaron a descargar el combustible de que han sido portadores en el muelle de Poniente, paramento Sur, el «Zurriola», y Norte el «Ulla».

BUQUES MERCANTES SALIDOS.—Durante los dos días últimos salieron de nuestro puerto, con rumbo a los de sus respectivos itinerarios, los buques siguientes: vapores «Plus Ultra», «Melchuca», «Demir» (turco), «Ulla», «Monte Amboto», vapor sueco «Sicilia» «Sac 4», «Mallorca», buque-tanque «Zorroza», «Monte Castelo» y varios pallebotes y motoveleros.

PRESENTACION DE INSCRITOS EN LA COMANDANCIA MILITAR DE MARINA.— Deberán presentarse con toda urgencia en la oficina del detall de la Comandancia Militar de Marina los inscritos de Marina que a continuación se indican: Antonio Capilla Pons, Jaime Soler Arbo, José Rojo Ibars Juan Noguera Sala, Antonio Galindo Góspedes, Adolfo Artero Rabal, Manuel Ponte Ruiz Juan Montoya Garrido, Antonio Ferrer Angosto, Jaime Sirvent Sallas, Enrique Marco Batlló, Joaquín Monsonís Escuder y Joaquín Puig Aleu.

CAMBIO DE ATRAQUE. — La motonave postal «Dómine», que procedente de Buenos Aires y escalas llegó la pasada semana a nuestro puerto, según indicábamos en una de nuestras últimas ediciones, ha pasado a atracar de costado en el muelle de Bosch y Alsina, donde procede a la descarga de varios efectos que trajo de aquella procedencia.

La Vanguardia Española 23 lipca 1940

Odpowiedź na oba te pytania znalazłem w innym ogłoszeniu, również opublikowanym w „La Vanguardia”, ale niemal rok później, 2 kwietnia 1941 roku. To ten drugi maleński cud. „Wzywa się do natychmiastowego stawiennictwa w komisji uzupełnień Wojskowej Komendantury Marynarki poborowych

z 1941 roku wymienionych poniżej, w celu odebrania karty powołania”; i pojawiają się cztery nazwiska, z których przedostatnie to – jak się państwo domyślają – Enrique Marco Batlle. Co to oznacza? Oznacza, że jakkolwiek Marco miał uzasadnione powody, żeby nie stawić się przed władzami wojskowymi, to po pierwszym przytoczonym przeze mnie ultimatum stawiał się, oraz że władze wojskowe nie dochodziły jego przeszłości anarchisty i republikańskiego podoficera albo i dochodziły, ale nic nie odkryły, albo i odkryły, ale nie przywiązywały do tego wagi, bo prawda jest taka, że Marco nie został poddany żadnym represjom stosowanym zazwyczaj wobec republikanów, a jego rekrutacja przebiegła zgodnie ze zwyczajową procedurą, stosowaną wobec każdego hiszpańskiego obywatela. Jako taki oraz ze względu na swój wiek Marco powinien zostać powołany do wojska i rozpocząć służbę wojskową w roku 1941 i to drugie ogłoszenie w „La Vanguardia” dowodzi, że mając już uregulowaną swoją sytuację prawną, nie odbierał do kwietnia tego roku wysyłanych przez Wojskową Komendanturę Marynarki wezwań do stawienia się po odbiór karty powołania do marynarki, czyli nie zgłosił się po dokument żołnierza rozpoczynającego służbę; dowodzi również, że do owej chwili Marco nie stawił się przed komisją i zmusił władze po raz drugi do sięgnięcia po ostateczny środek, nim uznają go za dezertera.

Powtarzam, z tych dwóch ultymatywnych ogłoszeń opublikowanych w „La Vanguardia” wynika, co następuje: że po uregulowaniu swojej sytuacji wojskowej w lecie 1940 roku, w kwietniu 1941 roku Marco jest wzywany do odbioru dokumentu poświadczającego, że jest marynarzem, co było ostatnią formalnością przed wcieleniem do służby; albo innymi

słowy: że Marco co prawda nie kwapił się do wypełniania obowiązków, ale się od nich nie uchylał.

MARITIMAS

IMPORTANTE CARGAMENTO DE TRIGO

--Anteanoche llegó a nuestro Puerto el vapor «Monte Teide» procedente de la Argentina y Canarias, con un cargamento de nueve mil toneladas de trigo americano y varias toneladas de frutos y otros productos del citado archipiélago, todo lo cual pasó a descargar en el muelle de San Beltrán.

EL CORREO DE MALLORCA. -- Ayer, a primera hora de la mañana, llegó el vapor correo «Mallorca», procedente de Palma de Mallorca, conduciendo varios pasajeros y un pico de carga general, cuyo alijo pasó a verificar en el muelle de Atarazanas. Por la noche, a las ocho el «Mallorca» se hizo nuevamente a la mar con rumbo al puerto de procedencia.

ENTREGA DE CARTILLAS NAVALES. -- En la oficina del Detall de la Comandancia Militar de Marina, se interesa a la inmediata presentación de los inscriptos marítimos pertenecientes, al reemplazo de 1941 que se citan a continuación, para poder hacerles entrega de sus respectivas cartillas navales: Antonio Collado Flores, Salvador Xufre Cervera, Enrique Marco Batlle y Francisco González Alemany

BOLETIN OFICIAL DEL SERVICIO HIDROGRAFICO DE LA ARMADA. -- Ha aparecido el número 4, correspondiente al año actual, del «Boletín del Servicio Hidrográfico de la Armada», en el cual se insertan interesantes avisos a los navegantes correspondientes a las costas de los Estados Unidos, mar Mediterráneo, Suecia, Portugal, España, África, Indias occidentales, mar de las Antillas, Canadá, Nigeria, Túnez, Argelia, Italia, Yugoslavia, islas Filipinas, etc.

La Vanguardia Española 2 kwietnia 1941 roku

Kiedy już zrozumiałem znaczenie ogłoszeń w „La Vanguardia”, porozmawiałem z Markiem: skonfrontowany z moją wiedzą (albo ze swoim kłamstwem), nasz człowiek opowiedział mi swoją prawdę albo zasadniczą jej część. Prawda jest taka, że pewnego dnia w początkach 1940 roku ciotka Ramona przyszła do domu rodziców Anity, gdzie on już wtedy mieszkał, i wręczyła mu oficjalne wezwanie do stawienia się w Wojskowej Komendanturze Marynarki. Marco wiedział, co to znaczy, i chociaż targały nim wątpliwości i strach, postanowił

nie reagować, mając nadzieję, że wojskowi o nim zapomną. Nie zapomnieli. W następnych tygodniach albo miesiącach nadchodzą kolejne wezwania, coraz bardziej naglące i niepokojące, i Marco wreszcie pojął, że lepiej zaryzykować i stawić się przed władzami wojskowymi, niż zostać uznanym za dezertera albo emigrować. Pewnego ranka zgłosił się zatem do Wojskowej Komendantury Marynarki na Rambli i po krótkiej chwili wyszedł stamtąd cało i zakwalifikowany do poboru, a przeszłość anarchisty i podoficera wojsk republikańskich nie okazała się dla niego zabójcza. Jak Marco sobie poradził? Czy udało mu się ukryć swoją prawdziwą przeszłość? Co wydarzyło się owego dnia w Wojskowej Komendanturze Marynarki? Dokładnie nie wiem – Marco tego nie pamięta albo mówi, że nie pamięta – ale pokuszę się o hipotezę, która teraz wydaje mi się nieodparta: Marco jest spryciarzem, nakręconym gadułą, krętaczem jakich mało, wykołował zatem władze wojskowe, przekonując je, że ma nieskazitelną przeszłość, że jest absolutnie lojalny, by nie powiedzieć nieposzlakowany.

Jeśli moja hipoteza jest poprawna, Marco musiał wykonać jakiś nadzwyczajny numer; tak czy inaczej, w wyniku tego zagrania uregulował swoją sytuację prawną, zdołał przegonić groźne chmury, jakie się nad nim zbierały. Przynajmniej na krótką metę, bo na średnią już nie: wiedział co prawda, że zwycięzcy nie będą go represjonować, ale wiedział także, że w 1941 roku dostanie w pewnej chwili wezwanie do wojska i będzie musiał odbyć piętnastomiesięczną służbę wojskową, obowiązek każdego obywatela hiszpańskiego. Nie była to perspektywa tak ponura jak więzienie albo karne bataliony, ale nie była też pociągająca, czego dowodzi fakt, że większość młodych ludzi w wieku poborowym robiła co mogła, żeby tej

służby uniknąć. Marco zawsze był z większością i tym razem też nie zrobił wyjątku. Spróbował wymigać się od wojska: podporządkował się co prawda drugiemu ultimatum ogłoszonemu publicznie przez władze wojskowe i odebrał kartę powołania w Wojskowej Komendanturze Marynarki, lecz przez następne miesiące – drżąc, że w każdej chwili mogą go wezwać do wojska – szukał jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

Znalazł je na początku jesieni. Pod koniec sierpnia owego roku, dokładnie 21 sierpnia, rządy hiszpański i niemiecki podpisały w Madrycie tak zwaną „Konwencję hiszpańsko-niemiecką w sprawie delegowania hiszpańskich robotników do Niemiec”. Porozumienie miało cztery główne cele: spłacenie przez Franco długu w wysokości 480 milionów marek, czego Hitler domagał się za niemiecką pomoc podczas wojny domowej; dostarczenie niemieckiemu przemysłowi taniej siły roboczej w miejsce milionów młodych Niemców zmobilizowanych w 1939 roku i wysłanych na fronty wojny światowej; zacieśnienie związków między reżimem niemieckim a hiszpańską dyktaturą, zafascynowaną sukcesami nazistów w trzech pierwszych latach wojny; i *last and also least*, ulżenie nieco zmaltretowanej gospodarce hiszpańskiej poprzez eksport bezrobotnych i zmniejszenie tym samym niespotykanych rozmiarów bezrobocia.

W październiku rząd hiszpański ogłosił warunki naboru hiszpańskich robotników do pracy w Niemczech i Marco w lot skorzystał z tej okazji. Od tej chwili jego relacja, tak jak ją znamy – od przeczytania w prasie oferty pracy aż do wyjazdu z Barcelony pociągiem pełnym hiszpańskimi robotnikami, poprzez wizytę w biurze Deutsche Werke Werft przy ulicy Diputación, a może Consejo de Ciento – odpowiada ogólnie prawdzie. To

znaczy, że to była ta prawda, z którą Marco wymieszał swoje kłamstwa. To znaczy, że sprawy musiały potoczyć się mniej więcej tak, jak przedstawiał to Marco w drugiej wersji swego wyjazdu z Hiszpanii, trzeba tylko wykreślić tę historyjkę, jakoby w 1941 roku był członkiem ruchu oporu, któremu frankistowska policja deptała po piętach, nie miał więc innego wyjścia, jak tylko skorzystać z nadarzającej się sposobności i wyjechać z Hiszpanii. Rzecz jasna – i powiedzmy to na marginesie – możliwość, by ktoś taki jak bohater wymyślony na własny użytek przez Marca wyjechał do Niemiec w charakterze zgłaszającego się z własnej woli robotnika, jest nie tylko nieprawdopodobna, lecz także niedorzeczna (i trudno uwierzyć, że mogła uchodzić za prawdę): nieprawdopodobna, ponieważ każdy ubiegający się o kontrakt robotnik musiał mieć dokumenty w porządku, a biura ewidencji i pośrednictwa pracy należące do Krajowej Delegatury Związków Zawodowych, czyli oficjalna hiszpańska instytucja, gdzie rejestrowano kandydatów, zanim podpisali kontrakty z różnymi niemieckimi przedsiębiorstwami, nie zarejestrowałyby kogoś pozbawionego dokumentów, a już szczególnie do pracy cieszącej się takim wzięciem jak praca w Niemczech; niedorzeczna, ponieważ niedorzeczna jest myśl, by ktoś sprzeciwiający się frankizmowi lub faszyzmowi był skłonny wyjechać do Niemiec, aby wspierać wojenną produkcję kraju, który podbijał Europę i narzucał jej faszyzm (i dlatego odruch sprzeciwu wobec dyktatury odwodził hiszpańskich robotników od takiego kroku). Czy to znaczy, że Marco przestał być entuzjastycznym anarchistą, by stać się entuzjastycznym faszystą? Nie, jakkolwiek nie byłby ani pierwszy, ani ostatni z tych, którzy po wojnie zamienili z dnia na dzień jeden entuzjazm na drugi. To prawda, że przed podpisaniem

kontraktu wypytywano robotników o ich stosunek do reżimu i że niektórzy kandydaci podawali jako zasługę swoją walkę na wojnie po stronie frankistów jako dowód oddania sprawie; prawdą jest również, że prasa publikowała z pierwszych wyjazdów robotników do Niemiec wiele zdjęć, z których widać znaczny ideologiczny zapał, widać lokomotywy ozdobione wielkimi swastykami, a z okien wagonów wychylają się robotnicy i gorliwie wyciągają ramiona w faszystowskim pozdrowieniu; ale nie przekreśla to innej prawdy, niewidocznej w oszukańczym jazgocie propagandy: w ogromnej większości mężczyźni ci wyjeżdżali nie z chęci pomocy nazistom w wygraniu wojny, lecz po to, by uciec od biedy frankistowskiej Hiszpanii, z czystej ekonomicznej konieczności.

To był właśnie przypadek Marca. Nasz człowiek wyjechał do Niemiec, kierując się, po pierwsze, chęcią uniknięcia służby wojskowej (albo jej odroczenia), a po drugie, chęcią zarobienia na życie w kraju, który wygrywał wojnę. Teoretycznie jednym z niezbędnych warunków zatrudnienia przez firmy niemieckie było dopełnienie wcześniej obowiązku służby wojskowej albo zwolnienie z tego obowiązku; w przypadku Marca, z takich czy innych względów pominięto ten wymóg, a może im nakłamał albo znowu ich wykołował: hiszpańscy urzędnicy bez wątpienia uznali go za będącego politycznie po właściwej stronie albo za osobę nieszkodliwą, a na przedsiębiorcach niemieckich musiały zrobić wrażenie jego młodość, energia, zapał, a nade wszystko jego umiejętności jako mechanika (szczególnie im zależało na robotnikach do przemysłu metalowego), bo 27 listopada 1941 roku, mając pod pachą dwuletnią umowę o pracę podpisaną z Deutsche Werke Werft, Marco wsiadł do pierwszego pociągu

z robotnikami, odjeżdżającego z Dworca Północnego w Barcelonie, by rozpocząć niemiecki rozdział swego życia.

Czy to wszystko? Czy w pierwszych dwóch powojennych latach Marco był tylko młodzieńcem politycznie nieszkodliwym, skoro ani nie popierał reżimu, ani nie był anarchista nawróconym błyskawicznie na faszyzm (nie ma żadnej informacji, ani jednego świadectwa, które by o takim nawróceniu świadczyły)? Czy był tylko jednym z tej ogromnej większości pokonanych, którzy zgodzili się bez oporu na brutalne, nikczemne i pełne obaw życie narzucone przez zwycięzców? A może jakaś jego część się na to nie godziła? Czy Marco pozostawał w kontakcie z jakąś grupą antyfrankistowską? Czy mogę mu coś zostawić? Czy mogę zostawić mu Związek Młodych Anarchistów? Czy Marco należał do UJA albo pozostawał z nim w jakimś kontakcie?

Historia Związku Młodych Anarchistów jest niezwykła. To mały epizod, pogrzebany we wspólnej mogile antyfrankizmu przez niemal sześćdziesiąt lat aż do 1997 roku, kiedy to dwóch młodych historyków, Juanjo Gallardo i José María Martínez dokonało jego ekshumacji; jeszcze dziś historia związku jest mało znana. Pod koniec stycznia 1939 roku, na dwa miesiące przed końcem wojny domowej i kilka dni po zdobyciu Barcelony przez frankistów, grupka Katalończyków postanowiła nie godzić się na przegraną. Niektórzy z nich walczyli wcześniej w republikańskim wojsku, wielu działało w Młodzieżówce Anarchistycznej. Wszyscy byli bardzo młodzi: najstarszy miał dwadzieścia trzy lata, a najmłodszy piętnaście, większość była w wieku od siedemnastu do osiemnastu lat; trudnili się najrozmaitszymi zajęciami, byli wśród nich robotnicy dniówkowi, szklarze, pracownicy fizyczni, księgowi, krawcy, elektrycy, kolejarze, pomocnicy sklepowi, cukiernicy, sprzedawcy, a nawet

trzech uczniów. Serce UJA biło w Santa Coloma de Gramanet, ale organizacja szybko rozrosła się, obejmując zasięgiem Sant Adrià del Besós, i stawiała sobie za cel dotarcie do innych miejscowości z robotniczego pierścienia wokół Barcelony, jak też do samej Barcelony. Słowo „organizacja” jest pewnie trochę na wyrost; pomimo że związek miał pewną strukturę, z szefami sekcji i geograficznym podziałem na sektory, w rzeczywistości UJA był tylko grupą młodych ludzi, która spotykała się w domach swoich rodziców i mając do dyspozycji żałośnie skromne środki i własną zuchwałą odwagę, redagowała, drukowała i rozpowszechniała ulotki wzywające do powstania, przeprowadziła nawet atak na garnizon włoskich faszystów, planowała akcje sabotażu na obiekty w terenie i napadała na znanych frankistów, by zrabowanymi w takich napadach pieniędzmi wspierać rodziny antyfrankistów znajdujące się w rozpaczliwej sytuacji. Żywot UJA był jednak krótki: zakończył się 30 maja 1939 roku, niecałe trzy miesiące po powstaniu związku. Tego dnia rozpoczęły się aresztowania (jak można przeczytać w dokumentach śledztwa, „zarekwirowano jedną maszynę do pisania, pięć karabinów, trzy strzelby, jedną bombę ręczną i kilka sztuk amunicji”), a 2 stycznia następnego roku sąd wojenny wydał wyrok na dwudziestu jeden członków organizacji i na siedem innych osób; z wyjątkiem trzech, którzy nie ukończyli jeszcze szesnastu lat i mieli stanąć przed sądem dla nieletnich, wszyscy pozostali dostali wyroki skazujące: orzeczono pięć kar śmierci (wykonano tylko jedną), osiem kar dożywotniego więzienia, dwie kary po dwadzieścia lat więzienia, cztery po piętnaście i dwie po sześć lat. Tak więc gdy wszyscy w kraju z ochotą lub pod przymusem, mówili „Tak”, byli ludzie, którzy powiedzieli „Nie”, ludzie, którzy się nie pogodzili,

pozostali nieugięci i nie przystali na powszechne po klęsce sromotę i upokorzenie. Stanowili nieskończoną mniejszość, ale byli. W ciągu niemal sześciu dziesięcioleci ich nazwiska popadły w zapomnienie, dziś trzeba je zatem przypomnieć. Cześć odważnym. Oto oni: Pedro Gómez Segado, Miguel Colás Tamborero, Julia Romera Yáñez, Joaquín Miguel Montes, Juan Ballesteros Román, Julio Meroño Martínez, Joaquim Campeny Pueyo, Manuel Campeny Pueyo, Fernando Villanueva, Manuel Abad Lara, Vicente Abad Lara, José González Catalán, Bernabé García Valero, Jesús Cárceles Tomás, Antonio Beltrán Gómez, Enric Vilella Trepas, Ernesto Sánchez Montes, Andreu Prats Mallarín, Antonio Asensio Forza, Miquel Planas Mateo i Antonio Fernández Vallet.

Czy Marco był jednym z tych sekretnych młodziutkich bohaterów? Czy Marco należał do UJA? On sam przez wiele lat utrzymywał, że tak: z całym naciskiem w rozmowach ze mną utrzymywał, że tak, i był to w istocie jeden z epizodów jego przeszłości, o który najzajadlej się spieraliśmy podczas naszych spotkań i którego wyjaśnienie wymagało ode mnie największej pracy. Nie trzeba dodawać, że – wiedząc o normalnym życiu lub udawanym normalnym życiu Marca w czasie króciutkiego istnienia UJA, znając jego biegłość w oszukiwaniu oraz namiętne przywłaszczanie sobie bohaterskiej przeszłości innych – z początku nie dałem niczemu wiary; ponadto, w miarę jak posuwałem się w swoich badaniach, dowody na to, że nigdy nie należał do UJA wydawały się coraz wyraźniejsze. Dlaczego zatem zacząłem myśleć, że Marco mógł jednak należeć do UJA albo mieć jakiś związek z UJA? Z dwóch powodów: po pierwsze, nim Juanjo Gallardo i José María Martínez wydobyli z niepamięci historię tej grupki młodziutkich antyfrankistów,

niemal dwadzieścia lat wcześniej Marco opowiedział już o swoim w niej udziale, w dodatku dosyć szczegółowo, w pierwszej i oszczędnej relacji o swoim życiu opublikowanej w 1978 roku przez Eduardo Ponsa Pradesa; drugim powodem jest Antonio Fernández Vallet. Według Marca byli przyjaciółmi z dzieciństwa, podczas wojny domowej razem walczyli jako ochotnicy na froncie nad Segre, Fernández Vallet wprowadził Marca do UJA, a równocześnie, jak potwierdzają dokumenty z procesu UJA, sam należał do związku, sprawował w nim funkcję sekretarza do spraw propagandy i został za to skazany na piętnaście lat więzienia. Czy nie należąc do UJA, Marco mógł opowiedzieć historię Fernandez Valleta i związku, kiedy nikt o nich jeszcze nie słyszał albo wszyscy o nich zapomnieli? A może jego przynależność do UJA była tą częstką prawdy, z którą Marco mieszał kłamstwa na temat swoich pierwszych powojennych lat – krótką bohaterską poezją, którą chciał ubarwić stałą prozę swego życia – podobnie jak inną maleńką prawdą była jego walka na froncie nad Segre, wymieszana potem z kłamstwami na temat wojny?

To było atrakcyjne przypuszczenie. Jednakże dowody na brak przynależności Marca do UJA stawały się coraz solidniejsze. Jego nazwisko nie pojawiało się w śledztwie ani w orzeczeniu sądu wojennego i to pomimo faktu, że członkowie UJA byli przesłuchiwanii i torturowani z niezwykle brutalnością – w jednym przypadku aż do śmierci – i że wydaje się mało prawdopodobne, by w takich okolicznościach siedemnastoletni czy osiemnastoletni chłopcy, nie mówiąc już o piętnastoletnich dzieciakach, nic nie powiedzieli. Ponadto żaden z tych członków UJA, którzy przeżyli do dzisiejszych czasów, nigdy nie wspomniał o Marcu w żadnym z licznych świadectw ustnych ani

pisanych, jakie po sobie zostawili, począwszy od wywiadów, a skończywszy na mniej lub bardziej zbeletryzowanych relacjach, żaden też nie powiedział, by – pomimo początkowych aspiracji – UJA rozwinął działalność poza Santa Coloma i Sant Andreu, nie stwierdzili tego również młodzi badacze historii związku, którzy w dodatku byli absolutnie pewni, że wszyscy co do jednego członkowie UJA zostali aresztowani i postawieni przed sądem wojennym. Na zdrowy rozum to ma sens, szczególnie, że UJA został rozbity w fazie początkowej i że przy swojej nikłej infrastrukturze, skromności swoich środków, nie mógł nawet marzyć o tym, by stworzyć komórkę albo grupę w stolicy. Podczas naszych spotkań nie raz i nie dwa konfrontowałem Marca z tymi oczywistościami, starając się wykazać, że jego relacja nie przystaje do faktów, i nalegałem wiele razy, używając takich jak zwykle argumentów, żeby powiedział mi prawdę (najprostszy argument, pomijając moją własną skuteczność badawczą: jeśli mnie nie powie prawdy, to i tak ją odkryje Benito Bermejo). Wreszcie pewnego wrześniowego dnia 2013 roku, gdy piliśmy kawę na placu w dzielnicy Collblanc po całym przedpołudniu spędzonym na bezskutecznym poszukiwaniu Bartolomé Martinez, pierwszego ucznia w jego warsztacie samochodowym, Marco skapitulował: pokrętnie i nie wprost przyznał w końcu – mimochodem i jakby wcale tego nie przyznawał – że nie należał do UJA.

Jaka jest zatem prawda? Czy Marco miał jakiś kontakt z UJA? Czy od początku do końca wszystko zmyślił? Wedle moich dzisiejszych wyobrażeń i rekonstrukcji między Markiem a UJA wydarzyło się, co następuje: Marco faktycznie znał Fernandez Valleta, zaprzyjaźnili się w dzieciństwie w dzielnicy La Trinidad, mieli te same przekonania polityczne, spotkali się

na froncie albo w drodze na front. Zaraz po zakończeniu wojny domowej w Katalonii, gdy Fernández Vallet organizował Związek Młodych Anarchistów, spotkali się ponownie, możliwe że w La Trinidad (ale wbrew temu, co twierdzi Marco, nie na pogrzebie jego babki: wedle danych z archiwum miejskiego Barcelony babka Marca od strony ojca, Isabel Casas, zmarła 15 marca 1940 roku, gdy UJA nie istniał już od prawie roku). Fernández Vallet rozmawiał z Markiem o UJA, prawdopodobnie pokazał mu jakąś ulotkę, może zaproponował przystąpienie do organizacji, a Marco odrzucił tę propozycję ze strachu, z przeczucia albo z obu tych powodów, a może Fernández Vallet nic takiego mu nie zaproponował i Marco nie miał czego odrzucać. Ale na tym musiało się skończyć. Marco wrócił do mieszkania swoich teściów, do żony i synka, i do pracy w warsztacie Felipa Homsa, i do swojego normalnego życia albo udawanego normalnego życia, i nie myślał o UJA aż do dnia, gdy – kilka dni, tygodni albo miesięcy później – dowiedział się przypadkiem, że wszyscy z UJA wpadli. Co się tyczy Fernandesa Valleta, to – w tej wersji – podczas policyjnych przesłuchań nie musiał nawet odmawiać wydania Marca, zachowując się tym samym równie bohatersko jak podczas organizowania związku: Marco po prostu nie należał do UJA, nikt zatem nie mógł go wsypać. Tak czy inaczej, dużo później, bo na początku lat pięćdziesiątych, Marco dowiedział się, że Fernández Vallet wyszedł z więzienia. Marco sam był wtedy w kiepskiej sytuacji i nie przyszło mu do głowy, że stary przyjaciel z La Trinidad może potrzebować pomocy; wprost przeciwnie, choć ze strachu, że ktoś zobaczy go ze zwolnionym właśnie z więzienia czerwonym, nie odważył się z nim spotkać, posłał do niego kogoś z pytaniem, czy nie dałby mu trochę pieniędzy, czy jakoś by go

nie wsparł. Ta prośba była bez sensu: Fernández Vallet miał status trędowatego, chorował i brakowało mu środków do życia; tak naprawdę to on potrzebował wsparcia. Nie wiem, czy od kogoś je otrzymał, w każdym razie on i Marco nigdy więcej się nie widzieli, a dawny bojownik UJA umarł niedługo potem. A gdy pod koniec lat sześćdziesiątych nadeszła chwila, w której Marco zaczął wymyślać sobie biografię antyfaszystowskiego opozycjonisty, przywłaszczył sobie tamten epizod, stając się fikcyjnym członkiem UJA, mózgiem i fikcyjnym przywódcą jego fikcyjnej grupy barcelońskiej.

Taka jest prawda. To się wydarzyło albo ja tak to rozumiem lub tak to sobie wyobrażam. Marco nie był w mniejszości, lecz należał do większości. Mógł powiedzieć „Nie”, ale powiedział „Tak”; ustąpił, pogodził się, dał się przekonać, zaakceptował brutalne, nikczemne i pełne obaw życie narzucone przez zwycięzców. Nie czuł się z tego powodu dumny albo przynajmniej nie czuł się dumny od pewnej określonej chwili ani nie czuje się dumny dziś, i dlatego kłamał. Marco nie jest symbolem wyjątkowej przyzwoitości i prawości w czasach klęski, lecz jest symbolem nieprzyzwoitości i powszechnego upodlenia tamtych czasów. To zwykły człowiek. Nie można mu nic zarzucić, oczywiście z wyjątkiem tego, że chciał uchodzić za bohatera. Nie był bohaterem. Nikt nie ma obowiązku nim być. Dlatego bohaterowie są bohaterami, dlatego są najmniejszą mniejszością. Cześć Fernandezowi Valletowi i jego towarzyszom.

Tak dochodzimy do Niemiec. Dochodzimy do palącego punktu centralnego oszustwa Marca: nie wiem, czy jego najgorszego (albo najlepszego) kłamstwa, ale niewątpliwie tego, które przyniosło mu sławę i demaskację. Odkąd zaczął budować sobie fikcyjną przeszłość antyfaszysty i ofiary nazistowskich obozów, opowiedział tę nieprawdziwą historię niezliczoną ilość razy, w nieskończenie różnych formach i z nieskończoną ilością anegdot, szczegółów i niuansów; byłoby absurdalne i prawdopodobnie niemożliwe starać się wszystkie je streścić, ale nie będzie od rzeczy przypomnieć treść dwóch relacji, na których wsparło się szalbierstwo Marca, a w konsekwencji ta farsa z nim jako więźniem Flossenbürga.

Już je przytaczałem przy kilku okazjach, bo zawierają rdzeń niemieckiego kłamstwa Marca. Obie są syntetycznymi biografiami, najobszerniejszymi, jakie na jego temat opublikowano; obie wyszły jako książki, jedne z nielicznych poświęconych hiszpańskim więźniom obozów nazistowskich; obie przynoszą zwięzłe biografie deportowanych: pierwsza ukazała się w 1978 roku, jest dziełem współczesnego Marcowi pisarza anarchisty, Ponsa Pradesa, została napisana po hiszpańsku i nosi tytuł *Los cerdos del comandante* (czyli „Wieprze komendanta”), (powstała we współpracy z deportowanym do obozu komunistą, Mariano Constantem); druga ukazała się w 2002 roku, jej autorem jest młody kataloński reporter David Bassa, została napisana po katalońsku i nosi tytuł *Memoria del infierno* (czyli „Wspomnienia z piekła”), (powstała we współpracy

z młodym fotografem, Jordim Ribó). Obie biografie są do siebie podobne: obie rozpoczynają się bohaterską i oszukańczą wersją wojennych losów Marca i jego wyjazdu z Hiszpanii i w obu zostały zmieszane prawdziwe i nieprawdziwe szczegóły, aby wyprodukować skuteczne kłamstwo; ale te dwie relacje także się różnią między sobą, nie tylko w pojedynczych szczegółach. Narratorem biografii spisanej przez Ponsa Pradesa jest Marco, ukazała się, gdy nasz człowiek nie znał jeszcze Flossenbürga, wiedział bardzo niewiele o nazistowskich deportacjach i gdy wielu hiszpańskich więźniów ocalałych z obozów wciąż pozostawało przy życiu i mogło zadać jej kłam, dlatego Marco kłamie w niej taktownie i powściągliwie; biografia pióra Bassy natomiast, napisana w trzeciej osobie, wyszła w chwili, gdy żyło już niewielu byłych więźniów i gdy Marco, wówczas członek stowarzyszenia Amical de Mauthausen, miał już za sobą pierwszą podróż do Flossenbürga, zgromadził wiedzę na temat obozów koncentracyjnych w ogóle, a na temat obozu we Flossenbürgu w szczególności, nabrał przekonania, że nie żyje już żaden hiszpański więzień obozu, kłamał zatem szczerze i zuchwale.

„We Flossenbürgu byłem bardzo krótko – Marco kłamie ostrożnie na początku tekstu Ponsa Pradesa – a ponieważ przenosili mnie z miejsca na miejsce, by odizolować od świata, nie mogłem z nikim nawiązać kontaktu”. Gdy opowieść oddala się od Flossenbürga, znika ostrożność, albo prawie znika, i pojawia się epika, koloryzowanie, dyskretne przypisywanie sobie czynów bohaterskich, a nawet pewna doza patriotyzmu, co było rzeczą dość rzadką u Marca: „Odetchnąłem trochę dopiero w podobozie Neumünster, koło Hamburga – mówi Marco – gdzie przeżyliśmy straszliwe brytyjskie bombardowania bombami

fosforowymi, zginęło w nich setki tysięcy Niemców. Ponieważ nie było wiadomo, czy te bomby nie powodują skutków o opóźnionym działaniu, to najpierw posłali nas, więźniów kilku obozów położonych w pobliżu tego ważnego portu, żebyśmy usuwali gruz i zbierali ludzkie resztki na ciężarówkach. Spotkałem tam innego Hiszpana, Andaluzjczyka. We dwóch stanowiliśmy całą reprezentację iberyjską w Neumünster, ale to wystarczyło, by przyłączyć się do międzynarodowej organizacji oporu założonej przez Francuzów i Łotyszy, w której byli też Belgowie, Polacy, Włosi i Niemcy (ci aresztowani w początkowych latach nazizmu: w latach 1933, 1934 i 1935). Polacy byli z nas najmłodsi, bo wszystkich starszych więźniów tej narodowości tak zdręczono, że poddawali się śmierci z zadziwiającą obojętnością. Popatrz tylko: nigdy nie zaobserwowałem nic podobnego wśród Hiszpanów. To znaczy, na ogół, bo było też kilka przypadków załamania”.

Do tego miejsca w tej relacji Marca (albo w relacji Marca reprodukowanej lub odtwarzanej przez Ponsa Pradesa) kłamstwo fabrykowane jest z samych kłamstw; poczynając od tego miejsca jest mieszanką kłamstw oraz prawdy: „Kiedy myślałem, że już mnie zostawią w spokoju, pewnego dnia zjawiono się gestapo i zabrali mnie do więzienia w Kilonii i tam zabawa zaczęła się od nowa. Szczerze ci powiem, myślałem, że nadszedł mój koniec. Przez osiem miesięcy siedziałem w karczerze i nauczyłem się niemieckiego dzięki elektryczności – światło paliło się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – i protestanckiej Biblii, z dwujęzycznym tekstem: po łacinie i po niemiecku. W Kilonii dowiedzieliśmy się, że frankiści wypożyczyli nazistom falangistów i reakcjonistów, którzy dawali się zamykać w obozach i więzieniach i byli tam niemieckimi

konfidentami. Podczas jednego z pierwszych przesłuchań, jakim poddawało mnie gestapo w Kilonii, pojawili się tacy właśnie Hiszpanie i oskarżyli mnie otwarcie o to, że byłem jednym z przewodników organizacji oporu w Neumünster. Jeden był Katalończykiem, drugi pochodził z Valladolid. Pierwszy nazywał się – i nazywa, bo jeszcze żyje, w Martorell – Jaume Poch i był z Ponts w prowincji Lérida; ten drugi nazywał się José Rebollo. Ten pierwszy z Requeté, a ten drugi z Falangi. Dlatego sądził mnie sąd wojenny z oskarżenia o spiskowanie przeciwko III Rzeszy. Był ze mną Brazylijczyk, marynarz ze statku handlowego, nazywał się Lacerda de Silva, aresztowali go w Hamburgu, kiedy Brazylia wypowiedziała Niemcom wojnę. Ten chłopak był wielkim optymistą. Skazali mnie na dziesięć lat przymusowych robót, odsiedziałem tylko część wyroku, bo w 1945 roku Kanadyjczycy wyzwolili Kilonię i odzyskałem wolność”.

Prawdy i kłamstwa: prawda, że Marco trafił do więzienia w Kilonii, że przez jakiś czas siedział w karczerze i że nauczył się trochę niemieckiego, możliwe że z dwujęzycznej Biblii, ale kłamstwo, że był wywieziony do Niemiec – naprawdę zgłosił się do wyjazdu na ochotnika jako robotnik, kłamstwo, że trafił do więzienia w Kilonii z Neumünster – naprawdę trafił tam z samej Kilonii, albo z kolonii mieszkaniowej w Wattenbek koło Kilonii, przystosowanej przez firmę Deutsche Werke Werft dla dobrowolnych robotników, i kłamstwo, że przez osiem miesięcy siedział w karczerze – naprawdę spędził w nim pięć dni. Prawda, że stanął przed sądem, oskarżony przez dwóch Hiszpanów o nazwiskach Jaume Poch i José Robledo (nie Rebollo), ale kłamstwo, że oskarżony o spiskowanie przeciwko III Rzeszy z powodu zorganizowania ruchu oporu w obozie w Neumünster

– faktycznie został oskarżony o zdradę stanu, ale tylko dlatego, że rozmawiając z kolegami z Deutsche Werke Werft, źle się wyrażał o nazistach, a dobrze o Sowietach, tak samo jest kłamstwem, jakoby został skazany na dziesięć lat przymusowych robót – w rzeczywistości uniewinniono go z wszystkich postawionych mu zarzutów, ale może być prawdą, że znał brazylijskiego marynarza o nazwisku Lacerda albo Lacerta, albo Lacerte da Silva. Wyjazd z Niemiec pod koniec drugiej wojny i powrót do Hiszpanii, tak jak przedstawia je poniżej nasz człowiek, to czysta fantazja: „Natychmiast wystawili mi dokument podróży na powrót do Francji, gdzie zostałem skierowany do domu wypoczynkowego. Gdy stamtąd wyszedłem w 1946 roku, przyłączyłem się znowu do podziemia w Hiszpanii”. Relacja Ponsa Pradesa (albo relacja, którą Pons Prades przypisuje Marcowi) kończy się imponującym fajerwerkiem, charakterystycznym dla literackich zmyśleń Marca: następuje odpalenie, po kolei, racy sentymentalnej, racy psychologicznej, a na koniec racy bohaterskiej; wszystkie, ma się rozumieć, to niewypały, wszystkie nieprawdziwe. „Gdy siedziałem w karczerze w Kilonii – mówi Marco – ratunkiem były na przykład docierające do mnie krzyki mew i głosy bawiących się na sąsiednim podwórku dzieci strażników więziennych. Mówiłem sobie: dopóki nad morzem latają mewy, dopóki dzieci się bawią, nie wszystko jest stracone. Ponieważ byłem młody, po powrocie do kraju szybko doszedłem do siebie. Ale jedno tkwiło we mnie przez długie lata: gdy szedłem ulicą i patrzyłem na idącą przede mną osobę, czułem przymus, by dostosować do niej krok, iść w nogę. Inna rzecz, która mnie uratowała, to natychmiastowe przystąpienie do działania. Podziemna działalność anarchistów z CNT w Hiszpanii drugiej połowy lat

czterdziestych była czymś pasjonującym. Ale to już jest inna opowieść”.

Relacja Bassy jest dłuższa i bardziej szczegółowa niż Ponsa Pradesa; jest też w dużej mierze kłamstwem w czystszej postaci, mniej wymieszany z prawdą. Wedle tej relacji Marco, inaczej niż w fałszywej relacji u Ponsa Pradesa, został wywieziony z Francji nie do obozu we Flossenbürgu, lecz do Kilonii, gdzie skazano go na przymusowe roboty w stoczni miejskiej i gdzie, nie tracąc ani chwili, zorganizował system podziemnej informacji i rozpoczął akcje sabotażu (prawie wszystko jest tu kłamstwem). Nie ma istotnych różnic między jedną a drugą relacją z pobytu Marca w Kilonii, są natomiast różnice anegdotyczne: relacja Bassy akcentuje na przykład nadzwyczajną dumę i godność, z jakimi Marco rzekomo wytrzymał przesłuchania gestapo po swoim aresztowaniu, wydłuża fikcyjne miesiące pobytu w karczerze z ośmiu, jak u Ponsa Pradesa, do dziewięciu i zmienia fikcyjne skazanie na roboty przymusowe na niemniej fikcyjne odesłanie do obozu koncentracyjnego. Tu obie relacje zaczynają się zasadniczo różnić: u Ponsa Pradesa Marco załatwia swój pobyt we Flossenbürgu jedną ostrożną linijką, podczas gdy u Bassy poświęca mu kilka stron, nie szczędząc bohaterskich i sentymentalnych fantazji. Poniżej przytaczam je w tłumaczeniu z katalońskiego, zachowując narrację w trzeciej osobie, z minimalnymi zmianami, cięciami i opuszczeniami, poczynając od melodramatycznej sceny pewnej nocy w środku zimy, kiedy to na nieznannej stacji kolejowej Marco czeka na pociąg, który ma go zawieźć do obozu koncentracyjnego:

„Było zimno, bardzo zimno. Nie bardzo wiedział, jaki jest dzień. Te dziewięć miesięcy karczeru sprawiło, że stracił

orientację i poczucie czasu. Musiał być styczeń albo luty, bo niedawno Niemcy obchodzili Nowy Rok. Drżący i zakatarzony, czuł się samotny, bardzo samotny. Był otoczony dziesiątkami ludzi, którzy jak on czekali na pociąg. Ale tak naprawdę był sam. Nadjechał pociąg towarowy i żołnierze kazali im wsiadać do wagonów. Już w środku Enric uświadomił sobie, że wszyscy się nie pomieszczą, ale gdy zrobił ruch, by wysiąść, żołnierze wepchnęli go do środka. Wpadł na dwóch albo trzech więźniów, stali głowa przy głowie, oddech przy oddechu, ciało przy ciele... Upchnęli ich jak zwierzęta. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Szybko fetor stał się nie do zniesienia. Powietrze przesycił odór moczu i kału, tak że wielu dostawało torsji. Wszystko było żałośnie odrażające. I tak to trwało przez dwa dni i dwie noce tej podróży. Niekończąca się udręka postojów. Pociąg zatrzymywał się, żeby przepuścić transporty wojskowe, podczas gdy w wagonach wszyscy mieli nadzieję, że wreszcie dotarli do celu i zaraz otworzą się drzwi. Ale nie. Ruszał ponownie i męka trwała dalej.

Kiedy usłyszeli, że parowóz zatrzymał się na dobre, ucichł silnik, Enric dostrzegł przez szparę nazwę stacji: Flossenbürg. Drzwi się rozsunęły i do środka wpadł lodowaty powiew, powodując poruszenie w każdym wagonie. Wszyscy chcieli odetchnąć świeżym powietrzem, napierali jedni na drugich, chcąc złapać tak upragniony orzeźwiający oddech. Więźniowie stojący z brzegu wypadali na ziemię, popychani przez towarzyszy podróży, z których wielu również potykało się i przewracało. To były dantejskie sceny. Krzyki i wrzaski. Szloch i przekleństwa. Przypominali stado spłoszonych zwierząt, falującą ludzką masę, gdy nagle inercja tych ruchów się zmieniła: stojący na peronie esesmani zaczęli okładać pałkami

pierwszych, którzy upadli, podczas gdy na wszystkich innych rzucały się psy. Ludzie chcieli wracać do wagonów, zderzali się z tymi, którzy wysiadali, przewracali się. A esesmani byli wszędzie. Razy, kopniaki, pałowanie, kąsanie psów.

– *Raus! Raus! Aufrichten! Aufrichten scheibe dür!* [Wysiadać! Wynocha! Wstawać! Wstawać!...]

– *Raus! Im reihe! Im reihe!* [Wychodzić! Rzędem! Rzędem!] – wrzeszczał inny esesman przy wtórze wściekłego ujadania psów. Niektórzy umarli tam na miejscu, tak osłabieni, że esesmani dobijali ich kilkoma uderzeniami. Przerażony Enric zaczął iść w kolumnie po pięciu w kierunku nakazanym przez esesmanów. Wokół leżał śnieg, zmęczone mrokiem wagonów oczy nie widziały ostro okolicznego krajobrazu. Dobrze, że był wieczór, już po zachodzie słońca, bo jego blask by ich oślepił.

Kiedy doszli do obozu koncentracyjnego, kazano im zdjąć całe ubranie i wejść pod prysznice z zimną wodą. Wchodzili popychani przez esesmanów, których agresja ani przez chwilę nie słabła. Niektórzy towarzysze z wagonów dostawali brutalne ciosy pałką tylko dlatego, że nie rozumieli niemieckiego.

– *Achtung! Da links! Da links!* (Uwaga! Na lewo! Na lewo!)

Słyszeć było tylko rozkazy. A ci, co nie rozumieli, dostawali kopniaka, a także, zależnie od humoru tamtych, mogli jeszcze dostać całą serię razów. Kilku zatłuczono na śmierć. Enric w lot pojął, że aby przeżyć, musi wyteńczyć uwagę, trzymać się zawsze daleko od esesmanów i szybko wykonywać rozkazy. Chwila nieuwagi i możesz żegnać się z życiem. Wtedy pojął, że to jego przeznaczenie. Flossenbürg był dla niego piekłem”.

To klasyka: przyjazd więźniów do obozów koncentracyjnych. Istnieją setki, może tysiące relacji ocalałych; również kino i literatura odtwarzały tę scenę niezamordowania. Równie

niezmordowany był Marco, konfabulując na ten temat podczas konferencji, w artykułach i wywiadach. Na przykład 27 stycznia 2005 roku, w sześćdziesiątą rocznicę wyzwolenia Auschwitz przez wojsko sowieckie, podczas uroczystej sesji parlamentu hiszpańskiego, kiedy to deputowani pierwszy raz złożyli oficjalnie hołd ofiarom Holocaustu i niemal dziewięciu tysiącom hiszpańskich republikanów wywiezionym do nazistowskich obozów, Marco opowiedział to w ten sposób: „Kiedy docieraliśmy do obozów koncentracyjnych tymi cuchnącymi pociągami dla bydła, kazali nam się rozbierać do naga, zabierali nam wszystkie rzeczy; nie tylko chcieli nas ograbić, chcieli, żebyśmy zostali zupełnie nadzy, bezbronni: obrączka ślubna, bransoletka, łańcuszek, fotografie. Samotni, opuszczeni, bez niczego. Niczego, co przypominałoby o istnieniu świata zewnętrznego, czyjaś czułość, niczego, co pozwoliłoby żyć dalej z nadzieją, że kiedyś się ją odzyska. Byliśmy normalnymi ludźmi, takimi jak państwo, ale oni nas rozbierali do naga, a potem gryzły nas ich psy, oślepiły ich reflektory, krzyczeli do nas po niemiecku *linke – recht!* [lewa – prawa!]. Nic nie rozumieliśmy, a niezrozumienie rozkazu mogło cię kosztować życie”.

Wszystko było oczywiście kłamstwem. Marco nie przeżył tego, co twierdził, że przeżył, ale w roku 2005 już od dwóch lat stał na czele stowarzyszenia Amical de Mauthausen i był jedynym ocalonym, który owego dnia zabrał głos w parlamencie. Obrazy z tego wydarzenia mówią same za siebie: słuchano przemówienia Marca w pełnej przejęcia ciszy, z głębokim poruszeniem, na sali były dzieci i wnuki deportowanych; niektórzy płakali.

„Najpierw został przydzielony do baraku osiemnastego – ciągnie swą relację Bassa albo Marco, przepuszczony przez

prozatorski filtr Bassy. – A po trzydniowej kwarantannie wysłano go do kamieniołomów, do najcięższego komanda w obozie. Nikt tam nie wytrzymał dłużej niż pół roku, dlatego była ciągła rotacja. Wielu więźniów upadało ze zmęczenia, potem byli rozstrzeliwani. Nie wolno było zabrać ciał ani pogrzebać ich na miejscu, musiały wyjeżdżać z kamieniołomów w wagonikach. Na końcu drogi czekali esesmani i segregowali wagoniki na te, które jechały do kontenerów z granitem i te drugie, ze zwłokami więźniów, które jechały do krematorium. To wtedy Enric pojął, na czym polegał ostateczny cel Hitlera: stworzyć rasę panów poprzez upodlenie tych, którzy zostali z niej wykluczeni. Naziści chcieli stworzyć podgatunek, rasę niewolników, na stałe podporządkowaną aryjczykom. Było to dla niego jasne, bo osiągnęli swój cel: więźniowie trwali pogrążeni w głębokiej i niszczyielskiej depresji, prowadzącej do samobójstw albo bierności, a ta oznaczała natychmiastową egzekucję. Wcześniej Enric nigdy nie widział czegoś podobnego: wyniszczeni ludzie szli dobrowolnie na śmierć, ponieważ nie potrafili znieść powolnego codziennego umierania. Otaczała go rozpacz i udręka i wszystkie siły skoncentrował na tym, by zachować świadomość polityczną. Gdyby zgodził się na rolę ofiary, popadłby w depresję tak jak wielu deportowanych.

Po trzech miesiącach pracy w kamieniołomach został przeniesiony do grupy naprawiającej kadłuby samolotów. Zawdzięczał ten przydział raportom gestapo, które wspominały o jego umiejętnościach jako mechanika. Jego kapo był Niemcem i miał na imię Anton. Razy i krzyki zdarzały się często, ale Anton nie wyżywał się na nich. W końcu to była grupa fachowców, trzeba było o nią trochę dbać. Poza tym jego przeniesienie zbiegło się w czasie z pierwszymi ostrzeżeniami

służb medycznych o nadmiernej śmiertelności we Flossenbürgu. Krematorium nie dawało rady, a wydajność pracy była w obozie poniżej oczekiwań dowódców w Berlinie. To sprawiło, że esesmani wyhamowali trochę absurdalne egzekucje i zabijali tylko więźniów uznanych za niesubordynowanych i niedostatecznie przykładających się do pracy. Powieszeni na placu stanowili zatem ciągły element krajobrazu każdego tygodnia. Nie odcinano ciał, dopóki, w pierwszych dniach fioletowe, nie nabrały odcieniu zielonkawego”.

Wisielcy. Kolejny klasyczny element grozy obozów nazistowskich wyeksploatowany do cna przez fantazję Marco. W reportażu opublikowanym w styczniu 2005 roku w „El País” Marco opowiedział na przykład, co następuje: „W nasze ostatnie święta Bożego Narodzenia w obozie, w 1944 roku, poprosiliśmy o pozwolenie ustawienia choinki i 24 grudnia powiesili nam czterech Polaków na podświetlonym drzewie”. Nic dodać, nic ująć.

„Pietr, zgorzkniały i porywczy Łotysz – ciągnie Bassa, albo ciągnie Marco piórem Bassy – był kapo z baraku Enrica. Zawsze trzymał w ręku pałkę i uwielbiał wymierzać dwadzieścia pięć karnych uderzeń pierwszemu, kto dał mu po temu najmniejszy pretekst. I nie istniała żadna solidarność. W baraku przeznaczonym dla pięćdziesięciu mężczyzn było ich prawie dwustu, ale Enric czuł się bardzo samotny. Poza nim nie było żadnego Katalończyka i wszyscy walczyli o przeżycie. Nie poddawał się i nawiązywał rozmowy z niektórymi Francuzami i Czechami, odważnymi ludźmi i o podobnym jak on duchu walki. Nie mógł liczyć na Rosjan, ponieważ tych zabijano setkami zaraz po przywiezieniu do obozu. Polacy byli nieufni

i trzymali się na uboczu, a z Żydami działało się mniej więcej to samo co z Rosjanami: nie przeżywali długo w obozie.

Stopniowo namówił kilku Czechów i Francuzów, żeby zachowywali każdy najmniejszy wycinek gazety, na jaki natknęli się podczas pracy w wychodzących na zewnątrz komandach. Chodziło o uzyskanie jakichś informacji na temat wojny i kontakt ze światem zewnętrznym. I ten system zaczął działać. Następny krok polegał na wykradaniu maleńkich ilości węgla, aby dłużej grzać w piecach w barakach, a potem zajęli się pozyskaniem do swego sprzysiężenia tych więźniów, którzy spełniali rolę sekretarzy w biurach ds. przemieszczeń. Mogli dzięki temu przeciwdziałać wysyłaniu swoich ludzi do końcowego szpitala (gdzie zabijano więźniów zastrzykami z benzyny), przekładając papiery albo zmieniając nazwiska. Ryzykowali życie, ale wtedy esesmani już nie zwracali uwagi na takie szczegóły, bo byli przekonani, że więźniowie jako istoty niższe nie mogą być inteligentni. Dzięki temu rozluźnili kontrolę.

Enric nie tylko tak myślał, doświadczył tego na własnej skórze. Któregoś dnia, gdy grał w szachy z innym więźniem, jednemu z esesmanów zachciało się z nim zmierzyć. Oczywiście Enric się zgodził, ale wystarczyło mu kilka posunięć, by otoczyć królową swego przeciwnika, i widać było, że zaraz da mu szacha i mata. Tamten dostał furii, zrzucił pionki na ziemię i podwinął rękawy koszuli. Chciał siłować się na rękę. I, rzecz jasna, wygrał. Enric wcale się nie wysiłał, wiedział przecież, że ryzykuje życie i że każdy esesman jest silniejszy niż wygłodzony i chudy więzień. Esesman nie posunął się dalej, ale Enric wyciągnął z tego zdarzenia wniosek, że żołnierze wierzyli we własną wyższość, a gdy ta wiara zaczynała się chwiać, narzucali

swoją wyższość przemocą i siłą. Enric widział w tym ostatnią deskę ratunku, oni widzieli potwierdzenie swojej władzy nad nimi. Zawsze będą wygrywać”.

Nie zawsze. Czasem niesłychana odwaga i przebiegłość Marca nie tylko podważały, lecz ostatecznie obalały schematy myślowe esesmanów, bo nie pozwalały im wytrzymać konfrontacji z heroiczną i godną postawą hiszpańskiego więźnia! Epizod z partią szachów jest tylko jednym przykładem, jest też jednym z największych sukcesów w aktorskim repertuarze Marca. Wersja tego epizodu przytoczona przez Bassę jest stosunkowo powściągliwa; bardziej rozbudowana (i nieco odmienna) jest ta przedstawiona w roku 2004 w reportażu publicznej telewizji katalońskiej. Zawierał on wypowiedź samego Marca wzruszonego niemal do łez swymi zmyślonymi wspomnieniami oraz udratyzowane sceny owego pamiętnego zdarzenia (pamiętnie zmyślonego): obraz nieruchomego Marca na ciemnym tle przeplatał się z bliskimi i dalekimi planami szachownicy zastawionej uroczystymi pionkami na przygnębiającym tle obozu nazistowskiego albo pejzażu imitującego obóz nazistowski, a wszystko przy akompaniamencie majestatycznej, wzruszającej muzyki. „Owego dnia nie tyle grałem z kolegą partię szachów, ile uczyłem go grać – opowiada Marco w tym reportażu. – Nagle spostrzegłem cień na szachownicy. Uniosłem wzrok i zobaczyłem esesmana, który jednym kopniakiem odtrącił mego kolegę, walnął pięścią w stół i kazał mi grać dalej. Chciał ze mną wygrać, udowodnić raz jeszcze, że jest od nas lepszy, lepszy ode mnie, bo koniec końców, kim ja byłem? Nieszczęśliwie, w dodatku Hiszpanem, południowcem, typem śródziemnomorskim. I zagrałem z nim tę partię. Błysnęła mi w głowie myśl, że skoro gram z esesmanem, muszę wygrać bez

względu na konsekwencje. Zbijałem mu figury, jedną po drugiej; nie był dla mnie przeciwnikiem. Wreszcie, z rozmysłem, zostawiłem mu tylko króla. I dałem szacha i mata królowi, wiedząc, jaką mogę zapłacić za to cenę. Ale to była chwila specjalna, moja chwila, nie mogli mi jej odebrać w żaden sposób. I byłem przekonany, że cokolwiek się zdarzy, odzyskałem sam siebie jako człowiek. Owego dnia odzyskałem godność. Wygrałem swoją bitwę pod Stalingradem”.

Wygrał nie tylko tę, ma się rozumieć: w marzeniach o swoim heroizmie wobec nazistów – których niezmiennie pokonywał swoją odwagą i siłą ducha – wygrał o wiele więcej bitew. Zanim wrócę do relacji Bassy, przytoczę ostatni przykład, również zaczerpnięty z telewizji. Pochodzi z programu wyemitowanego przez kanał Historia lokalnej telewizji galisyjskiej: inscenizacja nie jest taka pretensjonalna jak przy epizodzie z szachami, muzyka w tle jest mniej sentymentalna, a ilustracją do słów Marca są obrazy prawdziwych więźniów w prawdziwych obozach nazistowskich, lecz występ głównego bohatera jest równie brawurowy (chrapliwy głos, pompatyczne gesty, łzy w oczach), sens relacji równie dydaktyczny i uwznioślający i – nie trzeba dodawać – historyjka jest równie kłamliwa. „Co pozwoliło mi przeżyć – zapytuje sam siebie Marco na początku swej relacji – podczas gdy inny na moim miejscu, ktoś niemający aż tylu powodów, by zginąć lub zostać zabitym (jeżeli w ogóle może istnieć jakiś powód, by komuś odebrać życie), już dawno straciłby życie? Co naprawdę stało się tamtego dnia, gdy przyszli nas ukarać, bo w ciągu kilku godzin zniknęło z mego baraku kilku chłopaków pracujących na zewnątrz? Co się stało, kiedy esesman wybierał co dwudziestego piątego z nas na rozstrzelanie i kiedy zobaczyłeś, bojąc się jak zawsze, że zbliża

się do ciebie, i zrozumiałeś, że na ciebie padnie? Gdy doszedł do mnie, zatrzymał się i wyciągnął w moją stronę palec wskazujący. Nie odezwał się ani słowem. Ja wiem tylko, że uniosłem głowę, spojrzałem na niego i myślę, że nigdy nie popatrzyłem na nikogo bardziej hipnotycznie. I wiem tylko, że on stał, wpatrując się we mnie, z kamiennym wyrazem twarzy; niemal nie poruszając wargami, powiedział: *Der Spanier anderer Tag*. Hiszpan kiedy indziej. I odszedł”.

Wystarczy spojrzenie szlachetnego i odważnego człowieka, by kat się wystraszył. Czysty kicz. Prawdziwy Marco.

„Zawsze będą wygrywać” – tak według Bassy myśleli naziści albo tak właśnie, według Bassy, myślał Marco, że myśleli naziści w czasach jego zmyślnego pobytu we Flossenbürgu, a następnie pisze: „Tak było, gdy któryś załatwił swoją potrzebę poza barakiem i jakiś to zauważył. Kazali im stanąć w szeregu i zapytali, który to był. Nikt nic nie powiedział i za karę musieli stać nadzy przez całą noc na placu apelowym. W środku zimy. Do rana dziesięciu zamarzło. Tak oni udowadniali swoją władzę. I robili to, kiedy tylko chcieli. Każdy moment był dobry, żeby zabijać podludzi.

Cierpienie i śmierć rządziły w każdym zakątku obozu i brały we władanie wszystkich jego mieszkańców. Enric nie stanowił wyjątku. Był silny i miał wykształcenie polityczne, ale przecież tam w środku był nikim. Smutek i strach są trudnymi do pokonania wrogami, gdy dopadają cię co noc, w ciemności wypełnionej szlochem więźniów oplakujących przyjaciół i krewnych zabitych tego dnia. Ten strach czasem odbierał rozum, jak w dniu gdy wszyscy więźniowie zostali zapędzeni do komory dezynfekcji. Tak nazywali ją esesmani, ale rzecz jasna, wszyscy myśleli o gazie. Nikt gazu nie widział, ale wszyscy

o nim słyszeli, koledzy niektórych zostali zagazowani. Zamknęli ich w środku nagich i zaczęli wpuszczać parę. Wtedy kilku więźniów zaczęło krzyczeć, rzucali się na ziemię, walili głową w ściany. Enric pomyślał w panice, że gaz już zaczyna zabijać tych najsłabszych. Ale po kilku sekundach uświadomił sobie, że nie umierają, lecz mają napad hysterii, niektórzy nawet epilepsji, ze strachu. Panika się rozszerzała. Najpierw dopadła dwóch więźniów, potem trzech, pięciu, dziesięciu... Aż wreszcie zaczęli wariować i ci, którzy stali obok niego. Wtedy dał każdemu w twarz z obu stron. Uspokoił się, przynajmniej ci najbliżej niego. Owego ranka oglądał śmierć z jeszcze bliższej odległości niż wtedy, gdy razem z innymi więźniami obozu patrzył na powieszenie dwudziestu pięciu Czechów za próbę ucieczki. Ale nadeszło południe, wieczór i wreszcie noc. A wraz z nią sny, ucieczka, wybawienie dla jego duszy, mimo że tylko na kilka godzin.

A po nocach przychodziły kolejne dni, tygodnie, miesiące i lata. Aż do 22 kwietnia 1945 roku, kiedy to siły trzeciego korpusu armii amerykańskiej dotarły do Flossenbürga. Enric nie wyszedł z kryjówki w podziemiach kotłowni, dopóki nie usłyszał gromkich okrzyków radości. Ukrył się tam wcześniej, bo – wiedząc, że alianci wkroczyli do Niemiec (wszyscy to wiedzieli) – obawiał się, że esesmani zabiją więźniów z wściekłości albo żeby się pozbyć świadków swoich zbrodni. Ale Niemcy uciekli jak szczury, nim alianci dotarli do miasta Flossenbürg. Nazajutrz, 23 kwietnia, w obozie panował chaos. Szpital był pełen umierających ludzi, w barakach dochodziło do bójek i kłótni, niektórzy zdobyli broń... W miasteczku pozostały patrole niemieckiej policji pilnującej, aby więźniowie nie wyszli z obozu. Alianci ich wyzwolili, to prawda, ale zaraz potem odjechali. Nikt

nie wiedział, co robić ani dokąd iść. I, ku ich zdziwieniu, po kilku dniach do obozu przybyli nowi więźniowie. Nie byli to ludzie deportowani przez nazistów, lecz przesiedleńcy, z którymi alianccy dowódcy nie wiedzieli, co zrobić. To były dni konsternacji, w których radość z wyzwolenia stawała się gorzka, głównie dla niego, bo był jedynym Katalończykiem w obozie, apatrydą, o którego nikt się nie upominał”.

Taka była w swej zasadniczej części relacja Bassy, która z kolei stanowi rdzeń zmyśleń, jakie Marco wyprodukował na temat swego pobytu we Flossenbürgu. Reszta relacji Bassy to coś na kształt epilogu, w którym Marco znowu miesza prawdę i kłamstwa i opowiada o swoim rzekomym powrocie do Kilonii po wyzwoleniu Flossenbürga, o ponownym podjęciu pracy w stoczni, rzekomym powrocie do Barcelony w 1946 roku, rzekomym związaniu się z podziemnym ruchem antyfrankistowskim w czasach dyktatury, a po upadku dyktatury o swojej niewątpliwej przynależności do CNT, FAPAC i stowarzyszenia Amical de Mauthausen. Za to wszystko – kończy zadowolony Bassa – w 2001 roku rząd kataloński odznaczył Marca najwyższym odznaczeniem cywilnym, Krzyżem Świętego Jerzego. Cześć bohaterom.

Tak wygląda kłamstwo. Ale co z prawdą? Co naprawdę wydarzyło się w czasie pobytu Marca w Niemczech na początku lat czterdziestych? Czy można zrekonstruować najbardziej kontrowersyjny etap jego biografii? Odpowiedź brzmi: tak, w znacznej części.

Marco wyruszył ku swemu nowemu życiu emigranta 27 listopada 1941 roku z Dworca Północnego w Barcelonie, w pierwszej grupie ochotników katalońskich, która wyjechała na roboty do Niemiec. Pociąg był pełen mężczyzn, niektórych w sile wieku, ale w większości bardzo młodych, choć nie tak młodych jak Marco, który liczył sobie wtedy ledwie dwadzieścia lat; każdy miał przy sobie kopertę z nazwiskiem, swoim numerem, biletem na pociąg, miejscówką i bonem żywnościowym, prócz tego kawałek chleba, kilka konserw i jedną zmianę zimowej odzieży; każdy miał opaskę w kolorach hiszpańskiej flagi, paszport i kartkę z instrukcjami na czas podróży. Pociąg zatrzymywał się na niektórych stacjach, dostawali tam kawę i pączka, mogli na chwilę wysiąść i pospacerować po peronie i pójść do toalety, ale nie mogli opuszczać dworca, a gdy dojechali do Metz, na północnym wschodzie Francji, zostali umieszczeni w kilku różnych pociągach jadących do różnych miejsc docelowych, a policję francuską eskortującą pociąg od hiszpańskiej granicy zastąpiła niemiecka (albo tak to zapamiętał Marco). Wiele lat później, gdy na tym właśnie dworcu kolejowym kręcono scenę do filmu Santiago Fillola i Lucasa Vermala *Ich bin Enric Marco*, Marco zastanawiał się

melodramatycznie: „Chciałbym wiedzieć, dokąd wtedy jechałem. I co zamierzałem”, niczym ktoś, kto rekonstruuje swą daleką przeszłość i nie potrafi jej odtworzyć, jakby po tylu latach wciąż nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego wyjechał wówczas z Hiszpanii na ochotnika. W rzeczywistości odpowiedź na te dwa pytania jest prosta i nikt nie znał jej lepiej od Marca: jechał do Kilonii na północnym zachodzie Niemiec, zatrudniony przez niemiecką firmę w ramach porozumienia zawartego między Hiszpanią a Niemcami po to, by Franco mógł zwrócić Hitlerowi dług zaciągnięty u niego podczas wojny domowej i pomóc mu wygrać wojnę światową, i zaprowadzić faszyzm w Europie; chciał uniknąć służby wojskowej i zarobić lepsze pieniądze, niż mógł wtedy zarobić w Hiszpanii. Zwyczajnie. Proste.

Marco przyjechał do Kilonii w pierwszych dniach grudnia. Podobnie jak pozostali hiszpańscy robotnicy zamieszkał nie w samej Kilonii, lecz w drewnianych barakach dwadzieścia pięć kilometrów za miastem, w Wattenbek, w gminie Bordesholm. Mieszkał tam trzy miesiące, codziennie jeździł do pracy do Kilonii i wracał pod wieczór. Od połowy XIX wieku Kilonia była jedną z głównych niemieckich baz morskich, a firma Marca, Deutsche Werke Werft, trudniąca się od zawsze budową statków handlowych, wraz z dojściem nazistów do władzy wyspecjalizowała się w budowie okrętów wojennych, łodzi podwodnych i innych statków wojskowych. Marco pracował jako mechanik w stoczni, konkretnie zaś w warsztatach zajmujących się konserwacją i serwisem kutrów torpedowych; głównie dokonywał przeglądów silników (zdejmował głowice, polerował zawory, wymieniał pierścienie), ale także wyrabiał precyzyjne części do wałów kutrów torpedowych. Były to dosyć specjalistyczne zadania, został do nich przydzielony, bo był

dobrym, pilnym i sumiennym pracownikiem. Nie wszyscy jego koledzy tacy byli, a raczej większość taka nie była, albo tak mówi Marco, który miał się za lepszego od nich, albo uważał, że w porównaniu z nim większość była hołotą, bandą utracjuszy, analfabetów, próżniaków i alkoholików. Marco czuł się dumny nie tylko z tego, że jest lepszy niż oni, lecz także z tego, że jako jedyny pracował w dziale zatrudniającym przeważnie wolnych Niemców, a także Francuzów i Belgów, z których niektórzy byli jeńcami wojennymi. Marco utrzymuje, że stworzył wraz z nimi komórkę oporu, ale brak na to jakiegokolwiek dowodu. Utrzymuje także, że prowadził na własną rękę sabotaż, co według niego wcale nie było ryzykowne, bo polegało na zostawianiu opiłków między gniazdem zaworu a zaworem w dwudziestocylindrowych silnikach Mercedes Benz, w jakie wyposażony był każdy kuter; ale i tu brakuje najmniejszego nawet dowodu, że to prawda. Są natomiast dowody, i to bezsporne, że Marco został aresztowany przez niemiecką policję, przesiedział kilka miesięcy w więzieniu i stanął przed sądem.

Wszystkie te fakty odnotowano w dokumentach śledztwa, które Wysoki Trybunał Hanzeatycki Dystryktu Hamburgskiego wszczął w sprawie Marca. Można tam przeczytać, że nasz człowiek został aresztowany 6 marca 1942 roku, zaledwie trzy miesiące po przyjeździe do Niemiec, i doprowadzony do kwatery gestapo w Kilonii, mieszczącej się przy Blumenstrasse. Dla samego Marca wszystko zaczęło się jednak kilka dni przedtem, kiedy to ostrzegł go kolega z pracy. Nazywał się Bruno Shankowitz, był Niemcem i Marco zdążył się zaprzyjaźnić z nim i jego żoną, Kathy; zaprosili go do siebie na święta Bożego Narodzenia (Marco, niepohamowany uwodziciel, daje do zrozumienia, że miał albo mógł mieć przygodę z Kathy, albo że

Kathy się w nim zakochała; a także że miał jeszcze inne romansowe przygody w samej Kilonii). Pewnego ranka Bruno zapytał go w pracy, czy jest komunistą; zaskoczony Marco odpowiedział, że nie jest, i zapytał skąd to przypuszczenie. Bo krąży plotka, że jesteś komunistą, odparł Bruno; potem poradził mu: Uważaj na to, co mówisz i komu mówisz. To była dobra rada, ale Marco już nie zdążył się do niej zastosować. Kilka godzin albo dni później został zatrzymany. Zgodnie z dokumentami śledztwa po pięciu dniach spędzonych w areszcie został tymczasowo aresztowany; według jego własnych słów przez te pięć dni siedział w celi z gromadą innych więźniów (był między nimi brazylijski marynarz Lacerda albo Lacerta, albo Lacerte da Silva), spał na słomie rzuconej na betonową podłogę i kilka razy był przesłuchiwany. Marco mówi (i myślę, że trzeba mu wierzyć), że były to chyba najcięższe chwile jego życia, że czuł się spanikowany, źle go traktowali, nie wiedział, co z nim będzie, i pamięta, że był stale mokry od wody, moczu, wymiotów; ale mówi też inne rzeczy, w które, jak sądzę, wcale nie trzeba wierzyć, jak na przykład, że postawił się tym, którzy go przesłuchiwali, i przyznał się, że jest bojownikiem o wolność.

Według protokołu śledztwa, 11 marca Marco został przewieziony do więzienia w Kilonii i pozostawał tam aż do połowy października w oczekiwaniu na rozprawę przed sądem. Na temat wydarzeń tych siedmiu miesięcy nie wiemy nic pewnego, wiemy tylko to, co zaczął opowiadać sam Marco po wyjściu na jaw jego oszustwa, niemal zawsze z intencją udowodnienia, że wszystkie jego zmyślenia dotyczące pobytu w obozie we Flossenbürgu były uprawnioną, pouczającą i pożyteczną przeróbką – co najwyżej odrobinę podkoloryzowaną

– jego cierpień w więzieniu w Kilonii, a nie bękartem powstałym z *ménage à trois* między jego potrzebą gwiazdorstwa, wyobraźnią i lekturami. W swoim długim liście skierowanym do gazety „Diari de Sant Cugat” w styczniu 2005 roku w odpowiedzi na inny list opublikowany w tym samym miejscu przez niejaką panią Ballester Marco umieszcza jednak kilka konkretnych szczegółów dotyczących pobytu w więzieniu, które, jakkolwiek zanurzone w zwyczajowym sosie bohaterstwa, martyrologii i samousprawiedliwienia, mają chwilami posmak prawdy:

„Ogolony na łyso, zdezynfekowany, nasmarowany cuchnącą i gryzącą maścią – pisze Marco w swoim pełnym błędów składniowych katalońskim, błędów, które pozwalam sobie poprawiać albo złagodzić w tłumaczeniu – zostałem zamknięty w celi na drugim piętrze [więzienia w Kilonii], ostatniej po lewej stronie korytarza, obok miejsca, gdzie wylewano mocz i ekskrementy i gdzie nalewano nam do dzbanków wodę. W celi nie było ubikacji ani kranów, ani naczyń na odchody. Jedynie umywaleczka przy ścianie, w której z trudem mieściły mi się dłonie przy myciu twarzy i ledwie mogłem dosięgnąć do niej, stając na palcach, żeby umyć sobie tyłek. Wiadro bez przykrywki, żeby sikać i robić kupę, a do podcierania się garść pociętych gazet, za które byłem nieskończenie wdzięczny, bo bardziej niż do celów higienicznych służyły mi do pozostawiania w jakimś kontakcie ze światem zewnętrznym. Prycza o szerokości zaledwie pięćdziesięciu centymetrów przytwierdzona do ściany na dwóch zawiasach, z dwiema składanymi nogami i przymocowana łańcuchem. Chodziło o oszczędność miejsca, żeby zmieścił się stół. Rzecz jasna, rozkładanie pryczy w ciągu dnia było kategorycznie zabronione.

Siennik gruby na jakieś dwa palce. Umeblowania dopełniała szafka, w której znajdowały się talerz i łyżka z aluminium, grzebień – nigdy nie zrozumiałem, do czego miał służyć – i modlitewnik z psalmami, dwujęzyczny, z wersją niemiecką pismem gotyckim i wersją łacińską, ta ostatnia była dla mnie na szczęście zrozumiała. Tabliczka z moim imieniem i nazwiskiem, jak zawsze źle zapisanym – nazwisko Marco zawsze brali za imię – oraz wiele znaczącymi instrukcjami: Całkowita izolacja i więzienie na czas nieokreślony. [...] Wyczerpujące dni pracy od rana do nocy od poniedziałku do niedzieli w południe, bez możliwości wymówienia się ani wymigania od niczego. Każdego ranka po kawie *Wachtmeister* przynosił mi skrzynkę z metalowymi częściami prosto z huty, żebym je szlifował pilnikiem. Długie metry grubego powroza, które trzeba było rozplątać. Pył wzbijający się z włókien wysuszał śluzówkę nosa i gardła, podrażniał oczy, ale najcięższą robotą było wydłubywanie miedzi z kabli elektrycznych, które Niemcy wywozili ze zdobytych miast. Dziewięć miesięcy w takich warunkach, pani Ballester – kończył Marco – dziewięć miesięcy zamknięty w tej celi”.

Nie dziewięć, lecz siedem, ale na razie to wszystko jedno. Tu i tam, w tym samym tekście i w innych, w relacjach i oświadczeniach po demaskacji, nasz człowiek dorzucił wiele innych szczegółów rzeczywistych i fikcyjnych na temat swego pobytu w więzieniu. Szczegółów na temat śmierdzącego pożywienia, jakim go karmiono, razów, jakie mu wymierzano, wielokrotnych pobytów w karcerze, częstego uczucia rozpacz i metod walki z rozpaczą: wiedziony swym niezawodnym talentem melodramatycznym Marco opowiedział Ponsowi Pradesowi – już o tym pisałem – że ilekroć dochodził go w celi

krzyk mew i głosy bawiących się na sąsiednim podwórku dzieci strażników więziennych, mówił sobie: „Dopóki nad morzem latają mewy, dopóki dzieci się bawią, nie wszystko jest stracone”; Marco nie opowiedział mu natomiast pewnej anegdoty, która przebija tę poprzednią swym melodramatyzmem, a której ja też jeszcze nie przytaczałem, mimo że sam Marco często ją opowiadał, Bassa zaś nawiązuje do niej w swojej biograficznej relacji. Według Marca w więzieniu pozwalano co jakiś czas pisać listy i on je pisał, ale nigdy nie docierały do adresatów, bo zatrzymywały je niemieckie władze; musiał pisać po niemiecku, ale jego niemiecki był taki słaby i strażnicy dawali mu na pisanie tak mało czasu, że wymyślił sposób, żeby sobie z tym poradzić. Sposób był taki: igłą do szycia kłuł się w palec, kapiącą krew mieszał ze śliną i używał tej mieszanki jako atramentu, a igły jako pióra, żeby na marginesach gazet do podcierania się tworzyć brudnopisy swoich listów; dzięki temu, gdy w końcu dawali mu kartkę papieru, długopis i kilka minut na pisanie, musiał tylko przepisać na czysto te krwawe notatki.

Gdy zna się Marca (a nawet, jak się go nie zna), dość trudno uwierzyć w tę ociekającą krwią anegdotę; jak wszystkie niemal kłamstwa Marca, pewnie ma w sobie jakąś część prawdy: to prawda, że nasz człowiek napisał w więzieniu przynajmniej jeden list, i to prawda, że napisał go po niemiecku; list faktycznie nigdy nie dotarł do adresatki, ponieważ strażnicy go nie wysłali. Wiem to, bo znalazłem ten list w państwowym archiwum w Szlezwiku-Holsztynie i mam go teraz w rękę. To list do żony – za pośrednictwem władz hiszpańskich dowiedziała się, że mąż został aresztowany – i jest datowany w więzieniu w Kilonii 1 września 1942 roku. Pisząc go, Marco siedzi już od prawie pół roku i wie, jak poważne ciążą na nim zarzuty; list jest

gramatycznie nieporadny, pismo często nieczytelne. Przytaczam go poniżej w całości, głównie dlatego, że bardziej niż dla teoretycznej adresatki jest przeznaczony dla niewątpliwych cenzorów i odzwierciedla desperackie pragnienie Marca, by zyskać sobie ich przychylność (Marco kłamie, wychwala Niemców i posuwa się do tego, że własne imię i imiona członków swojej rodziny pisze po niemiecku albo w swoim wyimaginowanym niemieckim); ta pełna usłużności postawa może po części tłumaczyć takie a nie inne zakończenie jego sprawy. Sporządzone przez Carlosa Pereza Ricarta tłumaczenie listu na hiszpański stara się oddać nieporadny niemiecki Marca:

Moja bardzo kochana [imię nieczytelne, prawdopodobnie „Anni”, czyli Anita], przyjmij moje ucałowania z daleka w nadziei na mój szczęśliwy powrót do ciebie. Dobrze wiem, że nie rozumiesz ani słowa po niemiecku. Ja rozumiem niewiele. Jednak nie wolno pisać w innym języku i w najlepszym razie ten list doszedłby za późno [gdyby go napisał po hiszpańsku]. Kochana [Anita], w przyszłym tygodniu, we środę, rozpoczyna się mój proces po siedmiu miesiącach śledztwa, w których broniłem się przed oskarżeniami o to, że jestem komunistą i innymi kłamstwami o mnie. Mój adwokat już mi powiedział, że mnie uniewinnią. Nie ma we mnie winy. Oni myśleli, że byłem czerwonym ochotnikiem, ale udowodniono, że to kłamstwo.

Jeden człowiek oskarżył mnie, że byłem ochotnikiem komunistą i takie inne głupoty, co nie mają sensu. To szalone rzeczy, które spowodowały siedem miesięcy więzienia i duże milczenie, bo nie znałem dużo słów po niemiecku, a ludzie, bo myśleli, że jestem czerwony, nie byli dla mnie sympatyczni w pracy.

Moje zatrzymanie to próba dla Niemców [nieczytelne]. Ale teraz wszystko się rozwiąże, bo wyjdę z więzienia, odzyskamy nasze pieniądze i nasz mały [nieczytelne, imię dziecka: z pewnością „Toni”, biologiczny syn Anity adoptowany przez Marca] znowu będzie miał przy sobie ojca. Będziemy mieli spokój. Zażądam sprawiedliwości przeciw moim wrogom i odzyskania zarobków z siedmiu miesięcy straconych w więzieniu.

Dobrze wiem, ile się nacierpiałeś, ale wszystko się zaraz skończy i szybko będziemy razem. Przez cały ten czas nie było dnia, żebym o tobie nie myślał, ani chwili, żebym nie całował obrączki. Tylko ona mi została; cała reszta jest pod strażą w więzieniu. Ale ty przecież wiesz, ile mam miłości. Dla ciebie nie poddaję się już siedem miesięcy w więzieniu.

Pomyślałem, że dobrze by było, gdybyś tu przyjechała. [Imię syna nieczytelne: na pewno znowu Toni] też mógłby tu przyjechać i pokochać niemiecką ziemię bardziej niż naszą. Może nie ma tu błękitnego nieba i gorącego słońca naszego kraju, ale ludzie mają to [błękitne niebo i gorące słońce] w swojej duszy. Tak, moglibyśmy przenieść się i żyć tutaj, bo jesteśmy jak Niemcy: rozsądni i z sercem na dłoni. Tu nauczyłem się ich kochać.

W istocie myślałem o tym już wcześniej i dlatego zacząłem rozglądać się za jakimś domem. Chciałem, żeby ta wiadomość była dla ciebie niespodzianką, ale ten proces wszystko zniszczył. Teraz trzeba będzie wrócić do tych planów. W pracy zarabiam dość pieniędzy i w kilka miesięcy po moim uwolnieniu mogłabyś przyjechać do miasta.

Mam nadzieję, że cała nasza rodzina ma się dobrze. Przekaż moje specjalne pozdrowienia ciotce Kathy oraz wujom Richardowi i Franciscowi.

Kochana, tobie i naszemu synowi posyłam całą moją miłość.

Twój Heinrich

(Nie piszę więcej, bo mój niemiecki nie jest jeszcze dobry).

Sądząc z tego, co pisał do żony, Marco był dobrej myśli przed rozprawą, a może chciał tylko, żeby tak to wyglądało, albo chciał, żeby Niemcy uważali, że jest dobrej myśli: bo tak naprawdę na siedem dni przed rozprawą, gdy musiał już znać ciężące na nim zarzuty, nie miał powodów do optymizmu. Akt oskarżenia, podpisany 18 lipca 1942 roku przez prokuratora, niejakiego doktora Stegemanna, zarzuca mu poważne przestępstwo: „zdradę stanu, polegającą na przygotowaniach do zmiany konstytucyjnego ustroju Rzeszy przy użyciu siły” (po niemiecku: *das hochverrätische Unternehmen, mit Gewalt die Verfassung des Reichs zu ändern vorbereitet zu haben*). Konkretnie prokurator stwierdzał, że Marco jest komunistą i podczas wojny domowej walczył na ochotnika w wojsku republikańskim, oskarżał go o uprawianie propagandy komunistycznej wśród hiszpańskich robotników. Nie należy brać bardzo poważnie tej kwalifikacji Marca jako komunisty; w tego typu sprawach władze niemieckie kwalifikowały z grubsza, nie robiąc różnicy między komunistą a anarchistą: z ich perspektywy jedni i drudzy byli po prostu czerwonymi Hiszpanami, *rotspanier*. Co do oskarżenia o uprawianie propagandy, prokurator przywoływał świadectwa Jaime Poch-Torresa i José Robledy Canalesa, dwóch hiszpańskich towarzyszy Marca, którzy słyszeli, jak chełpił się swoją walką przeciwko Franco, jak krytykował Hitlera i partię nazistowską, przepowiadał zwycięstwo Rosjan nad Niemcami na wojnie i z góry się na nie cieszył, bo – stale wedle słów Marca albo wedle Jaimego Poch-Torresa i José Robleda Canalesa, przywołujących słowa Marca – to zwycięstwo pozwoli mu wrócić do kraju i „walczyć o konieczne i nieodwołalne zwycięstwo komunizmu w Hiszpanii”. Z pozoru nie jest to nic poważnego, ot, kilka nieroztropnych komentarzy

wyłoszonych w obecności niewłaściwych osób; niewątpliwie jednak przestępstwo zdrady państwa – czy też innymi słowy „propagowania idei międzynarodowego komunizmu, a w związku z tym godzenia w bezpieczeństwo Niemiec”, jak konkluduje akt oskarżenia – było bardzo poważne, a szczególnie w nazistowskich Niemczech, a szczególnie w nazistowskich Niemczech czwartego roku wojny. Tak poważne, że nie byłoby dziwne, gdyby skazali Marca przynajmniej na obóz koncentracyjny.

Ale on został uniewinniony. Dlaczego zapadł taki wyrok? Nie wiem. W uzasadnieniu sędzia stwierdza, że Marco nie jest groźny i wyjaśnia, że dwaj hiszpańscy donosiciele, Poch-Torres i Robledo Canales, odwołali wcześniejsze zeznania i zapewniają, że podsądny nigdy nie poddawał ich komunistycznej indoktrynacji (mówią, że Marco był po prostu bardzo młodym chłopakiem, który starał się zyskać na znaczeniu w ich oczach), a także, że bezpośredni zwierzchnik Marca oczyścił go z zarzutu sabotażu i wystawił mu znakomitą opinię jako robotnikowi. Problem w tym, jak sędzia doszedł do tej tak korzystnej dla Marca konkluzji, tak sprzecznej z kategoryczną kwalifikacją wyjściową prokuratury, a nawet z rozkazem Centralnego Departamentu Bezpieczeństwa Rzeszy, RSHA, z 25 września 1940 roku, o obowiązku wysyłania do obozów koncentracyjnych byłych żołnierzy walczących po stronie czerwonej Hiszpanii (prawda, że rozkaz ten wydano przed wejściem w życie porozumienia hiszpańsko-niemieckiego, na mocy którego Marco znalazł się w Niemczech, i że dotyczył on jeńców wojennych; prawda, że niedługo potem, bo w 1943 roku, rozkaz anulowano, tak by przemysł wojenny mógł używać czerwonych Hiszpanów jako siły roboczej); innymi słowy: to oczywiste, że Marco nie był

groźny, jednakże nazistowski wymiar sprawiedliwości skazał nieskończoną liczbę zupełnie niegroźnych ludzi, a przecież Marca nie skazał. Dlaczego jego hiszpańscy oskarżyciele zmienili zeznania? Dlaczego nawet sam prokurator zmienił zdanie i ostatecznie wycofał oskarżenie? Czyżby władze hiszpańskie wstawiły się za swoim rodakiem? Nie wiem. W liście do żony Marco wspomina, że ma adwokata; ale sam przyznaje, że ten adwokat, podporucznik marynarki, nie rozumie słowa po hiszpańsku, tak więc trudno im się było porozumieć. Podobnie, ze względu na kiepską znajomość niemieckiego Marcowi musiało być niełatwo napisać pismo do prokuratora z argumentami na swoją obronę i zakwestionować stawiane mu zarzuty, a tym bardziej trudna musiała być obrona podczas rozprawy, na którą został przewieziony pewnego wrześniowego poranka z Kilonii do Hamburga. Te problemy językowe na pewno zagmatwały cały proces. Jeszcze bardziej. A chcę przypomnieć, że mataczenie to żywioł Marca, że w gruncie rzeczy konfuzja i chaos są jego środowiskiem naturalnym. Co przypomniawszy, chcę przywołać zarazem zasadniczą charakterystykę Marca i zaproponować hipotezę na temat jego dziwnego uniewinnienia: Marco, jak już mówiłem, to przede wszystkim spryciarz, nakręcony gaduła, krętacz jakich mało, nie można zatem wykluczyć, że podobnie jak rok wcześniej nabrał wojskowe władze hiszpańskie, wmawiając im, że ma nieskazitelną przeszłość i że sam jest chłopcem lojalnym, by nie powiedzieć nieposzlakowanym, tak i teraz skołował niemiecki wymiar sprawiedliwości, przekonując, że nie stanowi najmniejszego zagrożenia dla narodowego socjalizmu i w związku z tym trzeba mu zwrócić wolność. Tak czy inaczej, 7 października 1942 roku prezes wydziału karnego

okręgowego Wysokiego Trybunału Hanzeatyckiego podpisał orzeczenie anulujące nakaz aresztowania Marca.

Nasz człowiek pozostał jeszcze kilka miesięcy w Niemczech, ale ten czas to zaledwie epilog kluczowej części jego biografii. Sąd nakazał Marcowi pozostawać „do dyspozycji policji na wypadek nowych czynności”, a na marginesie orzeczenia zaznaczono, że jego kopię przesyła się do szefostwa tajnej policji państwowej [*Geheime Staatspolizei*, co było pełną nazwą gestapo] w Kilonii”. Można ten nakaz interpretować na wiele sposobów, Marco jednak twierdzi, że jakkolwiek teoretycznie zwolniony z więzienia, w praktyce nadal pozostawał zatrzymany i że przez pewien czas, nie potrafi określić, czy były to tygodnie, czy raczej miesiące, przebywał nadal w zamknięciu, tyle że nie w więzieniu w Kilonii, lecz ponownie w kwaterze głównej gestapo przy Blumenstrasse. Pamięta, że każdego rana wychodził stamtąd w eskorcie dwóch strażników, kierując się do biblioteki uniwersytetu w Kilonii i tam przez wiele godzin dziennie porządkował książki i publikacje w języku hiszpańskim. Marco mówi, że dobrze zapamiętał dzień, gdy niespodziewanie zaprowadzono go po południu na portiernię kwatery i pozostawiono samemu sobie, bez słowa wyjaśnienia. Stał tam naprzeciw dyżurnego gestapowca, który jak się zdawało, nie zwracał na niego uwagi. I mówi, że gdy minął już jakiś czas tego czekania nie wiadomo na co ani nie wiadomo na kogo, nagle spostrzegł na biurku dyżurnego garść przedmiotów i je rozpoznał – zdjęcie paszportowe, nieważną już przepustkę dobrowolnego robotnika hiszpańskiego i coś tam jeszcze – ale się nie odezwał i dalej czekał. I mówi, że w pewnej chwili, gdy tkwił tam już od kilku dobrych godzin, gestapowiec jakby zauważył jego obecność, spojrział na niego, na rzeczy na stole i znowu na

niego, a potem, nie patrząc ponownie na rzeczy, zrzucił je na ziemię, wrzeszcząc: „Won!”.

Mówi, że zebrał je pośpiesznie z ziemi i jak mógł najszybciej, wyszedł z kwatery. Mówi, że była noc i padał deszcz, i że nagle zrozumiał, że jest sam i bez jednej marki przy duszy, i nie ma dokąd iść. Mówi, że szukał jakiegoś schronienia, ale tak niefortunnie, że ostatecznie wylądował w jakimś parku, który w rzeczywistości okazał się cmentarzem. Mówi, że nie pamięta, gdzie spał tamtej nocy, choć prawie na pewno było to na dworze, pamięta natomiast, że nazajutrz poszedł szukać pomocy w jedyne znane sobie miejsce, czyli do stoczni Deutsche Werke Werft, skąd go wcześniej wyrzucili i gdzie nie mógł podjąć pracy na nowo, ale spotkał tam Niemca służącego za tłumacza między hiszpańskimi robotnikami a niemieckim pracodawcą, człowieka, który, jak pamięta, albo twierdzi, że pamięta, mieszkał wcześniej wiele lat w Argentynie i wrócił do Niemiec skuszony mirażami dobrobytu roztaczanymi przez triumfujący nazizm. Podobno on i Marco się lubili, możliwe, że to ten sam człowiek, który, wedle dokumentów sprawy Marca, występował na rozprawie również w roli tłumacza. Jakkolwiek było, człowiek ten ulitował się nad Markiem, albo tak mówi Marco, znalazł mu pracę w firmie łącznościowej Hagenuk, dzięki czemu Marco zarabiał na chleb i miał dach nad głową, bo zamieszkał w barakach w samej fabryce. Z tych czasów zachował niewiele i raczej niewesołych wspomnień, albo tak twierdzi, bo choć sama praca była spokojniejsza niż w stoczni – tu składał drobne elementy elektroniczne do rakiet i samolotów – to w fabryce i w barakach panowała brutalna atmosfera, otaczali go tam, jak mówi, brudni, agresywni i wyzuci z wszelkiej nadziei Litwini i Ukraińcy.

Marco też był zdesperowany, tyle że on za wszelką cenę pragnął wrócić do Barcelony. Albo tak mówi. I mówi, że ten sam opatrnościowy tłumacz, który znalazł mu pracę w firmie Hagenuk, poddał mu pomysł, jak wrócić do domu: po roku pracy w Niemczech hiszpańskim robotnikom przysługiwał miesiąc urlopu w Hiszpanii pod warunkiem, że potem stawia się na czas w miejscu pracy; Marco nie przepracował jeszcze pełnego roku, bo przez większą część swego pobytu w Niemczech siedział w więzieniu, tłumacz jednak zagwarantował mu, że umieści go w jednym z pociągów, którymi robotnicy wracali na urlop do Hiszpanii. Marco mówi, że zgodził się bez wahania, nie przejmując się tym, co będzie, gdy nadejdzie czas powrotu do Niemiec, a on nie wróci, nie przejmując się tym, co zrobi, gdy władze hiszpańskie wezwą go znowu do odbycia w służbie nad nim służby wojskowej, nie przejmując się oczywiście faktem, że Franco nadal sprawował rządy strachu w Hiszpanii, nie przejmując się niczym, chcąc jedynie wrócić do domu i uciec z Niemiec, jakby na podobieństwo zwierząt wyczuwających nadchodzącą katastrofę, już w lecie 1943 roku wyczuł intuicyjnie, że zaledwie kilka miesięcy później, 13 grudnia tego samego roku, Kilonia zniknie z powierzchni ziemi w pożodze ognia spowodowanego nalotami amerykańskimi. Marco przyjechał do Niemiec, gdy kraj ten miał wygrać wojnę, i wyjechał z Niemiec, kiedy miały ją przegrać. Nie wiemy jeszcze, jak urządził się nasz człowiek po powrocie do Barcelony, ale wiemy coś ważniejszego: przynajmniej do tej chwili Marco jest zawsze tam gdzie większość.

CZEŚĆ DRUGA

NAPISANY PRZEZ SAMEGO SIEBIE

Marco urodził się w zakładzie dla obłąkanych, jego matka była niespełna rozumu. Może on również jest taki? Czy aby nie w tym tkwi jego tajemnica, zagadka jego osobowości? Czy to nie tłumaczy wszystkiego, a przynajmniej tego, co najważniejsze? A jeśli Marco naprawdę jest niespełna rozumu, to na czym to polega?

Kiedy wyszło na jaw oszustwo Marca, niewielu powstrzymało się od wygłoszenia sądu na jego temat: wypowiadali się dziennikarze, historycy, filozofowie, politycy, profesorowie, a także, co oczywiste, psychologowie i psychiatrzy. Ci ostatni zgodnie postawili diagnozę, która w pewien sposób zgadza się z diagnozą wielu znajomych naszego człowieka: Marco jest podręcznikowo wprost narcystyczny. Rzecz jasna narcyzm nie jest chorobą psychiczną, jest raczej zaburzeniem osobowości, pewnym odchyleniem. Właściwa jest mu ślepa i nieuzasadniona miłość własna, kompulsywna potrzeba bycia podziwianym, a zarazem brak empatii. Narcyz ma wygórowane poczucie własnej wartości, pławi się w samozachwycie i cokolwiek zrobi, oczekuje uznania, entuzjazmu i admiracji. Prócz tego, że przejawia skłonność do arogancji i pychy, snuje konfabulacje o własnych sukcesach i – sam niezdolny do postawienia się w sytuacji innych – bez wahania tych innych wykorzystuje, ponieważ uważa, że jego nie obowiązują normy obowiązujące innych. To niestrudzony uwodziciel, urodzony manipulant, przywódca żądny adoracji, człowiek pazerny na władzę, do którego poczucie winy nie ma właściwie dostępu. Czy jest zatem

człowiekiem zakochanym w sobie? Czy narcyz, tak jak go widzą psychologowie, jest tym samym kimś co narcyz wedle naszej potocznej wiedzy? Tym samym co mitologiczny Narcyz? Kim jest mitologiczny Narcyz?

Istnieje kilka wersji mitu; najlepiej znaną przedstawia Owidiusz w trzeciej księdze *Metamorfoz*. U początku tej tragicznej historii jest gwałt. Kefisos, bóg rzeki w Beocji, zniewala błękitną nimfę Liriope, która rodzi chłopca o niezwykłej urodzie i daje mu na imię Narcyz. Liriope spieszy zapytać Tejrezjasza, ślepego wróżbitę, czy jej syn będzie długo żył; odpowiedź Tejrezjasza jest dziwna, ale i prosta: tak, *si se non nouerit*, co znaczy: tak, „jeśli nie pozna samego siebie”. Dzieciństwo Narcyza upływa spokojnie, prorocstwo zdaje się odległym echem. Młodzieniec wzbudza miłość kobiet i mężczyzn, ale nigdy jej nie odwzajemnia. Pewnego dnia polującego w lesie Narcyza widzi Echo – „nimfa głosu, ta która nie nauczyła się milczeć, gdy się do niej przemawia, ani przemawiać jako pierwsza” – i też się w nim zakochuje; oziębły i pyszny jak zwykle Narcyz odrzuca jej miłość, a zawstydzona, pogrążona w bólu Echo ukrywa się w gęstwinie i zanoszi skargi do nieba na tego, który nią wzgardził: „Oby sam pokochał tak bardzo – złorzeczy mu – i oby tak samo nie mógł zaspokoić swojej żądz”. Wtedy Nemezis, ta córka nocy i bogini zemsty, spełnia wspaniałomyślnie prośbę Echo i przypieczętowuje los Narcyza. Narcyz dociera w lesie do czystego źródła pośród traw, „o wodzie połyskującej niczym srebro”. Gdy chce ugasić pragnienie wodą ze źródła, czuje nagły przyływ innego, zachłannego pragnienia: „zniewolony pięknym odbiciem, które widzi, zakochuje się w nadziei bez ciała: wierzy, że ciałem jest to, co jest wodą. Zachwyca się samym sobą i zastyga nieruchomo

i z niezmiennym odbiciem jak marmurowy posąg z Paros”. Dosięga go przekleństwo Echo: zakochawszy się we własnym odbiciu, Narcyz doświadcza miłości niemożliwej; ale spełnia się także proroctwo Tejrezjasza: teraz, poznawszy samego siebie, Narcyz umiera, a jego ciało zmienia się w kwiat narcyza, „w kwiat barwy szafranu, z płatkami białymi dokoła”.

Tak więc Narcyz z mitologii nie jest narcyzem wedle naszej potocznej wiedzy, lecz jego dokładnym przeciwieństwem. U Owidiusza Narcyz nie zakochuje się w sobie, lecz w swoim wizerunku; u Owidiusza Narcyz naprawdę nienawidzi samego siebie, sam siebie przeraża, pogardza sobą ze wszystkich sił i dlatego, kiedy się widzi, umiera. Człowiek narcystyczny wysnuwa z samozachwyty, marzeń o wielkości i bohaterstwie pochlebnią dla siebie fantazję, kłamstwo, które jest równocześnie kamuflażem i zabezpieczeniem, fikcją mającą ukryć rzeczywistość, brud jego życia albo to, co sam uważa za brud swego życia, swoją przeciętność i własną marność, odczuwaną dla siebie pogardę. Człowiek narcystyczny niestrudzenie potrzebuje podziwu innych, by utwierdzać się w tym oszustwie, podobnie jak potrzebuje kontroli i władzy, by nikt nie zburzył pięknej fasady. Człowiek narcystyczny żyje w smutku i strachu, w ciągłej niepewności udającej pewność siebie (a nawet pychę i wyniosłość), na krawędzi szaleństwa, przerażony pustką, jaką czuje w sobie, zakochany w upiększającej fikcji, którą zbudował, by zapomnieć o swojej nędzy, i dlatego opancerza się nie tylko przed poczuciem winy, lecz przed wszelkim uczuciem w ogóle w obawie, że uczucie go osłabi, a może i zniszczy.

Poza tym wielu psychologów utrzymuje, że narcyzm rodzi się w dzieciństwie jako wynik przemocy albo głębokiej traumy – tak jak Narcyz rodzi się z początkowego aktu przemocy Kefisosa

wobec nimfy Liriope – jakiejś strasznej chwili, której dziecko nie umiało przepracować, upokorzenia albo straszego ciosu zadanego miłości własnej, jakiejś wczesnej potworności doświadczonej w rodzinie, i że ta fikcja wielkości jest jedynie maską jego rzeczywistej nędzy albo rzeczywistego poczucia nędzy, trwałą blizną po tamtym upokorzeniu albo straszliwym ciosie, albo doświadczonej potworności. Możliwe. Na pewno fikcja ocala Narcyza i jeśli Marco jest na swój sposób narcystyczny, możliwe, że kłamstwa go ocaliły: Marco był sierotą odebrany siłą nieszczęsnej, obłąkanej i maltretowanej przez męża matce, dzieckiem przekazywanym z rąk do rąk i pozbawionym miłości, chłopakiem rozgorączkowanym spazmatyczną rewolucją i złamanym straszliwą wojną, od urodzenia przegrany, który w pewnym momencie swego życia, chcąc zdobyć miłość i podziw, nigdy niezaznane, postanowił wymyślić sobie przeszłość, wymyślić od nowa samego siebie, zbudować ze swego życia podniosłą fikcję, aby ukryć zwyczajną i wstydlivą rzeczywistość, postanowił opowiedzieć, że nie jest tym, kim jest, ani nie był tym, kim był – człowiekiem zupełnie zwyczajnym, jednym z tej wielkiej, milczącej, tchórzliwej, szarej i przygnębiającej większości, która zawsze mówi „Tak” – lecz kimś niezwykłym, jednym z tych wyjątkowych ludzi, którzy zawsze mówią „Nie”, albo którzy mówią „Nie”, gdy wszyscy inni mówią „Tak”, albo gdy powiedzenie „Nie” po prostu ma większą wartość, porywczym bojownikiem w pierwszych dniach wojny hiszpańskiej, niemal dzieckiem walczącym z faszyzmem na najbardziej niebezpiecznych i najtrudniejszych pozycjach, później odważnym partyzantem anarchistą na wojnie, działającym na tyłach wroga, po wojnie zaś pierwszym albo jednym z pierwszych i desperackich opozycjonistów wobec

zwycięskiego reżimu Franco i politycznym wygnańcem, ofiarą i antyfaszystą, bohaterem wolności. To były kłamstwa Marca. To była fikcja, która być może go ocaliła, bo podobnie jak w przypadku Narcyza wiele lat nie pozwalała mu poznać siebie albo rozpoznać w sobie tego, kim jest. Jasne, że jeżeli kłamstwa ocaliły Marca, to prawda, którą przedstawiam w tej książce, go zabije. Ponieważ fikcja ocala, a rzeczywistość zabija.

Co robił Marco po powrocie z Niemiec? Jakie wiódł życie podczas nieskończonego długiego powojnia? Czy wrócił do Hiszpanii, aby wrócić do normalnego życia albo udawania normalnego życia, jakie było jego udziałem przed wyjazdem do Niemiec? Czy to wtedy zaczął kłamać na temat swojej przeszłości, aby się nie poznać, aby się nie rozpoznać, aby ocalić się w fikcji? A może wtedy, doświadczywszy wcześniej paniki w okopach nad Segre, w pokonanej Barcelonie i w więzieniu w Kilonii, zebrał się na odwagę, by powrócić do ideałów politycznych pogrzebanych po zwycięstwie Franco i przystąpić znowu do walki o nie w podziemiu, gdy frankizm narzucał Hiszpanii swój żelazny reżim?

Dla niemal wszystkich swoich znajomych i dla niemal wszystkich, którzy o nim pisali, przynajmniej do chwili wybuchu skandalu, Marco w okresie powojnia walczył niezłomie z dyktaturą, był wytrwałym bywalcem frankistowskich więzień i komisariatów; nie dość na tym: można powiedzieć, że w oczach wielu był rodzajem uosobienia buntowniczej natury Hiszpanów (albo przynajmniej Katalończyków) i ich wrodzonego umiłowania wolności, co sprawiło, że nie zgodzili się bez walki na czterdzieści lat frankistowskiej tyranii. Deklaracje samego Marca nie pozostawiały miejsca na wątpliwości: w 1978 roku opowiedział Ponsowi Pradesowi w *Los cerdos del comandante* (Wieprze komendanta), że po swoim rzekomym pobycie we Flossenbürgu w połowie lat czterdziestych „przystąpiłem znowu do podziemnej walki w Hiszpanii” i że „natychmiastowe

rozpoczęcie działania [politycznego, ma się rozumieć]” ocaliło mu życie (gdyby coś nie było jasne, dodawał, że „konspiracyjna działalność konfederatów [to znaczy anarchistów] w drugiej połowie lat czterdziestych była pasjonująca”); w 2002 roku opowiedział Jordiemu Bassie w *Memoria del infierno*, że po powrocie w 1945 roku do Hiszpanii „kontynuował walkę w podziemiu do roku 1975”; a w maju 2005 roku, równocześnie z wybuchem skandalu, nasz Marco opublikował w „L’Avenç”, piśmie historycznym, które zamieszczało wtedy obszerny materiał poświęcony sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozów nazistowskich, swoje zmyślane wspomnienia z wyzwolenia Flossenbürga, w których stwierdzał, że po opuszczeniu Niemiec w 1945 roku wrócił do Barcelony, „by zająć się jedyną robotą, na jakiej się znałem: życiem i równoczesną walką o wolność”, a gdyby to także nie było jasne, dodawał, że „następne trzydzieści lat walki i konspiracji było powrotem do takiego życia, jakie znałem od zawsze”. No cóż: właśnie te lata walki z frankizmem były jedną z zasług, które podniósł autonomiczny rząd Katalonii, przyznając Marcowi we wrześniu 2001 roku najwyższe odznaczenie cywilne, Creu de Sant Jordi, Krzyż Świętego Jerzego.

Zdania Marca, które przytaczam powyżej w cudzysłowie, są ciekawe. Z jednej strony, w sposób oczywisty stara się on przywołać przeszłość wypełnioną niestrudzoną walką z frankizmem; z drugiej strony są to zdania tak mało konkretne i mętniackie, jak wszystkie jego aluzje odnoszące się do własnego zaangażowania politycznego w czasach dyktatury: Marco mówi ogólnie o „walce”, mówi o „konspiracji”, ale nigdy nie wspomina, na czym konkretnie polegała ta walka, do jakiej konkretnie organizacji, partii albo nielegalnej grupy przystał,

z jakimi konkretnymi ludźmi działał w konspiracji. To prawda, że relacje biograficzne albo autobiograficzne Marca skupiają się zawsze na jego pobycie w obozie nazistowskim i wspominają tylko mimochodem o walce z frankizmem, może dlatego, że nie o nią chodziło albo – co bardziej prawdopodobne – że przyjmowano ją za oczywistą, zupełnie jakby Hiszpan taki jak on nie mógł po prostu nie walczyć z dyktaturą. Prawdą jest również, że przynajmniej czasami Marco przytacza jakieś konkretne zdarzenie: na przykład w styczniu 2006 roku napisał długi list do redakcji dziennika „La Vanguardia”, nigdy zresztą nieopublikowany, w którym wspomina swoje rzekome starcie werbalne, a potem fizyczne z Luisem de Galinsogą, klakierem Franco i redaktorem naczelnym tego dziennika w latach pięćdziesiątych, sławnym z powodu swej kretyńskiej i skandalicznej wypowiedzi, że „Wszyscy Katalończycy to gówniarze”, za którą zapłacił utratą stanowiska; a w marcu 1988 roku, w tekście opublikowanym w dzienniku „Avui”, Marco przedstawiał się jako jedna z niewielu osób, które rankiem czternaście lat wcześniej czekały pod bramą więzienia Modelo w Barcelonie na wydanie zwłok Salvadora Puiga Anticha, młodego anarchisty, którego sąd wojskowy skazał na śmierć przez uduszenie garotą w latach siedemdziesiątych, okresie przedśmiertnych drgawek frankizmu. Ale nawet w tych wyjątkowych przypadkach (i zakładając, że faktycznie chodziło o działania opozycyjne) relacje Marca są dość niewyraźne albo rozmyte, poczynając od sposobu, w jaki przedstawia same zdarzenia, aż do swojej dokładnej w nich roli. Ta mglistość i brak precyzji skłaniała wielu znajomych i przyjaciół Marca do przypuszczenia, że okres powojnia jest najbardziej tajemniczy w jego biografii.

Czy rzeczywiście?

Wcale nie. Tu, jak wiele innych razy w życiu Marca, a i w sprawach jego niedotyczących, tajemnicą jest pragnienie widzenia tajemnicy tam, gdzie jej nie ma. Tak naprawdę dużo trudniej odtworzyć prawdziwe życie Marca przed jego powrotem z Niemiec niż po powrocie, między innymi dlatego, że istnieje dużo świadectw osób żyjących odnoszących się do tego drugiego okresu, które mogą zadać kłam twierdzeniom Marca albo potwierdzić je, uzupełnić lub wyjaśnić, co po części tłumaczy jego ostrożność i brak precyzji. Nie ma żadnej tajemnicy ani żadnego mroku: przez trzydzieści lat, od swego powrotu z Niemiec w roku 1943 aż do śmierci Franco w 1975 roku albo, dokładniej rzecz ujmując, do pierwszych lat demokracji, Marco nie należał do żadnej partii politycznej ani żadnego związku zawodowego, nie działał w żadnym podziemiu politycznym ani wcale nie zwalczał frankizmu, nie był w więzieniu ani na komisariacie, ani nigdy w ogóle nie został zatrzymany z powodów politycznych, po prostu nie miał takich problemów z władzą, przynajmniej problemów rzeczywistych lub choćby w minimalnym stopniu poważnych. Przedtem zawsze był z większością i przez cały okres frankizmu pozostawał z większością, z tą ogromną większością Hiszpanów, która z ochotą lub pod przymusem zaakceptowała bez protestu dyktaturę i której ogłuszające milczenie tłumaczy w dużej mierze jej czterdziestoletnie trwanie. Po prostu. Rzecz jasna nic tu Marcowi nie można zarzucić: nikt, powtarzam, nikt nie ma obowiązku być bohaterem; albo innymi słowy: równie łatwe co niesprawiedliwe byłoby obwinianie Marca o to, że tak jak ogromna większość współobywateli nie miał odwagi przeciwstawić się dyktaturze gotowej wtrącać do więzienia, torturować i mordować ludzi,

którzy się na nią nie zgadzali. Nie: żadnego zarzutu. Żadnego z wyjątkiem tego, że wiele lat później zechciał przypisać sobie w przeszłości miejsce, które mu się nie należało, podając się za kogoś, kto przez cały frankizm należał do tej garstki odważnych, którzy powiedzieli „Nie” a nie do tych milionów entuzjastów, krętaczy, tchórzy lub stojących z boku, którzy mówili „Tak”.

Tak więc Marco prowadził po wojnie życie normalne lub udawane życie normalne albo coś, co postanowiliśmy enigmatycznie nazywać normalnym życiem, nie oznacza to wszakże, by jego prawdziwa biografia miała być nieciekawa; wprost przeciwnie: okazuje się dużo ciekawsza niż tania legenda o mętnych, romantycznych przygodach, którą starał się sprzedać jako opowieść o swoim prawdziwym życiu.

Wróciwszy z Niemiec, Marco znowu zamieszkał w zatłoczonym domku swoich teściów, przy ulicy Sicilia 354, razem z żoną, (jej) synem, szwagierkami i mężem jednej z nich, i dla tej licznej i żywej rodziny prostych ludzi, którzy ciężko pracowali w tygodniu, a jego koniec spędzali na plaży albo w górach, albo w świetlicy przy ulicy Valencia, ponownie był tym samym Markiem, co przed wyjazdem do Niemiec, pracowitym młodym człowiekiem, inteligentnym, kulturalnym, praktycznym, wesołym i pełnym uroku, zawsze czułym dla żony, zawsze gotowym służyć pomocą teściom, doradzić szwagierkom i otoczyć je opieką, i w ogóle wyświadczać przysługi każdemu, kto jest w potrzebie; w dodatku, otoczony teraz nimbem podróżnika i człowieka światowego, zyskał nieledwie rangę wodza tego plemienia. Na nowo podjął też pracę w warsztacie naprawy samochodów Felipa Homsa, przy ulicy París róg Viladomat, naprzeciw Szkoły Przemysłowej, i tylko dwa problemy kładły się chwilami cieniem na pomyślną i szczęśliwą przyszłość, jaką

roztaczała przed nim wrodzona witalność. Pierwszy: przyjechał do Barcelony na urlop i gdy ten się skończy, powinien wrócić do Kilonii; a za żadne skarby tego nie chciał. Drugi: jeżeli uda mu się nie wrócić do Kilonii, to powinien odbyć służbę wojskową, czyli zrobić to, przed czym uciekł, wyjeżdżając do Kilonii.

Nie wrócił do Kilonii, został w Barcelonie i nie odbył służby wojskowej. Jak to zrobił? Jak udało mu się wymigać od swoich cywilnych zobowiązań w Niemczech i, po raz drugi, od swoich wojskowych obowiązków w Hiszpanii? Nie wiem. To prawda, że jakoś w lecie albo na jesieni 1943 roku, gdy przebieg wojny światowej wyraźnie zapowiadał już klęskę Hitlera, hiszpańskie władze doszły do wniosku, że wysyłanie hiszpańskich robotników do Niemiec jest kiepskim interesem i jak najszybciej należy się z tego wycofać. Najprawdopodobniej nie wszczywały zatem szczególnego alarmu, gdy jakiś robotnik nie wracał tam do pracy. Z drugiej strony w czasie pobytu Marco w Niemczech hiszpańskie wojsko dopytywało się o niego, chcąc, by odbył obowiązkową służbę, jednakże rodzina wyjaśniła od razu, że Marco wyjechał do Niemiec jako dobrowolny robotnik – zresztą Ministerstwo Spraw Zagranicznych zadało sobie trud, by to sprawdzić – a wojskowi nie musieli się potem dowiedzieć, że Marco zdążył już wrócić do domu, czyli nie musieli się o niego upominać. Mogło być tak: wszyscy zapomnieli o Marcu albo przestali się nim interesować; Marco znowu wszystkich wykołował; mogła też nastąpić jakaś szczęśliwa kombinacja tych trzech elementów. Jakkolwiek było naprawdę, on tego nie pamięta albo mówi, że nie pamięta. Niewątpliwie jednak pośród całego zamieszania Marco, mistrz radzenia sobie w zamieszaniu, uniknął dwóch grożących mu niebezpieczeństw i przyszłość stanęła przed nim otworem.

Dnia 25 czerwca 1947 roku urodziła się pierwsza biologiczna córka Marca, Ana María. On sam szykował się już wtedy, jeszcze o tym nie wiedząc, do rozpoczęcia nowego życia. Zostawił już warsztat Felipa Homsa i przepracowawszy jakiś czas w fabryce mebli, a potem jako mechanik (przede wszystkim naprawiał i przerabiał taksówki, ciężarówki i samochody osobowe) zdołał zatrudnić się w charakterze akwizytora w firmie sprzedającej części samochodowe Comercial Anónima Blanch. To była praca zupełnie inna niż wszystkie poprzednie; była też znacznie lepsza, przynajmniej w jego odczuciu i w odczuciu rodziny: wychodził do pracy w garniturze i pod krawatem i licząc razem pensję i prowizję, zarabiał przyzwoite pieniądze, w każdym razie dużo większe niż kiedykolwiek wcześniej. Dla Marca nowa praca oznaczała nie tylko lepszą pensję, lecz także wyższy status społeczny i bardziej urozmaicone oraz intensywniejsze życie towarzyskie. Znalazł sobie nowych przyjaciół, zaczął pić i wychodzić wieczorami z domu. Nigdy wcześniej tego nie robił i żona szybko poczuła, że nie jest już tym czułym, troskliwym mężem, jakim był wcześniej, i wydaje się jakiś dziwny i nieobecny. Anita dała upust swemu niepokojowi w rozmowie z osiem lat młodszą siostrą Montserrat, i pewnego popołudnia ta zaproponowała, żeby śledzić Marca.

Sześćdziesiąt cztery lata później już ponad osiemdziesięcioletnia Montserrat Beltrán wciąż dobrze pamiętała, co się zdarzyło tamtego popołudnia, i dlatego mogła mi o tym opowiedzieć u siebie w Ciudad Badía, pod Barceloną. Zdecydowane przeprowadzić swój plan i dowiedzieć się, co się dzieje, obie kobiety zaczęły się przy wejściu do biur Comercial Anónima Blanch i po niedługim czasie ujrzały Marca wychodzącego z pracy w towarzystwie dwóch kolegów. Nie

zdradziły się ani słowem i ruszyły w pewnej odległości w ślad za tą trójką. Śledziły ich dłuższy czas i gdy mężczyźni doszli do ulicy Sepúlveda, straciły ich z oczu. Zdezorientowane, postanowiły znowu poczekać, przekonane, że Marco nie mógł odejść daleko i że w końcu się pojawi. Tak też było. Po jakimś czasie Marco wyszedł z bramy budynku nieopodal. Nie był sam, ale tym razem towarzyszyły mu dwie kobiety; trzymał je pod rękę i siostry od razu zrozumiały, że Marco wychodzi z burdelu, a te dwie kobiety to prostytutki. Montserrat opowiada, że nim ona zdołała temu zapobiec, siostra rzuciła się w kierunku Marca, stanęła naprzeciwko i coś krzyząc, chwyciła go za ramię. W następnych latach siostra wiele razy powtarzała Montserrat Beltrán to, co wówczas powiedziała mężowi: „Ja też mogę wziąć cię pod rękę, prawda?”

Żona Marca i jej rodzina starali się zapomnieć o tym incydencie, przypisać go złemu towarzystwu i wymaganiom stawianym przez nową pracę. Nie dało się. A przynajmniej nie dało się nie zauważyć, że w Marcu zaszła jakaś fundamentalna zmiana i że nie był już tym doskonałym mężem, szwagrem i zięciem, co przedtem. Od tej chwili wszystko naprawdę zaczęło iść coraz gorzej. W 1949 roku Marco chciał wyemigrować z rodziną do Argentyny, ale ostatecznie zarzucił ten plan, może nie zdołał zgromadzić potrzebnych na wyjazd dokumentów. Krótco potem przyszła po niego do domu policja. Był oskarżony o kradzież, ale go nie zastali, więc zabrali teścia i przesłuchali go w komisariacie. Marco złożył zeznania jeszcze tego samego dnia lub nazajutrz i wykaraskał się z tych kłopotów niemal bez szwanku, musiał tylko obiecać, że już więcej nie złamie prawa i będzie się meldował na policji co dwa tygodnie. Rodzina Beltranów przeżyła ciężki szok, a mimo to nie zażądała od

Marca wyjaśnić albo zadowolili się mętными wyjaśnieniami, jakich udzielił. Jednakże kilka dni albo tygodni po tym zdarzeniu Marco ponownie wylądował na komisariacie i tym razem miał mniej szczęścia, i musiał spędzić kilka nocy w więzieniu Modelo, skąd wyszedł z ogoloną na łyso głową, czyli naznaczony tak, jak frankistowska policja stygmatyzowała czasem pospolitych przestępców. Kilka dni później jedyna niezamężna jeszcze siostra jego żony, Paquita, brała ślub. Marco był na tym ślubie, ale nazajutrz, bez słowa wyjaśnienia czy ostrzeżenia, zniknął na zawsze.

Ucieczka Marca była absolutnym kataklizmem dla rodziny Beltranów; jego żona pogrążyła się w depresji. Przez następnych siedem lat nie mieli od niego żadnych wiadomości. Pewnego dnia pojawił się u nich w domu przyjaciel Marca i powiedział, że żałuje on tego, co się stało, i jest gotów pomagać żonie i dzieciom, i od tej chwili Marco zaczął opłacać niektóre wydatki rodzinne, takie jak wykształcenie swojej córki Any Marii; od czasu do czasu odbierał córkę ze szkoły, czasami również przynosił jej coś w prezencie albo dawał trochę pieniędzy, podobnie jak i jej bratu, Toniemu. Ale jego kontakty z pierwszą rodziną sprowadzały się właściwie tylko do tego. Anita i jej dzieci miały pełną świadomość, że Marco oddzielił ich nieprzekraczalną granicą od siebie i swego nowego życia, o którym nic nie wiedzieli; czasem dzieci dzwoniły do niego do domu, ale musiały się podawać za chrześniaków. Na początku lat sześćdziesiątych żona poprosiła Marca o pieniądze, żeby wpłacić wkład własny na mieszkanie w Badalonie i Marco dał jej te pieniądze. W roku 1968 poprowadził córkę do ołtarza. W 1969 roku został ojcem chrzestnym swego pierwszego wnuka. W 1974 roku córka, Ana María, która właśnie urodziła trzecie dziecko,

zadzwoiła do niego, a on jej powiedział, że telefon jest na policyjnym podsłuchu i żeby więcej nie dzwoiła. Nie zadzwoiła więcej. Ona i brat znowu przestali go widywać.

Tak minęło prawie dwadzieścia lat, kiedy to wiadomości o Marcu docierały do nich tylko z gazet, radia i telewizji. Pewnego dnia Ana María zaszła do biura FAPAC, stowarzyszenia rodziców uczniów, którego Marco był wiceprzewodniczącym. Zastała go w biurze, napili się razem kawy. Tak dowiedziała się, że ojciec mieszka w Sant Cugat, ożenił się i ma dwie córki, czyli że ona ma dwie młodsze siostry. We wrześniu 1999 roku zmarł Toni, adoptowany i jedyny syn Marca, ale on dowiedział się o tej śmierci dużo później, gdy spacerując po Rambli, spotkał przypadkiem jedną ze szwagierek. W następnych latach Marco stał się gwiazdą mediów, a rodzina Beltranów śledziła to z konsternacją: Anita, jego żona, nie rozumiała, dlaczego Marco utrzymuje, że siedział w obozie koncentracyjnym, podczas gdy ona wiedziała, że w żadnym obozie koncentracyjnym nie był; dzieci Any Marii, jego wnuki, nie rozumiały, dlaczego Marco ukrywa przed światem swoją pierwszą rodzinę; Ana María, jego córka, udawała przed matką i dziećmi, że wszystko rozumie, ale tak naprawdę nic nie rozumiała. A kiedy wybuchł skandal i świat dowiedział się, że Marco jest oszustem, Anie Marii zrobiło się żal ojca i poczuła za niego wstyd. Dopiero wtedy zapragnęła poznać swoje siostry. Marco zgodził się na to bez oporu, może wiedział, że wcześniej czy później muszą się poznać (albo cała sprawa pozbawiła go woli oporu). Najpierw wyjawiał prawdę żonie i młodszym córkom. Że miał inną rodzinę. Że ożenił się w latach czterdziestych. Że z tamtego małżeństwa ma córkę i kilkoro wnuków. Tak Ana María Marco poznała Elizabeth i Onę Marco,

swoje siostry, które wiekowo mogły być jej córkami, i tak Marco rozwiódł się formalnie z Anitą, która nigdy nie wyszła ponownie za mąż ani nie znalazła sobie, o ile wiadomo, nikogo na stałe. Anita zmarła w 2012 roku. Ana María nadal żyje. Jest energiczną, pogodną kobietą, katoliczką; ojciec zostawił ją, gdy miała trzy lata, ale nie powie o nim złego słowa.

Podczas wielu miesięcy gromadzenia materiałów potrzebnych do napisania tej książki, przed którą tak się broniłem, wydarzyło się niemało dziwnych rzeczy albo niemało rzeczy, które mnie wydawały się dziwne, gdy się wydarzyły.

Nie mogę opowiedzieć o wszystkich; opowiem o jednej z nich.

Marco prawie zawsze zarabiał na życie jako mechanik i od połowy lat pięćdziesiątych do początku osiemdziesiątych, szczególnie wtedy, gdy żył ze swoją drugą żoną, Marią Belver, był współwłaścicielem kilku warsztatów naprawy samochodów w dzielnicy Collblanc, w Hospitalet, mieście należącym do obszaru miejskiego Barcelony. Najdłużej działał warsztat samochodowy Cataluña, ale gdy razem z moją żoną zaszliśmy do niego pewnego popołudnia pod koniec lipca 2013 roku, nazwę miał już zmienioną na warsztat Viñals.

Właściciel, David Viñals, przyjął mnie w maciupieńkim biurze w głębi warsztatu. Usadowiony przed starym komputerem, Viñals zdawał się zakopany w stosie faktur, papierów i segregatorów. Dobrze pamiętał dawnego mechanika, bo pamiętał, że kupił od niego warsztat albo negocjował z nim zakup warsztatu, oraz dlatego, że dużo później dotarły do niego odgłosy wybuchającego skandalu. Powiedział mi, że ich relacja była zdawkowa i przelotna, a wskazując gestem śmiertelnego zmęczenia włączony komputer i bałagan w kantorku, dodał jeszcze, że teraz jest zawalony robotą, ale we wrześniu, po wakacjach, postara mi się zdobyć adres kogoś, kto pracował kiedyś z Markiem. Podziękowałem i powiedziałem, że zadzwonię

we wrześniu; jakby żał mu się zrobiło, że odchodzę z pustymi albo prawie pustymi rękami, dodał przed pożegnaniem:

– Mówię panu, że mało miałem z nim do czynienia, ale sprawiał wrażenie porządnego człowieka. Pamiętam, jak mi powiedział, że rzuca robotę mechanika, bo będzie wykładał na uniwersytecie. – Na jego twarzy z góry pojawił się wyraz rozczarowania i dorzucił: – To też było kłamstwo, nie?

Musiałem przyznać, że tak, a żona, gdy już wyszliśmy na ulicę, nie mogła powstrzymać się od takiej uwagi:

– Wcale mnie nie dziwi, że Marco wymyślał sobie życie pełne przygód – parsknęła. – Mając taką wyobraźnię, gdyby tego nie robił, nie wytrzymałby dwudziestu lat zamknięty w tym warsztacie. Albo by zwariował.

We wrześniu zadzwoniłem do Viñalsa. Powiedział, że zdobył telefon i adres człowieka o imieniu Toni albo Antoni, ucznia w warsztacie u Marca; teraz pracował w warsztacie firmy Llasax przy Carretera Real, w Sant Just Desvern. „Powiedział mi, że nie chce o tym rozmawiać – ostrzegł Viñals. – Na pana miejscu nie dzwoniłbym do niego, tylko od razu tam pojechał, może wtedy zgodzi się porozmawiać”. Posłuchałem go i pojechałem, ale nie sam; wziąłem ze sobą syna pod pretekstem, że nie potrafię posługiwać się GPS-em.

Warsztat znajdował się tuż pod Barceloną, w kierunku na Sant Feliu de Llobregat. Zaparkowałem przy bramie, Raül został w samochodzie, a ja wszedłem do środka bardzo obszernego wysokiego pomieszczenia, z betonową podłogą. W środku panował wielki ruch, ludzie chodzili między oddzielnymi szklanymi ścianami biurami, mechanicy z rękami czarnymi od smarów grzebali w bebechach zepsutych samochodów. Zapytałem kogoś o człowieka, którego szukałem, i po

kwadransie oraz po drobnym nieporozumieniu – w warsztacie był mechanik o imieniu Antoni, ale to nie o niego chodziło – wreszcie udało mi się do niego dotrzeć: miał pięćdziesiąt kilka, góra sześćdziesiąt lat, nazywał się nie Antoni, lecz Antonio i – o ile pamiętam – był chudy jak patyk, i miał jasne oczy. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem pisarzem i piszę książkę o Enricu Marcu i powiedziano mi, że podobno go znał.

– Znałem – powiedział mężczyzna. – Ale nie chcę o nim rozmawiać.

– Zajmę panu tylko pięć minut – odparłem. – Zadam tylko kilka pytań. Pan dyktuje warunki: jeśli nie chce pan, żeby pana nazwisko pojawiło się w książce, to się nie pojawi.

– Już powiedziałem, że nie chcę o nim rozmawiać.

Nalegałem. Powiedziałem, że ja też znam Marca i że piszę tę książkę z jego pozwoleniem i przy jego współpracy i – wyjmując z kieszeni komórkę – dodałem, że w każdej chwili może potwierdzić telefonicznie moje słowa. Mężczyzna nie pozwolił mi skończyć.

– Nie zamierzam rozmawiać o Marcu.

O mało nie zapytałem dlaczego, ale czułem, że byłbym natrętny i że nie warto brnąć w to dalej. Nie po raz pierwszy jakiś świadek nie chciał ze mną rozmawiać o książce, którą miałem na warsztacie, ale po raz pierwszy ktoś komunikował mi to w bezpośredniej rozmowie; i po raz pierwszy przy okazji tej książki. Włożyłem komórkę do kieszeni i westchnąłem.

– Przepraszam, że pana fatygowałem – powiedziałem.

Z szorstkim uśmiechem na twarzy mężczyzna uściśnął moją wyciągniętą na pożegnanie rękę.

– To żadna fatyga – odparł.

– I co powiedział? – zapytał Raül, kiedy usiadłem za kierownicą samochodu.

– Nic – odpowiedziałem.

– Jak to nic? Nie chciał z tobą gadać?

– Nie chciał.

Raül roześmiał się.

– Prawdziwy mistrz z ciebie, tatuś.

Ruszyłem, jeszcze nie wierząc w swoją porażkę, i kiedy wracaliśmy do Barcelony przez labirynt autostrad i rozjazdów, opowiadałem synowi, jak przebiegła rozmowa.

– Nie sądzę, żeby ten facet starał się osłaniać Marca – snułem domysły. – Bo wtedy wzięłby komórkę i zadzwonił do niego, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę. Ten facet nie jest przyjacielem Marca, nie lubi go, może miał z nim jakąś spinkę. Dlatego nie chce mówić.

– No co ty – powiedział Raül. – Jakby mieli spinkę, to właśnie chcieliby mówić: żeby mu dopieprzyć, zemścić się. Może nie chce mówić, bo było wprost przeciwnie.

– Wprost przeciwnie?

– Nie mieli spinki, tylko świetnie się dogadywali. Może nawet za dobrze. Ten koleś był młody, jak poznał Marca, tak?

– Tak przypuszczam, był jego uczniem. Musiał go poznać w latach sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych, nie wcześniej.

– Jeżeli był młodym chłopakiem, to pewnie gładko łykał wszystkie kity, które mu tamten opowiadał, a jak się dowiedział, że to kity, to się tak wkurzył, że nie chce nawet o gościu słyszeć. Nie byłby jedyny. W każdym razie jak się dobrze zastanowić, to lepiej, że nie chciał z tobą gadać: mógłby naopowiadać ci jakichś głupot; a jak nic nie mówi, to koleś jest zagadką. A dla powieści lepsza jest zagadka niż głupota, czy tak?

Raül miał oczywiście rację, ale to nie jest zwyczajna powieść, lecz powieść bez fikcji albo prawdziwa opowieść, a w takiej książce sto razy lepsza jest prawdziwa brednia niż fikcyjna zagadka. Jakkolwiek Raül był też w błędzie: tamten człowiek nie dogadywał się świetnie z Markiem albo nie zawsze, albo ich relacja ostatecznie skończyła się jakąś spinką. Jak dowiedziałem się później, nazywał się Antonio Ferrer Belver i naprawdę był siostrzeńcem Marii Belver, od lat pięćdziesiątych żony Marca przez ponad dwie dekady. Ferrer faktycznie zaczął pracować jako uczeń w warsztacie samochodowym Cataluña, ale pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Marco pozbył się interesu, on nie był z tego zadowolony, albo ze sposobu, w jaki się to dokonało. Oprócz złości był też inny powód, może decydujący: w połowie lat siedemdziesiątych Marco pozbył się także Marii Belver, tak samo jak na początku lat pięćdziesiątych pozbył się Anity Beltrán, zostawił ją i wymienił na dziewczynę o dwadzieścia kilka lat od siebie młodszą. To porzucenie na zawsze poróżniło klan Belverów z Markiem i tłumaczy, dlaczego żaden z członków klanu (albo żaden z tych, z którymi starałem się skontaktować) nie chciał rozmawiać o skandalu. Podobnie jak dawny uczeń Marca.

Nieprzyjemne zdarzenie z siostrzeńcem Marii Belver sprawiło, że odżyły wszystkie niepokoje i obawy, jakie prześladowały mnie po spotkaniu z Benitem Bermejem w Madrycie. Historyk wysunął wtedy przypuszczenie, że Marco, gdy stał na czele anarchistów, był konfidentem policji, oraz przyznał, że różne skrupuły i rozterki kazały mu porzucić na razie zamiar napisania książki o Marcu: znowu zadawałem sobie pytanie, czy moja książka, nie dość, że niemożliwa, nie jest też nierozważna, znowu zadawałem sobie pytanie, czy mój zamiar opowiedzenia

prawdziwego życia Marca nie jest niemoralny, czy mam prawo wtrącać się w jego prywatne życie i w jego życie rodzinne (przy okazji miałem nadepnąć wszystkim na odcisk i wszyscy wypadaliby w niej źle), czy mam prawo to zrobić i czy powinien Benito to robić, nawet jeśli Marco mnie do tego upoważnił i mi w tym pomagał.

W tamtych dniach często wracałem pamięcią do dwóch symetrycznych i przeciwstawnych historii, które opowiada francuski pisarz Emmanuel Carrère, autor *Przeciwnika*, powieści pozbawionej fikcji literackiej, prawdziwej relacji albo opowieści, przedstawiającej historię Jeana-Claude'a Romanda, oszusta, który w obawie, że jego oszustwa wyjdą na jaw, zabił swoją żonę, dwoje małych dzieci i rodziców.

Bohaterem pierwszej z tych historii jest amerykański pisarz Truman Capote. W 1960 roku, mając trzydzieści sześć lat, postanowił on napisać prawdziwą opowieść albo powieść pozbawioną literackiej fikcji, która miała okazać się jego dziełem życia. Temat wybrał przypadkiem (a może przypadek wybrał właśnie jego): zabójstwo rodziny farmerów w Kansas, na tak zwanej głębokiej prowincji amerykańskiej, dokonane przez nieznaną sprawców. Capote pojechał do Kansas i zatrzymał się w miasteczku, w którym doszło do zbrodni; po tygodniu zabójców aresztowano: było ich dwóch, byli młodzi, nazywali się Dick Hickock i Perry Smith. Capote odwiedził ich w więzieniu, zaprzyjaźnił się z nimi i przez pięć następnych lat, zanim obaj więźniowie stanęli przed sądem i zostali skazani na śmierć, stał się dla nich najważniejszą osobą w życiu. Relacja o dwóch ostatnich latach była straszna. Z powodu wielu apelacji egzekucję kilkakrotnie odkładano. Tymczasem Capote zapewniał swych nowych przyjaciół i zarazem bohaterów swej

książki, że robi wszystko, co w jego mocy, aby ich uratować, że zatrudnił nawet najlepszych adwokatów; a przecież wiedział, że najlepszym możliwym zwieńczeniem historii będzie ich śmierć, że jego książka domaga się takiego końca, modlił się zatem potajemnie o taki finał, a nawet w tej intencji zapalał w kościele świeczkę.

Ostatecznie Dick i Perry zostali powieszani; Capote był świadkiem egzekucji i ostatnim człowiekiem, który ich uściskał, nim weszli na podest szubienicy. Literackim owocem tej moralnej aberracji była książka *Z zimną krwią*, jego arcydzieło. Carrère daje do zrozumienia, że dzięki niej Capote ocalił się jako pisarz, ale zdyskwalifikował jako istota ludzka, i że jego późniejsza degrengolada, jego alkoholizm, były ceną, jaką przyszło mu zapłacić za tamtą podłość.

Bohaterem drugiej historii jest angielski pisarz Karol Dickens; Carrère nie podaje dokładnej daty, ale musiało się to wydarzyć w 1849 roku, gdy w prasie ukazywał się w odcinkach *David Copperfield*. Na początku powieści pojawia się drugoplanowa postać, Miss Mowcher, która wedle wszelkich oznak – mamy do czynienia z osobą chytrą, zazdrosną i służalczą, w dodatku karlicą – jest zła do szpiku kości, a ponieważ w powieściach nikt nie podoba się bardziej niż czarne charaktery, a w dodatku Dickens był już wtedy bardzo poczytnym pisarzem, cała Anglia z góry się cieszyła na kolejne paskudne czyny tejże damy. I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Dickens dostał pewnego dnia list, w którym jakaś mieszkająca na prowincji kobieta skarżyła się z goryczą, że z powodu jej fizycznego podobieństwa do Miss Mowcher – autorka listu też była karlicą – sąsiedzi z miasteczka zmienili do niej stosunek, szepcą coś, gdy przechodzi, i przysyłają jej

anonimowe pogróżki; na koniec pisała, że jest dobrym człowiekiem, a z winy pisarza i jego Miss Mowcher jej życie zmieniło się w piekło.

Wiemy przecież, jak zachowałyby się każdy pisarz: wcale by nie odpowiedział na taki list, a gdyby już, to w następujący sposób: problem nie jest jego problemem, to problem osób, które mylą fikcję z rzeczywistością oraz niedorzecznie utożsamiają postaci fikcyjne z rzeczywistymi. Dickens zareagował inaczej: zmienił postać, zmienił fabułę powieści, zmienił wszystko; przez całą książkę spodziewano się kolejnych podłych czynów Miss Mowcher, wszystko ku nim zmierzało, ale, w kolejnym odcinku, Dickens zmienił swój czarny charakter w istotę pełną dobroci, w anioła z nieba, tyle że o niefortunnej powierzchowności. Carrère przyznaje, że może uwznioślił trochę pobudki, jakimi kierował się Dickens: że może przecenia znaczenie Miss Mowcher w powieści. W każdym razie *David Copperfield* odniósł wielki sukces, był kolejnym arcydziełem Dickensa, w którym ten ocalił się jako pisarz, ale także jako człowiek.

Ale to nie jedyny ani najbardziej interesujący mnie wniosek, jaki wysnuwa Carrère z tych dwóch symetrycznych i przeciwstawnych historii. Mówi, że przystępując do pisania *Przeciwnika*, zamierzał naśladować *Z zimną krwią*, jej flaubertowską nieczułość i obojętność, decyzję Capote'a, by opowiedzieć historię Dicka Hickocka i Perry'ego Smitha tak, jakby była całkowicie poza nim, nie biorąc pod uwagę swego w niej perwersyjnego udziału ani powodowanych tym udziałem dylematów moralnych; a przecież, pisze Carrère, i on ostatecznie postąpił inaczej: postanowił opowiedzieć tę historię, samemu się z niej nie wyłączając, nie w trzeciej lecz w pierwszej osobie, ujawniając także swoje wątpliwości moralne i swoją relację

z oszustem i mordercą. I na koniec mówi: „Bez przesady myślę, że ten wybór ocalił mi życie”.

Czy Carrère ma rację? Czy ocalając się jako pisarz – *Przeciwnik* to także książka arcydzielna – ocalił się także jako człowiek, włączając samego siebie w tę opowieść o zbrodni Jeana-Claude’a Romanda? Czy ja miałem ocalić się jako pisarz i jako człowiek, jeśli – skoro już nie mogłem zachować się jak Dickens i upiększyć historii Marca – nie szedłem przynajmniej śladem Capote’a i opowiadałem nie w trzeciej, lecz w pierwszej osobie o relacji z bohaterem mojej książki i, jak Carrère, nie wypierałem się wątpliwości ani dylematów moralnych nękających mnie podczas pisania? Czyż błyskotliwa i pocieszająca argumentacja Carrère’a nie była fałszywa, by nie powiedzieć zdradziecka? Czy nie była próbą kupienia sobie legitymacji moralnej, by mieć prawo do zrobienia z Jeanem-Claudem Romandem tego samego, co Capote zrobił swego czasu z Dickiem Hickockiem i Perrym Smithem i co ja zamierzałem zrobić z Enrikiem Markiem, a w dodatku, by zrobić to z czystym sumieniem i bez szkody dla siebie? Czy wystarczy uznać własną marność, by ta znikła lub stała się przyzwoitością? Czy nie lepiej przyznać uczciwie, że aby napisać *Z zimną krwią* albo *Przeciwnika*, trzeba było dać przyzwolenie sobie na immoralizm i postawić się w dwuznacznej sytuacji? Czy byłem na to gotów za cenę napisania arcydzieła, zakładając, że potrafiłbym napisać arcydzieło? Koniec końców: czy można napisać książkę o Enricu Marcu, nie zawierając paktu z diabłem?

To była najpilniej strzeżona tajemnica Marca, może dlatego że ze wszystkich jego kłamstw to było najbardziej zawstydzające: na początku lat pięćdziesiątych Marco poznał więzienia frankistowskie, ale nie jako więzień polityczny, lecz jako pospolity przestępca.

Odkryłem to przypadkiem, Marco mi nic nie powiedział. Odkryłem to dzięki Ignasiemu de Gispertowi, adwokatowi specjalizującemu się w prawie pracy, który na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych należał do grupy złotej młodzieży katalońskiej, zafascynowanej Markiem. Marco wówczas przedstawiał się jako Enric Batlle i dla tych zbuntowanych młodych ludzi z zamożnych rodzin, którzy właśnie odkrywali świat, jawił się jako typ wykształconego robotnika, antyfrankisty i rewolucjonisty. Pewnego dnia pod koniec 1975 roku, a może na początku 1976, wkrótce po śmierci Franco, De Gispert odebrał telefon od Marii Belver, wówczas jeszcze żony Marca, która go zawiadamiała, że mąż siedzi w więzieniu Modelo i pilnie potrzebuje jego pomocy. De Gispert, świeżo upieczony prawnik, natychmiast pojechał do Modelo. Tam Marco opowiedział mu w dość mętny sposób, że został zatrzymany z powodów politycznych, gdy starał się załatwić jakąś sprawę urzędową, i że go torturowano albo chciano torturować, ale De Gispert wyczuł, że Marco coś kręci. Intuicja go nie zawiodła. Gdy poszedł do sądu, dowiedział się, że za Markiem został wystawiony list gończy z powodu napadu rabunkowego na Rambli. Popełnił to przestępstwo na przełomie lat czterdziestych

i pięćdziesiątych, a więc szczęśliwie uległo przedawnieniu, został zatem zwolniony po kilku zaledwie dniach spędzonych w więzieniu. Marco usprawiedliwiał się wtedy, że cała sprawa to nieporozumienie: wielokrotnie tłumaczył De Gispertowi i jego kolegom, że przez wiele lat posługiwał się tożsamością zmarłego Enrica Marca, aby wymknąć się policji politycznej, i że dopiero teraz, przy okazji tego niefortunnego aresztowania, dowiedział się, że ów Marco był pospolitym przestępcą, prawdziwym sprawcą przypisanego mu występku.

Rzecz jasna De Gispert nie uwierzył w ani jedno słowo, bo przyjaźnili się już wtedy dobrych kilka lat i młody adwokat domyślał się, jakie są Marca słabe strony. Pozostaje jednak pytanie: jak to się stało, że na początku lat pięćdziesiątych Marco został złodziejem? Co sprawiło, że idealny mąż, ojciec, zięć i szwagier Beltranów stał się pospolitym przestępcą?

U początków tej przemiany Marca była, tak jak podejrzewali Beltranowie, jego praca w firmie Comercial Anónima Blanch. Tam właśnie zakosztował całkowicie odmiennego niż dotychczas życia, wędrownego życia komiwojażerów, ludzi w garniturach pod krawatem, którzy jadali lunche i kolacje w zajazdach, gospodach i tawernach, wieczorami wychodzili napić się do miasta, przegrywali pensje w karty i byli częstymi bywalcami drogich burdeli. Któregoś wieczoru w jednym z takich lokali (miejscu zwanym „U ciotki Antosi”) Marco przespał się z dziewczyną o imieniu Marina. Dwa dni później przespał się z nią znowu, a po dwóch tygodniach zdał sobie sprawę, że się w niej zadurzył. Dziewczyna przestała brać od niego pieniądze, ale Marco płacił burdelmamie, żeby nikt inny z nią nie sypiał. Mimo dobrej pensji wydawał więcej, niż zarabiał, żeby zatem dorobić, zaczął po kryjomu sprzedawać egzemplarze pokazowe,

które ze sobą nosił i które były własnością firmy. Jego podwójne życie wyszło na jaw, gdy żona nakryła go któregoś wieczoru, jak wychodził z burdelu w towarzystwie dwóch prostytutek. Jakiś czas później przełożeni z Comercial Anónima Blanch odkryli jego przekręty, wszczęli postępowanie dyscyplinarne i zawiesili go w obowiązkach oraz nie wypłacali mu pensji do chwili wyjaśnienia całej sprawy. Marco został bez pracy, ale nie odważył się powiedzieć o tym rodzinie i nadal wychodził co dzień rano z domu, jakby szedł do biura, żeby godzinami włóczyć się po mieście w garniturze i pod krawatem, z ponurą miną i podręczną walizeczką komiwojażera. Wracał do domu późnym wieczorem, jakby cały dzień spędził w pracy, albo nad ranem.

Wtedy zaczął dopuszczać się małych kradzieży. Przy jakiejś okazji ukradł biżuterię z domu klienta, który mu nie płacił. Kiedy indziej bezskutecznie usiłował otworzyć sejf u innego. Te dwa przypadki Marco pamięta albo się do nich przyznaje (albo je sobie przypomniał i przyznał mi się do nich, kiedy się zorientował, że dzięki De Gispertowi odkryłem już wcześniej prawdę), ale bardzo możliwe, że było ich więcej. Poszkodowani złożyli skargi i Marco przeżył upokorzenie, gdy do domu przyszła po niego policja, zabrali go na komisariat, musiał się gęsto tłumaczyć, oddać biżuterię i przystać na obowiązek meldowania się systematycznie na komisariacie. Tak było, gdy został zatrzymany po raz pierwszy, za drugim razem wylądował od razu w więzieniu. Wyszedł z niego z głową ogoloną na łyso i zawstydzony. Kilka dni wytrzymał w domu wymowne spojrzenia tych, którzy jeszcze niedawno uważali go za idealnego męża, ojca, zięcia. Ale dłużej już nie mógł i nazajutrz po ślubie swojej ostatniej szwagierki, odszedł na zawsze.

Następne tygodnie musiały być koszmarem. Znając Marca, można wykluczyć, że jego decyzja była nieprzemyślana albo że wcześniej nie zaplanował jakoś swojej ucieczki; możliwe nawet, że jego plan obejmował też Marinę, tę prostytutkę, którą w jakiejś mierze wcześniej utrzymywał i która w jakiejś mierze była wszystkiego przyczyną. W każdym razie wszystkie plany wzięły w łeb i nagle znalazł się bez rodziny, bez pracy i bez dachu nad głową. W dzień wałęsał się po mieście, nocą spał na ławkach na Rambli albo na placu Cataluña, pośród dziwek, żebraków i złoczyńców. Nie stawił się więcej na komisariacie, stał się zatem zbiegiem i od tej chwili figurował na wszystkich listach poszukiwanych przestępców pospolitych. (Nawiasem mówiąc, to tłumaczy wiele spraw, na przykład fakt ponownego zatrzymania go pod koniec 1975 lub na początku 1976 roku, kiedy to De Gispert musiał wyciągać go z więzienia; na przykład fakt, że w okresie powojennym nigdzie nie zarejestrował się pod swoim prawdziwym nazwiskiem, dopóki De Gispert nie wyciągnął go z kłopotów i mógł w końcu uregulować swoją sytuację prawną; na przykład fakt, że mógł później zapewniać bez łągarstwa albo w poczuciu, że nie kłamie, że przez cały niemal okres powojenny ukrywał się, ścigany przez frankistowski wymiar sprawiedliwości). W owym czasie nadal bez wątpienia popełniał przestępstwa, ale nie wiem, co dokładnie zrobił ani jak daleko się posunął, i właściwie wolę tego nie wiedzieć. Na pewno sięgnął dna.

Ten okres całkowitego upadku nie mógł trwać długo: najwyżej kilka miesięcy. Pomógł mu człowiek o nazwisku Peiró. Marco dobrze go nie znał, ale Peiró musiał mieć o nim dobre zdanie, bo gdy spotkali się kiedyś przypadkiem, wziął sprawy w swoje ręce (albo Marco wyłożył mu, w jakiej się znajduje sytuacji), zaprosił

Marco do swego domu i powiedział, że być może ma dla niego pracę. Peiró mieszkał z rodziną przy ulicy Campoamor, w Hospitalet – mieście, które wtedy gwałtownie się rozwijało dzięki masowemu napływowi emigrantów z południa Hiszpanii – i jeden z jego braci, Paco, zaproponował Marcowi, żeby wyremontował dwie wojskowe ciężarówki, które stały w garażu. To nie była poważna robota, nawet nie zaproponowali mu za nią pieniędzy, ale Marco zgodził się bez chwili wahania.

Tak zaczęło się nowe życie. Początkowo Marco spał w domu rodziny Peiró i każdego ranka szedł pracować do garażu na ulicę General Sanjurjo 144 (dziś Martí Julià) w Collblanc, dzielnicy Hospitalet. Szybko jednak przeniósł się tam na stałe, a Peirowie – w zamian za jego pracę – żywili go i pozwolili nocować w starym samochodzie Hansa Lloyd. Ludzie znający to miejsce twierdzą, że było brudną norą z zaciekami na ścianach, a samochód bardziej niż pojazd przypominał kupę złomu. Otoczenie nie skłaniało do optymizmu, ale Marco się nie przestraszył. Zaczął ciężko pracować – od rana do nocy, nie wyłączając sobót i niedziel – i w krótkim czasie nie tylko uruchomił obie ciężarówki Paca Peiró, lecz także, z pozwoleniem jego rodziny, zrobił z garażu warsztat samochodowy, w którym odnawiał i naprawiał samochody osobowe, taksówki i ciężarówki należące do rodziny, a także do innych klientów z tej samej dzielnicy. Ponieważ pracy miał aż nadto, ze wszystkim nie nadążał i brakowało mu kogoś do pomocy, zatrudnił ucznia, a potem jeszcze jednego, młodych, biednych chłopaków z imigranckich rodzin z południa. Mało im płacił, ale wielu rzeczy ich uczył, bo w tym czasie był już niezłym mechanikiem z wieloletnim doświadczeniem. Dobrze traktował swoich pomocników, a oni go szanowali; nazywali go Enrique i uważali,

że na nazwisko ma Durruti, jak legendarny przywódca anarchistów i, jakkolwiek Marco nigdy wtedy nie mówił o wojnie ani o polityce, podejrzewali (bo on pozwalał im tak podejrzewać albo robił takie miny), że pozostaje w jakimś związku z podziemnymi organizacjami i że ściga go policja. Mieli go za bardzo inteligentnego szefa i człowieka piekielnie wygadanego, który umiałby sprzedać szampon nawet łysemu; uważali też, że jest wspaniałomyślny i lojalny, no, chyba że chodziło o kobiety: wszyscy wiedzieli, że żadnej nie przepuścił.

Marco spędził trzy albo cztery lata w garażu u rodziny Peiró. Chcąc pracować więcej i lepiej, wynajął warsztat albo część warsztatu przy ulicy Montseny, a jeszcze później otworzył pierwszy własny interes: warsztat Collblanc. Żył już wówczas z Marią Belver, młodą Andaluzijką zakochaną w nim na zabój, z którą miał dzielić następne dwadzieścia lat życia. Poznali się w barze opodal garażu rodziny Peiró, gdzie Marco chodził na śniadania albo obiady, a kiedy pokazał jej garaż, dziewczyna przekonała go, żeby zostawił tę norę, i znalazła mu pokój sublokatorski w pobliżu, w Ronda de la Torrassa. Po jakimś czasie Marco wynajął całe mieszkanie przy Oriente 57–59, wesołej i gwarnej uliczce, pełnej sklepów, barów i warsztacików; zamieszkał tam z Marią. Odtąd ona dzieliła swój czas między prowadzenie domu Marcowi a szycie po domach. (Nawiasem mówiąc, María szyła dla małżeństwa Puig Antichów, rodziców sławnego anarchisty straconego w 1974 roku przez Franco, a Marco zachodził czasem po nią do ich domu; to był jedyny związek Marca z Puigiem Antichem, co nie przeszkodziło mu wszakże podać się za bliskiego mu człowieka w artykule opublikowanym w 1988 roku, kiedy to bliska relacja z Puigiem Antichem oznaczała niewiele mniej niż bycie opozycjonistą

wobec frankizmu). Zastępując Anitę Beltrán Marią Belver, Marco nie tylko zmienił żonę; zmienił też rodzinę, a właściwie klan; po klanie katalońskim, czyli mówiącym po katalońsku, katolickim, ubogim i dyskretnym klanie Beltranów, nastał andaluzyjski, mówiący po kastylijsku, niewierzący, bardzo biedny i hałaśliwy klan Belverów wciąż się powiększający, w miarę jak liczna rodzina Marii przybywała z Almerii do Hospitalet, uciekając przed biedą. Mimo wszystkich dzielących obie rodziny różnic Beltranowie i Belverowie mieli jedną cechę wspólną: brak wykształcenia, i Marco, zachłanny czytelnik, niepohamowany gaduła i człowiek, który mógł się pochwalić wyjazdem z Hiszpanii za granicę i pobytem w Niemczech, błyszczał wśród Belverów podobnie jak przedtem błyszczał wśród Beltranów, skupiał na sobie uwagę wszystkich, był przywódcą i szanowanym przez wszystkich patriarchą. Tak czuł się przynajmniej on sam i tak odbierali go wszyscy, którzy byli częstymi bywalcami spotkań klanu Belverów.

Marco był również lubiany i szanowany w dzielnicy Collblanc. Wszyscy znali go jako Enrique, mechanika, dowcipnisia, człowieka wesołego i tryskającego energią, zawsze skorego do pomocy innym. Był to dla niego czas pomyślności: zmienił warsztat Collblanc na warsztat Auto-Cataluña i przeniósł go do większego i lepiej położonego lokalu, na Travessera de Les Corts, tuż obok stadionu Barçy; dobrze mu się powodziło, odnowił zatem kontakt z pierwszą żoną i z dwojgiem dzieci, aby pomagać im finansowo, choć robił to sekretnie i na odległość, stać go było nawet na kupienie sobie na raty mieszkania przy plaży Calafell, gdzie spędzał letnie miesiące i niektóre weekendy. (Trzeci i ostatni nawias: zapisał to mieszkanko na Marię Belver, podobnie jak wszystkie inne dobra, które miał na

własność lub wynajmował, bo przecież nadal jego nazwisko widniało na wszystkich policyjnych listach poszukiwanych przestępców, choć nikt w jego otoczeniu o tym nie wiedział). Marco nie był jedynym, któremu zaczęło się dobrze powodzić: należał pod tym względem nie do mniejszości, a wciąż do większości: jego pomyślność w latach sześćdziesiątych była typowa dla całej Hiszpanii, kraju, który w narzuconej szarości i potulnym milczeniu zaczynał cieszyć się dobrobytem i równocześnie starał się zapomnieć o okropieństwach wojny i biedzie pierwszych lat powojnia. I Marco pewnie starał się o nich zapomnieć, pewnie pragnął pogrzebać przeszłość. Przeszłość osieroconego dziecka, młodziutkiego anarchisty bez dachu nad głową, chłopca pokonanego na wojnie, człowieka złamanego i tchórza, kolaboranta frankizmu i nazizmu, więźnia, nieuczciwego akwizytora hulaki, zbiegłego męża i ojca, i pospolitego przestępcy. Wiemy już jednak, że nie da się przeszłości przewyciężyć albo bardzo o to trudno, że przeszłość nigdy nie mija, że – jak napisał Faulkner – nawet nie jest przeszłością, jest tylko postacią terażniejszości. Pod koniec lat sześćdziesiątych albo na początku lat siedemdziesiątych Marco, podobnie jak cały kraj, zaczął się o tym przekonywać.

Kiedy wybuchła afera Marca, wytoczono przeciw niemu niezliczoną ilość zarzutów; przedstawiono także kilka argumentów w jego obronie. Główny zarzut był nie do przyjęcia, podobnie jak główny argument w jego obronie.

Główny zarzut właściwie nie wymaga repliki. Sprowadza się do tego, że jego oszustwo było idealnym wprost paliwem dla negacjonistów, jeśli termin ten stosujemy do osób utrzymujących, że naziści wcale nie byli tacy źli, jak to się teraz mówi, że obóz Auschwitz nie był fabryką śmierci i że śmierć niemal sześciu milionów Żydów jest wymysłem propagandy syjonistycznej. Wśród ludzi zabierających głos w sprawie Marca w Hiszpanii nie było prawie takich, którzy nie sięgnęli po ten zarzut; powtórzył go nawet – skruszony – sam Marco, który uważał, że najpoważniejszą, jeśli nie jedyną prawdziwą szkodą spowodowaną jego oszustwem lub odkryciem jego oszustwa było ośmielenie negacjonistów. Zanim został zdemaskowany, twierdził, że wygłaszając pogadanki i wykłady, pisząc artykuły, odbywając podróże, organizując rozmaite wydarzenia, tworząc biblioteki i archiwa jako przewodniczący stowarzyszenia Amical de Mauthausen, zwalcza przede wszystkim negacjonistów, bo ci grozili wymazaniem ofiar największej zbrodni ludzkości z pamięci świata.

To wszystko bzdura. Potworności popełnione przez nazistów należą do najbardziej znanych i najlepiej udokumentowanych faktów współczesnej historii, a negacjoniści to w początkach XXI wieku czterech kretynów na krzyż, doskonale znanych i równie

groźnych jak ci, którzy twierdzą, że Ziemia jest płaska, a człowiek nigdy nie stanął na Księżycu. Ludzie tego rodzaju nie potrzebują żadnego paliwa: żywią się sami. O ile wiem, tylko przy jednej okazji negacjoniści chcieli wykorzystać sprawę Marca dla siebie. Było to w marcu 2009 roku w sądzie okręgowym w Barcelonie, podczas procesu Oscara Panadero – właściciela księgarni Kali, oskarżonego o kierowanie organizacją neonazistowską i sprzedaż publikacji usprawiedliwiających Holocaust. Podsądny odmówił odpowiedzi na pytania adwokata reprezentującego Amical de Mauthausen, powołując się na to, że wcześniej prezesem tego stowarzyszenia był Marco; to był absurdalny argument: tak jakby nie chciał odpowiadać na pytania adwokata, bo tego dnia padał deszcz albo świeciło słońce; równie absurdalne jak przekonanie, że można zakwestionować zbrodnie nazistowskie, bo ktoś podający się za ich ofiarę w rzeczywistości wcale nią nie był, albo jak przekonanie, że można zakwestionować zburzenie Bliźniaczych Wież w Nowym Jorku, dlatego że Tania Head, przez dłuższy czas przewodnicząca stowarzyszenia ofiar tego zamachu, była oszustką i 11 września 2001 roku nie było jej nawet w Nowym Jorku. W rzeczywistości debata na temat negowania Holocaustu jest dziś martwą debatą, a przynajmniej znajduje się w fazie agonalnej (była już na tym etapie w 2005 roku, gdy wybuchła afera Marca): utrzymywanie, że nadal jest żywa, ujawnia tylko ignorancję na temat Holocaustu; albo, jak w przypadku Marca i wielu innych osób zwalczających negacjonizm, jest pragnieniem dowartościowania własnych działań poprzez tworzenie iluzji potężnego wroga.

Podstawowy argument używany w obronie Marca od chwili skandalu jest równie niespójny, ale bardziej wyrafinowany. To

wyrafinowanie jest logiczne: casus Marca jest tak oczywisty, że próba obrony wydaje się zadaniem zastrzeżonym dla cyników, sofistów, konformistów nonkonformizmu albo intelektów nie tyle nieustraszonych, co zaledwie zuchwałych. Argument ten mówi, że jakkolwiek Marco nigdy faktycznie nie przebywał we Flossenbürgu i jest kłamcą, to przecież mówił prawdę: jego drobne kłamstewko posłużyło rozpropagowaniu wielkiej prawdy o zbrodniach nazistowskich i dlatego nie jest naganne albo przynajmniej nie tak naganne, jak inne kłamstwa. Nie trzeba dodawać, że po wybuchu skandalu była to jedna z głównych linii obrony samego Marca. Należy jednak przypomnieć, że nie tylko Marco uciekł się do niego w swej desperackiej próbie samoobrony: postąpił tak również, nie będąc wcale w desperacji, ktoś tak inteligentny jak Claudio Magris.

Argument ten jest, jak powiadam, nie do przyjęcia, mimo że obalić go trudniej niż poprzedni zarzut. Stwarza przynajmniej dwa kłopoty: dwa kłopoty wzajemnie powiązane. Pierwszy jest ogromny, ale sprowadza się do krótkiego pytania: czy kłamstwo jest moralnie dopuszczalne? Na przestrzeni dziejów myśliciele podzielili się w tej kwestii na dwa obozy: relatywistów i absolutystów. Na przekór temu, czego należałoby się spodziewać, jako że myśl nieustająco dąży do absolutu, większość to relatywiści tacy jak Platon (który w *Państwie* mówił o *gennaion pseudo*: szlachetnym kłamstwie) albo jak Wolter (który pisał w 1736 roku w liście do swego przyjaciela Nicolasa-Claude'a Thieriota: „Kłamstwo jest występkiem tylko wówczas, gdy wyrządza zło; jest wielką cnotą, gdy czyni dobro”) – argumentują, że kłamstwo nie zawsze jest złe, a czasem bywa konieczne, albo że dobro lub zło kłamstwa zależą od dobra lub zła wywołanych przez nie konsekwencji: jeśli skutek kłamstwa

jest dobry, kłamstwo jest dobre; jeżeli skutek jest zły, kłamstwo jest złe. Absolucyści dowodzą odwrotnie, że kłamstwo samo w sobie jest złe, niezależnie od swych skutków, bo jest brakiem szacunku dla drugiej osoby i w gruncie rzeczy jest aktem przemocy albo nawet zbrodnią, jak mówi Monteskiusz. Ale nawet sam Montaigne, śmiertelnie nienawidzący kłamstwa i mający prawdę za „pierwszą i fundamentalną część cnoty”, broni w eseju zatytułowanym *Cecha pewnych ambasadorów* – może przez pamięć o szlachetnych kłamstwach platońskich – kłamstw pożytecznych lub altruistycznych, *mensonges officieux*, wypowiedzianych ku pożytkowi innych.

O ile wiem, tylko Immanuel Kant w rzeczywistości doprowadził tę absolutystyczną zasadę prawdy do granic logiki i w swej polemice z Benjaminem Constantem w 1797 roku dowodził, że zakaz kłamania nie dopuszcza wyjątków. Kant posłużył się słynnym przykładem: założmy, że przyjaciel ukrywa się u mnie w domu przed ścigającym go mordercą; założmy, że morderca puka do drzwi i zadaje mi pytanie, czy mój przyjaciel znajduje się w domu; w takiej sytuacji, twierdzi Kant, moim obowiązkiem moralnym nie jest skłamać, lecz jak w każdej innej sytuacji powiedzieć prawdę: moim obowiązkiem moralnym nie jest skłamać mordercy, mówiąc, że mego przyjaciela nie ma w domu, a zatem postarać się, aby nie wszedł do środka i nie dokonał zbrodni, moim obowiązkiem jest powiedzieć mu, że przyjaciel jest w domu, nawet ryzykując to, że morderca wejdzie i go zabije. Tak rozumuje Kant i wiele ma po temu racji. Najważniejsza z nich to ta wynikająca z kategorycznego imperatywu, zgodnie z którym należy tak postępować, byśmy mogli sobie życzyć, aby wszelkie nasze działania stały się uniwersalnymi zasadami, obowiązującymi wszystkich. Oznacza

to, by wrócić do poprzedniego przykładu, że na krótką metę moje kłamstwo wyrządziłoby może małe dobro, ocaliłoby życie memu przyjacielowi, ale na dłuższą metę, wobec faktu, że społeczeństwo zasadza się na wzajemnym zaufaniu między ludźmi, wyrządziłoby ostatecznie wielkie zło, działałoby na rzecz absolutnego chaosu. Argumentacja jest bez zarzutu, jakkolwiek wydaje się, że niewielu skłonnych jest przyznać rację Kantowi, nawet wśród jego wyznawców. I faktycznie nie brak takich, którzy uznają jego stanowisko za szalone, ani takich, którzy przypisują je wiekowi Kanta i spustoszeniu, jakiego starość dokonała w jego władzach umysłowych, są nawet tacy, którzy uznali je za żart filozofa. Możliwe, że ten niezwykle wywód Kanta dowodzi w niezwykle sposób, że logika graniczy z absurdem. Komentując tę debatę w swoim *Morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych*, De Quincey oskarża Kanta o bycie potencjalnym współnikiem morderstwa. Ja chętnie poznałbym opinie przyjaciół Kanta na ten temat.

Tak czy inaczej, wiedząc o tym czy nie, obrońcy Marca czują odrazę do Kanta i utrzymują, że kłamstwa Marca były szlachetnymi kłamstwami, by użyć sformułowania Platona, albo kłamstwami pożytecznymi lub altruistycznymi, by posłużyć się terminami Monteskiusza; krótko mówiąc, twierdzą, podobnie jak i sam Marco, że tak, Marco był oszustem, ale z jego ust nigdy nie padło żadne kłamstwo dotyczące historii, jego konfabulacje prezentowały urbi et orbi prawdę na temat potworności XX stulecia i dlatego były dobrymi kłamstwami, bo ich skutek był dobry. Jednakże – i tu pojawia się drugi kłopot – czy aby na pewno z ust Marca nigdy nie padło żadne kłamstwo dotyczące historii? Chcę powiedzieć: zostawmy przez chwilę na boku przyczyny, które skłoniły Marca do konfabulacji; załóżmy

przez chwilę, że jego kłamstwa były pożyteczne, altruistyczne i wychowawcze i miały szczytny cel, i nie były narcystyczne, a zatem, że Marco nie kłamał, by się dowartościować, zaskarbić sobie miłość i podziw ani by za zasłoną tej megalomańskiej konfabulacji stworzonej z marzeń ukryć fundamentalną nędzę i przeciętność swego życia albo to, co on sam uważał za fundamentalną nędzę i przeciętność swego życia. Przyjrzyjmy się skutkowi jego kłamstw, nie ich przyczynom. Powstaje wówczas pytanie: czy Marco kłamał, wykorzystując prawdę? Lub innymi słowy: czy Marco mówił prawdę o historii (historii obozów nazistowskich albo historii wojny domowej i powojnia w Hiszpanii), pomimo że oszukiwał w kwestii miejsca, jakie zajmował, i roli, jaką w niej odegrał?

Oczywiście, że nie. Pomimo że zawsze starał się gruntownie przygotować, czytając książki historyczne i uzbrajając się po zęby w relacje pisane i mówione tych, którzy przeżyli, często popełniał błędy i nieścisłości, tak więc jego relacje niejednokrotnie są mieszanką prawdy i kłamstwa, co jest najbardziej wyrafinowaną formą kłamstwa. Prawda, że opowiadając o własnych losach, Marco celowo łączy prawdziwe i zmyślane zdarzenia, podczas gdy w opowieści o losach zbiorowych (tej zawierającej w sobie i starającej się uwiarygodnić jego losy osobiste) robi to niechcący, z ignorancji lub przez nieuwagę, w obu jednak przypadkach skutek jest taki sam. Przytoczyłem już wiele przykładów ilustrujących sposób, w jaki Marco wplata kłamstwa w osobiste losy, mógłbym przytoczyć kilka pokazujących, jak wplata kłamstwo w losy zbiorowości; podam tylko jeden, konkretny i szokujący. W relacji dotyczącej wyzwolenia Flossenbürga i opublikowanej w maju 2005 roku przez czasopismo historyczne „L’Avenç” Marco

twierdzi, że podobnie jak w innych obozach koncentracyjnych, i tam była komora gazowa; nie wiem, ile razy powtórzył tę informację w swoich prelekcjach i wykładach, ale jest ona nieprawdziwa: we Flossenbürgu nigdy nie było komory gazowej.

Ten rodzaj błędów faktograficznych ma dużo większe znaczenie, niż się wydaje, ponieważ wystarczy jeden zmyślony fakt, by prawdziwa relacja zmieniła się w nieprawdę i jak bakteria powodująca epidemię zakaziła nieprawdą wszystkie relacje wywodzące się z tej pierwszej. Ale nie to jest najistotniejsze. Wszystko, co opowiedział Marco, nawet gdyby nie zawierało najmniejszego faktograficznego błędu, byłoby i tak zawsze fikcją. Po pierwsze dlatego, że jego relacje opierają się na uprzednim zasadniczym kłamstwie, czyli pobycie w obozie nazistowskim i bohaterskim zachowaniu podczas wojny i powojnia. Po drugie zaś dlatego, że choćby wszystkie fakty przytoczone przez Marca były prawdziwe, to cały jego dyskurs jest czystym kiczem, to znaczy czystym kłamstwem; a raczej ponieważ cały Marco to jeden wielki kicz.

Co to jest kicz? Przede wszystkim to pewne wyobrażenie sztuki stanowiące falsyfikację sztuki autentycznej lub co najmniej jej efekciarską dewaluację; ale kicz to także negacja wszystkiego, co w ludzkim życiu okazuje się nie do przyjęcia, ukryte za fasadą sentymentalizmu, oszukańczego piękna i sztucznej cnoty. Krótko mówiąc, kicz to narcystyczne kłamstwo, które skrywa prawdę okropności i śmierci: jak kicz estetyczny jest kłamstwem estetycznym – sztuką, która w rzeczywistości jest fałszywą sztuką – tak kicz historyczny jest kłamstwem historycznym – historią, która w rzeczywistości jest fałszywą historią. Dlatego właśnie jest czystym kłamstwem (znaczy: czystym kiczem) ta powieściowa i ubarwiona historia

propagowana przez Marca w opowieściach o Flossenbürgu, o wojnie i latach powojennych w Hiszpanii. Te wszystkie opowieści pełne emocji i efekciarskich szczegółów, i melodramatycznych akcentów, bez umiaru pretensjonalne, za to całkiem pozbawione złożoności i niejednoznaczności prawdziwego życia, z tekturowym bohaterem w roli głównej, nieustraszenie zachowującym godność w obliczu nazistowskiej bestii albo w obliczu bestii falangistowskiej, który z pierwszą gotowy jest wygrać partię szachów, wiedząc, że ryzykuje życie, albo który uparcie siedzi w fotelu, gdy ta druga bestia każe mu wstać, unieść do góry ramię i śpiewać *Twarzą ku słońcu*. Jak stary przemysł rozrywkowy musi żywić się kiczem estetycznym i każdemu konsumentowi tego kiczu darowuje iluzję obcowania z prawdziwą sztuką, nie prosząc w zamian o żaden wysiłek, którego takie obcowanie wymaga, ani nie zmuszając do podjęcia żadnej związanej z tym intelektualnej przygody czy moralnego ryzyka, tak nowy przemysł pamięci musi żywić się kiczem historycznym i każdemu konsumentowi tego kiczu darowuje iluzję poznawania prawdziwej historii bez wysiłku, a przede wszystkim oszczędzając mu ironii i sprzeczności, i obaw, i wstydu, i przerażenia, i mdłości, i zawrotów głowy, i rozczarowań, jakich taka znajomość dostarcza: niewielu było ludzi w Hiszpanii, którzy oferowali trujące, ale smakowite produkty tego kiczu (tej „trującej sentymentalnej papki doprawionej spokojnym sumieniem historycznym”, o której pisałem w *Ja jestem Enrikiem Markiem*) w tak czystej formie i w takiej obfitości, jak zrobił to Marco, i możliwe, że to właśnie tłumaczy, albo może częściowo, bajeczny wprost sukces jego opowieści. Kicz jest naturalnym stylem narcyza, instrumentem, po który sięga w naturalny sposób w wytrwałym trudzie

ukrywania rzeczywistości, aby jej nie poznać lub nie rozpoznać, aby nie poznać samego siebie lub aby się nie rozpoznać. Marco był niestrudzonym producentem kiczu, a zatem z jego ust płynęły wciąż nie tylko kłamstwa historyczne, lecz także kłamstwa estetyczne i moralne. Hermann Broch zauważył, że kicz zakłada „pewną określoną postawę w życiu, bo nie mógłby istnieć ani przetrwać, gdyby nie istniał człowiek kiczowaty”. Marco jak nikt inny ucieleśnia takiego kogoś. Dlatego jest czystym kiczem.

Aby ukryć własną rzeczywistość (lub aby skryć się przed samym sobą), Marco wymyślał się na nowo przez całe życie, ale przede wszystkim zrobił to dwukrotnie. Pierwszy raz w połowie lat pięćdziesiątych i w sytuacji przymusowej: zmienił wówczas zawód i miasto, zmienił żonę i rodzinę, a nawet zmienił nazwisko; przestał być akwizytorem i wrócił do zawodu mechanika, porzucił Barcelonę dla Hospitaletu, porzucił Anitę Beltrán i rodzinę Beltranów dla Marii Belver i rodziny Belverów, przestał być Enriquem Markiem i stał się Enriquem Durrutim albo mechanikiem Enrique. Drugie wielkie wymyślenie siebie na nowo nastąpiło w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to właśnie umarł Franco i demokracja zaczynała torować sobie drogę, ale tym razem Marco wymyślił się, bo sam tak chciał, i wymyślił się lepiej. Głównie dlatego że odkrył potęgę przeszłości: odkrył, że przeszłość nigdy nie mija, a przynajmniej nie minęła jego przeszłość ani przeszłość kraju, i odkrył, że ten, kto panuje nad przeszłością, panuje nad teraźniejszością i panuje nad przyszłością; tak więc zmieniając raz jeszcze wszystko, co zmienił już wcześniej przy okazji pierwszego wielkiego wymyślenia siebie na nowo (zawód i miasto, i żonę, i rodzinę, a nawet nazwisko), teraz postanowił zmienić także swoją przeszłość.

Wszystko zaczęło się mniej więcej dziesięć lat wcześniej. Żeby posłużyć się jakąś datą, powiedzmy, że w 1967 albo 1968 roku. Wtedy nie tylko Marco miał już inne życie; życie kraju też było inne. Hiszpania miała już za sobą duszne i głodne lata narodowokatolickiej autarkii wczesnego powojnia i przynajmniej pod względem gospodarczym rozwinęła się podobnie jak Marco.

Pomimo że frankizm wydawał się trwalszy niż kiedykolwiek, trochę zelżały bestialskie prześladowania stosowane w pierwszych latach wobec myślących inaczej, a powiększyły się szeregi opozycji składającej się głównie z przeciwnych frankizmowi robotników i studentów. W lecie 1967 roku, a może było to rok później, Marco poznał dwoje takich studentów. Nazywali się Ferran Salsas i Mercè Boada i byli parą. Oboje studiowali medycynę, mieli około dwudziestu lat i oboje pochodzili z klasy średniej, tej wielkiej milczącej większości, która z ochotą albo pod przymusem powiedziała frankizmowi „Tak” i która w zaciszu domowym nigdy nie rozmawiała o polityce ani o wojnie domowej. Salsas i Boada nie należeli do żadnej nielegalnej podziemnej partii politycznej ani organizacji związkowej, ale żywo i z oburzeniem reagowali na kwestie nierówności społecznych, byli nieśmiało antyfrankistowscy, pociągała ich polityka (szczególnie Salsasa) i niesieni idealizmem i bezinteresowną buntowniczością swoich dwudziestu lat gorąco pragnęli zbudować albo pomóc zbudować kraj lepszy od tego, z którym – jak sądzili – pogodzili się już ich rodzice.

Marco ich zafascynował. Był niemal trzydzieści lat od nich starszy i stał się dla nich nie tylko przyjacielem i mentorem, lecz także idolem i bohaterem, niemal ich guru. Nie znali wcześniej nikogo podobnego. W ich oczach Marco był personifikacją tego, co najlepsze w unieważnionej przeszłości kraju, i tego, co najlepsze dla jego przyszłości; ucieleśniał także ideał wykształconego robotnika i zawodowego rewolucjonisty. Powiedział im, że naprawdę nazywa się Enric Batlle, nie Enric Marco: nazwisko Marco było fałszywe i był zmuszony go używać, aby wymknąć się policji frankistowskiej, która zaciekle go prześladowała z powodu podziemnej działalności, aresztowała, przetrzymywała w więzieniu i wielokrotnie torturowała, szczególnie komisarz

Creix, policjant frankistowski cieszący się ponurą sławą w Barcelonie. Marco opowiadał im także o swej działalności w szeregach anarchistów, swoim pokrewieństwie z Buenaventurą Durrutim, o swoich bohaterskich czynach podczas wojny domowej, politycznym wygnaniu we Francji po wojnie, o tym, że jako nieugięty członek ruchu oporu siedział w hitlerowskich więzieniach, i o tysiącu innych rzeczy, jakkolwiek nigdy im nie powiedział, jakoby był kiedyś więźniem obozu nazistowskiego, może dlatego że w tamtych czasach obozy nazistowskie nie cieszyły się jeszcze tym przerażającym prestiżem, jakim cieszyły się później, albo że Marco wtedy jeszcze nie wiedział, że trafiło do nich niemal dziewięć tysięcy Hiszpanów. Ma się rozumieć, że nigdy nie podawał szczegółów swej podziemnej działalności, zwłaszcza tej bieżącej, ale Salsas i Boada wyobrażali sobie, że postępuje tak, aby ich chronić, nie narażać na niebezpieczeństwo, i byli przekonani, że gdy tylko oni wychodzili od niego z warsztatu, dopijali wspólną z nim kawę w barze San Juan, kilka metrów od jego warsztatu przy Travessera de Les Corts, albo gdy tylko kończyli jeść obiad lub kolację z nim i z Marią Belver w mieszkaniu przy ulicy Oriente, Marco natychmiast zrzucił przebranie miejscowego mechanika i zanurzał się w swoim nocnym, bezsennym i pełnym przygód życiu bezwzględnego wroga frankizmu, życiu wypełnionym strajkami, akcjami sabotażu, manifestacjami, malowaniem haseł na murach, drukowaniem broszurek na powielaczu i potajemnymi zebraniem w zadymionych suterrenach.

Marco został drużbą na ślubie Salsasa i Boady. Był rok 1969. Rosło grono studentów, którzy tak jak oni nie tylko uważali Marca za swego *maître a penser*, lecz także za swego *magister vitae*; możliwe, że stał się katalizatorem ich buntu przeciw własnym rodzinom, przeciw własnemu środowisku społecznemu

i przeciw dyktaturze w kraju, tak jakby zmienił się bezwiednie w artystę zdolnego otworzyć im oczy – dzięki swym prawdziwym i zmyślonym doświadczeniom, swej wiedzy czerpanej z samokształceniowych lektur, swemu bezkresnemu jak ocean krasomówstwu lub po prostu dzięki swojemu istnieniu – na kłamstwa historyczne, polityczne i społeczne, na które dotąd dawali się nabrać, a teraz przestali się nabierać. U Marca w domu ci młodzi ludzie wywodzący się ze statecznego katalońskiego mieszczaństwa przeżyli z inicjacyjnym zachwytem objawienie nieznanego im dotąd rzeczywistości: spędzając Wigilię albo Sylwestra u rodziny Belverów, kiedy to Marco jako niekwestionowany autorytet niepodzielnie królował pośród wrzawy, radości, krzyków i przekleństw nie do pomyślenia w ich własnych domach, niektórzy z nich zrozumieli, że ci biedni jak myszy kościelne imigranci z południa Hiszpanii, którzy od lat pięćdziesiątych ciągnęli tłumnie do Katalonii, zmieniali całkowicie oblicze ich kraju i że to oblicze jest dużo bardziej skomplikowane, niż wcześniej podejrzewali. Możliwe, że dzięki temu odkryciu kilkoro z nich zaangażowało się ostatecznie w działalność społeczną albo polityczną.

Między 1967 a 1972 rokiem studiujący medycynę Boada i Salsas równocześnie zarabiali na życie, przygotowując maturzystów w ramach założonej przez siebie wolnej wszechnicy do egzaminu wstępnego na uniwersytet. Początkowo dawali lekcje u siebie w domach, potem wynajęli kilka sal lekcyjnych w Akademii Mallorca, przy ulicy Mallorca 460, i wreszcie w Akademii Almi, przy ulicy Valencia, obok targu Sagrada Família. Nie tylko Salsas i Boada uczyli tam codziennie od godziny siódmej po południu do dziesiątej wieczór: zatrudniali też innych nauczycieli, takich jak Quim Salinas, stary republikanin – rzeźnik, który miał stoisko na targu Sagrada Família i był

autorytetem w dziedzinie historii sztuki, albo jak Ignasi de Gispert, chłopak z dobrej rodziny i członek nielegalnej partii socjalistycznej, który miał zostać bliskim przyjacielem Salsasa i Boady, a także Marca, i który pod koniec 1975 albo na początku 1976 roku, jako świeżo upieczony magister prawa, wyciągał Marca z więzienia, gdy ten trafił tam z powodu pospolitego przestępstwa popełnionego dwadzieścia pięć lat wcześniej. Marco również zaczął uczyć w tej nieformalnej wszechnicy, ale nieregularnie, dawał mistrzowskie lekcje, mówił na nich, o czym chciał, o historii, o wojnie, o swoim wojennym doświadczeniu, o życiu na emigracji, o polityce w ogólności, o samym sobie. Te okazjonalne występy we wszechnicy Salsasa i Boady, połączone z późniejszymi wypadami na kawę albo na coś mocniejszego wystarczyły, by Marco zaczarował najbardziej niespokojnych i upolitycznionych uczniów i stworzył z nich grupę swych oddanych wielbicieli, zachwyconych nim tak samo jak Salsas i Boada: jego zmyśloną przeszłością, pozorną działalnością w podziemiu, jego darem wypowiedzi i charyzmą albo tym, co wszyscy brali za charyzmę.

Sam Marco musiał czuć się sobą olśniony, swoją zdolnością wprawiania w olśnienie. Bo w owych latach dokonał decydujących dla swojej przyszłości odkryć. Wiedział od zawsze albo od dawna, że potrzebuje publiczności, cudzego podziwu, bycia w kadrze na pierwszym planie; teraz jednak odkrył, może ze zdumieniem, a na pewno z głęboką wewnętrzną satysfakcją, że potrafi sprawić, by słuchały go, szanowały i podziwiały nie tylko proste i niewykształcone rodziny Beltranów i Belverów albo robotnicy wyrwani ze swego naturalnego środowiska, jak jego dawni towarzysze z baraku w Kilonii albo uczniowie w garażu rodziny Peiró i kolejnych warsztatach samochodowych, lecz także młodzi inteligenci, kulturalni i z zamożnych rodzin albo

przynajmniej z rodzin mieszczańskich, nie mówiąc już o ślicznych dziewczynach, w każdym razie ludzie, którzy, jak przypuszczał, mieli w przyszłości rządzić krajem. Odkrył również, z taką samą przyjemnością, że potrafi im przewodzić i ma wystarczający talent uwodzicielski i aktorski, zdolności oratorskie, wyobraźnię i umiejętność splatania fantazji z rzeczywistością, aby ci młodzi ludzie widzieli w nim nie tylko osobę wyjątkową, lecz w dodatku prawdziwego bohatera. A nade wszystko odkrył, że jego republikańska i anarchistyczna przeszłość, o której przez dziesięciolecia milczał, bo mówienie o niej było niebezpieczne, mogła stać się jego najcenniejszym kapitałem teraz, gdy frankizm się rozpadał albo zaczynał rozpadać, pod warunkiem wszakże że odpowiednio ją wykorzysta, odpowiednio ją spreparuje, zastępując tchórzostwo odwagą, przeciętność albo mierność cnotą i bohaterstwem i ogólnie rzecz biorąc, wszystkie kolejne „Tak” swego życia zastąpi kolejnymi „Nie”. Czyli pod warunkiem że – aby nie poznać samego siebie albo nie rozpoznać w sobie narcyza i aby nie rozpoznali go w nim inni – zdoła ukryć rzeczywistość za fikcją, prawdę swego życia za życiem wymyślonym i prawdziwą historię swego kraju za historycznym kiczem. To wtedy zrozumiał, że jeśli ma fałszować własną historię, musi dogłębnie poznać historię zbiorową, i wtedy podjął decydującą dla swej biografii decyzję: zapisał się na uniwersytet, żeby studiować historię.

Z tych lat pochodzi pewien niezwykły dokument: konkretnie z 4 kwietnia 1970 roku. Dzień wcześniej po trzydziestoletniej emigracji wrócił do Barcelony Josep Carner, największy chyba poeta kataloński XX wieku. Było to wielkie wydarzenie. Dziennik „La Vanguardia” (który wtedy nazywał się „La Vanguardia Española”, bo jeszcze żył Franco) obwieścił je dwoma wielkimi zdjęciami na pierwszej stronie: na pierwszym widać Carnera,

który wrócił do Barcelony, żeby umrzeć albo żeby przed śmiercią stanąć na rodzinnej ziemi, jak uchylając staroświeckiego, wyblakłego kapelusza, wita się z ludźmi; na drugim zdjęciu Carner jest prawie niewidoczny, ponieważ siedzi w samochodzie otoczonym bijącymi mu brawo ludźmi. Ale na wewnętrznych stronach gazety znajdujemy jeszcze jedno zdjęcie poety. Stoi na nim tyłem, w kapeluszu na głowie i wygląda na to, że właśnie wysiadł z samochodu; i tu otacza go grupa, tym razem mniejsza albo pozornie mniejsza, ludzie nie biją mu brawa, lecz starają się go dotknąć a nawet uścisnąć. Na pierwszym planie widać Marca w kombinezonie mechanika; jest szczęśliwy, rozpoznawalny, tryska energią. Dotyka dłonią twarzy poety, jakby był jego krewnym albo co najmniej bliskim przyjacielem, ale naprawdę wcale go nie zna, nawet go specjalnie nie czytał; nie zna też nikogo, kto poetę zna. Wyszedł na powitanie Carnera tylko w towarzystwie Marii Belver, która nie mówi ani nie czyta po katalońsku, nawet nie wie, kim jest Carner. Marco jednak wie dobrze, co jest główną wiadomością dnia, bo rozwijał już wtedy swą niezwykłą umiejętność znajdowania się zawsze w kadrze, a także syndrom narcyza, który stale go będzie prześladował. Moglibyśmy to nazwać uzależnieniem od pokazywania się w mediach. Albo mediopatią.



Przypuszczenie Marca okazało się trafne. Niektórzy z wywodzących się z klasy średniej studentów, których oczarował pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych, sprawowali znaczące stanowiska w kraju. Na przykład Ferran Salsas. Po flircie – w latach agonii frankizmu – z działalnością opozycyjną, a nawet rozważaniu poważnego zaangażowania w walkę zbrojną (zdaniem jego żony pod wpływem Marca albo jego obrazu, jaki sobie stworzył) sprawował kierownicze funkcje w PSUC, katalońskiej partii komunistycznej, i był cenionym lekarzem psychiatrą do chwili swej śmierci

w 1987 roku, w wieku czterdziestu jeden lat. Mercè Boada pracowała wówczas na swoją dzisiejszą pozycję jednej z najlepszych specjalistek w dziedzinie chorób neurodegeneracyjnych w Hiszpanii. Co się tyczy Ignasiego de Gisperta, od dawna pracuje jako specjalista od prawa pracy w kancelarii prawnej związku zawodowego USOC (Robotniczy Związek Zawodowy Katalonii). Wszystko to prawda; niemniej żadne z nich – i nikt z pozostałej młodzieży mieszczańskiej tworzącej krąg admiratorów Marca – nie osiągnęło nigdy tak znaczącej pozycji w kraju, jaką w nadchodzących latach miał zyskać Marco.

Postanowiwszy studiować historię, nasz człowiek zapisał się w 1973 roku na kurs przygotowawczy na studia dla osób powyżej 25 roku życia. Pozostawał w związku z Marią Belver, ale na tym kursie spotkał kobietę, która miała zostać jego trzecią i ostatnią żoną. Znamy ją: to Dani, Danielle Olivera. Dużo od Marca młodsza Dani, w połowie Francuzka, miła, delikatna, ładna, wykształcona dziewczyna, która wówczas przygotowywała się do studiowania katalońskiego i literatury katalońskiej. Od razu się w sobie zakochali, zaraz stali się parą i przez następne trzy lata Marco żył pomiędzy Dani a Marią. Nie znam wszystkich intymnych szczegółów idylli tych dwojga, a gdybym nawet znał, nie przytoczyłbym ich tutaj: wystarczy powiedzieć, że była to długa i zagmatwana historia, między innymi z powodu właściwych Marcowi kłamstw oraz z powodu skrupułów Dani, która długo nie chciała się zgodzić, żeby Marco zerwał swój dwudziestoletni związek z kobietą, która go wielbiła i była mu całkowicie oddana. Nie trzeba dodawać, że chcąc zdobyć serce Dani, Marco sięgnął do swego bogatego i świetnie sprawdzającego się arsenału Casanovy, szczególnie tej jego

części, która najszybciej mogła przełamać skrupuły młodziutkiej antyfrankistki, czyli do swej zmyślonej działalności politycznej.

Zachowały się przynajmniej dwa świadectwa tej nierównej bitwy: dwa teksty Marca napisane na maszynie, jeden po kastylijsku, drugi po katalońsku, jeden bez tytułu, a drugi opatrzony tytułem jak z Verlaine'a: *O moich więzieniach*; oba jako miejsce swego powstania mają więzienie Modelo w Barcelonie, jeden jest opatrzony zmyśloną datą wrześniową 1974 roku, zapisaną ręcznie, a drugi nie ma daty, jakkolwiek oba powstały w okresie narzeczeństwa Marca i Dani i niewątpliwie były inspirowane krótkim pobytem Marca w Modelo pod koniec 1975 lub na początku 1976 roku, z powodu ciężących na nim zarzutów popełnienia przestępstwa pospolitego, nie politycznego. Pomimo to oba teksty mają uchodzić za relacje więźnia politycznego, zawierają wielką obfitość melodramatycznych szczegółów i sentymentalnych podkręceń charakterystycznych dla autobiograficznych konfabulacji Marca, zmyślonych perypetii odgrywanej postaci i jej więziennych towarzyszy, a także obfitują w refleksje, jakie te perypetie wywołują w autorze. Pierwszy z tych tekstów zaanonsowany jest skromnie jako „zapiski z lochu, na które brak innych dowodów niż rozdzierający ból po tym, co się przeżyło. Boję się nawet, że przepisane na czysto stracą swoją ponurą, plugawą atmosferę. Nie pachną bohaterstwem, cuchną potem cierpienia i wilgocią, brudem i lizolem”. Drugi tekst rozpoczyna się, z nie mniejszą skromnością, od przypomnienia klasycznej już niesprawiedliwości, z jaką potomność obchodzi się z anonimowymi bohaterami (na nikogo konkretnego nie spoglądam) oraz lekceważenia, z jakim ci anonimowi bohaterowie traktują wzajemnie potomność (i teraz na nikogo nie patrzę), nie dbając o przyszłe zadośćuczynienie ani o uznanie ze strony świata (nadal na nikogo nie patrzę, ale już robię się troszkę

nerwowy), pragnąc odpowiadać za swoje czyny jedynie przed własnym sumieniem (oczywiście, kochana, że to ja! A któżby inny? Zaczynałem już myśleć, że jesteś idiotką). Marco pisze: „Wszyscy, którzy cierpią lub tracą życie, podejmując świadomą walkę albo dokonując desperackiego aktu buntu, zdobywają sobie zazwyczaj uprzywilejowane miejsce w ludzkiej pamięci lub u potomności. Niezależnie od tego, czy uważa się ich za ludzi, którzy pobłądzili, czy za męczenników, im wynagradza wszystko ostatecznie satysfakcja z dobrze wypełnionego obowiązku”.

Przyznajmy: nie wszystko. Przynajmniej w przypadku Marca, przede wszystkim w jego przypadku. W obu tych zmanipulowanych notatkach, napisanych w celu zdobycia ich adresatki, przywołana jest ona otwarcie tylko raz („Myślę o tobie, o twoich czułych oczach, zawsze przyglądających się życiu ze zdumieniem. Nie wiem jeszcze, jak to wszystko się skończy. Aby sobie pomóc, żyję nadzieją na spotkanie cię we wspomnieniu każdej nocy”), ale wiadomo, że Marco, w owym czasie niezrównany uwodziciel, osiągnął swój cel i w 1976 roku zostawił Marię Belver w Hospitalet, a sam przeniósł się do Sant Cugat i zamieszkał tam z Dani Oliverą. Franco już wtedy nie żył, a Marco od roku dzielił swój czas nie tylko między Marię a Dani, lecz także między swój warsztat przy Travessera de Les Corts a wydział historii Uniwersytetu Autonomicznego w pobliżu Sant Cugat, na którym panował stan politycznego wrzenia w związku z agonią i śmiercią Franco. Ze swoim głodem sławy i rozgłosu, łatwością wypowiedania się, swoim wigorem i niezmiennym darem sugestii stawał się coraz bardziej zauważalny na zajęciach i podczas nieformalnych spotkań. Któregoś dnia w ostatnim tygodniu lutego tego roku, trzy miesiące po śmierci dyktatora, ale gdy jeszcze nie zaczęło się przejście od dyktatury do demokracji, jego kolega ze studiów wręczył mu kartkę

z informacją o zebraniu, na którym miano reaktywować CNT, programem tego zebrania i przepustką.

Marco doznał olśnienia. CNT, kuźnia Buenaventury Durratiego, wuja Anastasia i ojca, ideologiczny dom rodzinny jego pozbawionej domu młodości, najważniejszy związek zawodowy kraju w czasach Drugiej Republiki, zbiorowy bohater powstania anarchistów, które ogarnęło Barcelonę w pierwszych dniach wojny domowej, wielka organizacja rewolucyjna, rozbita w proch i zagubiona w czasach frankizmu. Oto pojawiała się znowu, za chwilę miała powstać z popiołów. Marco był w euforii i pomyślał, że teraz, po śmierci Franco, możliwy jest każdy cud. Nazajutrz kolega student powiedział mu, że spotkanie odbędzie się w niedzielę, 29 lutego, w parafii Sant Medir, w dzielnicy Sants, i wyjaśnił, jak się tam dostać, zachowując wszystko w tajemnicy. Umówionego dnia około dziewiątej rano Marco stawiał się w Sants i starał się postępować zgodnie z instrukcją, ale gdy zobaczył ludzi w okolicach głównego placu dzielnicy, w niedzielę zazwyczaj wyludnionego o tej porze, oraz osobników w prochowcach konspiratorów, jak w tym labiryncie uliczek na każdym rogu dawali mu nieme znaki, miał wrażenie, jakby niechcący i bez pozwolenia znalazł się w jakimś filmie braci Marx, gdy wszyscy zmierzają na tajne spotkanie, o którym wszyscy wiedzą, że jest tajne.

Spotkanie rozpoczęło się o dziesiątej i było historyczne. Pierwszy raz po wojnie spotkali się w Katalonii przedstawiciele obu nurtów anarchizmu z emigracji (Frontu Anarchistycznego z Paryża i CNT-AIT z Tuluzy) oraz rozmaitych grup i grupiek anarchistycznych, które z czasem powstały w kraju. Sala była wypełniona po brzegi, ocenia się, że przybyło niemal pięćset osób. Spotkanie zakończyło się o trzeciej po południu: w ciągu pięciu godzin uzgodniono serię działań mających na celu reaktywowanie

związku i jego rozpropagowanie; pod koniec wielu uczestników miało ściśnięte ze wzruszenia gardło. Przewodniczący prezydium przypomniał, że to pierwsze od czterdziestu lat tak liczne spotkanie CNT w kraju. „Nim zamkniemy to Konfederacyjne Zgromadzenie Katalonii – powiedział – jest naszym obowiązkiem wspomnieć serdecznie wszystkich towarzyszy, którzy oddali życie w walce o wolność, w walce o prawa społeczne, w okopach albo przed plutonem egzekucyjnym. Składamy hołd im wszystkim, od pierwszego do ostatniego anarchisty zamordowanego przez dyktaturę: Salvadora Puiga Anticha”.

Nigdy przez całą epokę frankizmu Marco nie uczestniczył w walce CNT o wolność ani prawa społeczne; nigdy też nie był na spotkaniu tego syndykatu (ani żadnego innego związku zawodowego, partii, grupy ani grupki opozycyjnej), na emigracji ani w kraju. W rzeczywistości – i już to mówiłem – przez cztery dziesięciolecia Marco nie słyszał ani słowa o CNT i wcale nie chciał słyszeć. A jednak po kilku zaledwie miesiącach od założycielskiego zebrania w Sant Medir był już sekretarzem generalnym CNT w Katalonii, a po dwóch latach został jego sekretarzem generalnym w kraju. Jak mogło do tego dojść? Jak Marco zdołał w tak krótkim czasie wspiąć się na szczyt tej legendarnej organizacji? Jak stał się przywódcą związku zawodowego, który był w przeszłości i nadal pozostawał czymś więcej niż tylko związkiem zawodowym i wielu ludzi miało nadzieję, albo przeciwnie: obawiało się, że odzyska swoje znaczenie społeczne i polityczne sprzed frankizmu? A przede wszystkim: jak mógł to osiągnąć, będąc tym, kim był, kimś, kto przez prawie czterdzieści lat wcale nie zaprzętał sobie głowy CNT ani zwalczaniem frankizmu w ogóle i kto ponad połowę swoich prawie pięćdziesięciu lat spędził, nie wychodząc z warsztatu naprawy samochodów?

Nie jestem całkiem pewien, czy wiem, jak Marco zdołał zrobić tak nieoczekiwaną i błyskawiczną karierę, ale wiem na pewno, że mogło się to udać tylko komuś takiemu jak on.

Wracam do Claudia Magrisa albo jego artykułu o Marcu: „Kłamca, który mówi prawdę”; wracam do Vargasa Llosy, który utrzymuje, że wszystkie powieści mówią prawdę poprzez kłamstwo – prawdę moralną albo literacką poprzez kłamstwo faktograficzne albo historyczne – i w związku z tym powieściopisarz jest kłamcą mówiącym prawdę; pisarz utrzymuje też w artykule na temat Marca, że nasz człowiek jest genialnym blagierem oraz wita go w gronie powieściopisarzy. Czy Magris i Vargas Llosa swoimi artykułami usiłują rozgrzeszyć Marca, jak to im niektórzy zarzucali? Czy Marco jest powieściopisarzem, a jego kłamstwa i jego prawdy nie są historyczne, lecz powieściowe? I, jeśli Marco jest powieściopisarzem, to jakiej klasy? Nie można kusić się o odpowiedź na te pytania, nie odpowiedziawszy wcześniej na dwa inne: czy powieść jest kłamstwem? Czy kłamstwo jest fikcją?

Od Platona do Bertranda Russella cały nurt zachodniej myśli zarzucał autorom fikcji, że są bardzo dalecy od prawdy, propagują nieprawdę, dlatego Platon wygnał ich ze swojej republiki idei. Oczywiście nieprawda nie jest kłamstwem – kłamstwo jest czymś gorszym niż nieprawda: jest umyślną nieprawdą – ale poczynając przynajmniej od Oscara Wilde’a, wielu twórców, mając dosyć nazywania ich wrogami prawdy, a może i mając dosyć kłamstw wypowiedzianych w imię prawdy, upomina się hardo o swoją kondycję kłamców: w *Dekadencji kłamstwa* Wilde twierdził, że „prawdziwym celem sztuki jest

kłamanie, opowiadanie rzeczy pięknych, a nie prawdziwych”, a Orson Welles na końcu filmu *F jak fałszerstwo* deklaruje: „My, zawodowi kłamcy, mamy nadzieję oferować prawdę; obawiam się, że jej pompatyczna nazwa to sztuka. Sam Picasso to powiedział: «Sztuka jest kłamstwem, kłamstwem, które sprawia, że dostrzegamy prawdę»”. Tak więc kiedy Vargas Llosa opatruje tytułem *Prawda kłamstw* esej, który jest w istocie teorią powieści – może mając w pamięci opowiadanie autobiograficzne Louisa Aragona pod tytułem *Le mentir-vrai*, które też ma w sobie wiele z teorii powieści – wpisuje się tylko w długą i znakomitą tradycję dysydencką. Tak czy inaczej, to wieloznaczne i szczęśliwie paradoksalne sformułowanie zasłużyło sobie na wiele krytycznych ocen, czasem odrobinę zbyt prostych. „Jedynie za pomocą powieści można dotrzeć do prawdy”, napisał Stendhal i nikt albo prawie nikt nie wątpi, że fikcja proponuje jakąś prawdę: prawdę trudną do zdefiniowania, głęboką, dwuznaczną, sprzeczną, ironiczną i nieuchwytną, nie prawdę faktów, lecz prawdę moralną, nie konkretną, lecz uniwersalną, nie historyczną ani dziennikarską, lecz literacką lub artystyczną; ale wielu zaprzecza, by fikcja była kłamstwem.

Ich argumenty można sprowadzić do dwóch. Pierwszy: w odróżnieniu od kłamstw zdarzenia, które się dzieją w powieści, nie są weryfikowalne, a zatem nie można sprawdzić, czy są prawdziwe, czy fałszywe. Drugi: w odróżnieniu od kłamstw powieści nie próbują nikogo oszukać. Początkowo obie tezy wydają się przekonujące; w rzeczywistości żadna taka nie jest. Wiemy, że ani Don Kichot, ani Emma Bovary nie istnieli (przynajmniej że nie istnieli w sposób, w jaki *Don Kichot* i *Pani Bovary* opowiadają nam, że istnieli) i, przynajmniej teoretycznie, weryfikacja tego jest doskonale możliwa, na podstawie

rzeczywistych danych można stwierdzić, że nikt taki jak Don Kichot nie mieszkał w szesnastowiecznej Hiszpanii ani nikt taki jak Emma Bovary nie żyła w dziewiętnastowiecznej Francji. Cervantes i Flaubert dopuszczają się zatem fałszerstwa; ale nie dość na tym: oszukują nas najzupełniej rozmyślnie i z całą przebiegłością i wirtuozerią blagierów starają się nam wmówić, że istnieli ludzie, którzy nigdy nie istnieli, i że wydarzyły się rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły. Przed dwa tysiące czterystoma laty Gorgiasz, cytowany przez Plutarcha, ujął to w niedościgniony sposób: „Poezja [to znaczy fikcja] jest oszustwem, w którym oszukujący jest uczciwszy niż ten, który nie oszukuje, a kto pozwala się oszukać, jest mądrzejszy niż ten, kto oszukać się nie daje”. Podkreślam słowo „uczciwy”: obowiązek moralny autora fikcji polega na oszukiwaniu tak, by za pomocą tego oszustwa zbudować trudną do zdefiniowania, dwuznaczną i nieuchwytną prawdę fikcji; podkreślam słowo „mądry”: obowiązkiem intelektualnym czytelnika albo widza fikcji jest dać się oszukać, by uchwycić głęboką, sprzeczną i ironiczną prawdę skonstruowaną dla niego przez autora. Fikcja jest kłamstwem, a zatem oszustwem, ale kłamstwem lub oszustwem, które w gruncie rzeczy okazuje się szczególnym wariantem „szlachetnych kłamstw” Platona albo „kłamstw pożytecznych” Montaigne’a; chodzi o kłamstwo albo oszustwo, które – w powieści – nie pragnie krzywdy oszukanego, ten zaś, gdy w to kłamstwo lub oszustwo uwierzy, dostąpi szczególnej prawdy: prawdy literatury.

Czy takie właśnie są kłamstwa Marca? Czy Marco jest faktycznie autorem fikcji i dlatego artykuł Vargasa Llosy to powitanie go w klubie? Ten artykuł nosi tytuł *Straszny i genialny*, bo peruwiański powieściopisarz rozumie, że jest

w Marcu jakiś zatrważający i genialny rys, i ponieważ spostrzega, że Marco działa jak pisarz i że rezultat jego działań jest w pewien sposób identyczny z wynikiem działań pisarza; przeczuwa też, że impuls popychający Marca do konfabulacji i przyczyna jego kłamstw są takie same jak w przypadku pisarza.

To trafna intuicja. Literatura jest akceptowaną społecznie formą narcyzmu. Jak mityczny Narcyz, jak rzeczywisty Marco, powieściopisarz jest całkowicie nieusatisfakcjonowany życiem; nie tylko własnym, lecz życiem w ogóle, i dlatego przerabia je za pomocą słów w powieściową fikcję na miarę swoich pragnień; rzeczywistość zabija pisarza jak mitycznego Narcyza i jak prawdziwego Marca, a fikcja go ocala, ponieważ często nie jest niczym innym niż sposobem neutralizowania rzeczywistości, chronienia się przed nią, a nawet leczenia się z rzeczywistości. Pisarz jak Marco wymyśla sobie fikcyjne życie, życie alternatywne, aby ukryć swoje prawdziwe i żyć tym innym, żeby rozprawić się z rzeczami, które budzą wstyd, trwogę i przerażenie, żeby ukryć je przed samym sobą i przed innymi, w pewien sposób uniknąć konfrontacji z samym sobą, podobnie jak Narcyz, który winien pozostać dla siebie kimś obcym, nieznanym, jeżeli chce żyć długo, zgodnie z radą starego Tejrezjasza. I jak Marco pisarz nie tworzy owej fikcji z niczego; tworzy ją, posiłkując się własnym doświadczeniem; jak Marco pisarz wie, że nie istnieje czysta fikcja i że gdyby istniała, nie byłaby wcale ciekawa ani nikt by w nią nie uwierzył, ponieważ zaczynem wszelkiej fikcji jest rzeczywistość: powieściopisarz zatem, tak jak Marco, produkuje swoje fikcje, ubarwiając albo przekręcając prawdę historyczną albo biograficzną i mieszając prawdy i kłamstwa, to, co zdarzyło się naprawdę, z tym, co

chciałby, żeby się zdarzyło albo co jemu wydałoby się ciekawe lub pasjonujące, gdyby się zdarzyło, ale się nie zdarzyło. Jak Marco, który studiował historię i z uwagą przyglądał się postaciom odgrywającym w dziejach pierwszoplanową rolę, i przyswoił sobie ich relacje, powieściopisarz wie, że kłamać należy ze znanstwem, i dlatego dokładnie się przygotowuje, nim wymyśli rzeczywistość na nowo i ze szczegółami. Ponadto Marco jest w najwyższym stopniu wyposażony w cechy, które powinien mieć powieściopisarz: siłę, fantazję, wyobraźnię, pamięć, a przede wszystkim zamiłowanie do słowa; nawet bardziej do słowa pisanego niż do słowa mówionego, które dla powieściopisarza jest ledwie namiastką słowa pisanego: Marco od zawsze był nie tylko wszechkożernym czytelnikiem, lecz również pisał kompulsywnie, był autorem nieskończonej liczby opowiadań, wierszy, artykułów, wspomnień, manifestów, raportów i rozmaitych listów, które wypełniają jego archiwa i były wysyłane do nieskończonej liczby osób oraz instytucji. Vargas Llosa ma rację: Marco jest genialny, ponieważ – w życiu i przez długie lata – udawało mu się całkowicie coś, co powieściopisarzom udaje się w powieściach częściowo i tylko dopóki są czytane; to znaczy, oszukać tysiące ludzi, wmawiając im, że był tym, kim w rzeczywistości nie był, że istniało coś, co w rzeczywistości nie istniało, i że jest prawdą coś, co w rzeczywistości było kłamstwem. Wszakże ta genialność Marca jest tylko połowiczna. W odróżnieniu od wielkich powieściopisarzy, którzy sprzeniewierzając się faktom, podsuwają niepokojącą, nieuchwytną i nieodzowną prawdę moralną i uniwersalną, Marco oferuje opowieść przesłodzoną, oszukańczą i ociekającą sentymentalizmem, która tak z punktu widzenia historii jak i moralności jest czystym kiczem, czystym

kłamstwem; w odróżnieniu od Marca wielcy powieściopisarze, poprzez swoją paradoksalną prawdę wywiedzioną z kłamstw – prawdę, która nie ukrywa rzeczywistości, lecz ją ujawnia – pozwalają nam poznać i rozpoznać to, co rzeczywiste, poznać i rozpoznać nas samych, ale nie umrzeć jak Narcyz nad lustrzaną taflą wody. No, dobrze: czy będąc genialnym, Marco jest również przerażający? A jeśli jest, to dlaczego?

Odpowiedź jest oczywista: dlatego że to, co zrobił, można robić w powieściach, ale nie w życiu; ponieważ powieści i życie rządzą się innymi prawami. W powieściach nie tylko wolno kłamać; kłamanie jest obowiązkowe: to kłamstwo jest sposobem na dotarcie do prawdy (i dlatego Gorgiasz mówi, że uczciwszym w fikcji jest ten, kto oszukuje, niż ten, kto nie oszukuje); w życiu natomiast, jak w historii albo dziennikarstwie, kłamanie jest „przeklętą przywarą”, jak nazywa ją Montaigne, podłością, agresją i brakiem szacunku, i pogwałceniem pierwszej zasady współżycia między ludźmi. Wynikiem pomieszania prawdy z kłamstwami jest zawsze kłamstwo, chyba że chodzi o powieść, w której wynikiem tego jest prawda. Marco rozmyślnie pomylił powieści z życiem, powinien był wymieszać kłamstwa i prawdę w powieściach, nie w życiu; powinien był napisać powieść. Może gdyby pisał, nie zrobiłby tego, co zrobił. Może jest niespełnionym powieściopisarzem. A może wcale nie, może nie zadowoliliby się pisaniem powieści i chciał powieść przeżyć. Marco zrobił powieść ze swego życia. Dlatego wydaje nam się przerażający: bo nie zaakceptował bycia tym, kim był, a był na tyle zuchwały i bezczelny, by wymyślić się z kłamstw; bo kłamstwa w życiu są nie w porządku, jakkolwiek są w porządku w powieściach. We wszystkich, rzecz jasna, z wyjątkiem powieści bez fikcji albo prawdziwej opowieści. We wszystkich z wyjątkiem tej książki.

Pytanie brzmiało: jak to możliwe, że Marco kierował CNT w okresie przejścia od dyktatury do demokracji? Jak to możliwe, że człowiek, który w czasach frankizmu nie miał żadnego związku nie tylko z CNT, lecz w ogóle z ruchem antyfrankistowskim, i który przeżył dwadzieścia pięć lat, nie wychodząc z warsztatu samochodowego, i który czterdzieści lat nie kiwnął palcem nie tylko, żeby obalić frankizm, ale żeby poprawić choćby warunki pracy robotników w czasie frankizmu, w zaledwie kilka miesięcy po śmierci Franco został sekretarzem generalnym centrali CNT w Katalonii, a dwa lata później sekretarzem generalnym CNT w całej Hiszpanii? Jak to możliwe, żeby w historycznej chwili taki człowiek przejął kontrolę nad decydującą organizacją, związkiem anarchistycznym albo anarchosyndykalistycznym zakazanym przez czterdzieści lat frankizmu, który zdominował cały ruch związkowy przed frankizmem i zamierzał zrobić to po frankizmie? Odpowiedź na te skomplikowane pytania jest bardzo prosta: ponieważ idealnie się do tego nadawał.

W chwili śmierci Franco anarchizm hiszpański był podzielony zasadniczo na dwa wielkie obozy, jeden stworzony przez ludzi na emigracji, a drugi w kraju. Największy i najpotężniejszy obóz na emigracji, ten, który zachował historyczną legitymizację CNT i miał swoją siedzibę we francuskiej Tuluzie, tworzyli starzy anarchiści, kombatanci wojny domowej, którzy od czterdziestu lat żyli poza Hiszpanią; co prawie nieuniknione, wszyscy oni albo prawie wszyscy mieli jakąś wyimaginowaną wizję

hiszpańskiej rzeczywistości, przestarzałą koncepcję walki związkowej i politycznej i odziedziczoną z przeszłości koncepcję związku zawodowego, którego najistotniejszych treści czuli się strażnikami. Anarchiści z kraju odwrotnie, byli ludźmi bardzo młodymi, często zaangażowanymi w walkę z frankizmem, proletariuszami z dość realistyczną wizją złożonej rzeczywistości społecznej i politycznej Hiszpanii tego okresu. Jednakże wśród tych w kraju byli też inni (na emigracji także, ale nie mieli większego znaczenia; chodzi o grupkę rozłamową, która wyszła z CNT, nazywała się Front Anarchistyczny i miała siedzibę w Paryżu); jeśli pierwszych moglibyśmy nazwać anarchosyndykalistami, to tych drugich nazwalibyśmy grupą kontrkulturową, bo byli spadkobiercami ducha anarchizmu z maja 68 roku, z jego radosnym akcentem na sprzeciw wobec autorytaryzmu i na indywidualną emancypację poprzez narkotyki, swobodę seksualną i kultury alternatywne.

To była w ogólnym zarysie mapa hiszpańskiego anarchizmu w tym momencie. Jednakże między starymi na emigracji a młodymi w kraju ziała przepaść pokoleniowa, która była również przepaścią ideologiczną, podobnie jak między młodymi anarchosyndykalistami i młodymi wyznawcami kontrkultury ziała przepaść ideologiczna, która była zarazem przepaścią kulturową (i często też klasową). Jakby tego było mało, do tych dwóch przepaści w łonie CNT dochodziły jeszcze trzy. Pierwsza oddzieliła purystów od wyznawców posybilizmu albo realistów: puryści byli zwolennikami zachowania istoty anarchizmu przedwojennego albo niebrudzenia sobie rąk polityką i negocjacjami, czyli tym, co robiły pozostałe związki zawodowe; wyznawcy posybilizmu albo realiści natomiast opowiadali się za konkretnymi zdobyczami konkretnie polepszającymi sytuację

pracowników nawet za cenę rezygnacji z zasad, które ponadto uważali za martwe i niemożliwe do stosowania. Druga przepaść oddzielała tych, którzy postrzegali CNT jedynie jako związek zawodowy, mający walczyć o prawa i pomyślność pracowników, od tych, postrzegających go jako ruch anarchistyczny, który powinien aspirować do przeprowadzenia całościowej rewolucji anarchistycznej. Trzecia przepaść oddzielała zwolenników przemocy od tych, którzy przemoc odrzucali. Pewnie takich przepaści było więcej, ale to bez znaczenia. Ważne, że około 1977 albo 1978 roku Marco wydał się wielu członkom CNT przywódcą doskonałym, jedynym gwarantującym zachowanie niemożliwych do zachowania proporcji, a przynajmniej niektórych z nich, a zatem jedynym zdolnym rozwiązać sprzeczności w łonie związku; dziwne, ale do pewnego stopnia mogło tak w istocie być.

Marco sam w sobie rozwiązywał zasadniczą sprzeczność CNT; mogło tak być, bo w 1976 roku, ukończywszy właśnie pięćdziesiąt pięć lat, pokrywał najbardziej rzucający się w oczy deficyt związku, pokłosie zerwania ciągłości z powodu czterech dekad frankizmu: brak działaczy w wieku średnim, ani tak starych, jak ci na emigracji, ani tak młodych, jak młodzi w kraju. W porównaniu ze starymi z emigracji Marco znał nie tylko krajową rzeczywistość, lecz także rzeczywistość pracy w kraju; w porównaniu z krajową młodzieżą Marco nie tylko brał udział w wojnie domowej, znał też język i kulturę dawnej CNT, tej wojennej i przedwojennej. Prawda, że członkowie CNT na emigracji, którzy nigdy wcześniej nie widzieli Marca, byli wobec niego nieufni, ale prawdą jest także, że byli nieufni wobec wszystkiego, co nie pochodziło od nich, i że nawet mniej ufali młodym niż Marcowi, bo Marco lepiej ich rozumiał. Prawda, że

Marco był trzydzieści lat starszy od większości młodych w kraju, ale prawdą jest także, że doskonale rezonował z ich rozwichrzoną żywiołowością i że dzięki swej przyjaźni z Salsasem, Boadą i ich towarzystwem znał młodych lepiej i nawykł do uwodzenia ich, i umiał im przewodzić; jest też prawdą, że dzięki swemu wyglądowi, energii i sposobowi bycia był niemal taki jak oni, a przynajmniej nie zwracał na siebie uwagi. Marco miał najlepsze cechy młodych, czyli ich siłę i ich znajomość rzeczywistości, i wymyślił sobie to najlepsze, co mieli starzy, to znaczy bohaterską przeszłość wojenną i walkę z frankizmem: częściowo dlatego upiększył swoją rzeczywistą wojenną przygodę i dodał do niej heroiczne epizody, jak fikcyjna relacja z Quikiem Sabaterem – dla młodych postacią legendarną, porównywalną z Durrutim albo z Che Guevarą; i dlatego udało mu się natychmiast zdobyć, przede wszystkim wśród młodych, famę opozycjonisty wobec Franco: kiedy został wybrany krajowym sekretarzem generalnym CNT, „Triunfo”, w owym czasie najważniejsze pismo hiszpańskiej lewicy, przedstawiało go jako działacza, który w czasach frankizmu brał udział „we wszystkich podziemnych bojach tej konfederacji”, a José Ribas, dyrektor „Ajoblanco”, najpopularniejszego wówczas pisma młodzieży anarchistycznej, twierdzi w swoich wspomnieniach, że Marco był znany wśród swoich towarzyszy z tego, że „przesiedział się jako więzień w kazamatach frankizmu”. Wszystko to pomagało Marcowi stać się przywódcą CNT. Na jego korzyść działał też fakt przynależności do związku metalurgicznego, który w pierwszych latach po śmierci Franco rozrósł się w Katalonii bardziej niż jakikolwiek inny związek zawodowy, albo szczęśliwa okoliczność, że pracował w spółdzielni – taki był typ własności jego warsztatu samochodowego – bo

dzięki temu miał więcej czasu niż większość jego towarzyszy, żeby udzielać się na rzecz związku zawodowego; pomagały mu także pewne cechy osobnicze: obehwładniające krasomówstwo, frenetyczna aktywność, nadzwyczajne talenty aktorskie i całkowity brak poważnych przekonań politycznych – w rzeczywistości główny cel Marca sprowadzał się do tego, by zmieścić się w kadrze, bo to czyniło zadość jego mediopatii, jego potrzebie bycia kochanym i podziwianym i pragnieniu grania pierwszych skrzypiec – do tego stopnia, że jednego dnia mógł mówić jedno, nazajutrz coś wręcz odwrotnego, a przede wszystkim jednym i drugim potrafił powiedzieć to, co jedni i drudzy chcieli usłyszeć.

Ale jest coś jeszcze i to może być ważniejsze. Przejście od dyktatury do demokracji w Hiszpanii zasadniczo było chaosem, teoretyczną niemożliwością, która udała się w praktyce dzięki łutowi szczęścia, woli porozumienia wielu i intryganckiemu talentowi niektórych, szczególnie zaś Adolfa Suareza, zasadniczego autora zmiany, potrafiącego wykorzystać zamieszanie, aby postawić na swoim, czyli by znaleźć się w kadrze jako premier, ale zarazem zniszczyć frankizm i zbudować demokrację. No więc w tym straszliwym chaosie zmiany systemu politycznego odbudowa CNT była chaosem jeszcze większym. Z jednej strony, po kilku dziesięcioleciach tyranii w pierwszych latach demokracji doszło do prawdziwej eksplozji ruchów anarchistycznych, wielkiej mody na anarchizm i na kontrkulturę, szczególnie wśród młodzieży, na którą wpływ miały wydarzenia maja 68 roku i ruchy antyautorytarne na całym Zachodzie: znalazłszy się w samym środku tej eksplozji i tej mody, Marco nadal należał do większości. Z drugiej strony, CNT, wyjałowiona, wypatroszona i praktycznie unicestwiona

przez frankizm, otwarła wtedy na oścież podwoje, żeby wypełnić lukę czterdziestu lat, co uczyniło z niej miszmasz, zbiorowisko najróżniejszych tendencji, grup i ideologii; przepisuję ich wykaz za już tu wspomnianym José Ribasem: „Ekolociści, członkowie stowarzyszeń kulturalnych, homoseksualiści, feministki, spółdzielcy, grupy zwolenników antypsychiatrii, ruch więźniów (COPEL), komunardzi [...], członkowie Iberyjskiej Federacji Anarchistów, FAI, zwolennicy komunizmu rad, anarchokomuniści, autonomiści, radykałowie opowiadający się w mniejszym lub większym stopniu za użyciem przemocy, olewacze, trockiści, ludzie Partii Rewolucyjno-Robotniczej Hiszpanii (PORE), ludzie z Organizacji Lewicy Komunistycznej Hiszpanii (OICE), ludzie z Komunistycznego Ruchu Anarchistycznego (MCL), zinfiltrowani leniniści, zwolennicy spontaniczności rewolucyjnej, naturyści, a nawet ukryci chrześcijanie”. O nikim nie zapomniałem? Zapomniałem o policjantach i konfidentach, których było tak wielu, że mogli z powodzeniem stworzyć oddzielny wewnętrzny nurt. No cóż. Prawda, że ten absolutny chaos stwarzał doskonałe warunki dla karierowiczów, ludzi z neodpartą potrzebą znalezienia się w kadrze i, ogólnie, dla wszystkich lubiących łowić ryby w mętnej wodzie, i prawdą jest również, że w tym chaosie wewnątrz chaosu albo w podwójnym wielkim chaosie transformacji politycznej i rekonstrukcji CNT nikt nie mógł mieć się lepiej niż taki profesjonalny spryciarz, nakręcony gaduła i jedyny w swoim rodzaju krętacz jak Marco, mistrz robienia zamieszania i odnajdywania się w nim.

Tak właśnie zrobił. I tak samo jak Adolfo Suárez zdołał postawić na swoim, znalazł się w kadrze, a także zmieniał CNT w coś, na co w pewnej chwili miała zadatki albo – jak około 1977

roku mieli nadzieję (albo obawiali się) niektórzy – czym mogła się stać ponownie po czterdziestu latach: w najważniejszy związek zawodowy kraju. Rzecz jasna, wcale nie było łatwo to osiągnąć. Tradycyjna filozofia hiszpańskiego anarchizmu straciła rację bytu, jego obowiązująca od zawsze teoretyczna apolityczność stała się anachroniczna, a strategia akcji bezpośredniej absolutnie nieefektywna, szczególnie w zestawieniu ze strategią innych lewicowych związków zawodowych, dużo nowocześniejszych i skuteczniejszych. Ale gdyby CNT skroїła swój przekaz i swoje postulaty na miarę rzeczywistości krajowej i gdyby potrafiła rozwiązać sprzeczności rozdzierające kraj, łącząc prestiżową legendę starego związku zawodowego z atrakcyjnością i mocą młodego ruchu kontrkultury i anarchistów, kto wie, co mogło się zdarzyć; przecież krótsza niż rok transformacja dyktatury w demokrację była jeszcze trudniejsza, a jednak Suárez dał radę. W dodatku przynajmniej na początku transformacji hiszpańskie rządy nie spoglądały wrogo na ponowne pojawienie się CNT; przeciwnie, ten anarchistyczny związek zawodowy mógł służyć im za przeciwwagę dla groźnej siły wielkich lewicowych syndykatów, przede wszystkim zorientowanych komunistycznie Komisji Robotniczych, ale też dla UGT, związku zawodowego o zabarwieniu socjalistycznym. Tak czy inaczej, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych sporo zwolenników anarchizmu uważało, że jeśli ktoś może zjednoczyć związek zawodowy, pchnąć go do działania i pogodzić istniejące w nim rozbieżności, to tym kimś jest Enric Marco; on zaś wykorzystał tę wiarę i radosny zamęt owej chwili, aby znaleźć się w kadrze jako przywódca CNT.

Ten pierwszy raz, gdy wielu pomyślało, że Marco jest idealnym człowiekiem, żeby postawić związek zawodowy na nogi, nastąpił chyba 2 lipca 1977 roku, półtora roku po zgromadzeniu założycielskim w Sant Medir, półtora miesiąca po legalizacji CNT i kilka tygodni po pierwszych wolnych wyborach pod rządami demokracji. Marco był wówczas sekretarzem generalnym centrali związkowej w Katalonii i zdążył zmienić nazwisko: już nie nazywał się Enrique Marco – jak wcześniej niemal zawsze się nazywał – ani Enrique Durruti – jak nazywali go jego uczniowie w warsztacie samochodowym rodziny Peiró albo jak on im powiedział, że się nazywa – ani Enric Batlle – jak nazywali go Salsas, Boada i ich grupa, albo jak on im powiedział, że się nazywa, lecz Enrique Marcos. Zmienił nazwisko, żeby nikt go nie pomylił z Enriquem Markiem Nadalem, starym przywódcą anarchistów ze znakomitym życiorysem antyfrankisty, który w początku lat sześćdziesiątych, razem z innymi lewicowymi liderami związkowymi, szukał porozumienia z dyktaturą i od tego czasu anarchiści mieli go za kolaboranta i poddawali ostracyzmowi (natomiast w początkach XXI wieku, kiedy Marco Nadal już nie żył i wszyscy zapomnieli o jego rzekomej kolaboracji, ale nie o jego niewątpliwym antyfrankizmie, Marco nigdy nie prostował, gdy go z nim mylono; raczej przeciwnie). Owego 2 lipca odbył się pierwszy wielki wiec CNT po legalizacji związku, z pewnością najliczniejszy od końca wojny. Było to w sobotę po południu i w barcelońskim parku Montjuich zgromadziło się sto tysięcy kobiet i mężczyzn. Na YouTube można obejrzeć krótki film z tego zdarzenia. Krótki, ale wymowny.

Pierwsze minuty filmu oddają atmosferę radości z odzyskania swoich praw i pokazują panoramę zgromadzonego tłumu; w tle

słysząc hymn CNT *Na barykady* (na melodię *Warszawianki*). Zaraz jednak muzyka cichnie i zaczyna się właściwy wiec, zmieniają się plany filmowe, na przemian widać przemawiających oraz słuchające i bijące brawo tłumy. Nagle pojawia się Marco, jest na podium dla mówców, i od tej chwili w tym nagraniu ciągle już odgrywa pierwszoplanową rolę: prowadzi wiec, przemawia, podaje hasła, które potem publiczność od niego podchwytuje („Tak, wolność tak!; tak, pełna amnestia tak!”), przedstawia pozostałych mówców, a gdy oni wygłaszają swoje przemówienia, ani na chwilę nie przestaje krążyć po podium ani rozmawiać z towarzyszami, jest obok nich, za nimi, wokół nich, w kompletnym amoku. Dziwna sprawa z tymi hasłami. Kilka lat po wybuchu skandalu, kiedy Marca okrzyknięto wielkim szalbierzem i wielkim łotrem, pewna historyczka anarchizmu zauważyła, że w hiszpańskiej tradycji tego ruchu nie było zwyczaju chóralnego skandowania haseł i że sposób zachowania Marca na wiecu w Montjuich powinien być go zdradzić jako oszusta, jako intruza nieznanego kultury anarchizmu. Nie jestem pewien. Jakkolwiek to prawda, że tradycja anarchistyczna nie знаła tego zwyczaju i że hasła rzucane tamtego popołudnia przez Marca i skandowane przez publiczność mogły być zgrzytem w uszach starych działaczy i przywódców emigracyjnych, jednakże dla młodych, a tych była większość i nie znali albo prawie nie znali tradycji anarchistycznej i byli przyzwyczajeni do skandowania podobnych haseł na manifestacjach przeciw dyktaturze, inicjatywa Marca wcale nie zabrzmiała fałszywie, a w najgorszym przypadku (albo w najlepszym) zarówno starym, jak i młodym mogła wydać się pewnym sposobem dostosowania starego anarchizmu do nowego, uwspółcześnienia jego formy bez zdradzenia zarazem jego istoty.

W gruncie rzeczy wielu młodych tak właśnie odebrało cały występ Marca tamtego dnia: nie tylko młodzi anarchiści, także komunistyczni i socjalistyczni związkowcy, którzy przyszli do Montjuich wiedzeni bardziej ciekawością niż podobieństwami ideologicznymi. Wielu z nich miało natomiast wrażenie, bardziej lub mniej dyskretne, że przywódcy emigracyjni otaczający Marca na podium są niczym mumie albo żywe trupy, dawne znakomitości zgubione na manowcach, wygłaszające przemówienia jak w czasach wojny domowej i niedorzeczne: José Peirats, redaktor naczelny „Solidarności Robotniczej”, organu prasowego CNT, nie wydawał się świadomy faktu, że wielka część katalońskiego społeczeństwa i cały ruch antyfrankistowski od dawna domagali się przyznania Katalonii praw regionu autonomicznego, i drwił sobie w najlepsze z aspiracji zbudowania samorządności katalońskiej, a potem upomniał się o wolne gminy, ale nikt nie wiedział, co to dokładnie właściwie miałyby znaczyć; Federica Montseny, od zawsze wcielenie anarchistycznej ortodoksji i faktyczna szefowa (jeśli nie skrywana właścicielka) CNT, zdawała się ignorować – albo tak udawała – euforię, z jaką przytłaczająca większość Hiszpanów wzięła udział, ledwie dwa tygodnie wcześniej, w pierwszych od czterdziestu lat wolnych wyborach. Montseny nawiązała do tych wyborów tylko po to, żeby oburzyć się na wysokie koszty ich organizacji i stwierdzić, że „wydaje nam się, że bardzo drogo płacimy za legitymacje poselskie”, co na pozór zgadzało się z jej radykalną apolitycznością, ale w praktyce było stwierdzeniem oportunistycznym, a nawet cynicznym, przynajmniej dla jej najlepiej poinformowanych współwyznawców: przecież swego czasu Lwica, bo pod takim pseudonimem była znana, zgodziła się objąć tekę ministra zdrowia w rządzie Drugiej Republiki

w czasie wojny domowej. W przeciwieństwie do tych ekstrawaganckich przemówień, dalekich od konkretnych ludzkich problemów i będących wyrazem zmurszałej ideologii, ponadto wygłoszonych językiem i tonem z innych czasów i w takiej też manierze, przemówienie Marca wydało się wielu młodym, i nie tylko młodym, uczestnikom wiecu klarowne, energiczne, bezpośrednie, skuteczne, klasowe i związkowe, przystające do rzeczywistości.

To ogólne dobre wrażenie, w połączeniu z talentami osobistymi i jego kondycją łącznika między emigracją a krajem oraz między starymi i młodymi wyniosły Marca na stanowisko sekretarza generalnego CNT w Katalonii, a niecały rok później na stanowisko sekretarza generalnego na poziomie krajowym. Pomimo że zawsze starał się być w dobrych stosunkach z różnymi środowiskami związkowymi, od początku oparł się głównie na tym najrozsądniejszym, najbardziej profesjonalnym i ambitnym, czyli na środowisku młodych anarchosyndykalistów z kraju, którzy starali się stworzyć organizację zdolną rywalizować z innymi wielkimi związkami zawodowymi, a ponadto najbardziej się nim interesowali i pewnie najbardziej go potrzebowali. Dlatego też cele, jakie sobie wytyczył jako sekretarz generalny, były całkiem rozsądne, choć sposób ich realizacji już nie. Właściwie nie mógł taki być. Pomimo swojej młodzieńczej przynależności do CNT nie miał większego pojęcia o tym, jak działa związek zawodowy ani jak go zorganizować; i jakkolwiek wiedział mniej więcej i w ogólnych zarysach, co chce osiągnąć, nie miał jasności, jakie idee powinny albo mogą temu przyświecać ani dokąd powinien się skierować. Jednakże Marco – który może był ignorantem, ale nie jest głupi – natychmiast zastosował dwie strategie, aby ukryć swoje

dramatyczne braki. Pierwsza polegała na pasywności, druga na nadaktywności. W kierownictwie związkowym Marca otaczali intelektualisci i ideolodzy, albo ludzie pragnący za takowych uchodzić lub mający takie ambicje, dlatego on nigdy nie przedstawiał siebie jako intelektualisty ani ideologa, uznawał się za człowieka czynu, rzadko więc uczestniczył w dyskusjach na temat idei albo strategii; roztropnie i chytrze wszystkiemu się przysłuchiwał, czekał do chwili, gdy następowała krystalizacja stanowisk i wypracowanie porozumienia, a wtedy on, uzbrojony w swoje talenty oratorskie i władzę sekretarza generalnego, przyklepywał to zwycięskie stanowisko i je zatwierdzał. Tym sposobem podczas dyskusji nie tylko się uczył i ukrywał fakt, że sam nie miał żadnego poważnego stanowiska w żadnej lub prawie żadnej sprawie i że jego jedyna poważna aspiracja dotyczyła utrzymania funkcji sekretarza generalnego albo zdobycia jakiejś lepszej; prócz tego zaskarbiał sobie podziw towarzyszy, szczególnie intelektualistów i ideologów, tłumacząc sobie jego małomówność podczas tych dyskusji jako dowód skromnej wstrzemięźliwości prawdziwego robotnika zahartowanego w walce przeciw dyktaturze, a przede wszystkim jako dowód jego wrodzonej przenikliwości, która kazała przyjmować rolę bezstronnego arbitra, co pozwalało mu znajdować kompromisowe rozwiązania.

Taka była pierwsza strategia ukrywania braków. Druga była równie wyrafinowana, mniej jednak przeciwna jego naturze; przede wszystkim pasowała do sławy człowieka czynu, jaką się cieszył, ponieważ polegała na oddaniu się bez reszty działaniu. Marco ciągle coś robił: mimo że nadal pracował w warsztacie i studiował na uniwersytecie, jako sekretarz generalny był wszędzie, rozmawiał z każdym, brał udział we wszystkich

zebraniach, festynach, uroczystościach ku czci i pogrzebach, przewodził wszystkim bitwom, wszystkim strajkom, szedł na czele wszystkich manifestacji, a jak było trzeba, to przewodził wszystkim starciom z policją. Ta bezrefleksyjna gorączkowość uniemożliwiała albo bardzo utrudniała pracę z nim: zamiast rozwiązywać problemy, odsuwał je na później albo zmieniał w inne, nawarstwiające się zatem pośród coraz większego chaosu. W zamian jednak obłok kurzu wzbijany ciąglą hiperaktywnością Marca zgrabnie maskował jego polityczną nieumiejętność, a nade wszystko pozwalał mu być zawsze w kadrze, stać się bardzo znaną osobą, właściwie rodzajem znakomitości związkowej, kogoś, kogo ludzie zaczepiali na ulicy, z kim wszyscy chcieli porozmawiać i kogo wszyscy darzyli szacunkiem za walkę o prawa i godność pracowników, a szczególnie ze względu na jego przeszłość nieugiętego republikańskiego bohatera i opozycjonisty antyfrankistowskiego, przeszłość zmyśloną, a przynajmniej obficie upiększoną. Marco nosił ją niczym galony albo order, albo aureolę świętego, traktował jako ostateczne potwierdzenie swego autorytetu, po które sięgał tylko wtedy, gdy było to nieodzowne i nikt nie mógł tej przeszłości zaprzeczyć ani podać jej w wątpliwość (nie sięgał natomiast po równie zmyśloną przeszłość więźnia Flossenbürga: częściowo dlatego, że dopiero zaczynał ją sobie tworzyć, ale głównie z tego powodu, że wśród związkowców nie była przydatna ani nie mogła przysporzyć mu prestiżu: wystarczy przypomnieć, że w tamtych latach nawet lewica nie uważała, że historia drugiej wojny światowej, Holocaust i nazistowskie obozy stanowiły część hiszpańskiej historii). Marco nie dość, że był szczęśliwy, to czuł się w euforii. Rozpoczął nowe życie i w dodatku było ono dużo lepsze, niż mógł

się tego kiedykolwiek spodziewać w czasie czterdziestu powojennych lat i dwudziestu pięciu lat pracy w warsztacie samochodowym; mimo że w kontaktach z mediami przebiegłość kazała mu mówić o sobie jak o prostym mechaniku – „Szersze mówienie o moim życiorysie byłoby dla mnie krępującym gwiazdorzeniem”, deklaruje w jednym z wywiadów, udzielonym w maju 1978 roku tygodnikowi „Por favor” – wiedział, że jest kimś dużo ważniejszym: teraz wypowiadał się przed tłumami, był słuchanym, szanowanym, podziwianym i kochanym trybunem, przywódcą, z którym wiązano największe nadzieje w organizacji aspirującej do bycia drugim albo trzecim najważniejszym związkiem zawodowym w kraju, udało mu się zdobyć młodą, piękną i wykształconą kobietę, którą kochał, zamieszkał z nią w Sant Cugat i właśnie urodziła mu pierwszą córkę, Elizabeth (druga córka, Ona, miała się urodzić sześć lat później, w 1984 roku). Czego więcej mógł pragnąć?

Na początku 1978 roku, gdy szeregi związku wciąż rosły w równie szaleńczym tempie jak tuż po legalizacji, wielu uważało, że CNT będzie drugim albo trzecim najważniejszym związkiem zawodowym w kraju; możliwe nawet, że myślano tak jeszcze w połowie kwietnia tego roku, kiedy Marco został w Madrycie wybrany sekretarzem generalnym całej CNT: organizacja sprawiała przecież wrażenie zjednoczonej wokół sensownego programu reform i swego nowego lidera, o którym Juan Gómez Casas, ustępujący sekretarz generalny, a w przyszłości wróg Marca podczas walk wewnętrznych, mówił wówczas, że jest „wcieleniem dynamiczności, jest mężny i inteligentny, krótko mówiąc, jest tym człowiekiem, którego organizacji było trzeba”. Marco dotarł na szczyt, i CNT także. Potem i Marco, i CNT spadli w przepaść.

Autodestrukcja CNT nastąpiła w wyniku błędów, które sama popełniła i które sprawiły, że wewnętrzne sprzeczności stały się nie do przewyciężenia. Pierwszym i możliwe, że najważniejszym błędem były mylne rachuby. W 1977 roku, w okresie euforii z powodu rozwoju związku, młodzi anarchosyndykaliści popierający Marca zaproponowali zwołanie kongresu, na którym miało dojść do redefinicji organizacji, zmiany wielu jej anachronicznych i nieefektywnych zasad i dostosowania związku do nowych czasów; to był bardzo rozsądny pomysł, szczególnie że poprzedni kongres odbył się w 1936 roku. Ale młodzi anarchosyndykaliści zgrzeszyli nieroztropnością (lub naiwnością), umieszczając w programie kongresu punkt dotyczący sprawozdania z działań kierownictwa na emigracji podczas czterdziestu lat frankizmu, domagając się w dodatku, żeby przygotowała go sama Federica Montseny. Marco i jego przyjaciele nie przewidzieli, że starzy emigranci odczytają tę propozycję tak, jak ją odczytali, czyli jako brak szacunku albo groźbę, albo zniewagę ze strony niewdzięcznych młodzieniaszków, którzy teraz, po brutalnych latach dyktatury, kiedy to oni, starzy, bohatercko trzymali w górze sztandar anarchistyczny, chcą skontrolować ich postępowanie i dokonać rozliczeń. Ta głupota taktyczna wywołała pierwsze niesnaski w organizacji. Ale ostateczną burzę wywołała sprawa Scali.

Wszystko zdarzyło się w niedzielę, 15 stycznia 1978 roku, kiedy Marco był jeszcze sekretarzem generalnym CNT w Katalonii. Związek zwołał na ten dzień manifestację w Barcelonie przeciwko paktom z Moncloa, porozumieniu zainicjowanemu przez rząd Adolfa Suareza i podpisanemu trzy miesiące później przez główne partie polityczne, związki zawodowe i organizacje przedsiębiorców, którego celem było

osiągnięcie pokoju społecznego w kraju i ustabilizowanie procesu przechodzenia od dyktatury do demokracji; protest odniósł sukces: wzięło w nim udział prawie dziesięć tysięcy osób. Ale około południa, kiedy sam Marco uznał już manifestację na placu Hiszpanii za zakończoną i tłum się rozszedł, w hali rozrywki Scala wybuchły cztery koktajle Mołotowa domowej produkcji. W pożarze zginęło czterech pracowników. Pomimo że dwaj z zabitych byli członkami CNT, podejrzenie o dokonanie zamachu padło natychmiast na związek lub jego otoczenie. W szeregach samej CNT podejrzewano o to zwykłych ludzi, którzy z polecenia rządu starali się zdyskredytować tę jedyną dużą organizację związkową uważającą, że transformacja polityczna zagraża interesom pracowniczym i otwarcie krytykującą jej przebieg. Pomimo że oba te podejrzenia były wzajemnie sprzeczne, oba się potwierdziły. W grudniu 1980 roku sąd skazał za zamach w Scali sześć osób powiązanych z CNT, ale dwa lata później skazano dodatkowo Joaquina Gambina, policyjnego konfidenta, który okazał się podżegaczem i organizatorem zamachu. Rząd był niewątpliwie zainteresowany podważeniem wiarygodności albo wykończeniem CNT; nie można jednak wykluczyć, że środowiska najbardziej ortodoksyjne i nieprzejednane w organizacji – zaczynając od środowiska starych emigrantów, którzy nie chcieli poddać się na najbliższym kongresie procedurze forsowanej przez młodych towarzyszy i zamierzali odzyskać pełną kontrolę nad związkiem – pragnęły ją zradykalizować, ulegając tradycyjnej pokusie posłużenia się przemocą, marginalizując w CNT tę linię realistyczną i posybilistyczną, którą związek podążał dotychczas, i usuwając Marca oraz młodych anarchosyndykalistów z zarządu. Cele rządu i związkowych

ekstremistów nie były ze sobą sprzeczne i oba udało się osiągnąć.

Sprawa Scali okazała się dla CNT zabójcza. Ten nieoczekiwany akt przemocy spłoszył sympatyków anarchizmu; masowy napływ nowych członków ustał z dnia na dzień, a i wielu z tych, którzy wcześniej przystąpili do organizacji, zaczęło odchodzić; równie nagle skończyła się moda na anarchizm, albo prawie. Ten popłoch był sukcesem rządu, któremu udało się napiętnować CNT w środkach masowego przekazu poprzez skojarzenie tej centrali i całego ruchu anarchistycznego z terroryzmem, w chwili gdy terroryzm – szczególnie baskijski terroryzm ETA – zabijał na prawo i lewo; ale była to też porażka CNT, bo związek nie potrafił przeciwdziałać strategii rządu, pozwolił, by narastały w nim pozostające wcześniej pod kontrolą sprzeczności, i zamknął się w sobie. Sprawa Scali podzieliła związek. Z jednej strony stanęli młodzi anarchosyndykaliści, którzy popierali Marca i domagali się, by związek kategorycznie potępił przemoc, nie wykluczając jednak pomocy dla działaczy CNT zamieszanych w zamach ani ujawnienia policyjnej infiltracji i działań podjętych przez rząd w celu zdyskredytowania anarchizmu; po drugiej stronie znaleźli się starzy emigranci w sojuszu z młodymi i zradykalizowanymi zwolennikami kontrkultury, którzy flirtowali z przemocą albo dawali do zrozumienia, że flirtują z przemocą, bo gotowi byli potępić rząd, ale nie abstrakcyjną przemoc ani konkretny zamach; byli też zdania, że należy udzielić jednoznacznego poparcia jego domniemanym sprawcom. W zasadzie była to walka ideologiczna: młodzi anarchosyndykaliści byli realistami, sprzeciwiali się przemocy, chcieli odnowy i wyznawali posybilizm; starzy emigranci

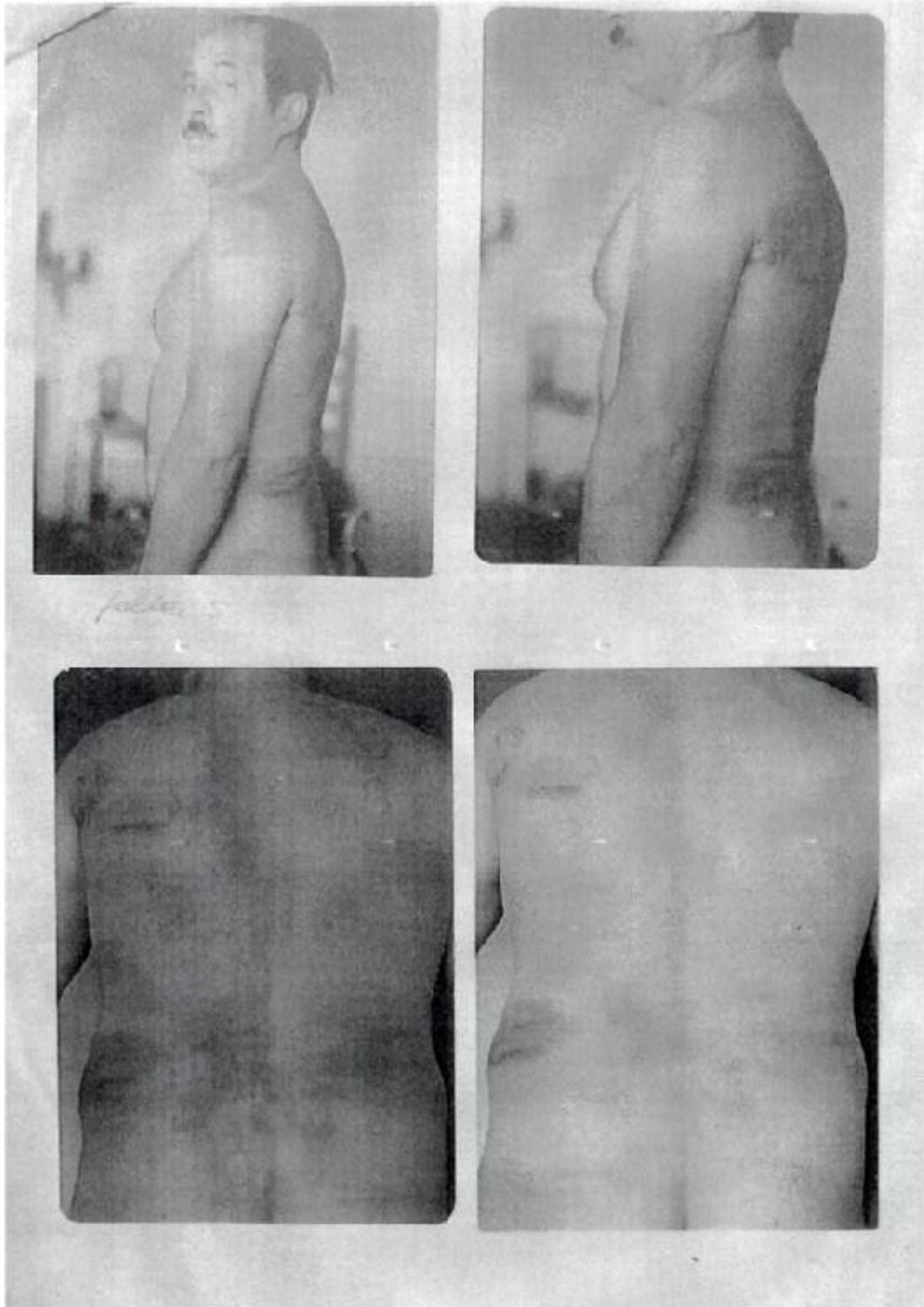
i młodzi zwolennicy kontrkultury natomiast byli ortodoksyjni, idealistyczni, radykalni, a przynajmniej nie mieli jeszcze jednoznacznej odpowiedzi na odwieczny dylemat anarchistów dotyczący potrzeby i prawomocności użycia przemocy. Ostatecznie wszystko przyjęło kształt czystej walki o władzę, odpowiednio upozowanej na debatę o zasadach, która doprowadziła do tego, że związek zajął się samym sobą i swoimi wewnętrznymi problemami, a całkowicie oddalił od problemów ludzi pracy.

To była wojna na śmierć i życie, w której ortodoksi z emigracji, właściwie od zawsze sprawujący kontrolę nad związkiem, od początku stali na wygranej pozycji. W obliczu zaproponowanego przez młodych anarchosyndykalistów kongresu emigranci przyjęli strategię obliczoną na oczyszczenie związku ze swoich przeciwników, by nie musieć rozliczać się z działalnością w czasach dyktatury, wygrać kongres, a tym samym przejąć pełnię władzy. Po pierwsze zdemonizowali obraz młodych, zarzucając im, że są rewizjonistami, kolaborantami, reformistami i heterodoksyjnymi marksistami; po drugie wyrzucili ilu się dało z jak największej liczby związków wchodzących w skład central CNT; po trzecie sięgnęli po obelgi, zastraszanie i przemoc. Marco szybko zdał sobie sprawę, że młodzi anarchosyndykaliści, jego dotychczasowe oparcie, zostaną wkrótce wypchnięci ze związku, odsunął się zatem od nich, usiłował mediować między dwoma obozami i przedstawić siebie jako rodzaj alternatywy albo trzeciej drogi, ostrzegając przy okazji, że jeśli nie zatrzyma się biegu spraw, to CNT czeka katastrofa. „W CNT trwa proces dezintegracji i rozkładu – napisał 5 marca 1979 roku w «Solidarności Robotniczej». – Jeśli natychmiast temu nie zaradzimy, proces ten sprawi, że

przestaniemy istnieć, a skorzystają na tym jedynie nasi wspólni wrogowie: kapitał i państwo. [...] Albo się z tym szybko uporamy, albo koniec. Walka o władzę w CNT skończy się tym, że nie będzie kim rządzić, i to już wkrótce”.

Nie przesadzał ani na jotę. To musiał być dla niego trudny czas; ale z tego samego względu musiał być też czasem intensywnym i ekscytującym, i na swój sposób pełnym chwały, w każdym razie wtedy właśnie doszło do jednego z najbardziej chwalebnych zdarzeń w jego życiu, a przynajmniej zdarzeń, których chwalebność najbardziej eksploatował. Miało ono miejsce 28 września 1979 roku w centrum Barcelony, gdzie grupa anarchistów skłała się łańcuchem i zatamowała ruch na ulicy Pelayo, domagając się amnestii dla oskarżonych o zamach w Scali; był tam i Marco. Policja, rozdzielając manifestantów, pobiła go i zatrzymała. W śledztwie nasz bohater zeznaje, że krzyczał tylko na policjantów, którzy pałowali spięte łańcuchem osoby; funkcjonariusze natomiast zeznają, że Marco nie krzyczał, tylko wyzywał ich od „morderców, drani, skurwysynów itd.”, kiedy oni rozkuwali manifestantów: dlatego został zatrzymany. Marco wyszedł na wolność jeszcze tego samego wieczoru, ale czym prędzej zrobił sobie zdjęcia – dwa z profilu i dwa od tyłu – na których widać siniaki po uderzeniach policyjnymi pałkami i kolbami na plecach i po obu bokach. Od tej chwili starał się mieć te zdjęcia zawsze przy sobie. Miały dla niego najwyższą wagę. Są dowody na to, że gdy był przywódcą związkowym, mężnie występował przeciwko władzom albo siłom bezpieczeństwa wciąż jeszcze frankistowskim albo o frankistowskiej wciąż mentalności i takimż zachowaniu, w lot jednak zrozumiał, że żaden dowód nie przebije tych zdjęć. W końcu udało mu się zostać tym, kim od tylu lat bardzo chciał

zostać albo wyobrażał sobie, że jest, a w każdym razie kim opowiadał, że jest, kim wielu wierzyło, że jest. Te zdjęcia były dowodem. Miał je, ich wymowa była jasna i jednoznaczna. I on zaliczał się do ofiar frankizmu albo tego, co jeszcze z frankizmu zostało. I on był opozycjonistą. I on był bohaterem.



Marcowi udało się wejść na kongres CNT w randze sekretarza generalnego związku, ale wychodził stamtąd praktycznie wyrzucony już z szeregów tej organizacji. „Na komisariacie policji potraktowali mnie lepiej”, powiedział wtedy

anarchistycznym pismu „Bicicleta”. Tym razem również nie przesadzał, albo nie tak bardzo. Kongres odbył się w pierwszych dniach grudnia 1979 roku w Casa de Campo w Madrycie i był otwartą bitwą – ostatnią albo przedostatnią bitwą ostatniej albo przedostatniej wojny między anarchistami – w trakcie której niczego sobie nie oszczędzono, ani pułapek i regulaminowych nieprawidłowości, ani krzyków, wyzwisk, gróźb, rękoczynów, a nawet wymachiwania pistoletami. Jak było do przewidzenia, młodzi anarchosyndykaliści, z których duża część wcześniej już sama odeszła ze związku albo ją wyrzucono, zostali pokonani; Marco również: nie udało mu się zostać kandydatem kompromisowym ani ucieleśnić w sobie pośredniej opcji i jakkolwiek stanął do wyborów, nie otrzymał nawet w przybliżeniu odpowiedniej liczby głosów, żeby pozostać na czele związku. Wszystkich wymietli – kierowani na odległość z Tuluzy przez niezniszczalną Federicę Montseny – starzy emigracyjni ortodoksi, którzy nigdy nie ufali Marcowi, a teraz narzucili związkowi swoją linię i swojego kandydata, José Buendę.

Dalszy ciąg tej historii jest smutny, a nawet bardziej niż smutny, zarówno dla Marca, jak i dla CNT, może bardziej dla CNT niż dla Marca. Przez następne lata nasz człowiek starał się wykorzystać swój prestiż i przeszłość związkową, aby odzyskać kierowniczą rolę w CNT albo w ruchu związkowym. Ledwie zakończył się kongres w Casa de Campo, założył CCT (Katalońską Konfederację Pracy), należącą do CNT, i razem z innymi przegranymi na kongresie usiłował podważyć jego wyniki, ale jedyne, co uzyskał, to wyrzucenie go pod koniec kwietnia 1980 roku „z powodu poważnej działalności rozłamowej”, jak głosi oświadczenie sekretariatu generalnego

CNT opublikowane w początkach czerwca w „Solidarności Robotniczej”, a także z powodu podważania autorytetu i niszczenia związku we współpracy z rządem, jak pod koniec maja poinformował sekretariat koordynujący CNT, również w „Solidarności Robotniczej”. Te oszczercze oskarżenia, że był zdrajcą, wtyką i kolaborantem rządu, owoc brutalnych wewnętrznych walk i bratobójczej paranoi panującej w owych latach w CNT, ciągną się za Markiem aż do dziś. Szybko porzucił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się wrócić na pierwszą linię roboty związkowej. Porzucił ją konkretnie w 1984 roku, kiedy jego dawni sprzymierzeńcy, młodzi anarchosyndykaliści, pokonani jak on na madryckim kongresie założyli wraz z pozostałymi grupami wykluczonymi z CNT organizację CNT-Kongres Walencja i – pamiętając niewątpliwie, że Marco odsunął się od nich, kiedy najbardziej go potrzebowali – pominęli jego osobę.

Marco został sam: na tym skończyła się jego kariera związkowa. Jednakże w owej chwili związek zawodowy jego życia również był skończony. W 1989 roku, po przegraniu procesu o prawa do skrótu nazwy związku, młodzi anarchosyndykaliści, którzy zaczęli już być nie tacy młodzi, przyjęli nazwę CGT (Generalna Konfederacja Pracy) i ten ich związek jest teraz trzecim najliczniejszym związkiem zawodowym Hiszpanii, podczas gdy CNT od wielu lat właściwie nie odgrywa żadnej roli. Co się tyczy Marca, to na początku lat osiemdziesiątych coraz rzadziej pojawia się w prasie i wraca do swego życia prywatnego, żony i dwóch córek, i do studiowania historii, które to studia w tych latach kończy; równocześnie pracuje nadal w swoim warsztacie samochodowym, ale już niedługo, bo osiąga wiek emerytalny. Możliwe, że czuje się

trochę rozżalony po burzliwych doświadczeniach w CNT, związku zawodowym, do którego przystąpił w chwili euforycznego chaosu i z którego odszedł w chwili chaosu depresyjnego, którego stery objął, gdy zdawało się, że związek zmierza ku absolutnemu zwycięstwu, i którego stery oddał, gdy wyglądało na to, że pikuje w dół ku kompletnej klęsce. Niewątpliwie oprócz słodczy Marco poznał w tych latach i gorycz życia publicznego, ale na pewno – gdy raz zaczął pojawiać się na pierwszych stronach gazet, był słuchany, kochany, podziwiany i szanowany jako przywódca – nie może już bez niego żyć. Tak więc, owładnięty młodzieńczą energią, którą wciąż jeszcze tryska mimo swych sześćdziesięciu czterech albo sześćdziesięciu pięciu lat, bezzwłocznie zaczyna szukać sposobu, żeby wrócić do tego poprzedniego życia.

I nie mija dużo czasu, gdy go znajduje.

W *Ja jestem Enrikiem Markiem* porównałem Marca do Don Kichota, bo obaj są wielkimi kłamcami, którzy „nie zadowolili się szarością swego rzeczywistego życia i wymyślili sobie oraz przeżyli bohaterskie życie fikcyjne”. To porównanie nadal wydaje mi się trafne, ale teraz widzę po temu dużo więcej powodów.

Historia Don Kichota jest historią prostego szlachcica, Alonsa Quijano, który u progu pięćdziesiątki, wiodąc życie, które go nie satysfakcjonuje, nijakie i nudne w zabitej dechami wiosce w Manczy, postanawia rzucić wszystko w diabły, wymyślić się na nowo jako błędny rycerz i zacząć wieść życie bohaterskie, pełne szczytnych ideałów, odwagi, honoru i miłości; historia Marca jest podobna: to historia prostego mechanika, Enrique Marca, który skończywszy pięćdziesiąt lat i żyjąc dotąd życiem, które go nie satysfakcjonowało, nijakim i nudnym, zamknięty w warsztacie w Barcelonie, postanawia rzucić wszystko w diabły, wymyślić się jako polityczny bohater i zacząć wieść życie bohatera, życie pełne szczytnych ideałów, odwagi, honoru i miłości. Ale nie dość na tym. Alonso Quijano jest osobnikiem narcystycznym, który wymyśla Don Kichota, żeby nie poznać samego siebie lub żeby się nie rozpoznać, żeby za epicką fasadą Don Kichota ukryć prostacką mizериę swego minionego życia oraz wstyd, jakim go ono napełnia, i żeby za pośrednictwem Don Kichota móc przeżyć życie wzniosłe i intensywne, jakim nigdy nie żył; narcyzm Marca natomiast najpierw stwarza Enrique Durrutiego albo Enrica Batlle albo Enrique Marcosa, nieustraszonego robotnika anarchistę i opozycjonistę wobec reżimu Franco, i lidera CNT,

a potem Enrica Marca, więźnia obozu Flossenbürg i lidera stowarzyszenia Amical de Mauthausen, i bojownika antynazistę, żeby ukryć za tą bohaterską maską nijakość swego minionego życia oraz wstyd, jakim go ono napełniało, żeby móc żyć najpierw za pośrednictwem Enrique Durrutiego albo Enrica Batlle albo Enrique Marcosa, a potem za pośrednictwem Enrica Marca, życiem wielkim, zacnym i intensywnym, jakim nigdy nie żył. Krótko przed ukończeniem pięćdziesięciu lat Alonso Quijano przestał być prozaicznym Alonsem Quijano i zaczął zwać się poetycko Don Kichotem z Manczy, wyrzekł się codziennej opieki, jaką otaczały go gospodyni i siostrzenica, dla niemożliwej i płomiennej miłości Dulcynei, porzucił mdłą codzienność dla obiecującej niepewności dróg i oberży Hiszpanii i porzucił swoje skromne życie hidalga dla obfitującego w przygody życia błędnego rycerza. Tak samo Marco, wkrótce po przekroczeniu pięćdziesiątki przestał nazywać się Marco i zaczął nazywać się Marcos, porzucił leciwą i niewykształconą emigrantkę z Andaluzji dla młodej, wykształconej, eleganckiej pół-Francuzki, porzucił robotnicze przedmieście Barcelony dla przedmieścia zamożnego i odsunąwszy na bok swoje nudne życie mechanika, zrobił miejsce dla pasjonującego życia przywódcy związkowego, szermierza politycznej wolności, sprawiedliwości społecznej i pamięci historycznej.

Więcej? Więcej. Tak jak Marco, Don Kichot pragnie sławy i chwały, i by jego bohaterskie czyny przetrwały w pamięci świata, pragnie niecierpliwie, by ludzie o nim mówili, kochali go i podziwiali, i mieli za kogoś wyjątkowego i bohaterskiego; tak jak Marco, Don Kichot jest mediopatą, nałogowcem spektaklu. Jest też kompulsywnym czytelnikiem i, tak jak Marco, wykazuje się kilkoma zasadniczymi przymiotami dobrego pisarza albo

powieściopisarza: siłą, fantazją, wyobraźnią i zamiłowaniem do słowa; możliwe nawet, że podobnie jak Marco jest niespełnionym powieściopisarzem: gdyby Alonso Quijano napisał kiedyś jakąś księgę rycerską, możliwe, że nigdy nie zostałby Don Kichotem, ponieważ to w powieść zainwestowałby swoją niezrównaną umiejętność konfabulacji i przeżyłby w niej zastępczo to, co chciał przeżyć w rzeczywistości, podobnie jak ten prawdziwy Marco może nigdy nie stworzyłby fikcyjnego Marca, gdyby wymyślił jego koleje losu i żył nimi zastępczo, napisawszy powieść. Alonso Quijano jest przede wszystkim aktorem: od pięćdziesiątki do samej niemal śmierci odgrywa Don Kichota, podobnie jak Marco prawdziwy odgrywa Marca fikcyjnego, odkąd skończył pięćdziesiąt lat aż do dzisiaj. To istotne. Cechą definiującą zarówno Don Kichota, jak i Marca nie jest wcale branie marzeń za rzeczywistość, fikcji za realność albo kłamstwa za prawdę, lecz jest nią pragnienie, by marzenia stały się rzeczywistością, kłamstwo okazało się prawdą, a fikcja się urzeczywistniła. Niezwykłe jest to, że obu się to udaje: jedna z różnic między pierwszą a drugą częścią *Don Kichota* polega na tym, że w pierwszej części Don Kichot wymyśla sobie niezwykle rycerskie przygody, które jakoby go spotykają, bierze wiatraki za olbrzymów i gospody za zamki, podczas gdy w części drugiej rzeczy fantastyczne dzieją się naprawdę, albo Don Kichot wierzy, że tak jest, gdy rozkochuje w sobie panny, jest świadkiem zatonięcia okrętów, słyszy, jak mówią zaczarowane głowy, i mierzy się w walce z innymi błędnymi rycerzami. Podobnie Marco, szczególnie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy był sekretarzem generalnym CNT, zaczął żyć tak, jak to wcześniej wymyślił, stał się w końcu przywódcą robotniczym, został pobity przez policję, przesiedział przynajmniej kilka godzin na

komisariacie z powodów politycznych albo związanych z polityką. Poza tym nie oszukujmy się: pomimo że Alonso Quijano był przede wszystkim aktorem, to nic nie udawał, odgrywając Don Kichota; on był Don Kichotem; utożsamiał się z postacią Don Kichota jak aktor wierzący, że jest postacią, którą gra, nikt zatem nie potrafił go namówić, by przyznał, że nie jest Don Kichotem, lecz jest Alonsem Quijano. To samo działo się z Markiem i częściowo z tego względu, po wybuchu skandalu i wyjściu na jaw oszustwa, nie uznał on swojej pomyłki ani też nie zachował milczenia, ani nie poznał samego siebie, czy też nie rozpoznał w sobie tego, kim był, lecz odmówił zaakceptowania swej prawdziwej tożsamości i zaczął bronić się w prasie, radiu, telewizji i w kinie, podjął się obrony swego wymyślonego ja – tego ja bohaterskiego, które chciano zniszczyć – mozolnie podpierając chwiejącą się postać fikcyjną elementami swej prawdziwej przeszłości.

Marco jest zatem Don Kichotem albo szczególną wersją Don Kichota. W pewnym sensie jest nawet – jak poznawszy go, zauważył mój syn – lepszym albo doskonalszym Don Kichotem niż sam Don Kichot. Ponieważ w odróżnieniu od Don Kichota, niemal pozbawionego przeszłości, on nie tylko ma przeszłość, lecz w dodatku wie, że przeszłość nigdy nie mija, że jest ledwie częścią albo jakąś postacią terażniejszości i że nawet – jak pisał Faulkner – nie jest przeszłością; w konsekwencji Marco nie dość, że wymyśla na nowo swoją terażniejszość, to wymyśla na nowo swoją przeszłość (albo wymyśla na nowo terażniejszość dzięki wymyślaniu na nowo swojej przeszłości). I jest Don Kichotem lepszym albo doskonalszym niż Don Kichot, ponieważ odnosi sukces tam, gdzie Don Kichot ponosi klęskę: Alonso Quijano nigdy nikogo nie nabrał i wszyscy wiedzieli, że był tylko

nieszczęśnikiem, który uważał się za bohatera opowieści rycerskich, Marco natomiast przekonał wszystkich, że ten fikcyjny Marco jest Markiem prawdziwym i że jest politycznym bohaterem. Ktoś mógłby oponować, mówiąc, że poza wszystkimi łączącymi ich podobieństwami między Markiem a Don Kichotem jest jednak zasadnicza różnica, to znaczy, Don Kichot zachowuje się jak niespełna rozumu, a Marco nie. Wątpię, by tego zastrzeżenia nie dało się obalić. Prawda, że Don Kichot zachowuje się jak kompletny szaleniec, ale zachowuje się także całkiem roztropnie i nie jestem pewien, czy na swój sposób coś podobnego nie dzieje się z Markiem: jak Don Kichot plecie androny tylko wtedy, gdy mówi o błędnych rycerzach, tak Marco plecie androny tylko wówczas, gdy opowiada o swoich wyczynach jako bohatera antyfaszysty. Marco ma swoje księgi rycerskie: to jego własna przeszłość.

Ostatnia rzecz. Wcześniej powiedziałem, że być może Don Kichot i Marco są dwoma niespełnionymi powieściopisarzami i że gdyby przelali na papier swoje marzenia, może nie usiłowałiby ich przeżyć; powiedziałem też albo poddałem taką myśl, że Don Kichot i Marco nie chcą zmienić rzeczywistości w fikcję, lecz chcą zmienić fikcję w rzeczywistość: nie napisać powieść, lecz ją przeżyć. Obie te hipotezy nie wykluczają się nawzajem, ale ta druga wydaje mi się lepsza od tej pierwszej.

Don Kichot i Marco nie są niespełnionymi powieściopisarzami: są napisani przez samych siebie; nigdy nie zadowoliliby się przelaniem na papier swoich marzeń: oni chcą odgrywać w nich główną rolę. W wieku pięćdziesięciu lat, w drugiej już połowie życia, Don Kichot i Marco buntują się przeciw naturalnemu przeznaczeniu, to znaczy, nie chcą po prostu cieszyć się tym, co już przeżyli, i przygotowywać się do śmierci; oni nie ustępują,

nie godzą się, nie poddają, chcą nadal żyć, chcą żyć bardziej, chcą przeżyć wszystko, czego nigdy nie przeżyli, a o czym zawsze marzyli. I są gotowi na wszystko, by to osiągnąć; dosłownie na wszystko: również na okłamanie całego świata, wmówienie wszystkim, że jeden jest wielkim Don Kichotem, a drugi wielkim Enrikiem Markiem. Mając do wyboru prawdę i życie, wybierają życie: jeżeli kłamstwo daje życie, a prawda zabija, oni wybierają kłamstwo; jeśli fikcja ocala, a rzeczywistość zabija, oni wybierają fikcję. Choćby wybór fikcji zakładał zanegowanie tego, że są takie rzeczy, które można robić w powieściach, ale nie można ich robić w życiu, ponieważ reguły powieści i reguły życia są odmienne; choćby wybór kłamstwa zakładał przekroczenie podstawowej zasady naszej moralności i wykazanie się „przekłętą przywarą” Montaigne’a, podłością, agresją i brakiem szacunku, i pogwałceniem pierwszej reguły współżycia między ludźmi, która polega na mówieniu prawdy. Nietzsche zauważył, że – jak ptak w wierszu T.S. Eliota – my, ludzie, nie możemy znieść nadmiaru rzeczywistości i że często prawda jest zła dla życia; dlatego brzydził się naszą małą drobnomieszczańską moralnością, naszą małoduszną etyką szacownych ludzi, którzy szanują prawdę albo myślą, że jest godna szacunku, i pochwalał wielkie kłamstwa, które afirmują życie. Wolni od poczucia winy i nieczystego sumienia Don Kichot i Marco jawią się tym sposobem jako bohaterowie nietzscheańscy: nie niemoralni ani amoralni, lecz pozamoralni. Czy tacy są? Czy to w taki nieoczekiwany i wspaniały sposób Marco zmienia się nam w bohatera? Czy Marco jest bohaterem moralnym albo pozamoralnym, lucyferycznym buntownikiem nie tylko wobec nakazów moralności mieszczańskiej, lecz również wobec nakazów rzeczywistości? Czy po latach mówienia „Tak” i staniu

po stronie większości w tej właśnie formie, Marco nieoczekiwanie powiedział w końcu „Nie” i przyłączył się do mniejszości?

Chciałbym odpowiedzieć twierdząco. Odpowiadam: tak, jakkolwiek tylko po części. Marco wymyślił sobie przeszłość (albo ją ubarwił, wygładził) w chwili, gdy niemal wszyscy w Hiszpanii to robili; Marco wymyślił na nowo swoje życie w chwili, gdy cały kraj wymyślał je sobie na nowo. Tak właśnie działo się w Hiszpanii podczas przejścia od dyktatury do demokracji. Po śmierci Franco niemal wszyscy zaczęli budować sobie jakąś przeszłość, żeby zainstalować się w terażniejszości i przygotować sobie przyszłość. Robili tak politycy, intelektualiści i dziennikarze, pierwszorzędni, drugorzędni i trzeciorzędni, ale i inni, zwykli ludzie; robili tak ludzie prawicy i ludzie lewicy, jedni i drudzy pragnąc udowodnić, że byli demokratami od zawsze i w czasach frankizmu skrycie działali w opozycji, w ruchu oporu, byli antyfrankistami, przyczajonymi albo czynnymi. Oczywiście nie wszyscy kłamali z taką samą biegłością, bezczelnością lub uporem i niewielu posunęło się do wymyślenia sobie nowej tożsamości od początku do końca; większość ograniczyła się do upiększenia lub wygładzenia swojej przeszłości (albo do ujawnienia w końcu swego prywatnego życia, przedtem bojaźliwie osłanianego lub ukrywanego). Ale cokolwiek robili, wszyscy zrobili to ze spokojem, nie przeżywając moralnych katuszy, lub bez nadmiernego moralnego zniesmaczenia, wiedząc, że wszyscy inni wokół robią mniej więcej to samo, a zatem że wszyscy się na to godzą albo to tolerują i nikomu nie zależy na grzebaniu w niczyjej przeszłości, bo wszyscy mają coś do ukrycia: koniec końców w połowie lat siedemdziesiątych cały kraj miał za sobą czterdzieści lat

dyktatury, której nikt prawie nie powiedział „Nie”, a prawie wszyscy powiedzieli jej „Tak”. Niemal wszyscy kolaborowali z nią z przymusu albo z ochoty i prawie wszyscy jakoś w niej prosperowali, co było tą właśnie rzeczywistością, którą wszyscy starali się ukryć albo upiększyć, albo wygładzić, jak Marco ubarwił albo upiększył, albo ukrył swoją, wymyślając fikcyjną przeszłość indywidualną i zbiorową, przeszłość szlchetną i heroiczną, w której niewielu było frankistami, a ci niewychylający się ani trochę albo maszerujący z frankizmem ramie w ramie byli opozycjonistami albo dysydentami antyfrankistowskimi.

Taka jest rzeczywistość: przynajmniej w latach zmiany dyktatury w demokrację Hiszpania była krajem równie narcystycznym jak Marco; dlatego prawdą jest również, że demokracja została w Hiszpanii zbudowana na zbiorowym kłamstwie albo na stercie kłamstewek indywidualnych. Czy można ją było zbudować inaczej? Czy można było zbudować ją na prawdzie? Czy cały kraj mógł rozpoznać się uczciwie takim, jakim był, w całej grozie i wstydzie, i tchórzostwie, i nijakości swojej przeszłości, i pomimo to iść naprzód? Czy mógł rozpoznać się albo poznać sam siebie jak Narcyz i pomimo to nie umrzeć jak Narcyz, z nadmiaru rzeczywistości? A może to wielkie zbiorowe kłamstwo było jednym ze szlchetnych kłamstw Platona albo jednym z pożytecznych kłamstw Montaigne’a, albo jednym z życiodajnych kłamstw Nietzschego? Nie wiem. Ale wiem, że przynajmniej w tamtych latach kłamstwa Marca na temat własnej przeszłości nie stanowiły wyjątku, lecz były normą i że w gruncie rzeczy on ograniczył się do wykorzystania do maksimum pewnej powszechnej wówczas praktyki: kiedy wybuchł skandal, Marco nie mógł się bronić, mówiąc, że zrobił

tylko to, co wszyscy robili w tamtych latach, ale z całą pewnością tak myślał. I wiem także, że – jakkolwiek nikt nie ośmielił się posunąć w swoim oszustwie tak daleko jak Marco, może innym brakło jego energii, talentu i ambicji – to i w tej sprawie – częściowo, przynajmniej częściowo – Marco był z większością.

Marco jest absolutnie niezdolny do bezczynności. W połowie lat osiemdziesiątych, gdy został nieelegancko usunięty z CNT i zrozumiał, że jako przywódca związkowy nie ma przed sobą przyszłości, został liderem FAPAC, lewicowej organizacji zrzeszającej większość stowarzyszeń rodziców uczniów szkół publicznych w Katalonii. Przyłączył się wcześniej do CNT w chwili wielkiej politycznej mobilizacji po śmierci Franco, kiedy rozentuzjzmowani obietnicami nowiułenkiej demokracji ludzie masowo napływali do związków zawodowych i partii; wstąpił do FAPAC w chwili wielkiej politycznej demobilizacji, w wyniku rozczarowania demokracją albo funkcjonowaniem demokracji (lub po prostu gdy demokracja okrzepła), kiedy ludzie masowo porzucali działalność partyjną i związkową i zwracali się znowu ku prywatnemu życiu albo znajdowali dla siebie schronienie w obywatelskiej działalności stowarzyszeń. Marco przystąpił do CNT w jednym z tych momentów kryzysu i zamieszania, by nie powiedzieć chaosu, w jakich odnajduje się jak nikt inny; moment, w którym przystąpił do FAPAC, nie był szczególnie odmienny.

W tamtym czasie – mówię o roku 1987 – drugi w ostatnich czterdziestu latach lewicowy rząd hiszpański przygotowywał ustawę o edukacji, zwaną LOGSE, której wielu ludzi lewicy nie uznawało za lewicową, bo uważali, że promuje szkoły prywatne kosztem publicznych. Ten rozdzźwięk dał początek protestom i manifestacjom przeciwko ustawie; doprowadził również do upadku zarządu FAPAC. Rząd lewicowy był socjalistyczny, tak

samo jak zarząd FAPAC; a może zarząd FAPAC tylko sprzyjał socjalistom lub został oskarżony o sprzyjanie socjalistom, a w każdym razie o to, że jest ustępliwy wobec socjalistycznego rządu albo że niedostatecznie zwalcza tę ustawę socjalistycznego rządu. Tak czy inaczej, na dorocznym zgromadzeniu plenarnym FAPAC, które tamtego roku odbyło się w Cocheras de Sants, w Barcelonie, doszło do rewolty, która po kilku zaledwie miesiącach – podczas zgromadzenia nadzwyczajnego w Centrum Obywatelskim w La Sedeta, także w Barcelonie – skończyła się zastąpieniem zarządu socjalistycznego albo filozocjalistycznego zarządem komunistycznym albo filokomunistycznym, bo oddolny ruch sprzeciwu został natychmiast przechwycony i zawłaszczony przez partię komunistyczną. W obu zgromadzeniach Marco wziął udział jako przedstawiciel szkoły podstawowej, do której chodziła jego córka Elizabeth (Ona, wówczas dwuletnia, nie chodziła jeszcze do szkoły) i pomimo że nie był komunistą ani filokomunistą, ani nie należał do przywódców rewolty, to brał udział w jej organizowaniu, podlegał do niej i umiał tak nią pokierować, że pośród wiecowego zamieszania zdołał wejść w skład nowego zarządu. Opuścił go dopiero po trzynastu latach, kiedy obie jego córki skończyły szkołę, a on sam nic już nie znaczył w FAPAC. Podczas rewolucyjnego albo porewolucyjnego zgromadzenia w La Sedeta do zarządu wybrano kilkadziesiąt osób, które w większości z czasem z zarządu odeszły. Marco wprost przeciwnie: dzięki swej pracy i wytrwałości stopniowo stawał się nieodzowny i nie minęło wiele czasu, jak został wiceprzewodniczącym i przedstawicielem organizacji w Barcelonie.

Moja siostra Blanca poznała go pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy sprawował tę funkcję, a ona weszła do

zarządu FAPAC. Kiedy zatem po kilku latach bojaźliwych wahań zacząłem na serio pracować nad tą książką, ponownie poprosiłem Blancę, żeby opowiedziała mi o Marcu. Mówię, że ponownie, bo siostra raz mi już o nim opowiadała wkrótce po wybuchu skandalu, podczas obiadu, który zorganizowałem u siebie w domu i w którym wzięli udział właśnie ona, moja żona i syn, a także dwoje moich kolegów z uniwersytetu, Anna Maria Garcia i Xavier Pla. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy o sprawie. Teraz poprosiłem, żebyśmy, bez pośpiechu, do niej wrócili i tak w początkach lutego 2013 roku, pewnej soboty wczesnym popołudniem, spotkaliśmy się w kafeterii w Geronie opodal domu mojej matki, żeby przy piwie porozmawiać o Marcu. W rozmowie nie uczestniczył Raül, bo biegał właśnie po parku La Devesa, ale wzięła w niej udział moja żona, Mercè, od początku tak samo zainteresowana historią Marca jak Raül; w odróżnieniu od Raüla Mercè nie znała Marca osobiście, mimo że miała pewnie okazję poznać go w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy należała do CNT i była piękną młodziutką anarchistką zaintrygowaną starymi anarchistami, takimi jak Marco. Co do mojej siostry Blanki, to była kobietą ze stali, przeżyła dwie burzliwe separacje, malowniczą gromadę kochanków i dwie śmiertelnie groźne choroby – zapalenie wątroby typu C i zapalenie jelita grubego – które skazały ją na torturę kilku ratujących życie operacji i długie pobyty w szpitalach.

– Przez jakieś dziesięć lat byliśmy w stałym kontakcie – zaczęła opowiadać tamtej soboty Blanca.

Siedzieliśmy we troje przy stoliku w kawiarnianym ogródku: po obu naszych stronach grupki rozmawiały i sęczyły lekkie drinki, a naprzeciw nas, na placu Pau Casals, młodzi rodzice ze

swymi małymi dziećmi huścali się na huścawkach, korzystając z pięknego zimowego słońca; chińska rodzina dzierżawiąca kafeterię dwoiła się i troiła, żeby obsłużyć klientów. – Stałym i bardzo dobrym, naprawdę – ciągnęła Blanca. – Szczególnie od chwili, kiedy zostałam wiceprzewodniczącą i przedstawicielką FAPAC w Geronie, to znaczy miałam taką funkcję jak Marco w Barcelonie. Wtedy zaczęliśmy się często widywać i nie było właściwie dnia, żebyśmy nie rozmawiali ze sobą przez telefon. Niech ludzie mówią, co chcą, ale dla mnie to był zawsze świetny facet, bardzo energiczny, zabawny, wesoły, czarujący. Sypał dowcipami. Starał się zjednać sobie każdego, a szczególnie kobiety. Lubię mężczyzn, którzy lubią kobiety, ale nigdy nie widziałam mężczyzny, który lubiłby je tak jak Marco. Choć najbardziej lubił grać pierwsze skrzypce.

– Tak – wtrąciłem – Marco bardzo lubi znaleźć się w kadrze.

– Lubi to za mało powiedziane: on za tym szaleje – roześmiała się moja siostra. Pociągnęła łyk piwa i mówiła dalej: – Miał dużą władzę w FAPAC. Ale nikt mu jej nie dał w prezencie, wszyscy, którzy sprawowaliśmy jakieś funkcje, pracowaliśmy tam w wolnych chwilach, bo nikt z nas nie brał za to pieniędzy i wszyscy musieliśmy zarabiać na życie gdzie indziej; inaczej Marco: on też nie dostawał za to pieniędzy, rzecz jasna, ale był już emerytem i poświęcał stowarzyszeniu sto procent swojego czasu. Nigdy nie został przewodniczącym, choć sprawiał takie wrażenie, bo tylko on jeden miał własny gabinet w delegaturze FAPAC, a nawet miejsce parkingowe przy regionalnym Ministerstwie Edukacji, tylko on miał bezpośrednią telefoniczną linię z regionalną minister i mógł do niej dzwonić o każdej porze. Poza tym zajmował się bieżącymi sprawami FAPAC, był prawą ręką przewodniczącego. Myślę, że dla ludzi z zewnątrz,

dla tych, którzy nie byli w FAPAC i tylko się z nami kontaktowali, FAPAC to w rzeczywistości był Marco. Dla ludzi z organizacji nie, rzecz jasna. Właściwie to myślę, że uznawali go za postrzeleńca i element folkloru; nie twierdzę, że taki nie był, ale przecież miał władzę i był bardzo ważny w FAPAC. Tak to widzę. Choć, jeśli zamierzasz o nim pisać, powinieneś porozmawiać z innymi osobami, które pracowały z nim w FAPAC.

– Z wielką ochotą – odrzekłem.

– Mógłbyś porozmawiać z dwojgiem innych ludzi z zarządu z tamtego okresu. Nazywają się Montse Cardona i Joan Amézaga. Zaprzyjaźniliśmy się, pracując w FAPAC, i wciąż jeszcze widzimy się od czasu do czasu, żeby razem coś zjeść w Barcelonie. Oni też mieli dość bliski kontakt z Markiem. Jeżeli chcesz, zaproponuję im spotkanie, a ty się dołączysz.

– Świetny pomysł – potwierdziłem. – Powiedz mi, czy Marco dużo mówił o swojej przeszłości? Mam na myśli...

– Bezustannie – weszła mi w słowo Blanca. – O swojej przeszłości jako uczestnika wojny domowej, o przeszłości opozycjonisty wobec Franco, o przeszłości przywódcy CNT, o przeszłości jako więźnia obozu nazistowskiego. Sama nie wiem. To był element budowania własnego autorytetu, forma zwracania na siebie uwagi albo zdobywania przewagi, może sposób na zamykanie ludziom ust; zawsze po to sięgał, ilekroć było trzeba. Czy to nie wtedy zaczął wygłaszać w szkołach pogadanki o nazizmie?

– Wydaje mi się, że wtedy – odparłem. – Myślę, że zaczął tuż przed rozstaniem się z FAPAC, ale jeszcze przed wejściem do Amical de Mauthausen.

– Był uwodzicielem – podjęła znowu Blanca. – I uwiódł wiele osób. Przedstawiał się jako bohater, i byli tacy, którzy w to wierzyli. Myślę, że w pewnej chwili stał się nietykalny, nie tylko w FAPAC. Świetnie dogadywał się z politykami i różnymi grubymi rybami. W Generalitat go uwielbiali, a on był nimi zachwycony; pamiętam, że mówił mi: „Słuchaj, Blanquita, choć są z prawicy i nie podzielamy ich poglądów, musimy się dogadywać”. No właśnie: nie był radykałem, był człowiekiem rozsądnym i rozsądnie skutecznym, co, jak teraz o tym myślę, jest dość dziwne, bo w pracy był zaprzeczeniem systematyczności i najbardziej nieuporządkowanym typem, jakiego znałam w życiu. Nie wiem. Kiedy wybuchł ten skandal, słyszałam, jak wielu ludzi mówiło, że czuć było pismo nosem, że on im wyglądał na komedianta i że nigdy mu nie wierzyli, ale mnie się wydaje, że to tylko gadanie: prawda jest taka, że Marco wszystkich nabierał i wszyscy gładko łykali te oszustwa. Albo prawie wszyscy. Jasne, że były różne rzeczy, które rzucały się w oczy: na przykład ta jego mania, żeby zawsze zmieścić się w kadrze, jak mówisz; ale Marco nawet nie usiłował tego ukryć. A nawet jakby chciał, to nie dałby rady.

Blanca opowiedziała następującą anegdotę. Nie pamiętała, kiedy dokładnie to się wydarzyło, ale pamiętała miejsce: na ulicy Pelayo, w centrum Barcelony, skąd owego dnia wyruszała manifestacja przeciwko LOGSE, ustawie o edukacji, która została ostatecznie przyjęta w październiku 1990 roku. Manifestację zorganizowało kilka organizacji oświatowych, wśród nich FAPAC, i zanim się rozpoczęła, toczyły się dyskusje o tym, kto powinien iść w jakim miejscu, gdzie związkowcy, gdzie politycy, a gdzie przedstawiciele grup społecznych. Dyskusje ciągnęły się dobrą chwilę, a kiedy wreszcie

zdecydowano, Blanca i jej koledzy z FAPAC zorientowali się, że Marco gdzieś przepadł, i zaczęli się za nim rozglądać; wreszcie go dostrzegli: niezainteresowany ich dyskusjami stanął po prostu na czele tłumu, w pierwszym szeregu, uczepony ze wszystkich sił transparentu otwierającego manifestację, jakby się obawiał, że ktoś może mu to uprzywilejowane miejsce zabrać, i za nic na świecie nie chciał na to pozwolić.

Blanca skończyła wybuchem śmiechu. Roześmiałem się także i pomyślałem o Raülu; pomyślałem „Facet wymiata”. Mercè zrobiła nieodgadzioną minę.

– Biedny człowiek – powiedziała.

– Nie wszystkim wydaje się biednym człowiekiem – zwróciłem jej uwagę, chcąc, żebyśmy wymienili argumenty albo żeby się szerzej wypowiedziała. Potem przypomniałem jej obiad u nas w domu zaraz po wybuchu skandalu, słowa Anny Marii Garcii na jego temat i dodałem: – W gruncie rzeczy niemal wszyscy mają go za kanalię.

– A mnie się wydaje biednym człowiekiem – upierała się Mercè.

– Ja nie wspominam go jako kanalii – wyznała Blanca. – I założę się, że nikt inny z FAPAC też nie. Nie twierdzą, że to, co zrobił, nie było draństwem, ale on nie był kanalią. Przynajmniej w czasach, w których go znałam, nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Chciał tylko być w kadrze. Ale, sama nie wiem, gdy pojawiał się na przykład jakiś problem pracowniczy w FAPAC, on pierwszy bronił pracowników. Tak nie zachowuje się kanalia. – Wzięła pustą już prawie szklanę z zamiarem dopicia piwa do końca, ale nim podniosła ją do ust, spojrzała na mnie i powiedziała: – A, właśnie sobie przypomniałam. Wiesz, jakiego słowa najczęściej używał? – Wypiła piwo do końca. – „Naprawdę”

– powiedziała. I znowu się roześmiała. – „Naprawdę” – powtórzyła. – Zawsze kojarzy mi się z tym słowem.

Uświadomiłem sobie, że Blanca ma rację, ale jej tego nie powiedziałem. Odparłem:

– A mnie zawsze kojarzy się z Don Kichotem. Raülowi też, od chwili gdy go poznał. Marco jest niczym Don Kichot, bo do pięćdziesiątki prowadził szare i nudne życie mechanika zamkniętego całymi dniami w warsztacie samochodowym w Hospitalet, a po pięćdziesiątce postanowił wymyślić sobie nową tożsamość, nowe życie, żeby stać się wielkim bohaterem, zabawić się na całego i przeżyć wszystko to, czego dotąd przeżyć nie mógł. Mniej więcej tak samo jak Don Kichot.

– I kogo tym skrzywdził? – zapytała Mercè.

– To samo on mówi – odparłem. – Twierdzi, że wszyscy kłamiemy, a on przynajmniej kłamał, posługując się prawdą. Mówi, że nigdy nie powiedział niczego, co byłoby fałszerstwem. Mówi, że kłamał z dwóch powodów. I tak dalej.

– Kłamanie nie jest przestępstwem – zauważyła Mercè.

– Czasem jest – powiedziałem. – Ale nikt nie lubi, jak mu się kłamie.

– To prawda – przyznała. – Słuchaj, rozumiem, że ludzie, których oszukał, byli na niego źli: ostatecznie wpuścił ich w maliny; rozumiem nawet, że wszyscy po trosze byli na niego źli, ponieważ wszystkich nabrał. Ale nie rozumiem, dlaczego tak wściekle się na niego rzucili, przecież dookoła jest tylu drani, którzy zabijają, kradną i popełniają draństwa wszelkiego rodzaju, i nikt jakoś nic do nich nie ma, wszyscy liżą im tyłki.

Dochodziła druga po południu. Raül powinien czekać już u mojej matki, wyprysznicowany i gotowy do wyjścia na obiad, tak samo jak moja matka; pomimo to podszedłem do baru, żeby

zamówić jeszcze jedną kolejkę dla wszystkich. Gdy wróciłem i podawałem piwo Blance, powiedziała:

– Mówiłam właśnie Mercè, że Marco byłby zachwycony, wiedząc, że o nim rozmawiamy, ale nie wiem, czy byłby zachwycony słysząc, że ona uważa go za biednego człowieka.

– A ja jej mówiłam, że wszystko mi jedno, co sobie pomyśli Marco – powiedziała Mercè. – Dla mnie nadal jest biednym człowiekiem.

– Poczekaj, aż go poznasz.

– Właśnie – dodała Blanca. – Poczekaj, aż go poznasz.

Naprawdę Blanca miała rację: słowem, którego najczęściej używa Marco, jest „naprawdę”. Naprawdę to, naprawdę tamto, naprawdę coś tam jeszcze. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy tylko zacząłem z nim rozmawiać tego dnia, kiedy Santi Fillol poznał nas ze sobą w Sant Cugat, a może wtedy, kiedy Raül zaczął filmować go u mnie w pracowni, opowiadającego o swoim życiu, ale dopiero wtedy, gdy powiedziała mi o tym siostra, uświadomiłem sobie, że to wiem. W niektórych nagraniach radiowych i telewizyjnych, kiedy Marco relacjonuje oszukańczo swoje doświadczenia we Flossenbürgu, wypowiada to słowo kilka razy w ciągu kilku minut, nawet kilku sekund, jakby się na nim zawieszał. Szczególnie w latach, gdy był w Amical de Mauthausen, kiedy występował w roli bohatera i czempiona tak zwanej pamięci historycznej. Marco przedstawiał się jako apostoł ukrytej albo zapomnianej, albo nieznannej prawdy o potwornościach XX wieku i ich ofiarach. Naprawdę nie należy ufać apostołom prawdy. Naprawdę kłamcę zdradza podkreślanie prawdy, jak tchórza zdradza podkreślanie waleczności. Naprawdę wszelkie podkreślanie jest formą skrywania albo oszustwa. Formą narcyzmu. Formą kiczu.

Półtora miesiąca po naszej rozmowie na temat Marca w ogródku kawiarnianym w Geronie Blanca zorganizowała obiad ze znajomymi z FAPAC, o których wspomniała mi przy tamtej okazji. Umówiliśmy się w La Troballa, restauracji w bliskim sąsiedztwie mojej pracowni w dzielnicy Gracia, miejscu, gdzie w owym czasie często bywałem. Kiedy przyszedłem, wszyscy troje już na mnie czekali przy stoliku na patio.

Blanca nas sobie przedstawiła. Kobieta nazywała się Montse Cardona, była drobna i energiczna i miała mniej więcej tyle lat, ile moja siostra, czyli pięćdziesiąt pięć; mężczyzna nazywał się Joan Amézaga, był po sześćdziesiątce, miał siwe włosy i siwą brodę i nosił okulary w metalowej oprawce. Zanim wyszedłem z pracowni, poczytałem trochę na jego temat w internecie: był żonaty, miał dwoje dzieci, przez osiem lat pełnił urząd burmistrza Tarregi, miasteczka pod Leridą, od początku lat osiemdziesiątych należał do partii socjalistycznej albo z nią sympatyzował i był zaangażowany w politykę lokalną. Co się tyczy Montse, siostra powiedziała mi wcześniej, że jest opiekunką socjalną, mieszka z ojcem i synem w Agramunt, miasteczku jeszcze mniejszym niż Tárrega w prowincji Lérida, i że działa albo długie lata działała w organizacjach albo partiach tak skrajnie lewicowych, że było to tematem żartów mojej siostry i Amezagi. Tak czy inaczej, gdy się do nich dosiadłem, od razu zauważyłem, jak się cieszą, że znowu się spotkali.

Bez wysiłku sprowadziłem rozmowę na Marca. Właściwie ktoś o nim napomknął i od razu wszyscy troje wdali się w gwałtowną o nim rozmowę. Słuchając, jak sprzeczą się o to, czy umiał obchodzić się z ludźmi, czy czuł potrzebę uwodzenia, bycia kochanym, podziwianym i słuchanym, o jego próżność i żywołość, i jego nadaktywność, i umiejętność mówienia zawsze tego, co ludzie chcieli usłyszeć, i nieprovokowania konfliktów ani nieszukania wrogów, zastanawiałem się, czy rozmawiają o Marcu dlatego, że moja siostra powiedziała im, że chciałem takiej rozmowy, czy też rozmawiają o nim zawsze, ilekroć się spotykają, a nawet czy ich spotkania nie są aby tylko pretekstem do rozmów o Marcu, a może odwrotnie, może Marco jest pretekstem, żeby nadal się spotykać, jest tą tajemną nicią, która pozwoliła im utrzymać przyjaźń długo po opuszczeniu FAPAC. Poza tym od razu zrozumiałem, dlaczego siostra zaproponowała mi spotkanie ze swymi przyjaciółmi; rzeczywiście, jak sama zasugerowała w kawiarni w Geronie, jej pogląd na Marca i rolę, jaką odegrał w FAPAC, różnił się od ich opinii: żadne z nich trojga nie brało Marca nazbyt poważnie, wszyscy widzieli w nim postać raczej komiczną – co kompletnie odstawało od śmiertelnie poważnego oglądu Marca przez ludzi z CNT oraz z Amical de Mauthausen – ale Blanca uważała, że Marco odegrał zasadniczą dla FAPAC rolę, podczas gdy Amézaga i Montse uważali, że nie albo nie tak bardzo.

– Enric był wiceprzewodniczącym FAPAC – przypomniał mi Amézaga. Zdążyli nam już podać pierwsze danie, choć ja byłem tak skupiony na rozmowie, że nie pamiętam, co zamówiliśmy i nie zapisałem tego w notesie. Pamiętam, że oni ugasili już pierwsze pragnienie piwem i teraz byli przy winie i że ja nie piłem ani wina, ani piwa. – Wiceprzewodniczącym i delegatem

na Barcelonę. My dwoje – dodał, wskazując na Montse i na siebie – byliśmy tylko przedstawicielami prowincji Lérida w radzie.

– A ja byłam wiceprzewodniczącą i delegatem na Geronę – uzupełniła Blanca. – Ale Marco wyróżniał się najbardziej i wszędzie go było pełno, wszyscy uważali go za przewodniczącego.

– Byłby taką funkcją zachwycony – powiedział Amézaga.

– Jesteś pewien? – zapytała Blanca.

– Całkowicie – odparł Amézaga. – I była czymś logicznym, bo przecież poświęcał sprawie najwięcej czasu i najwięcej pracował. Poza wszystkim był emerytem i nie miał nic lepszego do roboty. Problem w tym, że nie nadawał się na przewodniczącego, brak mu było zdolności i umiejętności podejmowania decyzji czy oceny sytuacji, no, w ogóle nic z tych rzeczy: jednego dnia mówił jedno, a następnego coś wprost przeciwnego. W rzeczywistości jego zdanie się nie liczyło, ani wewnątrz, ani poza FAPAC. Przecież znasz Enrica – dodał, zwracając się do mnie: – Totalny chaos.

– To prawda – wtrąciła się Montse. – Jedną ze spraw, które najbardziej zwracały moją uwagę, był jego całkowity ideologiczny zamęt. Niby był anarchistą, ale nagle wyskakiwał z jakimiś neoliberalnymi albo ultraliberalnymi propozycjami. Nie miał jasnych kryteriów, nie było też całkiem jasne, czego właściwie chce, zgadzał się na bezsensowne rozwiązania administracyjne, nigdy nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać.

– Rzeczywiście – powiedział Amézaga. – Dlatego też nigdy się nikomu nie sprzeciwiał ani o nic nie walczył. Jak powstawał jakiś konflikt, robił unik. Gadał i gadał bez końca, ale nikt nie wiedział, o czym mówi, albo mówił o niczym. Nie był nawet dobrym administratorem.

– Tu się nie zgadzam – powiedziała Blanca. – Uważam, że robił to dość rozsądnie. Nie tak dobrze jak my, rzecz jasna, ale...

Wszyscy się roześmiali. Nie mogłem do nich dołączyć, bo jadłem, piłem i równocześnie robiłem zapiski.

– Nie, mówię serio – podjęła znowu Blanca. – Mówiłam to już kiedyś bratu: Enric to był FAPAC, zajmował się bieżącą robotą, ani przewodniczący, ani kierownik administracyjny nic nie robili bez niego, pracował na okrągło, zawsze mógł zadzwonić do regionalnej minister edukacji. Wiecie, że nawet miał mieszkanie w siedzibie lokalnego ministerstwa?

– Nie wiedziałem – powiedział Amézaga.

– Nie – powiedziała Montse – ale wcale mnie to nie dziwi.

– Mnie też nie – dodał Amézaga. – W każdym razie nie widzę sprzeczności Blanquita: tak, Enric mógł praktycznie mieć władzę, dla wielu mógł być twarzą FAPAC i wszędzie go było pełno; to możliwe, zresztą wiesz to lepiej niż my, bo przecież widywałaś go i rozmawiałaś z nim dużo częściej. Ale to nie znaczy, że się z nim liczone, że zwracano uwagę na jego zdanie albo że w ogóle miało ono jakieś znaczenie w FAPAC: naprawdę nie miało żadnego. Pamiętacie spotkania CEAPA?

To było pytanie retoryczne i zaraz zaczęli wspominać doroczne madryckie kongresy Hiszpańskiej Konfederacji Stowarzyszeń Rodziców Uczniów, czyli CEAPA; wszyscy troje kilkakrotnie brali w nich udział razem z innymi osobami z zarządu FAPAC, oczywiście włącznie z Markiem, którego, jak opowiadali, nie dopuszczano zwykle do głosu przez cały zjazd, a jak już jakimś cudem udało mu się coś powiedzieć, to nikt go nie słuchał. Przerwałem ich żartobliwe wspominki, pytając Amezagę, jak sobie tłumaczy fakt, że Marco dotarł w FAPAC tam, gdzie dotarł, i że przez tyle lat sprawował funkcję, którą sprawował.

– No cóż, przykro mi to mówić, ale nie trzeba być geniuszem, żeby dostać się do zarządu FAPAC – powiedział, podczas gdy Blanca i Montse znowu się roześmiały. – Bardziej mnie dziwi, że zdołał zostać sekretarzem generalnym CNT, nie sądzicie?

– Absolutnie się zgadzam – przytaknęła Montse.

Amézaga dodał:

– Ale właściwie, jak się weźmie pod uwagę, czym była wtedy CNT...

– Absolutnie się nie zgadzam – przerwała mu Montse.

Tym razem wszyscy roześmiali się równocześnie, a ja zauważyłem, że staliśmy się główną atrakcją patia restauracji La Troballa.

– No, tak czy inaczej – ciągnął Amézaga, zanadto rozbawiony albo zanadto pochłonięty rozmową, żeby zauważyć skupione na nas spojrzenia – wiesz, jak Enric wszedł do zarządu FAPAC?

Odpowiedziałem, że wiem, a przynajmniej tak mi się wydaje. Rozmawialiśmy o zgromadzeniu w Cocheras de Sants i o zgromadzeniu w La Sedeta pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy Marca wybrano. Amézaga powiedział mi, że był na obu spotkaniach, ale nie skorygował mojej wersji ich przebiegu.

– To było jak zdobycie Pałacu Zimowego – podsumował. – A kiedy zdobywa się Pałac Zimowy, to wszystko może się zdarzyć, nawet że ktoś taki jak Enric wejdzie do zarządu.

Wypowiedź Amezagi była tak kategoryczna, że na chwilę przy stole zapadła cisza. Oni skorzystali, żeby napić się wina, ja dokończyłem drugie danie, a może to był deser.

– Cisza jak makiem zasiał – westchnęła Montse.

Nim któreś z trojga zareagowało, zapytałem Montsę i Amezagę o to samo, o co miesiąc wcześniej pytałem Blancę: czy

Marco dużo mówił o swojej przeszłości. Odpowiedzieli tak samo: bezustannie.

– Ale nikt z nas się nie zastanawiał, czy mówi prawdę, czy kłamie, jeżeli o to ci chodzi – dodał Amézaga. – Wszyscy myśleliśmy, że Enric już taki jest i tyle. Prawda, Blanquita?

Nim Blanca odpowiedziała, ubiegła ją Montse.

– Ja nigdy nie wierzyłam w to, co opowiadał Enric – powiedziała.

– Jasne – zauważyłem z przekąsem, mając w pamięci zastrzeżenie Blanki. – Teraz, kiedy wiadomo, że kłamał, że był oszustem, wszyscy tak mówią.

– Jasne – powtórzyła Montse, śmiejąc się i wzruszając ramionami. – Ale ja tak myślałam już wtedy. Możesz mi wierzyć albo nie, ale to prawda. Słuchaj – dodała – w tamtych czasach miałam dużo do czynienia ze starymi działaczami lewicy, ludźmi, którzy walczyli na wojnie i w podziemiu. A Marco nie był taki jak oni.

– Dlaczego nie?– zapytałem.

– Bo nie – odpowiedziała Montse. – Był zanadto energiczny, za dużo mówił o swoich wyczynach, przesadzał z tymi opowieściami. A starzy działacze mówili naprawdę niewiele: to byli milczący ludzie, starsi od niego, nie czerpali siły ze swoich dawnych nieszczęść. Marcowi natomiast usta się nie zamykały. Nie twierdzę, że nie słuchałam z zainteresowaniem o jego przygodach, to byłoby kłamstwo; naprawdę były bardzo zajmujące. Ale przyjmowałam je z dobrodziejstwem inwentarza; to tak, jak mówił Joan: Enric już taki był, słuchało się go jak kogoś, kto opowiada film. Ja tak go widziałam: jak faceta, który opowiada filmy, żeby nas zabawić. I był zajmujący i zabawny, jeszcze jak! Ale nic ponadto. Poza tym, i chcę to podkreślić,

politycznie był dziwny; niby należał do partii lewicowych, ale to, co mówił, nie było lewicowe, a już na pewno nie pasowało do przywódcy CNT.

– Ja widziałem w nim spryciarza – wyjaśnił Amézaga – faceta, który ocalał i który od dzieciństwa musiał sam o siebie zadbać i wiedział, jak to zrobić. Nie znoszę taniej psychologii (czasem tej drogiej również), ale zawsze miałem wrażenie, że Enric przeżył bardzo ciężkie chwile w dzieciństwie i wczesnej młodości, że straszliwie brakowało mu miłości, uczucia, i starał się z tym uporać tak jak umiał.

– Pragnął, żeby ludzie go kochali – wsparła go Montse – żeby go kochali i podziwiali. Nie znosił być jak powietrze, niezauważanym.

Wtedy Blanca przypomniała im zdarzenie, o którym opowiadała już w kawiarni w Geronie i przy którym oni też byli obecni, kiedy to Marco zawieruszył się gdzieś w trakcie ostatnich przygotowań do manifestacji w Barcelonie i po długich poszukiwaniach znaleźli go w końcu uczepionego transparentu, który miał otwierać protest. Spanikował wtedy, że nie zmieści się w kadrze. Znowu się roześmiali, tym razem gromkim śmiechem, i wtedy zdałem sobie sprawę, że Montse i Amézaga śmiali się z Marca z sympatią, podobnie jak wcześniej Blanca.

– To właśnie usiłowałam ci powiedzieć poprzednim razem – tłumaczyła Blanca, kiedy zwróciłem im na to uwagę. – Enrica się lubiło.

– Wszyscy go lubiliśmy – potwierdziła Montse. – Jak moglibyśmy go nie lubić? Był uroczy, bardzo zabawny, serdeczny, opowiadał fantastyczne historie. Krótko mówiąc, był jedną z tych osób, którym się wszystko wybacza, cokolwiek nabroją, jak dziecku.

– Wiem, że to, co mówi Montse, brzmi dziwnie, ale tak jest – powiedział Amézaga, szukając mojego wzroku, podczas gdy ja zapisywałem to, co powiedzieli, i szykowałem się do notowania dalszego ciągu, czyli tego: – Powiem ci to jaśniej, Javier. Dla mnie Marco zgrzeszył śmiertelnie, mówiąc te wszystkie kłamstwa, ale gdyby teraz się tu pojawił, ucieszyłbym się na jego widok, uściskałbym go i zjadłbym z nim obiad; a kogoś innego nie chciałbym więcej widzieć za jakiś drobny grzeszek. Pamiętam ten dzień, kiedy wybuchł skandal. Gdyby chodziło o kogoś innego, pomyślałbym pewnie: „Co za łajdak, żeby tak nakłamać”. Ale chodziło o Enrica i pomyślałem: „Kurwa, ale zrobił numer. Jak on się z tego wykaraska?”. Mniej więcej. Jasne, jeśli mam być szczery, to specjalnie się nie zdziwiłem. Nie żebym sobie wcześniej wyobrażał, że te wszystkie opowieści o obozie to bujda, nie, ale nie zdziwiłem się, że tak właśnie jest. Nie, bo to on je opowiadał. Nagle wszystko mi się złożyło w całość, prawie wydało mi się normalne. Ale to była moja reakcja; rozumiem, że ludzie mogli zareagować inaczej. Pamiętam, że wkrótce po wyjściu na jaw jego oszustwa spotkałem młodego chłopca, który wcześniej towarzyszył Marcowi przy jakiejś oficjalnej okazji, na jakiejś konferencji czy czymś podobnym, i miał dla niego wielki podziw. Ten chłopak zaczepił mnie na ulicy i powiedział kompletnie zdruzgotany, że nie może w to uwierzyć: „W kółko o tym myślę”, powiedział.

– Ja też przypominam sobie tamten dzień – odezwała się Blanca. – Pamiętam, że zadzwoniłam do niego do domu i powiedziałam: „Enric, co się stało?”. A on mi na to: „No tak, kochana, pomyliłem się, ale wszystko wyjaśnię”.

– Ja zareagowałam podobnie – powiedziała Montse. – Choć do niego nie zadzwoniłam, to cała sprawa mnie nie zdziwiła. Wiem,

wiem, znowu mi powiesz, że łatwo tak mówić po fakcie, ale naprawdę zawsze myślałam, że tak się może zdarzyć, zawsze to przeczuwałam, zawsze się bałam o Enrica i o to, jak skończy. Nie chodzi mi tylko o to, że nie wierzyłam w to, co mówi; po prostu Enric, sama nie wiem, był ponad własną miarę, znajdował się w miejscu, które mu się nie należało, zanadto poszybował w górę, był niczym balon, który może w każdej chwili pęknąć. Było mi go żal, naprawdę. I było mi też żal, że w taki sposób odszedł z FAPAC: nie wiem jak wy, ale ja odnoszę wrażenie, że wcale nie odszedł dlatego, że jego córki dorosły i już nie było tam dla niego miejsca. Odszedł, bo ludzie mieli go dosyć, już go nie chcieli.

Nikt nie przyłączył się do opinii Montse i nikt nie zgłosił sprzeciwu, może z powodu słów Amezagi, który spostrzegł, że zostaliśmy sami na patio restauracji La Troballa. Blanca uparła się, że zapłaci rachunek, i po wyjściu z restauracji wszyscy czworo ruszyliśmy spacerem w stronę mojej pracowni. Dopiero wtedy Amézaga wskazał na mój notes i zapytał, czy mam zamiar napisać książkę o Marcu; Blanca i Montse nie słyszały go, bo szły przed nami. Powiedziałem Amezadze, że mam taki zamiar.

– To wstrzymaj się z jej wydaniem, dopóki on żyje – powiedział.

– Nie martw się – uspokajałem. – Marco wie, że mam zamiar napisać prawdę; taki zawarliśmy układ. I wie także, że ja nie mogę go zrehabilitować. Choćbym chciał, nie mógłbym tego zrobić.

– Nie o to mi chodziło – wyjaśnił Amézaga. – Znając Enrica, nie sądzę, żeby chciał rehabilitacji, między innymi dlatego – jestem tego pewien – że on sam się skazał i dobrze o tym wie.

Nie. On chce tylko, żebyś napisał o nim całą książkę i w miarę możliwości grubą. To go uszczęśliwi i, szczerze mówiąc, wcale nie uważam, żeby zasługiwał na taką radość.

Amézaga zamilkł, a ja przypomniałem sobie, co kilka lat wcześniej powiedziała mi Anna Maria Garcia, kiedy wyczuła, że chcę napisać książkę o Marcu. „O Marcu wcale nie należy mówić – powiedziała wówczas. – To będzie najgorsza kara dla tego ucieleśnienia pychy”. Amézaga ciągnął wątek:

– Choć, jak się nad tym zastanawiam, to może nieprawda: pewnie z jednej strony Enric pragnie, żebyś napisał tę książkę, ale z drugiej strony boi się tego, myśli, że twoja książka może być dla niego ostatecznym wyrokiem, gwoździem do trumny.

Na jednym z rogów ulicy, przy której mam pracownię, jest irlandzka tawerna. Blanca i Montse zaproponowały, żebyśmy weszli, Amézaga przystał na to, a ja się z nimi pożegnałem. Nagle poczułem ukłucie zazdrości, nie wiem, czy wyobraziłem sobie, że zaczynają wesołą zabawę, czy raczej pomyślałem sobie, że nadal będą mówić o Marcu, choć mnie już z nimi nie będzie (albo właśnie dlatego). Nim odszedłem, zadałem im głupie pytanie, którego wcześniej nikomu nie zadałem, a od dłuższego czasu chciałem je zadać im: zapytałem, czy w ich mniemaniu Marco był zwyczajnym czy nadzwyczajnym człowiekiem. Wszyscy troje wykrzyknęli razem:

– Nadzwyczajnym!

Wszedłem do pracowni, myśląc, że nie muszę zapisywać tej odpowiedzi w notesie.

CZĘŚĆ TRZECIA

LOT IKARA

Kiedy zdarzyło się to pierwszy raz? Kiedy Marco powiedział po raz pierwszy, że był więźniem obozu we Flossenbürgu? I gdzie to powiedział? I komu to powiedział? Dokładnie nie wiem; nie sądzę, by nawet sam Marco to wiedział. Wszystko jednak wskazuje, że musiało się to zdarzyć około 1977 roku.

Marco miał wtedy pięćdziesiąt sześć lat i już od dłuższego czasu kłamał na temat swojej przeszłości, a co najmniej upiększał ją i wygładzał, mieszając prawdy i kłamstwa. Franco nie żył od dwóch lat i cały kraj wymyślał się dogłębnie na nowo; Marco też: już wcześniej wyposażył się w życiorys opozycjonisty zwalczającego frankizm, zmienił nazwisko, żonę, dom, miasto i właściwie zmienił zajęcie, bo jakkolwiek nadal był mechanikiem, to przede wszystkim działał jako przywódca związkowy CNT. Studiował wówczas historię na Uniwersytecie Autonomicznym i pewnego dnia trafił na książkę zatytułowaną *La deportación*, wydaną w 1969 roku przez wydawnictwo Petronio. Była to tłumaczona z francuskiego praca przeglądowa na temat obozów nazistowskich. Jeden z rozdziałów książki traktował o Flossenbürgu; w rozdziale było kilka zdjęć obozu: baraków i wież strażniczych, więźniów pracujących w kamieniołomie, pieca krematoryjnego, reichsführera Heinricha Himmlera wizytującego obozowe instalacje. Jedno z tych zdjęć zwróciło uwagę Marca. Przedstawiało pomnik upamiętniający zmarłych w obozie więźniów, ich liczbę i narodowości; Marco zauważył wśród nich przedstawicieli większości narodów Europy, ale przede wszystkim zauważył Hiszpanów i że było ich bardzo niewiele, tylko czternastu. To była mylna informacja, ale

jakkolwiek szczególnie ten jest istotny dla Historii pisanej dużą literą, to dla naszej skromnej historii nie ma większego znaczenia. Ważne jest, że ujrawszy to zdjęcie, Marco wyczuł instynktownie niezawodnym nosem kłamcy eksperta, że ta mała liczba hiszpańskich ofiar pozwalała mu właściwie bezkarnie zmyślić historyjkę o swoim pobycie w tym drugorzędnym obozie koncentracyjnym, o którym nigdy wcześniej nie słyszał, ponieważ możliwość, że ktoś będzie mógł zadać temu kłam, jest bardzo niewielka. W tamtych latach Marco wiedział bardzo mało na temat obozów nazistowskich, ale wiedział trzy zasadnicze dla swego oszustwa rzeczy: po pierwsze, że niemal wszyscy w Hiszpanii wiedzieli na ten temat jeszcze mniej niż on, po drugie, że w obozach koncentracyjnych przebywało bardzo niewielu Hiszpanów, i po trzecie, że ogromna większość z nich siedziała w obozie Mauthausen. Wiele lat później Marco zapewniał mnie, że ujrawszy wspomniane zdjęcie, postanowił podać się za więźnia Flossenbürga, żeby upomnieć się o pamięć owych czternastu hiszpańskich ofiar, o których nikt nie pamiętał. Brednie. Marco postanowił podawać się za więźnia obozu we Flossenbürgu, bo nie oparł się pokusie dodania kolejnego rozdziału do swego pracowicie od lat tworzonego życiorysu bohatera antyfrankisty.

Dodał go bezzwłocznie. Powtarzam: nie wiem, komu pierwszemu powiedział to kłamstwo, czy była to jego właśnie zdobyta nowa żona, z którą przeprowadził się do miasteczka Sant Cugat, czy byli to jego towarzysze z CNT albo koledzy z uniwersytetu, których dopiero sobie zdobywał; wiem natomiast, że tego samego roku dwaj mężczyźni piszący wspólnie książkę o republikanach hiszpańskich wywiezionych do obozów nazistowskich usłyszeli o Marcu jako jednym z takich republikanów i pojechali się z nim spotkać. Ich książka była

pierwszą, przynajmniej pod względem dokumentalnym i historiograficznym, publikacją na ten temat (albo prawie: tego samego roku pisarka Montserrat Roig napisała obszerny reportaż, ograniczając się jednak do więźniów katalońskich); autorzy nazywali się Mariano Constante i Eduardo Pons Prades. Constante był komunistą i byłym więźniem obozu koncentracyjnego Mauthausen; Pons Prades był anarchista i płodnym pisarzem, a nasz człowiek znał go z CNT, bo Pons Prades należał do związku zawodowego zrzeszającego ludzi wolnych zawodów. To jemu Marco opowiedział swoją historię. Zrobił to z właściwą sobie zręcznością, przeplatając w niej szczegóły prawdziwe i zmyślane, ale przede wszystkim zachowując ostrożność, bo nie miał jeszcze dość czasu ani nie był szczególnie zainteresowany tworzeniem sobie biografii deportowanego, kondycji mało jeszcze wówczas zyskowej w Hiszpanii, a zatem nie mógł kłamać bezpiecznie i ze znajomością rzeczy. W relacji Ponsa Pradesa Marco wspomina właściwie tylko jednym zdaniem o swoim pobycie w obozie jako takim, ale jest to zdanie piekielnie zręczne, pomyślane tak, by go zabezpieczyć albo być dla niego kołem ratunkowym na wypadek istnienia ewentualnych świadków: „Byłem we Flossenbürgu bardzo krótko, a ponieważ przenosili mnie z miejsca na miejsce i trzymali w całkowitej izolacji, nie mogłem z nikim nawiązać kontaktu”. Resztę tego bardzo krótkiego tekstu już znamy: opowiada o jego fikcyjnym udziale w UJA po zakończeniu wojny, o fikcyjnym potajemnym wyjeździe z Hiszpanii, o fikcyjnym aresztowaniu w Marsylii i fikcyjnym pobycie w podobozie obozu Flossenbürg; mówi także o udziale w wojnie domowej i pobycie w więzieniu w Kilonii, czyli o prawdziwych wydarzeniach, ale polakierowanych przez Marca warstwą bohaterstwa i sentymentalizmu.

Książka Ponsa Pradesa i Constantego ukazała się w 1978 roku; tego samego roku Pons Prades włączył skrót relacji Marca do swego pionierskiego artykułu na temat hiszpańskich republikanów w obozach nazistowskich opublikowanego w piśmie „Tiempo de historia”. Marco nie był pewnie szczególnie zadowolony z żadnej z tych dwóch wersji i to nie dlatego że nie oddawały wiernie tego, co powiedział Ponsowi Pradesowi; musiały mu nagle uświadomić, że popełnia błąd. Pojawiał się w kadrze, ale zdjęcie było bledziutkie i niepewne. W tamtej chwili zbiorowej metamorfozy wszyscy w Hiszpanii znali siłę przeszłości, a Marco znał ją lepiej niż inni, ale dokonał właśnie recyklingu części swojej prawdziwej przeszłości – pobytu w Kilonii w charakterze dobrowolnego robotnika w latach czterdziestych – nie panując nad nią dostatecznie, by zbudować sobie na jej podstawie solidną przeszłość fikcyjną. Nie ma wątpliwości, że Marco wstydził się już swego dobrowolnego pobytu w hitlerowskich Niemczech, ale w tej konkretnej chwili musiał się zastanowić, czy ten epizod, szczególnie zaś fakt aresztowania i postawienia przed sądem, naprawdę może mu się do czegoś przydać poza okolicznościowym wykorzystaniem go w dwóch opublikowanych już relacjach. Bez głębszego zastanowienia Marco połączył w nich wszakże fikcyjny pobyt we Flossenbürgu z prawdziwym pobylem w Kilonii; musiał jednak zadać sobie wówczas pytanie, czy gdyby potrafił udokumentować swój pobyt w Kilonii, nie dałoby się łatwiej albo bardziej przekonująco sfabrykować tego związku? Czy byłoby to możliwe? Jakie zostały ślady po jego pobycie w nazistowskich Niemczech? Musiał pomyśleć, że trzeba je sprawdzić, żeby wykorzystać na swoją korzyść, ukryć je albo wymazać. Musiał sobie pomyśleć, że w każdym razie najpierw trzeba zapanować nad tą ukrytą przeszłością, a potem już zdecyduje, co z nią zrobi.

Takie przypuszczalne rozumowanie (albo inne, bardzo podobne) tłumaczy, dlaczego 12 kwietnia tegoż roku Marco zwrócił się listownie do hiszpańskiego konsula w Kilonii, prosząc o informacje na temat swego pobytu w tym mieście przed trzydziestoma pięcioma laty. List datowany jest w Barcelonie, ma nagłówek i pieczętkę CNT. Żeby nadać swej prośbie większą wagę, Marco podpisuje list jako sekretarz generalny hiszpańskiej CNT, gdy w rzeczywistości jeszcze nim nie jest: do wyboru brakowało co prawda zaledwie dziesięciu dni, ale w owej chwili był tylko sekretarzem generalnym CNT w Katalonii. Oto list:

Panie Konsulu Hiszpanii!

Pragniemy uzyskać od Pana informacje na temat Enrique Marca Batlle, narodowości hiszpańskiej, który przebywał w obozie dla robotników firmy Deutsche Werke Kiel, w miejscowości Bordesholm.

Został aresztowany przez gestapo 7 marca 1942 roku w Kilonii.

Umieszczony w więzieniu w Kilonii, ale nie pamięta dokładnej daty.

Oskarżony o spisek i zamach na Trzecią Rzeszę.

Osądzony przez sąd wojenny, ale nie pamięta dokładnej daty.

Przewieziony do kwatery gestapo, nie pamięta gdzie, pamięta tylko, że przy ulicy Blumenstrasse.

Następnie przewieziony do obozu w miejscowości Neumünster.

Przewieziony do obozu Flensburg albo Flossenbürg.

Wyzwolony przez wojska angielskie w 1945 roku.

Ponieważ cała dokumentacja z tego okresu dotycząca wspomnianej osoby zaginęła, byłibyśmy wdzięczni, gdyby dołożył Pan wszelkich starań i zdobył dla nas jakiś dokument, który pozwoli potwierdzić podane przez nas informacje, wszystkie albo choćby niektóre.

Bylibyśmy także wdzięczni za informację o aktualnym adresie Brunona i Kathy Shankowitzów, zamieszkałych w Ellerbeck, Kilonia.

Pozostajemy do pańskiej dyspozycji. Z poważaniem,

W imieniu sekretariatu komitetu krajowego

Sekretarz Generalny, Enrique Marco Batlle

PS Międzynarodowy Czerwony Krzyż uważał go w tym czasie za zaginionego.

Sądząc po tym liście, niepewność Marca co do swego fikcyjnego statusu osoby deportowanej była uzasadniona. Nie wie nawet, że Flossenbürg został wyzwolony przez Amerykanów, nie Brytyjczyków; nie wie też, jak się pisze Flossenbürg (i dlatego waha się między Flossenbürg i Flensburg, miejscowością pod Kilonią). Podkreślam trzy inne szczegóły tego listu: Marco nie zapomina o Brunonie i Kathy Shankowitzach, swoich

przyjaciołach i aniołach stróżach w Kilonii; Marco podpisuje list jako Marco, czyli tym samym nazwiskiem, które nosił, będąc w Niemczech, a nie nazwiskiem Marcos, którego używał, kiedy podpisywał ten list i był przywódcą CNT; wydaje się, że Marco chce zmienić relację o swoim pobycie w Niemczech, a przynajmniej wydaje się, że sonduje taką możliwość, aby relacja stała się bardziej spójna i żeby nie musiał ukrywać swojej kondycji dobrowolnego robotnika: kto wie, może Marco zamierza zmienić relację o swoim pobycie w Niemczech w opowieść jednego z robotników, którzy, jak on, wyjechali do Niemiec na ochotnika, ale w odróżnieniu od niego znaleźli się ostatecznie i wbrew własnej woli w obozie nazistowskim. Nie wiadomo.

Marco nie dostał odpowiedzi na swój list. Zapomniał o nim: stanowisko sekretarza generalnego CNT w tym pełnym wielkich nadziei, gwałtownych zmian i zaciekłych walk wewnętrznych czasie absorbowowało go tak bardzo, że nie interesował się niczym poza pracą w związku. Przypomniał sobie o sprawie dopiero po czterech latach (brak dowodu, że przypomniał sobie wcześniej), kiedy kończyło się przejście od dyktatury do demokracji, CNT już się rozpadła, a on sam został ze związku wyrzucony i dogorywał w jednej z grupek powstałych na skutek rozpadu, niepewny swej przyszłości, niecierpliwie rozglądając się za jakimś nowym miejscem, gdzie mógłby zainwestować swą niespożytą energię i ulżyć swojej mediopatii. W marcu 1982 roku Marco znowu napisał do konsula hiszpańskiego w Kilonii; tym razem prywatnie, bez nagłówek i pieczętek CNT, podając jako adres zwrotny swój domowy adres w Sant Cugat. Załączał kopię pierwszego listu, ponawiał wniosek o informację, uzasadniał prośbę: „Nie powoduje mną inna intencja niż zamiar udokumentowania tej części mojego życia, która nawet dla mnie

samego pozostaje spowita pewną mgłą tajemnicy”. – Potem dodawał z rezygnacją i żalem: – „Osoby publiczne skazane są na płacenie w życiu pewnych serwitutów, ja także czuję konieczność udowodnienia pewnych rzeczy i ich przyczyn”.

Tym razem Marco miał więcej szczęścia: pod koniec następnego miesiąca dostał odpowiedź od hiszpańskiego konsula w Hamburgu. List nosił datę 21 kwietnia 1982 roku. Dyplomata Eduardo Junco pisał, że nie otrzymał pierwszego listu, ponieważ w Kilonii nie ma hiszpańskiego konsulatu, a drugi list dotarł do niego tylko dzięki pruskiej dokładności niemieckiej poczty; zawiadamiał także, że od tej chwili podejmuje starania, by uzyskać potrzebne informacje. Musiał ich znaleźć niewiele. Pomimo że przez ponad rok pisał do Marca kilkakrotnie, to – jak wynika z jego listów – jedyne, co mu się udało ustalić, to fakt, że w Międzynarodowym Biurze Poszukiwań Czerwonego Krzyża w Niemczech Zachodnich nie było na jego temat żadnej wzmianki. W połowie 1983 roku korespondencja ustała: może konsul zrozumiał, że szuka na próżno albo zmęczyło go to szukanie; może Marco zmęczył się proszeniem go o nieustawianie w wysiłkach. W każdym razie jakiś czas później Marco znalazł zajęcie w FAPAC i przestał być zainteresowany prywatnym wypytywaniem o swoją prawdziwą przeszłość w Kilonii oraz publicznym wykorzystaniem swojej fikcyjnej przeszłości we Flossenbürgu.

Zainteresowanie wróciło dopiero piętnaście lat później, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Marco wiedział już wówczas, że jego dni jako wiceprzewodniczącego FAPAC są policzone – w zasadzie nie można było należeć do FAPAC, jeżeli nie miało się dzieci w wieku szkolnym, a jego jedna córka była już starsza, młodsza zaś właśnie kończyła szkołę – zdawał sobie zatem sprawę, że wkrótce będzie musiał rozejrzeć się za jakimś nowym

zajęciem odpowiednim do jego ambicji i energii. To wtedy przypomniał sobie o Amical de Mauthausen, stowarzyszeniu zrzeszającym niemal wszystkich Hiszpanów wywiezionych swego czasu do obozów i mieszkających w Hiszpanii. Od wielu lat wiedział o jego istnieniu, ale dopiero teraz zaczął przemyśliwać, jak by się do niego zbliżyć. Przedtem zajęty był czym innym; zresztą nie mógłby nawet, gdyby chciał: po pierwsze wielu dawnych więźniów pozostawało jeszcze przy życiu i mogło zdemaskować jego kłamstwo; po drugie on sam nie zdołał jeszcze stworzyć dostatecznie przekonującej postaci więźnia obozu nazistowskiego, by móc bezpiecznie skonfrontować się z innymi więźniami. Teraz nadeszła pora na zapisanie się do stowarzyszenia Amical, ponieważ żyło coraz mniej ocalonych, a i ci byli już bardzo wiekowi. Marco zabrał się poważnie do budowania postaci. Najpierw musiał mieć pod kontrolą swoją prawdziwą przeszłość w Niemczech, tak więc pod koniec 1998 roku ponownie napisał do hiszpańskiego konsula generalnego w Hamburgu. Konsul przekazał jego sprawę do działu spraw społecznych konsulatu, bo rozpoczęła się korespondencja między Markiem a szefem tego działu, José Pellicerem. Naprawdę chodziło o to, żeby Marco mógł odtworzyć swój prawdziwy pobyt w tym kraju, oficjalnie zaś o to, żeby mógł uzyskać odszkodowanie jako więzień nazizmu.

Jednakże Marco nie poprzestał na kontaktach z konsulem i w pierwszych dniach 1999 roku, w czasie noworocznego urlopu, pojechał z żoną do Niemiec i odwiedził Kilonię. To była rozczarowująca wizyta, tak przynajmniej napisał do Pellicera w liście z 7 stycznia, zaraz po powrocie do Hiszpanii. Marco poszukiwał w Kilonii tych miejsc, które pamiętał – baraków mieszkalnych w Bordesholm, stoczni firmy Deutsche Werke Werft, budynku więzienia i budynku biblioteki uniwersyteckiej –

ale wszystko zniknęło albo zmieniło się nie do poznania, z wyjątkiem dawnej kwatery gestapo, zamienionej teraz na komisariat policji. Nie pozostał żaden ślad po jego pobycie w tym mieście w latach czterdziestych ani po jego aresztowaniu i procesie: w więzieniu powiedziano mu, że wszystkie dokumenty przekazano do państwowego archiwum w Szlezwiku-Holsztynie. Na zakończenie prosił Pellicera, by ten nadal szukał, i Pellicer to zrobił; Marco natomiast zajął się konstruowaniem swojej tożsamości dawnego więźnia. Z kwietnia 1999 roku pochodzi ciekawy dokument. 25 kwietnia dziennik „La Vanguardia” opublikował list do redakcji zatytułowany *Życie jest piękne? Nie zawsze* i podpisany przez Enrica Marca. List zaczyna się stwierdzeniem, że *Życie jest piękne*, przesłodzony film Roberta Benigniego o obozach nazistowskich, nagrodzony w poprzednim roku Oscarem, sprawił na naszym człowieku nieprzyjemne wrażenie. „Mam w sobie uczucie jakiejś niezgody, której nie potrafię określić – pisał – bo mimo wszystko muszę przyznać, że mnie udało się przeżyć dzięki świadomości, że życie jest najistotniejsze, niezależnie od okoliczności, i trzeba śnić, że jest piękne, i że należało przeskakiwać ogrodzenie z drutu kolczastego i wszystkie przeszkody, gdy nie istniała możliwość realnej ucieczki”. Potem Marco przedstawia cierpienia, jakich był świadkiem i jakich sam doświadczył podczas swego fikcyjnego pobytu w obozie, a kończy hymnem ku własnej chwale i hymnem na cześć życia, podobnym do tego z filmu Benigniego: „Nadal jestem dumny, że oparłem się unicestwieniu, wygrałem tę partię, że wciąż żyję i czuję, że mimo wszystko życie jest piękne. Każde życie. Tak, to prawda, poczułem jakiś przykry niesmak, pewnie nieracjonalny u kogoś, kto doświadczył przeżyć tak zbliżonych do przesłania tego filmu. Może powinienem obejrzeć go raz jeszcze, jeżeli żołądek mi pozwoli”. Nie ma wątpliwości: Marco

przedstawiał publicznie swoją kandydaturę, by stać się ze wszystkimi honorami członkiem stowarzyszenia Amical de Mauthausen; pospiesznie też budował swoją nową postać.

Nic nie mogło być bardziej pomocne niż poznanie Flossenbürga. Pierwszy raz odwiedził to miasteczko na wiosnę 1999 roku w towarzystwie żony i przy okazji wakacyjnego wyjazdu do Pragi. Podczas przygotowań do urlopu, a może już w Pradze, Marco zwrócił uwagę Dani, że Flossenbürg – miejsce, gdzie, jak i jej powiedział, przebywał przez kilka lat jako więzień – znajduje się bardzo blisko czeskiej stolicy i zaproponował, żeby pojechali zobaczyć obóz. W odróżnieniu od odwiedzin w Kilonii wizyta we Flossenbürgu była bardzo udana, choć do Kilonii pojechał w poszukiwaniu swej prawdziwej przeszłości, a tu przyjechał w poszukiwaniu przeszłości fikcyjnej. Od wielu dziesięcioleci istniało już Muzeum Miejsce Pamięci obozu, ale nie stworzono jeszcze instytucji zajmującej się jego administracją – powstała wkrótce potem, pod koniec 1999 roku – i jedyne biuro informacyjne znajdowało się w miejskim ratuszu. Marco i jego żona zostali w nim przyjęci z wielkim entuzjazmem; nie bez powodu: co roku przyjeżdżali do obozu dawni więźniowie wielu narodowości, ale po raz pierwszy pojawił się Hiszpan.

Podczas tych pierwszych odwiedzin we Flossenbürgu Marco obszedł wraz z żoną wszystkie pozostałości obozu – był w budynku komendantury, na Appellplatz, w kuchni dla więźniów, w pralni, na placu Narodów, w krematorium – zebrał wszystkie dostępne broszury informacyjne. Po powrocie do Barcelony zabrał się do ich czytania, a raczej do przyswajania ich sobie, wraz ze wszelkimi dostępnymi informacjami na temat transportów do obozu, szczególnie zaś transportów hiszpańskich. Szybko się przekonał, że trafił w dziesiątkę. Przekonał się, że w Hiszpanii nie prowadzono wtedy poważnych badań nad

deportacjami do obozów, a już na pewno nie nad tymi do Flossenbürga, który był obozem drugorzędym i prawie zapomnianym, szczególnie w Hiszpanii, gdzie nikt lub prawie nikt o nim nie słyszał. Przekonał się, że oszustwo byłoby ryzykowniejsze, gdyby dotyczyło obozów dobrze znanych, takich jak Dachau albo Buchenwald, i praktycznie niemożliwe, gdyby dotyczyło obozu w Mauthausen, miejsca zesłania większości z ogólnej liczby prawie dziewięciu tysięcy hiszpańskich więźniów obozów nazistowskich. Flossenbürg przyjął natomiast bardzo niewielu Hiszpanów i wedle jego wiedzy żaden z nich nie pozostawał przy życiu, a więc nikt w Hiszpanii nie mógł zadać mu kłamu (nie licząc faktu, że w odróżnieniu na przykład od Mauthausen, gdzie Hiszpanie siedzieli w większości razem i znali się nawzajem, Flossenbürg miał wiele podobozów, w dodatku rozproszonych, i więźniowie często nie mieli ze sobą kontaktu). I jakkolwiek od razu przekonał się również, że jego oszustwo byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby był Żydem i gdyby podał, że przyjechał transportem z Niemiec, nie z Francji, ponieważ po deportacjach Żydów zostało dużo mniej śladów w dokumentach niż po deportacjach nie-Żydów i ponieważ w odróżnieniu od deportacji z Niemiec, te z Francji były stosunkowo dobrze udokumentowane, musiał się też szybko dowiedzieć, że niektórzy więźniowie Flossenbürga figurowali w archiwach nie pod swoim numerem i że dość znaczna ich liczba w ogóle nie figurowała w ewidencji przyjętych do obozu. Dwadzieścia pięć lat wcześniej Marco z sukcesem podał się za opozycjonistę antyfrankistowskiego w związku zawodowym, wśród którego członków nie brakło opozycjonistów antyfrankistowskich, dlatego zatem miałoby mu się nie udać, jeżeli teraz poda się za deportowanego do odległego nazistowskiego obozu w nielicznym gronie dawnych hiszpańskich

więźniów, z których dziś niewiele już pozostało przy życiu? Poza tym: dlaczego ktoś miałby chcieć go zdemaskować? Jaki miałby w tym interes? Po co?

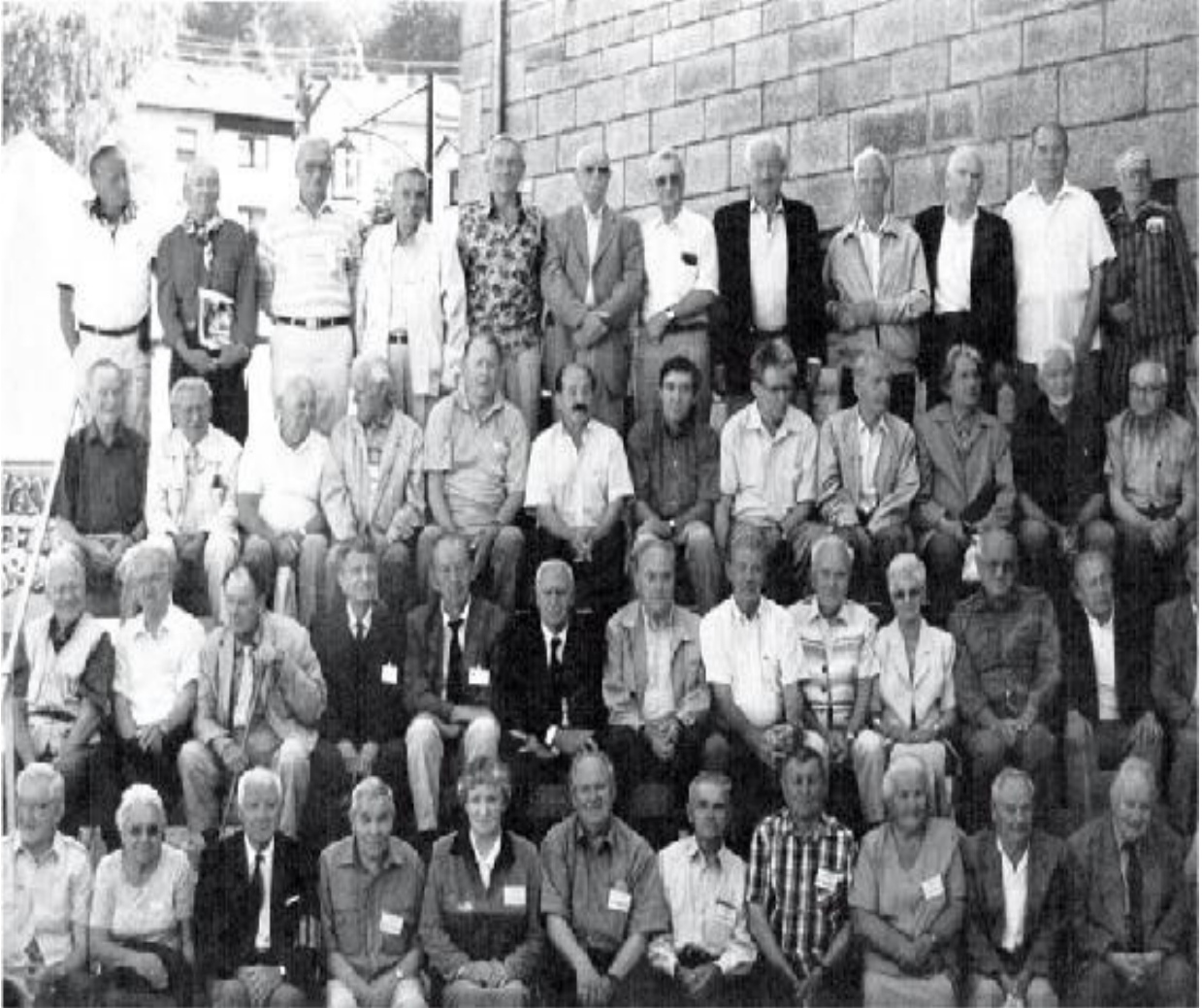
Kilka miesięcy po pierwszej wizycie we Flossenbürgu Marco pojechał tam znowu, tym razem na jedno ze spotkań dawnych więźniów odbywających się regularnie od 1995 roku w obozowym Muzeum Miejscu Pamięci. Tamtego roku spotkanie odbyło się 26 czerwca. Od tej chwili Marco stał się ich wytrwałym bywalcem. Pewnie na jednym z pierwszych poznał Johannes'a Ibela i wtedy musiało zdarzyć się to, co Ibel sobie zapamiętał.

Ibel jest historykiem. Dostał pracę w Muzeum Miejscu Pamięci we Flossenbürgu na początku 2000 roku, wkrótce po tym, jak w starym budynku komendantury zaczęła działać administracja muzeum. Przygotowywał bazę danych z pełną informacją o wszystkich więźniach, którzy przewinęli się przez obóz. Liczył, że zajmie mu to pięć lat. Od czasu swojej pierwszej bytności we Flossenbürgu Marco interesował się bardzo możliwością dokumentalnego poświadczenia swojego pobytu w obozie i jak każdemu innemu wnioskującemu o to byłemu więźniowi przekazano mu fotokopie wszystkich stron ksiąg ewidencyjnych, na których mogło figurować jego nazwisko – w tym konkretnym przypadku stron, na których naziści zapisali nazwiska więźniów hiszpańskich – uprzedziwszy go wszakże, że może się tam nie odnaleźć, bo księgi ewidencyjne są niekompletne. Ibel poznał Marca w dniu, w którym ten wręczył mu fotokopię jednej z tych stron i wskazał na jedno z nazwisk. Tu jestem, powiedział. To ja. Ibel spojrzał. Był przyzwyczajony do charakteru pisma nazistowskich urzędników z Flossenbürga i od razu dostrzegł informację: Marco wskazał na zapis o przyjęciu więźnia numer 6448, Hiszpana o imieniu Enric, ale o nazwisku Moné, nie

Marco. Zwrócił Marcowi uwagę na tę rozbieżność; Marco obstawał przy swoim i wdał się w zawiłe wyjaśnienia na temat walki podziemnej i konieczności używania fałszywych nazwisk, żeby zatrzeć za sobą ślady i zmylić wroga. Nie ma wątpliwości, zakończył, wskazując ponownie na wykaz, że to ja. Ibel przyjrzał się adnotacji: było tam napisane, że Hiszpan pochodził z Figueras, że przyjechał do głównego obozu 23 lutego 1944 roku i został z niego przeniesiony do podobozu w Beneschau 3 marca tego samego roku. Historyk przypomniał sobie wówczas (a może przypomniał sobie później), że żadna z tych informacji nie pokrywała się z danymi przedstawionymi przez Marca albo z danymi, które sądził, że zostały mu podane przez Marca, ale nie chciał się z nim sprzeczać. Powiedział tylko: Skoro pan twierdzi, że to pan, to musi być pan. Ponad wszelką wątpliwość, powtórzył Marco. To ja. Następnie zwrócił się do Ibela z prośbą o wystawienie mu zaświadczenia potwierdzającego, że był więźniem numer 6448 obozu we Flossenbürgu. Ibel zdziwił się niepomiernie. Nie mogę tego zrobić, powiedział. Dlaczego nie? – zapytał Marco. Ponieważ nie mamy pewności, że był pan tą osobą, odpowiedział Ibel, a potem dodał, wskazując na fotokopię księgi ewidencyjnej: Jeśli pan sobie życzy, możemy zrobić panu jeszcze jedną kopię tego dokumentu, ale nie wydamy zaświadczenia, że przebywał tu pan jako więzień. Marco nie mógł być szczególnie zadowolony z tej odpowiedzi, jakkolwiek musiał też zrozumieć, że nie powinien przeciągać rozmowy. Zakończył ją zatem.

Incydent ten nie miał dla Marca żadnych niedobrych konsekwencji i od tej chwili nasz człowiek wszędzie uzurpował sobie prawo do numeru obozowego Enrica Moné, który naprawdę nazywał się Enric Moner. Wszędzie, tylko nie we Flossenbürgu, ma się rozumieć. Pomimo że jego zachowanie wzbudziło chwilowe

podejrzenia Ibela – z odpowiedzi Marca na pytania o doświadczenie ostatnich dni w obozie historyk wywnioskował od razu, że Marco zna je tylko ze słyszenia – Marco nadal był zapraszany przez dyrekcję muzeum na spotkania byłych więźniów. Przyjeżdżał na nie co roku, albo prawie, sam albo z żoną, albo z hiszpańskimi przyjaciółmi lub znajomymi, brał udział w uroczystościach rocznicowych, składał kwiaty pod tablicą z nazwiskami poległych Hiszpanów, wygłaszał przemówienia, udzielał się wśród zwiedzających jako przewodnik lub wygłaszał pogadanki w pobliskich szkołach na temat swego obozowego doświadczenia. Ludzie skupieni wokół muzeum traktowali go jak jednego z byłych więźniów, a on zachowywał się tak, jakby faktycznie nim był; nawet nawiązał przyjaźń z kilkoma z prawdziwych byłych więźniów, na przykład z Gianfrankiem Maricontim – starym włoskim partyzantem, który podczas wojny walczył w swoim kraju z nazistami i, aresztowany w 1944 roku, przesiedział ostatni rok wojny we Flossenbürgu – z którym prowadził korespondencję i spotkał się kilkakrotnie w Niemczech i we Włoszech poza obchodami rocznicowymi sam albo w towarzystwie żon. Wszystko to pozwoliło mu utożsamić się z obozem, z byłymi więźniami obozu. To było pełne, radykalne utożsamienie: żeby zrozumieć Marca, trzeba zrozumieć, że w pewien sposób wcale nie udawał byłego więźnia; a przynajmniej nie udawał go od pewnej chwili: od pewnej chwili Marco stał się byłym więźniem, podobnie jak Alonso Quijano od pewnej chwili stał się Don Kichotem.



Mam przed oczyma fotografię, jednego z takich zwyczajowych spotkań dawnych więźniów Flossenbürga. Są na niej wszyscy, którzy jeszcze wówczas żyli, albo wszyscy, którzy w tym dniu mogli lub chcieli przybyć na spotkanie. To kolorowa, letnia fotografia – wszyscy mają bluzki albo koszule z krótkim rękawem, lekkie marynarki – zrobiona prawdopodobnie w lipcu, czyli w zwykłym dla takich spotkań czasie, choć nie wiem, którego roku; w każdym razie między rokiem 2000 a 2004, bo w tych latach Marco uczestniczył w spotkaniach. Nie wiem, czy widać na nim wszystkich, bo zdjęcie jest źle skadrowane i niektórzy, siedzący po prawej stronie fotografa, mogli zostać ucięci. Większość to mężczyźni, ale widać też cztery kobiety

(początkowo Flossenbürg był obozem męskim, ale pod koniec kobiety stanowiły niemal jedną trzecią wszystkich więźniów); jeden z mężczyzn, w prawym górnym rogu zdjęcia, ma na sobie obozowy pasiak; wszyscy są starzy albo bardzo starzy. Marco siedzi w samym środku, w najbardziej widocznym miejscu: szósty od lewej w drugim rzędzie od góry. Ubrany jest w niebieską koszulę z krótkim rękawem i ciemne spodnie, ręce trzyma przed sobą, ma splecione dłonie, starannie ufarbowane na czarno gęste wąsy i resztkę włosów na głowie; spogląda w obiektyw i choć zdjęcie nie jest zbyt ostre, w jego oczach i na ukrytych pod wąsami wargach błąka się uśmiech. Widać, że jest spokojny, odprężony, szczęśliwy, że jest tam, gdzie jego miejsce, wśród swoich dawnych towarzyszy niewoli. Nie wiedząc, że nie jest jednym z nich, nikt by tego nie powiedział. W rzeczywistości jest jednym z nich.

W maju 2005 roku, kiedy pojawiła się sprawa Marca, wiele osób zadawało sobie pytanie, jak ktoś taki mógł tak strasznie okłamywać tak wielu ludzi przez tak długi czas. Na skomplikowane pytania nie ma jednej odpowiedzi, lecz jest ich wiele, podobnie jak w tym przypadku. Kolejno podaję siedem.

Pierwsza odpowiedź jest oczywiście taka, że Marco to nie tylko wybitny spryciarz, krętacz jakich mało, natchniony gaduła i wyjątkowy blagier, lecz także fenomenalny aktor, „wyborny komediant”, jak nazwał go Vargas Llosa, aktor zdolny utożsamić się całkowicie z odgrywaną postacią albo się nią stać: jak w latach siedemdziesiątych Marco przestał w pewnej chwili odgrywać dawnego opozycjonistę antyfrankistowskiego i stał się opozycjonistą antyfrankistowskim, tak na przełomie wieków od pewnej chwili przestał odgrywać byłego więźnia nazistów, a stał się byłym więźniem nazistów.

Druga odpowiedź jest taka, że im potworniejsze kłamstwo, tym bardziej wiarygodne dla ogółu. Oczywiście ta leży u podstaw politycznego totalitaryzmu i nikt nie opisał jej lepiej niż geniusz totalitaryzmu, Adolf Hitler. „Masy – dowodzi Hitler w *Mojej walce* – łatwiej padają ofiarą wielkiego kłamstwa niż małego, ponieważ tworzący te masy ludzie kłamią w drobnych sprawach, ale wstydziłiby się kłamstw zbyt dużych. Taki typ fałszu nigdy nie powstałby im w głowie i nie potrafiliby uwierzyć, że inni są zdolni do tak niespotykanej bezczelności i tak nikczemnych przeinaczeń”. A skoro podkreślanie prawdy zdradza kłamcę, nie trzeba nawet wyjaśniać, że w przytoczonym

fragmencie Hitler nie bronił wielkich kłamstw, lecz je ujawniał w imię prawdy.

Trzecia odpowiedź nie jest ważniejsza od dwóch pierwszych, jest natomiast mniej oczywista. Niekiedy sugerowano, że przypadek Marca mógł zdarzyć się tylko w Hiszpanii, kraju, który ma trudności z przepracowaniem swej najnowszej historii i nie do końca ją przetrawił, w którym było też niewiele ofiar nazizmu w porównaniu z niemal wszystkimi pozostałymi krajami Europy (między innymi dlatego, że nie brał bezpośredniego udziału w drugiej wojnie światowej, jedynie był sojusznikiem Niemiec), gdzie jeszcze w początkach XXI wieku prawie nie istniały rzetelne badania na temat hiszpańskich ofiar nazistowskiego ludobójstwa i gdzie Holocaust nie zajmuje głównego miejsca w pamięci zbiorowej albo tym czymś, co zwykle się nazywać pamięcią zbiorową. Ja sam uważałem, że to prawda albo że to przynajmniej prawdopodobne, dlatego w *Ja jestem Enrikiem Markiem* napisałem, że jedną z przyczyn, które umożliwiły przypadek Marca, była „nasza relatywna niewiedza dotycząca najnowszej historii w ogóle, a nazizmu w szczególności” i dodałem: „Mimo że Marco reklamował sam siebie jako remedium na tę skazę narodową, w istocie był na nią najlepszym dowodem”.

To nie jest nieprawda, ale przynajmniej na początku nie wydaje się do końca prawdą. Bo już od samego końca wojny ludzie najróżniejszych narodowości twierdzili, że siedzieli w obozach nazistowskich, gdy w rzeczywistości wcale w nich nie byli, albo też podkręcali, ubarwiali lub wyolbrzymiali rzeczywistość swego pobytu w obozach, może dlatego, że – jak mówi Germaine Tillion – oszalały świat tych obozów wyzwalał tego rodzaju fantazje. Norman Finkelstein podaje dwie

przyczyny tego fenomenu: „Ten, kto przeżył obóz, zyskiwał aurę męczennika, wielu Żydów, którzy ich uniknęli podczas wojny, podawało się za byłych więźniów obozów. Były też powody materialne. Po wojnie rząd niemiecki wypłacał odszkodowania Żydom przetrzymywanym w gettach lub obozach. Wielu sfabrykowało sobie przeszłość tak, by z tej możliwości skorzystać”. Tylko nieliczni z tych oszustów zyskali, rzecz jasna, sławę równą sławie Marca, ale kilku go nawet przebiło lub prawie. To przypadek Jerzego Kosińskiego, którego *Malowany ptak*, fałszywe wspomnienia dziecka ofiar Holocaustu, został w 1965 roku okrzyknięty jednym z najmocniejszych oskarżeń nazizmu, zaliczony do podstawowych tekstów o Holocauście, wyróżniony wieloma nagrodami, przetłumaczony na ogromną liczbę języków i zalecany jako szkolna lektura. Albo przypadek Benjamina Wiłkomirskiego, autora głośnej, wydanej w 1995 roku książki pod tytułem *Fragmenty z dzieciństwa w czasach wojny*, w której opowiadał on o swoim rzekomym pobycie na Majdanku i w Auschwitz. Albo przypadek Hermana Rosenblata, który w fałszywych wspomnieniach zatytułowanych *Anioł przy płocie* opowiada, że jako dziecko poznał w obozie nazistowskim dziewczynkę, którą nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu spotkał wiele lat później i z którą w chwili wydania książki w 2008 roku byli małżeństwem. Albo przypadek Mishy Defonseki, Belgijki, której książka *Przeżyć z wilkami* odniosła wielki sukces w zeszłym roku, a jej autorka twierdzi, że w 1941 roku, gdy miała zaledwie sześć lat, jej żydowscy rodzice zostali aresztowani i wysłani do obozu koncentracyjnego i że ona przez cztery następne lata błąkała się po Niemczech, Polsce, Ukrainie, Rumunii i Jugosławii, aż w końcu – przez Włochy i Francję –

wróciła do Belgii, podczas gdy w rzeczywistości nie była Żydówką i przez całą wojnę nie opuszczała Brukseli.

Można by ciągnąć dalej tę listę wielkich oszustów (Deli Strummer przez dwadzieścia lat opowiadał w Stanach Zjednoczonych o swoim pobycie w obozach nazistowskich, aż w 2000 roku wyszło na jaw, że nigdy nie był ich więźniem; Martin Zaidenstadt, przedsiębiorca i człowiek sukcesu, po przejściu na emeryturę zaczął oprowadzać po obozie Dachau i prosić odwiedzających o wsparcie jako były więzień tego obozu). Wszystkie te osoby były albo są Żydami, albo twierdziły, że nimi są. To nie bez znaczenia. Jak zrozumiał sam Marco, kiedy zaczął gromadzić wiedzę potrzebną do stworzenia postaci byłego więźnia, czym innym był Holocaust – systematyczna i masowa eksterminacja milionów Żydów – a czym innym były aresztowania i deportacje, przetrzymywanie w obozach, wykorzystywanie jako niewolniczej siły roboczej i mord na setkach tysięcy nie-Żydów; nie zawsze łatwo to odróżnić, bo jedno często splotało się z drugim albo na siebie nakładało, lecz z pewnością zachowało się mniej dokumentów z Holocaustu niż z deportacji, szczególnie we wschodniej Europie, gdzie unicestwiono miliony ludzi i częstokroć nie pozostał po tym żaden zapis. Płynie z tego wniosek, że Żydzi, którzy konfabulowali, mieli ułatwione zadanie, i ci najbardziej znani oszuści istotnie byli Żydami. W wielu krajach Europy, przede wszystkim Zachodniej, trudno byłoby jednak o przypadek taki jak Marca: by nie szukać daleko, na przykład we Francji, skąd wywieziono do obozów nieporównanie więcej ludzi niż z Hiszpanii, gdzie dawni deportowani zakładali zaraz po wojnie organizacje i stowarzyszenia, obozowa przeszłość była poddawana drobiazgowej weryfikacji, a dawni więźniowie

pobierali specjalną rentę i korzystali z pewnych przywilejów. Bądźmy sprawiedliwi: wszystkie albo prawie wszystkie kraje europejskie – i prawdopodobnie ogromna większość krajów w ogóle – mają lub miały trudności z przepracowaniem swojej najnowszej historii, ponieważ żaden kraj nie może poszczycić się przeszłością wolną od konfliktów, przemocy i zdarzeń przynoszących ujmę, i ponieważ, podobnie jak Marco, narody robią także co w ich mocy, aby nie poznać samych siebie lub nie rozpoznać siebie takimi, jakimi są. Może to zatem nieprawda, że przypadek Marca mógł zdarzyć się tylko w Hiszpanii. Może. Ale nie będzie próbą folgowania tradycyjnemu hiszpańskiemu masochizmowi przyznanie, że Hiszpania była predestynowana bardziej niż każdy inny kraj w Europie do wyprodukowania przypadku takiego jak Marco – w dużej mierze z powodu czterdziestoletniej dyktatury po wojnie. W grudniu 2004 roku, kilka zaledwie miesięcy przed zdemaskowaniem Marca, ten sam Benito Bermejo ujawnił przypadek innego Hiszpana rzekomo deportowanego do obozu. Nazywał się Antonio Pastor Martínez i cieszył się prawie taką samą sławą jak Marco. O ile wiem, w żadnym innym kraju Europy nie zdarzyły się takie dwa przypadki.

I to jest ta trzecia odpowiedź, trzecia przyczyna, która pozwoliła Marcowi oszukiwać ludzi tak długo: historycznie późny początek demokracji w Hiszpanii i nasz powszechny brak zainteresowania skomplikowaną historią najnowszą Europy. Czwarta odpowiedź jest taka, że jak dobrze się przyjrzeć, Marco nie oszukał aż tak wielu ludzi, albo oszukał tylko tych łatwowiernych, albo tych, którzy chcieli być oszukani, a przede wszystkim nie oszukiwał ich aż tak długo. Pierwszy raz podał się publicznie za deportowanego w 1978 roku, w książce Ponsa

Pradesa i Mariana Constantego, ale aż do roku 1999, kiedy to pierwszy raz pojechał do Flossenbürga i wstąpił do Amical de Mauthausen, stworzona przez niego fikcyjna postać właściwie się nie ujawniała, wyjąwszy sytuacje szczególne i kameralne, niemal dyskretne, jakby wiodła utajone życie. Oznacza to, że Marco podawał się za rzekomą ofiarę deportacji nie przez prawie trzydzieści lat, jak zwykle się mówi, lecz przez zaledwie sześć: od 1999 roku do chwili ujawnienia prawdy. Co do liczby oszukanych niewątpliwie było ich bardzo wielu, ale większość stanowili uczniowie, a prawie wszyscy, włączając w to dziennikarzy, nauczycieli, historyków i polityków, nie mieli zielonego pojęcia o wywózkach albo ich wiedza była bardzo powierzchowna, nie mieli danych, które mogłyby Marca zdemaskować, ani nie zadali sobie trudu, by sprawdzić, czy to, co mówi, jest prawdą. Nie oszukał natomiast prawdziwych ofiar deportacji, przynajmniej nie wszystkie. Nie wiemy, co myśleli o nim prawdziwi więźniowie Flossenbürga – spotkali się zaledwie kilka razy i dzieliły ich bariery językowe, bardzo pomocne przy maskowaniu oszustwa – ale wiemy, że niektórzy hiszpańscy deportowani żywili wobec niego podejrzania i rozmawiali o tym w swoim gronie, zanim został zdemaskowany, że sam Marco starał się widywać z nimi jak najrzadziej i miał niezwykłą umiejętność wykręcania się od takich spotkań. Wiemy, że nigdy nie szukał kontaktu z największymi organizacjami byłych deportowanych, które miały swoje siedziby we Francji (większość byłych hiszpańskich więźniów pozostała po wojnie w tym kraju) – z francuskim stowarzyszeniem Amical ani z FEDIP (Hiszpańską Federacją Deportowanych i Internowanych z Powodów Politycznych) – wiemy także, że gdy nawiązał kontakt z hiszpańskim

stowarzyszeniem Amical, czyli z Amical de Mauthausen, pozostawało w nim już niewielu dawnych więźniów i wszyscy byli niedołączonymi starcami. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany: nic nie jest dalsze moim intencjom niż odmawianie zręczności i sprytu Marcowi, jego oszustwa były przecież nadzwyczajne; staram się tylko być sprawiedliwym tak w tym fragmencie, jak i w całej książce.

Piąta odpowiedź częściowo wyjaśnia, dlaczego żaden z prawdziwych deportowanych, którzy mieli wobec niego podejrzenia, nie zdemaskował Marca. „W przypadku publicznych kłamców zachodzi coś osobliwego, coś na kształt ochronnego milczenia – pisze psychiatra Carlos Castilla del Pino. – Niemal zawsze znajdują się ludzie, którzy mogliby ujawnić kłamstwo, ale nie ośmielają się tego zrobić. Ukryte powody tego milczenia sprawiają, że czasem takie oszustwo może przetrwać wiele lat. Ten współudział nie zawsze jest interesowny i nie mamy tu do czynienia ze współnictwem w ścisłym sensie”. Pojawia się pytanie, jakie były ukryte powody milczenia mimowolnych współników Marca; zaryzykuję dwie odpowiedzi. Pierwsza jest oczywista: w ostatnich dziesięcioleciach doszło do „sakralizacji Holocaustu” (to termin Petera Novicka); co w połączeniu z postępującym odchodzeniem świadków Holocaustu doprowadziło do ich sakralizacji, z ofiar zamienili się w bohaterów lub świeckich świętych, a nikt nie lubi być zrzędlivym malkontentem ani dotykać tak czułego punktu, a tym bardziej jeśli rzecz dotyczy uświęconego świadka Holocaustu, gdy ten odprawia swój żałobny rytuał. Druga odpowiedź jest nie mniej oczywista: jakkolwiek nie wydaje się prawdopodobne, by wśród hiszpańskich deportowanych byli inni oszuści, tacy jak Marco i Pastor, to wcale nie można wykluczyć,

że jacyś członkowie Amical de Mauthausen ulegli kiedyś pokusie ubarwienia, udramatyzowania albo wyolbrzymienia swojej przeszłości i że nikt z nich nie chciał rzucić kamieniem pierwszy.

Dochodzimy do szóstej odpowiedzi. Jest ona związana ze wspomnianą sakralizacją świadków Holocaustu lub po prostu z sakralizacją świadków. W *Ja jestem Enrikiem Markiem* napisałem, że świadek jako taki zyskał w naszych czasach tak niezmierny prestiż, że nikt nie śmie podważać jego autorytetu i że małoduszne ustępstwo wobec takiego intelektualnego szalbierstwa ułatwiło Marcowi jego występki. Mój artykuł ukazał się w „El País” w grudniu 2009 roku. Dokładnie rok później, w grudniu 2010 roku, kiedy sądziłem, że porzuciłem ostatecznie pomysł napisania o Marcu i byłem już pochłonięty inną książką, opublikowałem w tej samej gazecie inny artykuł, zatytułowany *Szantaż świadka*, który niewątpliwie pisałem z myślą o Marcu. Pisałem tak:

„Tak jest zawsze: ilekroć w dyskusji o historii najnowszej powstaje rozbieżność między wersją historyka a wersją świadka, świadek sięga po niezbity argument: A pan skąd to może wiedzieć, skoro pana tam nie było? Ten, kto był – świadek – jest posiadaczem prawdy o zdarzeniach; ten, kto przybył potem – historyk – jest posiadaczem zaledwie fragmentów, echa, cienia prawdy. Elie Wiesel, który przeżył Auschwitz i Buchenwald, ujął to lapidarnie: ocaleni z nazistowskich obozów koncentracyjnych «mają więcej do powiedzenia o tym, co się tam działo, niż wszyscy historycy razem wzięci». Wydaje mi się, że to nie jest argument: to jest szantaż świadka.

Zaczerpnałem ten cytat z Wiesela z tekstu o koniecznej obronie historii opublikowanego przez Santosa Juliá w piśmie «Claves» (nr 207). Koniecznej, ponieważ w czasie renesansu

pamięci pamięć grozi zastąpieniem historii. To niedobrze. Pamięć i historia są w zasadzie przeciwstawne: pamięć jest indywidualna, wybiórcza i subiektywna; historia natomiast jest zbiorowa i aspiruje do bycia całościową i obiektywną. Pamięć i historia są także komplementarne: historia wyposaża pamięć w sens; pamięć jest instrumentem, składnikiem, częścią historii. Ale pamięć nie jest historią. Elie Wiesel ma słuszość, aczkolwiek tylko połowicznie: ci ocaleni z obozów nazistowskich naprawdę są jedynymi, którzy doświadczyli niewyobrażalnej potworności tego diabelskiego eksperymentu; ale nie znaczy to, że go zrozumieli. Znaczą raczej, że – zajęci przede wszystkim tym, by się ratować – mogą być w najgorszej możliwej sytuacji, by go zrozumieć. Tołstoj stwierdza w *Wojnie i pokoju*, że «jednostka biorąca udział w zdarzeniu historycznym nigdy nie rozumie jego znaczenia». W jedenastym rozdziale tej powieści Pierre Bezuchow obserwuje z bliska bitwę pod Borodino; szuka tych uniesień, o jakich czytał w książkach, ale znajduje tylko totalny chaos albo, jak pisze Isaiah Berlin, «jednostki ludzkie na chybił trafił zaspokajające takie czy inne ludzkie potrzeby [...] następstwo wypadków, których źródło i konsekwencje ogólne są nie do wyśledzenia i nie do przewidzenia»^[1]. Trzydzieści lat przed *Wojną i pokojem* Stendhal stworzył podobną scenę: na początku *Pustelni parmeńskiej* Fabrizio del Dongo, zagorzały admirator Napoleona, bierze udział w bitwie pod Waterloo, ale tak samo jak Bezuchow pod Borodino, nic nie rozumie albo rozumie tylko, że wojna jest totalnym chaosem, a nie «powszechnym uniesieniem szlachetnych dusz, jak to sobie wyobrażał z odezwo Napoleona». Jasne, że świadectwa Bezuchowa i Del Donga zawierają w sobie głęboką prawdę o tym, że dla uczestników wojny jest ona tylko opowieścią pełną

zgiełku i furii, że nic nie znaczy. Ale prawda Bezuchowa i Del Donga nie jest całą prawdą. Historyk, właśnie dlatego, że nie brał udziału w bitwach pod Borodino i pod Waterloo, może pominąć milczeniem bitewny zgiełk, wpisać Borodino i Waterloo w sekwencję wojen napoleońskich, a sekwencję wojen napoleońskich w ciąg historii XIX wieku albo po prostu w historię, i tym sposobem przydać tej opowieści jakiś sens. Jeżeli nie jest naiwny (albo arogancki), nie stara się dotrzeć do prawdy absolutnej, która jest sumą niezliczonych prawd częściowych i jako taka nie jest osiągalna; ale, jeżeli nie jest nierozgarnięty (albo leniwy), historyk wie, że ma obowiązek maksymalnie przybliżyć się do tej absolutnej prawdy i może to zrobić bardziej niż ktokolwiek inny.

Historyk nie jest sędzią, ale sposób działania sędziego przypomina sposób działania historyka: jak sędzia, tak i historyk szuka prawdy; jak sędzia, historyk studiuje dokumenty, sprawdza dowody, łączy fakty, przepytuje świadków; podobnie jak sędzia historyk wydaje werdykt. Ten werdykt nie jest ostateczny: można się od niego odwołać, poprawić go albo odrzucić; ale to wciąż jest werdykt. Wydaje go sędzia albo historyk, nie świadek. Świadek nie zawsze ma rację; racją świadka jest jego pamięć, a pamięć jest ułomna i bywa interesowna: nie zawsze dobrze pamiętamy; nie zawsze udaje się oddzielić pamięć od zmyślenia; nie zawsze pamiętamy to, co się wydarzyło, lecz to, co już przypomnieliśmy sobie kiedy indziej, że się wydarzyło, albo co inni świadkowie powiedzieli, że się wydarzyło, albo co zwyczajnie jest nam wygodniej pamiętać, że się wydarzyło. Rzecz jasna świadek nie ponosi za to winy (albo nie zawsze): koniec końców odpowiada jedynie przed sobą i swymi wspomnieniami; historyk natomiast odpowiada przed

prawdą. A skoro odpowiada przed prawdą, nie może się zgodzić na szantaż świadka; musi mieć w sobie odwagę, by go odrzucić. W czasach pamięci historia dla historyków”.

Taka jest szósta i przedostatnia odpowiedź na pytanie, dlaczego Marco mógł tak długo oszukiwać tak wielu ludzi: gdy Marco odgrywał rolę ofiary deportacji, a może naprawdę stał się ofiarą deportacji, a nade wszystko czempionem pamięci o potwornościach XX wieku, w Hiszpanii – a może w całej Europie – szantaż świadka działał mocniej niż kiedykolwiek, ponieważ żyło się w czasie pamięci, nie w czasie historii.

Siódma i ostatnia odpowiedź jest taka, że w owym czasie pamięci, kiedy to bardziej niż pamięć triumfy święcił w Hiszpanii przemysł pamięci, ludzie pragnęli słuchać kłamstw, które czempion pamięci miał im do opowiedzenia. Raz jeszcze Marco był tam gdzie większość.

Marco po raz pierwszy poszedł do Amical de Mauthausen po jednej z pierwszych podróży do Flossenbürga. Amical miało wtedy swoją siedzibę na poddaszu przy ulicy Aragón 312, w dzielnicy Ensanche. Przedstawił się tam jako dawny deportowany pragnący podjąć współpracę ze stowarzyszeniem; nie wiem, z kim rozmawiał tego pierwszego dnia, ale nikt się nim specjalnie nie zajął, a on odniósł wrażenie, że go potraktowali na odczepnego. Po jakimś czasie poszedł do Amical po raz drugi, ale nie powiodło mu się lepiej. Nasz człowiek był wtedy jeszcze wiceprzewodniczącym FAPAC i kilka tygodni albo miesięcy po pierwszej nieudanej wizycie na poddaszu przy ulicy Aragón dowiedział się od swego kolegi z tej organizacji, że ten rozmawiał z jakimś członkiem Amical i że ta osoba chciała Marca poznać. Kolega z FAPAC nazywał się Frederic Lloret i był nauczycielem biologii; osoba chcąca poznać Marca nazywała się Rosa Torán, była nauczycielką historii, już wtedy albo niebawem członkinią zarządu Amical. Jest ważną postacią w tej historii.

Marco i Torán poznali się na obiedzie zorganizowanym przez Lloreta. Torán opowiadała Marcowi o Amical, powiedziała mu, że jeden z jej wujów był deportowany do Mauthausen i tam zamordowany i że ona sama dopiero niedawno zainteresowała się deportacjami i zaczęła przychodzić na zebrania stowarzyszenia. Marco opowiadał obszernie o swoim doświadczeniu więźnia Flossenbürga, mówił, że wygłosił na ten temat kilka pogadanek w szkołach średnich i pokazał Torán fotokopię listu, który wysłał właśnie do swego włoskiego

towarzysza z obozu. List był autentyczny; towarzyszem był Gianfranco Mariconti, którego Marco poznał podczas swego pierwszego spotkania z dawnymi więźniami Flossenbürga. Pięć lat później, tuż przed wybuchem skandalu, Torán opublikowała ten list w książce zatytułowanej „Nazistowskie obozy koncentracyjne. Słowa przeciw zapomnieniu”. W liście Marco pisze do swego nowego znajomego, rzekomego dawnego towarzysza niedoli, najpierw o różnicy między obozem, jaki kiedyś znał (czy też jakiego nie znał), a tym, co z niego zostało: „Dziś nie jest łatwo rozpoznać obóz. Zostało po nim akurat tyle, by nie pomylić tego miejsca z parkiem albo ogrodami zabudowań, wzniesionymi w miejscu dawnych baraków”. Pod koniec zauważa, że mając siedemdziesiąt osiem lat, powinien był już wyczerpać tkwiące w nim pokłady gniewu i nienawiści, ale daje do zrozumienia, że tak nie jest, i kończy hasłem, które będzie powtarzał przez wszystkie swoje lata w Amical, odpowiednio podkreślając jego części dużymi literami: „Przebaczyć TAK; zapomnieć NIE”.

Wszystko zmieniło się podczas następnej wizyty Marca w siedzibie Amical, aczkolwiek nie dzięki Rosie Torán, lecz za sprawą Josepa Zamory. Zamora sprawował wtedy funkcję sekretarza generalnego stowarzyszenia; był synem deportowanego, sam nie miał doświadczenia obozowego, ale walczył w hiszpańskiej wojnie domowej, potem we francuskim ruchu oporu i należał do Amical od lat osiemdziesiątych. Stowarzyszenie dosłownie żyło przeszłością, przeszłość była w nim nie przeszłością, lecz terażniejszością albo jakimś wymiarem terażniejszości, tak więc choć się nie znali, Marco i Zamora zaczęli wymieniać się doświadczeniami z przeszłości, odkryli, że podczas wojny domowej walczyli w tej samej

jednostce (26. dywizji, dawnej kolumnie Durrutiego) i od razu się zaprzyjaźnili. Marco natychmiast został członkiem Amical. Żeby formalnościom stało się zadość, w następnych dniach wypełnił stosowny kwestionariusz; jego odpowiedzi na zawarte w kwestionariuszu pytania stanowią doskonałą niemal mieszankę prawdy i kłamstwa: napisał, że urodził się 14 kwietnia 1921 roku, co jest emblematyczną datą proklamowania Drugiej Republiki, a nie 12 kwietnia tegoż roku, co jest jego prawdziwą datą urodzenia; napisał, że siedział w więzieniu w Kilonii, co było prawdą, i że był więźniem Flossenbürga, co było fałszem; napisał, że w więzieniu w Kilonii miał numer 623-23, co mogło być prawdą, choć nie potrafię tego potwierdzić, i że w obozie miał numer 6448, co było kłamstwem (jakkolwiek ten numer istniał; Marco przywłaszczył sobie numer nadany Enricowi Monerowi); napisał, że został osadzony w więzieniu 6 marca 1942 roku, co było prawdą, i że trafił do obozu 18 grudnia 1942 roku, co było kłamstwem, a także napisał, że opuścił obóz 23 kwietnia 1945 roku, co rzecz jasna również było kłamstwem (aczkolwiek to na swój sposób kolejna emblematyczna data, dzień wyzwolenia obozu we Flossenbürgu). Jedno z pytań dotyczyło powodu postawienia przed sądem; Marco podał jeden powód prawdziwy („Zdrada stanu”) i jeden fałszywy („Spiskowanie przeciwko III Rzeszy”). Na koniec należało wyszczególnić w kwestionariuszu dokumenty albo fotokopie dokumentów, które załączało się jako dowód; Marco napisał: „Wyrok sądu wojennego, dokument osadzenia w więzieniu i dokument KL Flossenbürg”.

Marco napisał, że takie dokumenty dołączył, ale naprawdę ich nie dołączył albo niezupełnie. Dołączył akt oskarżenia z procesu w Kilonii, w którym to dokumencie stwierdza się wyraźnie, że

został aresztowany i przesiedział już kilka miesięcy w więzieniu pod zarzutem zdrady stanu, ale nie załączył wyroku sądowego, w którym oczyszczono go z zarzutów i nakazywano wypuścić na wolność. Załączył fotokopię księgi ewidencyjnej obozu Flossenbürg – tę samą, której użył w archiwum Muzeum Miejsca Pamięci we Flossenbürgu, starając się, by Johannes Ibel poświadczył jego status byłego więźnia obozu – gdzie widniało napisane ręcznie imię i nazwisko Enric Moner, choć można je było wziąć za imię i nazwisko Enric Marco (albo tego się spodziewał Marco). I dołączył jeszcze jeden dokument. Nosił datę 25 czerwca 1999 roku i szczególnie dla nieznaających języka niemieckiego wydawał się oficjalnym zaświadczeniem o pobycie Marca we Flossenbürgu: składał się z jednej kartki z listą trzydziestu dwóch nazwisk osób czternastu narodowości, wśród których widniało nazwisko Marca, i drugiej kartki, zszytej z tą pierwszą i opatrzonej stemplem biura informacji byłego obozu we Flossenbürgu (na wypadek wątpliwości Marco napisał tam własnoręcznie na dole strony „Były więzień zlokalizowany”); w rzeczywistości dokument ten poświadczał jedynie jego udział w jednym ze spotkań deportowanych na terenie dawnego obozu, i wystawiło go nie biuro informacji byłego obozu, lecz jakieś biuro Ministerstwa Edukacji Bawarii. W związku z tym żaden z dokumentów dostarczonych przez Marca na dowód jego pobytu w obozie nie dowodził jego deportacji do tego obozu; jednakże albo nikt w stowarzyszeniu nie znał niemieckiego, albo nikt nie przeczytał tych dokumentów, albo przeczytał je ktoś, komu wydały się przekonujące albo przekonujące się nie wydały, ale nie chciał robić afery ani robić przykrości, i ugiął się wobec prestiżu albo szantażu świadka, nie ośmielił się powiedzieć „Nie” i wolał nic nie mówić. Jeżeli wydarzyło się to ostatnie – a mogło

przecież tak być – najprawdopodobniej ten ktoś długo potem uważał, że postąpił słusznie.

Bo gdy Marco wstąpił do stowarzyszenia Amical de Mauthausen, wydawało się, że to właśnie na niego czekali hiszpańscy deportowani, tak jak dwadzieścia pięć lat wcześniej, gdy wstąpił do związku zawodowego CNT, wydawało się, że to właśnie jego potrzebowali hiszpańscy anarchiści. Za każdym razem wstępował do organizacji znajdujące się w kryzysie. Hiszpańskie Amical powstało w 1962 roku, z pomocą bliźniaczego stowarzyszenia francuskiego, i do 1978 roku działało nielegalnie, ułatwiając głównie kontakty między dawnymi deportowanymi, między ich krewnymi, prowadząc wśród nich działalność informacyjną, zapewniając im pomoc prawną, a potem i materialną; jednakże około 1999 roku ten model działania wydawał się już niewystarczający, ostatni z ocalonych umierali albo byli już tak starzy, że nie radzili sobie z kierowaniem organizacją, tak więc Amical potrzebowało gruntownej zmiany, jeżeli nie chciało umrzeć wraz z nimi. Reorganizacja rozpoczęła się, zanim jeszcze pojawił się Marco, choć wszyscy przyznają, że nikt nie przyczynił się do niej tak bardzo jak on. Był uroczy, niestrudzony i poświęcał stowarzyszeniu cały swój czas, zaangażował się bez reszty. Ale przede wszystkim mimo słusznego wieku tryskał iście młodzieńczą energią, której inni nie mieli. Nie był też taki powściągliwy w słowach jak inni ani niechętny opowiadaniu o swych doświadczeniach obozowych; wprost przeciwnie: opowiadał o nich z największą ochotą, umiał to robić, a przynajmniej robił to tak, że ludzie go chętnie słuchali. Podczas publicznych wystąpień Marco był bardziej przekonujący niż prawdziwi deportowani. Gdy obok niego zabierali głos inni

byli więźniowie, to on skupiał na sobie całą uwagę, wzruszał i fascynował słuchaczy. Gdziekolwiek się pojawiał, musiał być w centrum uwagi. Parlament kataloński 15 listopada 2002 roku składał hołd republikanom, którzy znaleźli się na emigracji po wojnie domowej; w uroczystości wzięli udział przedstawiciele partii politycznych, ale nie przyszedł żaden z czternastu zaproszonych republikanów. Za to stawił się Marco, jako były więzień obozów nazistowskich, i pod sam koniec, przy ostatnich oklaskach, zachował się w swoim stylu, wznosząc okrzyk, który nazajutrz zapewnił mu wzmianki we wszystkich gazetach: „Niech żyje Republika!”.

Marco potrzebował tylko kilku miesięcy na udowodnienie, że może tchnąć nowego ducha w Amical. W 2001 roku mijało dziesięć lat od śmierci Montserrat Roig, pisarki silnie związanej ze stowarzyszeniem, autorki wydanej w 1977 roku pierwszej książki poświęconej katalońskim więźniom obozów nazistowskich, i zarząd postanowił uczcić jej pamięć w Palau de la Musica w Barcelonie. Dla Amical było to zamierzenie niesłychanie ambitne, by nie powiedzieć ponad siły, gdy weźmie się pod uwagę malejące fundusze i wiekowe kierownictwo stowarzyszenia. Pewnie dlatego w kwietniu tego roku dokooptowano do zarządu kilka młodszych osób, wśród nich Marco, który został mianowany sekretarzem do spraw międzynarodowych i przyczynił się do sukcesu zaplanowanego wydarzenia, oddając na potrzeby Amical swoją energię, nielimitowany czas i bliskie kontakty, jakie wyrobił sobie z katalońską administracją jako nadaktywny wiceprzewodniczący FAPAC. Te bliskie relacje tłumaczą też, dlaczego – dwa miesiące przed uroczystościami na cześć Montserrat Roig – Marco został uhonorowany przez rząd

kataloński Krzyżem Świętego Jerzego, najwyższym cywilnym odznaczeniem katalońskim, w uznaniu jego wielkich zasług dla kraju, oddanych w najbardziej nawet niesprzyjających okolicznościach. Jak głosiło oficjalne uzasadnienie, dostał je nie tylko za „wierność tradycji anarchistycznej katalońskiego ruchu robotniczego, najpierw jako szeregowy członek, a potem sekretarz generalny CNT w Katalonii” i za „niestrudzoną pracę na rzecz poprawy jakości nauczania”, lecz także za walkę z frankizmem i z nazizmem „co doprowadziło do aresztowania go przez gestapo i osadzenia w obozie koncentracyjnym”. Była to wielka chwila Marca, publiczna konsekracja w Katalonii postaci, którą wymyślił. Czy może zatem dziwić, że wielu członków Amical ujrzało w Marcu błogosławieństwo zesłane przez niebiosa, by swoim prestizem politycznego bohatera i zadziwiającą energią wyciągnął ich z biedy?

Umacniając pozycję w stowarzyszeniu, Marco doskonalił równocześnie swoją postać. To zapewne wtedy opowiedział swoją historię młodemu dziennikarzowi, Jordiemu Bassie, który pracował nad książką o katalońskich więźniach w obozach nazistowskich. Niby powiedział to samo, co dwadzieścia pięć lat wcześniej opowiedział Ponsowi Pradesowi, a jednak tekst opublikowany w następnym roku w książce pod tytułem „Wspomnienia z piekła” nie przypominał zanadto tego u Ponsa Pradesa, przynajmniej w części dotyczącej samego Marca. Gdy rozmawiał z Bassą, miał za sobą kilka wizyt we Flossenbürgu, zebrał już informacje i świadomie tworzył swoją postać ofiary deportacji, tak więc zamiast prześlizgiwać się ostrożnie nad pobytem we Flossenbürgu, jak zrobił to w rozmowie z Ponsem Pradesem, teraz chętnie się na ten temat rozwodził: opisywał obóz, zmyślał anegdoty i historyjki, przywoływał obozowy klimat

i psychiczną kondycję więźniów, sypał szczegółami na temat dat, miejsc i osób; krótko mówiąc, budował relację dużo bardziej przekonującą niż ta u Ponsa Pradesa, jak pisarz, który z czasem nauczył się fachu, rozwinął swoje możliwości i absolutnie nad nimi panował.

W tamtych latach Marco wybrał się do Flossenbürga z żoną i grupą członków Amical, wśród nich Rosą Torán. Było ich w sumie siedem albo osiem osób i pojechali busikiem. Na miejscu Marco został przyjęty przez grupę pracowników Muzeum Miejsca Pamięci, w tym dyrektora Jörga Skriebeleita, jako jeden z deportowanych, i jako taki wziął udział w uroczystościach zorganizowanych przez młodzież na cześć byłych więźniów, którzy, nawiasem mówiąc, też traktowali go jak swego. Przed tą uroczystością albo też po niej Marco i jego koledzy ze stowarzyszenia złożyli kwiaty pod tablicą upamiętniającą Hiszpanów zmarłych we Flossenbürgu i zwiedzili obóz, a nasz człowiek przywoływał z upodobaniem swoje przeżycia: tu stał mój barak, tam była kuchnia, za nią jadalnia, tu, na Appellplatz, stawaliśmy każdego ranka do apelu, tam mnie pobili, tam kogoś zamordowali. Torán szczególnie zapamiętała z tej podróży trzy rzeczy. Pierwsza, to że Marco i jego żona pojechali w pewnej chwili do miasteczka, bo byli tam chyba umówieni na spotkanie z Gianfranco Maricontim, nieprawdziwym towarzyszem z obozu i prawdziwym przyjacielem Marca, i że wrócili stamtąd wcześniej, niż zamierzali, bo jak powiedziała żona Marca, która znała już Maricontiego z poprzednich wizyt, tym razem Włoch się nie pojawił. Druga rzecz, to że będąc w obozowym archiwum, Torán poprosiła z ciekawości o pokazanie jej dokumentacji dotyczącej Marca: Torán nie pamięta, kim była osoba, do której

zwróciła się z tą prośbą, ale pamięta, że opisała jej trudności, jakie napotyka ktoś, kto prosi o potwierdzenie pobytu w obozie, wspomniała o bazie danych tworzonej przez Johannesesa Ibela, powiedziała, że po wyzwoleniu obozu Amerykanie wywieźli całą znaną dokumentację, że ta znajduje się teraz w Narodowym Archiwum w Waszyngtonie, że z nazwisk figurujących w księgach ewidencyjnych obozu sporządzają tam alfabetyczne listy więźniów i przysyłają im mikrofilmy tych list, powiedziała, że jak na razie dostali te listy do litery F, a może G, w każdym razie do jakiejś wcześniejszej niż M, tak więc nie wiedzą jeszcze, czy Marco się tam znajduje, czy nie; ta sama osoba powiedziała też Torán, że w gruncie rzeczy nie ma żadnej gwarancji, że nazwisko Marca pojawi się w dokumentach, bo najprawdopodobniej nie zawierają one nazwisk wszystkich deportowanych; poza tym Torán nie pamięta, by Marco lub ktokolwiek inny pokazał jej kopię księgi ewidencyjnej, w której było ręcznie napisane imię i nazwisko Enric Moner. Nazwisko to, jak Marco bezskutecznie usiłował przekonać o tym Ibela, było nazwiskiem używanym przez niego w podziemiu albo jego pseudonimem i mogło się pomylić z nazwiskiem Marco albo Marco byłby zadowolony, gdyby mogło się pomylić z jego nazwiskiem, dlatego załączył fotokopię strony, na której figurowało do kwestionariusza Amical, w celu zaświadczenia swego pobytu we Flossenbürgu. Trzecia rzecz zapamiętana przez Torán z tej podróży zdarzyła się jako pierwsza i jest najważniejsza, albo mnie się wydaje najważniejsza, a mianowicie podczas podróży busikiem do Flossenbürga Torán usłyszała, jak żona Marca się żali: „Nie lubię tych podróży do Flossenbürga, bo przed każdą Marco całymi nocami nie może spać”.

Wreszcie, 6 kwietnia 2003 roku, podczas zgromadzenia w Sant Boi de Llobregat – tym samym mieście na peryferiach Barcelony, w którym jego matka spędziła trzydzieści pięć lat zamknięta w szpitalu psychiatrycznym – Marco został wybrany prezesem stowarzyszenia Amical de Mauthausen. Zastąpił na tym stanowisku Joana Escuera, byłego więźnia obozu Dachau, prezesa przez dziesięć poprzednich lat. Escuer dobijał do dziewięćdziesiątki i był słabego zdrowia. Torán pamięta, że na krótko przed zgromadzeniem w Sant Boi zaprosił Marca i ją do siebie do domu, prosił ich oboje, by zadbali o stowarzyszenie i namawiał Marca, żeby zastąpił go na stanowisku prezesa, bo miał do niego pełne zaufanie i uważał, że nikt lepiej od niego Amical nie unowocześni. Ta scena jest wiarygodna. Jest też bardzo prawdopodobne, że gdyby teraz zapytać nieoficjalnie członków Amical o czasy prezesowania Marca, większość opowiedziałaby, że to był najlepszy dla stowarzyszenia okres. Oczywiście, to nie zasługa wyłącznie Marca: czas jego prezesury zbiegł się w Hiszpanii z eksplozją tak zwanej pamięci historycznej, z zainteresowaniem najnowszą historią, upominaniem się o pamięć jej ofiar; zbiegł się także z gruntownym odmłodzeniem zarządu Amical, a wśród jego nowych członków znalazła się też Rosa Torán, jako jedna z zastępczyń prezesa. Byłoby jednak małoduszne, nie mówiąc, że nieprawdziwe, negować decydującą rolę Marca przy przejściu do tego nowego etapu działalności stowarzyszenia.

Odnowione i gnane pomyślnymi wiatrami stowarzyszenie Amical osiągnęło apogeum swego znaczenia za czasów prezesury Marca. Podobnie jak w CNT i w FAPAC Marco jako szef był w Amical niezorganizowany, przykrywał brak poglądów oraz zdolności organizacyjnych rozgardiaszem wzniecanym

frenetyczną aktywnością, niepowstrzymanym słowotokiem i niestrudzoną obecnością, ale trzeba przyznać, że za jego czasów stowarzyszenie przestało być tylko skrzynką kontaktową dla deportowanych i członków ich rodzin oraz organizatorem pomocy prawnej, by stać się także ośrodkiem dokumentacji i propagowania historii. W tamtych latach Amical poszerzyło swoje kontakty z innymi podobnymi stowarzyszeniami, powiększyło i skatalogowało zasoby książkowe i prasowe, zwiększyło personel, organizowało podróże i konferencje, zyskało znaczne subwencje publiczne, podpisało ważne porozumienia z administracją publiczną i opuściło poddasze przy ulicy Aragón, przenosząc się do większej siedziby na parterze budynku przy ulicy Sils, w starej części Barcelony. Te i inne zmiany sprawiły, że w krótkim czasie z organizacji prawie nieznannej Amical stało się sławne i niemal wszechobecne, przynajmniej w Katalonii.

W tej transformacji Marco odegrał zasadniczą rolę. Był najbardziej widoczną postacią Amical, właściwie je ucieleśniał, nie tylko dlatego, że był jego prezesem i że – jako emeryt – mógł poświęcić się stowarzyszeniu ciałem i duszą, tak samo jak w przypadku CNT i FAPAC. Marco zaczął wygłaszać pogadanki, wszędzie: na uniwersytetach, w instytucjach kulturalnych, w domach starców, więzieniach, szkołach dla dorosłych i najrozmaitszych stowarzyszeniach, ale przede wszystkim wygłaszał je w szkołach podstawowych i średnich. Poprzedni prezes, Joan Escuer, podpisał w 2002 roku umowę z katalońskim rządem na roczne dofinansowanie około dwudziestu pięciu pogadanek wygłaszanych przez członków Amical w katalońskich centrach edukacyjnych. Marco każdego roku odnawiał i rozszerzał tę umowę, nie mówiąc o tym, że stał się głównym i niemal jedynym prelegentem. Gdy wybuchł

skandal, często podnoszono, że nasz człowiek obłowił się na tych pogadankach; to absurd; pomijając już fakt, że rząd kataloński płacił za pogadankę niebotyczną kwotę, coś pomiędzy sześćdziesiąt sześć i osiemdziesiąt euro – pieniądze te zasilały budżet stowarzyszenia, które zwracało prelegentowi tylko koszty dojazdu. Marco nie wygłaszał tych pogaderek dla pieniędzy, robił to z bardzo wielu innych powodów. Najważniejszy był ten, że chciał być Don Kichotem, a nie Alonsem Quijano; inaczej mówiąc, pragnął, by wszystkie dzieciaki w Katalonii kochały go i podziwiały, i żeby wszystkie miały go za bohatera.

O mały włos, a by mu się udało. Tak lubił te prelekcje, że ich wygłaszanie wprost ujmowało mu lat. Działy niczym transfuzja krwi. Marco przedstawiał się, sięgając po zawsze tę samą mieszankę kłamstwa i prawdy („Nazywam się Enric Marco i urodziłem się 14 kwietnia 1921 roku, dokładnie dziesięć lat przed dniem, w którym proklamowano w Hiszpanii Drugą Republikę”), a następnie snuł opowieść, w której używał tego zabiegu coraz częściej i obficie, ponieważ w dodatku mieszał niemal stuletni okres historii kraju z jednostkową, niemal stuletnią osobistą historią Marca, historią człowieka będącego historią kraju ucieleśnieniem, symbolem lub kompendium, człowieka, który był wszędzie i znał wszystkich (Buenaventurę Durrutiego i Josephine Baker, i Quica Sabatera i Salvadora Puiga Anticha) i który od piętnastego roku życia nie robił nic innego tylko bronił wolności, solidarności i sprawiedliwości, historią niestrudzonego opozycjonisty, który walczył po stronie Drugiej Republiki przeciw faszyzmowi i zwalczał frankizm oraz nazizm, i nie złamała go ani wojna, ani obozy koncentracyjne, ani policja Franco, zniósł mężnie wszelkie przeciwności losu, nie porzucając walki o lepszy świat; historią żołnierza wszystkich

wojen albo wszystkich sprawiedliwych wojen, który na starość postanowił dzielić się doświadczeniami, by nie zdarzyło się nigdy więcej to, co sam przeżył, by im, młodym Hiszpanom, nie trafiło się to, co w młodości przytrafiło się jemu i co w dalszym ciągu wydarzało się w wielu miejscach na świecie, w Palestynie, Iraku, w Kosowie i w Guantánamo, w Sierra Leone, i dlatego oni powinni być sprawiedliwi i wolni i czcić pamięć ofiar, i przede wszystkim pamiętać o przeszłości – „Przebaczyć TAK, zapomnieć NIE” – przeszłości własnej i zbiorowej. Często prosił ich, by po zakończeniu prelekcji poszli do rodziców i dziadków i porozmawiali z nimi, i powiedzieli im, że dość już tego milczenia i ukrywania się, i zażądali od nich, by stawili czoło prawdzie, hańbom i niegodziwościom dotąd skrywanym przez nich i przez kraj, wszystkiemu, o czym nigdy nie mówili, już czas, by się poznali albo rozpoznali w sobie tych, kim byli, ponieważ przede wszystkim należy być uczciwym wobec samego siebie i wobec własnej przeszłości, choćby była trudna i potworna, i haniebna, i upokarzająca.

To albo coś w tym stylu mówił Marco dzieciakom (i często ludziom dorosłym także), bo w gruncie rzeczy jego pogadanki nie dotyczyły historii i polityki; były nade wszystko, przynajmniej w jego odczuciu, naukami moralnymi: przywołując pamiętny epizod, kiedy to w kinie w Barcelonie odmówił wstania z miejsca, żeby odśpiewać *Twarzą ku słońcu*, albo ten inny, jeszcze bardziej pamiętny, kiedy to zaryzykował życie, wygrywając partię szachów z nieznanym litości esesmanem we Flossenbürgu, Marco mówił lub starał się powiedzieć tym dzieciakom, że człowiek, nawet upokorzony, otępiały i zezwierzęcony, potrafi w chwili ostatecznej i w odruchu nagłej odwagi odzyskać godność, choćby miał za to zapłacić życiem i że

stać na to wszystkich, i że to nas właśnie określa i nas ocala. Wspominając długie lata, kiedy to nieugięcie opierał się dyktaturze, organizując podziemną walkę i ukrywając się stale przed frankistowską policją, która mu deptała po piętach, Marco mówił albo starał się powiedzieć tym dzieciakom, że człowiek może ująć z życiem z najstraszniejszych prób i w najtrudniejszych okolicznościach, pod warunkiem wszakże, że potrafi zachować wolność, godność i solidarność. Marco przytaczał zawsze przykłady z własnego zmyślonego życia, zawsze stawiał samego siebie za wzór i tym sposobem zaskarbiał sobie widoczne uwielbienie młodych słuchaczy i umacniał postać, którą sam stworzył, utożsamiając się z nią równie silnie jak Alonso Quijano utożsamiał się z Don Kichotem.

Pogadanki cieszyły się fantastycznym wprost powodzeniem. W latach, kiedy je wygłaszał, stowarzyszenie Amical dostawało dziesiątki listów od nauczycieli, uczniów i dyrektorów szkół z wylewnymi podziękowaniami za Marca zaangażowanie, wspaniałomyślność, humanizm, za wszystko. Jeden z takich listów skierowała do członków stowarzyszenia Sofía Castillo García, nauczycielka historii w szkole średniej Abat Oliva w Ripoll; jest datowany 28 maja 2002 roku, kiedy Marco nie był jeszcze prezesem, i można w nim przeczytać, co następuje:

Szanowni Państwo!

Proszę przyjąć nasze gratulacje w związku z tym, że mają Państwo w swoim gronie ludzi pokroju Enrica Marca.

Wczoraj dał wspaniałą lekcję naszym uczniom. Lekcję historii, ale nade wszystko lekcję humanizmu i odwagi w walce o wolność.

Obyśmy mogli słuchać jego pogadań przez wiele następnych lat.

Kółko historyczne w naszej szkole i ja osobiście jesteśmy do państwa dyspozycji.

Z poważaniem

Ten przytoczony tu (a raczej przetłumaczony przeze mnie z katalońskiego) list jest znaczący; poniżej tłumaczę inny list,

przy którego czytaniu cierpnie skóra. Napisał go młody chłopak, nie wiem w jakim wieku, wiem tylko, że mieszka albo mieszkał w Anglès, miasteczku pod Geroną, i że list nosi datę 12 czerwca 2002 roku. Oto on:

Panie Enricu!

W tym liście chcę Panu powiedzieć, że Pańska wizyta w naszej szkole, za którą osobiście pragnę Panu podziękować, sprawiła, że wiele osób, poruszonych Pańską historią, zmieniło zdanie na temat ideologii i sposobu myślenia. Dziękuję Panu osobiście, bo mnie także skłonił Pan do głębokiej refleksji. Mam kłopoty w domu, ale dzięki Panu zrozumiałem, że często wyolbrzymiamy niechcący codzienne kłopoty.

Nieraz z powodu tych kłopotów chciałem ze sobą skończyć. Teraz uważam, że to najgorszy możliwy błąd. Po Pańskiej prelekcji pomyślałem: Ja mam takie głupie kłopoty, a myślę o samobójstwie, a przecież ten człowiek w tamtych latach walczył desperacko o życie.

Wszystko to sprawiło, że zmieniłem sposób patrzenia na życie. Przykładam mniejszą wagę do spraw, które wcześniej były dla mnie bardzo ważne, i przekonałem się, że tak jest najlepiej. Myślę, że warto się martwić tylko tym, co naprawdę się liczy. Może Pan nie chciał, żebyśmy akurat takie wnioski wyciągnęli z Pana prelekcji, ale nawet dla tych wniosków było warto.

Na koniec: dziękuję.

Z poważaniem

Jednak to media zrobiły z Marca politycznego bohatera, czempiona tak zwanej pamięci historycznej, by nie powiedzieć, że prawdziwego gwiazdora rocka. Marco od dawna był uzależniony od mediów, ale teraz jego uzależnienie osiągnęło niezwykle rozmiary; bo w przypadku Marca było nie tylko chorobą: media były dla niego narkotykiem: im jest go więcej, tym bardziej się go potrzebuje.

Marco miał go, ile dusza zapragnie, w latach apoteozy tak zwanej pamięci historycznej. Oprócz wygłaszanych wszędzie prelekcji wydawało się, że nasz bohater pojawia się ciągle w gazetach, w telewizji, w radiu i opowiada o swoich przeżyciach z czasów, gdy był więźniem obozu, a w tle niemal zawsze leci muzyka z filmu Roberta Benigniego *Życie jest piękne*, albo z *Listy Schindlera* Stevena Spielberga. Dziennikarze go uwielbiali, mieli fioła na jego punkcie, kłócili się o możliwość zrobienia z nim wywiadu. Inni deportowani do obozów albo skazani na emigrację, albo byli żołnierze Drugiej

Republiki, wszyscy pozostali bohaterowie tak zwanej pamięci historycznej byli w większości starcami, schorowanymi i z kiepską pamięcią, i przeprowadzenie z nimi rozmowy stanowiło drogę przez mękę: trzeba ich było ciągnąć za język, wydobywać mozolnie każdą historię i powtarzać zadawane pytania, nawet przerywać od czasu do czasu wywiad, żeby mogli pójść do łazienki albo przestali kasłać, albo odnaleźli zgubiony wątek. Marco był ich przeciwieństwem. Już na wstępie robił na dziennikarzach wrażenie swoim wyglądem, bo nie przypominał starego ramola, lecz wprost przeciwnie, nie wyglądał na swoje ponad osiemdziesiąt lat, miał sprawną, senatorską głowę, ciemne włosy i gęste wąsy, promieniował energią, miał przenikliwe spojrzenie, chrapliwy głos i łatwość wypowiedzi. Ta ostatnia cecha była zasadnicza, dziennikarze zawsze korzystają z niej najbardziej: Marco wszystko pamiętał i wszystko opowiadał, jego wypowiedź płynęła wartko, pełno w niej było barwnych anegdot, bohaterskich, przerażających i emocjonujących historii oraz dydaktycznych i wzruszających refleksji na temat solidarności i szacunku do samego siebie, cech, jakimi człowiek potrafi się wykazać w sytuacjach granicznych, a wszystko ilustrowane przykładami z jego własnego życia i opowiedziane tak chronologicznie i spójnie – szczególnie w porównaniu z opowieściami pozostałych kombatantów – że, żegnając się z nim, dziennikarze często mieli wrażenie, że Marco zrobił już za nich całą robotę i że to materiał nie tyle na krótki wywiad w gazecie albo w telewizji, ile na książkę albo cały film dokumentalny. Poza tym Marco schlebiał ich próżności: przeprowadzając wywiad z taką nadzwyczajną postacią, z tym starym żołnierzem wszystkich wojen albo wszystkich sprawiedliwych wojen, dziennikarze postrzegali

samych siebie jako dzielnych śmiałków wydobywających z zapomnienia przeszłość pominiętą przez wszystkich, o której nikt nie chciał mówić, najlepszą przeszłość swego kraju, najszlachetniejszą i najgłębiej ukrytą, i czuli, że tym samym poprzez Marca oddają sprawiedliwość i składają cześć wszystkim ofiarom przemilczanym nie tylko przez frankizm, lecz także przez demokrację, która nastąpiła po frankizmie. Marco tak od siebie uzależnił dziennikarzy, a co najmniej dziennikarzy katalońskich, że włączyli go nawet do telewizyjnego programu o obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück. „Przecież jest też historykiem”, mogli się bronić na wypadek, gdy ktoś zapytał, co w tym programie robił Marco; wykazali się większą przyzwoitością, bo przyznali: „No cóż, prawda jest taka, że on ma tyle do powiedzenia, pamięta tyle szczegółów i jest taki zaradny, że chcieliśmy go tam mieć”.

To właśnie środki przekazu, szczególnie w Katalonii, ale nie tylko tam, ostatecznie zrobiły z Marca prawdziwego *rock star* albo czempiona tak zwanej pamięci historycznej, osobę powszechnie znaną i rozpoznawaną, prawdziwego politycznego bohatera, wcielenie wszystkich przymiotów kraju, który to kraj dzięki garstce takich właśnie ludzi odzyskiwał w końcu pamięć o antyfrankizmie i antyfaszyzmie, sprytnie zachachmęconą za czasów demokracji, i stawiał je na pierwszym planie po długim milczeniu. Nic dziwnego, a może było to wręcz nieuniknione, że Marco także zrobił z siebie apostoła prawdy, przede wszystkim prawdy historycznej. To była jedna z jego zasadniczych linii w wywiadach i materiałach pisanych podczas niezliczonych prelekcji dla młodzieży i dorosłych. Marco uważał, że kraj żyje w fałszu, i obwinał za ten fałsz sposób, w jaki odbyło się przejście od dyktatury do demokracji. Transformacja, uważał,

została dokonana na kłamstwie, a także na pakcie o zapomnieniu: kraj niezdolny do tego, by poznać albo rozpoznać sam siebie, niezdolny do odważnego stawienia czoła swej przeszłości i wymierzenia sprawiedliwości, postanowił zapomnieć o potwornościach wojny i dyktatury, by zbudować demokrację, i powstała demokracja, która była fałszywą demokracją, opartą na fałszywym pojednaniu, ponieważ zbudowano ją na kłamstwie, niesprawiedliwości i amnezji, na poświęceniu ofiar i poświęceniu prawdy, ponieważ winni wojny i dyktatury nie zostali ukarani, a ich ofiarom nie zadośćuczyniono. Krótko mówiąc: „Przebaczenie TAK; zapomnienie NIE”. Dlatego Marco wciąż powtarzał to, co powiedział na przykład w reportażu na temat więźniów, którzy przeżyli obóz w Mauthausen – nie tylko nie siedział tam jako więzień, ale nawet nie udawał, że tam siedział – opublikowanym 8 czerwca 2003 roku w „La Vanguardia”: „Brakuje nam [byłym więźniom] publicznego uznania ze strony hiszpańskiego państwa, uznania wykraczającego poza tablicę pamiątkową albo bukiet kwiatów: chcielibyśmy, by uznano powody, dla których walczyliśmy i które nie były niczym innym jak obroną wolności. [...] Jest dla mnie jasne, że to my płacimy cenę za transformację: ten kraj dokonał pojednania na zapomnieniu”. I dlatego 18 grudnia 2002 roku, w przeddzień wyboru na prezesa stowarzyszenia Amical, Marco podpisał w Muzeum Historii Katalonii manifest na temat konieczności odzyskania tak zwanej pamięci historycznej i stworzenia Komisji Prawdy, która zmusi kraj do zmierzenia się wreszcie z jego najnowszą historią.

Ten paradoks jest tylko pozorny, ponieważ nacisk na prawdę zdradza kłamcę. Marco, który przez całe życie ukrywał prawdę, żeby nie poznać albo nie rozpoznać samego siebie, w oskarżaniu

kraju, który ukrywał prawdę i nie chciał poznać albo rozpoznać sam siebie, oraz w obronie pamięci byłych więźniów lub po prostu tak zwanej pamięci historycznej znalazł w końcu zadanie na miarę swych ambicji, zadanie, które pozwoliło mu stać się bohaterem ludu i spuentować operację ukrywania prawdy o sobie samym i swojej przeszłości. Na tym etapie był już bardzo daleko od tego przywódcy anarchistów, który swój brak pomysłu na związek zawodowy pokrywał frenetyczną aktywnością, albo od czarującego starszego pana z FAPAC, dowcipnego, ale i mało w istocie ważnego. W Amical, albo w czasach Amical, Marco zyskał inną pozycję, nieporównanie wyższą. Tam, gdzie dosłownie żyło się przeszłością, ponieważ przeszłość przydawała wszystkiemu sensu i była głównym bogactwem i głównym źródłem prestiżu, i głównym narzędziem władzy, i gdzie nikt nie dysponował przeszłością taką jak on, połączoną z jego młodzieńczością, fizyczną energią i krasomówstwem, i gdzie z ofiar zrobiono bohaterów, Marco czuł się nietykalny, stracił rozwagę i przezorność jakże przydatne w podobnych wypadkach, i w końcu padł ofiarą przywary, której wcześniej niemal zawsze się wystrzegał: arogancji. Zwiedziony przez nienasyconą potrzebę bycia na pierwszym planie, czując się całkowicie pewnym postaci, z którą wewnątrz siebie utożsamiał w setkach publicznych wystąpień i prelekcji, sądził, że w pełni chroni go pozycja społeczna, prestiż polityczny i otaczająca go aura bohatera, męczennika i świeckiego świętego. Marco nie stronił chwilami od obraźliwych przepychanek słownych z innymi byłymi deportowanymi o to, kto ma większe zasługi, ani od okazywania pogardy lub spoglądania z góry na swych towarzyszy w Amical lub towarzyszy swojej sprawy, ani – gdy domagała się tego sytuacja – od miażdżenia ich nieodwołalnym

ciężarem swego autorytetu depozytariusza przeszłości kraju, ani od wymyślania historii całkiem już nieprawdopodobnych, jak jego miłosne podboje i seksualne przygody w obozie we Flossenbürgu, ani od zuchwałego dramatyzowania w telewizji epizodów, które przedtem pozostawały dyskretnie ograniczone do kilku linijek w jakiejś książce albo były przez niego wykorzystywane publicznie tylko w pogadankach dla młodzieży, jak słynna partia szachów z esesmanem, której stawką było życie. Ośmielał się już zuchwale opowiedzieć wszystko, ponieważ wierzył, że cokolwiek opowie, wszyscy przyjmą to bez szemrania, i nie słuchał już nikogo ze swego otoczenia, ponieważ wierzył, że nikt z jego otoczenia nie dorasta mu do pięt. Zgubiła go pycha; pycha i – kto by się spodziewał? – niepamięć przeszłości: Marco zapomniał, że przeszłość nigdy nie mija, że jest tylko częścią albo postacią teraźniejszości, że nawet – powiedział to Faulkner – nie jest przeszłością i że zawsze wraca, ale nie zawsze wraca po to, żeby nas ocalić, jak to czyniła zawsze lub prawie zawsze w jego przypadku, gdy powracała zmieniona w fikcję, lecz że czasem wraca zmieniona w rzeczywistość, żeby nas zabić. Ponieważ fikcja ocala, a rzeczywistość zabija, albo tak przynajmniej wierzył Marco i tak wierzyłem ja. Ale przeszłość raz ocala, a innym razem zabija. I jego tym razem zabiła.

W latach, kiedy Marco stał na czele Amical de Mauthausen, zmieniony w czempiona albo w *rock star* pamięci historycznej, Hiszpania przeżywała okres apoteozy tak zwanej pamięci historycznej; właściwie cała Europa przeżywała taki okres, ale niewiele miejsc silniej niż Hiszpania. Dlaczego?

Wyrażenie „pamięć historyczna” jest błędne, bardzo mylące. W istocie zawiera w sobie sprzeczność: jak napisałem w *Szantażu świadka*, historia i pamięć są przeciwstawne. „Pamięć jest indywidualna, wybiórcza i subiektywna – pisałem – historia natomiast jest zbiorowa i aspiruje do bycia całościową i obiektywną”. Nikt lepiej niż Marco nie wykorzystał tego niemożliwego do przewyciężenia przeciwnictwa. Maurice Halbwachs, który ukuł koncepcję pamięci historycznej, twierdzi, że jest ona „pamięcią pożyczoną”, za pomocą której pamiętamy nie własne doświadczenia, lecz doświadczenia cudze, których nie przeżyliśmy, lecz je nam opowiedziano; Marco zastosował dokładnie tę niemożliwość i zbudował swoje przemówienia z cudzych wspomnień (stąd ta dezynwoltura w jego publicznych wystąpieniach, gdy gładko przechodził od „ja” do „my”). Aczkolwiek w teorii chciał upomnieć się w ten sposób o pamięć o ofiarach, w praktyce obnażył tylko nieskuteczność i śmiertelne zagrożenia wynikające z używania pojęcia „pamięć historyczna”, tyleż cieszącego się powodzeniem, co absurdalnego. Na domiar złego w Hiszpanii wyrażenie „pamięć historyczna” to nie tylko oksymoron, lecz w dodatku eufemizm: tak zwana pamięć historyczna była w rzeczywistości pamięcią republikańskich

ofiar wojny domowej i frankizmu, i odzyskiwanie jej albo upominanie się o nią równało się upominaniu o całkowite zadośćuczynienie tym ofiarom i domaganiu się sprawiedliwości i prawdy na temat wojny domowej i frankizmu, tak by ostatecznie przewyciężyć tę straszliwą przeszłość.

To upomnienie się o ofiary było absolutnie sprawiedliwe. Marco miał rację i jej nie miał: miał, kiedy w prelekcjach i w wywiadach twierdził, że hiszpańska demokracja jest zbudowana na wielkim zbiorowym kłamstwie; nie miał racji, twierdząc, że jest zbudowana na wielkim pakcie zapomnienia. To prawda wewnętrznie sprzeczna albo taka się wydaje, ale często tak bywa. Demokracja hiszpańska została zbudowana na wielkim zbiorowym kłamstwie, albo raczej na całym stosie małych kłamstw jednostkowych, bo jak sam Marco wiedział najlepiej, podczas przejścia od dyktatury do demokracji wielu ludzi zbudowało sobie fikcyjną przeszłość, zakłamując, ubarwiając albo wygładzając tę prawdziwą, żeby lepiej zainstalować się w terażniejszości i przygotować sobie przyszłość, a wszyscy z zamiarem udowodnienia, że od zawsze byli demokratami, fabrykując sobie życiorysy sekretnych opozycjonistów, wyklętych urzędników reżimu, powściągliwych dysydentów lub uśpionych, ale od czasu do czasu aktywnych antyfrankistów, by tym sposobem ukryć, że w przeszłości byli apatyczni, małoduszni albo kolaborowali z reżimem (i dlatego w tej epoce masowego wymyślania siebie na nowo Marco nie stanowił wyjątku, lecz regułą). Nie wiemy, czy to kłamstwo było kłamstwem koniecznym, jednym z tych szlachetnych kłamstw Platona albo jednym z pożytecznych kłamstw Montaigne'a, albo jednym z życiodajnych kłamstw Nietzschego – jedną z tych fikcji ratujących przed rzeczywistością, która zabija. Nie wiemy także,

czy demokracja mogła zostać zbudowana inaczej, czy mogła być zbudowana na prawdzie – i wtedy cały kraj rozpoznałby się albo poznałby sam siebie, nie ginąc równocześnie w konfrontacji z własnym wizerunkiem jak Narcyz. Wiemy tylko, że to było kłamstwo i że wciąż tam jest, u początku albo w fundamentach wszystkiego.

Co do paktu zapomnienia, to jest bardziej banałem niż fałszem; to znaczy, jest prawdą połowiczną. Nieprawda, że podczas transformacji wyłączono pamięć i zapomniano o wojnie i powojniu, ani nawet o ich ofiarach; odwrotnie: co prawda wtedy jeszcze nie upowszechniło się wyrażenie „pamięć historyczna”, ale powstała moda na historię najnowszą, moda, z której na swój sposób skorzystał Marco i która Marcowi, wówczas pięćdziesięciolatkowi, pozwoliła stworzyć sobie nowe życie. W rzeczywistości było wielkie zainteresowanie historią, a przynajmniej tą najnowszą: wydano wiele książek, napisano ogromną liczbę artykułów i reportaży, nakręcono filmy, organizowano liczne kongresy i seminaria na temat Drugiej Republiki, wojny domowej, emigracji republikańskiej, frankistowskich sądów wojennych, opozycji antyfrankistowskiej i tysiąca innych spraw, wszystko po to, by zaspokoić ciekawość publiczności żadnej wiedzy na temat okresu historii najnowszej, przemilczanego albo przekręcanego przez dyktaturę. Nieprawdą jest także, by istniał jakiś pakt o politycznym zapomnieniu; odwrotnie; był pakt o pamięci, co tłumaczy, dlaczego podczas przejścia od dyktatury do demokracji wszystkie lub niemal wszystkie partie polityczne zawarły sojusz, by nie powtarzać błędów, jakie czterdzieści lat wcześniej doprowadziły do wojny domowej, i co w znacznej mierze tłumaczy również, dlaczego udało się niesłychane salto mortale polegające na przejściu od

dyktatury do demokracji bez wojny i bez przelewu krwi, i bez wybuchu niekontrolowanego konfliktu. To był pakt nieformalny, który zabraniał używania dnia wczorajszego jako oręża w debacie politycznej; gdyby to wczoraj było zapomniane, zawieranie takiego paktu nie miałyby sensu; pakt został zawarty właśnie dlatego, że pamiętano bardzo dobrze.

Jaka jest zatem prawda w połowicznej prawdzie o pakcie o zapomnieniu? Pakt o zapomnieniu, prócz tego, że jest banałem, jest także kolejnym eufemizmem, sposobem na to, by nazwać, nie nazywając, jeden z podstawowych deficytów okresu przejścia od dyktatury do demokracji i jest zaniechaniem zbadania w sposób jawny i dogłębny bliskiej przeszłości, zaniechaniem ścigania zbrodni dyktatury i pełnego zadośćuczynienia ofiarom. Możliwe, że dwie pierwsze rzeczy były w owej chwili nie do zrobienia bez równoczesnego wysadzenia w powietrze demokracji, albo tak właśnie myślały wszystkie lub prawie wszystkie partie polityczne i wszyscy lub prawie wszyscy Hiszpanie, którzy zamiast rozliczeń wybrali demokrację. Co do ofiar to nieprawda, że nic dla nich nie zrobiono, ale na pewno nie zrobiono wszystkiego, co powinno się było zrobić z każdego punktu widzenia: moralnego, materialnego i symbolicznego. W tej kwestii Marco miał rację: mimo że on się do nich nie zaliczał, to ofiary dyktatury były ceną transformacji albo istotną częścią tej ceny.

Tak więc wielki mit o milczeniu podczas transformacji jest w istocie tylko mitem, to znaczy: zlepkiem kłamstwa i prawdy, to znaczy: kłamstwem. Jeżeli już, to milczenie przyszło później, w latach osiemdziesiątych, kiedy wywodząca się z frankizmu i pozostająca w opozycji prawica wciąż nie miała żadnego interesu, żeby mówić o przeszłości, bo mogła tylko na tym

stracić, a sprawująca rządy socjalistyczna lewica przestała być zainteresowana, bo nic na tym nie mogła ugrać. A my wszyscy pozostali zanadto byliśmy spragnieni cieszenia się naszą czystą i lśniącą współczesnością bogatych i cywilizowanych Europejczyków, by zajmować się naszą brudną niedawną historią biednego i pogrążonego w bratobójczych walkach kraju. Taka jest rzeczywistość: czuliśmy przesyt przeszłością. Tak właśnie było: minęła moda na przeszłość. Chwilami zdawało się, że nawet sama przeszłość mija albo że już minęła. Ale wiemy, że choćby się tak zdawało, to przeszłość nigdy nie mija, nie może przeminąć, bo nawet – powiedział to Faulkner – nie jest przeszłością.

I w sposób nieunikniony przeszłość wróciła. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy w Europie kiełkowała obsesja albo kult pamięci, w Hiszpanii prawica wygrała wybory, a lewica odkryła, że może wykorzystać przeciw niej przeszłość i frankizm, którego prawica była nadal spadkobierczynią i z którym nigdy do końca nie zerwała. W tym samym czasie działo się jeszcze coś. Dojrzywało nowe pokolenie Hiszpanów, które – może ze względu na to, że prawie nie miało dotąd swojej osobistej przeszłości albo prawie nie było jej świadome – nigdy wcześniej nie interesowało się zbiorową przeszłością, albo nie zanadto, i które w tamtej właśnie chwili interesować się zaczęło. To było pokolenie wnuków wojny domowej, moje pokolenie; nie mieliśmy własnego doświadczenia wojny ani prawie nie mieliśmy doświadczenia frankizmu, ale nagle odkryliśmy, że przeszłość jest terazniejszością albo jakimś wymiarem terazniejszości. Połączenie tych dwóch czynników całkowicie odmieniło stan rzeczy.

To wtedy rozpoczęła się apoteoza.

W październiku 2000 roku grupa osób, które trzy miesiące później miały założyć Stowarzyszenie na rzecz Odzyskania Pamięci Historycznej, dokonała ekshumacji trzynastu republikanów zamordowanych w początkach wojny domowej i pogrzebanych w zbiorowej mogile w El Bierzo, w prowincji León. To nie było pierwsze tego rodzaju zdarzenie – w 1980 roku na przykład doszło do podobnej ekshumacji w La Solana, w prowincji Ciudad Real – ale odbiło się pewnym echem w mediach, co nadało mu znaczenie symboliczne, i w następnych latach w całym kraju, a przede wszystkim w Katalonii, Madrycie i Andaluzji, powstał ruch, z którego w miasteczkach i miastach w kilka lat wyrosły jak grzyby po deszczu stowarzyszenia, towarzystwa przyjaciół i fundacje zajmujące się rewizją przeszłości i upominaniem się o pamięć ofiar: pod koniec 2003 roku było ich około trzydziestu, ale pod koniec 2007 roku ta liczba wzrosła do niemal stu siedemdziesięciu. Te trzy lata zbiegły się z trzyletnim przewodnictwem przez Marca stowarzyszeniu Amical de Mauthausen i z eksplozją tak zwanej pamięci historycznej. Wtedy i w następnych trzech albo czterech latach nie tylko otwierano zbiorowe mogiły, ekshumowano zwłoki i starano się sporządzić listy zaginionych – jak obliczano, od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy osób. Równocześnie organizowano mnóstwo kongresów, uroczystości ku czci, dni pamięci, konferencji i seminariów, napisano mnóstwo prac magisterskich i doktorskich, stworzono katedry pamięci historycznej, wydano nieprzebraną ilość powieści i książek na temat najnowszej historii, nakręcono filmy fabularne i dokumentalne, stworzono projekty dokumentacji relacji świadków i przeprowadzono różnego rodzaju inicjatywy polityczne i instytucjonalne, a najważniejszą z nich była ustawa

o pamięci historycznej – proces legislacyjny rozpoczął się w 2004 roku, kiedy lewica odzyskała władzę w państwie – której pełna nazwa nie pozostawia absolutnie nic do dodania: „Ustawa uznająca i rozszerzająca prawa osób, które były ofiarami prześladowań lub przemocy w czasie wojny domowej i dyktatury, i określająca działania na ich rzecz”.

Przeszłość wróciła. I to silniej niż kiedykolwiek. Jest takie niemieckie słowo: *Vergangenheitsbewältigung*, co można przetłumaczyć jako „przewycięzanie przeszłości poprzez jej stałą rewizję”, w każdym razie tak to tłumaczy pisarz Patricio Pron i opisuje proces zainicjowany przez Niemców pod koniec lat sześćdziesiątych, ćwierć wieku po końcu nazizmu, po to, by skonfrontować się z nazizmem; około roku 2001, ćwierć wieku po śmierci Franco, wszystko wskazywało na to, że w Hiszpanii rozpoczął się proces równoległy. Najgorzej, gdy jest się dziś przekonany o własnej racji dlatego, że miało się ją kiedyś, mówi poeta José Ángel Valente. Możliwe, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, tuż po końcu dyktatury w Hiszpanii, ściganie i dogłębne badanie zbrodni, a nawet całkowite zadośćuczynienie jej ofiarom uniemożliwiłoby demokrację i że dlatego zaraz po śmierci Franco Hiszpanom było tak trudno stanąć twarzą w twarz z własną przeszłością, poznać się lub rozpoznać samych siebie i wymierzyć do końca sprawiedliwość, tak jak trudne było dla Niemców zrobić to zaraz po śmierci Hitlera. Ale ćwierć wieku później, gdy demokracja już się w kraju zakorzeniła, a kraj zakorzenił się w Europie, było już inaczej i owa apoteoza pamięci wydawała się sygnałem, że oto Hiszpania zamierza zrekompensować sobie tę cenę, którą wcześniej zapłaciła za bezkrwawe przejście od dyktatury do wolności: chciano usunąć symbole frankistowskie znajdujące się

nadal na placach i ulicach, chciano godnie pochować zmarłych, zadośćuczynić do końca ofiarom wojny i dyktatury.

Wszystko to było bardziej niż słuszne: było konieczne. A jednak wiele rzeczy zaczęło od razu wyglądać podejrzanie; nawet mnie, który myślałem, że to jest konieczne (a może dlatego, że tak myślałem). Dowodzi tego fakt, że drugiego dnia 2008 roku, po tym jak w końcu uchwalono tak zwaną ustawę o pamięci historycznej, a sędzia Baltasar Garzón wystąpił z wnioskiem o informację na temat zaginionych w czasach wojny domowej i powojnia z zamiarem wszczęcia postępowania w sprawie zbrodni frankizmu, ja opublikowałem w „El País” artykuł zatytułowany *Tyrania pamięci*, w którym – prosząc na wstępie, byśmy przestali używać terminu „pamięć historyczna”, i ostrzegając przed niebezpieczeństwem nadużywania tej pamięci, a przede wszystkim przed równoległym i większym niebezpieczeństwem, że ta pamięć zastąpi nam historię – cieszyłem się z celów, jakie stawiał przed sobą ruch na rzecz ofiar, ale równocześnie wyrażałem pewne wątpliwości:

„Inna sprawa, że państwo musi sięgać po ustawę, żeby zrobić coś, co powinno być zrobione bez żadnej ustawy. W dodatku jest to ustawa, która tylko zapowiada działanie, nie daje nic konkretnego, a na domiar złego władze nie spieszą się z jej stosowaniem; wcale mi się nie podoba, że państwo zabiera się do tworzenia prawa tyczącego historii, nie mówiąc już o tym, że pamięci – tak jak nie spodobałoby mi się, gdyby zaczęło tworzyć prawo dotyczące literatury – ponieważ historię powinni zajmować się historycy, nie politycy, a pamięta każdy we własnym zakresie, i dlatego że tego rodzaju prawo wstydliwie przywodzi na myśl metody państw totalitarnych, które dobrze wiedzą, że najlepszym sposobem zapanowania nad

teraźniejszością jest panowanie nad przeszłością; prawo jest jednak po to, żeby się do niego stosować i, skoro zostało uchwalone, należy je stosować natychmiast i rygorystycznie. Inna sprawa też, że trzeba było sędziego, żeby ktoś wreszcie zajął się tą kwestią: powtarzam, że powinno było zająć się nią państwo: nie mógł tego zrobić Adolfo Suárez, bo jeszcze tego samego dnia zbombardowałyby mu pałac Moncloa; Felipe González tego nie zrobił, José María Aznar też nie, a przecież byłoby tak pięknie, gdyby zrobił, bo prawica udowodniłaby tym samym swoje prawdziwe zerwanie z frankizmem; a skoro José Rodríguez Zapatero tylko zapowiada, nie daje nic konkretnego i zwleka, to rację ma sędzia Garzón, że trochę go w tym kierunku popycha (i tak nie może zrobić nic więcej: Garzón wie, że sam nie osiągnie celu, który sobie postawił)”.

Ale było coś bardziej jeszcze podejrzanego i groźniejszego w całej sprawie. Rzecz w tym, że to, co wzięło się z głębokiej potrzeby, bardzo szybko stało się kolejną powierzchowną modą. Nikt pewnie nie dostrzegł tego lepiej niż Sergio Gálvez Biescas, pracownik katedry pamięci historycznej Uniwersytetu Complutense w Madrycie: „Na rozdrożu, gdzie krzyżują się działania organizacji obywatelskich, inicjatywy instytucjonalne i badania naukowe – pisał Gálvez Biescas w 2006 roku – odzyskiwanie pamięci historycznej o ofiarach represji frankistowskiej wkroczyło na konkurencyjny rynek, który czyni z tych elementów potężny czynnik marketingowy, a zarazem narzędzie kontroli teraźniejszości po to, by zyskać profity polityczne”. Profity, marketing, rynek i konkurencja: to było przekształcanie pamięci historycznej w przemysł pamięci.

Czym jest przemysł pamięci? Przedsiębiorstwem. Co wytwarza to przedsiębiorstwo? Surogat, dewaluację, prostytutkę pamięci.

Wytwarza też prostytucję, dewaluację i surogat historii, ponieważ w czasach pamięci to właśnie pamięć zajmuje w dużej mierze miejsce historii. Innymi słowy: przemysł pamięci tak się ma do prawdziwej historii jak przemysł rozrywkowy do autentycznej sztuki i tak jak estetyczny kicz jest produktem przemysłu rozrywkowego, kicz historyczny jest produktem przemysłu pamięci. Kicz historyczny znaczy tyle co kłamstwo historyczne.

Marco doskonale ucieleśniał ten kicz. Przede wszystkim sam był chodzącym kłamstwem, ale był również niestrudzonym dostawcą kiczu, owej „pełnej pychy sentymentalnej papki doprawionej dobrym samopoczuciem historycznym”, jak napisałem w *Ja jestem Enrikiem Markiem*, którą oferował dyskurs Marca, dyskurs bez niuansów i dwuznaczności, schematyczny i bez niedopowiedzeń, wątpliwości, lęku i sprzeczności, bez wywołujących mdłości zawirowań, bez chropowatości i moralnych nieoczywistości prawdziwej pamięci, i prawdziwej historii, i prawdziwej sztuki, dyskurs pozbawiony tej przerażającej „szarej strefy”, o której mówił Primo Levi, dyskurs uspokajający, mdlący i oszukańczy, jakiego ludzie pragnęli słuchać. W grudniu 2004 roku, na krótko przed demaskacją Marca, Benito Bermejo zakończył takim oto złowróżbnym zdaniem artykuł napisany wspólnie z Sandrą Checą i ujawniający oszustwo podszywającego się pod ofiarę deportacji Antonia Pastora: *Festiwal pamięci może paradoksalnie oznaczać jej porażkę*.

I właśnie tak to się stało. Piszę to w połowie 2014 roku, gdy w Hiszpanii niewiele już pamięta o tak zwanej pamięci historycznej i kiedy ta pamięć lub to, co z niej zostało, pojawia się sporadycznie na łamach prasy, w radiu i telewizji. Moda na

przeszłość znowu minęła i, szczególnie odkąd w 2009 roku pojawił się kryzys ekonomiczny, kraj przestał zajmować się przeszłością, by zająć się wyłącznie teraźniejszością, jakby przeszłość była luksusem, na który już nas nie stać. Tak zwana ustawa o pamięci historycznej szybko okazała się tym, czym w istocie była: aktem prawnym markującym działanie i chłodno traktującym ofiary. Wydaje się, że lewica go wymyśliła nie tyle w celu rozwiązania problemu przeszłości, ile po to, by ten problem był na porządku dziennym przez długi czas i by używać go przeciwko prawicy. W gruncie rzeczy to trochę wszystko jedno, bo od dawna nie stosuje się tej ustawy – według obecnego prawicowego rządu brak na to pieniędzy – i wiele ze stowarzyszeń, które wyrosły bujnie w poprzednim dziesięcioleciu i w dodatku szybko uwikłały się w niekończące się dyskusje i niezrozumiałe kłótnie wewnętrzne, znikło albo dziś ledwie dyszy bez funduszy, a i zapewne bez przyszłości, jak przytrafiło się to także stowarzyszeniu Amical de Mauthausen. Sędzia Garzón wierzył, że uda mu się zrobić to, co zamierzał, ale się pomylił: w lutym 2012 roku dostał sądowy zakaz wykonywania zawodu przez jedenaście lat, teoretycznie za sposób, w jaki gromadził dowody przeciw organizacji nielegalnie finansującej rządzącą partię, ale tak naprawdę chodziło również o to, że chciał osądzić zbrodnie frankizmu, narobił sobie zbyt wielu i zbyt potężnych wrogów, czyli, krótko mówiąc, wtykał nos w nie swoje sprawy. Tymczasem ciała pomordowanych wciąż spoczywają w zbiorowych mogiłach i przydrożnych rowach – tak zwana ustawa o pamięci historycznej zobowiązywała do ich ekshumacji, ale te ekshumacje kazała finansować, a pieniądze się skończyły – ofiary nie uzyskają pełnego zadośćuczynienia i ten kraj nigdy nie zerwie do końca ze swoją przeszłością ani nie

weźmie za nią pełnej odpowiedzialności, ani nie usunie do końca tego kłamstwa, które leży u źródeł lub u podstawy wszystkiego, nigdy nie pozna ani nie rozpozna sam siebie jako tego, którym naprawdę był, to znaczy jako tego, którym jest, my Hiszpanie nie mamy naszej *Vergangenheitsbewältigung*. Nie mamy, przynajmniej dopóki przeszłość nie wróci ponownie. Tylko że kiedy wróci, będzie już za późno, przynajmniej dla ofiar.

To tyle. Przemysł pamięci okazał się zabójczy dla pamięci albo dla tego, co nazywaliśmy pamięcią, a co było ledwie tchórzliwym eufemizmem. Możliwe, że straciliśmy ostatnią szansę. Najgorzej jest wierzyć, że wystarczy raz się uratować, by się ocalić: pewnie przez długie lata ratowała nas fikcja, tak samo jak ratowała Marca i Don Kichota; ale w końcu chyba tylko rzeczywistość może nas ocalić, podobnie jak w końcu rzeczywistość ocaliła Don Kichota, zwracając go Alonsowi Quijano, i może w końcu ocali Marca, przywracając go prawdziwemu Marcowi. Zakładając, że jest ocalenie, rzecz jasna: Cervantes ocalił Alonsa Quijano, a ja – nieświadomie i nie przyznając się do tego – robię może w tej książce, co w mojej mocy, żeby ocalić Marca. Pytanie brzmi: kto ocali nas? Kto choćby postara się nas ocalić? Odpowiedź brzmi: nikt.

A oto – w opinii wielu – sekretny czarny charakter tej historii; oto człowiek, który zdemaskował Enrica Marca, Nemezis naszego bohatera: oto Benito Bermejo. Odsądzano go od czci i wiary po wybuchu sprawy Marca, niemal tak samo jak odsądzano od czci i wiary samego Marca. Robili to dziennikarze, historycy, politycy, związkowcy, pisarze i przedsiębiorcy i mniej więcej świadomi pracownicy przemysłu pamięci. Poniżej przytaczam kilka takich opinii na jego temat.

Mówiono, że Bermejo zdemaskował Marca, ponieważ dla wielu ludzi Marco ucieleśniał w Hiszpanii ruch odzyskiwania tak zwanej pamięci historycznej, i że niszcząc go, Bermejo usiłował zniszczyć ten ruch. Mówiono, że był osobistym wrogiem Marca oraz stowarzyszenia Amical de Mauthausen i że zdemaskował Marca z zamiarem zniszczenia stowarzyszenia Amical. Mówiono, że chciał zniszczyć Amical, bo było wspaniałym hiszpańskim stowarzyszeniem byłych hiszpańskich deportowanych i miało siedzibę w Barcelonie, a on chciał tę siedzibę przenieść do Madrytu i tam przejąć nad stowarzyszeniem kontrolę. Mówiono, że chciał je przejąć za pomocą Fundacji imienia Pablo Iglesiasa należącej do partii socjalistycznej. Mówiono, że wprost przeciwnie, że chciał zaszkodzić partii socjalistycznej i jej ówczesnemu sekretarzowi generalnemu, José Luisowi Rodriguezowi Zapaterze, wówczas premierowi Hiszpanii. Mówiono, że kierował się niskimi pobudkami albo chęcią zrobienia kariery, albo miał zwykłe parcie na szkło. Mówiono – powiedział to w samym środku

zawieruchy wywołanej przypadkiem Marca Jaume Álvarez, następcą Marca na stanowisku prezesa stowarzyszenia Amical i były więzień Mauthausen, a podchwyciło to wiele gazet – że urodzony w Salamance Bermejo zdemaskował Marca w akcie zemsty za tak zwane papiery z Salamanki, zbiór dokumentów skonfiskowanych w Katalonii przez wojska frankistowskie pod koniec wojny domowej i złożonych w archiwum w Salamance: po wieloletnich naciskach rządu katalońskiego lewicowy rząd zgodził się oddać dokumenty Katalończykom mimo sprzeciwu całej prawicy, części lewicy, władz miejskich i uniwersytetu w Salamance. Mówiono, że Bermejo nie jest historykiem, uważano go za agenta Mosadu, izraelskich tajnych służb, albo historyka na usługach Mosadu albo na usługach hiszpańskich tajnych służb i tylko podnajętego przez Mosad, w każdym razie za typka opłacanego przez rząd Izraela, żeby ukarać Marca za to, co powiedział w hiszpańskim parlamencie, w przemówieniu wygłoszonym 27 stycznia 2005 roku, w obecności ambasadora Izraela w Hiszpanii i w trakcie uroczystości ku czci ofiar Holocaustu, za to, co mówił w niemal wszystkich niezliczonych pogadankach: że obozy koncentracyjne nie znikły i że nadal istnieją w rozmaitych miejscach na świecie, włącznie z Palestyną.

Dosyć. Choć można by ciągnąć to dalej: mówiono jeszcze wiele innych rzeczy o Bermejo, wszystkie albo prawie wszystkie równie absurdalne jak te poprzednie. Przecież Marco, artysta konfabulacji, nie ma do niej praw na wyłączność; w istocie wykorzystał jedynie naszą nieuleczalną do niej słabość, tym widoczniejszą, im nieprzyjemniejsze możemy ukryć dzięki niej fakty i im bardziej pomaga nam uniknąć odpowiedzialności. Bo to naprawdę niezwykle, że nikt nie powiedział rzeczy oczywistej,

to znaczy, że Bermejo jest po prostu poważnym historykiem i jako taki zaprzysięgłym wrogiem przemysłu pamięci, podobnie jak poważny artysta jest zaprzysięgłym wrogiem przemysłu rozrywkowego: obaj z zasady zwalczają maskujący narcyzm, obaj pragną poznania – poznania lub rozpoznania samego siebie, poznania lub rozpoznania rzeczywistości – jeden i drugi wypowiadają wojnę kiczowi; albo, co sprowadza się do tego samego: obaj wypowiadają wojnę kłamstwu. W gruncie rzeczy Bermejo nie tylko ujawnił oszustwo Marca; ujawnił także – i to zabolalo wielu, którzy starają się zrobić z niego sekretny czarny charakter tej historii – karygodną łatwowierność i brak rzetelności intelektualnej wszystkich, którzy przyjęli za dobrą monetę oszustwo Marca.

Będąc poważnym historykiem, Bermejo jest także historykiem osobnym: człowiekiem żyjącym na marginesie systemu akademickiego lub uniwersyteckiego. Nie jest nauczycielem akademickim ani szkolnym. Kiedy wybuchł skandal, nie miał jeszcze doktoratu, czyli nie spełniał warunku koniecznego do kariery naukowej, choć ukończył studia historyczne w Salamance, gdzie faktycznie się urodził w rodzinie klasy średniej. Możliwe, że hiszpański uniwersytet z jego nienaruszalną hierarchią, oszalałą endogamią i jego *cursus honorum* pełną sztywnej retoryki i formalistycznych zachowań ma w sobie coś, co odstręcza ludzi o tak spokojnym i powściągliwym usposobieniu, jak ten typowy Kastylijczyk, bo faktycznie Bermejo nie potrafił się do niego dopasować: choć, prawdę mówiąc, szczerze wątpię, by bardzo się o to starał. Może nie będzie od rzeczy zadać sobie pytanie, dlaczego to właśnie akademicki banita odważył się zdemaskować Marca i dotknąć czulego punktu przemysłu pamięci, z którego również akademia

czepie profity. Bermejo jest wolnym strzelcem; nie naucza, nie publikuje w prasie i, chociaż ma żonę i dwie córeczki, nie ma stałej pracy i ledwie wiąże koniec z końcem. Mieszka w małym mieszkaniu przy ulicy García de Paredes, w madryckiej dzielnicy Chamberí.

Na koniec studiów obronił na uniwersytecie w Salamance pracę magisterską o propagandzie i kontroli komunikacji społecznej w pierwszych latach frankizmu, a w 1987 roku, dzięki stypendium naukowemu, przeniósł się do Madrytu. Inne stypendium pozwoliło mu spędzić dwa lata w Paryżu i pracować naukowo na Sorbonie. Właśnie w Paryżu, w hiszpańskiej księgarni przy rue de la Seine numer 72, usłyszał po raz pierwszy o Hiszpanach deportowanych do obozów nazistowskich – właściciel księgarni, Antonio Soriano, znał kilku z nich – ale naprawdę zainteresował się tym tematem dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych. W owym czasie żaden historyk nie przeprowadził jeszcze poważnych badań dotyczących losów hiszpańskich deportowanych; zajmowali się tym pisarze i dziennikarze, tacy jak Pons Prades, Montserrat Roig czy Antonio Vilanova, ale żadne z nich nie operowało warsztatem ani metodologią historiograficzną. Na zlecenie Krajowego Uniwersytetu Kształcenia na Odległość Bermejo podjął pracę nad serią filmów dokumentalnych poświęconych emigracji hiszpańskiej 1939 roku i przy tej okazji nawiązał kontakt z kilkoma byłymi deportowanymi i dwiema wielkimi emigracyjnymi organizacjami deportowanych, francuskim stowarzyszeniem Amical i Hiszpańską Federacją Deportowanych i Więźniów Politycznych (FEDIP); a także z jedyną taką organizacją w kraju, czyli ze stowarzyszeniem Amical de Mauthausen. Kontakty z hiszpańskim Amical stały

się bliższe pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy przygotowywał dokument poświęcony Francescowi Boix, hiszpańskiemu fotografowi Mauthausen, świadkowi na procesie w Norymberdze, i chciał skorzystać z archiwum stowarzyszenia. Udało się to nie bez pewnych spięć z Amical albo z niektórymi jego członkami, szczególnie z Rosą Torán. Film o Francescu Boix pokazano w telewizji w 2000 roku, a dwa lata później Bermejo opublikował opartą na tym dokumencie książkę. Wtedy już od kilku miesięcy znał osobiście Marca.

Pierwszy raz usłyszał o nim pod koniec 2000 roku, a może w początkach 2001. Wspomniała mu o nim Margarida Sala, konserwatorka w Muzeum Historii Katalonii i członkini Amical, mówiąc, że do stowarzyszenia należy były więzień obozu, Enric Marco, który na dodatek jest historykiem. Bermejo ogromnie się tym zainteresował: po pierwsze nigdy wcześniej nie słyszał tego nazwiska, choć od ponad dziesięciu lat gromadził informacje na temat hiszpańskich deportowanych, z wieloma osobiście się kontaktował i badał koleje ich losu; a po drugie nie znał dotąd żadnego Hiszpana, który byłby równocześnie deportowanym i historykiem (choć znał takiego francuskiego więźnia). Trochę później, sięgając pamięcią wstecz albo przeglądając papiery, Bermejo uświadomił sobie, że się pomylił: znał przecież świetnie książkę Ponsa Pradesa o deportowanych i zdał sobie sprawę, że ten Marco, o którym tam, a pewnie i jeszcze gdzieś czytał, i Marco, o którym mu opowiedziała Sala, to jedna i ta sama osoba.

Niedługo potem go poznał. Spotkali się 6 listopada 2001 roku, na uroczystości zorganizowanej przez Amical ku czci Montserrat Roig w Palau de la Música w Barcelonie. Rozmawiali bardzo krótko. Bermejo przyszedł na uroczystość zaproszony przez Rosę

Torán i pod koniec podszedł do stolika z książkami wystawionymi na sprzedaż przez Amical; Marco tam był i Bermejo został mu przedstawiony. Młodzieńczy wygląd Marca musiał zdezorientować historyka, bo zapytał go, czy jest synem deportowanego: Marco odpowiedział, że nie, że sam był deportowany i przebywał jako więzień w obozie Flossenbürg. I na tym się skończyło. Tłum ludzi i zamieszanie na koniec uroczystości nie pozwoliły im podjąć wtedy dłuższej rozmowy albo Marco wykorzystał obie te okoliczności, aby ją uciąć. Ale ta krótka wymiana zdań rozbudziła na dobre ciekawość historyka. Wiedział, że przez obóz we Flossenbürgu przewinęło się bardzo niewielu Hiszpanów i choć wcześniej starał się do któregoś z nich dotrzeć, jego wysiłki spełzły na niczym (zdołał ustalić miejsce zamieszkania jednego z francuskich więźniów tego obozu i przeprowadził z nim rozmowę). Nie trzeba dodawać, że z tego powodu Marco był dla Bermeja jeszcze cenniejszą znajomością.

Ich drugie spotkanie nie było już dziełem przypadku i historyk przyszedł na nie dobrze przygotowany. Nastąpiło w Mauthausen, podczas uroczystości upamiętniających wyzwolenie obozu, które odbywają się każdego roku pod koniec tygodnia po 5 maja. Bermejo, stały uczestnik tego rodzaju wydarzeń (bardzo przydatnych z punktu widzenia jego pracy, bo spotykał tam byłych więźniów i zdobywał informacje), umiejscawia je w 2001 roku, myli się jednak, bo w maju 2001 roku nie znał jeszcze Marca; musiało to być zatem w 2002, a może nawet w 2003 roku. Marco go intrygował, ale jeszcze nie powziął w stosunku do niego żadnych podejrzeń i to mimo faktu, że trzy znane mu, bo wydane drukiem relacje z życia Marca – „Wieprze komendanta”, relacja zamieszczona w piśmie „Tiempo de

historia”, i ta we „Wspomnieniach z piekła”, która dopiero co się ukazała – nie zgadzały się ze sobą. Bermejo wiedział, że zdarzały się czasem różnice w relacjach tego samego człowieka, i te zauważone u Marca przypisywał niedokładności jego rozmówców, lukom w pamięci samego narratora albo obu tym czynnikom naraz. Tego dnia w Mauthausen Bermejo dwukrotnie rozmawiał z Markiem na temat jego obozowych doświadczeń. Najpierw na terenie samego obozu, dwieście metrów powyżej lustra Dunaju, przed rozpoczęciem oficjalnej uroczystości. Bermejo zapytał go o obóz i o jego zainteresowanie historią; Marco udzielił mu mało konkretnej, wymijającej odpowiedzi: powiedział bardzo ogólnie, że studiował historię na Uniwersytecie Autonomicznym w Barcelonie, że pracował z profesorem Josepem Fontaną i tworzyli razem zespół badający tematy obozowe. Po raz drugi Bermejo zagadnął Marca o interesujące go sprawy podczas obiadu, już w mieście i w obecności Rosy Torán, która pewnie przyjechała wówczas do Mauthausen razem z Markiem, ale spotkali się już na miejscu. Wszyscy troje byli gośćmi na obiedzie zorganizowanym przez potomków setki Hiszpanów pozostałych w Austrii po wyzwoleniu obozu; ludzie ci spotykali się w tym miejscu co roku o tej porze, jakieś trzydzieści albo czterdzieści osób, głównie Austriaków. Bermejo zdołał zająć przy stole miejsce naprzeciwko Marca, obok którego usiadła Torán.

Przebieg tego spotkania wprowadził Bermejo w dużą konsternację. Jak miał w zwyczaju, albo jak zawsze postępował, ilekroć poznawał kolejnego deportowanego, historyk poprosił Marca, żeby opowiedział mu o swoich obozowych przeżyciach; Marco wszedł mu w słowo, mówiąc że to do niczego nie prowadzi, powiedział mu, że nie powinien zajmować się tą sprawą,

powiedział mu, że są sprawy dużo ważniejsze, a następnie wyjął z teczki fotografię i mu ją pokazał. Była to fotografia przedstawiająca Marca nagiego od pasa w górę z widocznymi na plecach i po obu bokach krwiami po uderzeniach. Bermejo nie wiedział – nie mógł tego wiedzieć – ale było to jedno z tych zdjęć, które Marco kazał sobie zrobić 28 września 1979 roku, gdy pobiła go policja na zakończenie manifestacji anarchistów domagających się amnestii dla oskarżonych o zamach w Scali. Ale fotografia była przede wszystkim czym innym: dowodem rzeczowym na to, że Marco również był opozycjonistą, bohaterem. Takimi sprawami powinieneś się zajmować, nie tamtym, powiedział Marco do Bermeja kategorycznym tonem. Zapadła pełna napięcia cisza albo Bermejo tak to zapamiętał; pamięta też, że Torán siedziała spięta i skępowana, pamięta jej poważną minę. Przekaz Marca był jasny: nie idź dalej tą drogą. Możliwe, że Marco chciał, żeby zabrzmiało to jak porada naukowa – powinieneś podążać inną: nie drogą ofiar nazizmu, lecz drogą ofiar frankizmu – ale Bermejo zrozumiał to jako radę osobistą, by nie powiedzieć – zawołaną groźbę. Zamurowało go. Wielokrotnie mu się zdarzyło, że deportowani nie chcieli mówić o swoich przeżyciach, bo wciąż były dla nich zbyt wielką traumą, albo chcieli zapomnieć, albo nie lubili wspominać: ale przypadek Marca był inny. Marco przewodniczył już wtedy stowarzyszeniu Amical, a co najmniej wchodził w skład zarządu, i od wielu lat wygłaszał prelekcje, udzielał wywiadów i bezustannie opowiadał o swoich doświadczeniach obozowych we Flossenbürgu. Jak to możliwe, że chciał rozmawiać o tym ze wszystkimi, tylko nie z nim?

Miało minąć jeszcze trochę czasu, nim Bermejo mógł odpowiedzieć na to pytanie. Tamtego popołudnia w Mauthausen

nie wrócił już do rozmowy z Markiem o przeszłości, ale stał się podejrzliwy.

Podejrzliwość ta narastała w następnych miesiącach. W październiku 2003 roku miało miejsce inne zdarzenie z Markiem, podobne do poprzedniego, choć tym razem nie w Mauthausen, lecz w Almerii, i nie brał w nim udziału Bermejo, lecz Sandra Checa, również historyczka działająca jako wolny strzelec i badająca losy dawnych hiszpańskich więźniów obozów nazistowskich. Było to na pogrzebie Antonia Muñoza Zamory, członka Amical i komunistycznego więźnia w obozie w Mauthausen. Checa pojechała tam ze względu na swą przyjaźń z Muñozem Zamorą, a wkrótce zdała Bermejowi relację przez telefon.

Opowiedziała mu, że wśród uczestników pogrzebu znajdowali się Marco i Antonio Pastor Martínez, fałszywy deportowany, którego oszustwo oboje starali się wtedy zdemaskować: Pastor, bo łączyła go jakaś relacja ze zmarłym (wątpię, ale mimo to zabrał głos w trakcie ceremonii), a Marco jako prezes stowarzyszenia Amical. Checa opowiedziała Bermejowi, że w pewnej chwili podeszła do Marca, przedstawiła się jako historyczka zajmująca się deportacjami z Hiszpanii do obozów i powiedziała, że bardzo chciałaby z nim porozmawiać. Odpowiedź Marca była identyczna lub niemal identyczna jak ta w Mauthausen: co prawda nie pokazał kobiecie dramatycznego zdjęcia własnego korpusu pokrytego siniakami, lecz jej także poradził, żeby dała sobie spokój z tym tematem, że prowadzi on donikąd, żeby sobie poszukała jakiegoś ciekawszego. Na tym właściwie zakończyła się ich rozmowa, ale Checa powiedziała Bermejowi przez telefon coś jeszcze. Otóż wśród starych republikanów i deportowanych zaprzyjaźnionych ze zmarłym

w pogrzebie wziął też udział Santiago Carrillo, niezniszczalny i wówczas prawie dziewięćdziesięcioletni dawny sekretarz generalny partii komunistycznej, zmuszony do ustąpienia już ponad dwadzieścia lat wcześniej, i pod koniec uroczystości – wciąż wedle relacji Cheki – Carrillo, stary wyjadacz, który na emigracji i sprawując stalinowskie rządy w swojej partii, nauczył się wyczuwać oszustów na odległość, pozwolił sobie na sarkastyczny a może ironiczny komentarz na temat Marca i Pastora. Usłyszeli go tylko nieliczni, a Checa nie zapamiętała słów użytych przez Carrilla (a może nie zapamiętał ich dokładnie Bermejo), w każdym razie ich sens był taki, że tym dwóm osobnikom lepiej zanadto nie ufać.

Trzecie i ostatnie spotkanie Bermeja i Marca odbyło się sześć miesięcy po pogrzebie Muñoza Zamory, w maju 2004 roku, ponownie w Mauthausen, w rocznicę wyzwolenia obozu; a ściślej w przeddzień rocznicy i niedokładnie w Mauthausen, lecz w Ebensee, podoboże Mauthausen, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południe od głównego obozu. Bermejo już kilka lat zbierał informacje na temat Marca, porównywał je i przekonywał się, że jego relacje o deportacji do obozu nie trzymały się kupy, były pełne sprzeczności i elementów niemożliwych; brakowało mu jeszcze ostatecznego dowodu, żeby zakwestionować prawdziwość tej historii, ale miał już całkowitą lub niemal całkowitą pewność, że prezes Amical podaje się za kogoś, kim nie jest.

Od dłuższego już czasu Bermejo wytrwale wypytywał o Marca, przede wszystkim ludzi, którzy kiedyś znali go osobiście. I wszystko jedno, czy pytał dawnych deportowanych, czy starych anarchistów z CNT, odpowiedź była zawsze lub prawie zawsze taka sama: „Nie dałbym sobie za niego głowy

uciać”, mówili. „To farbowany lis”, twierdzili. „Coś tu śmierdzi”, „Nie można mu ufać”. Mówili też: „Mógł być wtyką”. Nie wiem, czy Bermejo to wiedział albo czy był tego wystarczająco świadomy, ale wiele z tych odpowiedzi daje się niewątpliwie wytłumaczyć głębokimi urazami spowodowanymi wewnętrznymi walkami w CNT w latach siedemdziesiątych, walkami, w których Marco odegrał niepoślednią rolę: w każdym razie Bermejo uznał tę jednomyślność za podejrzaną. Podejrzane wydało mu się również to, że Marco, którego oficjalna biografia zapewniała, że po nielegalnym wyjeździe z Hiszpanii i jeszcze zanim wysłano go do obozu we Flossenbürgu, został aresztowany w Marsylii, nie utrzymywał żadnego kontaktu z francuskim stowarzyszeniem Amical zrzeszającym dawnych więźniów Flossenbürga, i że w stowarzyszeniu też nikt o nim nie słyszał. Nie słyszeli o nim także w Hiszpańskiej Federacji Deportowanych i Więźniów Politycznych (mającej siedzibę we Francji). Ten szczegół wydał się bardziej niż podejrzany, bo Bermejo uznawał za prawie niemożliwe, by hiszpański anarchista ocalały z obozu nazistowskiego nie nawiązał z tą organizacją żadnego kontaktu. Rzecz jasna Bermejo zwrócił się do archiwum Muzeum Miejsca Pamięci we Flossenbürgu z prośbą o informacje na temat Marca, na co mu odpowiedziano, że w księgach ewidencyjnych obozu nie figuruje żaden Marco. Ponadto Bermejo nadal nie umiał sobie wytłumaczyć rzucającego się w oczy rozdźwięku już nie tylko między obfitością, epicką barwnością i sentymentalną zawartością opowieści Marca a oszczędnymi zazwyczaj i szarymi relacjami innych deportowanych, lecz przede wszystkim między elokwencją Marca w sytuacjach publicznych i jego kategoryczną odmową porozmawiania o przeszłości prywatnie.

Co jednak napełniało go największą podejrzliwością i w połączeniu z poprzednimi wątpliwościami przywiodło ostatecznie do wniosku, że Marco zmyślił swoją historię, a przynajmniej dużą jej część, to to, że w miarę zagłębiania się w rozmaite relacje Marca i odkrywania w nich sprzeczności, a nawet absurdów, powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że nie sposób było złożyć ich na karb złej pamięci Marca ani błędów popełnionych przez jego rozmówców, dziennikarzy lub pisarzy spisujących jego wspomnienia, i że Marco zmieniał swoją biografię świadomie. Zaczął nawet przeczuwać prawdę, domyślać się, że pewnie Marco rzeczywiście wyjechał do Niemiec w latach czterdziestych, jednak nie jako deportowany, lecz na ochotnika, do pracy, ponieważ w niektórych relacjach jego droga przez Francję do Niemiec bardzo przypominała tę pokonywaną przez hiszpańskich robotników – na przykład Marco wspominał przynajmniej dwukrotnie miasto Metz, z którego takich robotników rozsyłano dalej do rozmaitych miejsc w Niemczech – i ponieważ Bermejo wiedział, że Marco pracował w przemyśle metalurgicznym, a jedna z pierwszych grup, jakie wyjechały z Barcelony, składała się z robotników tej właśnie specjalności, i że w dodatku grupa ta wylądowała ostatecznie na północy Niemiec, gdzie Marco, jak sam twierdził, spędził jakiś czas w więzieniu. Krótko mówiąc: w początkach maja 2004 roku Bermejo, który pisał wtedy z Sandrą Checą tekst demaskujący jako przebierańca rzekomego deportowanego Antonia Pastora, nie miał jeszcze w ręku twardych dowodów, ale był już absolutnie przekonany, że Marco też jest hochsztaplerem.

To właśnie wtedy doszło do ostatniego spotkania z Markiem. Jak już mówiłem, miało miejsce w Ebensee, podobozie Mauthausen położonym w górzystym terenie, gdzie już

w trakcie wojny naziści wykopali serię podziemnych schronów, by umieścić w nich fabryki broni i zabezpieczyć je przed alianckimi bombardowaniami. Odbywała się tam uroczystość na pamiątkę wyzwolenia Mauthausen, skromne wydarzenie poprzedzające główne uroczystości, które nazajutrz były zaplanowane w centralnym obozie. Bermejo i Marco spotkali się w jednym z tuneli podobozu. Rozmawiali. Marco był w otoczeniu grupy młodzieży, powiedział Bermejo, że to studenci, że przyjechali aż z Barcelony, dzięki wsparciu Amical, i że on im tu służył za przewodnika. Następnie mówił o działalności Amical, coraz intensywniejszej i różnorodnej, i powiedział, że w następnym roku, kiedy przypada sześćdziesiąta rocznica wyzwolenia Mauthausen, postarają się sprowadzić na obchody jakąś ważną figurę, członka albo przedstawiciela rządu. Następnie doszło do wymiany zdań, która zapisała się Bermejowi w pamięci słowo po słowie. „Szybujemy bardzo wysoko – powiedział Marco, odnosząc się do stowarzyszenia za jego prezesury. – Coraz wyżej”. Bermejo mu na to odpowiedział: „No cóż, miejmy nadzieję, że nie będzie to lot Ikarą”. Wbrew temu, czego się pewnie spodziewał, Marco nie wydawał się urażony jego ironią. Nim się pożegnał i ruszył w dalszy obchód ze studentami, rzucił tylko: „Nasi Ikarzy są już w latach i coraz bardziej strudzeni, ale nie dają za wygraną, walczą dalej”. Bermejo dobrze pamięta, że mówiąc o lekkomyślnym synu Dedala, który runął do morza i umarł, bo wzbił się zbyt wysoko na zrobionych mu przez ojca skrzydłach z wosku, zaakcentował jego imię na przedostatniej sylabie, podczas gdy Marco wymówił je z akcentem na pierwszej. Oba sposoby akcentowania są po hiszpańsku poprawne.

Bermejo znalazł wreszcie brakujący mu dowód na początku następnego roku. Zapisał to w swoim prywatnym dzienniku, więc można podać dokładną datę: 21 stycznia. Za tydzień hiszpański parlament miał po raz pierwszy obejść oficjalnie Dzień Holocaustu, zapraszając na swoje posiedzenie, również po raz pierwszy, grupę hiszpańskich deportowanych, a Marco miał na tej sesji wygłosić przemówienie. Za niewiele więcej niż trzy miesiące w Mauthausen miały odbyć się uroczystości z okazji sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu, po raz pierwszy miał w nich uczestniczyć premier Hiszpanii, a głos na nich miał po raz pierwszy zabrać były więzień hiszpański, i tym więźniem do ostatniej chwili miał być Marco. Bermejo nie natknął się na ten dowód przypadkowo. Przyszło mu do głowy, że może znajdzie jakieś dokumenty dotyczące Marca w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych i szybko przekonał się, że intuicja go nie zawiodła.

W rzeczy samej: zachował się tam dokument dotyczący Marca. Tylko trzy strony tekstu, ale warto je było przeczytać. Kapitanat IV Okręgu Wojskowego, z siedzibą w Barcelonie, informuje, że Marco nie stawiał się do wojska i zapytuje Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy prawdą jest, jakoby Marco przebywał dobrowolnie w Niemczech na robotach, zgodnie z zapewnieniami rodziny; w odpowiedzi ministerstwo informuje, że rodzina mówi prawdę, że Marco istotnie przebywa w Niemczech, a konkretnie w Kilonii, jako dobrowolny robotnik w firmie Deutsche Werke Werft. Innymi słowy wojsko pytało o potencjalnego zbiega, a ministerstwo odpowiadało, że zbieg nie jest zbiegiem, lecz dobrym obywatelem, który wyjechał do Niemiec w ramach porozumienia hiszpańsko-niemieckiego podpisanego przez Franco i Hitlera. To były tylko trzy strony, ale wystarczały, żeby

udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że przynajmniej zasadnicza część relacji Marca była, w każdym ze swoich wariantów, fałszywa: nie wyjechał z Hiszpanii potajemnie, nie został aresztowany we Francji i wysłany do Niemiec, nie był deportowany z Hiszpanii. Rzecz jasna, ten dokument nie dowodził, że Marco nie był więźniem obozu we Flossenbürgu, ponieważ nie wykluczał, że po przybyciu do Niemiec mógł zostać aresztowany przez nazistów i wysłany do obozu koncentracyjnego, jak przytrafiło się to różnym innym ochotnikom: dowodził jednak, że Marco kłamie. To były tylko trzy strony, ale wystarczały, żeby Marca zniszczyć.

Euforia Bermeja z powodu tego odkrycia musiała trwać niedługo, ponieważ od razu dopada go pytanie: i co teraz? Wbrew późniejszym komentarzom Bermejo nie czuł najmniejszej niechęci do Marca; nie pociągała go także rola zrządy, który psuje innym zabawę, ani nie miał ochoty pastwić się nad nikim, a tym bardziej nad starcem. Niewiele wcześniej, on i Sandra Checa musieli pozbyć się wielu skrupułów, nim opublikowali artykuł demaskujący oszustwo Antonia Pastora – zastanawiali się, czy mają prawo narażać na szwank reputację człowieka w imię prawdy historycznej i jakie to może mieć konsekwencje; ostatecznie w ich artykule nie pojawiło się nazwisko Pastora, posłużyli się inicjałami. I co teraz?, zastanawiał się Bermejo. W pierwszym odruchu zadzwonił do kilku zaufanych osób i podzielił się z nimi swoim odkryciem: opowiedział o nim dwóm deportowanym, Paco Aurze i Franciscowi Batiste; opowiedział Jordiemu Rierze, synowi deportowanego i członkowi Amical; może opowiedział jeszcze komuś. Nikt z nich nie umiał mu doradzić, co powinien zrobić, a przynajmniej jedna osoba powiedziała, żeby robił co chce, byle tak tego nie zostawił.

W początkach lutego, a dokładnie 9 dnia tego miesiąca (znowu według dziennika Bermeja), wydarzyło się coś niezwykłego: Marco zadzwonił na jego domowy telefon. Nigdy wcześniej tego nie robił. Bez owijania w bawełnę powiedział, że dochodzą go słuchy, jakoby Bermejo rozpowiadał o swoich wątpliwościach na temat jego życiorysu, a konkretnie, deportacji do obozu. Bermejo nie zaprzeczył, a Marco ciągnął dalej: powiedział, że szanuje jego pracę i rozumie chęć odtworzenia zdarzeń historycznych oraz odnalezienia potrzebnych dokumentów; powiedział, że rozumie też, że opowieść o jego przeżyciach mogła wzbudzić jakieś wątpliwości albo że historyk mógł w niej znaleźć jakieś szokujące elementy; powiedział, że mimo pozorów wszystko ma swoje wytłumaczenie, że powoli i z odrobiną dobrej woli wszystko można rozwiązać i że jest gotów wyjaśnić znaki zapytania i pomóc rozwiązać wszelkie wątpliwości lub niejasności, lub to, co Bermejo postrzega jako wątpliwe i niejasne, i uważa, że trzeba to wyjaśnić; powiedział, że często przyjeżdża do Madrytu, w związku z czym mógłby do niego zadzwonić pod koniec lutego albo na początku marca, jeśli Bermejo ma na to ochotę, mogliby się spotkać i on odpowiedziałby mu na wszystkie pytania, i tak zakończyliby to nieporozumienie. To, albo mniej więcej to powiedział Marco, albo Bermejo pamięta mniej więcej, że Marco powiedział; jakkolwiek przede wszystkim Bermejo pamięta swoje nieodparte wrażenie, że pod tą przemową skrywało się wiele niewidocznych dyskursów, nieskończona liczba podtekstów, a wszystkie miały na celu go omotać, uwieść, to znaczy dać mu do zrozumienia, jakie korzyści wyniknęłyby z dojścia do porozumienia, a jakie trudności, gdyby do takiego porozumienia nie doszli, i Bermejo zapewnia, że dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z mistrzem manipulacji.

Mimo to przyjął propozycję Marca i, nim się pożegnali, powiedział, że czeka na jego telefon.

Marco nie zadzwonił do Bermeja w lutym; nie zadzwonił też w marcu. Któregoś dnia Bermejo został zaproszony przez Javiera Morena Luzona, wykładowcę z Uniwersytetu Complutense, do Ośrodka Studiów Politycznych i Konstytucjonalnych przy kancelarii premiera. Moreno Luzón pracował w ośrodku i chciał z Bermejem porozmawiać o dniach poświęconych deportacjom wojennym zaplanowanych na maj w Towarzystwie Sztuk Pięknych w Madrycie, których był koordynatorem. Zwrócił się do Bermeja z prośbą o współpracę. Przy okazji rozmawiali o uroczystych obchodach sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu Mauthausen, które wypadały krótko przed dniami poświęconymi deportacjom i, jak chodziły słuchy, miał w nich po raz pierwszy wziąć udział premier Hiszpanii, namawiany do tego właśnie przez ośrodek. W rozmowie o Mauthausen uczestniczył dyrektor ośrodka, historyk José Álvarez Junco. W pewnej chwili oddalił się, żeby zadzwonić, i po chwili wrócił z potwierdzeniem: premier Rodríguez Zapatero poważnie bierze pod uwagę udział w majowych uroczystościach w obozie. Dopiero wtedy Bermejo zdecydował się powiedzieć, że jest problem. Jaki? – zapytali. Problem z prezesem stowarzyszenia Amical de Mauthausen, odparł, a następnie wyjaśnił, w czym rzecz. Gdy skończył, Moreno Luzón zapowiedział, że nie zaprosi Marca na dni poświęcone deportacjom w Towarzystwie Sztuk Pięknych; jednakże żaden z nich nie był zdecydowany, jakie inne kroki należałoby podjąć, zostawili więc tę sprawę w zawieszeniu.

Uczestnicy tego spotkania nie pamiętają, którego dokładnie dnia się odbyło, ale możemy przyjąć, że pod koniec marca.

W owym czasie Bermejo już od wielu tygodni czekał na telefon od Marca i wiadomość, że mogą się spotkać w Madrycie. Po następnych dwóch albo trzech tygodniach, zmęczony tym biernym oczekiwaniem, sam spróbował dodzwonić się do Marca. Nie udało mu się. Ostatecznie wysłał mu wiadomość faksem na adres stowarzyszenia. List nosi datę 15 kwietnia i jest w nim napisane, co następuje:

Enricu!

Zadzwoiłeś do mnie w lutym, mówiąc, że jesteś gotów spotkać się ze mną przy okazji swojej kolejnej wizyty w Madrycie. Powiedziałeś mi wówczas, że wkrótce do mnie zadzwonisz i że moglibyśmy się spotkać pod koniec lutego albo na początku marca (to Twoje słowa). Oba te terminy dawno minęły, ale Ty się nie odzywasz. Rzeczywiście bardzo mi zależy na spotkaniu i na tym, żeby usłyszeć relację bezpośrednio od Ciebie.

Mam nadzieję, że uda nam się umówić.

Dziękuję za zainteresowanie i serdecznie pozdrawiam.

Kilka dni później Marco ponownie zadzwonił do Bermejo. Tym razem rozmowa była krótsza. Najpierw przeprosił, że nie zadzwonił wcześniej, tłumacząc, że nie mógł pojechać do Madrytu, ponieważ przygotowania do wielkich uroczystości, jakie w maju zaplanowano w Mauthausen, pochłaniały mu cały czas, mówił, że on i całe stowarzyszenie są zawałeni pracą, a na koniec stwierdził, że chwilowo spotkanie jest niemożliwe i powinni przełożyć je na czas po obchodach rocznicy wyzwolenia obozu i że wtedy na pewno do niego zadzwoni i udzieli wyjaśnień, które rozwieją wszystkie jego wątpliwości. Bermejo słuchał uważnie i zrozumiał, że nie ma sensu podejmować dyskusji, powiedział tylko Marcowi, że skoro tak postanowił, to trudno, ale że jego zdaniem nie jest to najlepsze rozwiązanie.

Na tym zakończyła się rozmowa Bermeja i Marca. Kilka dni potem było już wiadomo, że José Luis Rodríguez Zapatero jako pierwszy w historii premier Hiszpanii uda się do Mauthausen, żeby wziąć udział w uroczystych obchodach sześćdziesięciolecia

wyzwolenia obozu, poinformowano także, że pierwszym deportowanym, jaki zabierze głos podczas głównej uroczystości, będzie Enric Marco. Bermejo zrozumiał, że to wszystko zmienia i że jeśli nie podejmie żadnych kroków, będzie udawał, że nic się nie stało, i pozwoli na ostateczną konsekrację oszustwa Marca, nigdy sobie tego nie wybaczy. Wszystkie opory, skrupuły i wahania paraliżujące go do tej pory ulotniły się w okamgnieniu. Zadzwoił do Morena Luzona i powiedział, że nie ma zamiaru być współodpowiedzialny za tę maskaradę i chce powiadomić premiera, albo kogoś z jego najbliższych współpracowników, o tym, co wie. Moreno Luzón poprosił go o sporządzenie i przysłanie raportu. Bermejo sporządził i wysłał raport: wysłał go także do członka Fundacji imienia Pablo Iglesiasa, należącej do partii premiera, do jednego członka stowarzyszenia Amical i do kilku historyków. Gdy to zrobił, poczuł, że spełnił swój obowiązek i odetchnął z ulgą. Do rocznicy wyzwolenia Mauthausen brakowało zaledwie piętnastu dni, ale on już przestał interesować się tą sprawą. Albo prawie.

Jednego jestem pewien: kiedy starałem się dotrzeć do prawdy o Marcu, nie byłem jedyną osobą mającą wątpliwości na temat tej książki, której przez tyle lat nie chciałem napisać; miał je również Marco.

Na początku mojego śledztwa nasza wzajemna relacja nie była dobra, by nie powiedzieć, że była zła. Ja ponosiłem za to winę. Gdy już przestałem wzbraniać się przed pisaniem książki i ustaliłem z Markiem, że opowie mi swoją historię w całości i że, z pomocą mego syna, nagram go w trakcie tego opowiadania, obaj zaczęliśmy się spotykać dość regularnie u mnie w pracowni w dzielnicy Gracia. Przeglądając nagrania z pierwszych naszych rozmów, wydaję się sam sobie zimny, spięty, krytyczny i sceptyczny, jakbym nie potrafił pokonać niechęci do Marca albo jakbym nie chciał jej pokonać, a może jakbym obawiał się ją pokonać. Nie tylko chodzi o to, że nie miałem do niego zaufania albo nie wierzyłem w ani jedno jego słowo: rzecz w tym, że to było widać. Gdy teraz oglądam nagrania, moja postawa – prócz tego że strategicznie błędna, obłudna i żalosna – wydaje mi się chwilami filisterską pozą inkwizytora albo katechety, co nieraz prowadzi do tego, że domagam się od Marca, by przyznał, że jego kłamstwa wyrządziły szkodę, i żeby tych kłamstw żałował. On zawsze odmawiał. To znaczy zawsze, ilekroć ja się tego domagałem. Mówiłem już, że Marco może mieć wiele różnych wad, ale nie jest głupi, tak więc nie zawsze nie chciał przyznać, że skłamał i że postąpił źle; czasem, przyznawał półgębkiem i mimochodem,

wyłącznie wtedy, gdy sam uznawał to za stosowne, nie pod przymusem, i zawsze potem przykrywał to przyznanie się swoją zwyczajową przemową na temat korzyści wynikłych z jego kłamstw oraz na temat kłamstw, złośliwości i nieścisłości, jakie się na jego temat rozpowszechnia.

W tamtych dniach – mówię o zimie i wiosnie 2013 roku – Marco był człowiekiem zranionym, ale zarazem zbuntowanym i upominającym się stale o samego siebie, a ja jeszcze nie nauczyłem się z nim obchodzić; to naturalne zatem, że na początku doszło między nami do zderzenia. W odróżnieniu od tego, co Truman Capote zrobił z Dickiem Hickockiem i z Perrym Smithem, dwoma młodymi mordercami, którzy byli bohaterami jego książki *Z zimną krwią*, nie zaprzyjaźniłem się od razu z Markiem, w istocie nasze robocze przesłuchania często przypominały bitwy, w których ja atakowałem, bombardując go jego własnymi sprzecznościami, podstępami i łgarstwami, a on kontratakował przy użyciu całej artylerii argumentów, wielkiej i potężnej. Nieraz rozstawaliśmy się w drzwiach pracowni bez słowa i nie podając sobie ręki na pożegnanie, i po takich razach przestawaliśmy potem się widywać i do siebie dzwonić przez jakiś czas. Wtedy znowu się zadreślałem, znowu przypominałem sobie o Vargasie Llosie i Claudiu Magrisie, którzy uważali, że pewnie nie da się poznać prawdziwej historii Marca, znowu myślałem o Fernandzie Arrabalu, uważającym, że kłamca nie ma historii, że gdyby ją miał, nikt nie ośmieliłby się przedstawić jej jako historii prawdziwej ani prawdziwej opowieści, ani powieści bez fikcji, ponieważ nie można jej opowiedzieć, nie kłamiąc; krótko mówiąc, znowu myślałem, że pomyliłem się co do tej książki albo że nie da się jej napisać, albo że nie powinienem jej pisać.

Szczęśliwie tamtej zimy dużo podróżowałem. Byłem w Kolumbii, Meksyku, w Paryżu, Brukseli, w Trydencie i dwa tygodnie spędziłem w Pordenone, na północy Włoch, by na całą wiosnę i lato przenieść się w końcu do Berlina. Kiedy zatem wpadałem do Barcelony, byłem zrelaksowany i pełen energii i nic mnie nie dręczyło, miałem świeże pomysły w sprawie Marca oraz ochotę na kolejne z nim rozmowy. Naturalnie znowu do niego dzwoniłem. Czasem Marco odpowiadał od razu, ale kiedy indziej nie odpowiadał albo długo trwało, nim odpowiedział, albo odpowiadał, mówiąc, że nie możemy się spotkać i wymyślając po temu byle pretekst: że jest zajęty albo nie czuje się dobrze, albo jego żona i córki nie chcą, żebyśmy się spotykali, bo nasze rozmowy bardzo go rozstrajają. Wtedy, żeby go jednak nakłonić do spotkania, mówiłem mu prawdę albo prawdę połowiczną; mówiłem, na przykład, że jestem w Barcelonie tylko przejazdem i może się zdarzyć, że następna okazja będzie dopiero za wiele miesięcy. Skutek był zazwyczaj natychmiastowy: Marco zmieniał zdanie i umawiał się ze mną w mojej pracowni jeszcze tego samego popołudnia albo rankiem następnego dnia. Tak zrozumiałem, że nie ja jeden miałem wątpliwości i że, jak powiedział kierowany intuicją Joan Amézaga pod koniec naszego poświęconego Marcowi i FAPAC obiadu z moją siostrą Blancą i Montse Cardoną w La Troballa, nasz człowiek był rozdarty między próżnością a strachem: z jednej strony schlebiało mu, że pisałem o nim książkę, ale z drugiej strony bał się tego, co o nim w tej książce napiszę. Było tak przynajmniej na początku naszej znajomości: Marco chciał i nie chciał, żebym o nim pisał, i dlatego chciał i nie chciał ze mną rozmawiać. Albo wykładając sprawy jaśniej: Marco chciał, żebym napisał o nim taką książkę, jaką sam chętnie by

przeczytał, książkę, jaka była mu potrzebna, książkę, która ostatecznie go zrehabilituje.

Uprzedziłem go od razu na wstępie, z absolutną jasnością, że nie zamierzam napisać takiej książki; jednakże, przynajmniej na początku, on wciąż się starał, żebym taką właśnie napisał, a przynajmniej próbował kontrolować to, co zamierzałem napisać. Teoretycznie Marco nie tylko miał nie stwarzać przeszkód, lecz miał pomagać; w praktyce tak nie było. Posiadał archiwum z wieloma tajnymi dokumentami, papierami osobistymi i najróżniejszymi pismami urzędowymi, ale gdy chciałem się im przyjrzeć, kategorycznie odmówił. Zawsze przychodził do mojej pracowni, targając teczki wypchane papierami, ale były to papiery bardzo starannie przez niego wybrane, wszystkie przemawiały za jego wersją historii. Czasem prosiłem go o dokumenty, a on obiecywał mi je przynieść, ale nie przynosił. Innym razem przynosił, pozwalał mi rzucić na nie okiem i zaraz zabierał, nie pozwalał zrobić z nich fotokopii. Bywało, że odwoływał bez wyjaśnienia nasze spotkania, a kiedy indziej zjawiał się niezapowiedziany w towarzystwie jeszcze kogoś (młodego filmowca, który przedstawiał niewykonalną propozycję filmowania naszych rozmów, aby zrobić z tego dokument o procesie powstawania książki, albo coś w tym rodzaju), co obracało wniwecz nasze spotkanie. Nie ulega wątpliwości, że Marco ukrywał przede mną informacje, oszukiwał mnie, kłamał, a gdy go przyłapałem na kłamstwie, natychmiast znajdował jakieś wytłumaczenie, które zmieniało kłamstwo w błąd lub nieporozumienie. Często proponował, żebym umówił się z ludźmi, którzy go znali w różnych momentach jego życia i mogli mi o nim opowiedzieć, ale niemal zawsze zwlekał tygodniami albo miesiącami, nim dał mi ich

telefon albo adres i podczas gdy ja czekałem, on z tymi ludźmi rozmawiał albo do nich pisał, uprzedzając o moich odwiedzinach i zamiarach (a przynajmniej ja tak to sobie wyobrażałem) i starając się tak ich zmanipulować, by powiedzieli mi to, co on chciał, żeby mi powiedzieli. Był szczwany jak lis i potrafił wymykać się jak węgorz, i dość szybko uprzytomniłem sobie, że współpracuje ze mną nie po to, żeby mi pomóc, lecz po to, żeby pomoc udawać, a naprawdę mieć mnie na oku, kontrolować moje kroki, skołować mnie w labiryncie kłamstwa i tym sposobem sprawić, żebym napisał taką książkę, o jakiej on marzył.

Nie udało mu się, albo myślę, że mu się nie udało. Nie żebym ja mu na to nie pozwolił, lecz dlatego, że zwyczajnie nie mogło się udać: nie można napisać książki, którą kto inny sobie wymyślił, a poza tym moja mogła zostać napisana tylko na podstawie prawdy i faktów jak najbardziej przystających do prawdy; nie można też ukryć takiej prawdy, jak prawda Marca, jeżeli ktoś postanowi za wszelką cenę ją ujawnić. Marco jest mistrzowskim blagierem, ale kiedy wymyślał swoje kłamstwa, trzydzieści, czterdzieści albo pięćdziesiąt lat wcześniej, nie mógł nawet przypuszczać, że pewnego dnia jakiś pisarz poświęci się całą duszą i ciałem ich dekonstrukcji, i nie uznał za konieczne zabezpieczyć je na wypadek takiego nieprawdopodobnego zainteresowania w przyszłości. Może jest i inny powód, a raczej inna hipoteza, która wyjaśnia porażkę Marca – i przecież nie była to porażka, lecz sukces: może zrozumiał, że nie da się ukryć prawdy ani sprawić, żebym napisał rehabilitującą go książkę, Marco zrozumiał też, że jedynym sposobem na zrehabilitowanie się jest opowiedzenie mi właśnie prawdy.

Nie mam pewności, czy istotnie Marco doszedł kiedyś do takiego wniosku, ale jestem pewien, że ja bardzo się o to

staralem. Zaczalem po kilku miesiacach sledztwa i walki z nim i gdy juz pokonalem moja poczatkowa do niego niechec i przestalem przybierac postawe sędziego albo prokuratora, albo inkwizytora, albo katechety, i zrozumialem, ze moje zadanie polega na usuwaniu z jego przeszlosci warstw fikcji, jak przy obieraniu usuwa sie kolejne warstwy cebuli, i ze zdoalam to osiagnac tylko w owczas, gdy zaskarbie sobie jego zaufanie, podobnie jak zrobil to Capote z Dickiem Hickockiem i Perrym Smithem. Bardzo byl mi w tym przydatny Benito Bermejo, a raczej zabójczy i dlugi cień, jaki Benito Bermejo rzucal na Marca. Mowilem Marcowi, nie calkiem zgodnie z prawda, ale tez nie do konca klamiac, ze Bermejo nie zarzucil jeszcze pomyslu napisania o nim ksiazki i ze w związku z tym moja ksiazka musi sie dobrze broniec, bo inaczej Bermejo zrobi z nas siekanine, rozerwie nas na strzepy, zniszczy nasza wersje zdarzen oraz nas obu, jego i mnie. Mowilem mu, ze jestem po jego stronie, a Bermejo nie jest, lepiej wiec, zeby powiedzial mi prawde i nie zostawial jej dla niego, bo Bermejo ma zamiar uzyc jej do zlých celów, a ja do dobrych. Naciskalem na Marca, ze powinniśmy przedstawic relacje absolutnie rzeczywista, odporna na ataki, prawdziwa, nie tylko prawdopodobna, relacje, ktora chocby nie do konca udokumentowana (nie mogla taka byc), bedzie pokrywac sie w jak najwiekszym mozliwym stopniu z będadymi w naszej dyspozycji dokumentami, a zatem z faktami. Mowilem Marcowi: Bermejo to zlo w postaci czystej i tylko ja moge to zlo oddalic, ale w tym celu potrzebuje prawdy.

Tak rozpoczal sie nowy i dziwny etap mojej relacji z Markiem. Bylem juz wtedy doglebnie zanurzony w jego biografii, wysluchalem juz, jak opowiedzial mi swoje zycie od poczatku do konca, przeczytalem stosy dokumentow na jego temat

i zdążyłem już porozmawiać o nim z liczną grupą znających go kiedyś osób. Dogrzebując się do dokumentów, których nawet sam Marco nigdy nie widział, robiąc zestawienia danych i dat, porównując świadectwa, odkryłem wiele prawd ze skrywanej biografii Marca i zdemaskowałem wiele kłamstw zawartych w tej oficjalnej; nie dość na tym: konfrontując Marca z jawnymi sprzecznościami lub z oczywistymi fałszerstwami, zdołałem zmusić go do przyznania, że jedne były prawdą, a inne kłamstwem. Co najbardziej było w tym wszystkim zaskakującego (mnie najbardziej zaskoczyło) to, że im częściej łapałem go na kłamstwie, im lepiej poznawałem nędzną i smutną rzeczywistość, którą latami ukrywał za swoją fasadą, im bardziej konfrontowałem się z rzeczywistym łajdakiem skrywającym się za maską bohatera, tym on robił mi się bliższy, wzbudzał we mnie większą litość, tym lepiej się z nim czułem. Kłamię. Ja też staram się ukryć prawdę. Prawda jest taka, że nadeszła chwila, gdy poczułem do niego sympatię, chwilami nawet jakiś rodzaj podziwu, którego sam sobie nie umiałem wytłumaczyć i który mnie uwierał.

Nim nastąpił ten moment, Marco zdążył już otworzyć przede mną na oścież swoje archiwa, a nawet załatwić mi spotkanie ze swoją skrywaną córką, dzieckiem z pierwszego, również skrywanego małżeństwa. Nim nastąpił ten moment, w jego biografii pozostało już niewiele punktów spornych lub tego, co zgodziliśmy się eufemistycznie nazywać punktami spornymi: kłamstw jeszcze nie uznanych przez Marca za kłamstwa, a których ja nie byłem skłonny uznać za prawdę, między innymi dlatego dowodziłem, że nikt im nie da wiary, zaczynając od Benita Bermejo. Przypominam sobie poranek, gdy siedząc w przeszklonym holu u niego w domu, spieraliśmy się – jak

zawsze zaciekle (ale już nie w napięciu, nie agresywnie) – o ostatnie takie punkty, ja starając się, żeby uznał prawdę, a on starając się ocalić w miarę możliwości kłamstwo. Gdy Marco ustąpił już w trzech z tych punktów, a raczej kiedy już daliśmy spokój dyskusji na ich temat, bo miałem pewność, że Marco skapitulował i ostatecznie ustąpi i uzna prawdę (że nie brał udziału w ataku na koszary w Sant Andreu 19 lipca 1936 roku, nazajutrz po wybuchu wojny domowej; że nie wrócił ranny z frontu zaraz po zakończeniu wojny i uregulował swoją sytuację, i nigdy w okresie powojnia nie konspirował w podziemiu; że nigdy nie należał do UJA Fernandez Valleta i jego towarzyszy), dałem mu do zrozumienia, że przesłuchanie się zakończyło.

– A, byłbym zapomniał – rzuciłem jeszcze przebiegle, gdy on już wstawał, mniej czujny i bardzo zmęczony po godzinach dyskusji, albo może gdy już tylko miał dosyć dyskusji. – Jest jeszcze jeden punkt sporny. Ostatni.

Wysłuchał go na stojąco, patrząc na mnie z gasnącym zainteresowaniem. Powiedziałem mu, że nie wierzę, żeby brał udział w inwazji na Majorkę razem z wujem Anastasim i że jakkolwiek nie potrafię dowieść, że to nieprawda, wszystko na to wskazuje. Gdy skończyłem wymieniać poszlaki, opadł na krzesło, oparł się łokciami o stół i ujął głowę w dłonie w geście, który – choć melodramatyczny – wcale mi się melodramatyczny nie wydał. Usłyszałem, jak mówi cichutko:

– Zostaw mi coś, proszę.

Spotkaliśmy się ponownie po dwóch albo trzech dniach. Tego ranka pojechałem po niego samochodem do Sant Cugat bardzo wcześnie i aż do popołudnia jeździliśmy po różnych miejscach jego młodości i wieku dojrzałego, w dzielnicach Collblanc,

Gracia i El Guinardó, rozpoznając ulice i domy, w których mieszkał, rozmawiając z sąsiadami, którzy go znali i przepowiadając sobie na nowo epizody z jego życia. Podczas tych godzin Marco przyznał milcząco lub wyraźnie, że wszystkie lub prawie wszystkie punkty sporne, jakie mu zgłosiłem podczas naszego poprzedniego spotkania, nie były wcale sporne, były podkreconymi, ubarwionymi prawdami lub zwykłymi kłamstwami. Nie mogę powiedzieć, że mnie zaskoczył, bo znałem już jego sposób postępowania w naszych pojedynkach o przeszłość: jeżeli przedstawione przeze mnie dowody były niezbite (czasem nawet gdy takie nie były), Marco w końcu, w taki czy inny sposób, godził się na prawdę, mimo że czasem potrzebował na to wielu godzin albo dni, albo tygodni, bo wcześniej musiał znaleźć jakieś honorowe wyjście, jakieś wytłumaczenie dla swego kłamstwa, i najczęściej je znajdował, wyjście albo wytłumaczenie, mówiąc o pomyłkach, złudzeniach i dziwactwach, wpływie mijającego czasu i pożytecznej niedoskonałości własnej pamięci. Tak czy inaczej, gdy wróciliśmy pod jego dom w Sant Cugat, już o zmierzchu, Marco pewnie wciąż jeszcze rozmyślał o tych kłamstwach, do których się przede mną przyznał, bo zanim wysiadł z samochodu, powiedział z przygnębieniem zmieszanym z rezygnacją:

– Naprawdę mam wrażenie, że działałam na własną niekorzyść.

Zrozumiałem i pospieszyłem, by go poprawić:

– Nie: działasz na niekorzyść fałszywego Enrica Marca i na korzyść tego prawdziwego. – Marco się nie odezwał, dopowiedziałem zatem: – Działasz na korzyść samego siebie, jak pod koniec *Don Kichota* Alonso Quijano działa na korzyść samego siebie, przestając być Don Kichotem.

Marco spojrzał na mnie zaciekawiony, może zaniepokojony.

– Kiedy odzyskuje rozum, tak? – zapytał.

– Właśnie – odparłem i w tej samej chwili ujrzałem w wyobraźni chłopca takiego, jak on teraz, łysego i z wąsami, i pomarszczonego, jak czyta swojej macosze alkoholizce *Don Kichota*, osiemdziesiąt lat wcześniej, w niechlujnym pokoju oświetlonym lampą Petromax. – Kiedy przestaje być fałszywym i bohaterskim Don Kichotem i na powrót staje się prawdziwym Alonsem Quijano.

Szczery śmiech przegonił niepokój ze spojrzenia Marca.

– Dobrym – uściślił. – Alonsem Quijano Dobrym. Zastanawiam się, ile razy jeszcze musimy przeczytać tę książkę, żeby ją do końca zrozumieć.

Nie pamiętam ani słowa więcej z tej rozmowy, jeśli w ogóle było coś więcej. Pamiętam natomiast, że zaraz potem, kiedy wracałem już do Barcelony drogą La Rabassada, po raz pierwszy poczułem, że Marco już nie chce ukrywać się za kłamstwem, a przynajmniej nie wobec mnie, i że chce tylko prawdy i nic, tylko prawdy, jakby odkrył, że prozaiczna, wstydliva i autentyczna biografia, jaką miałem zamiar napisać, może okazać się lepsza albo pożyteczniejsza niż biografia znakomita, poetycka i fałszywa, jaką sam zawsze przedstawiał, a szczególnie pamiętam, że kiedy przejechałem już szczyt wzgórza Tibidabo i zacząłem zjeżdżać w stronę miasta i w głębi wyłoniła się Barcelona, a dalej czerwonawe, połyskliwe w zmierzchającym słońcu morze, przypomniałem sobie ów dziwny ustęp pod koniec *Don Kichota*, w którym Cervantes każe mówić swemu pióru („Dla mnie jedynie urodził się Don Kichot i ja dla niego; on umiał działać, a ja pisać; i tylko my dwaj stanowimy jedność”^[2]) i przez sekundę wydało mi się, że rozumiem, co Cervantes albo pióro Cervantesa chcieli

powiedzieć, i zaskoczyła mnie zapierająca dech w piersi oczywistość: Marco nigdy nie chciał mnie oszukać, Marco cały czas wystawiał mnie na próbę, żeby sprawdzić, czy zasługuję na to, żeby opowiedział mi prawdę, nie ja odgadłem prawdę, lecz to Marco mnie do niej doprowadził, Marco na przestrzeni niemal całego stulecia zbudował monumentalne kłamstwo o swoim życiu nie po to, żeby kogoś oszukać, albo nie tylko po to, lecz żeby jakiś przyszły pisarz je rozszyfrował przy jego pomocy, a potem je opowiedział i dał poznać światu, i na końcu, żeby pozwolił przemówić swemu komputerowi, jak Cervantes każe mówić swemu pióru („Dla mnie jedynie urodził się Enric Marco i ja dla niego; on umiał działać, a ja pisać, i tylko my dwaj stanowimy jedność”), tak jak Alonso Quijano zbudował Don Kichota i kazał mu popełnić wszystkie jego szaleństwa, aby Cervantes je rozszyfrował i dał poznać światu, jakby Don Kichot i jego pióro stanowili jedność; krótko mówiąc: nie używałem Marca tak, jak Capote użył Dicka Hickocka i Perry’ego Smitha, lecz Marco użył mnie tak, jak Alonso Quijano użył Cervantesa.

Tak przez sekundę pomyślałem, zjeżdżając La Rabassada do miasta. W następnej sekundzie postarałem się o tym zapomnieć.

To była pewnie chwila największej publicznej chwały Enrica Marca, czwartek, 27 stycznia 2005 roku. Tego dnia przed południem, równo sześćdziesiąt lat po wyzwoleniu Auschwitz przez wojska sowieckie, w hiszpańskim Kongresie po raz pierwszy obchodzono uroczyste Dzień Holocaustu i składano hołd prawie dziewięciu tysiącom hiszpańskich republikanów deportowanych do obozów nazistowskich.

Był to ten uroczysty akt zadośćuczynienia, którego od dawna domagali się Marco i deportowani. Wszyscy w Kongresie wysłuchali na stojąco kadyszu, żydowskiej modlitwy żałobnej, odmówionego przez głównego rabina Madrytu; zapalono też sześć świec, by uczcić pamięć sześciu milionów zamordowanych przez nazistów Żydów, wśród nich pół miliona dzieci, a także wszystkich zabitych Cyganów i Hiszpanów, i tych, którzy ryzykowali własne życie, by nie dopuścić do tej zbrodni, oraz wszystkich, którzy zdołali ocaleć. „Zbyt długo zwlekaliśmy z uczczeniem ich pamięci – powiedział przewodniczący Kongresu, Manuel Marín. – Żałuję tego”. Mówił o wszystkich ofiarach nazizmu, ale pewnie szczególnie o deportowanych Hiszpanach.

W imieniu ich wszystkich przemówił Marco. Na stojąco, bez kartki, ponieważ mówił to, co powiedział już wcześniej tysiąc razy i znał to na pamięć. Powiedział na przykład: „Kiedy docieraliśmy do obozów koncentracyjnych tymi cuchnącymi pociągami dla bydła, kazali nam się rozbierać do naga, zabierali nam wszystkie rzeczy; nie tylko chcieli nas ograbić, chcieli,

żebyśmy zostali zupełnie nadzy, bezbronni: obrączka ślubna, bransoletka, łańcuszek, fotografie. Samotni, opuszczeni, bez niczego”. Powiedział też: „Byliśmy normalnymi ludźmi, takimi jak państwo, ale oni nas rozbierali do naga, a potem gryzły nas ich psy, oślepiały ich reflektory, krzyczeli do nas po niemiecku *linke-recht!* [lewa-prawa!]. Nic nie rozumieliśmy, a niezrozumienie rozkazu mogło cię kosztować życie”. A także: „Kiedy przychodziła pierwsza selekcja i nas rozdzielali, mężczyźni w jedną stronę, a dzieci i kobiety w drugą, kobiety zbijały się w krąg, broniły dzieci własnymi ciałami i łokciami, tylko tak mogły bronić”. A także: „Trzeba pamiętać tamten ponury czas. Tamte noce w baraku, gdy nagle rozlegał się krzyk podobny do jęku rannego zwierzęcia. Tamtego mężczyznę, który za dnia zachowywał jeszcze pewną godność i dumę, ale w nocy przestawał nad sobą panować”. I także: „Nie można dopuścić, by to się powtórzyło. By trzeba było patrzeć, jak matki trzymają w objęciach umierające z głodu dzieci, bo brak im w piersiach mleka, aby je nakarmić”. I także: „Amical de Mauthausen powstało, by zaopiekować się tymi Hiszpanami bez ojczyzny. Nie znaleźliśmy się w obozach koncentracyjnych przypadkiem, lecz dlatego że broniliśmy spraw, które uważaliśmy za słuszne. Broniliśmy równych praw w Hiszpanii, która, jak nam się wtedy wydawało, otwierała się na postęp”. I wreszcie: „Każdego roku, idąc w pochodzie w Mauthausen, słyszymy, jak mówią z trybuny: teraz przechodzą hiszpańscy republikanie, pierwsi obrońcy wolności i demokracji w Europie. Nie mieliśmy szczęścia na tej wojnie. Nie mieliśmy też szczęścia po wyjściu z obozów. Nie mieliśmy rządu, który by nam pomógł, który zdjąłby z nas łachmany i dał opiekę lekarską. Ani kraju, do którego moglibyśmy wrócić. Naród żydowski, który tyle

wycierpiał, mógł stworzyć swoją ojczyznę. My nie. Już czas na sprawiedliwość”.

Wystąpienie Marca wszystkich głęboko poruszyło. Jego fragmenty przytoczyły gazety, telewizja i radio. Niektórzy ze słuchających go w Kongresie na żywo – rodziny deportowanych, dziennikarze, najwyżsi rangą politycy – mieli łzy w oczach; inni, jak ambasador Izraela, zareagowali oburzeniem, jakkolwiek jedynie na wzmiankę o swoim kraju, obowiązkowy element w przemówieniach Marca: „Należy wychowywać poprzez naukę historii. Powstają nowe obozy koncentracyjne w Rwandzie, Sierra Leone, Etiopii, gdzie umierają miliony dzieci. Były obozy w Kosowie. I należy to powiedzieć bardzo głośno: niestety są też w Guantánamo i w Palestynie, nie ma wątpliwości, i są w Iraku. Ile jeszcze razy będziemy musieli przypominać?”. Krótko mówiąc, nikt nie pozostał obojętny wobec przemówienia Marca, a on sam został wyniesiony z Kongresu na rękach, jako większy niż kiedykolwiek czempion albo bohater, albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej.

Pomimo tego sukcesu, który odbił się szerokim echem (a może raczej dzięki niemu), następne miesiące były dla Marca pełne wielkiego napięcia. Przede wszystkim, prócz wygłaszania nadal z bezsensowną częstotliwością pogadank i wykładów, musiał zająć się przygotowaniem udziału stowarzyszenia w uroczystościach sześćdziesięciolecia wyzwolenia Mauthausen, przewidzianych jak zwykle na początek maja. Tym razem Amical miało w nich odegrać ważniejszą niż kiedykolwiek rolę: z pomocą stowarzyszenia francuskiego chciało zorganizować w Mauthausen wystawę zatytułowaną *Obrazy i wspomnienia*, zamierzało sprowadzić do Mauthausen wielu ludzi z całej Hiszpanii i negocjowało dwa ważne dla hiszpańskich

deportowanych punkty obchodów: żeby podczas głównej uroczystości w imieniu wszystkich deportowanych przemówił deportowany hiszpański i żeby na uroczystość przybył członek lub przedstawiciel hiszpańskiego rządu. Wszystko to przekraczało chyba możliwości organizacyjne Amical, stowarzyszenia co prawda dynamicznie się rozwijającego, lecz mimo to skromnego; jego prezes poświęcił się temu bez reszty, gotów jak zawsze uzupełnić brak środków godzinami pracy. Jednakże największe napięcie Marca w tych ostatnich miesiącach nie było związane z mającymi nastąpić wydarzeniami, wiązało się z przeszłością, która nigdy nie mija.

Pewnego popołudnia w początkach lutego, wkrótce po wielkim triumfie w hiszpańskim parlamencie, jeden z najbliższych współpracowników Marca w Amical, Enrique Urraca, powiedział mu przy wejściu do siedziby stowarzyszenia przy ulicy Sils, że dotarły do niego pogłoski, jakoby Benito Bermejo kwestionował jego życiorys. Marco nawet się nie zatrzymał, kompletnie zbagatelizował pogłoski, zapewnił Urracę, że to czysta złośliwość, że między nim i Bermejem doszło do osobistego starcia i poprosił, żeby Urraca zapomniał o całej sprawie. Jeszcze tego samego dnia wieczorem Marco zadzwonił do Bermeja. Historyk powiedział mu, co odkrył; Marco odpowiedział, że nie jest tak, jak mu się wydaje, że on mu wszystko może wyjaśnić i że w najbliższych tygodniach wybiera się do Madrytu i będą mieli dobrą sposobność, żeby się spotkać i wyjaśnić tę pomyłkę. Bermejo czekał na telefon Marca, ale w następnych tygodniach nasz człowiek nie przyjechał do Madrytu albo przyjechał i nie zadzwonił do Bermeja i niczego mu nie wyjaśnił. Tak więc w połowie kwietnia Marco dostał od Bermeja wiadomość faksem przynaglącą go do przekazania

obiecanych wyjaśnień. Marco znowu do niego zadzwonił. Powiedział, że nie mógł pojechać do Madrytu, powiedział, że jest zavalony pracą przed wielkimi uroczystościami w Mauthausen, powiedział, że nie uda mu się spotkać z nim ani porozmawiać, dopóki nie skończy się ta cała zawierucha z obchodami, powiedział, żeby Bermejo zaczekał do tego czasu, bo wtedy wszystko mu wyjaśni; Bermejo nie dyskutował z nim, nie starał się go do niczego przekonać: odpowiedział tylko, że jego zdaniem Marco popełnia błąd.

Zostały niecałe trzy tygodnie do uroczystości w Mauthausen i zaledwie kilka dni do chwili, w której los Marca miał zostać przypieczętowany.

Enrique Urraca był nie tylko jednym z najbliższych współpracowników Marca w stowarzyszeniu Amical, był niemal jego osobistym sekretarzem. Sam nie doświadczył deportacji, więźniem Mauthausen był jego wuj, Juan de Diego, i Urraca uważał wuja oraz jego towarzyszy niedoli za bohaterów. Po śmierci wuja, w maju 2003 roku, Urraca wstąpił do stowarzyszenia, aby dbać o pamięć o wuju i jego towarzyszach. Marco, wówczas od miesiąca prezes Amical, od razu go zawojował i to do tego stopnia, że Urraca właściwie przeniósł na niego cały podziw i sympatię, jakie wcześniej żywił do wuja. To tłumaczy, dlaczego na początku lutego 2005 roku, krótko po uroczystej sesji hiszpańskiego parlamentu w hołdzie deportowanym, Urraca ośmielił się otwarcie zagadnąć Marca o krążące na jego temat pogłoski, i to też tłumaczy, dlaczego Marco przekonał go bez trudu, że pogłoski są wyssane z palca i żeby o nich zapomniał.

Urraca znał Bermeja z powodu kontaktów historyka z jego wujem, ale to nie od niego usłyszał pogłoski na temat Marca.

Jednakże pod koniec kwietnia, kiedy uroczystości w Mauthausen zbliżały się już wielkimi krokami, i historyk postanowił w końcu zdemaskować Marca, wybrał właśnie Urracę jako tego członka stowarzyszenia, któremu wyjawi prawdę. Nie wiem, dlaczego Bermejo wybrał Urracę; może miał z nim dobrą relację i uważał go za prawego oraz ideowego człowieka; może widział też w Urrace najbliższego Marcowi członka Amical. Tak czy inaczej Bermejo zadzwonił do Urraki w piątek, 30 kwietnia, wieczorem; brakowało tylko dziewięciu dni do uroczystych obchodów w Mauthausen i zaledwie dwóch do corocznego zgromadzenia plenarnego członków stowarzyszenia. Bermejo powiedział Urrace o swoim odkryciu. Urraca mu odpowiedział, że to niemożliwe. Bermejo powiedział mu o dokumencie znalezionym w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a następnie wysłał do niego raport sporządzony wcześniej dla premiera. Urraca przeczytał raport i nie pozostało mu nic innego, jak pogodzić się z tym, że Bermejo mówi prawdę. Historyk przypomniał mu wtedy, że za kilka dni Marco ma przemówić w imieniu wszystkich deportowanych podczas głównej części obchodów w Mauthausen, i zadał pytanie: zamierzasz pozwolić na to, żeby oszust przemawiał przed premierem i zbrukał pamięć twego wuja i wszystkich deportowanych?

Gdy Urraca odłożył słuchawkę, był załamany. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał i przeczytał, nie mógł uwierzyć, że Marco zrobił to, co zrobił, a jednak nie miał innego wyjścia. W jednej chwili zawalił mu się cały świat albo tak właśnie się poczuł. Nie wiedział co robić. Dręczyły go wątpliwości. Tak nastąpiła niedziela, dzień plenarnego zgromadzenia Amical.

Zgromadzenie członków Amical odbywało się tego roku w niedzielę, 1 maja, w Vilafranca de Penedès, miejscowości oddalonej siedemdziesiąt kilometrów od Barcelony. Początkowo wszystko zapowiadało spotkanie takie jak zwykle: jak co roku członkowie wybrali nowy zarząd (Marco został prezesem i powierzono mu także kontakty międzynarodowe, Torán została wiceprezesem, a Urraca członkiem zarządu); jak co roku, i w tej miejscowości odsłonięto niewielki pomnik na cześć jej deportowanych mieszkańców. Dopiero podczas odsłonięcia pomnika niektórzy członkowie Amical zrozumieli, że to nie będzie takie zgromadzenie jak zwykle. Do Torán podszedł delegat Amical z Walencji, historyk Blas Mínguez i powiedział, że rozmawiał przed chwilą z Urracą i ten mu powiedział, że ma raport podający w wątpliwość fakt deportacji Marca. Torán przyjęła to w osłupieniu i poszła porozmawiać z Urracą; dołączyli do nich inni członkowie zarządu, również wybrany do niego Mínguez. Urraca potwierdził słowa Míngueza, powiedział, że oskarżycielski raport ma u siebie w domu, jakkolwiek początkowo jako jego autora podał francuskie stowarzyszenie Amical, nie Bermeja, może wyczuwał intuicyjnie, że złe relacje między tym historykiem a stowarzyszeniem lub niektórymi członkami stowarzyszenia mogą odebrać wiarygodność jego twierdzeniom. Gdy skończył się obiad i pozostali członkowie siedzieli jeszcze przy stole, rozmawiając, zarząd zebrał się na pilnej naradzie. Nie chcieli wzbudzać podejrzeń, narada trwała zatem bardzo krótko; był na niej także Marco, ograniczył się do stwierdzenia, że Bermejo na niego poluje i że rozsiewane przez niego pogłoski są tylko świadectwem jego niechęci do Amical i do niego, jako prezesa stowarzyszenia. Pozostali członkowie zarządu wysłuchali tego skonsternowani, prawdopodobnie nie

wiedząc, co mają o tym myśleć, wiedzieli jedynie, że tak czy inaczej, sprawę trzeba koniecznie wyjaśnić, czy oskarżenia Bermejo są prawdziwe czy fałszywe. Dlatego Torán poprosiła Urracę, żeby zaraz po powrocie do domu wysłał do niej raport.

Zajął mu to więcej czasu, niż można by się spodziewać, jakby wciąż miał jakąś wątpliwość, ale w końcu go wysłał i Torán przeczytała wszystko jeszcze tej samej nocy. Z raportu Bermejo nie wynikało, że Marco nie przebywał we Flossenbürgu lub innym obozie nazistowskim, wynikało jednak, że kłamał i że w 1941 roku pojechał dobrowolnie do Niemiec jako robotnik, nie został tam deportowany; w każdym razie sprawa była dostatecznie poważna, by pilnie poprosić Marca o wyjaśnienia. Tak więc nazajutrz, w poniedziałek z samego rana, Torán zawiadomiła wszystkich członków zarządu o spotkaniu. Odbyło się tego samego dnia o siódmej po południu, wszyscy biorący w nim udział zapamiętali je jako dramatyczne z powodu tematu oraz z powodu dramatycznego wystąpienia Marca. Być może właściwym słowem nie jest dramat, lecz melodramat. Zabierając głos, Marco się rozsypał, sprawiał wrażenie załamane i zrozpaczonego, zdolnego zrobić sobie coś strasznego; w istocie niektórzy odnieśli wrażenie, jakby sugerował, że może zrobić sobie coś strasznego albo że ma taki zamiar i że ta sugestia była jakąś formą szantażu emocjonalnego, formą proszenia ich o ochronę.

Marco mówił długo, ale nie podał żadnego klarownego wytłumaczenia ani nie przyznał się do oszustwa. Powiedział tylko, że faktycznie w 1941 roku nie wyjechał z Hiszpanii potajemnie, lecz udał się do pracy jako ochotnik, i że był to jedyny sposób, jaki znalazł, by uciec przed nękającą go policją frankistowską; powiedział też, że naprawdę był we

Flossenbürgu, jakkolwiek króciutko, ledwie kilka dni. Poza tym kilka razy, szlochając, pytał sam siebie, jak on to wszystko wytłumaczy rodzinie, swojej żonie i dwóm córkom, jak ma im powiedzieć, że kłamał o swojej deportacji i że w dodatku ukrył przed nimi fakt posiadania innej rodziny, innej żony i innej córki, o których nigdy nie wspomniał ani słowem. To dodatkowe wyznanie nie miało wiele wspólnego z tematem spotkania, by nie powiedzieć, że nie miało absolutnie nic wspólnego, ale Marco również to wyznanie rzucił na stół, może po to, by wzbudzić w słuchaczach litość.

Szantaż Marca zadziałał tylko częściowo. Zarząd zmusił go do złożenia dymisji, a Torán, poprzedniego dnia wybrana przez zgromadzenie wiceprezeską, została pełniącą obowiązki prezesa. Postanowili, że w odpowiedniej chwili wydadzą stosowne oświadczenie, ale że tymczasem należy za wszelką cenę zachować tajemnicę, bo w przeciwnym razie może wybuchnąć skandal, który zrujnuje wielką uroczystość w Mauthausen i pogrzebie sukces, jakim miała być pierwsza w historii obecność hiszpańskiego premiera na obchodach rocznicowych oraz pierwsze w historii przemówienie hiszpańskiego więźnia obozu przed międzynarodową społecznością. Dla niektórych uczestników zebrania było oczywiste, że tym deportowanym nie może być Marco, lecz tak naprawdę formalnie nie podjęto takiej decyzji, przynajmniej w sposób jednoznaczny, może dlatego że część nie miała jeszcze pewności, czy Marco naprawdę nie przebywał w żadnym obozie nazistowskim. Nie zabroniono mu nawet, by dwa dni później pojechał do Austrii na zebranie Międzynarodowego Komitetu Mauthausen, którego był członkiem.

Marco zgodził się bez protestu na wszystkie warunki swoich kolegów i opuścił zebranie. Ono jednak trwało nadal i jeszcze tego samego wieczoru oraz nazajutrz Torán i inni członkowie Amical w wielkim napięciu i pośpiechu podjęli kroki, by zawiadomić o wszystkim innych organizatorów obchodów w Mauthausen i ustalić z nimi wspólną strategię. Przeprowadzili rozmowy telefoniczne z deportowanymi i z rodzinami deportowanych, z kancelarią premiera i możliwe, że z hiszpańską ambasadą w Wiedniu, a nazajutrz zorganizowali zaimprovizowane pospieszne spotkanie z przedstawicielami katalońskiego rządu i tam wszyscy zdecydowali, że za wszelką cenę należy ratować uroczystości i stanowczo odsunąć od nich Marca, podając jako pretekst jego chorobę. Kiedy już będzie po wszystkim, zastanowią się co dalej.

We wtorek, 3 maja, cztery dni przed wielkimi obchodami w Mauthausen, Marco i skarbnik stowarzyszenia Amical, Jesús Ruiz, wsiedli do samolotu do Wiednia, a potem pojechali do Linzu, dwadzieścia pięć minut od Mauthausen, gdzie nazajutrz spotykał się Międzynarodowy Komitet Mauthausen, którego obaj byli członkami. W środę rano dołączył do nich inny członek zarządu, Blas Mínguez, delegat Amical z Walencji, który przyjechał do Linzu samochodem, i razem zdecydowali, że najlepiej, by w tych okolicznościach na zebranie Komitetu poszedł tylko Ruiz i żeby Marco i Mínguez zostali w hotelu. Kiedy po południu Ruiz wrócił do hotelu, powiedział Marcowi, że wiadomości na jego temat dotarły nawet do Komitetu – istotnie dotarły tam za sprawą Bermeja. Przy kolacji Mínguez zażądał od Marca, żeby w końcu powiedział im prawdę, czy był więźniem Flossenbürga czy nie. Marco przyznał się, że nie był: ani Flossenbürga, ani żadnego innego obozu. Wtedy Ruiz zadzwonił

do siedziby stowarzyszenia i wspólnie zdecydowano, że Marco ma nazajutrz wracać do Barcelony.

We czwartek, 5 maja rano, Marco pierwszym samolotem z Wiednia przyleciał na lotnisko w Barcelonie. Musiało to nastąpić około godziny pół do jedenastej, na terminal B, bo dokładnie o tej porze i w tym samym miejscu, pod czarnym, jednookim i muskularnym koniem Botero, zgromadziło się ponad dwieście osób, które leciały ze stowarzyszeniem do Wiednia, by wziąć udział w uroczystościach w Mauthausen. Marco natknął się na nich wszystkich. Jakież było zdziwienie zgromadzonych! Towarzyszący im członkowie zarządu wiedzieli, co się wydarzyło w Linzu, ale nie wiedzieli, że Marco wróci do Barcelony samolotem o tej właśnie porze, i wcześniej powiedzieli wszystkim, że prezes nie pojedzie do Mauthausen z powodu choroby. Pojawienie się Marca wywołało wrzawę: ludzie rzucili się do niego z pytaniem, co tu robi, skąd wraca, co się stało i dlaczego nie jedzie z nimi do Mauthausen. Marco wykręcał się jak mógł, Torán i inni członkowie zarządu pomagali mu wymigiwać się od odpowiedzi. Wreszcie oddalił się pospiesznie i niegrzecznie.

Podróż do Wiednia przebiegła w kiepskiej atmosferze, w samolocie huczało od plotek. Mówiono, że w zarządzie stowarzyszenia doszło do przewrotu z zazdrości o popularność Marca i że tuż przed obchodami w Mauthausen usunięto prezesa ze stanowiska.

W sobotę, 7 maja rano, Benito Bermejo wsiadł w Madrycie do samolotu do Wiednia. Jechał do Mauthausen, jak co roku lub prawie jak co roku o tej porze; tyle że tym razem wszystko było inaczej. Musiał się niepokoić, ponieważ nikt mu nie opowiedział, co zdarzyło się w stowarzyszeniu Amical, i myślał, że raport na

temat Marca nie odniósł skutku i że w niedzielę ten wielki szalbierz wygłosi w imieniu wszystkich deportowanych przemówienie w obecności premiera i wielu innych gości. Nim wsiadł do samolotu, kupił jednak „El País” i w notatce na temat zbliżających się obchodów w Mauthausen przeczytał, że Marco wrócił z Austrii do Barcelony ze względu na stan zdrowia. Wtedy poczuł ulgę: zrozumiał, że raport się przydał i że sprawy się prostują. Po przyjeździe do Mauthausen Bermejo spotkał ludzi z wycieczki zorganizowanej przez Amical, którzy przyjechali dwa dni wcześniej, i od razu zauważył, że przynajmniej niektórzy z nich znali prawdę o Marcu, choć nikt otwarcie o tej sprawie nie mówił; prawdopodobnie Bermejo nie wiedział wtedy, że w poprzednich dniach zarząd Amical zwołał zebranie, by niektórym członkom stowarzyszenia wyjaśnić, co się stało. W sobotę wieczorem Bermejo zjadł kolację z kilkoma osobami, wśród nich z Anną Marią Garcia, moją koleżanką z Uniwersytetu w Geronie, tą samą historyczką, która wkrótce po wybuchu skandalu miała mi doradzać, żebym o Marcu nie pisał („O Marcu w ogóle nie należy mówić – powiedziała. – To będzie najgorsza kara dla tego ucieleśnienia pychy”), a w niedzielę uczestniczył w głównych obchodach w Mauthausen.

Wszystko przebiegło normalnie. Najpierw odbyła się mała uroczystość przed pomnikiem upamiętniającym hiszpańskich deportowanych i wzięło w niej udział jakieś dwieście albo trzysta osób wraz z hiszpańskim premierem, a potem nastąpiły główne obchody z udziałem kilku tysięcy byłych więźniów i głos zabrali premier Hiszpanii oraz Eusebi Pérez, hiszpański deportowany, który w zastępstwie Marca odczytał przemówienie, napisane wcale nie przez Marca, wbrew temu co podawała potem prasa,

lecz przez zarząd Amical. Nic więcej nie wydarzyło się owego dnia w Mauthausen. Pomimo że niektórzy z obecnych wiedzieli, że prezes stowarzyszenia Amical został zdemaskowany i pogłoskę przekazywano sobie w grupkach ściszym głosem, nikt oficjalnie nie ujawnił oszustwa Marca.

Tej nocy Bermejo spał w hotelu Weindlhof, położonym w górnej części Mauthausen. Przynajmniej chwilowo czuł się zadowolony; nie chciał niszczyć Marca, chciał tylko nie dopuścić do tego, by Marco zabrał głos podczas głównych uroczystości w Mauthausen i tym samym usankcjonował swoje oszustwo i kpinę z deportowanych. W poniedziałek Bermejo ruszył do Wiednia; zamierzał popracować w archiwum muzeum Mauthausen i w następnych dniach nie myśleć o Marcu. Nie wiem, czy mu się udało. W środę rano przyjaciel wysłał mu wiadomość, żeby kupić „El País”, bo piszą tam o czymś, co go zainteresuje. W drodze do archiwum Bermejo kupił gazetę w kiosku na Graben przy rogu z Braünergasse. Tak dowiedział się, że wybuchł skandal. Dwie godziny później zaczęli dzwonić do niego dziennikarze.

Od czwartku 5 maja, kiedy to pośpiesznie wrócił z Austrii i natknął się na lotnisku na grupę członków stowarzyszenia, do poniedziałku 9 maja, kiedy to grupa wróciła z Austrii i zarząd Amical wezwał go na pilne zebranie w siedzibie przy ulicy Sils, Marco z nikim nie rozmawiał o tym, co się stało: ani z żoną, ani z córkami, ani z żadnym przyjacielem, kolegą czy znajomym. To musiały być cztery straszliwe dni. Nie wiem, co w tym czasie robił, ponieważ on tego nie pamięta albo twierdzi, że nie pamięta; nie pamięta też, co wtedy myślał. Teraz przedstawiam zatem moje hipotezy.

Nie wątpię, że przez te cztery dni głowa Marca pracowała na pełnych obrotach, żeby ustalić i ocenić rozmaite możliwości reakcji wobec wyjścia na jaw jego oszustwa. Zapewne musiał już o tym myśleć od poprzedniej niedzieli, kiedy podczas zgromadzenia członków Amical w Vilafranca de Penedès dowiedział się, że wiadomość dotarła do jego kolegów z zarządu, a może nawet od początków lutego, kiedy to Bermejo przedstawił mu swoje ustalenia; możliwe nawet, że przygotowywał się na to od początku lub prawie od początku: od pierwszej chwili, w której zaczął podawać się za więźnia obozu i nie mógł przecież wykluczyć – jakkolwiek uznawał to za mało prawdopodobne – że ktoś go zdemaskuje. Rzecz jasna, w tych dniach pełnego udręki wyczekiwania najpierw musiało mu przyjść do głowy, żeby wszystkiemu zaprzeczyć albo przynajmniej zaprzeczyć temu najcięższemu oskarżeniu, bo co do wyjazdu do Niemiec nie pozostawało mu nic innego jak przyznać, że pojechał tam w latach czterdziestych na ochotnika, do pracy, a więc skłamał na temat tej części swego życiorysu albo ją mocno zdeformował. Jednakże pomimo że przyznał się w Linzu kolegom z Amical, Minguezowi i Ruizowi, że nigdy nie był więźniem Flossenbürga, teraz mógłby przecież powiedzieć, że nigdy tak nie powiedział albo że powiedział, ale to nieprawda, i mógłby nadal upierać się, że tam siedział. Sądząc z tego, co usłyszał od Bermeja i co znajdowało się w raporcie, historyk nie potrafił dowieść, że to nieprawda; sądząc z tego, co wiedział, dowieść tego będzie bardzo trudno; dyrekcja archiwum obozowego twierdziła, że nie wszyscy więźniowie figurowali w księgach ewidencyjnych i Marco zawsze mógł się upierać, że jest przypadkiem takiego właśnie więźnia widma.

Nie było łatwo udowodnić, że nie siedział we Flossenbürgu, ale nie było to niemożliwe. Po pierwsze Marco nie wiedział, jak dużo odkrył Bermejo: mógł wiedzieć znacznie więcej, niż powiedział, że wie, mógł powiedzieć mu tylko część tego, co wiedział: w każdym razie Marco miał pewność w jednej kwestii: Bermejo jest psem gończym, który już go dopadł i nie zamierza dać mu się wymknąć. Skoro zatem znalazł dokumenty potwierdzające, że Marco wyjechał na ochotnika do Kilonii, równie dobrze może znaleźć jakieś potwierdzenie, że jego niemiecka przygoda rozpoczęła się i zakończyła w Kilonii, czyli że nigdy nie był więźniem Flossenbürga. Marco nie wiedział, czy istniało na to jakieś potwierdzenie, ale wiedział, że mogło istnieć i że Bermejo albo ktoś inny mogli je znaleźć. Poza tym jakkolwiek Bermejo nie umiał udowodnić, że Marco kłamał w sprawie pobytu w obozie, odkrył jednak, że nie został tam deportowany z Hiszpanii, że to zmyślił i że ważna część jego relacji była fałszywa, wyciągnął z konstrukcji jeden, skrywany dotąd element i zawaliła się cała postać deportowanego, chwiał się bohater antyfaszystowski i *rock star* albo czempion tak zwanej pamięci historycznej i groził bezapelacyjną rozsypką, ponieważ bez względu na to, jaką on sam podejmie decyzję, koledzy z Amical zmuszą go do napisania oświadczenia, w którym będzie musiał przyznać się do kłamstwa. Oczywiście mógł zrobić co innego: zniknąć, nie pojawić się więcej w Amical, przeczekać, aż wszyscy tam o nim zapomną; możliwe nawet, że tym sposobem nikt by się nad nim nie pastwił, nie oburzał się, że kłamał latami, bo nikt nie był szczególnie zainteresowany rozdmuchiowaniem tej historii, która szkodziła wszystkim, samemu stowarzyszeniu też. A co do Bermejo, może mógłby

z nim porozmawiać w cztery oczy, wysondować, jakie ma intencje, i postarać się z nim dogadać.

To była jakaś możliwość. Ale nie była to możliwość zgodna z jego charakterem, a raczej z wysokim mniemaniem, jakie miał wówczas o sobie, z pychą Ikara, jaką napełniły go – niczym tamtego woskowe skrzydła – sukcesy bohatera i czempiona albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej. Takie wyjście oznaczało kapitulację, a do jego charakteru nie pasowała kapitulacja, lecz obrona, a raczej: atak.

Nie do wiary, ale tak właśnie zrobił. Marco musiał sobie powiedzieć, i całkiem słusznie, że czeka go walka i że walkę wygrywa ten, kto przejmuje inicjatywę, i że czekając z założonymi rękami, aż Bermejo odkryje całą prawdę na temat jego pobytu w Niemczech (by nie powiedzieć, że całą prawdę po prostu), nie będzie już miał możliwości obrony. Najlepiej było ubiec historyka, samemu przekazać informację i na swój sposób przyznać się do kłamstwa, wymyślić jakieś nowe argumenty, żeby usprawiedliwić i uratować resztę życiorysu, ratując tym samym stworzoną postać, by wyjęcie z konstrukcji jednego jej elementu, choćby nawet ważnego – zakładając, że faktycznie część została wyjęta – nie spowodowało zawalenia się całej figury, jak przewrócenie jednej karty powoduje zawalenie się całego domu z kart. Musiał pomyśleć, że ciężko walczył o swój prestiż, że nie jest byle kim, że naprawdę był przywódcą związkowym w CNT i działaczem obywatelskim w FAPAC, i niezrównanym propagatorem pamięci historycznej w Amical, że jest kawalerem Krzyża Świętego Jerzego i zna najważniejsze osoby w Katalonii, i że jeden mały błąd nie może tak z dnia na dzień pozbawić go dobrej reputacji. Musiał pomyśleć, że przez swoje osiemdziesiąt cztery lata zawsze sobie radził, że wychodził

bez szwanku z większych opresji, że jest genialnym spryciarzem, jak nikt potrafi wszystkich zagadać i jest krętaczem jakich mało, który zdołał skołować wojskowych Franco, sędziów nazistowskich, niezliczonych dziennikarzy, historyków i polityków, że to on jest Enrikiem Markiem i że również tym razem wyjdzie z tego bez szwanku. Miał aż nadto energii i zdolności krasomówczych, miał aż nadto argumentów, aby znowu wszystkich uwieść i skołować.

Aż nadto. Przecież wcale nie skłamał, tylko odrobinę zmienił prawdę, może troszkę ją podkolorował tu i tam, ale nic więcej. A nawet jeśli w jakiejś sprawie skłamał, nawet jeśli popełnił jakiś błąd, komu nie zdarzyło się kiedyś skłamać? Kto nie popełnił kiedyś jakiegoś błędu? Kto pierwszy rzuci kamieniem? Tym bardziej że jeżeli skłamał albo zmienił lub podkolorował nieco prawdę, zrobił to w dobrej wierze, by upowszechnić tak zwaną pamięć historyczną, wiedzę o barbarzyństwach, które niszczyły Hiszpanię i Europę przez stulecie. On to wszystko poniósł do młodych, a nawet do nie tak bardzo młodych, właściwie do całego kraju, kiedy prawdziwi ocaleni z obozów nazistowskich byli już zbyt starzy i zanadto schorowani, by to zrobić, on kłamał, by oddać głos tym, którzy nie mieli głosu, rozpowszechnić ich przekaz o sprawiedliwości, solidarności i pamięci. Jak można go za to obwiniać? Jak można czynić mu zarzut z tego, że sam siebie umieścił wśród tego barbarzyństwa, by przydać większego autentyzmu i siły, i dramatyzmu swemu posłaniu? A poza tym on też jest ofiarą i człowiekiem, który ledwo uszedł z życiem, on też doświadczył, czym jest więzienie i prześladowanie w Niemczech, wszystko, co mówił, było szczerą prawdą, nie tylko na temat obozów nazistowskich – bo jako historyk gruntownie się do tego przygotował – lecz także na

temat własnego życia, on tylko zmienił scenerię, opowiedział, że zdarzyło się we Flossenbürgu coś, co zdarzyło się w Kilonii, że spotkało go w obozie nazistowskim coś, czego doświadczył w nazistowskim więzieniu. Czy naprawdę taki błąd, jeżeli faktycznie był błędem, jest dostatecznym powodem do zanegowania wszelkich jego zasług? Czy nie liczy się jego walka na wojnie, jego działalność antyfrankistowska, lata spędzone na niestrudzonej działalności w podziemiu, jego działania jako przywódcy związkowego, jego walka o lepszą szkołę publiczną ani ogrom jego pracy na czele stowarzyszenia Amical? Czyż tamto nieszkodliwe kłamstwo, zakładając, że było nieszkodliwym kłamstwem, a nie kłamstwem szlachetnym i bezinteresownym, może ważyć więcej niż jego zasługi?

Miał aż nadto argumentów. Myślał tak: że ciężar jego racji będzie przytłaczający, że wszyscy wybaczą mu jego pomyłkę, a jego prestiż nie ucierpi albo co najwyżej ucierpi chwilowo i nieznacznie, a stworzona postać pozostanie nietknięta lub prawie nietknięta i po bardzo krótkim czasie wszystko będzie znowu jak dawniej i jego koledzy sami poproszą go, żeby wrócił na stanowisko prezesa Amical i z tego miejsca zabiegał nadal mozolnie o tak zwaną pamięć historyczną. Myślał albo mógł myśleć, że tak właśnie będzie, jeżeli zamiast skapitulować, będzie się bronił lub raczej atakował, w każdym razie przejmie inicjatywę; dlatego ją przejął. Bermejo pewnie spróbuje go zniszczyć, to na pewno, ale tylko go tym sposobem wzmocni. Mogą podejmować starania, żeby stał się na powrót Alonsem Quijano, ale on będzie nadal Don Kichotem. Rzeczywistość może zrobić wszystko co w jej mocy, żeby go zabić, ale fikcja znowu go ocali.

Ostatecznie tak się nie stało albo nie całkiem tak. W poniedziałek, 9 maja, kilka minut po piątej po południu, wkrótce potem, jak w Barcelonie wylądował wracający z Wiednia samolot z członkami wyprawy stowarzyszenia Amical, zarząd stowarzyszenia zebrał się w siedzibie przy ulicy Sils. Na zebraniu był Marco. Przygotowano wtedy tekst, zatytułowany „Komunikat p. Enrica Marca Batlle”. Było w nim, co następuje:

Wobec pojawiających się w ostatnich dniach informacji na temat mojej biografii przyznaję:

1. Wyjechałem do Niemiec w grupie dobrowolnych robotników hiszpańskich pod koniec 1941 roku.
2. Nie byłem więźniem obozu Flossenbürg, mimo że siedziałem w więzieniu jako tymczasowo aresztowany i pod zarzutem spiskowania przeciwko Trzeciej Rzeszy.
3. Wróciłem do Hiszpanii w początkach 1943 roku, po wcześniejszym uwolnieniu.
4. Opublikowałem biografię zawierającą elementy deformujące prawdę w 1978 roku, dużo wcześniej, nim związałem się z Amical de Mauthausen, do którego należałem przez ostatnie sześć lat.
5. W związku z powyższym rezygnuję ze swego stanowiska w Amical i zawieszam działalność w tym stowarzyszeniu.

Tekst został napisany z namysłem: zawierał dwa zasadnicze elementy, które Marco przygotował na użytek późniejszej obrony. Po pierwsze, że nie kłamał, lecz jedynie „deformował” prawdę; po drugie, że nie będąc niemieckim więźniem we Flossenbürgu, był nim jednak w Kilonii, a zatem walczył przeciwko nazistom i był ofiarą nazistów (to dlatego w tym przyznaniu się do kłamstw Marco przemycił jeszcze kłamstwo – że został w Niemczech oskarżony o „konspirowanie przeciwko Trzeciej Rzeszy”, nie o „zdradę stanu”, jak brzmiał prawdziwy zarzut). Ponadto z komunikatu przebijała pewność albo może nadzieja Marca, że jego postać pozostanie nietknięta i że – raczej prędzej niż później – on sam odzyska uprzywilejowane miejsce w stowarzyszeniu Amical (oraz w społeczeństwie): dowodzi tego fakt, że nie wypisał się z Amical, lecz tylko zrezygnował ze swoich funkcji; dowodzi tego fakt, że jedynie „zawieszał” swoją działalność w Amical. Tekst nosił datę 9 maja i został podpisany przez Marca.

Nazajutrz nasz człowiek sporządził kopie tego oświadczenia i obszedł z nimi barcelońskie redakcje wszystkich najważniejszych gazet krajowych, chcąc osobiście wręczyć tekst ich naczelnym. Żaden go nie przyjął, musiał zatem ten tekst wraz z wyjaśniającą notatką zostawiać w recepcjach dzienników. Potem wrócił do domu do Sant Cugat i – zdecydowany drogo sprzedać własną skórę, choć nie przeczuwając jeszcze rozmiarów nadchodzącego skandalu – czekał na rozwój wypadków.

Wczoraj, 28 kwietnia 2014 roku, cały dzień snułem fantazje na temat wyimaginowanego dialogu między mną a Markiem: poniżej zapisuję dosłownie ten wymyślony dialog. Przynajmniej raz w tej książce zmyśleń dostarczam ja, nie Marco.

– No cóż, już najwyższy czas.

– Najwyższy czas na co?

– Żeby dopuścić mnie do głosu.

– Przecież mówi pan przez całą książkę. Proszę pamiętać, że to pan mi opowiedział swoją historię; ja tylko powtarzam, co usłyszałem od pana.

– Kłamstwo, robi pan dużo więcej. Proszę mnie nie brać za głupka.

– Nie biorę.

– Ależ tak. Za głupka i niebezpiecznego typu. Tylko tak mnie pan pokazuje w swojej książce. W złym świetle. To zwykłe fantazje. A książka jest prawie skończona i niemal wszystko zostało powiedziane... Jeżeli pan sądzi, że przedstawiając mnie w takim świetle, zdoła pan unieważnić to, co mówię, i dzięki temu ludzie nie będą brać tego na serio, jest pan w błędzie: pan może być głupi, ale inni niekoniecznie. A mówiąc o pańskiej książce: wydało mi się ciekawe to, co napisał pan przed chwilą.

– Napisałem dużo rzeczy. Co ma pan na myśli?

– To, że pisze pan książkę, żeby mnie ocalić.

– Tego nie napisałem.

– Ależ tak.

– Nie. Napisałem, że odkąd piszę tę książkę, czasem mam wrażenie albo podejrzenie, że potajemnie, nie zdając sobie z tego sprawy albo nie chcąc się do tego przyznać przed samym sobą, chcę pana ocalić, ale nie tak, jak pan uważa, że powinienem to zrobić, czyli dokonując pańskiej rehabilitacji, lecz konfrontując pana z prawdą.

– Tak jak Cervantes ocalił Don Kichota, prawda?

– Właśnie tak.

– Dobrze znam tę śpiewkę. Niezła bajeczka. Zechce pan w każdym razie pamiętać, że prosiłem pana jedynie o obronę, nie prosiłem o ocalenie ani o rehabilitację. O to nigdy pana nie prosiłem. Nigdy przenigdy.

– Proszę uważać; przecież zna pan moje zdanie na temat emfazy. Dwa „nigdy” i jedno „przenigdy” równa się przynajmniej jednemu „zawsze”.

– Cynik z pana. Nie pisze pan tej książki, żeby mnie ocalić; pisze ją pan, żeby zbić majątek, żeby być bogatym i sławnym, żeby zyskać rozgłos, znaleźć się w kadrze, jak pan to mówi, żeby pana kochali i podziwiali i mieli za wielkiego pisarza. Przede wszystkim dlatego, choć nie twierdzę, że nie pisze jej pan także, żeby złagodzić własną neurozę i własne drobnomieszczańskie kompleksy.

– No, proszę! Niech pan nie przykłada do mnie własnej miary. A nawiasem mówiąc, gdybym pisał z wymienionych przez pana powodów, to co w tym złego?

– Nic. Pod warunkiem, że pan się przyzna. Pod warunkiem, że nie będzie pan opowiadał głodnych kawałków.

– To nie są głodne kawałki. Początkowo chciałem tylko pana zrozumieć, ale teraz, chwilami, coś we mnie już się tym nie zadowala; albo takie mam wrażenie. Teraz słyszę czasem

cichutki wewnętrzny głosik, który mówi: dlaczego nie miałbyś spróbować go ocalić? Dlaczego nie postarać się ocalić wielkiego szalbierza i wielkiego łotra, wielkiego sukinsyna, który jest już więcej niż skończony? Bo to niemożliwe? A czy ta cała książka nie jest niemożliwa od samego początku? Dlaczego nie miałyby być jeszcze bardziej? Co mam do stracenia? Poza tym jeżeli literatura nie służy ocalaniu ludzi, to czemu, do diabła, służy?

– W głowie się panu miesza.

– Może i tak, ale to z pańskiej winy. W każdym razie, tak czy inaczej, jedno jest pewne: muszę tu powiedzieć całą prawdę. To właśnie jest pewne. A mówiąc prawdę, może zdołam sprawić, że pan odzyska rozum, może uwolnię pana od Don Kichota i zwrócę pana Alonsowi Quijano. Poza tym niech pan nie mówi bzdur: jak niby mam zbić majątek na takiej książce?

– To książka o mnie, prawda? Zna pan jakiś bardziej pasjonujący temat niż ja?

– Nie znam.

– Ani ja. Natomiast pan, przyznajmy to obaj, jest mało pasjonującym tematem. Mógłby być ciekawy, ale wobec takiej nieuczciwości to niemożliwe.

– Nie nadażam.

– Oczywiście, że pan nadaża. Trudno zaś zrozumieć, dlaczego zarzucając mi już na tyłu stronach kłamstwo i oszustwo, pisząc, że jestem komediantem i oszustem, że nie chcę poznać samego siebie albo nie chcę rozpoznać sam siebie, jeszcze pan nie powiedział, że jest dokładnie taki sam. Proszę powiedzieć prawdę swoim czytelnikom, może wtedy zaczną panu wierzyć.

– Co niby miałbym im powiedzieć?

– Wszystko.

– Na przykład?

– Na przykład że skorzystał pan tak samo jak ja na tym, co nazywa pan przemysłem pamięci. I jest pan za ten przemysł tak samo odpowiedzialny jak ja. Tak samo albo bardziej.

– Musi pan to wytłumaczyć.

– Jaki miała tytuł pańska powieść?

– Jaka powieść?

– Jaka powieść, jaka powieść! Dobrze pan wie jaka. Ta, na której pan wypłynął, dzięki której znalazł się pan w kadrze, stał się pan bogaty i sławny.

– Nie stałem się bogaty ani sławny, pozwoliła mi tylko zarabiać na życie pisaniem. Ma tytuł *Żołnierze spod Salaminy*.

– No właśnie. Proszę mi powiedzieć, kiedy wyszła.

– W dwa tysiące pierwszym roku, w lutym albo w marcu.

– I proszę mi powiedzieć: w ilu egzemplarzach się sprzedała? Ilu ludzi ją przeczytało? A o czym była? Powiem panu o czym: o pewnym dziennikarzu w pańskim wieku, wnuku pokolenia wojny, który na początku powieści uważa, że wojna jest czymś tak odległym i tak mu obcym jak bitwa pod Salaminą, a pod koniec uświadamia sobie, że to nieprawda, że przeszłość nigdy nie mija, że przeszłość jest terażniejszością albo jakimś wymiarem terażniejszości i że wojna jest nadal żywa, i że bez niej nie można niczego wyjaśnić. Można by to również opowiedzieć inaczej: była o pewnym dziennikarzu w pańskim wieku, przekonanym, że szuka faszysty, któremu życie ocalił jakiś republikanin, przekonanym do chwili, kiedy odkrywa, że tak naprawdę szuka republikanina, który ocalił życie faszycie, i w końcu go znajduje, znajduje republikanina, który okazuje się starym żołnierzem wszystkich wojen albo wszystkich sprawiedliwych wojen, bohaterem, który reprezentuje sobą to co

najlepsze i najszlachetniejsze w jego kraju i o którym wszyscy zapomnieli.

– Miralles.

– Właśnie: Miralles. Coś panu to przypomina? A teraz proszę mi powiedzieć, kto jeszcze w Hiszpanii słyszał o pamięci historycznej wtedy, gdy wyszła pańska powieść?

– Chce pan powiedzieć, że to przez moją powieść nastąpiła apoteoza pamięci historycznej? Jestem próżny, ale nie jestem głupi.

– Przez pańską powieść i przez różne inne rzeczy, ale przez pańską powieść też. Jak inaczej wytłumaczyć jej sukces? Jak pan sądzi, dlaczego tylu ludzi ją przeczytało? Bo była dobra? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Ludzie czytali, bo jej potrzebowali, bo kraj jej potrzebował, potrzebował pamięci o swojej republikańskiej przeszłości, jakby ją wydobywał z zapomnienia, chciał ją przeżyć na nowo, zapłakać nad tym starym republikaninem zapomnianym przez wszystkich w domu starców w Dijon, i nad jego poległymi na wojnie przyjaciółmi, tak samo jak potrzebny był mu płacz nad rzeczami, które ja opowiadałem w moich pogadankach o Flossenbürgu, o wojnie i o moich wojennych przyjaciółach: o Francescu Armenguerze, o Les Franqueses, o Jordim Jardim, o Anglesie...

– Starczy: znam tę listę. I proszę, żeby się pan nie porównywał do Mirallesa.

– A dlaczego nie? Wie pan, ilu dziennikarzy, ilu studentów przychodziło spotkać się ze mną w dwa tysiące pierwszym albo drugim, albo trzecim, albo czwartym roku, wierząc, że znaleźli swojego Mirallesa, swojego żołnierza wszystkich sprawiedliwych wojen, swojego zapomnianego bohatera? I co miałem zrobić? Posłać ich do diabła? Powiedzieć, że bohaterowie nie istnieją?

Oczywiście że nie: dawałem im to, po co przychodzili, to samo, co pan im dał w swojej powieści.

– Różnica polega na tym, że Miralles był prawdziwym bohaterem, a pan nie. Różnica polega na tym, że Miralles nie kłamał, a pan tak. Różnica polega na tym, że ja również nie kłamałem.

– Jak to nie?

– Kłamałem za pomocą prawdy, kłamałem prawomocnie, tak jak się kłamie w powieściach, wymyśliłem Mirallesa, żeby pisać o bohaterach i o umarłych, żeby przypomnieć ludzi zapomnianych przez historię.

– A ja co niby zrobiłem? To samo co pan. Nie: ja to zrobiłem dużo lepiej niż pan. Wymyśliłem osobnika takiego jak Miralles, tyle że ten mój Miralles był żywym człowiekiem i odwiedzał szkoły, i mówił dzieciakom o potworności obozów nazistowskich i o przetrzymywanych w nich Hiszpanach, i o sprawiedliwości, i o wolności, i o solidarności, ten człowiek podźwignął stowarzyszenie Amical de Mauthausen, dzięki niemu w hiszpańskich szkołach zaczęło się mówić o Holocauście, dzięki niemu ludzie dowiedzieli się, że istniał obóz we Flossenbürgu i że zmarło w nim czternastu Hiszpanów.

– Tak, tę historię też znam na pamięć i wiem też, że zachowywał się pan jak pisarz: napisałem o tym w książce. Problem w tym, że nie był pan pisarzem i że pisarz może oszukiwać, ale pan nie.

– Dlaczego nie?

– Bo wszyscy wiedzą, że pisarz oszukuje, ale nikt nie wiedział, że pan to robił. Bo oszustwo pisarza jest oszustwem, na które jest przyzwolenie, a na pańskie oszustwo nie ma. Bo pisarz ma

obowiązek oszukiwać, a pan miał obowiązek mówić prawdę. Takie są reguły gry i pan się do nich nie zastosował.

– I kto to mówi? A pan się do nich stosował? Ilu ludzi oszukał pan swoimi *Żołnierzami spod Salaminy*? Ilu ludziom wmówił pan, że wszystko w tej książce jest prawdą?

– Powtarzam panu, że pisarz ma obowiązek pisać tak, żeby ludzie wierzyli, że wszystko, co pisze, jest prawdą, choćby było kłamstwem. Na Boga, czy mam panu powtórzyć, co powiedział Gorgiasz cztery stulecia przed Chrystusem? „Poezja [czyli fikcja, a w tym przypadku powieść] jest oszustwem, w którym oszukujący jest uczciwszy niż ten, który nie oszukuje, a kto pozwala się oszukać, jest mądrzejszy niż ten, kto oszukać się nie daje”. W tym jest wszystko. Zrozumiał pan? Nie mam nic więcej do dodania.

– Ale ja mam. Bo to ma zastosowanie do normalnych powieści. A prawdziwe opowieści? A powieści bez fikcji?

– *Żołnierze spod Salaminy* to nie była powieść bez fikcji ani prawdziwa opowieść.

– Narrator wyraźnie mówił, czym jest.

– Ale to nie znaczy, że tym właśnie była. Czytając powieść, nie można przede wszystkim ufać narratorowi. Narrator *Don Kichota* też mówi, że jego historia jest prawdziwą opowieścią albo powieścią bez fikcji i że on tylko ją przetłumaczył z arabskiego oryginału napisanego przez niejakiego Cide Hamete Benengelego. To nieprawda: to żart.

– Tak, ale w pana przypadku byli tacy, co uwierzyli.

– Są też ludzie, którzy wierzą, że prawdziwym autorem *Don Kichota* jest Cide Hamete Benengeli. I że Don Kichot istniał naprawdę.

– Tak, ale w pana przypadku nie tylko byli ludzie, którzy uwierzyli, że Miralles istnieje; byli nawet tacy, którzy pisali listy do tego domu starców, w którym mieszkał, tacy, którzy wierzyli, że pan go poznał i rozmawiał z nim, podobnie jak mnie poznały i rozmawiały ze mną te wszystkie dzieciaki imitujące narratora z pańskiej powieści. A pan nigdy nie zaprzeczył, a przynajmniej nie zawsze pan zaprzeczał. Zdarzało się panu powiedzieć, że Miralles istnieje.

– Bo istniał, choć ja go nie znałem; znał go Roberto Bolaño, w książce jest o tym mowa, tyle że kiedy ja ją pisałem, Miralles już nie żył. Poza tym powiedzenie, że Miralles istnieje, to też był żart, taki sposób mówienia: chodziło mi o to, że tak długo, jak ludzie będą sięgali po tę książkę, Miralles będzie żył, tak samo jak Don Kichot będzie żył, dopóki ludzie będą czytać książkę Cervantesa. To żart, ale i prawda: tak działa literatura.

– Zawracanie głowy. Don Kichot nigdy nie żył; a Miralles umarł. Nie żył już, kiedy pan pisał książkę, pomimo że pan o tym nie wiedział; ani pana przyjaciel Bolaño. Zastanawiam się: przecież pan nie wiedział, że Miralles faktycznie nie żyje, przecież mógł żyć. Dlaczego nie szukał go pan naprawdę? Dlaczego nie poszukał pan prawdziwego Mirallesa, Mirallesa z krwi i kości, zamiast wymyślić fałszywego?

– Ponieważ prawdziwy Miralles byłby w powieści fałszywy, podczas gdy ten fałszywy jest tam prawdziwy. Ponieważ pisałem wymyśloną fabułę, nie prawdziwą opowieść.

– Gówny prawda: nie szukał go pan, bo guzik pana obchodziła prawda, tak samo jak i mnie; chciał pan po prostu napisać dobrą książkę, żeby się obłowić i znaleźć na pierwszych stronach, i żeby pana kochali i podziwiali, i mieli za wielkiego pisarza i tak dalej: czyli to samo, czego chciałem ja, mutatis mutandis.

Choć, jak się dobrze zastanowić, to nie o Mirallesie powinniśmy mówić, lecz o wróżce.

– Nie chcę o tym mówić.

– No, pięknie: o mnie napisał pan już nie wiem ile stron, co tylko panu przyszło do głowy, a jak przez jedną krótką chwilę pozwala mi pan mówić o moich sprawach, to nie chce pan ciągnąć tematu. Pan może oskarżać mnie ile wlezie, że chcę ukryć moją przeszłość, że nie chcę poznać siebie albo nie chcę rozpoznać sam siebie, że jestem narcyzem, ale pan jest taki sam. Albo gorszy. Ale ma pan przesrane, przynajmniej w tym rozdziale; w całej książce niech pan sobie robi, co chce, ale tutaj ja rządę. Teraz mi pan opowie o wróżce.

– To obrzydliwa historia.

– A mnie się wydaje bardzo zabawna. Pisze pan powieść, w której wszystkie postaci są prawdziwe, wszystkie oprócz wróżki z lokalnego kanału telewizyjnego w Geronie i zjawia się ta wróżka z lokalnego kanału telewizyjnego w Geronie, i wytacza panu proces. Widzi pan, co się dzieje, jak się miesza fikcję z rzeczywistością? Ludzie je ze sobą mylą.

– W powieściach zawsze miesza się fikcję z rzeczywistością, panie Marco. Zawsze z wyjątkiem powieści bez fikcji i prawdziwych opowieści. A co się tyczy tej kobiety, to proszę mi wierzyć, ona niczego nie pomyliła. Twierdziła, że jest przedstawiona jako postać w *Żołnierzach spod Salaminy*, ale to była jedna wielka bzdura: nie znałem jej, nigdy jej nie spotkałem, widziałem ją tylko kiedyś w telewizji, nic więcej. Ta kobieta starała się podczepić pod sukces książki, zmieścić się w kadrze.

– I jej się udało.

– Zmieściła się w kadrze, zgoda. Ale sędzia nie dopatrył się po mojej stronie winy. Tak czy inaczej, to była paskudna historia. Mieszkaliśmy w Geronie, małym mieście, dla mojej rodziny to nie było miłe... Możemy zmienić temat?

– Dobrze, zrobię to ze względu na pańskiego syna. Podoba mi się. Wydaje się świetnym chłopakiem.

– Jest świetny.

– Rozumiem, że nie chce pan mówić o tej sprawie. A pan rozumie, że i ja nie chciałem mówić o różnych sprawach, że je ukrywałem? Wszyscy trzymamy coś w ukryciu i wszyscy mamy do tego prawo, nie jest tak? Teraz panu o nich opowiedziałem, żeby je pan opisał w swojej książce i... wie pan co? Wcale nie żałuję. Niech pan je opisz. Niech pan się nie stara mnie nimi ocalić, wcale tego nie potrzebuję. Niech pan mnie nimi broni. Choć nie to chciałem panu powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że nie może pan rzucać kamieniem i chować ręki: pan zrobił dokładnie to samo co ja, pan stworzył modę na pamięć historyczną albo przyłożył rękę do tego, że się stała modna, przyłożył pan rękę do powstania przemysłu pamięci, jak i ja, dużo bardziej niż ja; ale pan dostał nagrodę, został sławnym pisarzem, podczas gdy ja zostałem ukarany, stałem się zadżumiony.

– Niech pan się nie wysila, nie przyznam panu racji. I nie uda się panu wzbudzić we mnie poczucia winy.

– Jest pan winny. Tak jak ja albo bardziej, bo ja przynajmniej odpokutowałem swoją winę, a pan nie. Tego właśnie nie rozumiem: skoro obaj zrobiliśmy to samo, dlaczego panu przypada chwała, a mnie wstyd? I niech pan będzie łaskaw nie serwować mi znowu kłamstw: oczywiście, że czuje się pan winny;

pan zawsze czuje się winny. Gdyby tak nie było, dlaczego chodziłby pan na psychoanalizę?

– Nie chodzę na psychoanalizę.

– Ale pan chodził.

– Skąd pan wie?

– Wiem dużo więcej, niż pan myśli. I muszę panu powiedzieć, że wcale mnie to nie dziwi w przypadku takiego drobnomieszczańskiego typu jak pan, neurotycznego i słabego, targanego ciągłymi wyrzutami sumienia. Natomiast tacy ludzie jak ja nie potrzebują psychoanalizy. Przypuszczam, że najbliższy jej byłem, kiedy kręciliśmy *Ich bin Enric Marco* i szukaliśmy prawd wśród kłamstw o mojej przeszłości. Na tym przecież polega psychoanaliza, czy tak?

– Chyba tak.

– A pan co znalazł?

– Wśród kłamstw o mojej przeszłości? Nic.

– Kłamczuch z pana.

– A pan? Co pan znalazł?

– Coś bardzo małego, ale ważnego, o czym i tak wiedziałem. Coś szarego, brudnego, płaskiego, nijakiego i złudnego: ale wystarczyło mi, żeby kłamać. To jest właśnie prawda, nie sądzi pan? Jej właśnie potrzebujemy, żeby kłamać. Prawda jest nie do zniesienia. To nie kłamstwo jest przerażające: przerażająca jest prawda.

– Fikcja ocala, rzeczywistość zabija.

– Właśnie tak.

– Tak czy inaczej, nie można zawsze żyć w kłamstwie.

– Tak czy inaczej, nie można zawsze żyć w prawdzie. Nie można żyć, ale trzeba żyć. To jest problem. Ja mogłem żyć w kłamstwie. A teraz, jak pan już skończy tę książkę, będę żył

w prawdzie, w pełnej prawdzie. Może być pan pewien. Poradzę sobie ze wszystkim, Javier. Ze wszystkim. Ja jestem Enrikiem Markiem. Niech pan nie zapomina. Kiedy wybuchł skandal, myśleli, że stchórzę, że się załamie, że nigdy nie wyjdę z domu, że się zabiję, właściwie to jeden skurwysyn powiedział nawet, że tak właśnie powinienem był postąpić. Gówno prawda! Głupi skurwieli! Niech się wszyscy odpierdola. Nie zamierzam się zabić, powiedziałem sobie. Niech oni się zabijają, powiedziałem sobie. Niech się zabijają te wszystkie skurwysyny, które chcą, żebym to ja się zabił, powiedziałem sobie. I nie zabiłem się. Bronilem się. I sam pan widzi. To prawda: popełniłem błąd; jest między nami zgoda: pewnie nie powinienem był zrobić tego, co zrobiłem. Ale czy nikt oprócz mnie nie popełnił błędu? A ci dziennikarze i ci historycy, którzy gładko i bez słowa łyknęli moją historię? Oni nie popełnili błędu? Jest ktoś taki, kto nigdy nie popełnił błędu? A pan się nigdy nie mylił? I komu ten mój błąd wyrządził krzywdę?

– Milionom umarłych. Zakpił pan sobie z nich. Z nich i z milionów żyjących.

– Nieprawda: z nikogo nie zakpiłem; przeciwnie: to dzięki mnie ludzie usłyszeli o tej potworności. W dodatku udowodniłem, że ta potworność nikogo nie obchodziła, że przynajmniej w Hiszpanii nikt wcześniej nie chciał o niej słyszeć, wszyscy mieli ją gdzieś i że nic się nie zmieniło. A myśli pan, że gdyby coś na ten temat wiedzieli i naprawdę ich to obchodziło, wzięliby moje kłamstwo za dobrą monetę i cała ta farsa by się udała? Nie, swoją powieścią udowodnił pan wielu ludziom, że zapomnieli o wojnie domowej, szczególnie o tych, którzy ją przegrali, a przynajmniej wyrobił pan w nich przekonanie, że zapomnieli, ale ja moim oszustwem

udowodniłem, że w świadomości naszego kraju nie istniał Holocaust albo że nikogo nie obchodził. Niech mi pan nie mówi, że kogoś skrzywdziłem. Nie skrzywdziłem nikogo bardziej niż pan; postąpiłem tak jak pan, używając tych samych narzędzi. Różnica tkwi w tym, że pana za to chwalili, a ze mnie zrobili trędowatego. Dlatego jest pan moim dłużnikiem. Dlatego musi pan oczyścić moje imię.

– Nie jestem pańskim dłużnikiem i już panu tłumaczyłem, co zamierzam zrobić.

– A ja panu powtarzam, że nie potrzebuję, żeby mnie pan ocalał. Nie trzeba być tak zarozumiałym. Ani tak naiwnym: nikt się nie uratuje, wszyscy jesteśmy skazani. Ale kogo to obchodzi? Mnie z całą pewnością nie, pana też nie powinno. Wystarczy, żeby mnie pan bronił. A przy okazji, mogę panu coś powiedzieć?

– Jeszcze pan wszystkiego nie powiedział?

– Nie.

– Niech pan mówi, co pan chce.

– Miałem o panu lepsze zdanie, kiedy pana nie znałem, kiedy tylko byłem pańskim czytelnikiem.

– Wcale się nie dziwię: to powszechne odczucie. Dlatego prowadzę coraz uboższe życie towarzyskie.

– Mówię poważnie. Ludzie, którzy pana nie znają, którzy tylko pana czytają, uważają, że jest pan skromnym człowiekiem, bo traktuje pan siebie z przymrużeniem oka i śmieje się pan z samego siebie, szczególnie w artykułach dla prasy. Ja w to nie wierzę. W istocie nim pana poznałem, myślałem, że te ironiczne komentarze na własny temat to nie oznaka skromności, lecz pychy: czuje się pan taki mocny, myślałem, że pozwala pan sobie nawet na ataki pod własnym adresem, na kpinki z samego siebie; gdyby nie miał w sobie tyle pychy, mówiłem sobie, gdyby

był skromniejszy lub ostrożniejszy i nie taki pewny siebie, zostawiłby innym to wyśmiewanie się z niego.

– Ciekawe; nigdy tak o tym nie myślałem. Dla mnie autoironia jest tylko podstawowym poziomem przyzwoitości, minimalną uczciwością, jaką można się wykazać, szczególnie gdy się pisze do gazet; koniec końców punktem wyjścia dobrze pojętej krytyki jest autoironia i kto nie potrafi śmiać się z samego siebie, nie ma prawa z niczego się śmiać.

– Tak, właśnie tak powiedziałałby człowiek pyszny. I to mi się w panu podobało, dopóki byłem tylko pańskim czytelnikiem: domyślałem się wielkiej pychy za tymi pozorami skromności. Ale teraz, gdy pana znam, wiem już, że nie ma w panu pychy, skromności zresztą też nie. Ma pan typowo drobnomieszczańską mentalność: to neurotyczna mieszanina poczucia winy i strachu. Pana poczucie winy bardzo mnie bawi. Przypomina mi scenę z westernu, który niedawno widziałem. W miasteczku szeryf zabił właśnie czarnego, a dziwki, dla których ten czarny pracował, mówią, że czarny nie był winny; wtedy ten szeryf spogląda na nie zaintrygowany i pyta: Nie był winny czego? Z panem jest tak samo: każdy pretekst jest dobry, żeby pan czuł się winny. Ma pan mentalność niewolnika, ja natomiast mam mentalność wolnego człowieka. Ja nie poczuwam się do żadnej winy, pokonałem poczucie winy, pan to dobrze wie, i dlatego mnie pan podziwia. Nie ma pan śmiałości tego powiedzieć, rzecz jasna, ale mnie pan podziwia. Boi się pan to powiedzieć, ale mnie pan podziwia. Uważa mnie pan za bohatera i dlatego od czasu do czasu wymyka się panu w książce zwrot „nasz bohater”.

– Muszę pana zmartwić: ten „nasz bohater” to zwrot ironiczny; w rzeczywistości znaczy czarny charakter. Co

najwyżej oznacza równocześnie naszego bohatera i nasz czarny charakter.

– I jest pan pewien, że czytelnicy to rozumieją?

– Tak jak rozumieją, że Don Kichot jest zarazem bohaterski i żaloszny albo że zarazem jest rozsądny i niespełna rozumu.

– Ma pan wielkie zaufanie do swoich czytelników.

– Jasne, piszę dla inteligentnych ludzi.

– Tak, ale tę książkę przeczytają nawet ci głupi. Niech pan pamięta, że jest o mnie. Ale sam pan widzi.

– Co niby mam widzieć?

– Martwi się pan, co też powiedzą czytelnicy. Boi się pan.

– Boję się? To pan powinien się bać: piszę książkę o panu, zgoda, ale zamierzam napisać całą prawdę. To, co pan mi opowiedział, i to, czego mi pan nie opowiedział. Kłamstwa, ale i prawdę także.

– Brednie pan plecie: sam panu wszystko opowiedziałem, a czego nie powiedziałem wprost, to dałem do zrozumienia albo podpowiedziałem lub zasugerowałem, jak się tego dowiedzieć. Czy sam pan przed chwilą nie powiedział, że tylko powtarza to, co ja opowiedziałem? Nigdy nie przyszło panu do głowy, że to ja chciałem, żeby się pan dowiedział prawdy, że przeżyłem to, co przeżyłem, i zmyśliłem to, co zmyśliłem, tylko po to, żeby pan o tym napisał, jak Alonso Quijano przeżył to, co przeżył, i zmyślił to, co zmyślił, tylko po to, żeby napisał o tym Cervantes? Dlaczego teraz miałbym się bać, że pan to napisze? A swoją drogą, już pan zapomniał, że jestem wielkim szalbierzem i wielkim łotrem i że po wybuchu skandalu już odsadzili mnie dokumentnie od czci i wiary, i że teraz nic wielkiego mi już nie grozi? Jest mi obojętne, co pan napisze; a właściwie wszystko obróci się na moją korzyść: znowu będzie

się o mnie mówić. Nieważne jak, byle się mówiło. Poza tym za chwilę skończę dziewięćdziesiąt pięć lat. Sądzi pan, że w tym wieku człowiek się czegoś boi? Ale pan, pan jest młodzieniaszkiem, pięćdziesięcioletnim co prawda, ale młodzieniaszkiem, i jest pan przerażony. Boi się pan swoich czytelników. Boi się pan, co powiedzą o tej książce. Boi się pan, że zauważą, że w gruncie rzeczy czuje pan do mnie sympatię, podziwia mnie pan, że chciałby pan być taki jak ja, nie mieć poczucia winy i być człowiekiem niemoralnym, a raczej amoralnym, móc wymyślić się na nowo w wieku pięćdziesięciu kilku lat tak jak Alonso Quijano, zmienić swoje życie, zmienić miasto i żonę, i rodzinę, i być kim innym, potrafić przeżywać powieści, a nie tylko je pisać, uwolnić się od tej gównianej drobnomieszczańskiej moralności, która każe panu czuć się wszystkiemu winnym i zmusza do szanowania jej żalonych drobnomieszczańskich cnót, do bycia wiernym prawdzie i przyzwoitości, i czemu tam jeszcze, podczas gdy tak naprawdę chciałby pan być taki jak ja, być takim nietzscheańskim bohaterem jak ja, facetem, który wie, że najwyższą wartością jest samo życie, nie żadna prawda ani przyzwoitość, ani takie tam, facetem, który w wieku pięćdziesięciu lat, gdy ma się już za sobą półmetek, gdy trzeba przygotowywać się na śmierć, mówi wszystkiemu „Nie” i fabrykuje sobie nowe życie na miarę swoich pragnień, i rzuca się w jego wir, nie zważając na nic ani na nikogo, na smrodliwe wartości moralne ani na smrodliwą opinię wszystkich pozostałych, niczym Alonso Quijano. Ale pan nie jest do tego zdolny, nie potrafi pan nawet przyznać, że mnie pan podziwia, bo ja byłem zdolny. Wpada pan w panikę i trzęsą się panu nogi na samą myśl, że powiedzą o panu: I znowu ten Cercas; sami popatrzcie na jego książki: najpierw bronił

faszysty; potem bronił mordercy; potem bronił kolejnego faszysty; potem bronił psychopaty; a teraz broni kłamcy, typka, który zadrwił sobie z milionów zmarłych. Niech mi pan powie, ile razy już pan słyszał, że broni pan faszystów?

– Powtarzam, że piszę dla inteligentnych ludzi.

– A ja panu powtarzam, że ci głupi też pana czytają. Głupcy i jednowymiarowi moralisci, jak ich nazywał pański mistrz Ferraté. A nawet ci faryzeusze, przed którymi tak dzielnie bronił pan swego koleżkę Vargasa Llose. I pan się ich boi. I to jeszcze jak. Boi się pan, że skoro pan broni kłamców, to oni poczują się w prawie, żeby kłamać na pański temat. I na temat pańskiej rodziny. I żeby panu wypruć flaki, a szczególnie wypruć flaki pańskiej rodzinie. Przecież ludzie w Hiszpanii niczego nie lubią bardziej, niż patrzeć, jak jeden drugiemu wypruwa flaki, prawda? Panu już to się kiedyś przytrafiło, prawda? Ale boi się pan nie tylko tego. Przede wszystkim boi się pan zdyskwalifikować. Boi się pan zdyskwalifikować samego siebie, opisując w tej książce moją historię, tak jak Truman Capote zdyskwalifikował się, opowiadając w *Z zimną krwią* historię Dicka Hickocka i Perry'ego Smitha. O, tak, tego pan się naprawdę boi, zesrał się pan ze strachu. Boi się pan, że skończy tak jak Capote, taką samą degrengoladą. Boi się pan, że zawarł pakt z diabłem, by móc tę książkę napisać, i brak panu odwagi, żeby się nie przejmować i ponieść tego konsekwencje, jak poniósł Capote... A jak się teraz nad tym zastanawiam, to już wiem, dlaczego chce mnie pan ocalić.

– Dlaczego?

– Żeby ocalić samego siebie, tak jak Dickens ocalił się w *Dawidzie Copperfieldzie*, ocalając Miss Mowcher. Niezła dziecinada. Niezła głupota. Ale wizja zdyskredytowania samego

siebie wpędza pana w panikę. Czuje pan panikę na myśl, że zostanie zdemaskowany jako kłamca i komediant. Kłamca równie dobry jak ja albo prawie, komediant dużo lepszy niż ja, bo mnie zdemaskowali, a pana jeszcze nie. Tego boi się pan tak samo jak tego wcześniej. Albo prawie. A może najbardziej pan się boi, że właśnie to, nie degrengolada i alkoholizm Capote'a, może być ceną, którą będzie pan musiał zapłacić diabłu za opowiedzenie mojej historii. Że wyjdzie na jaw, że przez całe życie wszystkich pan oszukuje. Wyda się, że jest pan oszustem, jak powiedział pański przyjaciel Martínez de Pisón w domu u Vargasa Llosy w Madrycie. Pamięta pan? Bardzo bystry Aragończyk z tego Pisona. On pana przejrzał, on uświadomił sobie, kim pan jest, że wpada pan w panikę na myśl, że się wyda, że nie jest pan tym, na kogo wygląda, i dlatego podejmuje pan nadludzkie wysiłki, żeby wszyscy myśleli, że pan jest tym, kim pan nie jest, to znaczy dobrym pisarzem i dobrym obywatelem, i przyzwoitym człowiekiem, i wszystkie te wzniosłe bzdury. Boże, jak pan się stara, jakie straszne to pana życie, nieskończenie gorsze niż moje albo niż to, które ludzie mieli za moje życie, zanim wszystko wyszło na jaw: co rano zrywać się o świcie i musieć pisać cały dzień, żeby podtrzymywać oszustwo, żeby pana nie nakryli, żeby nikt nie zauważył, czytając to, co pan pisze, że jest pan kpiną, nie pisarzem, pisarskim beztalenciem bez krzty inteligencji i nie ma pan nic do powiedzenia; codziennie udawać, że nie jest pan bezrozumną kukłą, żalonym typem, całkowicie aspołecznym skurwysynem i prawdziwym draniem. Nie czuje pan mdłości? Nie męczy pana to udawanie, że jest pan tym, kim pan nie jest? Dlaczego pan się nie przyzna, jak ja się przyznałem? Będzie pan spokojniejszy, zapewniam, poczuje pan ulgę. Będzie pan mógł się poznać albo

rozpoznać sam siebie, przestanie pan się chować przed wszystkimi za tym, co pan pisze, w końcu będzie pan mógł być sobą. Wiem, że pan tego pragnie. W przeciwnym razie dlaczego pisałby pan tę książkę? Rozumiem, że zrobił pan wszystko, by jej nie pisać, że przez lata pan się wzbraniał przed pisaniem jej i że odwlekał pan tę chwilę, jak długo się dało; to naturalne, że bał się pan stanąć twarzą w twarz z prawdą. Ale teraz już pan prawie kończy i nie pozostaje panu nic innego, niż stawić jej czoło. Poza tym pan w gruncie rzeczy znał prawdę już od samego początku, od chwili, w której wybuchła moja afera; właśnie dlatego nie chciał pan o mnie pisać.

– Nie rozumiem pana.

– Niech mi pan coś powie: dlaczego swojemu artykułowi w „El País” dał pan tytuł *Ja jestem Enrikiem Markiem?*

– Ponieważ film Santiago Fillola i Lucasa Vermala nosił tytuł *Ich bin Enric Marco* i to po niemiecku znaczy *Ja jestem Enrikiem Markiem*.

– Gówno prawda: dał pan taki tytuł, bo od początku pan wiedział, że jest pan komediantem i kłamcą tak jak ja, że ma pan wszystkie moje wady i żadnej z moich zalet i że jestem pana sennym albo lustrzanym odbiciem. I dlatego proszę, żeby mnie pan bronił, żeby pan zapomniał o ratowaniu mnie i mnie bronił: bo ani pan, ani ja nie możemy się uratować; ale broniąc mnie, broni pan siebie. Taka jest prawda, Javier. Prawda jest taka, że pan jest mną.

Siła wybuchu skandalu znacznie przekroczyła najbardziej pesymistyczne przewidywania samego Marca. Z ochoczą naiwnością zakładał prawdopodobnie, że skandal będzie dyskretnych rozmiarów, ograniczy się do środowiska deportowanych albo do środowiska deportowanych i historyków, w najgorszym razie do Katalonii: w rzeczywistości odbił się echem na pięciu kontynentach. Można to było przewidzieć: bo po pierwsze chodziło o zdumiewające oszustwo, a po drugie wszystko, co pozostaje w związku z Holocaustem, ma wymiar uniwersalny. Tytuł tej wiadomości był zawsze taki sam niezależnie od wszelkich szczegółowych różnic: *Prezes stowarzyszenia hiszpańskich deportowanych do obozów nazistowskich nigdy nie był więźniem obozu nazistowskiego.*

Jakkolwiek echo medialnego trzęsienia ziemi dotarło do najdalszego zakątka globu, epicentrum znajdowało się w Hiszpanii, przede wszystkim w Katalonii, gdzie, jak stwierdzał komentarz redakcyjny dziennika „Avui”, Marco był „postacią bliską i kochaną”. Wiele innych gazet, nawet niektóre z tych o największym nakładzie, jak „El País”, „La Vanguardia” i „El Periódico”, również poświęciło mu wstępniaki. Chyba nie było w Hiszpanii środka masowego przekazu, który nie zamieściłby tej wiadomości, nie opublikował tekstu, reportażu, wywiadu, oświadczenia albo dowcipu na temat Marca, nie było rozmówcy w radiu ani w telewizji, który nie wyraziłby swego zdania w tej sprawie, nie było komentatora, który nie napisałby o nim artykułu albo nie odniósł się do sprawy w ten czy inny

sposób, nie było działu listów od czytelników, który nie zamieściłby choć jednego poświęconego temu listu. Komentarze były w większości wyzwiskami pod adresem Marca; prócz oszusta i kłamcy nazywano go kanalią, nędznikiem, draniem, kryminalistą, zdrajcą, śmieciem; autorzy przynajmniej dwóch artykułów napisali, że zachowałby się najbardziej honorowo, odbierając sobie życie; Neus Català, była więźniarka obozu Ravensbrück i jak Marco należąca do stowarzyszenia Amical de Mauthausen, oświadczyła w Barcelonie, że Marco zdrwił z pamięci zmarłych, a Ramiro Santisteban, prezes Hiszpańskiej Federacji Deportowanych i Więźniów Politycznych, powiedział w Paryżu, że Marco powinien stanąć przed hiszpańskim sądem i dostać wyrok skazujący. Dawni przeciwnicy Marca w CNT, którzy przez dwadzieścia pięć lat nie zapomnieli o dawnych urazach, wyciągnęli z lamusa stare oskarżenia i wytknęli mu, że jako sekretarz generalny współdziałał z rządem, był współpracownikiem służb, może policyjnym konfidentem, pewnie jednym z prawdziwych winowajców zamachu w Scali oraz rozbitcia CNT, a niektórzy dziennikarze, równie młodzi, co żądni krwi i nieświadomi tego, jakie polityczne urazy stoją za takimi pomówieniami, poszli tym sensacyjnym tropem, starając się zdemaskować kłamstwo w tej jedynej, lub prawie jedynej części życiorysu Marca, gdzie nic nie było do demaskowania. Krótko mówiąc: w tych poskandalowych dniach Marco znajdował się w kadrze częściej, niż kiedykolwiek mógł to sobie wyobrazić, jakkolwiek nie z powodów, z jakich by sobie życzył. Krótko mówiąc: kiedyś Marcowi udało się zostać osobą bliską i kochaną, politycznym bohaterem, czempionem albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej, ale w tamtych dniach zmienił się w wielkiego szalbierza i wielkiego łotra.

Od tej pory wciąż jest szalbierzem i łotrem. Pomimo to od początku miał swoich obrońców. Nie wszyscy bronili go z ochoty, by iść pod prąd albo zwrócić na siebie uwagę, albo z głębi swego konformistycznego nonkonformizmu: wydawało się, że niektórzy robili to uczciwie. Byli wśród nich tacy, którzy powtarzali argumenty, jakie przygotował sobie sam Marco, głównie ten, że jego kłamstwo było kłamstwem dobrym, a przynajmniej wybaczalnym, bo przecież przyczyniło się do rozpowszechnienia prawd, które wymagały rozpowszechnienia, albo ten, że zrobił to, ponieważ prawdziwi deportowani już nie mogli tego zrobić i ktoś musiał ich zastąpić. Ale byli też ludzie, którzy bronili Marca, dowodząc, że prasa dokonywała na nim linczu, urządziła haniebną jatkę tylko po to, żeby ukryć prawdziwego winowajcę, którym wcale nie był Marco, lecz sama prasa, wcześniej tolerująca, wykorzystująca i rozpowszechniająca kłamstwa Marca. Wedle tej interpretacji sprawa Marca była tak naprawdę sprawą łatwowiernych dziennikarzy, wyrachowanych i niekompetentnych, którzy teraz czuli się wystrychnięci na dudka i ośmieszeni przez Marca i mścili się na nim, stawiając go pod pręgierzem z niespotykanym okrucieństwem. Byli też ludzie, którzy dodawali jeszcze, że są gorsi oszuści niż Marco, oszuści, którzy swoimi kłamstwami powodują wojny, cierpienia i śmierć innych ludzi i pozostają całkowicie bezkarni, wielcy kłamcy, których środki przekazu nie ośmielały się krytykować i których wszyscy traktowali z rewerencją albo obchodzili się z nimi w białych rękawiczkach. Nie zabrakło takich, którzy dowodzili, że wszyscy jesteśmy oszustami i że wszyscy na swój sposób wymyślamy sobie na nowo naszą przeszłość, i że nikt nie jest wolny od winy Marca.

W Amical de Mauthausen sprawa Marca wywołała największy kryzys w czterdziestotrzyletniej historii stowarzyszenia. Rosa Torán, jako pełniąca obowiązki prezesa, starała się zapanować nad sytuacją i minimalizować straty, urządzając konferencje prasowe, zwołując zebrania i wydając komunikaty prostujące fałszywe informacje i broniące działań zarządu; kierowała też listy do wszelkich możliwych władz, prosząc o zrozumienie i pomoc oraz zapewniając, że pomimo skandalu stowarzyszenie będzie nadal robiło swoje. Torán nie odniosła większego sukcesu, bo nie mogła go odnieść. Choć władze udawały wyrozumiałość i na razie nie cofały finansowego wsparcia i choć niektóre osoby usiłowały wesprzeć chwiejącą się w posadach organizację, zgłaszając do niej swój akces, to reputacja Amical ucierpiała tak bardzo, że wieszczono mu rychły koniec. Problemy pochodziły nie tylko z zewnątrz, lecz także (albo przede wszystkim) z wewnątrz. Zebrania członków przekształciły się w otwarte starcia: dochodziło do krzyków, wyzwisk, trzaskania drzwiami i agresji; niezliczoną ilość razy atakowano zarząd, oskarżając go o wszystkie możliwe winy, nawet o to, że rozegrał skandal najgorzej, jak to było możliwe, albo że od dawna wiedział, że Marco jest oszustem, ale to ukrywał albo tego nie ujawnił ze względu na swoje nielegalne albo niegodziwe korzyści; ludzie odchodzili z zarządu, inni odchodzili ze stowarzyszenia; niektórzy ogłaszali śmierć Amical i konieczność stworzenia go od nowa. W zamiarze przywrócenia stowarzyszeniu wiarygodności 5 czerwca, niemal miesiąc po wybuchu skandalu, członkowie Amical zebrali się na nadzwyczajnym zgromadzeniu plenarnym, jedynym takim w swojej historii, i wybrali nowy zarząd, na którego czele stanął członek założyciel stowarzyszenia i były deportowany Jaime Álvarez. Wszystko na nic: choć Amical

przetrwano sprawę Marca, okazała się ona dla stowarzyszenia pocałunkiem śmierci. Jego późniejsza historia to postępujący schyłek, podobnie jak i schyłek tego wszystkiego, co nazywano pamięcią historyczną.

Ale najbardziej na wybuchu skandalu ucierpiał sam Marco. Mówiłem już, że rozmiary tego skandalu znacznie przekroczyły jego najgorsze przewidywania. On jednak postanowił drogo sprzedać własną skórę, bronić się, atakując, albo atakować, broniąc się. Kiedy wydawało się, że postać budowana przez całe życie wali się z apokaliptycznym hukiem, zniósł z podniesionym czołem lawinę dyskredytujących go komentarzy i publicznych wyzwisk i, wnosząc z jego zachowania i wypowiedzi, ani przez chwilę nie zamierzał wyjechać ani się ukryć, ani przez chwilę nie myślał, by się wycofać albo uznać za pokonanego, a już na pewno nie zamierzał się zabić, ani przez chwilę nie unikał brania odpowiedzialności za swoje czyny. Jakkolwiek go oceniać, fakt ten jest sam w sobie zdumiewający, szczególnie gdy się ma w pamięci, że bohater skandalu był osiemdziesięcioletnim starcem. Zamiast zamknąć się na zawsze w domu albo wyemigrować do jakiegoś igloo w Laponii, albo po prostu strzelić sobie w łeb, Marco udzielał niezliczonych wywiadów prasie, radiu i telewizji, wywiadów, w których zarzucano mu, że jest kłamcą i oszustem, i biczowano go bez litości. Wszystko to zwielokrotniło efekt całej sprawy, ale Marco sprawiał takie wrażenie, jakby go to nic nie obchodziło. Można przypuszczać, że uzależniony od mediów, w cichości ducha cieszył się z tego gigantycznego zainteresowania; to możliwe, ale trzeba przyznać, że upokorzono go i sponiewierano do granic niemożliwości, i trudno wprost uwierzyć, że nie poległ od tego ciosu zadanego jego dumie.

Trudno w to uwierzyć, ale tak było. Marco nie wykreślił się od żadnego spotkania z żadnym dziennikarzem. Na wszystkich przedstawiał w różnych wariantach rozumowanie, jakie przygotował albo naszkicował sobie w dniach poprzedzających wybuch skandalu, a potem w miarę upływu dni wzbogacał je, polerował i ulepszał, dodając do niego nowe argumenty i doskonaląc stare. Były takie wywiady, w których Marco robił wrażenie skruszonego, i były inne, w których zdawał się niczego nie żałować; w większości wydawało się, że żałuje i nie żałuje równocześnie. W kilku z pierwszych – myślę o tym przeprowadzonym w dniu wybuchu skandalu, w katalońskiej telewizji publicznej, przez Josepa Cuniego, jednego z najbardziej wpływowych dziennikarzy w kraju – chwilami nie mógł ukryć zdenerwowania lub oburzenia, był niemal na granicy płaczu. Jednakże powoli, nie wycofując się ze znanych już tez – wcale nie kłamał, lecz tylko zmienił prawdę, a zakładając, że w ogóle kłamał, to jego kłamstwo było dobre, było szlachetne, mógłby powiedzieć za Platonem, było kłamstwem pożytecznym, mógłby stwierdzić za Montaigne'em, było kłamstwem ocalającym i życiodajnym, mógłby tłumaczyć, posiłkując się Nietzschem, że dzięki temu kłamstwu młodzież dowiedziała się o potwornościach XX wieku, doszli do głosu ci, którzy głosu nie mieli, on był więźniem nazistowskich więzień, tak jak deportowani byli więźniami nazistowskich obozów, i dlatego miał legitymację, by zabierać głos w ich imieniu itd. – zaczął przedstawiać się, może pod wpływem jakichś swoich obrońców, jako ofiara. Ofiara rozszczęzonych i pełnych urazy dziennikarzy, ofiara braku zrozumienia i zapomnienia o jego zasługach politycznego bohatera i czempiona albo *rock star* pamięci historycznej, ofiara powszechnej zawziętości, ignorancji

i niewdzięczności, ofiara Benita Bermeja i jego walki ze stowarzyszeniem Amical albo z kolegami ze stowarzyszenia, ofiara hiszpańskiej prawicy, która ma już po dziurki w nosie pamięci historycznej, i ofiara Żydów z Mosadu, mających po dziurki w nosie jego odważnych wypowiedzi o sytuacji Palestyńczyków, ofiara wszystkiego.

Ta obronna kampania (albo kampania ofensywna udająca kampanię defensywną) nie była wyłącznie kampanią publiczną; była również kampanią prywatną. Gdy tylko wybuchł skandal, ale szczególnie gdy jego echa w środkach przekazu zaczęły przycichać, nasz bohater zalał świat lawiną listów w swojej obronie porównywalną tylko z lawiną oskarżeń i wyzwisk, jaka na niego spadała lub spadła. Marco napisał do zarządu stowarzyszenia Amical, do członków Amical, do miejskich, regionalnych i rządowych polityków, do znanych dziennikarzy i do dziennikarzy prawie anonimowych, i do redaktorów naczelnych, którym wcześniej na próżno starał się wręczyć osobiście komunikat z przyznaniem się do oszustwa. Napisał do przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego, z którymi wcześniej utrzymywał relacje, do niektórych towarzyszy z CNT i z FAPAC, do obecnych przyjaciół i znajomych, i do przyjaciół i znajomych od dawna niewidzianych, do uniwersytetów, ośrodków kultury, domów starców, więzień, do szkół dla dorosłych i stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, w których wygłosił kiedyś prelekcje. A przede wszystkim jednak napisał do niezliczonych szkół średnich, które wcześniej odwiedził. W niektórych wiadomość o jego oszustwie – niewątpliwie dlatego, że wcześniej jego wystąpienia spowodowały piorunujące wrażenie – miała tak brutalne konsekwencje, że nauczyciele poczuli się w obowiązku wyjaśnić uczniom, że jakkolwiek

tamten starszy pan, który tak zapadł im w pamięć i którego uznali za bohatera, był w rzeczywistości komediantem, to nic z tego co im opowiedział, nie było farsą. Listy Marca, często bardzo chaotyczne i mętne, były potokiem usprawiedliwień i słów w obronie własnej, bywało, że dołączał do nich dokumenty dowodzące albo mające dowieść, że ma za sobą przeszłość antyfrankistowskiego opozycjonisty, jak na przykład fotografie jego posiniaczonego tułowia po policyjnym pobiciu 28 września 1979 roku podczas akcji w obronie skazanych w związku ze sprawą Scali albo jak zaświadczenia zdające się dowodzić, że nie tylko miał proces przed nazistowskim sądem (co było prawdą), lecz że był uczestnikiem antynazistowskiego ruchu oporu (co było kłamstwem). No cóż, samoobrona Marca była tak totalna, że obejmowała nawet symboliczne gesty. Tak więc dwa dni po wybuchu skandalu Marco zjawił się w siedzibie premiera autonomicznego rządu katalońskiego i zostawił tam kopertę, a w niej Krzyż Świętego Jerzego, dokument nadania tego odznaczenia i list skierowany do premiera z prośbą o wybaczenie kłamstw o pobycie w obozie i ze stałym zestawem usprawiedliwień. Marco zwrócił nie tylko odznaczenie. Oskarżano go również o to, że zbił majątek na swoich kłamstwach, chociaż jako były deportowany pobrał w przeszłości jedynie odszkodowanie w wysokości siedmiu tysięcy euro wypłacone przez fundację stworzoną w Szwajcarii, głównie przez niemieckie firmy wykorzystujące w czasie wojny pracę nazistowskich więźniów. Marco zwrócił te pieniądze, lecz po kilku zaledwie miesiącach przelano mu je ponownie, tłumacząc, że jakkolwiek nie był więźniem obozu nazistowskiego, to nazizm korzystał z jego niewolniczej pracy.

Wszystko na nic. Marco walczył, jakby od tego zależało jego życie, bo zależało istotnie, ale niewiele wskórał. Nie potrafił pojąć, dlaczego byli głusi na jego racje, nie mógł się pogodzić, że tak szybko wydali na niego wyrok, nie mógł znieść, że odebrali mu jego rangę politycznego bohatera, czempiona albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej, nie godził się, by pozbawiali go jego postaci i zmuszali do stania się na nowo Alonsem Quijano, w dodatku nie Alonsem Quijano Dobrym, lecz Alonsem Quijano Złym. A nie godził się na to między innymi (albo szczególnie) dlatego, że wcale nie położyli kresu jego postaci, on dobrze to wiedział; mogli skończyć z postacią byłego więźnia obozu nazistowskiego, ale pozostawała postać obrońcy republiki podczas wojny domowej, ofiary więzień nazistowskich i członka antyfrankistowskiego ruchu oporu w latach powojnia, przywódcy związkowego w CNT i lidera zmian w edukacji w FAPAC. Czy to wszystko nic nie znaczyło? Czy to nie była biografia bohatera, mimo że nie była biografią deportowanego do obozu? Czy całe życie poświęcone słusznym sprawom nie wystarcza, by odkupić drobny błąd starości, jeżeli w ogóle można mówić o błędzie? Miał wrażenie, że udało mu się zachować w nienaruszonym stanie domek z kart, a pomimo to wszyscy zachowywali się tak, jakby ten domek z kart runął.

To były miesiące agonii, bezpardonowej walki i w końcu to on sam runął. Albo tak mówi. Mówi, że widząc, jak został beznadziejnie zdegradowany do kategorii wielkiego szalbierza i wielkiego łotra, pogrążył się w depresji. Możliwe. Choć mnie trudno w to uwierzyć, bo taki typ człowieka jak Marco nigdy nie pogrąża się w depresji albo nigdy nie pogrąża się całkowicie. Pewne jest natomiast, że w pewnym momencie sprawiał wrażenie, jakby przestał walczyć i schronił się na łonie rodziny:

żony i córek; czasem także wśród przyjaciół, choć Marco jest samotnym wilkiem i nigdy nie miał ich wielu. To chwilowe wycofanie się, zakładając, że nim było, trwało krótko i Marco szybko stał się takim, jakim uczynił go wybuch skandalu, jakim był, kiedy ja go poznałem, i jakim, jak się dobrze zastanowić, był zawsze: nie tylko wielkim szalbierzem i wielkim łotrem, także orędownikiem samego siebie i człowiekiem gotowym do walki, oddanym sprawie własnej obrony. Nie wrócił do wygłaszania publicznych prelekcji, ale przyjmował wszystkie propozycje stwarzające mu okazję wytłumaczenia się, poczynając od wywiadów poświęconych jego sprawie albo sprawom podobnym do jego sprawy (jakkolwiek Marco zawsze tak to wekslował, żeby przede wszystkim mówić o samym sobie i bronić się). Przychodził na oficjalne uroczystości, gdzie spotykał dawnych towarzyszy ze swojego etapu w CNT albo swojego etapu w FAPAC, ludzi kiedyś go szanujących albo nie, podziwiających albo niecierpiących go, albo dla których był obojętny, ale którzy bez wyjątku i z niedowierzaniem lub z oburzeniem, lub z zawstydzeniem śledzili wiadomości o skandalu i jego bohaterze, i którzy przeważnie wcale z nim o tym nie rozmawiali i odnosili się do niego, jakby nic się nie stało albo starali się go unikać.

Marco podjął też próbę odnowienia stosunków ze stowarzyszeniem Amical. Wielokrotnie zwracał się listownie z prośbą o zwołanie zebrania, na którym mógłby się wytłumaczyć, przedstawić własną wersję całej sprawy, podjąć próbę zrehabilitowania się w oczach dawnych towarzyszy i ponownego nawiązania kontaktu z organizacją, i ilekroć zdobywał nowe dokumenty potwierdzające jego kondycję ofiary nazistów (na przykład po podróży do Niemiec, podczas której

Santi Fillol i Lucas Vermał kręcili film *Ich bin Enric Marco*), wysyłał ich kopię pocztą do siedziby stowarzyszenia przy ulicy Sils jako dowód na to, że jego wersja zdarzeń była właściwa i że nie kłamał aż tak bardzo. Stowarzyszenie nie odpowiedziało na żaden z jego listów, pomimo że Marco chwycił się wszelkich możliwych argumentów, nawet argumentów genialnego spryciarza i intryganta jakich mało, na przykład że pomagając mu w odzyskaniu dobrego imienia, dawni towarzysze unikną oskarżeń o wybranie oszusta na prezesa stowarzyszenia Amical. Raz jednak spotkał się z nimi ponownie. Było to na pogrzebie Antonii Garcii, jednej z dziewczynek z tak zwanego konwoju 927 albo konwoju z Angoulême, pociągu pełnego hiszpańskich emigrantów republikańskich, który w czerwcu 1940 roku wyjechał z tego francuskiego miasta do obozu w Mauthausen. Marco przyszedł na pogrzeb, bo pozostawał w dobrych relacjach ze zmarłą, a może i dlatego, że dostrzegł w tym sposobność pogodzenia się z dawnymi kolegami. Ale jeżeli na to liczył, to się przeliczył: choć niektórzy uścisnęli mu rękę i ucieszyli się na jego widok, albo takie sprawiali wrażenie, wielu członków stowarzyszenia przyjęło z zażenowaniem jego obecność na uroczystości i niejeden nie chciał się z nim przywitać. Prawdopodobnie nikt do końca nie rozumiał, dlaczego Marco tam przyszedł.

W ostatnich latach Marco żyje upominając się stale o swoje dobre imię. Zapewnia bez końca, że nie chce być zrehabilitowany, aczkolwiek tego właśnie chce najbardziej: chce przestać być łotrem, chce przestać być szalbierzem par excellence, chce odzyskać jeśli nie rolę czempiona albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej – bo Marco dobrze wie, że tak zwana pamięć historyczna już właściwie nie istnieje i że jego sprawa

przyczyniła się walnie do jej końca – to przynajmniej rolę politycznego bohatera albo wyjątkowego człowieka, chce, by przyznano, że przyczynił się do ulepszenia swego kraju i do rozpropagowania, szczególnie wśród młodzieży, prawdy, sprawiedliwości i solidarności, chce, by przyznano, że on także był ofiarą nazistowskiego i frankistowskiego barbarzyństwa i z nim walczył, i że jego kłamstwo było kłamstwem pożytecznym i tak minimalnym, że właściwie nie było kłamstwem albo niewarte jest takiej nazwy, chce, by powiedziano, że całe społeczeństwo zachowało się wobec niego niesprawiedliwie, że został niesprawiedliwie, małostkowo, brutalnie potraktowany przez środki przekazu, chce, żeby wszyscy zgodzili się raz na zawsze, że nie jest Alonsem Quijano, lecz Don Kichotem.

I nie spocznie, dopóki tego nie osiągnie. Albo tak mówi, i ja mu wierzę. Przy tym ostatnim dziele swego życia Marco pracuje samotnie, wykorzystuje każdą nadarzającą się sposobność i środki, jakie ma w swoim zasięgu, czyli swoje krasomówstwo i zręczność spryciarza, uwodziciela i intryganta, bo wszystkie te umiejętności mają się nadal znakomicie, mimo że w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat stracił już trochę dawnej energii; czasem pracuje wspólnie z innymi albo się stara z nimi pracować, ponieważ nie gardzi niczyją pomocą i ponieważ ma świadomość, że utracił całą wiarygodność i musi wykorzystywać wiarygodność innych, choćby inni nie wiedzieli, że ich wykorzystuje (albo szczególnie wtedy, gdy tego nie wiedzą). Nie ma znaczenia, kim są: dziennikarzami, filmowcami, pisarzami. Wszystko jedno. Ważne, by zapewnili mu publiczność i pozwolili znaleźć się w kadrze, a przede wszystkim, by zdołał ich przekonać do wystąpienia w jego obronie, do upomnienia się

o jego dobre imię. Po raz pierwszy podjął wielką próbę odzyskania dobrego imienia – po dwóch latach od wybuchu skandalu – w długim reportażu zatytułowanym *Historia jednego kłamstwa* i opublikowanym w piśmie „Presència”; autorami reportażu było dwoje dziennikarzy, przyzwoitych ludzi, którzy znali go w czasach swej młodości i szanowali i choć rozczarowani oszustwem, nadal uważali się za jego przyjaciół: Carme Vinyoles i Pau Lanao. Drugi raz podjął taką próbę w 2009 roku, w filmie *Ich bin Enric* Marco Santiego Fillola i Lucasa Vermala. Nie trzeba dodawać, że ostatnią próbą jest ta książka.

EPILOG

MARTWE POLE

Na wiosnę 2012 roku, kiedy od wielu już lat odmawiałem napisania tej książki, ale wkrótce miałem przestać odmawiać, dziennik „Le Monde” zwrócił się do grupy pisarzy, byśmy wybrali słowo najlepiej definiujące naszym zdaniem to, co pisaliśmy; poprosił też o uzasadnienie naszego wyboru na jednej stronie. Natychmiast wybrałem moje słowo: „Nie”. Natychmiast napisałem, co następuje:

„Kto to jest człowiek zbuntowany? – zastanawiał się Albert Camus. – To człowiek, który mówi «Nie». Jeżeli Camus ma słuszość, moje książki w większości traktują o ludziach zbuntowanych, ponieważ traktują o ludziach mówiących «Nie» (albo takich, którzy tego próbują i ponoszą klęskę). W niektórych moich książkach nie jest to bardzo widoczne, w innych nie sposób tego nie dostrzec: książka *Żołnierze spod Salaminy* osnuta jest wokół gestu republikańskiego żołnierza, który pod koniec hiszpańskiej wojny domowej powinien zabić faszystowskiego dygnitarza i decyduje się nie zabijać; *Anatomia chwili* kręci się wokół gestu polityka, który odmawia, gdy na początku obecnej demokracji hiszpańskiej, ostatni zamachowcy frankizmu domagają się od niego, by padł na ziemię. Słowa Dantego (*Pieśń*, III, 60), motto *Anatomii chwili*, być może nadałyby się na motto wszystkich książek: *Colui che fece [...] il gran rifiuto*. Ten, który powiedział wielkie Nie, kto wielką skaził się odmową: Dante miał na myśli papieża Celestyna V, który zrzekł się papiestwa, ale kilka stuleci później Konstandinos Kawafis zrozumiał, że może się to odnosić do wszystkich ludzi.

«Dla każdego nadchodzi taka godzina – pisze Kawafis – gdy musi powiedzieć wielkie Tak albo wielkie Nie». O tym traktuje większość moich książek: o godzinie wielkiego Nie (albo wielkiego Tak); to znaczy o godzinie, w której człowiek dowiaduje się raz na zawsze, kim jest [...]».

A w tej książce? Co z tą książką, której przez tyle lat nie chciałem napisać a teraz już ją kończę? Czy nie ma w niej nikogo, kto mówi „Nie” (albo podejmuje taką próbę i ponosi klęskę)? Czy to tylko historia człowieka mówiącego zawsze „Tak”, który zawsze jest z większością i pośród tłumu, człowieka, który jest nikiem albo co najmniej nigdy nie poznaje owej godziny, w której dowiaduje się raz na zawsze, kim jest? W swoich pogadankach i publicznych deklaracjach Marco zapewniał z emfazą, że bohaterowie nie istnieją, ale wiemy przecież, czemu służy emfaza (szczególnie u Marca) i że Marco chciał powiedzieć, że to on jest bohaterem. No dobrze, ale czy w tej książce opowiadającej o fałszywym bohaterze nie ma żadnego prawdziwego bohatera?

Jasne, że jest. Wszyscy wiemy, że zawsze są ludzie zdolni powiedzieć „Nie”. Jest ich bardzo niewiele i w dodatku zapominamy o nich i ukrywamy ich od razu, żeby ich głośne „Nie” nie zdradziło cichego „Tak” pozostałych; ale wszyscy wiemy, że są. Są tu, w tej książce, Fernández Vallet i jego towarzysze z UJA, ta garstka chłopaków z barcelońskich przedmieść, którzy na początku 1939 roku – kiedy frankiści zdobyli już miasto i wojna była przegrana, i „Tak” powiedzieli wszyscy – powiedzieli „Nie”, nie poddali się, pozostali nieugięci, nie zgodzili się na powszechną hańbę, nieprzyzwoitość i pokorę porażki, i tym sposobem dowiedzieli się raz na zawsze, kim są. Są tu. Są tu wreszcie, po ponad siedemdziesięciu latach ukrycia

i zapomnienia. Chwała odważnym, oto oni: Pedro Gómez Segado, Miquel Colás Tamborero, Julia Romera Yáñez, Joaquín Miguel Montes, Juan Ballesteros Román, Julio Meroño Martínez, Joaquim Campeny Pueyo, Manuel Campeny Pueyo, Fernando Villanueva, Manuel Abad Lara, Vicente Abad Lara, José González Catalán, Bernabé García Valero, Jesús Cárceles Tomás, Antonio Beltrán Gómez, Enric Vilella Trepát, Ernesto Sánchez Montes, Andreu Prats Mallarín, Antonio Asensio Forza, Miquel Planas Mateo i Antonio Fernández Vallet.

Kto jeszcze? Czy jest w tej książce ktoś jeszcze, kto mówi Nie? Oczywiście: Benito Bermejo. Sekretny czarny charakter tej historii jest w istocie jej sekretnym bohaterem, albo jednym z bohaterów. Aczkolwiek słowo „bohater” może nie być ściśle; bardziej niż bohaterem Bermejo jest sprawiedliwym: jednym z tych ludzi, którzy wykonują swoją pracę w ciszy, bez rozgłosu, uczciwie i z uporem, z poczucia obowiązku czerpią odwagę, by powiedzieć „Nie”, gdy nadchodzi decydująca chwila, by – jeśli trzeba – popsuć wszystkim zabawę, jak zrobił to Bermejo, denuncjując Marca w samym środku posępnego święta pamięci, gdy posępny przemysł pamięci pracował na pełnych obrotach.

Ktoś jeszcze? Wracam do Alberta Camusa. Swojego najbardziej cytowanego zdania francuski pisarz nie napisał, lecz wypowiedział je 12 grudnia 1957 roku w Szwecji, niedługo po otrzymaniu Nagrody Nobla. Najbardziej rozpowszechniona (i przekonująca) wersja tego zdania brzmi tak: „Wierzę w sprawiedliwość, ale gdy mam do wyboru sprawiedliwość i moją matkę, wybieram matkę”. Pomimo że słowa te stały się powodem wielu ataków, w rzeczywistości nie brzmiały dokładnie tak i nie miały takiego ogólnego znaczenia, jakie przypisywali

im wrogowie pisarza. Ale mnie jest wszystko jedno, przynajmniej dziś. Przynajmniej dziś będę trzymał się tego zdania, a co ważniejsze, trzymały się go także na swój sposób żona i dwie córki Marca, które musiały cierpieć tak samo albo i bardziej niż Marco, kiedy wyszło na jaw jego oszustwo: mając do wyboru abstrakcyjną zasadę i istotę z krwi i kości, wybrały istotę z krwi i kości. W owych dniach końca świata dla Marca wszystkie trzy pozostały u jego boku, wszystkie trzy go chroniły, żadna nie poprosiła o więcej wyjaśnień niż te, które sam chciał im podać. Nie dość na tym: nazajutrz po wybuchu skandalu Ona, wówczas dwudziestojednoletnia, niespodziewanie zabrała telefonicznie głos w trakcie porannego programu telewizji katalońskiej, w którym atakowano jej ojca, a niedługo potem ponownie stanęła w jego obronie, odpowiadając artykułem opublikowanym w „El País” na list otwarty byłego członka zarządu stowarzyszenia Amical, krytykujący jej telewizyjną wypowiedź w obronie Marca. Mając do wyboru prawdę i swego ojca, Ona Marco wybrała ojca; mając do wyboru prawdę i swego ojca, Elizabeth Marco wybrała ojca; mając do wyboru prawdę i swego męża, Dani Olivera wybrała męża. Żadna z nich trzech nie ugięła się wówczas ani nigdy potem, przez te wszystkie lata, podczas których Marco stał się wielkim szalbierzem i wielkim łotrem, nikt nigdy nie usłyszał z ich ust żadnego słowa wyrzutu ani nie widział żadnego nieprzyjaznego gestu pod jego adresem. W cholerę z prawdą: chwała odważnym.

Czy to wszystko? Czy nie ma tu żadnego innego bohatera? Chwileczkę: a nasz bohater? A Enric Marco? Czy jest tylko fałszywym bohaterem? Czy nigdy nie powiedział „Nie” (a przynajmniej nie próbował i poniósł klęskę)? Nigdy nie dowiedział się raz na zawsze, kim jest? Czy nie można być

równocześnie fałszywym bohaterem i bohaterem prawdziwym, bohaterem i łotrem, tak jak Don Kichot jest równocześnie żaloszny i bohaterski, jest szalony i rozsądny zarazem? Czy to możliwe, żeby wielki widoczny łotr tej książki był zarazem jej wielkim niewidocznym bohaterem? Czy to możliwe, żeby człowiek wielkiego „Tak” był zarazem człowiekiem wielkiego „Nie”? A skoro mówimy o Don Kichocie, który w wieku pięćdziesięciu lat zbuntował się przeciwko swemu losowi hidalga bez chwały i – aby się nie poznać lub nie rozpoznać samego siebie i nie umrzeć tak jak Narcyz na widok swego odbicia w lśniącej wodzie – nadał sobie nowe bohaterskie imię i nową bohaterską tożsamość, i nowe bohaterskie życie, i wymyślił się całkowicie od nowa, aby przeżyć bohaterskie powieści, które przeczytał, to czy Marco nie ma w sobie podobnej wielkości? Czy Marco nie zbuntował się również i czy jego bunt przeciwko niedostatkowi i ciasnocie, i mizერიi życia, nie jest jakąś najwyższą formą buntu, jak w przypadku człowieka zbuntowanego Camusa, czy nie jest totalnym buntem człowieka, który mówi „Nie” i choć minął już półmetek życia, chce nadal żyć, albo raczej chce jeszcze przeżyć, przeciw wszystkiemu i przeciw wszystkim, to, czego do tej pory nie przeżył? Czy kłamstwo Marca nie jest witalnym kłamstwem nietzscheańskim, kłamstwem bohaterskim i totalnie aspołecznym, i moralnie rewolucyjnym, ponieważ stawia życie ponad prawdą? Czy Marco nie musiał wybierać między prawdą a życiem i, wbrew wszelkim regułom naszej moralności, wszelkim naszym normom współżycia, temu wszystkiemu, co nam wydaje się święte i godne szacunku, wybrał życie? Czy to ogromne „Tak” nie jest ogromnym, definitywnym „Nie”?

W piątek, 5 kwietnia 2013 roku, odbyłem długą rozmowę z Markiem w mojej pracowni w barcelońskiej dzielnicy Gracia. Wiele miesięcy przedtem przestałem się wzbraniać przed napisaniem tej książki i odtąd poświęciłem się jej całkowicie, dzień wcześniej spotkałem się w tejże pracowni z Joanem Villarroyem, jednym z historyków najlepiej znających się na hiszpańskiej wojnie domowej w Katalonii, starając się wyjaśnić, co było prawdą, a co kłamstwem w relacji Marca o jego wojennych losach, a w środę spędziłem cały dzień w siedzibie Amical de Mauthausen, przy ulicy Sils, wertując archiwa i rozmawiając z Rosą Torán i innymi członkami stowarzyszenia.

To tam ustaliłem datę spotkania z Markiem na piątek. W pewnej chwili, szczęśliwy i przytłoczony mnóstwem dokumentów na jego temat zachowanych w siedzibie Amical, zapytałem Torán, czy mogę zrobić z nich fotokopie, żeby potem spokojnie się im przyjrzeć. Torán odpowiedziała twierdząco, ale pod warunkiem, że będę miał na to zgodę Marca. Od razu chwyciłem za telefon i do niego zadzwoniłem. Zrobiłem to z lekkim niepokojem, bo nie całkiem jeszcze wyszliśmy z początkowej fazy naszej relacji, kiedy to ja niezdarnie starałem się ukryć niechęć zmieszaną z nieufnością, a Marco chciał i nie chciał, żebym tę książkę pisał, i jeszcze starał się mnie uwieść, broniąc się zarazem przed moimi podchodami i oplatając mnie pajęczą siecią genialnego spryciarza i krętacza jakich mało, wydzielając czas na nasze spotkania i stając na głowie, by mieć pod kontrolą moje dochodzenie na jego temat. Tak więc,

wystukując numer Marca, bałem się, że mi nie pozwoli zrobić fotokopii dokumentów z Amical, nie przejrzawszy ich wcześniej samemu.

Myliłem się. Marco wyraził zgodę; potem krótko porozmawialiśmy. Nie wiem, od jak dawna nie spotykaliśmy się na rozmowy o jego życiu, ale pamiętam, że od kilku już dni naciskałem go przez telefon, żebyśmy się umówili, a on wymigiwał się pod różnymi pretekstami. Skorzystałem zatem z tej okazji i powiedziałem, że w najbliższy poniedziałek wyjeżdżam na cztery miesiące do Berlina, zaproszony na wykłady przez Wolny Uniwersytet. Nie powiedziałem, że w trakcie tych czterech miesięcy będę wpadał od czasu do czasu do Barcelony: bo miałem nadzieję, że perspektywa tej nieprawdziwej długiej nieobecności rozbudzi w nim na nowo zanikające okresowo pragnienie, żebym napisał tę książkę, i każe przystać na rozmowę, o którą od dawna prosiłem. Fortel się powiódł: Marco zaproponował, żebyśmy zobaczyli się przed moim wyjazdem, a ja w lot podchwyciłem tę okazję.

Umówiliśmy się na piątek po południu.

Jeżeli nie myłę się w obliczeniach, to była nasza piąta nagrana sesja, ostatnia z początkowej serii. Sam ją zarejestrowałem. Nauczył mnie syn, który nakręcił nasze pierwsze spotkania, ale szybko się wycofał, zanadto zajęty swoimi studiami, żeby nam dalej pomagać. Nagranie trwa prawie trzy godziny. Kiedy je robiłem, nie wiedziałem jeszcze wielu rzeczy o Marcu a wielu innych na jego temat nie byłem pewien; o ile pamiętam, nie zaczął mi jeszcze chodzić po głowie ten ekstrawagancki pomysł, że powinienem go ocalić. Z góry uprzedzam, że na tym nagraniu nie dzieje się nic szczególnego ani nie mówi się nic nadzwyczajnego albo nie więcej, niż podczas innych nagrań

rozmów z Markiem (kiedy to się zdarzyło i zostało powiedzianych wiele nadzwyczajnych rzeczy). Wyjątkiem jest kilka ostatnich minut, kiedy relacja Marca dobiegła chronologicznie do końca, czyli do terażniejszości lub tego, co wówczas było terażniejszością, i ja pomagam mu dokonać rekapitulacji i zinterpretować niektóre zdarzenia, o których opowiedział mi przy poprzednich okazjach: następuje wtedy chwila, kiedy to wydaje się, jakbyśmy obaj po raz pierwszy porzucili nasze role prześladowcy i prześladowanego albo atakującego i atakowanego i nawiązali rodzaj dialogu lub rzeczywiste porozumienie. To dziwna chwila, niemal magiczna, albo przynajmniej dla mnie, jakaś zmiana nastawienia w mojej relacji z Markiem, i dlatego nie chcę zakończyć tej książki, nie przytoczywszy tu zapisu tamtej rozmowy w nadziei, że słowa, jakie wymieniliśmy, odzwierciedlają część tej magii.

Na nagraniu widać Marca, jak siedzi w białym fotelu z Ikei, widać go tylko od ramion w górę; mnie, oczywiście, wcale nie widać, ale siedzę naprzeciw niego, obok mnie stoi na statywie kamera. Marco ma na sobie białą koszulę, niebieską apaszkę w białe kropki zawiązaną pod szyją i niebieski sweter (na piersi, choć nie widać tego ostro, ma niewątpliwie przypięty znaczek z flagą Drugiej Republiki); wąsy ma jak zwykle ufarbowane, ale włosy na głowie już nie są siwe i rzadkie, jest prawie łysy. Za plecami Marca widać półki z książkami, a po jego prawej i lewej stronie są dwa okna, przez które wpada poranne i popołudniowe światło. W chwili, o której mówię, nie ma już jednak naturalnego oświetlenia, zapaliliśmy górne światło wewnątrz; na prawo od Marca stoi też zapalona lampa podłogowa. Gdy przeglądam to nagranie, zwracają moją uwagę trzy rzeczy. Pierwsza, to zmęczony wygląd Marca, zrozumiały w przypadku

każdego, kto mówił trzy godziny bez przerwy, ale mniej zroszumiały u Marca; teraz przychodzi mi do głowy, że może z powodu tego zmęczenia Marco nie tylko pozwala mi mówić więcej niż zwykle, lecz także, przynajmniej częściowo, jest w tej scenie klimat dziwnej współpracy lub porozumienia, odnosi się wrażenie, jakie i wtedy miałem, że Marco w końcu zrzuca maskę i pokazuje prawdziwą twarz. Druga rzecz, która mnie zaskakuje, to że przynajmniej podczas tych kilku minut zwracam się do Marca na „ty”. On mówił tak do mnie niemal od początku, ale pamiętam, że ja potrzebowałem dużo więcej czasu, żeby zacząć tak się do niego zwracać; możliwe, że wtedy był właśnie ten pierwszy raz. Trzecia rzecz to, że podczas całej tej rozmowy Marco ani razu nie używa słowa „naprawdę”.

JA: Nie tak dawno ktoś, kto cię ceni, powiedział tak: „Enric to człowiek, który jako mały chłopiec musiał się wiele nacierpieć. Ogromnie. I jeśli czegoś mu trzeba, to żeby ludzie go kochali. Straszliwie tego potrzebuje. I to wszystko, co nazmyślał, wszystkie jego kłamstwa, to tylko sposób na to, żeby go kochali, żeby go podziwiali i kochali”. Co ty na to?

MARCO (*wzruszając ramionami*): Czy ja wiem? Tyle cierpiałem, że już nawet nie pamiętam. Jak pomyślę, że urodziłem się w zakładzie dla obłąkanych, że nie miałem matki albo nawet gorzej, niż gdybym jej nie miał, bo była obłąkana. Jak pomyślę, że właściwie nie miałem ojca i że mnie przerzucali z jednego domu do drugiego, z jednej rodziny do drugiej. Opowiadałem ci kiedyś, że jedna ciotka cesała mnie z przedziałkiem po prawej stronie, inna z przedziałkiem po lewej, a jeszcze inna z przedziałkiem pośrodku? Nie możesz sobie wyobrazić, jak mnie to wściekało... Ty pamiętasz dotyk ręki swojego ojca, jak byłeś mały? Ja nie. Nie pamiętam, żeby

ojciec brał mnie za rękę, nie pamiętam, żeby mi pomagał odrobić lekcje ani żeby uczył mnie czegoś, co sam umiał robić, grać na akordeonie albo na bandurii na przykład, nie pamiętam, żebym gdzieś z nim chodził albo coś z nim robił... Nie wiem, myślę, że choć nie był świadomy swojego sieroctwa, to Enric Marco bardzo cierpiał.

JA: I dlatego tak bardzo byłeś spragniony, żeby cię kochano i podziwiano.

MARCO: Przypuszczam, że tak, ale chcę ci powiedzieć, że nie mam świadomości, że cierpiałem. Pewnie cierpiałem, ale nie jestem tego świadom. Dziwne, co? Pamiętam, jak wybiegałem z domu od ojca, uciekając przed macochą i krzycząc: „To wszystko dlatego, że nie mam matki!”. Skoro tak robiłem, to musiało coś znaczyć, prawda? Znaczyło, że brakowało mi matki, i ojca też, znaczyło, że cierpiałem, nie?

JA: Musiałeś też cierpieć w czasie wojny i po wojnie. Musiałeś bardzo się bać.

MARCO: Bardzo. Ale to nie był tylko mój strach, wszyscy się bali; to był powszechny strach. Podczas wojny z oczywistych powodów; i po wojnie też. Wielu ludzi bardzo się bało: to był kraj zamieniony w więzienie, kraj donosicieli, łapówkarzy, ludzi pozbawionych zasad moralnych. Działy się różne rzeczy, nic dobrego. A wszystko ze strachu. Żeby przeżyć. Żeby żyć dalej za wszelką cenę.

JA: O tym nie tak bardzo mówiłeś dzieciakom, prawda? Mam na myśli twoje pogadanki w szkołach. Może byłoby dobrze, gdybyś o tym mówił.

MARCO: A po co? Żeby im pokazać, jak nisko można upaść? Czego mieliby się z tego nauczyć? Nie, ja mówiłem dzieciakom, że życie może być bardzo ciężkie, ale że jeden jedyny gest

godności może stać się odkupieniem (*tu nagle Marco znowu wkłada maskę i odzyskując energię, zaczyna opowiadać anegdotę ze swego repertuaru chwalebnych przygód, jakby już mówił nie do mnie, lecz do jakiegoś wielkiego audytorium. Gdy kończy opowiadać, wydaje się, że zmęczenie znowu go dopada i każe ponownie zrzucić maskę. Po chwili milczenia mówi dalej:*)
Miałem złe życie. Nie miałem szczęścia.

JA: Nie było tak źle, Enric. Mam na myśli potem, okres powojnia, frankizm i to wszystko. To nie było takie złe życie: miałeś pracę, rodzinę, prowadziłeś mniej więcej takie życie jak wszyscy, nieprawda?

MARCO: Tak. Chyba tak.

JA: Do chwili, kiedy umarł Franco i nadeszła wolność. Wtedy musiałeś sobie pomyśleć: „O, kurwa. To jest dopiero życie!”.

MARCO (*wstaje z fotela i odzyskuje energię, ale nie wkłada maski, śmieje się z dziwnym entuzjazmem, oczy mu błyszczą, usta ma lekko rozwarłe i robi coś dziwnego rękami, jakiś szybki, wściekły i radosny gest, a potem znowu siada w fotelu*):
Skończyliśmy z tym wszystkim! Nawet z wodą mineralną! Wielka sprawa!

JA: I wtedy zacząłeś wymyślać swoją przeszłość.

MARCO: Tak, chyba tak. Praktycznie czułem się do tego zobowiązany, ci ludzie wokół mnie zmuszali mnie do tego, te wszystkie dzieciaki z zamożnych domów...

JA: Masz na myśli Salsasa i Boadę, Ignasiego de Gisperta?

MARCO: Jasne.

JA: Rozumiem. Zmuszali cię. Podziwiali cię. Widzieli w tobie bohatera.

MARCO: Właśnie. Ja nie chciałem być bohaterem, chciałem jednak, żeby mnie kochali, tak jak mówisz. Żeby mnie kochali

i podziwiali. I podziwiali mnie, i kochali, i to jeszcze jak. Dziewczyny to się nawet we mnie podkochiwały. Nawet całkiem niedawno, jak byłem w Amical, przy moich ponad osiemdziesięciu latach, były takie dziewiętnastolatki, które mi mówiły, że mnie kochają, prawie za mną chodziły. I tak czułem potrzebę, żeby...

JA: Żeby cię kochały i podziwiałały.

MARCO: Tak.

JA: A bohaterska przeszłość to był sposób na to, żeby cię podziwiano.

MARCO: Możliwe. Prawdopodobnie. Tak, możliwe, że przypiąłem sobie ten order. Tak, właściwie to go sobie przypiąłem. A potem przyszła cała reszta i drogo za to zapłaciłem.

JA: Masz na myśli ten skandal?

MARCO: Tak. I bardzo mi żal z powodu Dani. (*Marco zmienia wyraz twarzy i nagle wybucha krótkim śmiechem*). Wiedziałeś, że francuski rząd miał mi przyznać Legię Honorową?

JA: Nie.

MARCO: Byli o krok od tego, żeby mi ją dać: napisali nawet protokół. Całe szczęście, że nie dali! Ale Dani, która jest tak bardzo francuska, na pewno by o tym marzyła, i jeszcze bardziej by mnie podziwiała... Nie udało się: nie mogłem jej tego dać. Dałem jej wiele rzeczy, wszystko co mogłem, przecież wiesz, ale mam wrażenie, że nie pojednałem się z nią.

JA: Nie pojednałeś się?

MARCO: Myślę, że nie.

JA: Ze swoją żoną?

MARCO: Właśnie. Nie twierdzę, że nie jest zadowolona; mówię tylko, że te wszystkie moje sprawy musiały sprawić jej

wielkie cierpienia.

JA: Podobnie jak twoim córkom.

MARCO: Mniej więcej.

JA: Widzisz, że miałeś szczęście, Enric? Przynajmniej w niektórych sprawach. Na przykład z żoną i córkami, miałeś wielkie szczęście.

MARCO: Tak. Choć nie doprowadziłem do pojednania.

JA: A ze sobą samym się pojednałeś?

MARCO: Też nie. Dlatego tu jesteśmy, rozmawiamy, prawda? Ale, no jasne, chyba byłem trochę dziwną postacią, czyż nie? Z trochę dziwnym życiem. Tyle rzeczy mi się przytrafiło...

(Tu następuje długie milczenie. Marco nie patrzy na mnie ani do kamery, utkwiał wzrok w jakimś punkcie przed sobą. Wydaje się pogrążony w myślach, jakby zaraz miał odkryć albo przypomnieć sobie coś zasadniczego, coś, co wszystko zmienia albo co może całkowicie zmienić moją opinię o nim, albo jakby nagle stracił zainteresowanie tą rozmową. W końcu to ja zaczynam mówić)

JA: Powiedz mi coś, Enric: to znaczy, że po raz pierwszy spostrzegłeś, że ludzie podziwiają cię za twoją przeszłość pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy poznałeś Salsasa i Boadę, i De Gisperta i zacząłeś utrzymywać kontakty z młodymi przeciwnikami frankizmu, którzy chodzili do akademii, tak?

MARCO: Tak, to byli moi pierwsi wielbiciele.

JA: A potem, kiedy umiera Franco i nadchodzi wolność, i anarchizm staje się chwilową modą, i widzisz wokół siebie te wszystkie młode dzieciaki, anarchistów... Oni musieli podziwiać cię jeszcze bardziej, wszyscy ci chłopcy i dziewczyny, zwolennicy wolnej miłości i ciągłego balowania musieli kochać cię na zabój, musiałeś tam święcić absolutne triumfy.

MARCO: Absolutne.

JA: Tam zauważasz, że kochają cię ze względu na twoją przeszłość, że przeszłość działacza antyfrankisty i członka podziemnego ruchu oporu, i żołnierza republikańskiego, i ofiary nazistów sprawia, że te wszystkie dzieciaki szaleją na twoim punkcie.

MARCO: Jasne, bo jestem wśród nich najstarszy, jestem starym anarchista, choć nadal jestem młody, walczyłem po stronie republiki i byłem żołnierzem na wojnie, choć jestem jednym z nich... Jestem wszystkim naraz.

JA: Oni są zachwyceni. Za to cię kochają, za twoją przeszłość. Nawet twoja żona kocha cię za twoją przeszłość, twoja przeszłość robi na niej wrażenie.

MARCO: No, tego nie wiem. Ona mnie zna i...

JA: Nie mówię o tym, co teraz, mówię o tym, co wtedy. Czy Dani nie kochała cię za twoją przeszłość? Nie rozkochałaś jej w sobie swoją przeszłością? Czy nie była częścią tego, co ją w tobie pociągało? Moja żona się we mnie zakochała, bo udawałem, że jestem pisarzem, i w końcu musiałem zostać pisarzem, żeby mnie nie zostawiła.

MARCO: Tak, może i tak. Możliwe, że dla Dani to nie była jedna z wielu spraw, możliwe, że to było dla niej ważne: ona miała bardzo lewicowe poglądy, była młodą antyfrankistką, jej matka działała we francuskim ruchu oporu.

JA: Dla niej też byłeś bohaterem. Dlatego się w tobie zakochała.

MARCO: Tak, może i tak... Już widzę, dokąd zmierzasz, i możliwe, że masz rację. Możliwe. *(Tu znowu milknie na dłużej, choć na krócej niż poprzednio; wydaje się, jakby po prostu zastanawiał się, w którą pójść stronę albo jak uniknąć tego,*

żebym ja podążał w stronę, w którą idę). Słuchaj, ja byłem, nie powiem, że wyjątkiem, ale tak, byłem innym człowiekiem. I w każdym rozdziale mego życia są rzeczy, z których jestem dumny, i rzeczy, z których dumny nie jestem, a nawet których się wstydzę. Wszystkim się zdarza, prawda? Szczególnie w moim wieku. Czasem starałem się jakoś to zważyć, no wiesz, dobre rzeczy na jednej szali, złe na drugiej. I kiedy to robię, szale przechylają się w moją stronę, na dobrą, nie na złą stronę, bo to, co dobre, waży więcej niż to, co złe. Wstydzę się niektórych rzeczy; wstydzę się, że porzuciłem matkę w zakładzie dla obłąkanych, wstydzę się tego, jak potraktowałem moją pierwszą rodzinę, wstydzę się mego kłamstwa...

JA: Wstydzisz się?

MARCO: Oczywiście. Żałuję, że tak postąpiłem; nie powinienem był tego robić, nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

JA: Zrobiłeś to, żeby cię kochali. Żeby cię podziwiali.

MARCO: Tak, ale nie powinienem był tego robić. A kiedy Bermejo mnie nakrył, byłem już tym wszystkim zmęczony; dlatego się przyznałem: miałem już dosyć kłamstw. Kiedy Bermejo odkrył, że pojechałem do Niemiec na ochotnika do roboty, mogłem powiedzieć: tak, to prawda, ale udowodnijcie, że nie siedziałem w obozie koncentracyjnym, udowodnijcie, że nie byłem we Flossenbürgu. Nie mogliby udowodnić; ani Bermejo, ani nikt inny. Ale tak nie powiedziałem. Byłem zmęczony tyloma kłamstwami i chciałem powiedzieć prawdę. Dlatego się przyznałem. Wierzysz mi, prawda?

JA: Nie wiem.

MARCO: No to mi uwierz, raz powinieneś mi uwierzyć. Choć dziś to już mi wszystko jedno. Tak jak mówiłem, zrobiłem

w życiu kilka złych rzeczy, ale reszta jest dobra lub dość dobra i rekompensuje wszystko inne.

JA: Enric?

MARCO: Co?

JA: Mogę ci coś powiedzieć?

MARCO: Jasne.

JA: Pamiętasz, jak pierwszy raz rozmawialiśmy o tej książce, o książce, którą mam zamiar o tobie napisać? Pamiętasz, co ci powiedziałem? Powiedziałem, że nie chcę cię zrehabilitować ani cię rozgrzeszyć, ani cię potępić, że nie na tym polega praca pisarza, tak jak ja ją rozumiem. Wiesz, na czym polega moja praca? Na zrozumieniu. (*W tym momencie wielki uśmiech rozjaśnia twarz Marca, a on mruczy, z ulgą, bardzo przeciągając głoskę „o”: No, proszę.*) Tylko uważaj, Enric: zrozumieć nie znaczy usprawiedliwić: zrozumieć znaczy zrozumieć, nic więcej. (*Marco kiwa kilka razy głową, powoli*) Ale wiesz co? Wydaje mi się, że zaczynam cię rozumieć.

MARCO (*wyprostowuje się trochę w fotelu i unosi ramiona, nie przestając kiwać głową*): Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć: jeżeli miałeś taki cel, żeby mnie zrozumieć, to moim celem było przedstawienie ci jasnego wytłumaczenia. I musimy iść powoli, bo mam ci do wytłumaczenia jeszcze wiele spraw. Nie możemy się spieszyć.

JA: Nie będziemy się popędzać. Nie spieszymy się. Przynajmniej ja.

MARCO: Ja też nie. Moja biografia jest bardzo skomplikowana. Możliwe, że sam ją powinienem napisać. Córki mi mówią: „Nie chodź więcej do tego Cercasa. Sam napisz swoje wspomnienia”.

JA: Córki nie chcą, żebyś ze mną rozmawiał?

MARCO: Nie. Dani też nie chce. Ale to dlatego, że cię nie znają. Ja zaczynam cię poznawać. Wcześniej znałem cię tylko z twoich książek i artykułów. Czytałem wszystkie, wiesz? W niektórych sprawach zgadzam się z tobą, w innych nie. Ale zawsze czytam twoje artykuły, nawet je sobie wycinam.

(Tu Marco znowu nakłada maskę intryganta i zaczyna rozprawiać o moich artykułach i książkach. Przerywam mu).

JA: Posłuchaj, Enric.

MARCO: Co?

JA: Twoje córki mają rację. Ja nie mogę napisać twojej biografii; ani wcale nie chcę jej napisać. Swoją biografię musisz napisać sam. Ja chcę tylko, już ci mówiłem, napisać książkę, w której się ciebie rozumie, a co najmniej, w której ja cię zrozumie. Poza tym interesuje mnie w tobie nie tylko to, co dotyczy wyłącznie ciebie, lecz to, co dotyczy wszystkich ludzi, mnie też; sam napisz o tym, co dotyczy tylko ciebie, Enric. Twoje córki mają rację.

MARCO *(Splatając przed sobą ręce, ale wciąż z uśmiechem)*:
I...

JA: I nic więcej. Już późno i powinieneś wracać; żona już pewnie na ciebie czeka. Tylko to ci chciałem powiedzieć: że zaczynam cię rozumieć. I że się cieszę.

MARCO: No, proszę. Ja też się cieszę.

JA: Twoje córki są przestraszone?

MARCO: Nie. Widzą tylko, że jak wracam od ciebie, po jednej z tych naszych sesji, to nie czuję się dobrze, i to je martwi. Ale dziś tak nie będzie; dziś będzie inaczej, bo powiedziałaś, że zaczynasz mnie rozumieć. I bardzo się cieszę. I powiem to Dani, jak wrócę do domu. Powiem jej: „Dani, byłem u Javiera i było mi bardzo przyjemnie. Już się go nie boję”.

Tu Marco wybucha głośnym śmiechem, a następnie, zmieniając temat, znowu zaczyna mówić o moich książkach i artykułach. Wyłączam kamerę.

Czy Cervantes naprawdę ocalił Alonsa Quijano w *Don Kichocie*? Czy naprawdę robię w tej książce wszystko, co możliwe, aby ocalić Marca? Czyżbym ja też zwariował?

Pod koniec *Don Kichota* bakałarz Samson Carrasco przebrany za Rycerza Białego Miesiąca pokonuje Don Kichota w osobliwym starciu na plaży w Barcelonie i żąda, by ten wrócił do swej wioski. Zobowiązany kodeksem rycerskim Don Kichot spełnia żądanie i po kilku dniach wraca do swego domu „zwyciężony obcym ramieniem”, jak mówi Sancho Pansa, ale za to jako „zwycięzca samego siebie”. Wkrótce potem rycerz rozchorowuje się z nadmiaru melancholii, odzyskuje jasny umysł i, spokojny i pogodzony z rzeczywistością po tak długim przebywaniu w królestwie fikcji, w obecności przyjaciół i rodziny, którzy otaczają go leżącego na łożu śmierci, rozpoznaje się i dostępuje poznania samego siebie („Jam już nie Don Kichot z Manczy, lecz Alonso Quijano, któremu postępowanie zyskało dawniej przydomek Dobrego”) i odżegnuje się od ksiąg rycerskich. „Naprawdę umiera i naprawdę jest zdrow na umyśle Alonso Quijano Dobry”, mówi wtedy jego przyjaciel proboszcz, jakby był wypisz, wymaluj Markiem, a następnie Don Kichot oddaje ducha, niczym Narcyz po rozpoznaniu swego prawdziwego oblicza w źródlanej wodzie.

Czy naprawdę chcę ocalić Marca? Czy naprawdę można go ocalić? Czy naprawdę uważam, że literatura, jeżeli nie służy ocaleniu człowieka, choćby ten popełnił wiele błędów, to nie służy niczemu? I kiedy zaczęły mi chodzić po głowie takie

nonsensy? Kiedy zacząłem myśleć, że nie wystarczy zrozumieć Marca, że nie wystarczy dociec, dlaczego kłamał, dlaczego zmyślił sobie i żył zmyślonym życiem, zamiast zadowolić się przeżyciem życia prawdziwego? Kiedy zacząłem mówić sobie, że cel wszystkich książek nie wystarczy w przypadku tej książki i że w końcu to rzeczywistość może ocalić Marca, gdy przedtem, przez całe życie ocalała go fikcja? Czy staram się ocalić samego siebie, ocalając Marca?

Nie wiem. Zastanawiam się. Zastanawiam się, czy od określonej chwili, w miarę jak zanurzałem się w tę prawdziwą opowieść albo w tę powieść bez fikcji nasyconą fikcją, której przez lata nie chciałem napisać, nie zachowywałem się bezwiednie, lub nie chcąc się do tego przyznać, jak ktoś pokroju bakałarza Samsona Carrasco, czy nie starałem się uparcie pokonać Marca za pomocą prawdy i zmusić go do powrotu do domu zwyciężonego obcym ramieniem, lecz w glorii zwycięzcy samego siebie, czy nie chciałem, aby odzyskał zdrowie i pogodził się z rzeczywistością, i poznał się albo rozpoznał sam siebie tak, bym ja mógł uczynić z tej książki wielkiego propagatora ostatecznej prawdy Enrica Marca, podobnie jak Cervantes uczynił ze swojej wielki rozsiewnik prawdy ostatecznej Alonsa Quijano. („Dla mnie tylko narodził się Enric Marco, i ja dla niego: on umiał działać, a ja pisać; i tylko my dwaj stanowimy jedność”). Czy nie chciałem oznajmić wszystkim, że Marco już nie jest ani nie stara się być tym, za kogo się podawał, że odżegnuje się od swej fikcyjnej bohaterskiej przeszłości, jak Don Kichot odżegnał się od swoich ksiąg rycerskich, że już nie jest Enrikiem Markiem, bohaterem antyfrankizmu i antyfaszyzmu i czempionem albo *rock star* tak zwanej pamięci historycznej, lecz jest jedynie mechanikiem Enrikiem, człowiekiem równie

dobrym jak Alonso Quijano Dobry, który pewnego dnia oszalał i chciał przeżyć więcej, albo więcej niż mu przysługiwało, który chciał przeżyć wszystko, czego nigdy wcześniej nie przeżył, i kłamał, i oszukiwał, aby to osiągnąć, żeby go kochali i podziwiali? I zastanawiam się także, czy od określonej chwili, kiedy postawiłem sobie ten bezsensowny cel, nie myślałem albo nie wyczuwałem intuicyjnie, że gdy Marco w końcu rozpozna sam siebie w połyskujących wodach tej książki, umrze, jak umiera Narcyz, ale umrze z jasnym umysłem i spokojny, i pogodzony, tak jak umiera Alonso Quijano. A ta książka nabierze pełnego sensu.

Czy tak jest? Czy taki był mój prawdziwy cel? I czy to nie jest nonsens? Czy to nie jest próba napisania książki jeszcze bardziej niemożliwej niż ta, którą chciałem napisać? Czy książka może pogodzić człowieka z rzeczywistością i z nim samym? Czy literatura może kogoś ocalić, a może jest tak bezradna i tak niepotrzebna jak wszystko inne, a pomysł, że książka może nas ocalić, jest śmieszny i staroświecki? Czy Cervantes ocalił Alonsa Quijano, a ocalając jego, ocalił sam siebie? Czy ja chcę ocalić sam siebie, ocalając Enrica Marca? Zgoda: wszystkie te pytania są śmieszne, staroświeckie i pozbawione sensu, i sam fakt, że je stawiam, powinien mnie zawstydząć. I zawstydzę. Ale – po co kłamać? – zarazem wcale mnie nie zawstydzę. W najmniejszym stopniu mnie nie zawstydzę. Ponieważ tu i teraz nie widzę lepszej formy powiedzenia „Nie”. „Nie” wszystkiemu. „Nie” wszystkim. „Nie” – przede wszystkim – ograniczeniom literatury. Jej żalosnej impotencji i jej bezużyteczności; ponieważ tak, tak właśnie myślę: jeżeli literatura służy ocaleniu człowieka, chwała literaturze; jeżeli literatura służy tylko ozdobie, w cholerę z literaturą. Tak sobie mówię: że choćby była

tylko jedna milionowa możliwość jednej milionowej możliwości, że moje pytania nie są pozbawione sensu, staroświeckie ani śmieszne, a niemożliwe stało się możliwym, to warto próbować. Mówię sobie też, że teraz jest tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się, czy ocaleje Marco, czy ja ocaleję, i że tym sposobem jest opowiedzenie do końca prawdy o nim, całkowite go zdemaskowanie, jak Cervantes zdemaskował całkowicie Don Kichota. To znaczy opowiedzenie do końca jego historii. To znaczy dokończenie tej książki.

W połowie kwietnia 2013 roku, dwa tygodnie po rozmowie z Markiem u mnie w dzielnicy Gracia, kiedy to miałem uczucie, że on zdjął maskę i nasza wzajemna relacja zmieniała się, zjadłem obiad z Santim Fillolem w restauracji sąsiadującej z moją pracownią. Nie widzieliśmy się od blisko czterech lat, kiedy to po raz drugi chciałem napisać tę książkę i nawiązałem z nim kontakt, a on, który właśnie skończył wtedy kręcić swój film o Marcu, pojechał ze mną do Sant Cugat, żebym poznał naszego człowieka. Przez te cztery lata napisaliśmy do siebie niewiele e-maili, ale pod koniec 2012 roku albo na początku 2013 Santi był jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o mojej nieodwołalnej decyzji, że napiszę tę książkę albo że przestanę się przed jej napisaniem wzbraniać. Od tej chwili starał się bezowocnie ze mną zobaczyć i porozmawiać o Marcu i użyć mi dokumentacji albo części dokumentacji, którą Lucas Vermal i on zgromadzili na potrzeby swego dokumentu *Ich bin Enric Marco*.

Widzę w notesie, że spotkaliśmy się w czwartek, 18 kwietnia, kwadrans po drugiej po południu. Wtedy od dwóch tygodni mieszkałem już w Berlinie, dając gościnne wykłady na Wolnym Uniwersytecie, a tego akurat dnia wracałem do Barcelony na promocję swojej książki *Las leyes de la Frontera*, powieści z fikcyjną fabułą, wydanej w poprzednim roku. Samolot z Berlina wylądował w Barcelonie o pół do drugiej, dzięki czemu zdążyłem wprost na spotkanie. Męczyło mnie pragnienie, kiedy więc usiadłem na parterze Salambó, naprzeciw wejścia od strony

ulicy Torrijos, udało mi się przywołać od razu młodą kelnerkę o orientalnych rysach twarzy i zamówić u niej piwo. Nie minęło więcej niż kilka minut i w drzwiach wejściowych pojawił się Santi, facet o wyglądzie intelektualisty, z niedbałym zarostem i w okularach intelektualisty na nosie. W ręce trzymał torbę plastikową. Pomachałem do niego, spostrzegł mnie, podszedł, przywitaliśmy się. W tej samej chwili kelnerka przyniosła moje piwo, a Santi skorzystał z okazji, żeby zamówić drugie, dla siebie, stawiając równocześnie torbę na podłodze, obok stolika. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy na początku, ponieważ chciałem jak najszybciej przejść do rozmowy o Marcu i wszystko inne niewiele mnie obchodziło. Przypominam sobie mgliście, że Santi mówił o swoim czasowym pobycie poza Barceloną, możliwe, że w Buenos Aires, możliwe, że kręcił tam jakiś film; przypominam sobie mgliście, że mu wyjaśniałem, gdzie w Berlinie mieszkam i opowiadałem o moich zajęciach na uniwersytecie. Przyszła kelnerka z piwem dla Santiiego i przy okazji przyjęła od nas zamówienie obiadowe; kiedy odeszła, Santi spytał:

– A właśnie, podobno zdecydowałeś się wreszcie napisać o Enricu, mam rację?

– Tak – odparłem.

– Wiedziałem, że w końcu się złamiesz – powiedział. – I założę się, że Enric też to wiedział. Pamiętasz, co ci powiedział tego dnia, kiedy jedliśmy razem obiad w Sant Cugat?

– Co masz na myśli?

– Oczywiście, Javier – wyrecytował, naśladowując głos Marca – zawsze wiedziałem, że jestem twoim bohaterem.

Santi się zaśmiał. Ja siedziałem oszołomiony.

– Jesteś pewien, że tak powiedział?

– Jak tego, że teraz jest popołudnie i siedzimy w Salambó – odrzekł.

– Niewiarygodne. Nie pamiętałem tego.

– Jak miałbyś pamiętać? W stanie takiej irytacji? Wydawało się, jakby ten nieszczęsny Enric zrobił ci jakąś krzywdę.

– Miałem mętlik w głowie i byłem wściekły – usprawiedliwiłem się. – Pewnie to nie była odpowiednia chwila, żeby o nim pisać. Właśnie umarł mi ojciec, matka była chora, ja też czułem się źle. Wydaje mi się, że się bałem.

– Powiedziałeś mi wtedy, że masz po dziurki w nosie rzeczywistości, że potrzebujesz fikcji.

– A ty mi powiedziałeś, że Enric jest czystą fikcją. I to była prawda. Dlatego zamierzam o nim napisać.

Kelnerka przyniosła nam pierwsze danie. Nie zwracając na nią uwagi, Santi schylił się, wziął stojącą przy stoliku torbę i mi ją podał.

– Zastanawiałem się, co mógłbym ci przynieść – powiedział, gdy ja otwierałem torbę. – I doszedłem do wniosku, że może to.

W torbie był twardy dysk komputera i stacja dysków z płytami DVD.

– Co to jest? – spytałem.

– Cały materiał, jaki nakręciliśmy do filmu – odparł. – Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt godzin Enrica Marca. Może więcej, już nie pamiętam. Całe tony Enrica Marca brutto. Tu jest wszystko. No, tak, to teraz opowiadaj o swojej książce.

Jedliśmy, a ja mówiłem. Słuchał mnie z uwagą, jakby nie nasycił się Markiem, robiąc film, jakby szukał jakiegoś pretekstu, żeby znowu go filmować. Wyjaśniłem, że staram się zrekonstruować prawdziwe życie Marca od początku do końca, od chwili narodzin do chwili wybuchu skandalu albo nawet do

chwili po wybuchu skandalu, opowiedziałem mu o długich sesjach, które zarejestrowaliśmy kamerą u mnie w pracowni, o moich poszukiwaniach i o osobach, z którymi rozmawiałem, żeby zweryfikować, czy Marco mówi prawdę, czy nie, powiedziałem, że odnosiłem wrażenie, jakby chciał i nie chciał, żebym napisał tę książkę, i że jego żona i córki nie chciały, żebym ją pisał.

– To samo nam mówił na początku – wtrącił się Santi. – Że Dani nie chce, żebyśmy robili ten film, że córki też nie... Bzdura. Enric robi to, co chce; nie obchodzi go, co mówią żona i córki. W gruncie rzeczy to tylko taki sposób, żeby cię zbajerować; naprawdę mówi ci coś takiego: bystrzak z ciebie, możesz mnie przejrzeć na wylot; a ponieważ jesteś bystrzak, moja żona i córki boją się ciebie. Ale to kłamstwo. Enric wcale się nas nie bał i nie wierzę, że boi się ciebie. Enric jest bardzo sprytny, Javier: jest jak hiszpański pies, który musi sam sobie radzić i na twój widok myśli sobie: „Spróbujmy dostać się do niego do domu i coś zwędzić”. Tak jest. A co do jego przeszłości, fakt, że myśmy się skupili na jego podróży do Niemiec, reszta mało nas interesowała. Ale jeżeli chcesz wiedzieć, jakie wrażenie zrobił na mnie Marco, to ci powiem. Mam wrażenie, że cały Enric to wielkie kłamstwo: jego dzieciństwo, lata wojny, powojnie, działalność w podziemiu. Wszystko.

– Możliwe – powiedziałem. – Ale kłamstwa produkuje się z domieszką prawdy; mam na myśli dobre kłamstwa.

– Tu się z tobą zgadzam – przyznał Santi.

– Nikt nie wierzy w czyste kłamstwa – mówiłem dalej. – Dobre kłamstwa to kłamstwa wymieszane z prawdą, muszą zawierać część prawdy. I kłamstwa Marca były dobre. I to

właśnie staram się wyciągnąć: co w nich jest kłamstwem, a co prawdą.

– No to zarobisz się na amen – zawyrokował Santi. – Ale na pewno warto. Enric zawsze wart jest wysiłku. To niewyczerpane pokłady. My nie zajęliśmy się wcale Enrikiem wojennym ani powojennym, Enrikiem czasów frankizmu, choć podczas kręcenia spędziliśmy razem tyle godzin, że w końcu zaczynasz mieć o facecie jakieś wyobrażenie. I zapewniam cię, że nie wyobrażam go sobie jako członka ruchu oporu, kogoś, kto prowadził walkę w podziemiu ani nic podobnego, raczej myślę o nim jak o sybarycie, miglancu, który, gdy tylko mógł, uwielbiał się zabawić, mieć pieniądze, dziewczyny i wesołe nocne życie.

Kelnerka przyszła zabrać talerze po pierwszym daniu. Gdy je zbierała, Santi powiedział:

– Zwróciłeś uwagę na to, jak Enricowi podobają się kobiety? Ilekroć siedzieliśmy razem w knajpie, zawsze musiał powiedzieć jakiś komplement kelnerce. Gdyby był tu z nami, już powiedziałby tej pięknej dziewczynie dwa albo trzy.

Kelnerka uśmiechnęła się bez zażenowania, a może bez zrozumienia, i odeszła bez słowa. Poprosiłem Santię, żeby mi opowiedział o tym, jak kręcili *Ich bin Enric Marco*, o tych wielu dniach spędzonych razem z Markiem w Barcelonie, ale przede wszystkim o wspólnej podróży z Barcelony do Kilonii, z Kilonii do Flossenbürga i, potem, z powrotem do Barcelony.

– Byłeś we Flossenbürgu? – zapytał.

– Nie.

– Warto pojechać. Z całego filmu najbardziej podoba mi się fragment nakręcony we Flossenbürgu. To właśnie tam Enric miał najwięcej do powiedzenia. Nigdy nie siedział w obozie, ale czuł się tam jak w domu. Dużo bardziej niż w Kilonii, gdzie

kiedyś był naprawdę. Jak leci ten fragment u Pessoa? „Poeta to fałszerz/ Udaje tak doskonale/ udaje nawet, że jest bólem/ tym bólem, który naprawdę czuje”. To właśnie Enric: poeta.

Santi zaczął teraz opowiadać anegdoty z planu filmowego. Na przykład, że we Flossenbürgu spotkali się z dyrektorem Muzeum Miejsca Pamięci, którego Marco znał od czasów swojej pierwszej bytności w obozie, i ten dyrektor zgodził się podać Marcowi rękę, ale nie zgodził się z argumentami, jakimi Marco usiłował usprawiedliwić swoje oszustwo. Potem opowiedział o sprawach, o których jemu opowiedzieli Pau Lanao i Carme Vinyoles, dwoje dziennikarzy zaprzyjaźnionych z Markiem, którzy, kilka lat po wybuchu skandalu, opublikowali o nim długi reportaż w piśmie „Presència” i którzy widzieli, jak Marco, podczas pogadanki w kolejnej szkole średniej, wyperswadował jakiemuś neonaziście jego poglądy, albo znali kogoś, kto był tego świadkiem, a także powiedział, że jeden jego znajomy reżyser filmowy opowiadał mu, że w latach siedemdziesiątych jego rodzice mieli duże kłopoty finansowe i że Marco, wówczas sekretarz generalny CNT, pomógł im się z nich wykaraskać.

– To też jest Enric – powiedział Santi. – Z jednej strony spryciarz i krętacz, a z drugiej facet, który daje z siebie wszystko, by wyświadczyć każdemu przysługę. Enric jest jednym i drugim naraz: nie sposób ich rozdzielić. Trzeba go brać z dobrodziejstwem inwentarza.

Dopiero wtedy nabrałem ochoty, żeby porozmawiać z Santim o ostatnim spotkaniu z Markiem u mnie w pracowni, na krótko przed moim wyjazdem do Berlina, a raczej o tej magicznej chwili, w której uległem wrażeniu, że Marco zdejmuje maskę albo że ona z niego spada i że ja widzę go takim, jaki był w rzeczywistości, i zaczynam go rozumieć. Powiedziałem

Santiemu o moim podejrzeniu, że ten Marco, którego on i Lucas Vermał kiedyś sfilmowali, już nie był tym teraźniejszym Markiem, że lata, które minęły od tamtego filmu, zmieniły go, że teraz nie jest już człowiekiem stale występującym we własnej obronie, jakiego oni kiedyś znali, albo nie do końca, albo że przestaje taki być i zaczyna przyznawać się do błędów i żałować tego, co zrobił, zamiast nadal bronić tego, co jest nie do obrony, to znaczy swego oszustwa, że postanowił uznać swoją pomyłkę i przeprosić; opowiedziałem mu, że to mogło się zacząć po wybuchu skandalu albo tuż wcześniej, kiedy zmęczony ciągłym kłamaniem, zmęczony swoimi oszustwami i prowadzeniem fałszywego życia, Marco przyznał, że grał komedię i przyznał się do oszustwa z własnej woli. I teraz, jak przypominam sobie to, co mówiłem Santiemu w Salambó, uświadamiam sobie, że pewnie już wtedy zaczynałem myśleć coś, co ośmieliłem się pomyśleć do końca dopiero dużo później, to znaczy że Marco nie chciał nadal chować się za kłamstwem, że chciał opowiedzieć mi całą prawdę, bo być może doszedł do wniosku, że tylko opowiadając całą prawdę, będzie mógł się zrehabilitować. Nie dość na tym, może w trakcie tego obiadu z Santim w Salambó, jak teraz o tym myślę, wyczułem wstępnie coś, co wyczułem do końca, choć przelotnie i szybko, dopiero wiele miesięcy potem, pewnego dnia o zmierzchu pod koniec lata albo na początku jesieni, kiedy wracałem do Barcelony z Sant Cugat drogą La Rabassada po całym dniu spędzonym z Markiem i odwiezieniu go do domu, wtedy, gdy przez jedną krótką chwilę pomyślałem, że w rzeczywistości Marco nigdy mnie nie chciał oszukać, nigdy się nie wzbraniał przed opowiedzeniem mi swojej historii, że odkąd zacząłem badać na poważnie jego życie, on wciąż mnie sprawdzał, czy jestem godzien, by powiedzieć mi prawdę i czy,

jeśli mnie do niej podprowadzi, to odkryję, że to właśnie prawda, że Marco przez całe niemal stulecie stworzył monumentalne kłamstwo o swoim życiu, nie żeby kogoś nabrać albo nie tylko dlatego, lecz po to, żeby jakiś pisarz w przyszłości je rozszyfrował z jego pomocą i opowiedział o nim światu, podobnie jak Alonso Quijano stworzył Don Kichota i kazał mu popełnić wszystkie kolejne szaleństwa, żeby Cervantes je rozszyfrował i opowiedział światu, i że krótko mówiąc, to nie ja wykorzystywałem Marca jak Capote wykorzystał Dicka Hickocka i Perry'ego Smitha, lecz to Marco mnie używał tak, jak Alonso Quijano użył Cervantesa. To wszystko poczułem przez mgnienie oka, jadąc tamtego wieczoru La Rabassada, i z jednej strony się cieszę, a z drugiej żałuję, że nie poczułem tego podczas mojego spotkania z Santim w Salambó, bo byłbym mu o tym powiedział. Nie mogłem powiedzieć i tylko opowiadałem mu, coraz zapalczywiej i coraz pospieszniej, o moim niedawnym spotkaniu z Markiem i o tym, co, jak mi się zdawało, że wówczas odkryłem albo dostrzegłem, i o tym, jak bardzo Marco zmienił się ostatnimi czasy, aż zauważyłem, że uśmiech, z jakim początkowo przysłuchiwał mi się Santi, zaraz zmieni się w niepojętym śmiech.

– Co jest? – zapytałem, odgadując nagle, co się dzieje.

– Nic takiego – powiedział Santi. Obaj piliśmy kawę, obaj zrezygnowaliśmy z deseru. – Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Oj, Javier, zaczynasz mnie martwić. Naprawdę wierzysz, że Enric przyznał się, bo chciał się przyznać? Enric się przyznał, bo nie miał innego wyjścia, bo Bermejo go capnął, i dlatego, że jest bardzo sprytny i zrozumiał, że najlepiej samemu opowiedzieć, jak było, niż żeby to zrobił Bermejo; to znaczy, zrozumiał, że najlepszym dla niego ruchem jest przejęcie

kontroli nad tym wszystkim, żeby przejąć kontrolę nad skandalem. To właśnie usiłował zrobić. Tyle że mu to nie wyszło, bo nie mogło wyjść, bo nawet taki genialny krętacz jak Enric nie potrafił wszystkim wcisnąć kitu, tego, że podawał się za więźnia obozu, aby czynić dobro i oddać głos tym, którzy głosu nie mieli, i takie tam bajeczki. Enric miałby zdjąć maskę? W życiu, nawet jakby się nawalił: Enric nigdy nie zdejmuje maski. Zawsze gra jakąś rolę, przeprowadza wywód, na jakim mu w danej chwili zależy. Na nasz użytek zbudował sobie dyskurs ofiary. Wydaje się, że na twój użytek tworzy dyskurs skruchy i przebaczenia. Ale Enric ani nie czuje skruchy, ani nigdy nie prosi o przebaczenie. Po prostu doszedł do wniosku, że teraz to jest dla niego korzystne. I tyle.

– Tak myślisz? – zapytałem, może po to, żeby zachęcić go do dalszego mówienia, nagle przekonany, że Santi ma rację.

– Możesz być tego pewien, Javier – przytaknął z naciskiem. – Z Enrikiem zawsze trzeba być czujnym. Jak przestaniesz myśleć, to cię wydyma. Jak dochodzisz do jakiegoś wniosku na jego temat, on cię wydyma. Jak myślisz, że już go zrozumiałeś i że on zdjął z twarzy maskę, wydyma cię. Enric pod każdą maską ma następną. Zawsze się wymyka. Wydaje nam się, że wstawiamy go w nasze historie, w nasze filmy i w nasze powieści, a w rzeczywistości to on nas wstawia w swoją historię, to on robi z nami co chce. Enric jest zagadką, ale dziwną zagadką: jak już ją rozszyfrujesz, stawia cię przed kolejną: a jak rozszyfrujesz tę drugą, to on cię stawia przed trzecią, i tak w nieskończoność. Albo do wyczerpania.

Obiad skończyliśmy wcześniej, bo Santi miał coś do załatwienia, i pożegnaliśmy się przy wyjściu z Salambó. Nie widziałem go od tamtego czasu. Poza tym minęło jeszcze wiele

miesiący, nim zacząłem pisać tę książkę, ale każde składające się na nią słowo pisałem, myśląc o tym, co Santi powiedział mi tamtego dnia.

Czym jest w takim razie Enric Marco? Kim jest Enric Marco? Jaka jest jego ostateczna tajemnica?

W pogadankach i wywiadach z czasów prezesowania Amical, kiedy opowiadał o swoim zmyślonym bohaterskim życiu, emocjonującym i pełnym przygód, Marco przedstawiał sam siebie jako ucieleśnienie historii swego kraju, jako symbol lub kompendium albo, lepiej, jako dokładne odbicie historii swego kraju; miał słuszość, aczkolwiek z powodów dokładnie przeciwnych, niż myślał.

Marco był młodym robotnikiem anarchistą w Barcelonie czasów Drugiej Republiki, kiedy młodzi robotnicy w Barcelonie w większości byli anarchistami, i był nim nadal w Barcelonie początków wojny, gdy w mieście zatriumfowała rewolucja anarchistów. Marco był żołnierzem, kiedy młodzi Hiszpanie w większości byli żołnierzami, czyli podczas wojny domowej. Pod koniec wojny domowej Marco był człowiekiem przegranym, który, jak ogromna większość jemu podobnych, zaakceptował tę przegraną pod przymusem i starał się uniknąć jej konsekwencji, wtapiając się w tłum, ukrywając swoją przeszłość wojenną i przeszłość anarchisty, i swoje młodzieńcze ideały. Marco uciekł przed służbą wojskową, podobnie jak chcieli uciec niemal wszyscy młodzi ludzie w jego wieku, i podczas drugiej wojny światowej wyjechał do Niemiec, wówczas kraju wielkich szans, kraju, który, jak wszyscy twierdzili, miał wygrać wojnę. Marco wrócił z Niemiec, gdy wszyscy już byli pewni, że Niemcy przegrają wojnę. Marco żył w czasach frankizmu, uważając, jak

ogromna większość Hiszpanów, że przeszłość odeszła w przeszłość, nie buntując się przeciw dyktaturze, akceptując ją wewnątrz lub otwarcie, wykorzystując ją, jak się dało, by wieść jak najlepsze możliwe życie, czasem życie zwykłego męża i ojca rodziny, czasem życie łobuza i hulaki, czasem borykając się z kłopotami finansowymi, a czasem, szczególnie od początku lat siedemdziesiątych, ciesząc się małą mieszczańską stabilizacją w postaci samochodu, własnego domu i apartamentu nad morzem, co wówczas zaczęło być udziałem wielu ludzi. Jak niemal wszyscy Marco zrozumiał w latach siedemdziesiątych, że frankizm nie będzie wieczny i że przeszłość nie do końca odeszła w przeszłość, i zaczął wykorzystywać swoją zapomnianą albo odstawioną na bok, albo pogrzebaną młodość republikańską zakłamując ją, i w chwili śmierci Franco, gdy mniej więcej stuknęła mu pięćdziesiątka Alonsa Quijano, świętował, jak większość ludzi, powrót wolności i zaczął z niej korzystać, i głęboko się upolitycznił, i całkowicie wymyślił się na nowo, fałszując lub upiększając, lub ozdabiając swoją przeszłość, dał sobie nowe nazwisko i nową żonę, i nowe miasto, i nową pracę, i nowe życie. A w latach osiemdziesiątych, gdy dokonało się już przejście od dyktatury do demokracji, Marco, jak wielu innych ludzi, odsunął się od polityki i znowu poczuł, że przeszłość odeszła w przeszłość i że on też nie może już eksploatować swojej i gdy krzepł porządek instytucjonalny demokracji, zwrócił się ponownie, jak tylu innych ludzi, ku życiu prywatnemu i dawał ujście swej potrzebie działania lub swoim niepokojom społecznym i politycznym już nie w partii politycznej, lecz w aktywności obywatelskiej. W końcu, w pierwszej dekadzie wieku, przeszłość wróciła silniej niż kiedykolwiek, a przynajmniej tak się zdawało, i Marco, jak wielu

ludzi, ruszył do tak zwanego odzyskiwania tak zwanej pamięci historycznej, z entuzjazmem włączył się do tego wielkiego ruchu, używał przemysłu pamięci i rozwijał go, i sam dał mu się używać, starając się na pozór stawić czoło własnej przeszłości i przeszłości kraju, właściwie domagając się tego, gdy w rzeczywistości on i jego kraj stawiali jej czoło jedynie częściowo, tylko tyle, ile było trzeba, by móc nad nią zapanować i nie stawić jej czoła naprawdę, i móc ją wykorzystać do innych celów. Tak więc Marco miał w gruncie rzeczy słuszność, gdy podczas swoich prelekcji mówił, że historia jego życia jest odbiciem historii kraju, ale nie dlatego, żeby historia kraju pozostawała w najmniejszym związku z tą opowiadaną przez niego – poetycką i połyskującą, pełną heroizmu, godności i wielkich emocji – lecz dlatego że była taka, jaką ukrywał – prozaiczna i zwyczajna, pełna porażek, niegodziwości i tchórzostwa. Innymi słowy, gdyby podczas pogadanek Marco opowiadał swoją prawdziwą biografię, nie zmyślony narcystyczny kicz, opowiadałby z jej pomocą historię dużo mniej chwalebłą, lecz zarazem dużo ciekawszą: prawdziwą historię Hiszpanii.

To zatem jest Marco: człowiek większości, człowiek tłumu, człowiek, który – pomimo że samotny albo właśnie dlatego – odmawia z zasady bycia w pojedynkę i zawsze jest tam, gdzie są wszyscy, który nigdy nie mówi „Nie”, bo chce być lubiany i kochany, i podziwiany, i akceptowany, i stąd się bierze jego uzależnienie od mediów i uporczywe dążenie do tego, by zmieścić się w kadrze, człowiek, który kłamie, by ukryć to, co go zawstydza i odróżnia od pozostałych (albo on myśli, że go odróżnia od pozostałych), człowiek, który popełnia moralną zbrodnię mówienia zawsze „Tak”. Tak więc ostatnią zagadką Marca jest jego absolutna normalność; również jego absolutna

wyjatkowość: Marco jest taki, jak wszyscy jesteśmy, ale bardziej, ale przesadnie, ale intensywniej i bardziej widocznie, a może jest wszystkimi ludźmi, a może jest nikim, wielkim zbiornikiem, pustym zestawem, cebulą, z której zdjęto po trochu wszystkie warstwy i jest już niczym, miejscem, w którym zbiegają się wszystkie znaczenia, martwym polem, poprzez które widać wszystko, ciemnością, która wszystko oświecła, wielkim wymownym milczeniem, szkłem, które odbija wszechświat, dziurą, która ma nasz kształt, zagadką, której ostatecznym rozwiązaniem jest brak rozwiązania, przejrzystą tajemnicą, której jednak nie sposób rozszyfrować i może lepiej nie rozszyfrowywać.

W połowie października 2013 roku pojechałem do Flossenbürga z synem. Poddałem mu ten pomysł dużo wcześniej, bo oprócz kamerzysty potrzebowałem pomocnika podczas pobytu w obozie; ale rozmawialiśmy o tej podróży kilka razy i zawsze odkładaliśmy ją na później. To Raúl zaproponował wreszcie konkretną datę.

Sporo zmieniło się w jego życiu, odkąd w początkach tego lub pod koniec poprzedniego roku namawiał mnie do pisania tej książki i sfilmował moje pierwsze rozmowy z Markiem. Nadal był w świetnej formie, tryskał zdrowiem i nadal uwielbiał samochody, sport i kino; na swój sposób był też nadal kozakiem, pomimo że miał złą passę. W lecie zdał egzamin wstępny na uniwersytet, ale nie zdecydował się na studia filmowe i wybrał inny kierunek. Teraz jednak, po pierwszych kilku tygodniach chodzenia na zajęcia, dręczyły go wątpliwości: nie wiedział, czy dobrze zrobił, czy naprawdę interesowały go te studia, czy się do nich nadaje. Był pełen rozterek, trochę przygnębiony i zaproponował mi tę podróż do Flossenbürga, o której rozmawialiśmy od miesięcy, żeby się przewietrzyć i poukładać sobie sprawy w głowie. Co do mnie, to jeszcze nie zacząłem wtedy pisać książki, ale miałem już przepracowaną i przemyślaną historię Marca, naszkicowany szczegółowy plan mojej opowieści, i będąc w tej mocno już zaawansowanej ciąży, na chwilę przed odejściem wód płodowych, pomyślałem, że to doskonała chwila na podróż do Flossenbürga. Po pierwsze, potrzebowałem ostatecznego potwierdzenia dokumentalnego

i mogłem je uzyskać tylko na miejscu; po drugie, pamiętałem radę Santiago Fillola, żeby pojechać do Flossenbürga, i sam przeczuwałem albo żywiłem nadzieję, że może tam coś znajdzie albo wydarzy się tam coś takiego, co domknie moją książkę albo przyda jej nowego i nieoczekiwanego sensu, a nawet sprawi, że wszystko zacznie do siebie pasować; i po trzecie, doszedłem do wniosku, że ta książka powinna się kończyć we Flossenbürgu: ostatecznie było to miejsce, w którym Marco zbudował swoją wielką fikcję, miejsce fikcji, która przez tyle lat ratowała Marca, nie – miejsce rzeczywistości, która być może go zabiła.

Wyruszyliśmy z Barcelony z samego rana w czwartek i wieczorem, po przejechaniu przez całą Francję oraz południe Niemiec, minąwszy Montpellier, Lyon, Fryburg i Stuttgart, dojechaliśmy do Norymbergi, półtorej godziny drogi od Flossenbürga. Podczas drogi mieliśmy oczywiście dużo czasu na rozmowy o wszystkim: o wszystkim lub prawie wszystkim. Sam będąc kiedyś nastolatkiem, wiedziałem, że osiemnastoletni chłopak nie przyjmuje rad od swego ojca, albo nie te sformułowane wyraźnie, mój plan na tę podróż polegał zatem na niemówieniu nigdy wyraźnie o skonfundowaniu i niepewności Raüla, chyba że on sam poruszy ten temat, ale na korzystaniu z każdej sposobności, by mówić o tym w sposób zawoalowany. Przypominam sobie na przykład, że rozmawialiśmy o ostatnim filmie Bruce'a Willis'a *Szklana pułapka 5*, który właśnie miał premierę, i że, choć nie podobał nam się aż tak jak *Szklana pułapka 4*, to bardzo nam się podobał, głównie dlatego, że w tym kolejnym filmie z serii pojawiał się po raz pierwszy syn agenta McClane'a, który był prawie takim samym supermanem jak jego ojciec i pomagał ojcu znowu ocalić świat, ratując tych dobrych i zabijając tych złych; i przypominam sobie, że kiedy mówiliśmy

o Willisie (albo agencji McClanie), powiedziałem do Raüla, że ten Marco, którego Marco sobie zmyślił, był Bruce'em Willisem (albo agentem McClane'em) ruchu antyfrankistowskiego i antyfaszystowskiego. Pamiętam też, że rozmawialiśmy o Rafie Nadal, którego sytuacja zmieniła się wówczas niemal tak bardzo, jak sytuacja Raüla, tyle że w przeciwnym kierunku: na początku roku, kiedy mój syn tryskał energią, Rafa Nadal wydawał się skończony, jedna kontuzja gonila drugą i spadł o kilka miejsc w rankingu ATP, wydawało się, że nie będzie już tym, kim był dawniej; teraz jednak, zaledwie kilka miesięcy później, wszystko się zmieniło: Rafa znowu był w znakomitej formie, wygrał już mnóstwo turniejów, włącznie z turniejem Roland Garros i US Open, i wracał jako numer jeden na świecie. I pamiętam, że kiedy tak rozmawialiśmy o Rafie Nadal, powiedziałem do Raüla, że ten Marco, którego wymyślił Marco, był Rafą Nadalem tak zwanej pamięci historycznej, ale przede wszystkim pamiętam, że – nie przestając rozmawiać o Rafie Nadal albo nie sprawiając takiego wrażenia, jakbyśmy przestali rozmawiać o Rafie Nadal – powiedziałem do Raüla, że w życiu dochodzi do wielu zwrotów, że najmądrzej na ten temat wypowiedział się Montaigne, twierdząc, że życie jest faliste – raz się wznosi, raz opada – i że z taką samą otuchą należy przyjmować zwycięstwo i przegraną, rozumieć, że sukces i porażka to tylko dwa upiory albo dwoje oszustów tak oszukańczych jak Marco, co powiedziawszy, zacytowałem kilka wersów Archilocha i już miałem zacytować również Rafę Nadala, który w jakimś niedawnym wywiadzie zalecał nie popadać w euforię ani nie dramatyzować, kiedy zrozumiałem, że staję się zanadto dosłowny, ponieważ Raül przerwał mi bezceremonialnie:

– Nie nakręcaj się, tatuś.

Dojechaliśmy do Norymbergi około pół do dziesiątej wieczorem i zatrzymaliśmy się w hotelu w centrum. Nazajutrz bardzo wcześnie wyruszyliśmy do Flossenbürga. Ranek był pogodny i słoneczny i przez pięćdziesiąt minut jechaliśmy autostradą. Potem niebo zaczęło się chmurzyć i gdy zjeżdżaliśmy z autostrady, było już całkiem szaro. Podczas gdy ja dyktowałem Raülowi opisy mijanego krajobrazu, z zamiarem wykorzystania ich później w książce, a on zapisywał je w swoim iPhone, jechaliśmy wąską drogą wijącą się między małymi wioskami albo odosobnionymi domostwami wśród żywej zieleni pastwisk i jesiennych drzew, aż w końcu dotarliśmy do Flossenbürga, sielskiego miasteczka ukrytego między łagodnymi wzgórzami i wśród gęstych lasów. Szybko znaleźliśmy obóz. Zostawiliśmy samochód na parkingu przy bramie wejściowej, obok dużego budynku z szarego kamienia przykrytego czerwonym dachem, który był, jak od razu odgadliśmy, dawną komendanturą obozu. Dopiero wtedy Raül zaczął filmować. Pierwsze chwile nagrania są zrobione tam, na parkingu, widać, jak opowiadam o naszej podróży. Mam na sobie dżinsy, białą koszulę i grubego sweter, na który włożyłem brązową marynarkę. Dzień jest zimny i szary; wydaje się, jakby zaraz miało się rozpadać. Za mną widać grupę emerytów wchodzących do Miejsca Pamięci tunelem budynku dawnej komendantury.

Ja i Raül również weszliśmy tym tunelem. W Miejscu Pamięci trwały prace remontowe i gdy chodziliśmy po terenie, szukając archiwum, i Raül wciąż mnie filmował, ja opowiadałem mu o obozie: mówiłem, że zaczął działać na wiosnę 1938 roku i został wyzwolony wiosną 1945 roku, że liczbę jego więźniów szacuje się na około stu tysięcy, przynajmniej trzydzieści tysięcy z nich zginęło, że miał kilka podobozów, że nie był obozem

zagłady, lecz obozem koncentracyjnym – w tym miejscu musiałem mu wytłumaczyć różnicę między jednym a drugim – że to, co dzisiaj widzimy, Miejsce Pamięci, to jest tylko mała część oryginalnych instalacji obozowych i tym podobne rzeczy. Doszliśmy do Appellplatz, centrum obozu i miejsca, w którym każdego ranka i każdego wieczoru liczone więźniów, gdzie wymierzano kary, zadawano tortury i dokonywano egzekucji; po dwóch stronach placu apelowego zachowały się dwa budynki obozowe, dawna kuchnia i dawna pralnia, teraz miejsca wystaw. Zostawiliśmy wystawy na później i poszliśmy dalej, ale Raúl, zauważywszy domy mieszkalne stojące za dawną kuchnią, niemal do niej przyklejone, powiedział:

– Nie wiem, jak można tu mieszkać, tak blisko miejsca, gdzie zamordowano tyle ludzi.

– Nie tylko blisko – odparłem. – Tam też był kiedyś obóz: stały tam baraki dla więźniów.

– Uff!

Weszliśmy do żydowskiego miejsca pamięci i do kaplicy, a potem zeszliśmy na Plac Narodów, gdzie znajdują się tablice poświęcone ofiarom z różnych krajów; na tej poświęconej Hiszpanom rzucała się w oczy flaga republikańska, a pod nią widniał napis w języku hiszpańskim: „14 Hiszpanom zamordowanym w KZ Flossenbürg”.

– Tylko czternastu? – zapytał Raúl.

– Tak uważał Marco – odparłem. – I pewnie dlatego wybrał ten obóz: myślał sobie, że skoro było ich tu tak niewiele, nikt nie zdoła go nakryć. I to prawda: było ich tu mało, ale nie aż tak mało. Teraz wiadomo, że stu czterdziestu trzech i że przynajmniej pięćdziesięciu pięciu zmarło. Ta tablica musiała

powstać bardzo wcześnie, a potem pewnie nie chcieli już jej zmieniać.

Minęliśmy Piramidę Popiołów, weszliśmy do krematorium i przeszliśmy je bez słowa. Gdy wchodziliśmy kamiennymi schodami w stronę cmentarza, zacząłem znowu mówić. Nie pamiętałem już, że powiedziałem wtedy to, co powiedziałem, ale jest to na nagraniu zrobionym przez Raüla i obawiam się, że stanowi część porad, kazań albo skrytych morałów, jakimi go raczyłem od wyjazdu z domu, aczkolwiek myślę, że tym razem tego nie zauważył. Zacząłem od tego, że podczas pobytu w Polsce byłem w Auschwitz, a potem powiedziałem:

– Kiedy jestem w takich miejscach, nie wpadam w przygnębienie; przeciwnie, czuję swego rodzaju radość.

– Radość? – zdziwił się Raül.

– Coś w tym rodzaju – odparłem. – Czytałeś *Czy to jest człowiek?*

– Nie.

– Napisał to ocalony z Auschwitz i opowiada, co tam przeszedł – wyjaśniłem. – Nazywał się Primo Levi.

– Obiło mi się o uszy.

– Musiałeś o nim słyszeć. – mówiłem dalej. – Jest bardzo dobrym pisarzem, a ta książka jest jedną z najlepszych, jakie czytałem w życiu. Jest tam szczególnie jedna scena, której nie zapomnę, a przynajmniej tego, jak ją zapamiętałem, co może nie być dokładne. Levi opowiada o więźniach ustawiających się w kolejce, żeby dostać zupę. I mówi, że to była zasadnicza chwila, najważniejsza w ciągu dnia: jeżeli ten, kto wydawał zupę, zanurzał głęboko chochlę i nabierał trochę zawartości z dna gara, wszystko było dobrze; ale jeśli nie zanurzał chochli i nalewał tylko płyn, to była katastrofa. Więźniowie stale

głodowali i ich przeżycie zależało od takiego szczęśliwego trafu, od mechanicznego ruchu człowieka wydającego im zupę, od tego, jak głęboko zanurzył chochlę. Wyobrażasz sobie? Odkąd to przeczytałem, nie potrafię nalać sobie zupy albo patrzeć, jak mi ją nalewają, nie myśląc o Levim.

Doszliśmy do cmentarza i chodziliśmy wśród grobów, kierując się z powrotem na plac apelowy.

– Czasem nie mogę uwierzyć, że jestem takim szczęściarzem – odezwałem się po chwili. – Mój ojciec i moja matka poznali wojnę. I dziadek, i babka. I pradziadek, i prababka. I tak po kolei. Ale ja nie. Zawsze się mówi, że sportem par excellence europejskim jest piłka nożna, ale to nieprawda; sportem par excellence europejskim jest wojna. Przez ostatnie tysiąc lat ciągle się w Europie zabijaliśmy. A ja jestem tym pierwszym, tym pierwszym pokoleniem Europejczyków, które nie zna wojny. Aż trudno uwierzyć. Niektórzy mówią, że to się skończyło, że między nami niemożliwa jest już wojna, ale ja w to nie wierzę... Sam widzisz to miejsce, ludzie, jak ty i jak ja, umierali tu tysiącami, jak psy, w najbardziej ohydny i upadający sposób. Zgroza! A Marco to wszystko wykorzystywał, żeby podrywać dziewczyny, żeby znaleźć się w kadrze. I wiesz co? Najgorsze, że nie wierzę, że on to zrobił w złej wierze, właściwie jestem pewien, że nie. To był czysty egoizm. Ja, ja, ja, ja! Czysta ignorancja, czysta nieświadomość. Gdyby Marco wiedział naprawdę, co to znaczy, gdyby to naprawdę rozumiał, nigdy nie zrobiłby tego, co zrobił.

Wróciwszy na Appellplatz, weszliśmy do budynku dawnej kuchni, gdzie znajdowała się czasowa wystawa na temat obozu po obozie, to znaczy na temat historii obozu po wyzwoleniu i aż do chwili obecnej. Na ścianach i w gablotach, pomiędzy którymi

chodzili zwiedzający, znajdowały się najrozmaitsze rzeczy: przedmioty osobiste, wycinki z gazet i czasopism, ekrany, na których wyświetlano co chwilę filmy, reportaże i wiadomości, oficjalne dokumenty. Jakkolwiek na początku wieku Marco bywał w Miejscu Pamięci stosunkowo często, na wystawie – co oczywiste – nie pozostał po nim nawet ślad. Gdy wyszliśmy z dawnej kuchni, przeszliśmy na drugą stronę placu, do budynku dawnej pralni, gdzie znajdowała się wystawa stała. Budynek miał parter i piętro oraz piwnicę; na piętrze pokazywano historię obozu od jego założenia do wyzwolenia; wystawa na parterze i w piwnicy była poświęcona więźniom. Zaczęliśmy zwiedzanie od piwnicy. Tam, pośród fotografii więźniów rozmaitych narodowości – na przykład fotografia Hiszpana o nazwisku Ángel Leukona w stroju marynarskim, zamordowanego 10 kwietnia 1945 roku, trzy dni przed wyzwoleniem obozu – stał metalowy pulpit a na nim gruba księga otwarta na jakiejś stronie; księga zawierała w porządku alfabetycznym nazwiska wszystkich więźniów obozu zidentyfikowanych do tej pory. Kartkując ją, natrafiłem na nazwisko, którego szukałem: obok widniała data 15.08.1900 i numer: 6448. Wskazałem na to palcem.

– To numer obozowy, który przywłaszczył sobie Marco – powiedziałem.

Następnie wskazałem zapisane obok imię i nazwiska i dodałem:

– A tu jest nazwisko człowieka, pod którego się podszył.

– Moner Castell, Enric – przeczytał Raúl. – Enric Moner jest podobne do Enric Marco.

– Jasne. Dlatego mógł się pod niego podszyć – powiedziałem.

Weszliśmy piętro wyżej. Tam, w jednej z zamkniętych gablot, znajdował się zeszyt otwarty na stronie z napisaną odręcznie listą nazwisk: z lewej strony każdego nazwiska widniał numer i nazwa albo skrót kraju pochodzenia, a po prawej stronie seria adnotacji.

– Tak – powiedziałem, zatrzymując się przed gablotą. – Przyjechaliśmy, żeby to zobaczyć.

– Co takiego? – zapytał Raül.

Wskazałem na zeszyt i, gdy on go filmował, powiedziałem:

– To jedna z ksiąg ewidencyjnych obozu. Naziści zapisywali tu, odręcznie, jak widzisz, nazwiska i niektóre dane więźniów przybywających do Flossenbürga. Choć tak naprawdę to pewnie nie oryginał, lecz kopia, bo oryginalne księgi znajdują się Archiwum Narodowym w Waszyngtonie. Dobrze, a teraz popatrz na to.

Wyjąłem z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę papieru, rozłożyłem ją i zwróciłem do kamery tak, że teraz, na nagraniu, widać dokument w zbliżeniu.

– Wiesz, co to jest? To fotokopia strony z księgi ewidencyjnej. To nie jest ta sama strona co w gablocie: strona w gablocie zaczyna się od więźnia numer 13 661, a kończy na więźniu numer 13 672, a ta tutaj idzie od numeru 6421 do 6450. A teraz – mówiłem dalej, pokazując palcem, co było napisane przy numerze 6448 na mojej fotokopii – czytaj tutaj.

– Span – przeczytał, a potem odsuwając nagle kamerę (nagranie rejestruje niekontrolowany szybki ruch) i patrząc na mnie z przestraszoną miną, krzyknął: – O kurwa, jest napisane Marco!

W sali było prócz nas cztery albo pięć osób i wszystkie odwróciły się w naszym kierunku. Raül się zreflektował; patrzył

na mnie wściekły i dezorientowany; nadal filmował, ale podłogę.

– Zaraz, o co tu chodzi? – niecierpliwił się, ścisząc głos. – To w końcu Marco naprawdę tu siedział? Teraz się okazuje, że gościu nie kłamał, czy co?

– A tobie jak się wydaje? – odparłem. – No już, filmuj mnie, wszystko ci wytłumaczę.

Raül zwrócił na mnie obiektyw kamery, rozgniewany.

– Ten papier – zacząłem, pokazując moją fotokopię do kamery, która znowu rejestrowała zbliżenie dokumentu – znajdował się w archiwum stowarzyszenia Amical de Mauthausen w Barcelonie. Marco, gdy wstępował do stowarzyszenia, przedstawił to jako dowód swojego pobytu w obozie we Flossenbürgu. Skąd to miał? Stąd, naturalnie. Podczas jednego ze swoich pierwszych tutaj pobytów, poprosił pracowników archiwum, żeby zrobili mu fotokopie tych stron ksiąg ewidencyjnych, na których figurowali Hiszpanie, i wśród fotokopii, które mu dali, była ta. Pamiętasz numer Enrica Monera? 6448. Czyli tu, gdzie ty i ja czytamy Marco, w rzeczywistości jest napisane Moner. Narzuca się pytanie: czy to przypadek? To znaczy: czy ten, kto napisał nazwisko Moner, napisał je w taki sposób, że wygląda jak nazwisko Marco, albo nam się tak wydaje? Czy też w rzeczywistości to Marco przerabiał nazwisko Moner, aż wreszcie można je było wziąć za nazwisko Marco? Przyjechaliśmy tu właśnie po to, żeby to ustalić.

– To takie ważne?

– Teoretycznie nie, ale praktycznie tak – odpowiedziałem. – Przynajmniej dla mnie. Czym innym byłoby, gdyby Marco znalazł się w księdze ewidencyjnej na zasadzie prezentu od losu,

który pozwolił mu ostatecznie uwiarygodnić oszustwo, a czym innym, gdyby sam to sfabrykował. O ile wiem, Marco nigdy nie sfabrykował żadnego dowodu: to byłby pierwszy raz albo jedyny. I chcę wiedzieć, czy którejs nocy po powrocie z podróży do Flossenbürga zamknął się u siebie w pokoju, sam samiuteńki, i z wielką ostrożnością i w tajemnicy przed żoną sfałszował dowód, którego mu brakowało. A wiesz, jak możemy się dowiedzieć, czy to zrobił, czy nie? To bardzo proste: porównując tę fotokopię z oryginałem, który teraz trzeba tylko znaleźć.

Gdy wchodziliśmy na pierwsze piętro, Raúl mruzczał: „Ja pieprzę, ale mnie nastraszyłeś. Wyobrażasz sobie, że Marco naprawdę mógł tu siedzieć?”. Na piętrze, zaraz przy wejściu na wystawę, stał stół, za którym siedział woźny, a za jego plecami stał regał z książkami i płytami DVD na temat obozu. Ponieważ ani ja, ani Raúl nie znamy niemieckiego, zapytałem woźnego – mężczyznę o wyłupiastych oczach, spiczastym nosie i prostym wąsiku – czy mówi po angielsku. Nie mówił albo bardzo niewiele. Pomimo to postarałem się wyjaśnić mu po angielsku, czego szukam; naturalnie mnie nie zrozumiał. Wyjąłem moją fotokopię strony, na której figurowało nazwisko Moner i mu ją pokazałem, równocześnie powtarzając po angielsku słowo „archiwum”. Zdawało się, że w końcu mnie zrozumiał i pokazał piętro niżej, wygłaszając równocześnie jakąś przemowę po niemiecku. Myśląc, że może piętro niżej przechowywano inne fotokopie ksiąg ewidencyjnych albo że znajduje się tam archiwum, zeszliśmy z Raúl'em na dół. Nie znaleźliśmy ani archiwum, ani innych kopii. Znowu weszliśmy na piętro i podjąłem kolejną próbę wytłumaczenia woźnemu, powoli i dokładnie wymawiając słowa, o co mi chodzi, i w połowie tego tłumaczenia on podał mi formularz oraz długopis. Formularz był

po angielsku, ale nie miał najmniejszego związku z tym, o co prosiłem. Wpatrywałem się zdumiony w woźnego i w tej właśnie chwili, gdy obok mnie Raül mówił coś, czego nie rozumiałem, zdałem sobie sprawę, że ten woźny jest identyczny jak Sig Ruman, niemiecki aktor komiczny, który zyskał rozgłos w latach trzydziestych i czterdziestych, występując w komediach Ernsta Lubitscha. Już zacząłem wypełniać formularz, nie bardzo wiem po co, kiedy usłyszałem, jak woźny wypowiada znane mi nazwisko.

– Tak, tak – powiedziałem, podnosząc nagle wzrok znad formularza i kiwając twierdząco głową. – Ibel. Johannes Ibel.

Pokazał, że mam zaczekać, z nagłą powagą wziął telefon i gdzieś zadzwonił. Gdy rozmawiał, Raül mnie spytał:

– Co to za jeden?

– Ibel? Historyk, szef archiwum. Powinienem być od razu o niego pytać. Jest znajomym Benita Bermeja.

Kiedy woźny odłożył telefon, wskazał na okno, przez które widać było budynek dawnej komendantury, i wygłosił kolejną przemowę po niemiecku, z której wychyciłem wyraźnie tylko nazwisko męskie, Johannes Ibel, i drugie, kobiece, Anette Kraus.

Razem z Raülem ruszyliśmy szybkim krokiem przez plac apelowy, ja komentując zamieszanie, jakie obaj wywołaliśmy.

– Wywołałeś je tylko ty – poprawił mnie Raül.

– Facet był identyczny jak Sig Ruman – powiedziałem, a raczej pomyślałem na głos.

– Kto taki?

Wyjaśniłem Raülowi, kim był Sig Ruman, wspomniałem *Ninoczkę* i *To be or not to be*.

– Maniak z ciebie – powiedział.

Do archiwum wchodziło się przez boczne wejście budynku dawnej komendantury. Zadzwoniliśmy domofonem i nam otworzono. W głębi korytarza czekała dwudziestokilkulatka, uśmiechnięta, szczupła, jasnooka szatynka, z włosami zebranymi spinkami; zielona apaszka niemal zakrywała jej gardło. Wprowadzając nas do swego gabinetu i zapraszając, byśmy usiedli naprzeciw jej biurka, wyjaśniła nam równocześnie nienaganną angielszczyzną, że nazywa się Anette Kraus i jest asystentką Johannes'a Ibela, który tego dnia akurat przebywał w obozie w Dachau; zaoferowała także swoją pomoc. Usiadłszy naprzeciw naszej gospodyni w tym biurze z ogromnymi oknami wychodzącymi na bramę wejściową do obozu – na pewno dzieliła to biuro z innymi osobami, choć w tej akurat chwili byliśmy tam tylko my troje – zapytałem najpierw, czy będzie miała coś przeciwko temu, żeby mój syn nas filmował; Anette Kraus uśmiechnęła się i powiedziała, że nie. Gdy zatem Raül zabierał się do filmowania, opowiedziałem dziewczynie, że jestem pisarzem i piszę książkę na temat Enrica Marca. Oczywiście słyszała o Marcu, ale nie poznała go osobiście, bo gdy on przyjeżdżał do Miejsca Pamięci, ona tam jeszcze nie pracowała, w chwili gdy wybuchł skandal też nie. Zapytała, jakie książki pisuję.

– Powieści – odparłem. – Czasem powieści z fikcyjną fabułą, a czasem powieści bez fikcji. Ta będzie bez fikcji.

– Jasne – powiedziała. – O fikcję zadbał w tym przypadku pan Marco, prawda?

Wydawało się, że dziewczynie sprawia przyjemność nasza wizyta, przez chwilę zatem rozmawiałem z nią, gdy Raül już nas filmował. W odpowiedzi na moje pytania Anette Kraus opowiedziała mi o funkcjonowaniu archiwum, o historii obozu

i Miejsca Pamięci, o bazie danych, jaką zbudował Johannes Ibel, dała mi wskazówki bibliograficzne i uściśliła kilka szczegółów i dat. Kiedy skończyło się to przesłuchanie, powiedziałem, że mam jeszcze jedną, ostatnią prośbę do niej.

– O co chodzi? – zapytała, uśmiechając się do kamery Raüla.

Wyjąłem fotokopię strony księgi ewidencyjnej, na której figurowało nazwisko Enric Moner, nazwisko tak napisane, że bardzo przypominało nazwisko Enric Marco, wytłumaczyłem jej, na czym polega mój problem, i zapytałem, czy mogę zobaczyć oryginał albo kopię oryginału, żeby sprawdzić, czy Marco zmodyfikował fotokopię, czy nie.

– Oczywiście, że może pan zobaczyć – powiedziała.

Wstała i wyszła z gabinetu. Kiedy jej nie było, Raül wyłączył kamerę i popatrzyliśmy na siebie wyczekująco. Przez chwilę przypomniałem sobie Bruce'a Willisa i jego syna w chwili, gdy ocalali świat.

– To na pewno jakiś przypadek – zaryzykował Raül.

– Na pewno nie – odparłem.

Anette Kraus wróciła po kilku minutach, trzymając w ręce kartkę papieru. Położyła ją na blacie biurka, między mną a Raülem, i sama stanęła między nami. Była to fotokopia strony księgi ewidencyjnej, o którą prosiłem: położyłem obok moją fotokopię, Raül zapomniał włączyć kamerę i wszyscy troje pochyliliśmy się nad biurkiem, żeby porównać oba dokumenty. Prawda od razu rzuciła się w oczy. Marco dokonał arcydzieła: w księdze ewidencyjnej nie napisano „Moner”, lecz „Moné”, a nasz człowiek wykorzystał ten opatrnościowy akcent, by zrobić z niego literkę „c”; potem z łatwością zamienił literkę „o” na literkę „a”, literkę „n” na literkę „r” i zakończył słowo literką „o”, i po tych starannych przeróbkach wyglądało to tak, jakby

w księdze nie zapisano „Moné” ani „Moner”, lecz „Marco”; ponadto, chcąc ukryć manipulację, przerobił także skrót „Span” (od niemieckiego *Spanier*, Hiszpan), figurujący obok słowa „Moné”, żeby litery obu wyrazów były tej samej grubości i wyglądały na napisane jedną i tą samą ręką. Popatrzyliśmy na siebie wszyscy troje. Kamera Raüla nie uchwyciła tej chwili, ale ja jej nie zapomnę.

– Miał pan rację – powiedziała Anette Kraus, wciąż się uśmiechając.

A mnie przemknęło przez głowę: „Wiedziałem, że mnie nie zawiedzie”.

– Facet po prostu wymiata! – nie mógł powstrzymać się Raül.

A ja pomyślałem, myśląc o Raülu „Tak, ale on też jest Enrikiem Markiem”.

6421	Franz Houillard	Joseph	Laibach	11.1.44	21
2	Sch. Ho. Hauptman	Joseph	Laibach	20.9.21	8.10.43
3	Frg. Delhonelle	Georges	Family	11.5.94	22.2.44
4	Sch. Fr. Allemmand	Guillaume	Die	7.9.02	23.2.44
5	Frg. Delfosse	André	Wattreux	11.1.04	23.2.44
6	Sch. Ho. Sobrebujes	Joseph	Stroguel	6.11.05	8.10.43
7	Frg. de la Roche Joucauld	Lucien	Mascara		4.6.44
8	Frau. Ben-Haim	Annie	Laibach	22.1.21	23.2.44
9	Franz Ferrier		Laibach	20.11.04	23.2.44
6430	Frg. Wal	André	Laibach	11.2.04	23.2.44
1	Franz Dufour		Laibach	12.2.05	23.2.44
2	Slow. Mahic	Johann	Premitz	10.1.07	1.10.43
3	Franz Cudin		Exploitte	20.11.00	23.2.44
4	Frg. Keritnik		Laibach	11.1.20	1.10.43
5	Unwiss. Aptier	Georges	Althaus	27.11.28	23.2.44
6	Sch. Fr. Lepore			4.6.12	23.2.44
7	Franz Anthoine		Laibach		23.2.44
8					
9	Frg. Drastler	Valentin	Laibach	6.11.03	1.10.43
6440	Slow. Jakša		Selo	1.11.06	23.2.44
1	Franz Bigy-Salon	Alfred	Laibach	2.3.34	23.2.44
2	Frau. Rippe		St. Sigmund	11.11.16	23.2.44
3	Frg. Bosh	Constant	St. Sigmund	10.11.00	23.2.44
4	Spann. Fernandez		St. Sigmund	10.11.00	23.2.44
5	Franz Benod		St. Sigmund	10.11.00	23.2.44
6	Sch. Fr. Shradefaux	Marcel	St. Sigmund	8.1.33	23.2.44
7	Frau. Rohrer	Pierre	St. Sigmund	8.4.07	23.2.44
8	Spann. Mori		St. Sigmund	10.11.00	23.2.44
9					
6450	Sch. Ho. Krennar	Davonius	Laibach	1.12.13	8.10.43

PODZIĘKOWANIA

Zechcą je przyjąć:

Leonie Achtnich, Antonio Alonso, José Álvarez Junco, Joan Amézaga, José Luis Barbería, Montserrat Beltrán, Benito Bermejo, Mercè Boada, Julián Casanova, Francisco Campo, Montse Cardona, Enric i Maria Teresa Casañas, Manoli Castillo García, Blanca Cercas, Pepita Combas, Emili Cortavitarte, Juan Cruz, Ignasi de Gispert, Santi Fillol, Juanjo Gallardo, Anna Maria Garcia, Xavier González Torrán, Jordi Gracia, Gutmaro Gómez Bravo, Helena Guitart Castillo, Johannes Ibel, Anette Kraus, Pau Lanao, Philippe Lançon, Loli López, Frederic Llausachs, Teresa Macaulas, Anna Maria Marco, Bartolomé Martínez, Bettina Meyer, Adrián Blas Mínguez, Llätzer Moix, Adolfo Morales Trueba, Javier Moreno Luzón, Marta Noguera, Jordi Oliveras, Gloria Padura, Carlos Pérez Ricart, Alejandro Pérez Vidal, Xavier Pla, Fernando Puell de la Villa, Jesús Ruiz, Margarida Salas, Antoni Segura, Guillem Terribas, Isidoro Teruel, Rosa Torán, David Trueba, Enrique Urraca, Lucas Vermal, Joan Villarroya, David Viñals, Carme Vinyoles.

TŁUMACZKA KORZYSTAŁA Z NASTĘPUJĄCYCH UTWORÓW:

Isaiah Berlin, *Jeż i lis*, przeł. Andrzej Konarek, Henryk Krzeczkowski, Katarzyna Tarnowska, Warszawa 1993

Miguel de Cervantes, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, przeł. Anna Ludwika Czerny, Zygmunt Czerny, Warszawa 1955

Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, przeł. Halszka Wiśniowska, Kraków 2008

Michel de Montaigne, *Próby*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Edmund Cięglewicz, księga I, Warszawa 1985

Owidiusz, *Metamorfozy*, przeł. Anna Kamińska, Stanisław Stabryła, Wrocław 1995

Platon, *Gorgiasz*, przeł. Władysław Witwicki, Warszawa 1958

Platon, *Państwo*, przeł. Władysław Witwicki, Warszawa 2010

Tzvetan Todorov, *Teorie symbolu*, przeł. Tomasz Stróżyński, Gdańsk 2012

PRZYPISY

- [1] Isaiah Berlin *Jeź i lis*, przekład Andrzej Konarek, Henryk Krzeczowski, Katarzyna Tarnowska, Fundacja ALETHEIA, Wydawnictwo PAVO, Warszawa 1993 (przyp. tłum.).
- [2] Tłumaczenie Anny Ludwiki Czerny i Zygmunta Czerny.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazała się książka
Javiera Cercasa

ANATOMIA CHWILI
2015